

Bestseller z Johnem Clarkiem, bohaterem powieści Bez skrępowań



TOM CLANCY



TĘCZA SZEŚĆ

Tom Clancy

Tęcza Sześć

Tom drugi

Tłumaczył: Krzysztof Sokołowski i Andrzej Zieliński

Data wydania: 1998

Data wydania oryginalnego: 1998

Tytuł oryginału: *Rainbow Six*

Spis treści:

20 Kontakty

21 Rozwój

22 Przeciwdziałanie

23 Czuwanie

24 Obyczaje

25 Wschód słońca

26 Rozwiązania

27 Sposób przenoszenia

28 W świetle dnia

29 Po burzy

30 Perspektywy

31 Ruch

32 Krwawe żniwo

33 Igrzyska

34 Igrzyska trwają

35 Maraton

36 Wysokie loty

37 Gasnący płomień

38 Rozwiązanie

39 Harmonia

Epilog Wiadomości

20

Kontakty

Zdawała sobie sprawę z tego, że choruje. Nie była pewna jak ciężko, ale widziała, że czuje się bardzo źle. Mimo podawanych jej środków uśmierzających ból, Mary Bannister była jeszcze na tyle przytomna, by się bać, że ciężko choruje. W szpitalu była do tej pory tylko raz, kiedy zwichnęła kostkę i ojciec obawiał się, że może być złamana, a teraz leżała w szpitalnym łóżku z kroplówką przy boku, w jej prawym ramieniu tkwiła igła łącząca ciało z kroplówką i sam ten widok ją przeraził, choć narkotyki niemal całkowicie ją otumaniały. Nie wiedziała, jakie środki jej podają. Doktor Killgore powiedział, że otrzymuje płyny celem niedopuszczenia do odwodnienia organizmu i coś jeszcze, tak powiedział, prawda? Potrząsnęła głową, bardzo chciała odzyskać przytomność umysłu, wszystko sobie przypomnieć. Opuściła nogi na podłogę po prawej stronie łóżka i wstała chwiejnie. Drżała na całym ciele. Pochyliła się, by sprawdzić, co wisi na urządzeniu do podawania kroplówki. Miała kłopoty ze skupieniem wzroku, zbliżyła twarz do tych różnych woreczków i stwierdziła, że opisane są nazwami, których nie potrafi zrozumieć. Wyprostowała się, próbowała skrzywić twarz w namyśle, ale nie do końca się jej to udało. Rozejrzała się po sali. Drugie łóżko oddzielone było czymś, co przypominało wysoką na półtora metra ceglana ściankę i stało puste. Dostrzegła umieszczony na przeciwległej ścianie telewizor, w tej chwili wyłączony. Kafelkowa podłoga chłodziła jej bose stopy. Drewniane drzwi zamykały się nie na klamkę, lecz na zamek — były to zwykłe szpitalne drzwi, ale tego, oczywiście, nie wiedziała. Nie dostrzegła ani śladu telefonu. Czy w szpitalnych salach znajdują się telefony? Czy jest w szpitalu? Wyglądało to jak szpital, sprawiało wrażenie szpitala, ale dziewczyna zdawała sobie sprawę z tego, że myśli wolniej niż zazwyczaj. Czuliła się zupełnie tak, jakby za dużo wypila — nie tylko fizycznie źle; nie panowała też nad ciałem i miała wrażenie, że coś jej zagraża. Wiedziała, że musi coś zrobić, choć nie miała pojęcia, co. Przez chwilę stała nieruchomo, rozważając ten problem, po czym ujęła uchwyt urządzenia kroplówki i ruszyła w stronę drzwi. Na szczęście mechanizm kroplówki zasilany był z baterii, a nie z gniazdka. Stelaż toczył się gładko na gumowych kołach.

Drzwi, jak się okazało, nie były zamknięte. Otworzyła je i dyskretnie rozejrzała się po korytarzu. Nie dostrzegła nikogo. Ruszyła przed siebie, ciągnąc kroplówkę. Ani po jednej, ani po drugiej stronie korytarza nie znalazła stanowisk pielęgniarek, ale specjalnie jej to nie zmartwiło.

Skręciła w prawo, pchając kroplówkę przed sobą. Szukała czegoś, choć na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, czego. Skupiła wzrok i próbowała kolejnych drzwi. Znajdowała wyłącznie ciemne pokoje, śmierdzące środkami dezynfekującymi. Dotarła do końca korytarza. Te drzwi oznaczone były symbolem T-9, a w pokoju, do którego prowadziły nie było łóżek, lecz biurko i komputer. Monitor świecił, co oznaczało, że komputer jest włączony. Podeszła bliżej i obejrzała go sobie dokładnie. Pecet, a ona wiedziała, jak pracować na pececie. Dostrzegła modem. A więc może... co właściwie?

Przez dobrych kilka minut stała nieruchomo, pogrążona w myślach. Wreszcie uświadomiła sobie, że może przecież wysłać wiadomość ojcu.

Piętnaście metrów i jedno piętro dalej Ben Farmer najpierw odwiedził toaletę, potem nalał

sobie kawy, a teraz opadł na kręcone krzesło i wrócił do lektury „Bio-Watch”. O trzeciej nad ranem w budynku panował, oczywiście, święty spokój.

Tato, nie wiem gdzie właściwie jestem. Mówią, że podpisałam zezwolenie na jakieś testy medyczne, nowe lekarstwo czy coś, ale teraz czuję się bardzo kiepsko i właściwie nie wiem, dlaczego. Podłączyli mnie do czegoś, igła w ramieniu i czuję się kiepsko i...

Farmer skończył lekturę artykułu na temat efektu cieplarnianego i zabrał się do sprawdzania podopiecznych. Komputer przerzucał na monitor obrazy z kolejnych włączonych kamer, wszyscy chorzy grzecznie leżeli w łóżkach, zaraz...

...Nie wszyscy.

Co jest? — zdumiał się, czekając na kolejny przegląd kamer. Nie wychwycił kodu nieobecnego pacjenta. Trwało to około minuty i już wiedział... o cholera, sala T-4 była pusta. To dziewczyna, prawda? Obiekt K4, Mary Jakaśtam. Gdzie ją poniosło, do diabła? Włączył

obserwację bezpośrednią i przejrzał korytarze. Nikogo nie znalazł. Nikt nie próbował przedrzeć się przez drzwi do reszty kompleksu. Oba przejścia zostały zamknięte i były wyposażone w alarm. Gdzie, do cholery, są ci lekarze? Na stanowisku była teraz jakaś baba, Lani Cośtam, nikt jej nie lubił, cholerna suka. Killgore też za nią nie przepadał, inaczej nie miałyby raz za razem nocnego dyżuru. Palacheck, tak się baba nazywała. Ciekawe skąd pochodzi? Czeszka?

Podniósł do ust mikrofon.

— Doktor Palacheck, doktor Palacheck, proszę skontaktować się z ochroną — nadał przez głośniki kompleksu. W trzy minuty później zadzwonił telefon.

— Doktor Palacheck. Co się dzieje?

— Obiekt K4 wybrała się na spacer. Nie mam jej na kamerach.

— Już idę. Proszę zawiadomić doktora Killgore'a.

— Tak jest. — Strażnik wystukał odpowiedni numer z pamięci.

— O co chodzi? — usłyszał w słuchawce znajomy głos.

— Mówi Ben Farmer. K4 znikła z sali. Właśnie jej szukamy.

— Dobra, zadzwońcie kiedy ją znajdziecie. — Połączenie zostało przerwane. Killgore najwyraźniej nie przejął się zniknięciem tej Mary. Jeśli spróbuje wyjść z budynku, ktoś z pewnością ją zauważy.

Na ulicach Londynu nadal było tłoczno. Iwan Pietrowicz Kirilienko mieszkał blisko ambasady, do pracy chodził więc piechotą. Chodniki wypełniali śpieszący się przechodnie —

Brytyjczycy są z reguły ludźmi uprzejmymi, londyńczycy wydają się jednak pędzić gdzieś bezustannie.

Na uzgodnionym rogu znalazł się dokładnie o ósmej dwadzieścia. Zatrzymał się, czekając na zmianę świateł. W lewej dłoni trzymał konserwatywny dziennik „Daily Telegraph”.

Podmiany dokonali płynnie. Nie padło ani słowo, dwukrotne stuknięcie w łokieć powiedziało mu, że ma rozluźnić palce, by pozwolić na wymianę jednego egzemplarza gazety na drugi. Odkrył się to nisko, poniżej poziomu talii, dzięki czemu nikt z przechodniów nie mógł

niczego zauważyć. Tłum osłonił ich też przed kamerami, które mogły zostać rozmieszczone na dachach domów stojących przy tym ruchliwym skrzyżowaniu. Rezydent z trudem powstrzymywał uśmiech. Praca w terenie zawsze sprawiała mu przyjemność. Mimo zajmowanej obecnie wysokiej pozycji nadal lubił codzienną pracę szpiega. Udowadniał samemu sobie, że nadal jest równie dobry jak ci młodzi, którzy dziś dla niego pracowali. Po kilku sekundach zmieniło się światło i mężczyzna w ciemnym płaszczu oddalił się szybko, trzymając w dłoni gazetę.

Od ambasady Kirilienkę dzieliły jeszcze dwie przecznice. Przeszedł przez żelazną bramę, wszedł do budynku, ominął stanowisko strażnika i udał się prosto do swego gabinetu na pierwszym piętrze. Powiesił płaszcz na umocowanym na drzwiach wieszaku i natychmiast otworzył leżącą na biurku gazetę.

Dmitrij Arkadijewicz, jak się okazało, potrafił dotrzymać słowa. W gazecie znajdowały się dwie gęsto zapisane kartki. Agent terenowy CIA, John Clark, przebywał obecnie w Hereford w Anglii, dowodząc nową międzynarodową jednostką antyterrorystyczną o nazwie Tęcza, w skład której wchodziło od dziesięciu do dwudziestu żołnierzy: Anglików, Amerykanów i przedstawiciele innych narodowości. Fakt jej istnienia był tajny, znany tylko garstce najwyższych postawionych członków rządów. Żona Clarka pracowała jako pielęgniarka w miejscowym szpitalu ogólnym. Wśród społeczności Hereford, zwłaszcza ludzi pracujących w bazie SAS, jego oddział cieszył się bardzo dobrą opinią. Tęcza zaliczyła trzy operacje: w Bernie, pod Wiedniem i hiszpańskim Parku Światowym. W ramach każdej z nich miała do czynienia z terrorystami —

Kirilienko zwrócił uwagę na fakt, że Popow zarzucił obowiązujący niegdyś termin „elementy postępowe” — i za każdym razem poradziła sobie z nimi równie błyskawicznie co skutecznie, działając pod przykrywką miejscowych jednostek policyjnych. Oddział miał dostęp do amerykańskiego sprzętu, który użyty został w Hiszpanii, co zostało zarejestrowane przez dziennikarzy i pokazane w telewizji. Popow rekomendował zdobycie tych materiałów, najlepiej chyba przez attachè wojskowego.

Raport był zwięzły, zawierał mnóstwo użytecznych informacji i mógł okazać się bardzo przydatny. Dobra zapłata za informacje, których dostarczył w zamian.

— No i jak, zdarzyło się coś dziś rano? — spytał dowódcę grupy obserwacyjnej Cyril Holt.

— Nie — odpowiedział inny funkcjonariusz Piątki. — Niósł gazetę, którą zawsze nosi i to w tej samej ręce. Chodnik był jednak bardzo zatłoczony. Do wymiany mogło dojść, ale jeśli doszło, to myśmy jej nie widzieli. Mamy do czynienia z zawodowcem, proszę pana —

przypomniawszy dowódcy grupy operacyjnej zastępcy dyrektora Służby Bezpieczeństwa.

Popow siedział w pociągu jadącym do Hereford. Kapelusz z szerokim rondem położył na kolanach. Mogło się wydawać, że czyta gazetę, lecz w rzeczywistości przerzucał kopie napisanego z pojedynczym odstępem dokumentu, który właśnie dostał z Moskwy. Z

przyjemnością stwierdził, że Kirilienko potrafił dotrzymać słowa. Każdy dobry rezydent dotrzymywał słowa. Tak więc teraz, siedząc samotnie w wagonie pierwszej klasy pociągu Intercity odchodzącego ze stacji Paddington, Popow poznawał życiorys Johna Clarka, a był to życiorys niewątpliwie imponujący. Jego byli pracodawcy w Moskwie niewątpliwie poświęcili mu sporo uwagi. Wśród otrzymanych od Kirilienki materiałów znajdowały się trzy zdjęcia, jedno z nich całkiem dobrej jakości, najwyraźniej zrobione w Moskwie, w gabinecie samego przewodniczącego KGB. Nie żałowano też czasu na rozpracowanie jego rodziny. Dwie córki, jedna w szkole w Stanach Zjednoczonych, druga, z zawodu lekarka, wyszła za mąż za Domingo Chavez, innego terenowego agenta CIA. Niespełna trzydziestoletni Domingo Estebanowicz również spotkał się z Gołówką i najwyraźniej był stałym partnerem Clarka. Dwaj byli żołnierze jednostek specjalnych... Czy Chavez też przyjechał do Anglii? Lekarka... Łatwo będzie sprawdzić.

Clark i jego partner zostali określani jako znakomici, doświadczeni terenowi agenci wywiadu. Obaj płynnie władali rosyjskim — niewątpliwie kończyli wojskową szkołę językową w Monterey, w Kalifornii. Według raportu Chavez ukończył studia i zdobył magisterium na wydziale stosunków międzynarodowych Uniwersytetu George'a Masona w Waszyngtonie —

studia niewątpliwie opłaciła mu CIA. Obaj nie są więc zwykłymi agentami, to wykształceni ludzie. I młodszy jest mężem lekarki!

Przeprowadzone przez nich, znane operacje... *atliczno*, pomyślał Popow. Dwie znakomite operacje przeprowadzone przy pomocy Rosjan. A także, przed dziesięciu laty, wyciągnięcie żony i córki Gierasimowa z ZSRR, plus kilka akcji, w których Clark brał pewnie udział, ale nie sposób było to potwierdzić... „wyśmienity” — to słowo powtarzało się regularnie. Sam Popow przez przeszło dwadzieścia lat był agentem terenowym, więc doskonale wiedział, co mu imponuje.

Clark był niewątpliwie gwiazdą w Langley i niewątpliwie protegował tego Chavez, który najwyraźniej zdecydował się pójść wygodną, szeroką ścieżką wykarczowaną przez teścia?

Interesujące.

Znaleźli ją za dwadzieścia czwarta, piszącą coś na komputerze, powoli i niezdarne.

Drzwi otworzył Bob Farmer. Najpierw dostrzegł stelaż kroplówki, a potem ramiona opięte szpitalną piżamą.

— O, dzień dobry — powiedział nie bez współczucia. — Poszliśmy sobie na spacer, prawda?

— Chciałam powiedzieć tacie, gdzie jestem — wyjaśniła Mary Bannister.

— Naprawdę? E-mailem?

— Oczywiście. — Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Świetnie, ale teraz już wrócimy do pokoju, dobrze?

— Jasne. — Mary była najwyraźniej zmęczona. Farmer pomógł jej wstać. Wyszli na korytarz. Podtrzymał ją w talii, inaczej by się przewróciła. Na szczęście nie musieli iść daleko.

Położył ją na łóżko w sali numer 4 i przykrył kocem. Wyłączył większość świateł, pozostawiając pokój w niemal całkowitej ciemności, po czym odszukał wędrującą korytarzami doktor Palacheck.

— Możemy mieć kłopoty — powiedział.

— O co chodzi? — spytała.

— Znalazłem ją przy komputerze w T-9. Twierdzi, że wysłała e-mail do ojca.

— Co? — Lekarka wyraźnie się zaniepokoiła.

— Tak przynajmniej twierdzi.

O, cholera! — zaklęła w myślach Palacheck.

— Co wie? — spytała.

— Zapewne niewiele. W każdym razie nikt z naszych pacjentów nie ma pojęcia o lokalizacji obiektu.

— Przez okno widać było wyłącznie porośnięte lasem wzgórze. Przy budynku nie było nawet parkingu. Numery rejestracyjne samochodów mogłyby dostarczyć interesujących informacji. Tę część operacji zaplanowano bardzo uważnie.

— Jest jakiś sposób na wycofanie listu, który wysłała?

— Mógłby być, gdybyśmy znali jej hasło i serwer, w który się wlogowała — powiedział

Farmer. Doskonale posługiwał się komputerem. Wszyscy w firmie doskonale posługiwali się komputerami. — Spróbuję, kiedy się obudzi... Powiedzmy, za cztery godziny?

— Możemy odwołać polecenie wysyłki?

Strażnik pokręcił głową.

— Bardzo wątpię. Niewiele programów pocztowych na to pozwala. Nie instalowaliśmy oprogramowania AOL, wyłącznie Eudorę. Kiedy w Eudorze wyda się komendę „wysłać

natychmiast”, list zostaje wysłany. Idzie wprost na sieć, a na sieci... Nie ma nawet o czym mówić.

— Killgore dostanie szalu.

— Tak, proszę pani — przytaknął były marine. — Może dobrze byłoby zabezpieczyć dostęp do komputerów hasłem. — Nie miał zamiaru wyjaśniać, że na chwilę odszedł od monitorów, i że to wszystko jego wina. Cóż, nie przygotowano go na taką możliwość i dlatego, cholera, nie zamykają pokoi, do których pacjenci nie powinni wchodzić? A w ogóle to dlaczego nie zamykają pacjentów w ich pokojach? Widać rozpuścili ich pijacy z pierwszej grupy testowej.

Żaden z tych włóczęgów nie wiedział nawet, jak obchodzić się z komputerem, w ogóle nie zamierzali robić nic i nikomu nie przyszło do głowy, że nowa grupa zwierząt doświadczalnych może wykazać więcej inicjatywy. No cóż, nie takie już błędy widział w swej bogatej karierze.

Dobrze przynajmniej, że nikt z nich nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, nie znali nawet nazwy firmy, do której należał teren i budynki. W końcu co K4 mogła komukolwiek powiedzieć? Nic, Farmer nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ale ta Palacheck pod jednym przynajmniej względem miała niewątpliwą rację. Doktor Killgore wkurzy się jak cholera.

Wiejski lunch jest w Anglii instytucją narodową. Składa się z chleba, sera, sałaty, małych pomidorów, sosu chutney i kawałków mięsa — w tym przypadku indyka — oczywiście z dodatkiem piwa. Popow polubił go już podczas pierwszego pobytu w Wielkiej Brytanii.

Po drodze pozbył się krawata i przebrał, by móc uchodzić za przedstawiciela klasy pracującej.

— A, dzień dobry! — Hydraulik z uśmiechem dosiadł się do stolika. Nazywał się Edward Miles. Był wysoki, potężnie zbudowany, ramiona miał wytatuowane. Popow wiedział, że to taki brytyjski zwyczaj, popularny zwłaszcza wśród żołnierzy. — Widzę, że zaczął pan beze mnie?

— Co słychać?

— Nic nadzwyczajnego. Naprawiłem termę w jednym z domów. Dla Francuza, z tych nowych. Żonę ma, że tylko pozazdrościć. Widziałem jego zdjęcie. Sierżant chyba.

— Naprawdę? — Popow ugryzł kanapkę.

— Aha. Jeszcze nie skończyłem. Po południu muszę też zrobić coś z chłodziarką do wody w ich sztabie. Cholera, one mają chyba z pięćdziesiąt lat. Pewnie będę musiał własnoręcznie dorobić części, żeby naprawić ten złom. Nie można ich kupić. Producent zbankrutował całe lata temu. — Miles zabrał się do lunchu, zręcznie oddzielając składniki i formując z nich zgrabne kanapki.

— Biurokracja rządowa wszędzie jest taka sama — zauważył Popow.

— Racja. A w dodatku mój pomocnik zadzwonił, że jest chory. Łże jak pies. Cholera, kiedy człowiek wreszcie odpocznie?

— Cóż, może moje narzędzia pomogą — pocieszył Milesa Rosjanin. Przez chwilę gawędzili o

sporcie, skończyli lunch i hydraulik zaprowadził go do swojego samochodu, małej niebieskiej furgonetki na rządowych numerach rejestracyjnych. Narzędzia Popowa powędrowały do tyłu. Samochód pojechał w stronę głównej bramy bazy w Hereford. Wartownik przepuścił go, nie zwracając uwagi na pasażerów.

— No i widzisz, żeby dostać się do środka, musisz tylko znać właściwego faceta. —

Anglik jak dziecko cieszył się z tego zwycięstwa nad systemem bezpieczeństwa bazy, który, według wojskowych oznaczeń, znajdował się w stanie „czarnym”, czyli na najniższym poziomie alarmu. — Zdaje się, że faceci z IRA drzemią przy kominku. No i rzeczywiście nie powinni zaczynać z facetami z bazy. Nie oplaca się ciągnąć lwa za ogon.

— Chyba rzeczywiście. O SAS wiem tylko to, co zobaczyłem w telewizji. Nie da się zaprzeczyć, że wyglądają groźnie.

— Wystarczy tylko na nich popatrzeć, jak chodzą i w ogóle. Oni wiedzą, że są lwami. A ci nowi są dokładnie tacy sami, niektórzy mówią nawet, że lepsi. Zaliczyli trzy akcje, telewizja ich pokazywała. Tych palantów w Parku Światowym załatwili jak trzeba, nie?

Budynek administracji cywilnej bazy był tak typowy, że nie różnił się chyba nawet od swoich odpowiedników w Rosji. Ze ścian schodziła farba, beton parkingu był nierówny i spękany. Podwójne drzwi wejściowe od tyłu zamykały się na zamek z gatunku tych, które dziecko bez problemu otworzyłoby spinką do włosów. Najgroźniejszą bronią znajdującą się w środku był pewnie śrubokręt.

Miles zatrzymał samochód i gestem zaprosił gościa, by wszedł za nim do środka. Pokój hydraulika także wyglądał typowo: tanie biurko do odwalania papierkowej roboty, zniszczone krzesło obrotowe z siedzeniem wytartym tak, że przez popękany plastik wyłaziła gąbka oraz stelaż, na którym wisiały narzędzia. Sądząc po wytartej farbie i porysowanej stali najnowsze z nich liczyły sobie dobre pięć lat.

— Pozwalają panu samemu kupować sobie narzędzia? — spytał Popow, by nie wypaść z roli.

— Muszę przedstawić szefowi zaopatrzenia zapotrzebowanie z uzasadnieniem. Na ogół

przyzwoity z niego facet, a ja nie proszę o nic, czego naprawdę nie potrzebuję. — Miles podniósł

leżącą na biurku karteczkę. — Chcą, żebym jeszcze dziś zreperował im tę chłodziarkę. Nie mogą pić Coca-Coli? — Zastanawiał się przez chwilę. — To co, idzie pan ze mną? — zaproponował.

— Czemu nie? — Popow wstał i ruszył w kierunku drzwi.

W pięć minut później żałował podjętej decyzji. Przy wejściu do sztabu stał uzbrojony żołnierz. Kwatera Tęczy była dobrze strzeżona, a w środku może przecież trafić na samego Iwana Timofiejewicza Clarka.

Miles zatrzymał samochód. Z budy wyjął narzędzia.

— Potrzebuję małego francuza — powiedział. Popow otworzył płócienną torbę i wyjął z niej nowiutki dwunastocalowy klucz Rigid.

— Dobry będzie? — spytał.

— Doskonały. — Anglik gestem zaprosił go do środka. — Dzień dobry, kapralu —

powiedział do strażnika, który odpowiedział mu uprzejmym skinieniem głowy, ale się nie odezwał.

Popow był autentycznie zdumiony. W Rosji zabezpieczenie byłoby znacznie bardziej szczelne. No, ale przecież to Anglia i strażnik z całą pewnością doskonale znał hydraulika. W

każdym razie udało mu się dostać do środka. Całym wysiłkiem woli zmuszał się, by nie rozglądać się dookoła i nie sprawiać wrażenia zdenerwowanego. Miles natychmiast przystąpił do pracy. Odkręcił płytę czołową, odstawił ją i w skupieniu zaczął studiować wnętrze chłodziarki do wody. Wyciągnął rękę po klucz i Rosjanin natychmiast mu go podał.

— Żadnych luzów... Ale jest nowiutki, więc należało się tego spodziewać — stwierdził.

Zacisnął klucz na rurce, przekręcił, wyciągnął odcinek rurki i przyjrzał mu się pod światło.

— A tak, to potrafię naprawić. Cholerny cud — stwierdził. Opadł na kolana i zaczął

szukać czegoś w torbie z narzędziami. — Po prostu się zatkała — wyjaśnił. — Zobacz pan, to osad z ostatnich trzydziestu lat.

Popow posłusznie zajrzał do środka. Nic nie dostrzegł, rurka rzeczywiście była zatkana.

Miles przeczyścił ją wkładając śrubokręt z jednej, a potem z drugiej strony i wciskając go mocno do środka.

— Zdaje się, że wreszcie będziemy mieli czystą wodę na kawę — powiedział jakiś głos.

— Mam nadzieję, że rzeczywiście, proszę pana.

Popow podniósł wzrok i serce omal nie stanęło mu w piersi. Zobaczył Iwana Timofiejewicza Clarka we własnej osobie, jakby żywcem wyjętego z akt KGB. Wysoki, pięćdziesiąt parę lat, uśmiechnięty, w garniturze i krawacie, który z jakiegoś powodu wydawał

się do niego nie pasować. Skinął Amerykaninowi uprzejmie głową, opuścił wzrok na narzędzia i w duchu modlił się: „Spadaj, cholero”.

— Dobrze. To powinno wystarczyć. — Miles zamocował odcinek rurki z powrotem, używając do tego klucza, który podał mu Popow. Wstał i przełożył plastikową dźwignię.

Popłynęła brudna woda. — Wystarczy poczekać jakieś pięć minut, proszę pana — powiedział do Clarka — to rura się przeczyści.

— Doskonale — ucieszył się Amerykanin i odszedł.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — I, zwracając się do Popowa dodał: — To był ich szef, pan Clark.

— Naprawdę? Bardzo uprzejmy.

— Rzeczywiście, fajny facet. — Hydraulik odczekał kilka minut i rzeczywiście, z chłodziarki popłynęła czysta woda. — No, ta robota załatwiona. Dobry klucz — stwierdził, oddając go Popowowi. — Ile kosztują te pańskie narzędzia?

— Klucz w prezencie od firmy.

— Naprawdę? Dziękuję, przyjacielu. — Kiedy wracali do samochodu, po drodze mijając wartownika, hydraulik nie przestawał się uśmiechać.

Następnie przejechali się po bazie. Popow spytał, gdzie mieszka Clark i Anglik posłusznie skręcił w lewo, wjeżdżając do części bazy, gdzie mieściły się kwatery oficerskie.

— Niezły dom, prawda? — spytał.

— Rzeczywiście, na oko bardzo wygodny. — Dom miał jakieś sto metrów kwadratowych powierzchni, zbudowany z brązowej cegły z dachem z dachówki. Z tyłu znajdował się ogród.

— Kiedy go remontowali, sam robiłem hydraulikę — pochwalił się Miles. — Aha, jest i pani domu.

Popow dostrzegł wysoką kobietę w stroju pielęgniarki, wsiadającą do samochodu.

Zapamiętał rysy jej twarzy.

— Mają córkę, która pracuje jako lekarka w tym samym szpitalu, w którym ona jest pielęgniarką — ciągnął Anglik. — Jest w ciąży. Zdaje się, że to żona jednego z oficerów. Bardzo podobna do matki: wysoka, jasnowłosa, ładna... Nawet bardzo ładna.

— Gdzie mieszkają?

— Gdzieś tam... Chyba. — Miles machnął ręką na zachód. — Dom oficerski, taki jak ten, tylko trochę mniejszy.

— A więc co ma pan nam do zaoferowania? — spytał nadinspektor policji.

Bill Henriksen lubił Australijczyków. Zawsze zmierzali wprost do celu. Rozmowa toczyła się w stolicy Australii, Canberze. Brali w niej udział najwyżsi rangą oficerowie policji i oddziałów specjalnych.

— No więc, po pierwsze, wszyscy panowie wiecie, skąd się wzięłem. — Upewnił się wcześniej czy jego służba w FBI i opinie o firmie są dobrze znane. — Wiecie, że współpracuję z FBI, a czasami nawet z Deltą w Fort Bragg. Mam więc kontakty, dobre kontakty, w niektórych przypadkach zapewne lepsze od waszych — pochwalił się, uznając, że to niewielkie ryzyko.

— Nasz SAS jest znakomity — zauważył jeden z dowódców.

— Wiem. — Henriksen skinął głową i uśmiechnął się. — Kilkakrotnie miałem przyjemność z nimi pracować, kiedy byłem jeszcze w ZOZ. Dwukrotnie w Perth, raz w Quantico i raz w Fort Bragg. Ich szefem był wówczas brygadier Philip Stocker. Przy okazji, co u niego słyhać?

— Trzy lata temu przeszedł na emeryturę.

— W każdym razie Phil mnie zna. To dobry fachowiec, jeden z najlepszych w swej dziedzinie. — Bill Henriksen położył na te słowa szczególny nacisk. — Wracając do sprawy: czym mogę się wam przysłużyć? Współpracuję z wszystkimi ważniejszymi dostawcami sprzętu.

Mogę skontaktować was z wytwórcą w sprawie tego nowego *MP-10*, który nasi ludzie bardzo polubili. Opracowano go dla potrzeb FBI, bo zdecydowaliśmy, że dziewięć milimetrów to za mało. Nowa dziesięciomilimetrowa amunicja to zupełnie nowy rozdział w historii *H&K*. Ale...

broń dla was może w końcu ściągnąć każdy. Ja robię także interesy z E-Systems, Collinsem, Fredericks-Anders, Micro-Systems, Halliday Inc i innymi wielkimi firmami elektronicznymi.

Wiem, co się dzieje w dziedzinie sprzętu komunikacyjnego i inwigilacyjnego. Mogę wam pomóc i mogę załatwić sprzęt po dobrych cenach. Moi ludzie pomogą wam także w zapoznaniu się z nim samym i z jego obsługą. Służyli w Delcie i ZOZ, głównie podoficerowie. Jest wśród nich starszy sierżant z Ośrodka Treningowego Operacji Specjalnych w Fort Bragg, Dick Voss. W

swojej dziedzinie nie ma równych sobie na świecie i teraz pracuje dla mnie.

— Spotkałem go — skinął głową major australijskiego SAS. — Rzeczywiście, jest bardzo dobry.

— Wracając do tego, co mogę dla was zrobić: Jak wszyscy wiecie, w Europie terroryści ostatnio się uaktywnili. To zagrożenie musicie potraktować poważnie w związku z waszą olimpiadą. Wasi ludzie z SAS nie potrzebują rad ani ode mnie, ani od nikogo innego, przynajmniej w kwestii taktyki, ale moja firma może dostarczyć wam najnowocześniejszy elektroniczny sprzęt komunikacyjny i inwigilacyjny. Znam ludzi, którzy dostosowują standardowe wyroby do naszych potrzeb i z całą pewnością chcielibyście mieć coś takiego. Mogę dopilnować, żebyście dostali to, co wam potrzebne i przeszkolić waszych ludzi. Na świecie nie ma drugiej firmy z naszym doświadczeniem.

Odpowiedziała mu cisza, ale Henriksen bez problemu czytał w myślach tych ludzi.

Działania terrorystów, które — jak wszyscy — mogli obserwować w telewizji, z pewnością dały im do myślenia. Musiały. Pracującym w tym zawodzie ludziom płacono za myślenie z wyprzedzeniem i za wyszukiwanie zagrożeń, rzeczywistych, a choćby i urojonych. Przyznanie prawa do organizacji olimpiady było wielkim sukcesem ich państwa, sama zaś olimpiada stanowiła najbardziej prestiżowy

cel ataków terrorystycznych, o czym dobitnie przekonali się Niemcy w Monachium, w 1972 roku. Atak Palestyńczyków z Czarnego Września rozpoczął

terrorystyczny mecz na serio i spowodował, że reprezentacja Izraela zawsze strzeżona była odrobinę lepiej niż wszystkie inne, nie licząc już własnych komandosów udających, powiedzmy, zapaśników. Nikt nie pragnął powtórzenia się historii z Monachium.

Najnowsze terrorystyczne akcje w Europie wzmogły świadomość zagrożenia na całym świecie, nigdzie jednak nie była ona tak żywa jak w Australii, w kraju wyjątkowo wrażliwym na punkcie przestępczości. Całkiem niedawno właśnie tu szaleniec zastrzelił kilkunastu niewinnych ludzi, w tym dzieci, co spowodowało, że parlament australijski wydał prawo zakazujące posiadania broni.

— Co wie pan o tych zdarzeniach w Europie? — spytał oficer SAS. Henriksen znacząco zerknął na rozmówcę.

— Większość z tego, co wiem, jest, pan przecież rozumie, tajna.

— Wszyscy obecni zostali dopuszczeni do materiałów tajnych — odparł policjant.

— Dobrze, zgoda, ale... jakby to powiedzieć, ja sam nie mam oficjalnego dostępu... A co tam, do diabła. Ten oddział do walki z terrorystami nazywa się Tęcza. Operacja jest tajna, żołnierze to głównie Amerykanie i Brytyjczycy, ale jest kilku z innych państw NATO. Stacjonują w Zjednoczonym Królestwie, w Hereford. Dowodzi nimi Amerykanin z CIA, nazywa się John Clark. To poważny gość i jego ludzi też nie wolno lekceważyć. Trzy przeprowadzone operacje poszły im jak złoto. Mają dostęp do amerykańskiego sprzętu, helikopterów i tak dalej, oraz dysponują najwyraźniej dyplomatycznym pozwoleniem na działanie w całej Europie, na zaproszenie tych krajów, które akurat popadły w kłopoty. Czy wasz rząd rozmawiał z kimś na ich temat?

— Wiemy o ich istnieniu — przyznał dowódca policji. — To, co pan powiedział, jest prawdziwe we wszystkich szczegółach. Szczerze przyznam, że nie znałem nazwiska dowódcy.

Może pan powiedzieć nam coś więcej o tym człowieku?

— Nigdy nie spotkałem się z nim osobiście, wiem tylko, jaką opinią się cieszy. To doświadczony agent terenowy, pracuje bezpośrednio z dyrektorem CIA. Z tego co wiem, zna go osobiście także prezydent. Można więc oczekiwać, że będzie dysponował doskonałym wywiadem, a jego personel operacyjny... trzeba przyznać, że pokazali co potrafią, prawda?

— Jak cholera — nie wytrzymał major. — Nie widziałem roboty tak wykończonej jak ta w Parku Światowym. Poradzili sobie lepiej, niż ludzie odbijający przed laty ambasadę irańską w Londynie.

— Wy poradzilibyście sobie równie dobrze — stwierdził Henriksen. I nie był to bynajmniej czczy komplement. Australijski SAS oparty był na wzorach brytyjskich. Choć nie miał wielu okazji pokazać co potrafi, wspólne ćwiczenia w Fort Bragg udowodniły klasę jego żołnierzy.

— Który dywizjon, majorze?

— „Szable” — odpowiedział oficer.

— Pamiętam majora Boba Fremonta i...

— Jest teraz naszym pułkownikiem.

— Doprawdy? Nie wiedziałem. Powinienem lepiej się orientować. Facet jest naprawdę ostry. Doskonale dogadywali się z Gusem Wernerem. — Henriksen zamilkł na chwilę. — No, w każdym razie wiecie, z czym do was przychodzę, panowie. I ja, i moi ludzie wiemy, o co toczy się gra. Mamy kontakty potrzebne zarówno w kwestiach operacyjnych, jak i wyposażenia. Mamy dostęp do najnowocześniejszego sprzętu. I możemy pojawić się w trzy do czterech dni od otrzymania zaproszenia.

— Dziękujemy, że zdecydował się pan nas odwiedzić — powiedział policjant wstając.

Rzeczywiście, trudno było nie lubić Australijczyków, a ich kraj zachował się praktycznie w stanie dziewiczym. W większości był przecież pustynią, gdzie hodowano nawet wielbłądy, które czuły się dobrze wyłącznie tu i w krajach arabskich. Henriksen przeczytał kiedyś, że — cud nad cuda — Jefferson Davies próbował hodować wielbłądy na amerykańskim południowym zachodzie, ale nic z tego nie wyszło, być może dlatego, że ich początkowe stado było za małe.

Nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nazwać to pechem, czy nie. Wielbłądy nie żyły w obu tych krajach w stanie naturalnym, a w dzieło natury nie należało się w zasadzie wtrącać. Z

drugiej strony konie i osły też nie żyły w Ameryce w stanie naturalnym, a jemu bardzo podobała się myśl o stadach mustangów galopujących po prerii, pod warunkiem, oczywiście, że ich populację kontrolowałyby drapieżniki.

Nie, uświadomił sobie Henriksen, Australia nie była krajem prawdziwie dziewiczym. Psy dingo, tutejsi drapieżcy, pojawiły się wraz z człowiekiem i wymordowały lub wyparły torbacze.

Na myśl o tym poczuł nieokreślony smutek. Na tym kontynencie żyło stosunkowo niewielu ludzi, lecz mimo to udało im się jednak zaburzyć jego ekosystem. Być może to kolejny dowód twierdzenia, że ludziom po prostu nie sposób ufać, nawet jeśli rozproszyli się na wielkim terytorium. Projekt jest więc potrzebny także tu.

Bill Henriksen żałował także, że nie może pozostać w Australii jeszcze kilka dni. Był

zapałym płetwonurkiem, a nigdy jeszcze nie widział Wielkiej Rafy Koralowej, jednego z najwspanialszych na świecie przykładów naturalnego piękna. Cóż, być może za parę lat... —

pomyślał, patrząc na otaczających go ludzi. Czy może ich traktować jak równych sobie? Uznał, że nie. Byli konkurentami, rywalami w dążeniu do opanowania planety, lecz — w odróżnieniu od niego samego — nie zamierzali jej służyć. No, być może nie wszyscy. Może i niektórzy kochali naturę tak jak on, ale, niestety, nie było już czasu na ich zidentyfikowanie, trzeba więc było automatycznie

zakwalifikować ich jako wrogów i zmusić do zapłacenia ceny.

Wielka szkoda.

Skip Bannister niepokoił się od ładnych kilku tygodni. Zawsze sprzeciwiał się, by córka jechała do Nowego Jorku. Nowy Jork zbyt był odległy od Gary w Indianie. Jasne, prasa donosiła, że w tym strasznym mieście nad Hudsonem ilość przestępstw zdecydowanie się zmniejszyła, ale pozostawało ono nadal zbyt cholernie wielkie i zbyt cholernie anonimowe, by mieli w nim mieszkać zwykli ludzie, a zwłaszcza samotne dziewczyny. Dla niego Mary na zawsze pozostać miała małą dziewczynką, różową, zasmarkaną, hałaśliwą istotką, pamiątką po żonie, która osierociła sześciolatnie dziecko. Mary na zawsze pozostać miała dziewczynką, której trzeba było budować domki dla lalek, składać kolejne coraz większe rowerki, kupować kolejne coraz większe ubranka, płacić za kolejne coraz droższe szkoły, aż wreszcie ten mały radosny ptaszek rozwinął skrzydła i wyleciał z gniazda, kierując się wprost do Nowego Jorku, okropnego hałaśliwego miejsca, aż kipiącego od okropnych, hałaśliwych ludzi. Skip nie histeryzował

jednak, podobnie jak nie histeryzował, kiedy jego córeczka umawiała się z chłopakami, którzy wcale mu się nie podobali. Po prostu myślała po swojemu, jak wszystkie dziewczyny w jej wieku.

I nagle znikła. Skip Bannister nie miał pojęcia co robić. Zaczęło się od tego, że nie telefonowała przez pięć pełnych dni. No więc on zadzwonił do niej, na nowojorski numer. Nikt nie podnosił słuchawki. No cóż, może poszła na randkę, może pracowała dłużej? Zadzwoniłby do niej do pracy, ale jakoś nigdy nie dała mu numeru. Zawsze jej ustępował. Pewnie źle robił, ale z drugiej strony, kto wie? Podobno postępowali tak wszyscy samotni ojcowie.

A teraz jego córka znikła. Wydzwaniał do niej o każdej porze dnia i nocy, ale nikt nie podnosił słuchawki. Po kolejnym tygodniu poważnie się zaniepokoił. Odczekał jeszcze parę dni i zadzwonił na policję, by zgłosić zaginięcie.

Było to doprawdy przykre przeżycie. Funkcjonariusz, z którym wreszcie udało mu się porozmawiać, zadawał mu bardzo nieprzyjemne pytania dotyczące prowadzenia się córki, by po jakiś dwudziestu minutach wyjaśnić, że „wie pan, młode kobiety właściwie zawsze się tak zachowują i właściwie to zawsze odnajdują się w końcu, bezpieczne, bo wie pan, na tym właśnie polega proces dojrzewania, chcą same sobie udowodnić, że są niezależne”. Stało na tym, że gdzieś tam w Nowym Jorku, w jakiejś teczce lub w postaci pliku komputerowego zapisano: Bannister, Mary Eileen, płeć żeńska, zaginiona. Nowojorska policja nie uznała tej sprawy za na tyle ważną, by wysłać kogoś do jej mieszkania w Upper West Side, żeby się chociaż rozejrzył.

Skip Bannister zrobił to osobiście. Spotkał się wyłącznie z dozorcą, który spytał go bez wstępów, czy ma zamiar zabrać rzeczy córki, której nie widział od dawna, a wkrótce trzeba będzie zapłacić czynsz za kolejny kwartał.

W tym momencie Skip — właściwie James Thomas — Bannister spanikował, udał się na najbliższy komisariat policji, by osobiście zgłosić zaginięcie córki i zażądać podjęcia jakiś działań. Poinformowano go, że, niestety, trafił pod niewłaściwy adres, ale owszem, protokół

zaginięcia da się spisać, czemu nie? Następnie pięćdziesięcioletni detektyw powtórzył mu niemal słowo w słowo lekcję, której udzielono mu już przez telefon. Proszę pana, przecież minęło zaledwie parę tygodni. Nie mamy raportu o znalezieniu zwłok kobiety podobnej do pańskiej córki, więc prawdopodobnie żyje i dobrze się ma, w końcu w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach wypadków mamy do czynienia z dziewczętami pragnącymi rozwinąć skrzydła, zakosztować swobody. Pan rozumie, o czym mówię?

James T. „Skip” Bannister odparł, oczywiście: „Nie moja Mary”, ale policjant nie udawał

nawet, że mu wierzy. „Proszę pana, wszyscy tak mówią, ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków — nie, źle mówię, statystyka jest jeszcze bardziej korzystna — tak to się właśnie kończy i strasznie mi przykro, ale me mamy ludzi, żeby sprawdzać każde takie doniesienie. Niestety, tak to wygląda, proszę pana. Niech pan wraca do domu i czeka na telefon”.

Skip zastosował się do tej rady. Wracał do Gary wściekły gniewem, który rodzi się z paniki. Kiedy wszedł do domu, na automatycznej sekretarce miał sześć wiadomości. Odtworzył

je jak najszybciej się dało, ale żadna nie pochodziła od Mary.

Jak większość Amerykanów dysponował komputerem osobistym. Kupił go wprawdzie powodowany bardziej kaprysem niż rzeczywistą potrzebą i rzadko używał. Tego dnia, jak co dzień, włączył go jednak i wyszedł na Internet, sprawdzić, czy nie ma nowej poczty elektronicznej. Tego ranka, wreszcie, znalazł list od córki. Kliknął myszą i zobaczył go na kolorowym monitorze...

...i dopiero wtedy naprawdę się przestraszył.

Mary nie wiedziała, gdzie jest? Eksperymenty medyczne? Najgorsze wydawało mu się jednak to, że list napisany był chaotycznie i z błędami. A przecież jego córka dostawała w szkole dobre stopnie. Odręcznie pisała ładnie i czytelnie. Jej listy czytało się jak teksty z porannej gazety

— przepełnione uczuciem, oczywiście, ale zwarte, logiczne i czytelne. A ten list mogła napisać zdolna trzylatka. I te literówki... a przecież na kursach maszynopisania Mary miała same piątki.

I co teraz? Jego dziewczynka znikła... Z listu wynika, że może być w niebezpieczeństwie.

Żołądek ścisnął mu się w małą gorącą kulę, serce biło tak mocno i szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Czuł, że się poci. Zamknął oczy, skupił się jak jeszcze nigdy w życiu. Wziął

książkę telefoniczną. Na pierwszej stronie znalazł numery alarmowe. Wykręcił jeden z nich.

— FBI — powiedział kobiecie głos. — Czym mogę służyć?

Rozwój

Ostatni z alkoholików wciąż żył, kiedy Killgore uznał, że nie miał już najmniejszej szansy na przeżycie, w ten sposób jednak tylko odroczył nieuniknione. Miał na imię Henry, był

czterdziestoletnim Murzynem, wyglądającym tylko dwadzieścia lat starzej. Wszystkim, którzy chcieli go słuchać, opowiadał, że jest weteranem, pił jak smok, a jednak — o cudzie! — wątroba okazała się niemal nieuszkodzona. W dodatku jego system immunologiczny dzielnie walczył z Sziwą. Killgore doszedł do wniosku, że facet pochodził z samej góry puli genów, choć w końcu na nic mu się to nie przydało. Dobrze byłoby mieć jego historię, dowiedzieć się, jak długo żyli jego rodzice, ale kiedy doszli wreszcie do tego wniosku, z Henrym nie było już właściwie kontaktu. Teraz wyniki chemicznych badań krwi wskazywały bez najmniejszych wątpliwości, że jest skazany na śmierć — we wszystkich znaczących kategoriach wyniki były grubo poza granicami normy. Wątroba poddała się w końcu Sziwie. Lekarz, który nadal żył głęboko w duszy doktora Killgore'a, żałował, że pacjentowi się nie udało. Może w ten sposób manifestuje się mój sportowy duch, pomyślał, idąc do pokoju, w którym leżał chory.

— No i jak tam, Harry? — spytał.

— Kiepsko, doktorze, cholernie kiepsko. Żołądek mi się rozrywa. Na strzępy.

— Czujesz coś? — zdumiał się Killgore. Co za niespodzianka! Henry dostawał już dwanaście miligramów morfiny dziennie, dawkę śmiertelną dla zdrowego mężczyzny. Chorzy jakimś cudem byli w stanie przeżyć taką, a nawet większe dawki narkotyku.

— Czuję. — Henry skrzywił się.

— Dobra, zaraz ci to załatwię. — Lekarz wyjął z kieszeni strzykawkę oraz fiolkę Dilaudidu. Dwa do czterech miligramów uchodziło za potężną dawkę w przypadku normalnego człowieka. Uznał, że czterdzieści go nie zawiedzie. Henry wystarczająco wiele już wycierpiał.

Napełnił strzykawkę, przycisnął tłoczek, upewniając się, że nie pozostały w strzykawce bąbelki powietrza, włożył igłę w urządzenie do kroplówki i wcisnął w nie całą zawartość.

Henry zdążył tylko westchnąć z zachwytu. Niemal natychmiast twarz mu znieruchomiała, oczy otworzyły się szeroko, źrenice rozwarły, nie odczuł nawet spowodowanej środkiem błogości. W dziesięć sekund później Killgore dotknął sztywnej arterii szyjnej. Nie wyczuł nic, pacjent przestał oddychać niemal natychmiast. Tylko po to, by upewnić się, lekarz przyłożył

słuchawkę do piersi nieszczęśnika. Serce, oczywiście, nie pracowało.

— Dzielnie walczyłeś, przyjacielu — powiedział do trupa. Odłączył kroplówkę, wyłączył elektroniczny system podawania znieczulenia i zarzucił zmarłemu prześcieradło na twarz. Tak oto odszedł ostatni z pijaczków. Większość z nich padła wcześniej, ale nie Henry. Sukinsyn walczył do końca, ponad wszelkie spodziewanie. Killgore zastanowił się przelotnie, czy nie należało wypróbować na nim którejś ze szczepionek. B niemal na pewno uratowałyby mu życie, no ale wówczas mieliby na karku zdrowego jak koń pijaczka, a Projektu nie stworzono przecież dla tego typu ludzi. Kto właściwie miał z nich jakiś pożytek, oczywiście oprócz właścicieli sklepów monopolowych? Wyszedł z pokoju, wzywając po drodze pielęgniarkę. Za piętnaście minut Henry miał się stać ulatującym w powietrze popiołem, a składniki chemiczne jego ciała, opadając z deszczem, posłużą za nawóz dla traw i drzew. Ktoś jego pokroju tylko tyle wniesć mógł w rozwój świata.

Następnie przyszedł czas na odwiedziny u Mary, K4.

— Jak tam? — spytał ją.

— Dobrze — odpowiedziała sennym głosem. Gdyby nie ocean morfiny, z pewnością czułaby ból.

— Wybrałaś się wczoraj na spacer? — Killgore sprawdził jej puls. Dziewięćdziesiąt dwa, nadal silny i regularny. Cóż, poważne objawy miały pojawić się nieco później, lecz Mary z pewnością nie wytrzyma tak długo jak Henry.

— Chciałam napisać do taty, że wszystko w porządku.

— Sądzisz, że się o ciebie martwi?

— Nie miałam z nim kontaktu, od kiedy się tu znalazłam, i pomyślałam... — W tym momencie dziewczyna zasnęła.

— Jasne, pewnie, myślałaś — powiedział do nieprzytomnej lekarz. — Już my dopilnujemy, żeby to się więcej nie powtórzyło. — Zmienił program kroplówki, zwiększając dawki morfiny o pięćdziesiąt procent. To powinno zatrzymać ją w łóżku.

Dziesięć minut później był już na dworze. Szedł na północ, po chwili dostrzegł zaparkowaną tam gdzie zawsze furgonetkę Bena Farmera.

Wnętrze budynku śmierdziało ptakami i były po temu powody, choć przypominało raczej stajnię. Wszystkie wejścia zabarykadowane zostały tak ciasno, że nie sposób było wsunąć ręki do środka, a ze środka nie mógł wydostać się żaden ptak. Przeszedł wzdłuż ich szeregu i wreszcie znalazł Farmera w towarzystwie jednego z ulubieńców.

— Nadgodziny? — spytał.

— Na to wygląda — zgodził się ochroniarz. — Chodź, Festus. — Sowa gniewnie zatrzepotała skrzydłami i bez wysiłku przebyła niespełna dwa metry dzielące ją od chronionego rękawicą przedramienia. — Wygląda na to, że wydobrzałaś.

— Nie sprawia wrażenia szczególnie przyjaznej — zauważył lekarz.

— Festus potrafi być groźny. Z sowami w ogóle źle się pracuje. — Były *marine* odniósł

ptaka na grzędę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. — Nie należą do najinteligentniejszych drapieżników. Niemal nie sposób ich oswoić. Z Festusem nie mam nawet zamiaru próbować.

— Po prostu go wypuścisz?

— Tak. Pewnie pod koniec tygodnia. Festus był ze mną przez dwa miesiące, ale skrzydło jest już całkowicie wyleczone. Moim zdaniem powinien wrócić na wolność i znaleźć sobie jakąś stodołę pełną tłustych myszy.

— To jego uderzył samochód?

— Nie, Niccolo, wielką sowę rogatą. Festus zaplątał się pewnie w przewody wysokiego napięcia. Po prostu nie patrzył, gdzie leci, bo z oczami chyba nie ma żadnych problemów. Pod tym jednym względem ptaki nie różnią się od ludzi: też potrafią wpakować się w gówno.

Zestawiłem mu złamane skrzydło i, jeśli wolno mi to powiedzieć o sobie, zrobiłem naprawdę dobrą robotę. — Farmer uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. — Tyle że Festus nie za bardzo umie dziękować.

— Ben, jesteś w tym tak cholernie dobry, że powinieneś zostać lekarzem. W piechocie morskiej byłeś sanitariuszem?

— Zwykłym szeregowcem. Sanitariuszy dostajemy z Marynarki. Żołnierz zdjął ciężką skórzaną rękawicę, chwilę gimnastykował palce, po czym założył ją z powrotem. — Przyjechał

pan dowiedzieć się o Mary? — spytał.

— Co właściwie zaszło?

— Szczerze? Wyszedłem się wysikać, wróciłem, zabrałem się do pisma, które czytałem wcześniej, a kiedy spojrzałem w monitor, już jej nie było. Moim zdaniem włączyłem alarm jakieś dziesięć minut po jej zniknięciu. Spieprzyłem sprawę, doktorze, i teraz się do tego przyznaję.

— Myślę, że nie stało się nic naprawdę złego.

— Pewnie rzeczywiście, ale gdyby tak przenieść ten komputer do pokoju, w którym drzwi zamykają się na zamek? - Farmer przeszedł do końca pomieszczenia, otworzył kolejne drzwi. — Hej, Baron!

— zawołał i w chwilę później na rękawicy usiadł jastrząb. — O, jesteś, przyjacielu. Gotów do powrotu na wolność, prawda? Poszukać sobie smacznych zajęczków?

Prawdziwie szlachetne ptaki, pomyślał Killgore. Oczy miały zimne, bystre, poruszały się zdecydowanie, z pełną świadomością celu i choć cel ten ich ofiarom mógł wydawać się okrutny, cóż... Takie są prawa natury. Ptaki drapieżne zapewniały jej równowagę, eliminując osobniki słabe, okaleczone i głupie, lecz przecież było w nich coś więcej, coś niesłychanie arystokratycznego. Wzbijały się w niebo, z góry spoglądały na świat i decydowały, kto będzie żył, a kto umrze. Zupełnie jak on i jego ludzie, ale w oczach ludzi nie odbijało się aż tyle charakteru. Musiał uśmiechnąć się do Barona, który wkrótce miał znaleźć się na wolności, szybować wśród prądów wznoszących nad Kansas...

— Czy będę mógł wciąż to robić, kiedy zacznie się Projekt? — spytał Farmer, sadzając jastrzębia na jego grzędzie.

— Dlaczego pytasz, Ben?

— Są tacy, co mówią, że kiedy zacznie się Projekt, nie będę już mógł trzymać ptaków, że to ingerencja w ekosystem. Cholera, przecież wiem, jak się nimi opiekować. Wie pan, ptaki drapieżne w niewoli żyją dwa razy dłużej niż na wolności. Dobrze, rozumiem, jakoś zakłóca to porządek, ale...

— Bob, w ogóle nie musisz się o to martwić. Rozumiem i ciebie, i jastrzębie. Wiesz, nawet je lubię.

— To prawdziwe inteligentne bomby natury, doktorze. Uwielbiam je obserwować. A kiedy coś im się stanie, umiem się nimi zaopiekować.

— Świetnie dajesz sobie radę. Te ptaki sprawiają wrażenie stuprocentowo zdrowych.

— Bo i powinny. Dobrze je karmię. Łapię żywe myszy, one lubią jeść na ciepło. —

Podszedł do stołu, zdjął rękawicę i powiesił ją na haczyku. — Tak czy tak, poranną robotę już wykonałem.

— No to wracaj do domu. Dopilnuję, by komputer w tym pokoju został zabezpieczony.

Lepiej, żeby nasze obiekty nie robiły sobie już spacerków.

— Tak jest. A jak tam Henry?

— Nie żyje.

— Tak mi się wydawało, że już na niego czas. Ostatni z pijaków, co? — Killgore pokiwał głową. — Cóż, szkoda faceta. Twardy był, bez dwóch zdań.

— Masz rację, ale taki już jest ten świat, nie?

— Jasne jak słońce. Szkoda, że nie możemy odłożyć ciała dla ścierwojadów. One też muszą jeść, chociaż obyczaje mają raczej obrzydliwe. — Wyszli na zewnątrz. — Do zobaczenia wieczorem, doktorze.

Killgore wyszedł za nim, gasząc po drodze światła. Nie, Benowi Farmerowi nie sposób było zabronić trzymania ptaków. Królowie polowali z sokołami i to dzięki ich sokolnikom świat dowiedział się, jak te drapieżne ptaki żyją i jak polują. Pasował do Wielkiego Planu Natury.

Problem w tym, że Projekt miał wśród swych członków ekstremistów jak ci, którzy nie życzyli sobie lekarzy, ponieważ lekarze ingerują w naturę — leczenie ludzi było taką właśnie ingerencją, umożliwiającą im szybsze mnożenie się i w perspektywie czasu kolejne zakłócenie równowagi.

Jasne, za sto, ale raczej za dwieście lat odtworzy się może populacja Kansas, ale nie wszyscy przecież pozostaną w Kansas. Nie, rozproszą się, by odkrywać na nowo rejony górskie, bagna, puszcze amazońską, afrykańską sawannę, a potem wrócą do Kansas, by opowiedzieć wszystkim, czego się dowiedzieli, pokazać filmy przedstawiające naturę w akcji. Bardzo cieszyła go ta perspektywa. Jak większość członków Projektu wręcz żył Discovery Channel. Tyle jest jeszcze rzeczy nie podanych, tyle rzeczy nie zrozumianych. Podobnie jak inni chciał dowiedzieć się wszystkiego, poznać wszystkie mechanizmy działania natury. Ambitny cel, być może nawet niewykonalny, ale jeśli im się nie uda, uda się ich dzieciom. Lub dzieciom ich dzieci, wychowywanym i kształconym tak, by podziwiali naturę w całej jej chwale. Oni wszyscy będą podróżowali, wszyscy zmienią się w badaczy. Ciekawe, co pomyślą sobie ci ludzie, których wyśle się do wymarłych miast. Być może to nawet dobry pomysł? Niech poznają, ile błędów popełnił człowiek i jak nauczył się wreszcie, by ich nie popełniać. Może sam poprowadzi taką wyprawę? Nowy Jork, wspaniała lekcja pod tytułem: „Nie wolno nam tego robić!” Miną dziesiątki, może nawet setki lat, nim budynki zaczną się walić z powodu korozji ich stalowych szkieletów i braku obsługi. Części kamienne pozostaną, oczywiście, na zawsze, ale być może już za parę lat w Central Parku pojawią się jelenie.

Padlinożernym przez jakiś czas nieźle się będzie wiodło. Mnóstwo ciał do zjedzenia... A może i nie. Na początku trupy będzie się, oczywiście, grzebać w cywilizowany sposób, ale w ciągu paru tygodni system się zawali, a ludzie nadal będą umierać, najprawdopodobniej we własnych łóżkach, a potem... No oczywiście, szczury! Najbliższy rok miał być najlepszym w szcurzej historii świata. Tylko ze szczurami jest tak, że, by żyć, potrzebują człowieka. Żywią się śmieciami, odpadkami cywilizacji, są wysoko wyspecjalizowanymi pasożytami, więc co dalej po wielkim żarciu w przyszłym roku? Co się stanie z populacją szczurów? Pewnie żywić się nimi będą psy i koty, i wkrótce wytworzy się jakaś tam równowaga, nie mając jednak do dyspozycji milionów produkujących śmieci ludzi w ciągu kolejnych czterech-pięciu lat szczury zaczną wymierać. Interesujący problem dla jednego z zespołów polowych. Jak szybko zmniejsza się będzie populacja szczurów i jaki poziom minimalny osiągnie?

Zbyt wielu ludzi w Projekcie interesowało się wielkimi zwierzętami. Wszyscy kochają wilki i pumy, wspaniałe i piękne drapieżniki zabijane przez ludzi, ponieważ trzeba było stada ich zwierząt domowych. Kiedy skończy się jednak ustawianie pułapek i wysypywanie trucizny, wilki i pumy poradzą sobie

doskonale, co jednak z pomniejszych zwierzętami? Co ze szczurami? Nimi najwyraźniej nikt się nie przejmował, a przecież one też są częścią ekosystemu, prawda? Do studiowania natury nie da się zaprząć kryteriów estetycznych, bo gdyby się dało, jak usprawiedliwić zabójstwo Mary Bannister, Obiektu K4? Ładna, bystra, przyjemna dziewczyna, zupełnie różna od Chestera, Pete'a, Henry'ego, nie wzbudzająca obrzydzenia w codziennych kontaktach — a jednak, podobnie jak oni, nie pojmująca natury, nie ceniąca jej piękna, nie rozumiejąca swego miejsca w wielkim systemie życia, a więc niegodna uczestniczyć w Projekcie. I właśnie na niej się to zemściło. Zemściło się na wszystkich obiektach testowych, ale nasza planeta umiera — snuł rozważania Killgore — trzeba ją ratować, a istniał jeden tylko sposób ratunku, bo zbyt wielu ludzi tyle rozumiało z systemu co najniższe zwierzęta, mające w nim zresztą swe miejsce. Wyłącznie człowiek miał szansę pojąć wielką równowagę, wyłącznie na człowieku spoczywała odpowiedzialność za jej zachowanie i jeśli oznaczało to zredukowanie liczebności jego własnego gatunku — cóż, wszystko ma swoją cenę. Wielka, przewrotna ironia polegała na tym, że wymagało to złożenia ofiary, a jej złożenie umożliwiły badania naukowe.

Bez mechanizmów grożących zagładą planety nie byłoby szansy na jej ocalenie. Cóż, rzeczywistość to wyłącznie zespół paradoksów.

Projekt miał ocalić samą naturę. W jego skład wchodziło stosunkowo niewielu ludzi, około tysiąca, plus, oczywiście, wybrani, których zadaniem było przeżyć i kontynuować badania, nieświadomi faktu, że ich życie nie zostanie złożone w ofierze za zbrodnie popełniane w ich imieniu. Większość z nich nigdy nie pojmie, jakim cudem ocaleli: ponieważ są żonami lub dziećmi członków Projektu, dysponują cenionymi umiejętnościami, są pilotami, mechanikami, rolnikami, specjalistami w dziedzinie komunikacji i tak dalej. Pewnego dnia jednak pojmą, że było to nieuniknione. No więc dowiedzą się wszystkiego, będą przerażeni, ale także pozbawieni możliwości działania. Ten cudowny czynnik konieczności! Oczywiście, Killgore wiedział, że pewnych rzeczy będzie mu bardzo brakowało, na przykład teatrów czy świetnych nowojorskich restauracji, ale w Projekcie nie brakowało przecież dobrych kucharzy, dysponujących w dodatku cudownie świeżymi produktami. Enklawa Projektu w Kansas miała uprawiać zboże, przez pewien czas — aż do powrotu na prairie bizonów — zamierzano też hodować bydło rzeźne.

Ci, którzy ocaleją, mieli się utrzymywać z polowania. Oczywiście, znaleźli się członkowie głośno sprzeciwiający się temu barbarzyństwu, ale mądrzejsi od nich potrafili przemówić im do rozsądku. Człowiek jest zarówno drapieżnikiem, jak i wytwórcą narzędzi, broń palną uznano więc także za dopuszczalną. Bardziej humanitarnie zabija zdobycz, a ludzie przecież też muszą jeść, prawda? Tak więc już za parę lat mężczyźni będą siodłać konie, ruszać na bizony, zabijać je i wracać ze zdrowym mięsem o niskiej zawartości cholesterolu. Będą także polować na jelenie, antylopy i łosie.

Rolnicy mieli uprawiać zboża i warzywa. To będzie dobre życie, życie w harmonii z naturą. Broń palna w końcu niewiele różni się przecież od łuków i strzał... No i powstanie możliwość obserwowania świata naturalnego.

Na przyszłość tak piękną warto czekać, choćby jej pierwsze cztery, a może nawet osiem miesięcy miało okazać się prawdziwą torturą. Środki masowego przekazu — póki będą istnieć —

pokażą rzeczywistość we wszystkich jej strasznych detalach, ale przecież nie wolno zapomnieć, że

płaci się zawsze. Ludzkość, jako dominująca siła na planecie, musiała zniknąć, zastąpiona przez samą naturę, pozostaną tylko ci ludzie, którzy z zainteresowaniem będą obserwować jej wysiłki i potrafią je docenić.

— Poproszę z doktor Chavez — powiedział do słuchawki Popow.

— Proszę poczekać — odparł głos szpitalnej telefonistki. Oczekiwanie trwało siedemdziesiąt sekund.

— Doktor Chavez — rozległo się w słuchawce.

— Przepraszam, pomyłka. — Popow przerwał połączenie.

Doskonale, pomyślał, więc i żona, i córka Clarka pracują w szpitalu. Potwierdzało to jego wcześniejsze informacje, oznaczało też, że Domingo Chavez również stacjonuje w Hereford.

Dowiedział się sporo zarówno o dowódcy oddziału Tęcza, jak i o jednym z ważniejszych członków jego sztabu, do którego ten Chavez z całą pewnością należy. Szef wywiadu? Nie, pomyślał Popow, na to jest za młody. Oficerem wywiadu musiał być Brytyjczyk, starszy funkcjonariusz MI-6, ktoś znany służbom kontynentalnym. Chavez był z całą pewnością żołnierzem, tak jak jego nauczyciel. Dowódca jednostki szturmowej? To, oczywiście, tylko przypuszczenie, ale trzeba przyznać, że prawdopodobne. Młody człowiek, z raportów sądząc, bardzo sprawny fizycznie. Zbyt młody na jakiegokolwiek inne stanowisko. Owszem, to ma sens.

Popow ukradł Milesowi plan bazy. Zaznaczył na nim dom Clarka. Dzięki temu mógł bez najmniejszych problemów wyznaczyć, jaką trasą jeździ do szpitala jego żona. Ustalenie godzin pracy nie powinno nastęrczać większych trudności. Tydzień w Anglii okazał się wyjątkowo owocny, a teraz nadszedł czas wyjazdu. Rosjanin spakował się, pojechał wynajętym samochodem na Heathrow, oddał go i odebrał bilet na lot *Boeingiem 747* do Nowego Jorku, na lotnisko Kennedy'ego. Miał nieco wolnego czasu, który spędził w komfortowej poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy. Częstowano ich tu nie tylko winem, lecz nawet szampanem.

Skorzystał z poczęstunku, rozsiadł się w fotelu i wziął do ręki gazetę. Nie czytał jej jednak —

zastanawiał się, jaki użytek zrobi z uzyskanych informacji jego pracodawca. W tej chwili nic jeszcze, oczywiście, nie wiedział, ale z nawyku przypomniał sobie kilka numerów telefonów, które znał w Irlandii.

— Tak, tu Henriksen.

— Mówi Bob Aukland. — Najwyższy rangą policjant na spotkaniu, przypomniał sobie Henriksen. — Mam dla pana dobrą nowinę.

— Tak?

— Rozmawialiśmy z ministrem, który jest zdania, że powinniśmy zaoferować Global Security

kontrakt konsultingowy na olimpiadę.

— Dziękuję panu bardzo.

— Mów mi Bob. Czy mógłbyś przyjechać do mnie rano celem uzgodnienia szczegółów?

— Doskonale. Kiedy obejrzę obiekt?

— Polecimy tam jutro po południu.

— Świetnie, Bob. Dziękuję, że zdecydowaliście się mnie wysłuchać. Co z ludźmi z SAS?

— Również będą na stadionie.

— Świetnie. Cieszy mnie możliwość współpracy z nimi.

— Chcą obejrzeć sobie te nowe wyposażenie komunikacyjne, o którym wspomniałeś.

— E-Systems właśnie zaczęło produkcję dla potrzeb Deltę. Pojedyncze urządzenie waży sto siedemdziesiąt gramów, wyposażone jest w studwudziestośmiobitowy procesor kodujący w czasie rzeczywistym, pracuje na częstotliwości X, ze wstęgą boczną i w trybie automatycznym stosuje kompresję transmisji. Praktycznie nie sposób jej przechwycić, a urządzenie jest bezawaryjne.

— Czemu zawdzięczamy ten honor, Ed? — spytał Clark.

— Macie przyjaznego elfa w Białym Domu. Pierwsze trzydzieści egzemplarzy trafi do was — wyjaśnił dyrektor CIA.

— Jakiego „przyjaznego elfa”?

— Carol Brightling, doradcę prezydenta do spraw nauki. Zajmuje się urządzeniami szyfrującymi. Po Parku Światowym zadzwoniła do mnie z sugestią, że to wy powinniście dostać te nowe radia jako pierwsi.

— Ona nie powinna o nas wiedzieć, Ed — zauważył Clark. — A przynajmniej nie pamiętam, by jej nazwisko było na liście.

— No więc ktoś musiał jej coś powiedzieć, John. Przez telefon podała mi waszą nazwę kodową. Poza tym pamiętaj, ona ma przecież dopuszczenie właściwie do wszystkiego. Do broni strategicznej i całego wyposażenia telekomunikacyjnego.

— Podobno prezydent jej nie lubi, przynajmniej takie plotki słyszałem...

— Owszem, to radykalna obrończyni środowiska, wiem. Ale też cwana babka, a wyciągnięcie dla was tego sprzętu świadczy o dobrej woli. Rozmawiałem z Samem Wilsonem z Dowództwa Operacji

Specjalnych, jego ludzie rzucili się na te zabawki z entuzjazmem. Nie da się zakłócić, kodowane, cyfrowa jakość odbioru, urządzenie lekkie jak piórko. — I takie powinno być po siedem tysięcy dolarów sztuka, pomyślał Foley, ale w kosztach uwzględniono przecież badania. Ciekawe, czy z tego cacka mogliby korzystać agenci terenowi podczas tajnych operacji.

— Doskonale. Wspomniałeś coś o dwóch dniach?

— Tak. Normalny transport z Dover do bazy RAF w Mildenhall, a stamtąd chyba ciężarówką. Aha, jest jeszcze jedna sprawa.

— Jaka?

— Powiedz Noonanowi, że jego list w sprawie tej zabawki do wykrywania ludzi przyniósł rezultaty. Firma wysłała mu nowe cacko do wypróbowania, a właściwie to nawet cztery. Z poprawioną anteną i nadajnikami *GPS*. Co to właściwie za cudo?

— Widziałem je raz. Śledzi ludzi namierzając bicie ich serc.

— Na jakiej zasadzie działa? — zainteresował się Foley.

— Niech mnie diabli, Ed, nie mam zielonego pojęcia. Podobno widzi ludzi przez ściany.

Noonan dostał fioła, ale twierdzi, że potrzebne są poprawki.

— DKL, tak się nazywa firma, która to produkuje, chyba go wysłuchała. Cztery egzemplarze masz w ładunku, z prośbą o ocenę i zasugerowanie poprawek.

— Dobra, przekażę to Timowi.

— Coś nowego o terrorystach z Hiszpanii?

— Jeszcze dziś przefaksujemy ci, co mamy. Zidentyfikowali sześciu z nich. Zdaniem Hiszpanów to głównie Baskowie. Francuzi niewiele dokonali, mają dwie identyfikacje prawdopodobne, no, jedna jest bardzo prawdopodobna. I nadal nikt nie wie, kto mógłby wyciągnąć tych ludzi z ukrycia i uaktywnić.

— Rosjanie — odparł bez wahania Foley. — Jakiś facet wyrzucony z KGB.

— Nie będę się sprzeciwiał, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co ten facet pokazał w Londynie. To znaczy, naszym zdaniem pokazał, ale ludzie z Piątki niczego więcej nie znaleźli.

— Kto od nich pracuje nad sprawą?

— Holt. Cyril Holt.

— Aha, świetnie. Znam Cyrila. Jest w porządku. Jak ci coś powie, możesz wierzyć, że wie, co mówi.

— Bardzo to miłe, ale w tej chwili wierzę mu, kiedy mówi, że nie ma o niczym zielonego pojęcia. Zastanawiałem się już, czy nie zadzwonić przypadkiem do Siergieja Nikołajewicza z prośbą o pomoc.

— Weź na wstrzymanie, John. Nie zapominaj, tak czy inaczej, musisz to ze mną uzgodnić. Ja też lubię Siergieja, ale od tej sprawy lepiej go trzymać z daleka.

— No to utknęliśmy w miejscu. Nie podoba mi się, Ed, że po świecie kręci się jakiś Rusek, który zna moje nazwisko i wie, co aktualnie robię.

Foley tylko skinął głową. Każdy agent terenowy dostaje drgawek na myśl, że ktoś zna jego tożsamość, a Clark niewątpliwie miał powody, by się tego obawiać, w końcu przyjechał do Anglii z rodziną. Nigdy w ramach obowiązków nie zabrał ze sobą Sandy, nie posłużył się nią maskując swe działania, co zdarzało się przecież innym szpiegom. Nikt jeszcze nie stracił w ten sposób żony, ale kilka ucierpiało mocno i teraz wykorzystywanie małżonek uchodziło za sprzeczne z polityką CIA. Co więcej, całe swe zawodowe życie John przeżył jako duch: widziany przez niewielu, przez nikogo nie rozpoznany, znany tylko tym, którzy stali po jego stronie. Nie chciał tego zmienić, tak jak nie chciał zmienić płci, niemniej musiał zrezygnować z anonimowości, i to wyprowadziło go z równowagi. Cóż, Rosjanie znali go i wiele o nim wiedzieli, przedstawił się im na własne życzenie podczas operacji w Iranie i Japonii. Musiał

wiedzieć, jakie będzie to miało konsekwencje.

— John, oni cię znają — powiedział Foley do słuchawki. — Cholera, przecież spotykałeś się z Gołówką osobiście! To rozumiałe, że się tobą interesują.

— Wiem, Ed. Wiem. Ale, niech to cholera...

— Słuchaj, ja cię rozumiem, ale teraz jesteś jawny i nie da się tego zmienić. No więc rób swoją robotę i pozwól nam poszperać tu i tam, dobrze?

— No, dobrze — odparł z rezygnacją Clark.

— Jeśli czegoś się dowiem, natychmiast do ciebie zadzwonię, zgoda?

— *Aye aye, sir* — John Clark użył tej marynarskiej formuły, którą kiedyś, dawno, dawno temu, posługiwał się na co dzień. Dziś korzystał z niej tylko wtedy, gdy coś mu się bardzo, ale to bardzo nie podobało.

Zastępcą agenta specjalnego kierującym terenowym biurem FBI w Gary, w Indianie, był stateczny Murzyn o nazwisku Chuck Ussery. Miał czterdzieści cztery lata, niedawno awansował na to stanowisko. Od siedemnastu lat pracował w FBI, do której przeszedł z policji w Chicago.

Przedstawiona przez telefon sprawa Skipa Bannistera niemal natychmiast trafiła na jego biurko.

Po niespełna pięciu minutach poprosił Skipa, by przyjechał do jego biura, tak szybko jak to tylko możliwe. Dwadzieścia pięć minut później nieszczęśliwy ojciec był już na miejscu. Metr osiemdziesiąt wzrostu, pięćdziesiąt pięć lat, tęgi, najwyraźniej mocno przestraszony. Zaprosił go do zajęcia miejsca i zaproponował kawę, lecz Bannister podziękował. Potem nastąpiła sesja pytanie-odpowiedź. Pierwsze pytania były rutynowe, kolejne nabrały jednak bardziej osobistego charakteru.

— Ma pan wydruk tego e-maila, o którym mówił pan przez telefon?

James Bannister wyjął z kieszeni kartkę i bez słowa podał mu ją przez biurko.

Błędy gramatyczne, niejasny tok myśli, literówki. Coś nie tak. Pierwsze pytanie narzucało się samo przez się.

— Czy ma pan powód do podejrzeń, że pana córka zażywała narkotyki?

Odpowiedź padła bez wahania.

— Nie moja Mary. Nie ma mowy. Dobrze, będę szczery, lubiła piwo i wino, ale narkotyki to co innego. Nie moja dziewczynka.

Agent uspokoił go gestem dłoni.

— Proszę pana, rozumiem, co pan czuje — powiedział. — Pracowałem już przy porwaniach i...

— Sądzi pan, że została porwana? — Skip Bannister przeraził się teraz naprawdę.

Porwanie! Wolałby już, by jego córka została narkomanką.

— Sądząc po tym liście uważam porwanie za całkiem możliwe. Potraktujemy tę sprawę właśnie jako przypadek porwania. — Ussery podniósł słuchawkę telefonu. — Poproście do mnie O'Connora.

Agent specjalny Patrick O'Connor był jednym z bardziej doświadczonych funkcjonariuszy filii biura w Gary. Miał trzydzieści osiem lat, był rudy, bardzo blady i bardzo skuteczny. Prowadził w filii wydział do spraw porwań.

— Co jest, Chuck? — spytał, wchodząc do pokoju.

— Przedstawiam ci pana Jamesa Bannistera. Zaginęła jego córka, lat dwadzieścia jeden, w Nowym Jorku, przed około miesiącem. Wczoraj pan Bannister otrzymał ten oto e-mail.

Pat przyjrzał się wydrukowi.

— W porządku, Chuck — powiedział tylko.

— To teraz twoja sprawa — oznajmił Ussery. — Pilnuj jej.

— No pewnie. Panie Bannister, proszę ze mną.

— Pat zajmuje się u nas porwaniami — poinformował ojca Ussery. — Przejmie sprawę zniknięcia pańskiej córki i codziennie będzie mnie informował o postępach. Chciałbym panu powiedzieć, że FBI traktuje porwania jako najcięższe przestępstwo. Pańska sprawa będzie u nas miała najwyższy priorytet, póki jej nie rozwiążemy. Dziesięciu ludzi, Pat?

— Na początek powinno wystarczyć. W Nowym Jorku dobierzemy jeszcze kilku. Proszę pana — O'Connor zwrócił się bezpośrednio do Skipa — my tu wszyscy mamy dzieci. Doskonale rozumiemy, jak się pan czuje. Jeśli pańską córkę w ogóle da się znaleźć, my ją znajdziemy. Teraz muszę jeszcze zadać panu kilka pytań, tak na początek. Dobrze?

— Oczywiście. — Bannister wstał i poszedł za agentem do głównej sali. Spędził tam następne trzy godziny, relacjonując zmieniającym się agentom wszystko, co wiedział o córce i jej życiu w Nowym Jorku. Przede wszystkim poprosili go o aktualną fotografię Mary, która na szczęście okazała się niezła. O'Connor przyjrzał się jej dokładnie. Miał zamiar zatrzymać ją w aktach sprawy. Jego ludzie nie rozpracowywali porwania od dobrych kilku lat. Tego rodzaju przestępstwa FBI zlikwidowało praktycznie w Stanach Zjednoczonych, w każdym razie jeśli chodzi o porwania dla okupu. Po prostu szansę powodzenia zmniejszyła do zera. FBI zawsze znajdowało winnych i spadało na nich jak grom z jasnego nieba. Obecnie porywacze atakowali wyłącznie dzieci i — wyjąwszy sprawy rozwodowe — byli nimi niemal zawsze zbrojniecy seksualni, wykorzystujący ofiary i najczęściej zabijający je. Wywoływało to powszechne oburzenie, nie tylko w hierarchii FBI. Sprawa Bannister, bo tak zdążono już ją nazwać, od razu zyskała największy priorytet we wszystkich biurach terenowych. Gdyby okazało się to konieczne, na jej korzyść miano odłożyć nawet sprawy przeciw zorganizowanej przestępczości.

Taka była po prostu etyka FBI.

W cztery godziny po wizycie Skipa Bannistera w biurze FBI w Gary dwaj agenci z nowojorskiego biura, mieszczącego się w Centrum Jacoba Javitsa na Manhattanie, zapukali do drzwi dozorca zapytałego budynku, w którym mieszkała Mary. Gospodarz dał im klucze i skierował ich do jej mieszkania. Agenci rozpoczęli przeszukanie, przede wszystkim zwracając uwagę na notatki, zdjęcia, listy — innymi słowy wszystko, co mogłoby im pomóc. Po mniej więcej godzinie pojawili się policjanci, których zadaniem było wspomóc FBI w prowadzeniu dochodzenia. Policja nowojorska liczyła trzydzieści tysięcy funkcjonariuszy, z których każdy mógł zostać wezwany do pomocy w śledztwie w sprawie o porwanie.

— Macie zdjęcie? — spytał policjant po cywilnemu.

— Mamy. — Agent FBI wręczył mu kopię faksu, otrzymanego z Gary.

— Parę tygodni temu zameldowano nam o pewnej dziewczynie z Des Moines, nazywała się Pretloe... nie pomyliłem się? Nie, Anne Pretloe. Dwadzieścia parę lat, sekretarka w firmie prawniczej. Mieszkała zaledwie parę przecznic stąd. I nagle znikła, jakby jej nigdy nie było. Nie przyszła do

pracy. Płeć ta sama i wiek też się zgadza. Widzicie tu jakieś punkty wspólne? —

zainteresował się detektyw.

— Sprawdzaliście przypadki zaginięć młodych kobiet? — zapytał młodszy z agentów.

Nie musiał mówić nic więcej — wszyscy myśleli o tym samym. Czyżby w Nowym Jorku pojawił się seryjny morderca? Tego rodzaju psychopaci prawie zawsze szukali ofiar w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat. Natura tworzyła nawet tak wąsko wyspecjalizowanych drapieżców.

— Owszem, ale nie znaleźliśmy ofiary odpowiadającej opisowi tej Pretloe, ani tej waszej

— odparł policjant, oddając zdjęcie. Zapowiadała się trudna sprawa. — Znaleźliście coś?

— Na razie nie. Kalendarz, ale nie ma w nim nic użytecznego. Żadnych fotografii mężczyzn. Ubrania, kosmetyki. Wszystko typowe dla dziewczyny w tym wieku.

— Odciski palców?

— Sprawdzimy. Nasz człowiek już tu jedzie. — Mieszkanie stało jednak puste przez miesiąc, więc badanie odcisków palców najprawdopodobniej nic nie da. Wydzielina skóry, która je utrwałała, parowała z czasem. Pewną niewielką nadzieję dawało tylko to, że mieszkanie było klimatyzowane i zamknięte.

— Cholernie trudna sprawa — zauważył policjant.

— Wszystkie są trudne — odparł filozoficznie jeden z agentów FBI.

— A może nie tylko one zagięły? — zauważył drugi.

— W tym mieście codziennie ginie mnóstwo ludzi — powiedział policjant. — Ale sprawdzę w komputerze.

Killgore na własne oczy widział, jaka fajna dziewczyna z tej K5. No i Chip z całą pewnością się jej podobał. Pod tym względem Chip Smitton, którego nie zarażono Sziwą ani przez zastrzyk, ani przez szczepionkę, ani przez rozpylenie zarazków w powietrzu, miał pecha.

Złapać Sziwę mógł wyłącznie przez kontakty seksualne i w jego krwi już pojawiły się przeciwciała. A więc tą drogą także można się było zarazić i to nie tylko na linii mężczyzna-kobieta, lecz także kobietamężczyzna. Dobra nowina. Sziwa okazał się zabójczy w stopniu, który przekraczał ich najśmielsze oczekiwania.

Obrzydliwe, tak podglądać uprawiających seks ludzi, pomyślał Killgore. Podglądactwo go nie podniecało. Anna Pretloe, Obiekt K5, według wyników badań krwi chora od dwóch dni, jadła, piła i bawiła się wesoło, co czarno-biały monitor telewizyjny pokazywał ze wszystkimi szczegółami. Cóż, środki uspokajające obniżały obiektom testów poziom zahamowań, więc nie sposób było

powiedzieć, jaka tak naprawdę jest ta dziewczyna, choć bez wątpienia technikę miała opanowaną na piątkę.

Dziwne, ale podczas badań na zwierzętach nigdy nie zwracał uwagi na takie sprawy.

Szczury też się mnożą, samice i samce jakoś tam uprawiają seks, ale on nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Szanował i te zwierzęta jako formę życia, ale ich życie seksualne zupełnie go nie interesowało, a tymczasem teraz co kilka chwil zerkał na monitor. Cóż, musiał szczerze przyznać, że K5 była najładniejsza spośród obiektów i gdyby spotkał ją w barze dla samotnych, pewnie postawił by jej drinka, powiedział „cześć”... i czekał, jak rozwinie się sytuacja. Lecz przecież miała wkrótce umrzeć, dokładnie tak jak umierały białe, hodowane specjalnie do badań, laboratoryjne szczury. Te sympatyczne, różowookie stworzenia wykorzystywano do badań na całym świecie, bowiem były genetycznie identyczne, tak że rezultaty uzyskane w jednym kraju dawały się porównać z rezultatami uzyskiwanymi gdziekolwiek na kuli ziemskiej. Laboratoryjne szczury nie dysponowały prawdopodobnie umiejętnościami umożliwiającymi przetrwanie na wolności. Szkoda. Nawet biała sierść redukowała ich szansę na przeżycie — psy i koty znacznie łatwiej dostrzegałyby je w ciemności, niezbyt miła perspektywa życia na wolności, prawda? W

ogóle były gatunkiem sztucznym, a nie częścią planu natury, były dziełem człowieka, przez to samo niegodnym przetrwania. Mogły się podobać, ale to ocena subiektywna, nie obiektywna, a Killgore już dawno nauczył się bezbłędnie rozpoznawać tę różnicę. Pretloe, Obiekt K5, też mogła się podobać, lecz to, że się nad nią litował, było wyłącznie reakcją atawistyczną niegodną członka Projektu. Tyle że jej uroda, którą obserwował w całej pełni, kiedy pieprzyła się z Chipem Smittonem, zmuszała do myślenia. Hitler mógł tak samo postąpić z Żydami, zachować pewną niewielką liczbę do badań laboratoryjnych, wykorzystywać, na przykład, przy testach wytrzymałości nowych samochodów na zderzenie? Czy takie podejście czyni ze mnie nazistę? —

pomyślał Killgore. K5 i M7 użyci zostali wprawdzie w charakterze świnek morskich, ale nikt nie dyskryminował ich przecież ze względu na rasę, wyznanie czy płeć. Polityka nie grała w Projekcie najmniejszej nawet roli. No może jakąś jednak grała, to zależy od definicji, ale on nie definiował „polityki” w ten sposób. Dla niego w Projekcie chodziło przede wszystkim o naukę.

Naukę i miłość do natury. Projekt jednoczył ludzi różnego wykształcenia i koloru skóry, choć niewielu z nich było religijnych... Chyba żeby miłość do natury nazwać religią, bo w pewien sposób przecież nią była. Tak, z całą pewnością.

To, co robili ludzie widoczni na telewizyjnym ekranie, było naturalne, a w każdym razie prawie naturalne, bo przecież działały środki uspokajające; ale w końcu mechanika seksu to działanie instynktowne. Szli za instynktem, on pragnął zapłodnić, ona być zapłodnioną. Killgore wczuł się w rolę drapieżnika, który wybiera sobie ofiarę decydując, kto przeżyje, a kto nie.

Choć ta dwójka była niewątpliwie atrakcyjna, nie dane jej będzie przeżyć, podobnie jak laboratoryjnym szczurom o białej sierści, ładnych różowych oczkach i drżących wąsikach. Cóż, niewielu przeżyje. Pod względem estetycznym był to rzeczywiście problem, ale w imię wymarzonej przyszłości nawet tak trudne decyzje podejmowało się bez wahania.

Przeciwdziałanie

— Nasz rosyjski przyjaciel nie dał znaku życia?

— Nie — potwierdził Cyril Holt. — Taśmy wskazują, że Kirilienko chodzi do pracy codziennie o tej samej porze i tą samą drogą, kiedy ulice są zatłoczone. Na cztery wieczory z pięciu wpada do pubu na kufelek i spotyka różnego rodzaju ludzi. Może nas przechytryć przy minimum wysiłku i znajomości zasad pracy w terenie, chyba że zacieśnilibyśmy obserwację, w czym najprawdopodobniej szybko by się zorientował i po prostu zaczął się bardziej maskować.

Nie chcemy ponosić tego rodzaju ryzyka.

— Oczywiście — zgodził się mimo rozczarowania Bill Tawney. — Żadnych informacji z innych źródeł?

„Inne źródła” oznaczało, oczywiście, wtyczkę Służby Bezpieczeństwa w samej ambasadzie rosyjskiej. Na niemal sto procent Holt kogoś tam miał, z pewnością nie zamierzał

jednak mówić o tym przez telefon, niezależnie od tego, czy linia była bezpieczna czy nie. Jeśli w tym zawodzie broniło się czegoś w każdej sytuacji, to właśnie tożsamości źródeł informacji, bo gdyby się ich nie broniło, ludzie ci mogliby zginąć.

— Nie, Bill, nie mamy nic. Wania nie rozmawiał o tym z Moskwą przez swój telefon. Nie używał także bezpiecznej linii faksowej. Nie mamy nic, nawet twarzy, wiemy tylko o facecie z pubu, a przecież to mogło być w końcu przypadkowe spotkanie. Trzy miesiące temu jeden z moich ludzi naciągnął Kirilienkę na rozmowę. Rozmawiali o piłce nożnej. Nasz klient jest prawdziwym fanem, doskonale orientuje się w lidze i w ogóle nic nie świadczy o jego narodowości. Akcent ma doskonały. No więc, ten facet ze zdjęcia mógł się tam wziąć przypadkiem. Kirilienko to zawodowiec, Bill. Nie popełni wielu błędów. Jeśli przekazał jakieś informacje, to niewątpliwie w formie pisemnej i przez kuriera.

— Czyli wygląda na to, że w Londynie nadal mamy byłego funkcjonariusza KGB, który prawdopodobnie wie o Clarku wszystko, co wie o nim Moskwa i robi, co mu się podoba?

— Tak — przyznał Holt. — Nie powiem, żeby mi się to podobało, ale rzeczywiście, masz rację.

— Czego dowiedziałeś się o kontaktach KGB-PIRA?

— Niewiele. Mamy zdjęcie ze spotkania, które odbyło się w Dublinie przed ośmiu laty oraz ustne informacje o uczestnikach innych spotkań wraz z ich opisami. Mógł w nich brać udział nasz gość z

pubu, ale opisy dotyczą mniej więcej jednej trzeciej wszystkich mężczyzn świata, a na razie nie chcemy wymachiwać fotografiami.

Tawney nie musiał pytać, dlaczego. Wydawało się całkiem możliwe, że niektórzy z informatorów Holta byli w istocie podwójnymi agentami. Pokazanie zdjęcia mężczyzny z pubu niewłaściwej osobie mogło doprowadzić wyłącznie do tego, że zostanie on ostrzeżony i zacznie się skutecznie maskować, na przykład zmieni wygląd. Nie ma chyba gry bardziej skomplikowanej niż wywiad, pomyślał Tawney. Nie można przecież wykluczyć także i tej możliwości, że Rosjanin jest po prostu ciekawy i wyłącznie zbiera informacje o znanych oficerach wywiadu przeciwnej strony, a to przecież normalne. Cholera, w tym biznesie wszyscy robią to bez przerwy!

Cóż, w każdym razie wiemy, czego nie wiemy, pomyślał Tawney i zaraz się poprawił, bo w rzeczywistości nie wiedzieli przecież nawet tyle. W rzeczywistości wiedzieli tylko, że czegoś nie wiedzieli, ale nie wiedzieli, czego dokładnie pragną się dowiedzieć i jakie ma znaczenie ten jeden jedyny szczegół, o którego istnieniu wiedzieli.

— A to po co? — spytał niewinnie Henriksen.

— System schładzania rozpyloną wodą. Dostaliśmy go od waszych ludzi — wyjaśnił

Aukland.

— Nie rozumiem? — Amerykanin zmarszczył brwi.

— Jeden z naszych ludzi widział coś takiego gdzieś... w Arizonie chyba. Rozpyła mgłę z małych cząsteczek wody. Cząsteczki wchłaniają ciepło i parują do atmosfery. Efekt jest taki sam jak w przypadku klimatyzacji, tyle że przy minimalnym zużyciu energii.

— Pomysłowe. — Bill Henriksen przekonywająco udawał zdumionego. — Jaki jest zasięg systemu?

— Tylko podcienia i tunele wyjściowe. Architekt chciał objąć nim cały stadion, ale podniosły się protesty, że zakłóci to pracę kamer i w ogóle. Zupełnie jak prawdziwa mgła —

wyjaśnił Aukland.

— Doskonale. Sądzę, że powinienem to sobie dokładnie obejrzeć.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Szanowny panie, to przecież doskonały sposób na wprowadzenie do atmosfery środka chemicznego.

Odpowiedź ta niezwykle zaskoczyła policjanta.

— Aha... Rozumiem — powiedział tylko.

— Mam w firmie człowieka, byłego pułkownika wojsk chemicznych, eksperta w tego rodzaju

sprawach, po studiach na MIT. Każę mu przyjrzeć się urządzeniu tak szybko jak to tylko możliwe.

— Doskonały pomysł. Dziękuję ci, Bill. — Auckland miał ochotę dokopać samemu sobie, bo przecież sam wcześniej powinien był o tym pomyśleć. Ale w końcu po co wynajmuje się eksperta? A ten Jankes sprawiał wrażenie eksperta jak się patrzy.

— Ciepło tu będzie?

— O tak, raczej ciepło. Spodziewamy się temperatury powyżej trzydziestu pięciu stopni.

Architekt tłumaczył, że to niedrogi sposób ułatwienia widzom życia i w dodatku względnie łatwy do zainstalowania. Czerpiemy z instalacji przeciwpożarowej. Nie zużywa nawet przesadnie dużo wody. Zainstalowaliśmy to urządzenie przed rokiem. Testujemy je od czasu do czasu. To produkt amerykańskiej firmy, ale w tej chwili nie pamiętam nazwy.

Cool-Spray z Phoenix, podpowiedział mu w myślach Henriksen. W biurze miał schematy systemu, któremu Projekt przeznaczył kluczową rolę do odegrania. Od pierwszej chwili uznano go wręcz za dar niebios.

Obejrzał już miejsce. Wkrótce miał nadejść czas.

— Brytyjczycy się do was nie odezwali?

— Zwróciliśmy się do nich, ale nie otrzymaliśmy jeszcze odpowiedzi. Najwyraźniej cała ta sprawa jest bardzo, ale to bardzo tajna.

— Polityka — prychnął Henriksen. — Zawsze włazi nam w drogę. — I lepiej niech tak zostanie, dodał w myśli.

— Rzeczywiście — westchnął Auckland.

Detektyw porucznik Mario d'Allessandro włączył komputer i wszedł do centralnego rejestru danych nowojorskiej policji. Bez problemu znalazł Mary Bannister i Annę Pretloe.

Następnie rozpoczął rutynowe przeszukiwanie. Płeć: żeńska, wiek: osiemnaście do trzydziestu, na początek powinno starczyć. Kliknął ikonę „uruchom”.

System wyrzucił z siebie czterdzieści sześć nazwisk, które zachował w pliku stworzonym specjalnie dla tej sprawy. W program nie wbudowano, niestety, zdjęć, te musiał znaleźć w tradycyjnej kartotece.

Wyrzucił nazwiska z dzielnic Queens i Richmond, pozostawiając tylko zaginione dziewczyny z Manhattanu. Dwadzieścia jeden. Jako następne skreślił Murzynki — założył sobie, że ma do czynienia z seryjnym mordercą, a ci z reguły wybierali ofiary podobne do siebie jak siostry (najślynniejszy z nich, Ted Bundy, interesował się, na przykład, tylko tymi, które rozczesywały włosy

pośrodku głowy). Bannister i Pretloe były białe, samotne, dość ładne, miały odpowiednio dwadzieścia jeden i dwadzieścia cztery lata i ciemne włosy. Osiemnaście do trzydziestu powinno pasować doskonale, powiedział sobie policjant, i zabrał się za skreślanie kolejnych nazwisk.

Następnie otworzył plik zawierający dane kobiet zamordowanych, lecz nie zidentyfikowanych. Wszystkie te sprawy poznał wcześniej, przy rutynowych zajęciach. Dwa mieściły się w założonych parametrach, ale żadną z ofiar nie okazała się Bannister ani Pretloe. A więc z tej strony na razie nic. Była to zarówno zła, jak i dobra nowina. Z jednej strony obie zaginione dziewczyny mogły żyć, z drugiej jednak ich ciała mogły także zniknąć, sprytnie ukryte, na przykład, na pobliskich bagnach Jersey, które od przełomu wieków mafia wykorzystywała właśnie w tym celu.

Wydrukował listę nazwisk. Wraz z dwoma agentami FBI miał sprawdzić dane z kartoteki papierowej, łącznie ze zdjęciami. I Pretloe, i Bannister miały kasztanowate włosy mniej więcej tej samej długości, być może seryjny morderca uznałby to za wystarczające podobieństwo. Ale nie, przecież Bannister żyła, wysłała e-mail — chyba że sprawca był chory umysłowo do tego stopnia, iż przyjemność sprawiało mu psychiczne torturowanie rodzin ofiar. On sam nigdy o takim nie słyszał, ale przecież tak czy inaczej to chore sukinsyny i nie sposób przewidzieć, co sprawi im przyjemność. Jeśli ktoś taki rzeczywiście operował w Nowym Jorku, to chciała go dorwać nie tylko FBI. Całe szczęście, że stan Nowy Jork doczekał się przywrócenia kary śmierci.

— Tak, widziałem go — powiedział Popow.

— Naprawdę? — zdziwił się John Brightling. — Z bliska?

— Tak jak teraz widzę pana. Nie planowałem tego, ale stało się. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Jego żona jest pielęgniarką w miejscowym szpitalu, a córka, pracująca w tym samym szpitalu, lekarka, wyszła za mąż za jednego z żołnierzy oddziału. Nazywa się Patricia Chavez. Jej mąż, Domingo, jest także agentem terenowym CIA i służy obecnie w jednostce Tęcza, prawdopodobnie jako dowódca oddziału uderzeniowego. Clarka wiąże się z akcją wywiezienia ze Związku Radzieckiego żony i córki szefa KGB. Zdarzyło się to wiele lat temu, ale, jak pan zapewne wie, sprawa trafiła ostatnio do gazet. To właśnie on je stamtąd wyciągnął.

Uczestniczył także w konflikcie z Japonią i miał swój udział w śmierci Daryeiego w Iranie. Clark i Chavez to bardzo zdolni i bardzo doświadczeni oficerowie wywiadu. Lekceważenie któregośkolwiek z nich może okazać się wyjątkowo niebezpieczne.

— Dobrze. I co nam to mówi?

— Że Tęcza jest tym, czym wydaje się być: wielonarodową jednostką antyterrorystyczną działającą w całej Europie. Hiszpania jest członkiem NATO, ale Austria i Szwajcaria nie, z czego zapewne zdaje pan sobie sprawę. Czy ma pozwolenie na działanie w innych krajach? Z całą pewnością tak. Tęcza jest bardzo poważnym zagrożeniem dla każdej operacji terrorystycznej. Nie chciałbym znaleźć się naprzeciw tych ludzi. Ich skuteczność w sytuacji bojowej wszyscy widzieliśmy w telewizji. Muszą mieć także doskonałe wsparcie techniczne i wywiadowcze. Te sprawy są ze sobą ściśle powiązane.

— Czy istnieje możliwość, że oni wiedzą o nas?

— Możliwe, ale niezbyt prawdopodobne — odparł Rosjanin. — Gdyby tak było, w tej chwili agenci waszej FBI aresztowaliby nas obu za znowę w celu popełnienia przestępstwa. Nikt mnie nie obserwuje ani nie śledzi... cóż, przynajmniej tak przypuszczam. Wiem na co zwracać uwagę, do tej pory nic mnie nie zaniepokoiło, ale muszę zakładać, że przeprowadzona fachowo i ostrożnie operacja mogłaby umknąć mojej uwadze. To trudne, bo szkolono mnie w wykrywaniu obserwacji, ale teoretycznie możliwe.

Popow zauważył, że pracodawca jest wyraźnie wstrząśnięty jego wyznaniem własnej niedoskonałości. Jego szefowie z KGB wiedzieli o tych rzeczach z góry i akceptowali je jako konieczny czynnik w grze — ale oni nie musieli się w końcu martwić aresztowaniem i utratą miliardów dolarów osobistego majątku.

— Jakie jest ryzyko?

— Chodzi panu o to, jakich środków mogą użyć pańscy przeciwnicy? — Skinienie głowy. — Na przykład założyć podsłuch na telefony i...

— Moje telefony są zakodowane. System jest całkowicie bezpieczny. Konsultant twierdzi...

Popow uniósł dłoń, przerywając ten potok wymowy.

— Proszę pana — spytał, zupełnie jakby wyjaśniał coś dziecku — czy naprawdę wierzy pan, że wasz rząd dopuściłby do produkcji system kodowania, którego sam nie potrafiłby złamać? Agencja Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade zatrudnia najlepszych matematyków na świecie, dysponuje także najpotężniejszymi komputerami na świecie. Jeśli chce pan dowiedzieć się, jak ciężko pracują ci ludzie, wystarczy się przyjrzeć parkingom.

— Parkingom?

— Parkingi wypełnione samochodami o siódmej wieczorem świadczą, że ludzie w budynkach ciężko nad czymś pracują. W pana kraju praktycznie każdy ma samochód i parkingi są z zasady zbyt duże, by zamknąć je i chronić przed obserwacją. W ten sposób łatwo i bez ryzyka agent wywiadu poznaje stopień aktywności waszych jednostek rządowych. A jeśli temat naprawdę zainteresuje Centralę, wystarczy znaleźć kilka nazwisk i adresów, dzięki którym poznaje się marki samochodów i numery rejestracyjne. W ten sposób przez przeszło dziesięć lat KGB tropiło szefa wydziału ABN, którego zadaniem było zarówno łamanie szyfrów i kodów, jak i ich tworzenie. Odrodzony wywiad rosyjski z całą pewnością postępuje podobnie. — Popow potrząsnął głową. — Nie, nie ufałbym żadnemu dostępnemu w sprzedaży systemowi kodującemu. Mam swoje wątpliwości nawet co do systemu używanego przez rząd Rosji. Wasi ludzie doskonale radzą sobie z łamaniem szyfrów. Zajmują się tym z powodzeniem od sześćdziesięciu lat, zaczęli na długo przed II wojną światową. Mają też sojuszników w Brytyjczykach, równie znakomitych w tej dziedzinie. Nikt panu tego nie powiedział? — spytał, zdziwiony.

— Powiedziano mi tylko, że mój system nie może zostać złamany z powodu studwudziestoośmiobitowej...

— Ach, oczywiście, standard *STU-3*. Tym systemem wasz rząd posługiwał się przez dobre dwadzieścia lat. W tej chwili zmieniono go na system *STU-4*. Doktorze Brightling, czy rzeczywiście myśli pan, że tę zmianę przeprowadzono tylko po to, żeby wydać pieniądze? A może jednak istniał inny powód? Kiedy pracowałem w terenie dla KGB, używałem wyłącznie szyfrów jednorazowych. To system kodowania używany tylko raz, oparty na przypadkowych transpozycjach. Nie sposób go złamać, ale jest bardzo kłopotliwy w użyciu. Przygotowanie jednej wiadomości może trwać wiele godzin. Niestety, trudno go użyć w przypadku komunikacji werbalnej. Wasz rząd ma dość podobny system *TAP-DANCE*, którego jednak nigdy nie udało nam się skopiować.

— Czy rzeczywiście sądzi pan, że ktoś może podsłuchiwać każdą moją rozmowę telefoniczną?

— Oczywiście że może. Jak pan sądzi, dlaczego wszystkie nasze istotne rozmowy przeprowadzaliśmy w cztery oczy? — Teraz facetem rzeczywiście zatrzęsło, zauważył Popow.

Geniusz nie geniusz, ale w tych sprawach jest bezradny jak zagubione w lesie dziecko. — Być może nadszedł właściwy czas, by wyjaśnić mi pan, dlaczego przeprowadzałem dla pana moje operacje?

— Tak, panie ministrze... Doskonale... Bardzo dziękuję. — Bob Auckland zakończył

rozmowę przez telefon komórkowy i schował go do kieszeni. — Dobre wieści — powiedział do Henriksena. — Ci z Tęczy mają się tu pojawić i ocenić skuteczność systemu bezpieczeństwa.

— Tak? No cóż, to chyba nikomu nie zaszkodzi.

— Nos ci się trochę wydłużył? — zauważył policjant.

— Gdzie tam — skłamał Henriksen. — Zapewne znam kilku z nich, a oni znają mnie.

— Nie będzie to miało żadnego wpływu na twoje honorarium — pocieszył go Australijczyk. Poszli w stronę jego samochodu. Mieli wpaść do pubu na kilka piw, a potem Amerykanin odlatywał do domu.

Niech to szlag, zaklął w myślach Bill Henriksen. Oto po raz kolejny Prawo Nieprzewidzianych Następstw uaktywniło się i dało mu kopa w tyłek. Przez chwilę zastanawiał

się gorączkowo, co robić, ale potem postanowił się uspokoić. Powtarzał sobie, że rzeczywiście nie ma to wielkiego znaczenia, i że być może wizytę Tęczy będzie można obrócić nawet na własną korzyść. Prawie w to uwierzył.

Brightling wiedział, że nie może powiedzieć Popowowi prawdy. Zaufał mu w wielu sprawach... Cholera, to, co wiedział o nim ten Rusek, mogło zaprowadzić go nie tylko do więzienia federalnego, lecz wręcz do celi śmierci, ale zdradzić w czym naprawdę rzecz? Nie, tego nie wolno mu było zaryzykować. Nie wiedział, jakie ma on poglądy na naturę. Nie potrafił

przewidzieć jego reakcji. Facet był niebezpieczny, jak sokół ułożony do polowań, posłuszny, ale zawsze wolny, gotów zabić na rozkaz przepiórkę czy zającą, ale zawsze niepewny, zdolny odlecieć w każdej chwili, wrócić do swego pierwotnego świata... Ten, kto może wrócić na wolność, może także przekazać posiadane informacje. Nie po raz pierwszy pomyślał, że może dobrze byłoby poprosić Billa Henriksena o załatwienie tego problemu. On z pewnością by sobie z tym poradził. W końcu jako były agent FBI znał mechanizmy śledztwa w sprawie o morderstwo, potrafił więc zmylić prowadzących je i dzięki temu problem po prostu przestałby istnieć.

Jakie mam środki? — myślał dalej Brightling. Co mogę zrobić, by Projekt i moja w nim pozycja umocniły się, stały się bezpieczniejsze? Jeśli Tęcza to problem, czy można byłoby uderzyć bezpośrednio w nią? Zniszczyć tych żołnierzy, a jeśli tego się nie da zrobić, to przynajmniej zmylić, skierować ich uwagę w innym kierunku?

— Najpierw muszę to sobie przemyśleć, Dmitrij — powiedział w końcu.

Popow tylko poważnie skinął głową, zastanawiając się, o czym też myślał ten facet przez piętnaście sekund, które zajęło mu sformułowanie odpowiedzi.

Bo teraz to on miał powody do zmartwienia. Właśnie poinformował Johna Brightlinga o operacyjnych niebezpieczeństwach związanych z użyciem jego wiedzy celem przeprowadzenia ataków terrorystycznych, a zwłaszcza o potencjalnych zagrożeniach systemu komunikacji.

Szczególnie to ostatnie wyraźnie nim wstrząsnęło. Być może trzeba było ostrzec go wcześniej, ale jakoś nie mieli okazji rozmawiać na ten temat i Rosjanin uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Ale chyba jednak niezbyt poważny. Zabezpieczenie operacyjne nie było przecież aż tak złe.

Tylko dwie osoby wiedziały o tym, co się naprawdę dzieje... no, trzeba dodać do nich jeszcze i tego Henriksena, ale facet pracował w FBI i gdyby był informatorem, już wszyscy siedzieliby w więzieniu. Byłby w stanie dostarczyć kolegom materiałów dotyczących poważnego przestępstwa, spowodować wielkie śledztwo, nikt nie zaryzykowałby zezwolenia na dalsze działania przestępców, chyba że w nadziei na uzyskanie dowodów jeszcze groźniejszego przestępstwa...

...ale jakie przestępstwo jest większe od zмовy w celu dokonania morderstwa? Co więcej, musieliby także wiedzieć, czego dotyczyła zмова, bowiem tylko wówczas nie mieliby powodu, by wstrzymać się z aresztowaniami. Nie, zabezpieczenie było tu całkiem niezłe.

Owszem, rząd amerykański dysponował technicznymi możliwościami złamania pozornie pewnych zabezpieczeń na liniach telefonicznych Brightlinga, ale już samo podłączenie się do nich wymagało zgody sądu, zgodę sądu dostawało się wyłącznie po przedstawieniu dowodów, dowody te zaś już wystarczyłyby do skazania na śmierć co najmniej kilku osób. Mnie także, powiedział sobie Popow.

Co tu się właściwie dzieje? Rosjanin nie miał zielonego pojęcia, ale proces logicznego myślenia prowadził wprost do jednego wniosku: cokolwiek zaplanował sobie jego pracodawca, było to więcej niż masowe morderstwo. Cholera, co może być gorsze od masowego morderstwa?

I jeszcze jedna z gruntu nieprzyjemna sprawa. On, Popow, podjął się tej roboty z nadzieją

— i, jak się okazało, nie była to nadzieja płonna — że się na niej wzbogaci. Na koncie w banku w Bernie miał w tej chwili nieco ponad milion dolarów. Wystarczy, by wrócić na łono *Matuszki Rassiji* i żyć bardzo wygodnie, ale za mało na to, czego pragnął. Jakie to dziwne — magiczne słowo „milion” odnoszące się do magicznej sumy pieniędzy w momencie, gdy się już tą sumą dysponowało, traciło całą swą magię. „Milion” pozostawał nazwą liczby, z której odejmowało się dokonując zakupów. Milion dolarów amerykańskich nie wystarczy mu na kupienie domu, w którym chciałby mieszkać, samochodu, którym chciałby jeździć, jedzenia, które chciałby jeść, i życie na wysokim poziomie, który chciałby utrzymać do końca życia. No, może i milion starczyłby mu w przypadku osiedlenia się w Rosji, ale Popow nie miał zamiaru mieszkać w Rosji. Odwiedzać ją od czasu do czasu, proszę bardzo, ale mieszkać tam na stałe? Co to, to nie.

A więc był w pułapce.

Nadal nie wiedział, co to za pułapka. Po prostu siedział przy stole naprzeciw człowieka, który tak jak on myślał intensywnie, lecz żaden z nich nie miał na razie pojęcia, co właściwie zrobić. Jeden wiedział, co się dzieje, drugi nie, ale za to ten drugi — w przeciwieństwie do pierwszego — wiedział, jak sprawić, by działo się to, co powinno się dziać. Interesujący i w pewien sposób elegancki impas.

Siedzieli tak w milczeniu przez dobrą minutę, wpatrując się w siebie nawzajem. Nawet jeśli obaj wiedzieli, co powiedzieć, nie chcieli podejmować ryzyka powiedzenia tego, co powinno zostać powiedziane.

Ciszę przerwał Brightling.

— Naprawdę muszę wszystko sobie przemyśleć — oznajmił. — Jeden dzień przecież nikogo nie zbawi.

— Oczywiście, że nie. — Popow wstał, pożegnał się i wyszedł. Ten gracz, który przez większość swego dorosłego życia grał w najtrudniejszą, lecz i najbardziej fascynującą z gier, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że rozpoczęła się oto nowa rozgrywka, w której obowiązywały zupełnie nowe reguły. Posiadał już dużą sumę pieniędzy, ale dla jego pracodawcy był to drobiazg. Stał się kółkiem operacji, której celem było coś więcej niż masowe morderstwo.

Nagle Rosjanin uświadomił sobie, że przynajmniej to nie jest dla niego niczym nowym. Służył przecież niegdyś państwu, które zwycięscy w końcu wrogowie nazywali „Imperium Zła”. Zimna wojna z owym imperium toczyła się z pewnością o coś więcej niż masowe morderstwo.

Brightling nie był jednak państwem i choć mógł być nieprawdopodobnie bogaty, jego środki wydawały się śmieszne przy tych, którymi dysponuje jakikolwiek rozwinięty kraj.

Najważniejsze pytanie nadal jednak pozostawało bez odpowiedzi. Co, u diabła, chciał

osiągnąć ten człowiek? I dlaczego do osiągnięcia tego nieznanego celu potrzebna jest mu pomoc

Dmitrija Arkadijewicza Popowa?

Henriksen złapał lot Quantas do Los Angeles. W fotelu pierwszej klasy miał spędzić ładnych kilkanaście godzin, co dawało mu czas na przemyślenie tego, czego dowiedział się w Australii.

Plan na olimpiadę był w zasadzie gotowy. System schładzania rozpyloną wodą został

zainstalowany, co z punktu widzenia Projektu było darem niebios. Jeden z jego ludzi go sprawdzi. W ten sposób ostatniego dnia igrzysk znajdzie się na miejscu i podłoży ładunek. Jakie to proste. Miał zagwarantowany kontrakt konsultanta, co dawało mu wszelkie możliwości działania. Ale w Australii znajdą się też ludzie z Tęczy. W jakim stopniu będą mu patrzeć przez ramię? Do diabła, na to pytanie nie sposób było w tej chwili odpowiedzieć. W najgorszym razie jakiś byle drobiazg okaże się piaskiem w trybach sprawnie działającej maszyny. Nic w tym niezwykłego, kiedy pracował w FBI często się tak zdarzało. Przypadkowy policyjny patrol albo jeden radiowóz w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwym czasie, potrafił przeszkodzić w doskonale zaplanowanym rabunku. Zwrot w skomplikowanym śledztwie bywał dziełem przypadkowego przechodnia o szczególnie dobrej pamięci lub zwykłej wymiany zdań podejrzanego z przyjacielem, której treść dotarła do szczególnie czujnego prowadzącego śledztwo. Znał z milion takich przypadków. A z głupich przypadków zawsze korzysta przeciwna strona, prawda?

Jedno wiedział z pewnością: jego zadaniem jest wyeliminowanie tego rodzaju przypadkowych zdarzeń. I już prawie mu się udało. Sama idea operacji była wręcz genialna —

John Brightling wpadał na wyłącznie dobre pomysły. „Uruchomienie” terrorystów w Europie uświadomiło społeczności międzynarodowej istnienie tego szczególnego zagrożenia, dzięki czemu on i jego firma dostali kontrakt na nadzór zabezpieczenia olimpiady. Tylko że nie wiadomo, skąd pojawiła się ta cholerna Tęcza, ze śpiewem na ustach uporała się z trzema kolejnymi atakami terrorystycznymi — swoją drogą, co za dupek wywołał ten trzeci, oto jest pytanie? — i Australijczycy zwrócili się o pomoc także do nich. Jeśli Tęcza pojawi się na miejscu, to przecież zostanie i będzie pilnować sprawy, a jeśli zostanie i będzie pilnować sprawy, w grze pojawi się raptem trzecia strona, a jeśli trzeciej stronie przyjdzie do głowy pomyśleć o broni chemicznej, może przecież dostrzec idealny sposób jej zastosowania...

Jeśli, jeśli, jeśli... — pomyślał Henriksen. Nic, tylko to „Jeśli”. Mnóstwo rzeczy musi się posypać, by naprawdę zaszkodzić Projektowi. Bardzo to pocieszające. Być może uda mu się spotkać z ludźmi z Tęczy i odwrócić ich uwagę na tyle, by zapobiec bezpośredniemu zagrożeniu.

Przecież zatrudnia prawdziwego specjalistę od broni chemicznej, a oni zapewne nie, co działa na jego korzyść. Odrobina sprytu i jego człowiek wykona robotę na ich oczach, a oni nic z tego nie pojmą. Po to przecież jest planowanie.

Spokojnie, powiedział sobie. Pojawiło się wino, więc zamówił drugi kieliszek. Spokojnie.

Ale jakoś nie potrafił się uspokoić. Zbyt wiele wiedział o mechanizmach prowadzenia śledztwa, by

zaakceptować działanie przypadku, nie zastanawiając się nad konsekwencjami jego działania.

Jeśli jego człowiek wpadnie, choćby przez przypadek, może się zdarzyć, że pociągnie za sobą cały Projekt, a to już byłoby coś więcej niż klęska. Reszta życia za kratkami — tego już nie był w stanie zaakceptować. Nie, oddał się Projektowi z więcej niż jednego powodu. Po pierwsze, chciał ocalić świat, a po drugie, miał zamiar cieszyć się owocami swych wysiłków.

Nie był więc skłonny podjąć tak wielkiego ryzyka, a zatem musiał znaleźć sposób na jego zmniejszenie. Kluczem do osiągnięcia tego celu był Rosjanin, Popow. Ciekawe, czego ten szpieg dowiedział się podczas wycieczki do Anglii. Mając odpowiednie informacje można byłoby stworzyć plan bezpośredniej likwidacji zagrożenia ze strony Tęczy. Kusząca perspektywa.

Henriksen rozsiadł się i wybrał sobie film. Udawał że go ogląda, lecz cały czas intensywnie myślał. W dziesięć minut później wiedział już, że gdyby znalazło się właściwych ludzi i właściwe środki, tego rodzaju plan mógłby się powieść.

Popow jadł samotną kolację w sprawiającej żalosalne wrażenie restauracji w południowym Manhattanie. Jedzenie było podobno niezłe, ale wyglądało na to, że podłogę czyszczą tu szczury.

Tyle że wódkę mieli znakomitą. Jak zwykle, parę kieliszków uwolniło jego zdolność abstrakcyjnego myślenia.

Co wiedział o Johnie Brigtingu? Był geniuszem naukowym, a także bardzo zdolnym biznesmenem, przed laty żonatym z inną wyjątkowo błyskotliwą osobą, obecnie prezydenckim doradcą do spraw naukowych. Małżeństwo skończyło się głośnym rozwodem i teraz jego pracodawca przeskakiwał z łóżka do łóżka. Był jednym z najbardziej pożądanym kawalerów Ameryki — także dzięki wielkości konta bankowego. Jego zdjęcie często pojawiała się w rubrykach towarzyskich gazet, co z pewnością nie sprawiało radości jego byłej żonie.

Brightling miał, oczywiście, dobre kontakty w społeczności ludzi z dostępem do tajnych materiałów. Tęcza była ewidentnie tajna, a jednak zdobył jej nazwę kodową i nazwisko dowódcy w ciągu jednego dnia. Zaledwie jednego dnia! — uświadomił sobie z podziwem Rosjanin.

Imponujące? Nie, więcej, zdumiewające. Jakim cudem udało mu się dokonać czegoś takiego?

I tego kalibru człowiek wplątany był w operację o skali większej niż masowe morderstwo. Tu — zdumiewające — kończył się łańcuch logiczny, zupełnie jakby szło się ruchliwą ulicą i nagle trafiła głowa w mur. Co człowiek interesu może zrobić gorszego niż masowe morderstwo? Co jest dla niego ważniejsze od utraty wolności, od możliwej przecież kary śmierci? Jeśli to coś miałyby przekraczać granice masowego morderstwa, czy planował jeszcze większe morderstwo? Tylko po co? Może chciał wszcząć wojnę, ale nie był przecież szefem państwa, więc nie mógł wszcząć wojny. Czyżby był szpiegiem, przekazującym jakiemuś obcemu rządowi informacje zagrożające bezpieczeństwu narodowemu? Ale co ten hipotetyczny obcy rząd miałby mu do zaoferowania? Czym rząd — lub

ktokolwiek inny — jest w stanie przekupić miliardera? Nie, pieniądze należało wykluczyć na wstępie. Co więc pozostawało?

Zdradę ojczyzny podejmowało się z czterech dobrze znanych w Łubiance powodów: pieniądze, ideologia, sumienie, wybijałe ego. W tym przypadku z całą pewnością nie chodziło o pieniądze. Tych Brightlingowi nie brakowało. Ideologia okazywała się zawsze najpewniejszym motywem zdrajcy lub szpiega — ludzie chętniej ryzykują życiem za przekonania, niż za czystą mamonę — ale jaką ten człowiek wyznawał ideologię, tego Popow już nie wiedział. Sumienie?

Co nakazywało mu zrobić sumienie? Jakie zło próbował naprawić? Trudno wyobrazić sobie, by popełnił prawdziwe zło. Ego? Cóż, Brightling miał z pewnością wybijałe ego, ale ego zakładało motyw zemsty, a któż mógł skrzywdzić miliardera Johna Brightlinga w stopniu, w którym zemsta była dla niego warta ceny wielkiego materialnego sukcesu?

Popow skinął na kelnera i zamówił kolejną wódkę. Co tam, do domu może wrócić taksówką.

Po pierwsze, należało wykluczyć pieniądze. Następnie ego. Pozostawała ideologia i sumienie. Jaka doznana krzywda zdolna była skłonić kogoś do czegoś, co jest gorsze od morderstwa? Jeśli chodzi o to pierwsze, Brightling nie był fanatykiem religijnym. Jeśli chodzi o to drugie, nie był w stanie otwartej wojny ze swym krajem. Pieniądze i ego odpadały w przedbiegach, ale ideologia i sumienie szły pod tym względem zaraz za nimi. Popow nie skreślił

ich jeszcze, ale prawdę mówiąc, sam nie wiedział dlaczego. A właściwie wiedział: miał przecież wyłącznie te cztery możliwości, chyba że Brightling był beznadziejnym szaleńcem, a szaleńcem przecież nie był, prawda?

Nie, przyznał sam przed sobą Rosjanin. Ten człowiek prowadził głęboko przemyślane działania i choć jego sposób widzenia świata, a zwłaszcza pogląd na pieniądze, mógł się wydawać egzotyczny, facet miał ich tyle, że należało to uznać za całkowicie usprawiedliwione, w końcu pieniądze są przecież sprawą względną, ktoś dla kogo milion jest niczym drobne na taksówkę, ma prawo myśleć inaczej niż Dmitrij Arkadijewicz Popow. Czyżby był więc szaleńcem, który... Jak głowa państwa, nowy Saddam Husajn, Adolf Hitler, Józef Wissarionowicz Stalin... Nie, nie był głową państwa, nie aspirował do tego tytułu, nie był więc z grona tych, którzy popadają w tego rodzaju szaleństwo.

Pracując dla KGB, Popow miał do czynienia z wieloma sprawami dziwnymi i ciekawymi.

Grał z przeciwnikami światowej klasy. Nigdy nie został złapany, miał więc prawo uważać się za sprytnego. W Bernie czekało na niego przeszło milion dolarów. Wkrótce miało być ich znacznie więcej. Zorganizował dwa ataki terrorystyczne, które przecież osiągnęły swój cel, prawda? W

każdym razie pracodawca uważał je za sukces, choć w rzeczywistości skończyły się klęską.

Wiem coraz mniej, powiedział sobie szczerze Popow. Im bardziej się nad tym wszystkim zastanawiam, tym mniej wiem. A im mniej wiedział, tym bardziej był nieszczęśliwy.

Kilkakrotnie prosił Brightlinga o wyjaśnienia i nie otrzymał ich. Musiało chodzić o coś zupełnie

innego, niezwykłego... Ale o co?

Ćwiczyli oddychanie. Początkowo Dinga to bawiło, choć uznał w końcu, że ćwiczenia te są konieczne. Patsy, wysokiej wprawdzie i szczupłej, daleko było jednak do formy, którą cieszył się dowódca Drugiego Zespołu Tęczy, musiała więc ćwiczyć oddech, by łatwiej urodzić, a ćwiczenia, jak wiadomo, są drogą do doskonałości. No więc siedzieli w domu, na podłodze, jedno i drugie z szeroko rozstawionymi nogami, wdychali i wydychali tak energicznie, jakby ich największym marzeniem było zdmuchnąć dom świnek z bajki i Ding z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu.

— Głęboki, oczyszczający oddech — stwierdził po wyobrażonym skurczu. Ujął dłoń żony i ucałował ją. — Co u ciebie, Pats?

— Jestem gotowa. Chciałabym, żeby już było po wszystkim.

— Boisz się?

— Cóż — odparła doktor Patsy Clark Chavez — wiem, że będzie trochę bolało i wolałabym mieć to za sobą.

— Jasne. — Jej mąż wiedział, że oczekiwanie na coś nieprzyjemnego jest zazwyczaj znacznie gorsze niż jego przeżycie, przynajmniej w sprawach fizycznych. On wiedział o tym z doświadczenia, ona jego doświadczenia nie miała. Może dlatego drugi poród jest niemal zawsze łatwiejszy od pierwszego? Bo wówczas wiadomo, czego się spodziewać, wiadomo, że choć samo przeżycie nie należy do najprzyjemniejszych, kończy się przecież narodzinami dziecka. Dla niego to właśnie było najważniejsze. Miał zostać ojcem! Miał mieć dziecko, miał rozpocząć największą przygodę w życiu, cieszyć się nowym życiem, starać się jak potrafi najlepiej i —

jasne, popełniać błędy, ale uczyć się na każdym z nich, by wreszcie dać społeczeństwu nowego, odpowiedzialnego obywatela. Jego zdaniem to właśnie stanowiło istotę męskości. Owszem, noszenie broni i dobre wykonywanie pracy liczyło się bez dwóch zdań, zwłaszcza gdy było się stróżem społeczeństwa, naprawiało wyrządzone mu zło, broniło niewinnych, reprezentowało siły porządku, teraz jednak pojawiała się przed nim szansa osobistego udziału w tym, na czym cywilizacja się opiera: właściwym wychowywaniu dzieci, uczeniu ich i wskazywaniu na przykładach, co to znaczy postępować właściwie, nawet jeśli przyjdzie mu to robić o trzeciej nad ranem i praktycznie przez sen. Może mały zostanie szpiegiem-żołnierzem jaka tata, może powiedzie mu się lepiej i będzie lekarzem jak mama, ale w każdym razie będzie ważnym i dobrym członkiem społeczeństwa, gotowym służyć innym. Ale po to on i Pats muszą dobrze wykonać swą robotę, a to największa odpowiedzialność w życiu każdego człowieka. Marzył o tym, by już trzymać w ramionach dziecko, by je całować i tulić, by zmieniać pieluchy i myć pupę. Już złożył kołyskę, udekorował ściany dzieciennego pokoju różowymi i niebieskimi zajaczkami, kupił zabawki, by maluch miał się czym zająć i choć wszystko to wydawało się niespójne z jego dotychczasowym życiem, wiedział, że tak

wcale nie jest i wiedzieli o tym ludzie z Tęczy, bo przecież i oni mieli dzieci, i oni zawarli niegdyś ten sam pakt z życiem. Eddie Price, na przykład, miał czternastoletniego syna, nieco zbuntowanego, z całą pewnością obdarzonego silną indywidualnością — i z tych względów przypominającego zapewne swego ojca w tym wieku — lecz także wystarczająco inteligentnego, by wszystko poddawać w wątpliwość i na każde pytanie szukać własnych odpowiedzi, które miał kiedyś znaleźć, tak jak znalazł je jego ojciec. Ten chłopak już teraz wyglądał na żołnierza. Jeśli szczęście mu dopisze, najpierw będzie się uczył, a potem zostanie oficerem. W Ameryce Price też zostałby oficerem, ale Anglia to inny kraj i kraj ten zrobił z niego doskonałego starszego sierżanta, któremu Domingo Chavez ufał

bardziej niż komukolwiek.

Tak, mam na co czekać z radością, powiedział sobie Ding. Nadal trzymał żonę za rękę.

— Boisz się? — spytał.

— Nie, nie boję. Jestem tylko trochę zdenerwowana.

— Kochanie, gdyby było to takie trudne, skąd na świecie wzięłoby się tylu ludzi?

— Prawdziwy z ciebie mężczyzna. Łatwo ci mówić. Nie ty się będziesz wyteżał.

— Ale będę na miejscu i pomogę.

— Tylko spróbuj tam nie być!

Czuwanie

Kiedy Henriksen doleciał na lotnisko Kennedy’ego czuł się tak, jakby jego ciało porozdzierano na strzępy, podziurawiono i rozdeptano, a potem wrzucono do kosza na śmieci, ale nie było w tym nic dziwnego. Przeleciał niemal dokładnie przez pół świata w ciągu kilkunastu godzin i jego biologiczny zegar nie miał zamiaru tak łatwo się z tym pogodzić. Przez najbliższy tydzień miał zasypiać i budzić się o zupełnie przypadkowych porach, ale to nie było szczególnie groźne. Właściwe lekarstwo i drink zawsze pomagało mu zasnąć, kiedy potrzebował

odpoczynku.

Przy końcu rękawa czekał na niego pracownik jego firmy. Bez słowa wziął od niego torbę. W milczeniu poszli odebrać bagaż — dzięki Bogu, jego dwie walizki pojawiły się na taśmie jako piąte. Błyskawicznie znaleźli się w samochodzie i ruszyli autostradą do Nowego Jorku.

— Jak udała się podróż? — spytał kierowca.

— Mamy kontrakt — odparł Henriksen. Kierowca nie należał do członków Projektu.

— To świetnie. — Lecz przecież ten człowiek nie mógł zdawać sobie sprawy, jak świetną w istocie była ta informacja i jak nieprzyjemna miała okazać się dla niego osobiście.

Henriksen zapiął pas i zamknął oczy. Miał zamiar przespać się w drodze.

— No więc co właściwie mamy? — zainteresował się agent FBI.

— Na razie nic — odparł d’Alessandro. — Mam drugą prawdopodobnie zaginioną dziewczynę mieszkającą w sąsiedztwie pierwszej, podobną do niej, ta sama grupa wiekowa i tak dalej. Zaginęła w przybliżeniu w tym samym czasie co ta wasza Bannister. Niejaka Anna Pretloe, sekretarka kancelarii adwokackiej. Znikła z powierzchni ziemi.

— Nie zidentyfikowane ofiary morderstw? — spytał drugi agent

— Żadna nam nie pasuje. Panowie, musimy założyć, że na naszym terenie grasuje seryjny morderca.

— W takim razie skąd wziął się e-mail?

— A pasuje do innych e-maili, które Mary Bannister wysyłała ojcu?

— Nie za bardzo — przyznał starszy stopniem agent FBI. — Ten, który przyniósł do biura w Gary, wyglądał jakby... No cóż, wiecie, dla mnie pachniał narkotykami.

— Zgoda — stwierdził d’Alessandro. — Macie inne?

— Mamy. — Agent wręczył mu kilka wydruków, przefaksowanych z biura w Nowym Jorku. Policjant przejrzał je pobieżnie. Perfekcyjne gramatycznie, logicznie skonstruowane, żadnych błędów

ortograficznych.

— A jeśli tego ostatniego nie wysłała ona? Jeśli wysłał go ktoś inny? — spytał.

— Seryjny morderca? — zdziwił się młodszy agent FBI. Zastanowił się nad tą możliwością i z jego twarzy bez problemu dało się odczytać, co o niej myśli. — Mario, ten facet musiałby być chory jak cholera!

— Jedno ci powiem: seryjni mordercy to nie harcerzyki.

— Torturowanie rodziny? — zastanowił się starszy z agentów. — Mieliśmy kiedyś kogoś takiego?

— Nic o tym nie wiem, Tom, ale jak to się mówi...

— O, kurwa — skomentował to stwierdzenie Tom O'Sullivan.

— Mam zadzwonić w tej sprawie do psychiatrów? — spytał jego partner, Frank Chatham.

O'Sullivan skinął głową.

— To z pewnością nie zaszkodzi — orzekł. — Ja poinformuję o wszystkim Pata O'Sullivana. Potem powinniśmy chyba wydrukować ulotki ze zdjęciem Mary Bannister i zacząć je pokazywać na West Side. Mario, załatwisz nam współpracę twoich ludzi?

— Bez problemu — pośpieszył z zapewnieniem d'Allessandro. — Jeśli rzeczywiście wygląda to tak, jak myślę, chcę mieć tego sukinsyna, nim zabierze się za bicie rekordów. Nie w moim mieście, przyjaciele.

— Masz zamiar znów spróbować Interleukenu? — spytała Barbara Archer.

— Tak. — Killgore skinął głową. — 3a wydaje się wspomagać system odpornościowy, choć producenci nie są pewni, w jaki sposób. Ja też nie wiem, lecz jeśli rzeczywiście przynosi efekty, powinniśmy o tym wiedzieć.

— A co z komplikacjami płucnymi? — Problem z Interleukenem polegał między innymi na tym, że atakował on pęcherzyki płucne z powodów, których również nie znano, był więc niebezpieczny dla palaczy i osób mających problemy z systemem oddechowym.

— Przecież wiem — zgodził się z nią Killgore. — To samo mieliśmy z Interleukenem-2, ale K4 nie pali, a ja chcę się upewnić, czy 3a nie blokuje w żaden sposób naszego Sziwy. Nie możemy pozwolić sobie na takie ryzyko, Barb.

— Zgoda — przyznała Barbara Archer. Podobnie jak Killgore była przekonana, że nowa wersja Interleukenu w niczym im nie zagrazi, ale pewne sprawy po prostu trzeba sprawdzić. —

Co z Interferonem?

— Francuzi od pięciu lat wypróbowują go w przypadku gorączek krwotocznych i do tej pory niczego nie osiągnęli. Możemy spróbować, Barb, ale nic z tego nie wyjdzie.

— Mimo wszystko wypróbujemy go na K4.

— Zgoda. — Killgore dokonał odpowiedniego wpisu na karcie choroby i wyszedł. W chwilę później pojawił się na telewizyjnym monitorze.

— Cześć, Mary — powiedział. — Jak się czujemy z samego rana? Lepiej?

— Nie. — Mary Bannister pokręciła głową. — Brzuch mnie boli. Bardzo.

— Naprawdę? Zaraz zobaczymy, co da się zrobić w tej sprawie. — Choroba postępowała wielkimi krokami, czyżby w górnej części przewodu pokarmowego dziewczyny zaznaczyła się jakaś wada genetyczna, może skłonność do wrzodów? Jeśli tak, Sziwa zniszczy dziewczynę w przyspieszonym tempie. Kroplówkę ustawił na zwiększoną dawkę morfiny. — A teraz damy ci nasze nowe lekarstwa — oznajmił. — Powinny ci pomóc w ciągu dwóch, trzech dni.

— To te, na które podpisałam zgodę? — spytała K4.

— Oczywiście. — Lekarz podwiesił na stole kroplówki Interferon i Interleuken-3a. —

Zaraz poczujesz się lepiej — oznajmił z uśmiechem, lecz jednocześnie pomyślał, że dziwnie tak rozmawiać z laboratoryjnymi szczurami. Cóż, powtarzał sobie wielokrotnie, że szczur, świnia, pies i... w tym wypadku bez wątpienia dziewczyna. W gruncie rzeczy, jaka to różnica? Żadna, powiedział sobie dziś po południu. Mary rozluźniła się pod wpływem morfiny, jej oczy już nie wpatrywały się w jeden punkt. A więc jakaś różnica istnieje. Szczury nie dostawały środków uspokajających i narkotyków, dzięki którym nie czuły bólu. Nie, żeby nie chcieli ich im dawać, nie istniał po prostu praktyczny sposób na zmniejszenie cierpień tych zwierząt. Nie czuł

przyjemności, kiedy ich czerwone błyszczące radośnie oczka gasły, ale — przynajmniej w tym szczególnym wypadku — dowodziło to, że zwierzę laboratoryjne już nie cierpiało.

Informacja okazała się, zdaniem Henriksena, bardzo interesująca, a Rosjanin wykonał

świetną robotę zbierając dodatkowe dane. Byłby świetnym pracownikiem kontrwywiadu... Nie, właściwie to nim był, tyle że oczywiście u drugiej strony.

Pasowało to do planu, który zarysował mu się podczas lotu z Australii.

— Dmitrij — spytał — masz kontakty w Irlandii?

Rosjanin skinął głową.

— Owszem, nawet sporo — przyznał.

Henriksen zerknął w kierunku doktora Brightlinga, a kiedy ten przyzwalająco skinął głową, pytał dalej.

— Czy twoi irlandzcy przyjaciele chcieliby wyrównać rachunki z SAS?

— Dyskutowano o tym wielokrotnie, ale nie znaleziono praktycznego rozwiązania. To zupełnie jak wysłanie rabusiów do strzeżonego banku... Nie, nie tak. To jak wysłanie rabusiów do agencji rządowej drukującej pieniądze.

— Nikt nie będzie przecież atakował Hereford. A jeśli uda się ich wyciągnąć na otwarty teren, przygotować małą pułapkę? — wyjaśnił Henriksen.

Bardzo interesujące, pomyślał Popow, a głośno powiedział:

— Mimo to taka operacja nadal będzie niebezpieczna.

— Rozumiem. Jak wyglądają dziś sprawy w IRA?

Rosjanin wygodnie rozparł się na krześle.

— Tymczasowi IRA są poważnie podzieleni na kilkanaście frakcji. Niektórzy członkowie PIRA pragną pokoju. Niektórzy są nadal zwolennikami walki. Interesy członków poszczególnych frakcji są w równym stopniu ideologiczne co osobiste. Ideologiczne, bowiem niektórzy rzeczywiście wierzą w możliwość osiągnięcia najważniejszego dla nich celu politycznego, jakim jest obalenie zarówno brytyjskich rządów w Północnej Irlandii, jak i republikańskiego rządu w Dublinie, celem ustanowienia jednej, postępowej i socjalistycznej władzy. Cel ten jest, oczywiście, ambitny w stopniu, który we współczesnym świecie czyni go niemożliwym do urzeczywistnienia, ale oni nadal w to wierzą. To marksiści z przekonania, może nawet bardziej maoiści niż marksiści, w tym momencie nie jest to jednak ważne.

— A motywów osobiste? — spytał Brightling.

— Nawet jeśli ktoś staje się rewolucjonistą tylko z powodu przekonań, w pewnym momencie zyskuje wśród ludzi pewien status. Dla wielu jest romantyzmem, niosącym w sercu wizję wspaniałej przyszłości, gotowym poświęcić dla niej życie. Stąd właśnie bierze się wysoki status społeczny rewolucjonisty. Jest on szanowany przez tych, którzy go znają. Utrata tego statusu boli. Musi zacząć pracować na życie, jeździć ciężarówką czy co tam potrafi...

— Dokładnie to samo zdarzyło się z panem po wyrzuceniu z KGB, prawda? — zauważył

Henriksen.

Popow nie mógł zaprzeczyć.

— Do pewnego stopnia, owszem — przyznał. — Jako oficer KGB byłem ceniony i cieszyłem się poważaniem, jakim w Związku Radzieckim obdarzano niewielu, i utrata szacunku była dla mnie ważniejsza niż utrata bardzo skromnej pensji. To samo dotyczy irlandzkich marksistów. Mają więc dwa powody, by nadal wszczynać niepokoje: polityczno-ideologiczny i osobisty: potrzeba bycia postrzeganym jako ktoś ważniejszy od zwykłego pracującego obywatela.

— Zna pan tych ludzi? — nie ustępował Henriksen.

— Owszem, niektórych zapewne potrafiłbym zidentyfikować. Wielu z nich spotkałem w dolinie Bekaa w Libanie, gdzie przeprowadzali ćwiczenia wspólnie z innymi „elementami postępowymi”. Bywałem też w Irlandii, przekazując im informacje i pieniądze na prowadzenie działalności. Operacje te wiązały spore siły brytyjskiej armii, z punktu widzenia Związku Radzieckiego były więc warte poparcia, ponieważ odwracały uwagę NATO. — Popow umilkł i spojrzał na rozmówców. — Co mieliby zrobić?

— Jest to sprawa raczej „jak” niż „co” — wyjaśnił Bill. — Kiedy jeszcze pracowałem w FBI panowało tam przekonanie, że irlandzcy terroryści są najlepsi na świecie: pełni poświęcenia, sprytni i całkowicie pozbawieni skrupułów.

— Jestem skłonny zgodzić się z tą opinią. Są doskonale zorganizowani, ich zaangażowanie nie budzi zastrzeżeń, no i nie odmówią udziału nawet w najtrudniejszej operacji, jeśli może ona przynieść znaczące polityczne skutki.

— A jaki będzie ich pogląd na taką akcję?

— Jaką akcję?

Bill podał mu podstawowe fakty. Rosjanin wysłuchał go uprzejmie, milczał przez chwilę, a potem pokiwał głową. — Spodoba im się — orzekł — ale to poważne przedsięwzięcie... I bardzo niebezpieczne.

— Czego będą potrzebować?

— Pieniądzy i innego rodzaju wsparcia, broni, materiałów wybuchowych, środków umożliwiających skuteczne działanie. Obecne tarcia wewnętrzne najprawdopodobniej poważnie zaszkodziły ich logistyce. Niewątpliwie w ten właśnie sposób frakcja pokojowa próbuje kontrolować frakcję wojującą: ograniczając jej dostęp do broni. Bez broni nie przeprowadzi się żadnej poważnej akcji, a więc nie umocni się także statusu. Wniosek z tego taki, że jeśli da im się środki, poważnie rozważą plan.

— Pieniądze?

— Pieniądze umożliwiają dokonywanie zakupów. Frakcja wojująca została prawdopodobnie odcięta od regularnych źródeł finansowania.

— Jakich? — spytał Brightling.

— Kluby nocne i to, co u was nazywa się chyba „wymuszaniem ochrony”.

— Słusznie — wtrącił Henriksen. — W ten sposób zdobywali fundusze. Zgadzam się, że obecnie źródła dochodów kontroluje frakcja pokojowa.

— Dmitrij, jak sądzisz, ile to będzie kosztowało?

— Kilka milionów dolarów. Powiedziałbym, że co najmniej kilka milionów.

— Będziesz musiał przeprać je bardzo dokładnie — ostrzegł szefa Henriksen. — Mogę pomóc.

— Powiedzmy, pięć milionów?

— Być może ta suma wystarczy — stwierdził Popow po chwili zastanowienia. — W

połączeniu z satysfakcją, jaką sprawiłoby im wygolenie grzywy lwu tak blisko jego jaskini. Ale w tej chwili nie jestem w stanie obiecać niczego. Ci ludzie sami podejmują decyzję, kierując się własnym rozumem.

— Kiedy najszybciej dałoby się zorganizować spotkanie?

— W dwa do trzech dni po przybyciu do Irlandii.

— Leć natychmiast — zdecydował Brightling.

— Jeden z nich wygadał się przed akcją — oznajmił Tawney. — Miał na imię Renè.

Rozmawiał z dziewczyną. Dziewczynie dokuczyło sumienie i zgłosiła się sama. Francuzi przesłuchali ją wczoraj.

— I? — spytał Clark.

— Celem operacji miało być uwolnienie Carlosa. Nie powiedział czy akcja ta została nadana przez kogoś trzeciego. W ogóle niewiele mówił, choć w przesłuchaniu padło nazwisko jeszcze jednego uczestnika, a przynajmniej tak sądzą nasi francuscy przyjaciele. Właśnie je sprawdzają. Ta dziewczyna... no cóż, od dłuższego czasu byli kochankami. Najwyraźniej się jej zwierzał. Zgłosiła się na policję z własnej woli, dlatego, że zginęła ta mała Holenderka.

Francuskie gazety zrobiły z tego wielką sprawę i chyba miała napad wyrzutów sumienia.

Powiedziała policji, że próbowała odwieść go od tej operacji, nie powiem, że bym akurat w to wierzył, a on oświadczył, że się nad tym zastanowi. Najwyraźniej się nie zastanowił, ale Francuzi owszem, zaczęli szukać ludzi, którzy nie zgodzili się na udział w ataku na park rozrywki. Szukają

podejrzanych, zamierzają poważnie z nimi porozmawiać. Mam nadzieję, że coś z tego wyniknie.

— I to wszystko? — zdziwił się Clark.

— W każdym razie całkiem sporo — zauważył Peter Covington. — Więcej niż wiedzieliśmy wczoraj, a Francuzi mają dodatkowe tropy do przesłedzenia.

— Może i tak — przyznał Chavez. — Ale dlaczego ci goście wyszli z ukrycia? Kto im nadaje akcje?

— Macie coś w sprawie dwóch poprzednich przypadków? — spytał Clark.

— Nic, cholera — przyznał Tawney. — Niemcy sprawdzili wszystko, co dawało się sprawdzić. Widziano samochody przyjeżdżające do Früchtnera i Dortmund, ale ona była przecież artystką, więc być może ludzie po prostu kupowali jej obrazy. W każdym razie nie mamy nawet opisów tych samochodów, nie wspominając już o numerach rejestracyjnych. Ślepy trop, chyba że na policji nagle pojawi się ktoś i złoży zeznanie.

— Znani wspólnicy? — spytał Covington.

— Wszyscy zostali przesłuchani przez BKA, bez żadnych rezultatów. Hans i Petra nie słyneeli z gadulstwa. To samo dotyczy Modela i Guttenacha. — Tawney tylko machnął ręką. Był wyraźnie zrezygnowany.

— To coś jest gdzieś tam — powiedział Chavez. — John, ja to czuję!

— Zgadzam się. — Covington skinął głową. — Tylko jak złapać to coś w garść?

Clark skrzywił się niemiłosiernie, choć z dawnych spędzonych w terenie czasów pamiętał, jak załatwia się tego rodzaju sprawy. Chciałoby się dostać dokładne informacje, ale informacje nie pojawiały się od samego chcenia. Zupełnie jakby same decydowały, kiedy się ujawnić. Proste to i jednocześnie doprowadzające do szaleństwa, zwłaszcza kiedy wiedziało się, że właściwa — i tak cholernie potrzebna — odpowiedź jest gdzieś tam. Byle odprysk prawdziwej informacji wystarczyłby Tęczy do spuszczenia ze smyczy policji, której celem byłoby znalezienie właściwej osoby lub właściwych osób i przypiekanie ich na wolnym ogniu, póki nie wypłułyby z siebie wszystkiego. Francuzi i Niemcy byłiby tu najlepsi — w tych dwóch krajach policji nie narzucono ograniczeń obowiązujących Amerykanów i Brytyjczyków. Ale... Nie, nie wolno myśleć w ten sposób, FBI też umiało skłonić podejrzanych do wynurzeń, choć z obowiązku podchodziło do kryminalistów w białych rękawiczkach. Nawet terroryści, którzy wpadli w ramiona sprawiedliwości, śpiewali zazwyczaj jak kanarki. Chociaż od tego też były wyjątki, uświadomił sobie John, na przykład Irlandczycy. Niektórzy z tych sukinsynów w ogóle się nie odzywali, nie podawali nawet nazwisk. Cóż, są sposoby nawet na takich twardzieli.

Wystarczyło tylko porozmawiać z nimi poza zasięgiem policji, napełnić ich bojaźnią bożą i — co tu ukrywać — uświadomić im, co to znaczy ból. Podobno skutkowało to „zazwyczaj”. Z

doświadczeń niejakiego Johna Clarka wynikało jednak, że skutkuje to zawsze. Tyle że trzeba mieć z

kim rozmawiać. W tym problem.

Jako agent terenowy CIA John Clark często podróżował do dalekich i niezbyt przyjaznych krajów, gotów działać na rozkaz i dowiadywał się, że rozkaz ów nie nadejdzie lub

— co gorsza — nadejdzie z nieokreślonym opóźnieniem, ponieważ ktoś gdzieś zapomniał o ważnej informacji lub informacja ta zaginęła po drodze. Widział, jak z tego prozaicznego powodu w czterech różnych miejscach, zawsze jednak za Żelazną Kurtyną, zginęli trzej mężczyźni i kobieta. Cztery osoby, których twarze znał i do tej pory pamiętał, zginęły zamordowane w majestacie prawa przez swe ojczyzny. Walczyli z tyranią i w końcu zwyciężyli, a jednak nie udało im się doczekać owoców zwycięstwa, które ich odwaga z całą pewnością przybliżyła i na sumieniu Johna Clarka ciążyło właśnie to, że ich pamiętał. To właśnie ta pamięć spowodowała, że nienawidził ludzi dysponujących informacjami, lecz nie potrafiących dostarczyć ich na czas. Tak jak teraz. Domingo miał całkowitą rację. Ktoś wyciągał te ludzkie zwierzęta z ich kryjówek, a on nie pragnął niczego więcej niż dorwać tego kogoś. Gdyby dopadł

jego (albo ją), zdobyłby nazwiska, numery telefonów, adresy, dzięki którym policje państw europejskich mogłyby przeprowadzić wielką skoordynowaną akcję, poważnie ograniczając działalność terrorystów, zagrażającą temu kontynentowi niczym wisząca na horyzoncie burzowa chmura. A to byłoby przecież o niebo lepsze, niż wysyłanie w pole ludzi z gotową do użycia bronią.

Popow pakował się po raz kolejny. Miał już w tej dziedzinie spore doświadczenie —

koszule wyjmował z walizek bez jednej zmarszczki, a przecież tej sztuki nie nauczył go KGB.

Jasne, dziś były to znacznie droższe koszule, więc trzeba było bardziej się o nie troszczyć. W

odróżnieniu od koszul walizki miały jednak wiele wspólnego z jego poprzednią pracą — na przykład wyposażone były w wewnętrzne skrytki i kieszenie, w których przechowywał

„alternatywne” dokumenty podrózne. Ostatnio stale trzymał je przy sobie. Na wypadek gdyby cały ten ich cholerny program zawalił się pod własnym ciężarem, chciał mieć możliwość zniknięcia bez śladu, w czym trzy czyste zestawy dokumentów mogły mu bardzo pomóc. W

najgorszym razie mógł zawsze zlikwidować konto w Bernie i zniknąć w Rosji, miał jednak zdecydowanie inne plany na przyszłość...

...i obawiał się, że zachłanność może zmącić mu trzeźwą ocenę rzeczywistości. Pięć milionów dolarów! Gdyby udało mu się jakoś przechwycić tę forszę — i mądrze ją zainwestować

— miałby wreszcie tyle, by żyć komfortowo do samej śmierci, w dowolnie wybranym przez siebie miejscu. Ale jak zwędzić forszę przeznaczoną dla PIRA? Cóż, i na to są sposoby, wcale nietrudne do wymyślenia.

Popow zamknął oczy i zadał sobie pytanie: „czym jest zachłanność?” Czyżby zachłanność odbierała

mu przytomność umysłu, konieczną przecież w sytuacji operacyjnej? Czy przypadkiem nie ryzykuje za wiele, oślepiony perspektywą zrobienia fortuny? Trudno jest zachować obiektywizm wobec własnych, osobistych motywacji. I trudno jest myśleć o sobie jako człowieku wolnym, a nie trybiku w maszynie KGB, jednym z tysięcy funkcjonariuszy terenowych zmuszonych do rozliczania się z każdego wydanego dolara, funta i rubla wobec księgowych rezydujących na Łubiance, jedynych naprawdę pozbawionych poczucia humoru ludziach w tej wyjątkowo przecież pozbawionej poczucia humoru instytucji.

Rosjanin naprawdę bał się chciwości. Uznał, że musi po prostu o niej zapomnieć i realizować plan jak prawdziwy zawodowiec, którym przecież był: ostrożny, uważający na każdy krok, chroniący się w ten sposób przed pochwyleniem przez nieprzyjacielski kontrwywiad lub choćby przez tych, z którymi miał się spotkać. PIRA, Skrzydło Tymczasowych Irlandzkiej Armii Republikańskiej to przecież najbardziej bezwzględni terroryści na świecie. Jego członkowie byli być może fajnymi kompanami przy wódce — pod tym względem rzeczywiście przypominali Rosjan — ale przeciwników zabijali z kliniczną obojętnością lekarza zabijającego laboratoryjne szczury. Z drugiej strony bywali także lojalni poza granice zdrowego rozsądku. Łatwo było przewidzieć ich zachowania i to grało na korzyść Popowa. Poza tym wiedział także, jak z nimi rozmawiać, w końcu spotykali się przecież wielokrotnie: w samej Irlandii i w dolinie Bekaa. Po prostu nie wolno dopuścić do tego, by zorientowali się, że to ja przejąłem przeznaczoną dla nich forszę, pomyślał Rosjanin.

Spakował się i zjechał windą na dół. Portier złapał mu taksówkę na La Guardia, skąd lotem wahadłowym poleciał do Bostonu, by złapać tam lot Air Lingus do Dublina. Praca dla Brightlinga nabiła mu przynajmniej kilometrą, choć korzystał z usług tylu linii, że nie miało to żadnego praktycznego znaczenia. Ale dzisiejszy pracodawca fundował mu pierwszą klasę, na co KGB nigdy nie było stać. Siedzący na siedzeniu z tyłu kabiny pierwszej klasy Dmitrij Arkadijewicz uśmiechnął się. Jedno zadanie musisz wykonać: musisz uczciwie porozmawiać z Tymczasowymi, powiedział sobie. Jeśli zdarzy się okazja zwinięcia tych pięciu milionów, skorzystaj. Popow był pewien jednego: Irlandczycy będą go całować po rękach za tę operację.

Zbyt dobra okazja, by ją sobie odpuścili. Cokolwiek by o nich powiedzieć, mają styl.

Agent specjalny Patrick O'Connor przeczytał przysłany z Nowego Jorku faks.

Największym problemem w śledztwach dotyczących porwania był rzecz jasna czas. Oczywiście, żadne dochodzenie nie toczy się wystarczająco szybko, ale sprawy porwań są najgorsze, ponieważ prowadzący je wiedzą, że gdzieś tam jest ktoś, czyje życie zależy od ich zdolności zdobycia informacji i podjęcia na ich podstawie właściwych decyzji, nim porywacz zdecyduje się skończyć tę nieprzyjemną zabawę, zabić zakładnika i znaleźć sobie następnego. Znaleźć następnego? Owszem, to całkiem możliwe, nie było przecież żądań okupu, a to oznaczało, że ktoś, kto zgarnął Mary Bannister z ulicy, nie ma zamiaru nią handlować. Nie, ten ktoś się nią bawi, prawdopodobnie zaspokaja swe potrzeby seksualne, a kiedy się znudzi, zabije ją bez wahania. O'Connor założył więc, że uczestniczy w wyścigu toczącym się na torze, którego nie widzi, z czasem odmierzonym przez stoper ukryty w dłoni przeciwnika. Miał listę przyjaciół i współpracowników dziewczyny z Gary, jego ludzie rozmawiali z nimi wszystkimi z nadzieją, że podczas tych rozmów padnie nazwisko, może numer telefonu posuwający śledztwo krok do przodu... Ale to mało prawdopodobne, doszedł do wniosku agent. To nowojorska sprawa. Młoda dziewczyna pojechała do wielkiego miasta z nadzieją na lepsze

życie w jaskrawym blasku neonów — nie ona pierwsza, nie ostatnia. Podobne jej dziewczęta często znajdowały to, czego szukały, w przeciwnym razie nikt by przecież nie wyjeżdżał, ale nie ta z przedmieścia Gary w Indianie, ona nie wiedziała, czym jest wielkie miasto, życie nie uzbroiło jej w oręż konieczny do przetrwania w ośmiomilionowym mrowisku...

O'Connor musiał przyznać, przynajmniej w myślach, że Mary najprawdopodobniej już nie żyje, zabita przez jakiegoś potwora, który pewnie porwał ją wprost z ulicy. Na to nic już nie mógł poradzić, oprócz zidentyfikowania, aresztowania i doprowadzenia do skazania szalonego sprawcy, co zapobiegnie, oczywiście, dalszym ewentualnym morderstwom, choć tej ofierze będzie to już obojętne, bowiem pozostanie po niej tylko teczka na jego biurku. Cóż, to jeden z problemów pracy gliniarza. Nie uda się uratować ich wszystkich. Można jednak próbować się zemścić za tych, których nie udało się uratować, a to już coś.

Agent wstał, zdjął płaszcz z wieszaka i wyszedł. Wracał do domu.

Chavez popijał Guinnessa, rozglądając się po klubie. Na ścianie naprzeciw baru wisiał

orzeł — godło rzymskiego legionu. Goście podchodzili, by z szacunkiem dotknąć drewnianego drzewca. Trzej ludzie z jego Drugiego Zespołu siedzieli, popijając piwo i rozmawiając o czymś z dwójką żołnierzy Petera Covingtona. Telewizor był włączony, pokazywano w nim... mistrzostwa w bilardzie? Czyżby w Anglii było to wydarzenie narodowe? — zdumiał się Chavez.

Nadeszła pora na wiadomości i pogodę.

Znowu ten *El Niño*, prychnął Chavez. Kiedyś pogodę nazywano po prostu pogodą, a potem jakiś cholerny oceanograf odkrył, że proporcje mieszanki ciepłych i zimnych wód oceanicznych u wybrzeży Ameryki Południowej zmieniają się co kilka lat, i że wraz z tą zmianą tu i ówdzie zmienia się nieznacznie klimat, a media radośnie podchwyciły tę rewelację szczęśliwie, że mają oto nazwę dla zjawiska, którego w swej ignorancji nie potrafią pojąć.

Właśnie informowały dumnie, że Efekt *El Niño* w swym najnowszym wydaniu spowodował niezwykle ocieplenie mas powietrza nad Australią.

— Panie C, pan jesteś wystarczająco stary, by pamiętać. Jak to się właściwie nazywało, nim pojawiły się wszystkie te bzdury? — spytał teścia.

— Nazywało się to upalną, zimną lub typową dla pory roku pogodą. Meteorologowie starali się przewidzieć, czy jutro będzie ciepło, czy zimno, słonecznie czy deszczowo, a potem podawano przewidywane wyniki baseballu. — Clark nie dodał, że wyniki meczów przewidywano znacznie dokładniej niż pogodę. — Jak tam Patsy?

— Jeszcze tylko parę tygodni, John. Trzyma się nieźle, ale przeszkadza jej, że ma taki wielki brzuch. — Ding zerknął na zegarek. — Za pół godziny powinna wrócić do domu. Pracuje na tej samej zmianie co Sandy.

— Dobrze śpi? — pytał dalej troskliwy ojciec.

— Dobrze, tylko budzi się, kiedy mały *hombre* przewraca się z boku na bok. Odpuść sobie, John. Dobrze się nią opiekuję. Cieszysz się, że zostaniesz dziadkiem?

Clark popijał trzecie tego wieczora piwo.

— Kolejny kamień milowy na drodze do śmierci — powiedział i nagle zachichotał. —

Jasne, Domingo, bardzo się cieszę. — I, dodał w myślach, będę tego twojego dzieciaka rozpuszczał jak dziadowski bicz, a kiedy się rozplacze, to już wasz problem. — A ty co, czujesz się już tatusiem?

— Mam wrażenie, że jakoś sobie poradzę, John. W końcu to chyba nie takie trudne.

Skoro ty sobie poradziłeś...

John Clark nie podjął wyzwania.

— Za kilka tygodni wyślemy paru naszych ludzi do Australii — powiedział, zmieniając temat.

— Po co?

— Kangury obawiają się trochę o olimpiadę, a my wyglądamy całkiem seksownie z trzema udanymi operacjami na trzy przeprowadzone. Więc chcę, żebyśmy przyjrzeni się paru sprawom z ich SAS-em.

— Dobrzy są?

Clark skinął głową.

— Podobno tak, ale co dwie głowy to nie jedna, prawda?

— Kogo wyślesz?

— Jeszcze nie zdecydowałem. Najęli już firmę konsultingową, Global Security, prowadzoną przez faceta z FBI. Noonan go zna. Henriksen czy jakoś tak.

— Czy Australijczycy mieli kiedyś do czynienia z terrorystami?

— O ile wiem, nie. W każdym razie nie zdarzyło się im nic poważnego, ale... nie pamiętasz Monachium w 1972, prawda?

Chavez pokręcił głową.

— Wiem tyle, co przeczytałem — przyznał. — Niemieccy gliniarze cudnie spieprzyli sprawę.

— Chyba rzeczywiście. Nikt ich nie uprzedził, że mogą kiedyś stanąć twarzą w twarz z czymś takim. No i dobrze, teraz już wiemy. Od tego zaczęło się GSG-9, a oni są naprawdę dobrzy.

— To tak jak z „Titanikiem”? Statki pasażerskie mają teraz nadmiar łodzi ratunkowych, bo na „Titaniku” ich zabrakło?

John skinął głową i odstawił pusty kufel.

— Tak to właśnie jest. Ludzie uczą się na błędach... i to najczęściej własnych.

— Dobra, fajnie, ale dlaczego nie dotyczy to terrorystów? — Chavez dokończył drugie piwo. — Daliśmy im nauczki, i to nie raz. Ale czy twoim zdaniem możemy teraz zejść ze sceny?

Nic z tych rzeczy, panie C. Oni gdzieś tam są. Nie zamierzają przejść na emeryturę. Niczego się nie nauczyli.

— Jedno ci powiem, dla mnie byłaby to bardzo dotkliwa lekcja. Może są po prostu głupszy od nas? O to już pytaj Bellowa.

— Możesz być spokojny, John. Zapytam.

Popow zasypiał. Ocean pod brzuchem *Boeinga 747* Air Lingus przypominał atrament.

Rosjanin wybiegał myślą daleko przed maszynę, próbując przypomnieć sobie twarze i głosy z przeszłości, zastanawiając się, czy jego kontakty nie pracowały teraz przypadkiem dla brytyjskiej Służby Bezpieczeństwa, czy nie zameldują jej o nim, co doprowadziłoby z pewnością do identyfikacji, a prawdopodobnie do aresztowania. Ale chyba nie, pocieszył się. Wydawali się ludźmi pełnymi poświęcenia dla sprawy. Tyle że na tym świecie nie ma nic pewnego. Ludzie prawi stają się zdrajcami dla bardzo wielu bardzo różnych powodów. Pomógł wielu z nich przekroczyć ten próg, złamać zaufanie, zdradzić kraj, często za bardzo niewielkie pieniądze. O ile łatwiej zwrócić się przeciw ateście, cudzoziemcowi, udzielającemu zaledwie niepewnego poparcia. Co będzie, jeśli jego kontakty zorientowały się wreszcie, że ich sprawa jest beznadziejna? Choć zawsze o tym marzyli, Irlandia nie miała stać się państwem marksistowskim.

Państw marksistowskich w ogóle pozostało niewiele, choć profesorowie na całym świecie nadal studiowali słowa i idee Marksa, Engelsa, a nawet Lenina. Byli nawet tacy, którzy twierdzili, że komunizm próbowano wprowadzić w niewłaściwym kraju, że Rosja to kraj zbyt zacofany, by ta wspaniała idea mogła ukazać całą swą wspaniałość.

Skrzywił wargi w ironicznym uśmiechu i potrząsnął głową. Był niegdyś członkiem organizacji, którą nazywano Tarczą i Mieczem Partii. Studiował na Akademii, uczestniczył pilnie we wszystkich zajęciach z nauk politycznych, poznał właściwe odpowiedzi na wszystkie, zawsze takie same pytania i był wystarczająco inteligentny, by zawsze udzielać takich odpowiedzi, jakie pragnęli usłyszeć nauczyciele, zapewniając sobie w ten sposób nie tylko wysokie oceny, lecz także szacunek wykładowców, z których niewielu tylko rzeczywiście wierzyło w ten bełkot, choć żaden z nich nie był wystarczająco odważny, by głośno powiedzieć, co myśli. Zdumiewające, jak długo przetrwały te kłamstwa, i Popow nadal dobrze pamiętał, jak strasznie zaskoczył go widok czerwonej flagi opadającej z masztu na Spasskiej Wieży Kremla. Można było odnieść wrażenie, że nic nie żyje tak długo jak fałszywa idea.

Obyczaje

Amerykę od Europy różniło między innymi to, że kraje europejskie rzeczywiście chętnie widziały cudzoziemców, podczas gdy Amerykanie, mimo swej słynnej gościnności, utrudniali, jak mogli, przekroczenie granicy państwa. Irlandczycy za to z całą pewnością nie wznosili żadnych barier. Paszport Popowa został ostemplowany, kontrola celna była zaś tak pobieżna, że celnik nie zauważył pewnie nawet, czy właścicielem bagażu jest mężczyzna, czy kobieta. Popow wydostał się z lotniska prawie natychmiast, złapał taksówkę i pojechał do hotelu. Okna jego jednoosobowego pokoju wychodziły na wielką autostradę. Natychmiast rozebrał się i padł na łóżko, pragnąc złapać parę godzin snu przed pierwszym telefonem. W ten słoneczny poranek zasypiał z nadzieją, że numer kontaktowy nie został zmieniony lub wykryty. W tym drugim przypadku musiałby gęsto tłumaczyć się na policji, ale przygotował sobie odpowiednią historyjkę, niedoskonałą może, ale wystarczająco dobrą, by ochronić kogoś, kto nie popełnił

przecież nigdy żadnego przestępstwa przeciw Republice Irlandii.

— Parasole, prawda jest taka: będziemy się sypać z dupy tego ptaka — zaintonował

Vega. Rozpoczynali właśnie ostatni kilometr porannego biegu.

Chaveza zawsze dziwiło, że ktoś tak wielki jak starszy sierżant Julio Vega nie wymięka podczas biegu. Julio był o dobre piętnaście kilogramów cięższy od najcięższego poza nim członka Drugiego Zespołu. Jeszcze centymetr obwodu w klatce piersiowej i mundur trzeba byłoby szyć mu na miarę, lecz mimo tej masy nie zawodziły go ani nogi, ani płuca. Dziś on prowadził poranny bieg. Za cztery minuty dobiegną do mety, na którą wszyscy czekali z utęsknieniem, choć nikt by się do tego głośno nie przyznał.

— Marsz! — zakomenderował Vega po przekroczeniu żółtej linii i komandosi zwolnili do zwykłego tempa stu dwudziestu kroków na minutę. — Lewa! Lewa! Lewa prawa lewa! —

Jeszcze pół minuty. — Oddział, STÓJ! — Kiedy stanęli, kilku z nich, którzy wczoraj wypili pewnie o piwo czy dwa za dużo, rozkaszało się, ale poza tym — nic.

Chavez stanął przed dwuszeregiem i dał „Rozejść się!” Jego ludzie, zakończywszy ranną rozciągającą mięśnie przebieżkę, poszli wziąć prysznic. Nieco później odbędzie się jeszcze na strzelnicy symulacja akcji. Nie spodziewał się żadnych atrakcji, przećwiczyli chyba wszelkie możliwe warianty sytuacji z zakładnikami i terrorystami. Strzelali niemal doskonale. Kondycję fizyczną mieli znakomitą, morale zaś było tak wysokie, że żołnierze wręcz wydawali się znudzeni. Nie wątpili w swe możliwości, okazali je bardzo przekonująco w walce, strzelając prawdziwymi kulami do prawdziwych przeciwników. Nawet służąc w 7. Dywizji Piechoty Lekkiej nie miał takiego zaufania do swych ludzi. Doszło wręcz do tego, że żołnierze brytyjskiego pułku SAS, znanego z własnej, długiej i chlubnej historii, początkowo przyglądający się żołnierzom Tęczy ze sporo dozą sceptycyzmu, teraz zapraszali ich do swojego klubu, a nawet wspominali, że mogliby się od nich tego i owego nauczyć. Nieprawdopodobne, skoro SAS uważany był za mistrza świata w operacjach specjalnych.

Kilka minut później, wykąpany i przebrany, Chavez udał się do pomieszczeń biurowych, gdzie jego ludzie, każdy przy swoim biurku, przeglądali dane wywiadowcze przygotowane przez Billa Tawneya i jego ludzi oraz zdjęcia, z których dużą część komputer postarzył o lata, które minęły od ich zrobienia. Ten system doskonalił się z dnia na dzień wraz z używanym przezeń oprogramowaniem. Ze zdjęcia zrobionego z profilu potrafił na przykład „wydedukować” en face.

Jego ludzie wpatrywali się w fotografie z taką uwagą, jakby to były portrety ich dzieci, zapoznając się także z dodatkowymi informacjami: kto ukrywa się i najprawdopodobniej gdzie, jakich ma znanych współpracowników i kogo podejrzewa się o współpracę z nim i tak dalej.

Chavezowi wydawało się to stratą czasu, ale nie da się biegać i strzelać przez cały dzień, a poza tym zidentyfikowali Früchtnera i Dortmund w Wiedniu, więc może jednak nie była to całkowita strata czasu.

Starszy sierżant Price mozolił się nad budżetem, który miał później trafić na biurko Dinga do ostatecznego sprawdzenia, tak by szef mógł rozliczyć wydatki i może nawet zwrócić się o dodatkowe fundusze na ten czy inny nowy pomysł. Tim Noonan bawił się nowymi elektronicznymi cackami. Clark zaś, jak zawsze, toczył finansowe boje z CIA i innymi agendami rządu Stanów Zjednoczonych. Chavezowi wydawało się to strasznym marnowaniem czasu i energii. Tęcza była nie do ruszenia od samego początku — poparcie prezydenta nie zaszkodzi nikomu — a trzy operacje nie zmniejszyły chyba ich wiarygodności, od której zależały pieniądze.

Za jakieś dwie godziny odbędą się ćwiczenia na strzelnicy, sto strzałów z broni krótkiej i długiej, a potem symulowana akcja, słowem, dzień jak co dzień. Dla Dinga „dzień jak co dzień” oznaczał

zwykłą nudę, ale na nudę nic nie dało się poradzić, a w CIA był jeszcze gorzej, właściwie cały czas spędzał czekając na spotkanie, wypełniając formularze wyjaśniające przebieg operacji biurokratom z Langley, domagającym się pełnej dokumentacji z wszystkiego, co zdarzyło się w terenie ponieważ takie były zasady. Zasady, narzucone przez ludzi, którzy operowali w terenie i robili to, co on robił, tyle że pokolenie wcześniej, ale nie mieli wątpliwości, że nadal wszystko wiedzą najlepiej albo — co znacznie gorsze — przez tych, którzy o niczym nie mieli pojęcia i z tego właśnie powodu byli tak cholernie wymagający. Rząd, wywalający miliardy na lewo i prawo, potrafił być jednocześnie tak szalenie drobiazgowy, gdy trzeba było wydać tysiąc dolców i chyba nikt, a już z pewnością nie on, nie był w stanie nic na to poradzić.

Pułkownik Malloy miał już gabinet w kwaterze, bowiem zdecydowano, że będzie dowódcą „sił powietrznych” Tęczy. Jako oficer sztabowy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych przyzwyczajony było do tego rodzaju nonsensów i już zaplanował sobie, że powiesi na ścianie tarczę do gry w rzutki, co miało zapewnić mu rozrywkę na wypadek braku pracy. Dla niego pracą było pilotowanie helikoptera, którego — uświadomił sobie — akurat nie ma, bowiem przechodził właśnie remont. Jakiś dynks zostanie zamieniony na nowy doskonalszy dynks, co zwiększy możliwość zrobienia czegoś, o czym na razie nic nie wiedział, ale co okaże się na pewno szalenie istotne, zwłaszcza dla firmy, która wymyśliła, opracowała i wyprodukowała nowy, doskonalszy dynks.

No, mogło być gorzej. Żonie i dzieciom podobało się w Anglii, jemu samemu zresztą też.

Praca wymagała od niego zręczności, nie była jednak szczególnie niebezpieczna. Pilot helikoptera w oddziale do zadań specjalnych nie narażał się raczej na niebezpieczeństwo. Bał się tylko uderzenia w linię wysokiego napięcia, a to było poważne niebezpieczeństwo, jako że Tęcza operowała głównie na terenach gęsto zabudowanych, no i przecież w ciągu ostatnich dwudziestu lat więcej helikopterów padło ofiarą przewodów elektrycznych, niż dowolnej broni przeciwlotniczej użytej we wszystkich zakątkach świata. Jego *MH-60K* nie był wyposażony w urządzenie do przecinania kabli, co skrytykował w ostrej notatce skierowanej do dowódcy 24.

Dywizjonu Operacji Specjalnych. Dowódca w odpowiedzi przesłał mu kopię sześciu kolejnych próśb dotyczących tego właśnie problemu, skierowanych do dowódcy jednostki macierzystej, a także wyjaśnił, że jakiś ekspert Pentagonu rozważa właśnie modyfikacje używanego sprzętu.

Zdaniem Malloya mogło się to skończyć kontraktem konsultingowym na trzysta tysięcy dolarów, zawartym z którymś z „Bandytów z Obwodnicy[1]”, który w końcu odpowie „Aha, niezły pomysł” w postaci czterystustronicowego opracowania napisanego biurokratycznym żargonem.

Nikt go nawet nie przeczyta, lecz ekspertyza powędruje, oczywiście, do świętych archiwów, by gnić tam do końca świata. Tymczasem modyfikacja helikoptera kosztowałaby może trzy tysiące dolarów, wliczając robociznę, a wykonałby ją sierżant i tak pracujący w Siłach Powietrznych na pełen etat i biorący pensję niezależnie od tego, czy coś robi, czy też siedzi za biurkiem czytając

„Playboya”. Zasady są jednak, niestety, zasadami. Zresztą kto wie, może za rok *Night Hawk* doczeka się jednak tego cudu techniki?

Malloy skrzywił się gorzko. Żałował, że nie może pograć w rzutki. Informacje wywiadu nie były mu potrzebne do niczego. Nie musiał znać twarzy terrorystów i osób podejrzanych o prowadzenie działalności terrorystycznej. On nie strzelał. Może i nazywali go dowódcą „sił

powietrznych”, ale w gruncie rzeczy był szoferem. Cóż, mogło być gorzej. Na razie ciągle nosił

kombinezon lotniczy, nawet za biurkiem, zupełnie jakby trafił do jakiegoś przyzwoitego oddziału lotniczego. Latał jakieś cztery dni w tygodniu, też niezłe, a kiedy skończy mu się ten przydział, o czym dowiedział się z plotek, będzie mógł zapewne przejść do dywizjonu *VMH-1* i być może nawet wozic prezydenta. Nudna robota, ale z perspektywami awansu. Z całą pewnością nie przeszkodziła w karierze jego staremu przyjacielowi, pułkownikowi Hankowi Goodmanowi, który właśnie dostał gwiazdki — rzadki wyczyn dla pilota śmigłowców, bowiem lotnictwem morskim rządziły — i to żelazną ręką — błyskawice z myśliwców bombardujących. Cóż, nosili ładniejsze odznaki pilotów. Malloy zdecydował, że przed lunchem musi się jakoś rozerwać, więc wyjął specyfikację techniczną *MH-60K* i pogрузzył się w lekturze szczegółowych danych silnika, czym zajmowali się na ogół mechanicy.

Pierwsze spotkanie odbyło się w parku. Popow sprawdził numer w książce telefonicznej i tuż przed południem zadzwonił do niejakiego Patricka X. Murphy’ego.

— Dzień dobry, mówi Joseph Andrews — powiedział do słuchawki. — Chciałbym skontaktować się z panem Yatesem.

Zapadła cisza, jakby rozmówca szukał w pamięci odzewu. Przypomniał sobie dopiero po dobrych dziesięciu sekundach.

— Ach, oczywiście, pan Andrews. Długo się pan nie odzywał.

— Przyleciałem do Dublina dziś rano. Bardzo zależy mi na jak najszybszym spotkaniu.

Kiedy można byłoby to zorganizować?

— Nawet o pierwszej po południu. — I rozmówca podał mu odpowiednie instrukcje.

Teraz Popow siedział w parku na określonej ławce tuż przy wielkim dębie, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, w kapeluszu z szerokim rondem, w prawej dłoni trzymając egzemplarz „Irish Timesa”. Zdażył nawet przeczytać gazetę, ciekaw był informacji ze świata, ale nie dowiedział się z niej niczego, czego nie podawałaby poprzedniego wieczora CNN. Wraz z upadkiem Związku Radzieckiego wiadomości zagraniczne stały się tak strasznie nudne...

Ciekawe, jak radzili sobie z tym problemem naczelni największych światowych gazet. No cóż, w Rwandzie i Burundi ludzie nadal wyrzynali swych bliźnich z obrzydliwym wręcz zapachem.

Irlandczycy dyskutowali nawet, czy ich armia nie powinna przypadkiem zająć się zaprowadzaniem tam pokoju. Ciekawe. Jeśli te ostatnie łajzy, irlandzcy żołnierze, nie byli w stanie pilnować pokoju w ojczyźnie, to w nagrodę należało dać im spróbować gdzie indziej?

— Joe! — pozdrowił go ktoś radośnie. Podniósł głowę i dostrzegł uśmiechającego się szeroko mężczyznę około czterdziestki.

— Patrick! — odpowiedział równie entuzjastycznie, wstał i mocno uściśnął dłoń nowo przybyłego.
— Ileż to czasu minęło. — Rzeczywiście sporo: pierwszy raz widział na oczy tego faceta, choć witali się jak starzy przyjaciele.

Przeszli razem na O’Connel Street, gdzie czekał na nich samochód. Usiedli na tylnym siedzeniu, kierowca ruszył od razu, nie przesadnie szybko, cały czas zerkał jednak we wsteczne lusterko i kilkakrotnie niespodziewanie skręcił, „Patrick” tymczasem przez tylną szybę wypatrywał helikoptera. No cóż, pomyślał Rosjanin, faceci z PIRA dożyli wieku średniego, bo umieli być ostrożni. On sam usiadł wygodnie i odprężył się. Nie zamknął oczu, nie chciał aż tak dobitnie demonstrować wyższości gospodarzom, więc patrzył przed siebie. Nie po raz pierwszy był w Dublinie, ale poza kilkoma najbardziej charakterystycznymi miejscami niewiele pozostało mu w pamięci po tych wizytach. Cóż, Irlandczycy z pewnością by w to nie uwierzyli, szpiegom przecież trenowało się fotograficzną pamięć, co, oczywiście, odpowiadało prawdzie, ale tylko do pewnego stopnia.

Czterdzieści minut kręcili się po mieście, nim w końcu podjechali do jakiegoś budynku przemysłowego i skręcili w wąską alejkę. Zatrzymali się tam i weszli do środka przez drzwi w ślepej ceglanej ścianie.

— Władimir Andriejewicz — powiedział w mroku jakiś spokojny głos. Po chwili pojawiła się twarz mówiącego.

— Sean! — Popow postąpił krok w jej kierunku, wyciągając rękę. — Ileż to czasu minęło!

— Dokładnie jedenaście lat i sześć miesięcy — przytaknął Sean Grady, potrząsając dłonią Rosjanina.

— Nadal potrafisz się świetnie zabezpieczyć. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

— Cóż, Władimirze, ostrożności nigdy za wiele. Tędy, proszę.

Znaleźli się w niewielkim pokoju, w którym stał stół i kilka krzeseł. Herbata już się parzyła. Irlandczycy nie zatracili najwyraźniej swej tradycyjnej gościnności, pomyślał Popow, rzucając płaszcz na oparcie jednego z krzeseł i zajmując miejsce za stołem.

— Co możemy dla ciebie zrobić? — spytał Grady. Zbliżał się do pięćdziesiątki, ale jego oczy, zwężone, płonące mimo pozornego braku wyrazu, świadczyły, że nie zapomniał o pasjach młodości.

— Nim do tego przejdziemy, powiedz mi, jak ci leci, Sean.

— Mogłoby być lepiej. Niektórzy z naszych byłych kolegów w Ulsterze z całym przekonaniem głoszą teraz, że powinniśmy poddać się Koronie. Na nieszczęście wielu podziela to ich przekonanie, my jednak staramy się skłonić wszystkich do przyjęcia bardziej...

realistycznego poglądu na świat.

— Dziękuję — powiedział Rosjanin, któremu właśnie podano herbatę. Wypił łyk i spojrzał na rozmówcę. — Sean, doskonale wiesz, że od czasu gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w Libanie, cenilem twe poświęcenie ideałom. Dziwi mnie, że tak wielu od nich odstąpiło.

— To była długa wojna, Władimirze. Obawiam się, że nie wszyscy zdołali wytrwać w poświęceniu. Szkoda, wielka szkoda. — Głos Grady'ego był przedziwnie wyprany z emocji.

Jego twarz nie wydawała się okrutna, już raczej zupełnie pozbawiona wyrazu. Musi być wspaniały w terenie, pomyślał Popow. Nie zdradzał niczego, nawet zadowolenia, które odczuwał

od czasu do czasu, po zakończeniu kolejnej operacji. Pewnie z tym samym kamiennym spokojem torturował dwóch komandosów SAS, którzy jeden jedyny raz zapomnieli o zachowaniu koniecznej ostrożności. Nieczęsto się to zdarzało, Seanowi Grady udało się jednak osiągnąć ten cel dwukrotnie kosztem krwawej vendetty między elitarną jednostką armii brytyjskiej i jego komórką PIRA. SAS zabił nie mniej niż ośmiu spośród jego najbliższych współpracowników, samemu Grady'emu udało się w pewnym momencie ująć śmierci tylko dlatego, że po drodze na zaplanowane spotkanie zepsuł mu się samochód. SAS zaatakował wówczas i dostał trzech ważnych działaczy PIRA. Grady żył z wyrokiem śmierci. Popow nie miał wątpliwości, że brytyjska Służba Bezpieczeństwa wydawała setki tysięcy funtów próbując go namierzyć. Ta gra, podobnie jak gra wywiadów, stwarzała wielkie zagrożenie dla wszystkich graczy, największe jednak dla samych rewolucjonistów. A teraz najwyższe

dowództwo IRA sprzedawało się Brytyjczykom, przynajmniej w jego opinii. Bo Grady bez wątpienia nie miał zamiaru zawrzeć pokoju. Żył w świecie własnej chorej wyobraźni. Józef Wissarionowicz Stalin miał podobną kamienną twarz, podobnie niezłomnie wierzył w osiągnięcie postawionych sobie celów i podobnie nie umiał iść na najmniejszy nawet kompromis w sprawach strategii.

— W Anglii operuje w tej chwili nowa grupa antyterrorystyczna — rozpoczął Rosjanin.

— Tak? — Grady nic o tym nie wiedział.

— Tak. Nazywa się Tęcza. Wspólna inicjatywa Amerykanów i Brytyjczyków. To oni wystąpili w Parku Światowym, Wiedniu i Bernie. Wami się jeszcze nie zajmują, ale moim zdaniem to tylko kwestia czasu.

— Co o nich wiesz?

— Całkiem sporo. — Popow podał mu plik kartek z opisem Tęczy.

— Hereford — zamyślił się Grady. — Obejrzelismy sobie bazę. Niełatwo byłoby ją zaatakować.

— Wiem, Sean, ale znam także ich słabości. Jeśli wszystko zostanie odpowiednio zaplanowane, będziemy w stanie mocno ich uderzyć. Bo widzisz, zarówno żona, jak i córka dowódcy oddziału, Amerykanina Johna Clarka, pracują w pobliskim szpitalu publicznym. Staną się przynętą...

— Przynętą?

— Tak, Sean. — I Rosjanin przedstawił mu zarys planu. Grady, jak zwykle, nie reagował, lecz jego dwaj ludzie nie mieli aż tak zimnej krwi. Poruszyli się w krzesłach i wymienili spojrzenia, czekając, co powie ich dowódca. W końcu odezwał się i to niezwykle formalnie.

— Pułkowniku Sierow, proponuje nam pan podjęcie niemałego ryzyka.

— Owszem, to prawda — przyznał Popow — i to wy zdecydujecie, czy ryzyko się opłaca. — Nie musiał przypominać jednemu z przywódców IRA, że pomagał mu w przeszłości

— niewielka to była pomoc, ale ci ludzie nie zapominali o niczym — lecz nie musiał także dodawać, że gdyby atak się udał, Grady nie tylko awansowałby do ścisłego grona najważniejszych dowódców Irlandzkiej Armii Republikańskiej, lecz być może także poważnie zagroziłby możliwości zawarcia pokoju między brytyjskim rządem a „oficjalną” frakcją IRA.

Upokorzenie SAS i jeszcze jednego oddziału antyterrorystycznego na ich własnym gruncie przyniosłoby mu prestiż, którym nie cieszył się żaden irlandzki rewolucjonista od 1920 roku.

Duma zawsze była i do dziś pozostała słabością tych ludzi. Poświęcenie idei sprawiało, że stawali się zakładnikami własnego ego, własnej wizji, a nie tylko celów politycznych.

— Władimirze Andriejewiczu, niestety nie mamy środków, by przeprowadzić operację na tę skalę.

— Rozumiem. A jakich środków będziecie potrzebowali?

— Większych niż jesteś w stanie zapewnić. — Z doświadczenia i z wrażeń z rozmów z innymi członkami społeczności terrorystów Grady wiedział, jak niechętnie KGB wypuszcza z garści gotówkę. Dziś jednak czekała go kolejna niespodzianka.

— Pięć milionów dolarów amerykańskich na numerowym koncie w szwajcarskim banku starczy? — powiedział spokojnie Popow i tym razem na kamiennej twarzy Grady'ego pojawił się przebłysk emocji. Irlandczyk zamrugał oczami, rozchylił lekko usta, jakby chciał zaprotestować, niemal natychmiast zdołał się jednak opanować.

— Sześć — powiedział tylko po to, by odzyskać kontrolę nad negocjacjami. Popow nie miał nic przeciwko temu.

— Doskonale. Przypuszczam, że mogę spokojnie zaoferować wam sześć milionów.

Kiedy będziecie potrzebowali pieniędzy?

— A kiedy możesz ich dostarczyć?

— Powiedzmy, w ciągu tygodnia. Jak długo zajmie ci planowanie operacji?

Grady milczał przez kilka sekund.

— Dwa tygodnie — powiedział w końcu. Nieźle znał okolice Hereford, a fakt, że wcześniej nie był w stanie zaatakować, nie oznaczał, że nie rozważał tej możliwości. Próbował

także zebrać informacje o operacjach SAS, ale dowiedział się tylko, że w SAS nie gada się wiele, nawet po operacji, chyba że we własnym gronie. Zrobiono kilka zdjęć z ukrycia, ale okazały się one właściwie nieprzydatne w planowaniu operacji. No tak, w przeszłości brakowało im zarówno ludzi gotowych pójść na wielkie ryzyko, jak i środków do przygotowania operacji w takiej skali.

— I jeszcze jedno — dodał.

— Tak?

— Masz jakieś dobre kontakty wśród handlarzy narkotyków? Popow zdumiał się wielce, choć tego po sobie nie pokazał. Grady miał zamiar handlować narkotykami? Etos PIRA zmienił

się wręcz dramatycznie! Jeszcze parę lat temu Tymczasowi zabijali handlarzy lub strzelali im w kolana, demonstrując w ten sposób społeczeństwu swą przydatność. A więc i to się zmieniło.

— Mogę znaleźć dojścia. Czego będziecie potrzebować?

— Kokainy w dużych ilościach, najlepiej czystej.

— Na sprzedaż w Irlandii?

— Tak. Forsa to forsa, Władimirze. Potrzeba nam stałego dochodu do prowadzenia operacji.

— Nic nie obiecuję, ale sprawdzę, co da się w tej sprawie zrobić.

— Doskonale. Daj mi znać, kiedy przyjdą pieniądze. Kiedy je dostaniemy, dam ci znać, czy operacja jest możliwa do przeprowadzenia i na kiedy zdołamy się do niej przygotować.

— Broń?

— O broń możesz się nie martwić — zapewnił terrorysta.

— Potrzebuję numeru telefonu.

Grady skinął głową i na kawałku papieru zapisał numer. Popow schował karteczkę.

— To kontakt na dwa tygodnie. Wystarczy ci?

— Owszem, wystarczy — zapewnił go Rosjanin i wstał. Nic więcej nie zostało do powiedzenia. Po drodze do samochodu pomyślał, że było to bardzo udane spotkanie.

— Sean, to samobójcza operacja — powiedział Roddy Sands, który pozostał z szefem w budynku.

— Nie, jeśli uzyskamy przewagę na starcie — odparł Grady. — A to może się nam udać pod warunkiem, że dostaniemy odpowiednie środki. Musimy być ostrożni i działać bardzo szybko, ale może nam się udać. — A kiedy już się uda, pomyślał terrorysta, cała Irlandia zobaczy, kto naprawdę reprezentuje naród. Wstał, wyszedł z pokoju przez inne drzwi i samochodem pojechał do swojej kryjówki, by pogrążyć się w pracy, którą zawsze najlepiej wykonywał w samotności.

Henriksen przygotowywał zespół. Uznał, że wystarczy dziesięciu ludzi, z których każdy wtajemniczony był w Projekt. Najważniejszym spośród nich był podpułkownik Wilson Gearing, niegdyś oficer wojsk chemicznych Armii Stanów Zjednoczonych. Jako specjalista w dziedzinie broni chemicznej, miał podłączyć do systemu zraszającego zasobnik z Sziwą. Zadaniem reszty była współpraca z miejscowymi siłami bezpieczeństwa, udzielanie im zbędnych rad, co miało potwierdzić powszechną opinię, że ekspert to po prostu facet, który nie ma pojęcia o niczym.

Australijski SAS wysłucha, oczywiście, cierpliwie wszystkiego, co będą mu mieli do powiedzenia, może nawet nauczy się od nich tego i owego, zwłaszcza kiedy pokaże się im te nowe radia z E-Systems i Dick Voss nauczy ich, jak się nimi posługiwać. Wyprodukowane dla potrzeb operacji specjalnych były prawdziwym cudem. A potem już tylko będą chodzić, udając ważniaków, wyposażeni w identyfikatory, które zapewnią im bezproblemowe wejście dosłownie wszędzie, nawet na samą bieżnię stadionu. Obejrzą sobie olimpiadę z bliska. Niezła premia — wiedział, że niektórzy z jego ludzi są prawdziwymi miłośnikami sportu, którym taka możliwość sprawi prawdziwą przyjemność.

Wybrał więc najlepszych i nakazał agentowi podróżnemu firmy załatwić transport i hotele, te ostatnie

przez australijską policję, która zarezerwowała sobie piętro w hotelu blisko stadionu. Ciekawe, pomyślał Henriksen, czy prasa zainteresuje się jego firmą. Normalnie nawet by na to należał, nie ma to jak darmowa reklama, ale tym razem dał spokój. Reklamowanie firmy w tym momencie wydało mu się po prostu bez sensu.

No i skończone. Hollister przyjrzał się budynkom, drogom, parkingom i pasowi startowemu, których budowę nadzorował tu, w Kansas. Ostatnie dni były, jak zwykle, pełne zamieszania spowodowanego koniecznością dopracowania wielu drobnych szczegółów, ale podwykonawcy dobrze reagowali, kiedy poganiał ich bez litości, czemu niewątpliwie pomogły odpowiednie klauzule w kontraktach.

Do jego terenówki podjechała limuzyna. Wsiadł z niej mężczyzna, którego obecność szalenie go zdumiała: sam wielki szef, John Brightling. Hollister nigdy nie spotkał prezesa firmy, choć znał, oczywiście, jego nazwisko. Raz czy dwa widział go też w telewizji. Zapewne przyleciał rano na pobliskie lotnisko, jednym z odrzutowców firmy. Nieco go to rozczarowało, wolałby, żeby użył jego pasa, na którym *Gulfstream* wylądowałby bez problemu.

— Pan Hollister, prawda? — spytał Brightling.

— Tak. — Kierownik budowy ujął wyciągniętą dłoń i potrząsnął nią. — Przed chwilą skończyliśmy.

— Dwa i pół tygodnia przed terminem.

— Pogoda trochę nam pomogła. Tym się nie mogę pochwalić.

— Ja bym się pochwalił — roześmiał się właściciel korporacji.

— Najtrudniejszy był system kontroli środowiska. Tak wymagającej specyfikacji w życiu nie widziałem. O co tu właściwie chodzi, panie doktorze?

— No cóż, pracujemy nad rzeczami, które wymagają całkowitej izolacji od świata. W tej branży nazywa się to Poziom Czwartą. Musimy się stosować do federalnych przepisów prawnych.

— Ale żeby cały budynek? — Hollister nie przestawał się dziwić. Miał wrażenie, że budował jakiś statek albo samolot. Bardzo rzadko coś tak wielkiego projektowano jako całkowicie szczelne. Ten jednak był hermetyczny, co zmuszało ich do testowania pod ciśnieniem każdego kolejnego modułu. Przedstawiciele firmy, która montowała okna, za każdym razem dostawali szału.

— No cóż, chcieliśmy, żeby zostało to zrobione po naszymu.

— Jasne, to wszystko pańskie. — Ale wymaganie szczelności dodało równe pięć milionów do kosztorysu. Całość dostała się firmie od okien, której pracownicy nienawidzili co prawda konieczności stałego zwracania uwagi na najdrobniejsze nieszczelności, nie mieli jednak nic przeciw premiom, które im wpadły do kieszeni. Nawet od starej fabryki Boeinga znajdującej się niedaleko, w Wichita, nie wymagano chyba aż takiej precyzji. — I wybrał pan naprawdę piękne miejsce.

— Prawda? — przytaknął Brightling. Jak okiem sięgnąć ziemię pokrywał kobierzec zielonej jeszcze pszenicy. Gdzieniegdzie widać było maszyny, które ją nawoziły i pielily. Może i nie wyglądało to aż tak pięknie jak pole golfowe, było jednak znacznie bardziej użyteczne.

Kompleks Projektu miał nawet własną przemysłową piekarnię. Może wykorzystają w niej własną pszenicę? Ciekawe, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Farmy, które kupiono wraz z ziemią pod budynki, dysponowały łąkami, na których pasło się bydło, niektóre specjalizowały się w przemysłowej produkcji warzyw. Innymi słowy, ludzie, którzy mieli tu mieszkać, mogli zyskać całkowitą samowystarczalność, gdyby tylko im na tym zależało. Cóż, może po prostu postanowiono nie naruszać charakteru okolicy? W tej części Kansas były same farmy i choć stalowo-szklana konstrukcja gmachów kompleksu różniła się zdecydowanie od stodół i szop na sprzęt, otoczenie w jakiś sposób łagodziło ich surowość. Poza tym kompleksu nie widziało się ze znajdującej się na północy drogi międzystanowej, a bliżej biegło zaledwie kilka dróg lokalnych.

Brama wjazdowa była potężna — ze specyfikacji wynikało, że z powodu groźby tornada, ale cholera, nie sforsowałby jej nawet zwariowany farmer z karabinem maszynowym!

— Zasłużył pan na premię. Pieniądze znajdą się na pańskim koncie jutro przed zamknięciem banku — obiecał John Brightling.

— Doskonale, proszę pana. — Hollister wyjął z kieszeni klucz uniwersalny, którym można było otworzyć każde pomieszczenie kompleksu. Tę małą ceremonię powtarzał po zakończeniu każdego kolejnego kontraktu. Wręczył go właścicielowi tej budowy. — Proszę pana, teraz to wszystko pańskie — powiedział.

Brightling spojrział na elektroniczny klucz i uśmiechnął się. Projekt pokonał oto ostatnią stojącą na jego drodze poważną przeszkodę. Tu zamieszkają niemal wszyscy jego ludzie. Dwa miesiące temu zakończyła się budowa podobnego, lecz znacznie mniejszego kompleksu w Brazylii, ale tam mogło zamieszkać najwyżej sto osób, tu zaś — w tłoku, ale nadal wygodnie —

aż trzy tysiące. Przez kilka miesięcy, co miało z całą pewnością wystarczyć. Po tych kilku miesiącach mógł nadal prowadzić badania medyczne ze swymi najlepszymi ludźmi, którzy wprawdzie nie należeli do wtajemniczonych, ale mimo to zasługiwali na życie, ponieważ ich prace prowadziły w niespodziewanych, a wielce obiecujących kierunkach. Tak obiecujących, że w tej chwili Brightling zastanawiał się, ile lat przyjdzie mu tu jeszcze przeżyć. Pięćdziesiąt? Sto?

Może nawet i tysiąc? W tej chwili nikt nie potrafił określić granic.

To miejsce nazwiemy Olimpem — zdecydował pod wpływem chwili. Domem bogów, ponieważ miał to być właśnie dom bogów. Stąd można było obserwować świat, cieszyć się nim, studiować go i doceniać jego piękno. Przez radio używać będą kodu wywoławczego Olimp-1.

Stąd będzie wraz ze starannie wybranymi przyjaciółmi wyruszać w podróż po całym świecie, wraz z nimi uczyć się, jak powinien działać ekosystem. Przez około dwadzieścia lat można będzie używać jeszcze satelitów komunikacyjnych, choć nie sposób przewidzieć dokładnie, ile wytrzymają, potem trzeba będzie przejść na system łączności radiowej. Niewygodne to, ale wprowadzenie na orbitę

własnych satelitów okazało się niemożliwe z wielu względów, a poza tym wystrzelenie satelity zanieczyszcza świat jak nic innego.

Ciekawe, pomyślał Brightling, jak długo ludzie zechcą tu mieszkać. Niektórzy z pewnością uciekną niemal natychmiast, rozproszą się po całej Ameryce, założą własne osiedla i będą porozumiewać się z Olimpem poprzez satelity. Inni wybiorą Afrykę — wyglądało na to, że będzie to bardzo popularny kontynent. Jeszcze inni Brazylię i tropikalną dżunglę. Tam znajdą się być może prymitywne plemiona nietknięte przez Sziwę i jego ludzie będą w stanie zbadać zarówno je, jak i warunki, w których człowiek pierwotny żył w dziewiczym środowisku, w pełnej harmonii z naturą. Będą badać, lecz nie ingerować, bo nie wolno ingerować w życie unikalnego gatunku wartego ochrony i zbyt zacofanego, by zagrozić naturze. Czy ocaleją też jakieś plemiona afrykańskie? Jego epidemiolodzy uważali, że nie. Kraje afrykańskie zbyt łatwo zezwalały swym prymitywnym obywatelom na kontakty z mieszkańcami miast, a zaraza we wszystkich krajach miała rozprzestrzeniać się przede wszystkim w miastach, zwłaszcza po rozprawieniu szczepionki A. Wyprodukowana w tysiącach litrów, rozesłana zostanie w każdy zakątek ziemi, pozornie po to, by ratować życie, lecz w rzeczywistości...

Kolejne fazy Projektu realizowano dokładnie według założonego scenariusza. W

siedzibie firmy opracowano już pełną fałszywą dokumentację szczepionki A. Zgodnie z nią przetestowana została na tysiącu małp, które zarażono następnie Sziwą. Objawy pojawiły się zaledwie u dwóch, zdechła zaś jedna. Tego rodzaju wyniki dziewiętnastomiesięcznych badań, istniejących wyłącznie w pamięci komputerów, przygotowane zostały dla potrzeb Projektu.

Firma nie zwróciła się do FDA[2] o pozwolenie na przeprowadzenie testów na ludziach, ponieważ nie uważano tego za konieczne. Jednak w momencie, gdy Sziwa zaczęła rozprzestrzeniać się na świecie, Horizon Corporation oznajmiła, że po cichu pracowała nad szczepionkami przeciw gorączce krwotocznej od czasu irańskiego ataku na Amerykę i — wobec światowego zagrożenia FDA będzie musiała zgodzić się na szczepienie ludzi, w ten sposób przypieczętowując założoną przez Projekt zagładę gatunku ludzkiego. Nie, nie zagładę — poprawił się doktor Brightling —

raczej przetrzebienie najniebezpieczniejszego organizmu na Ziemi, co umożliwi naturze odrodzenie się, a ludzi pozostanie tylko tyłu, by służyć jej, studiować ją i cieszyć się jej życiem.

Za jakiś tysiąc lat na Ziemi żyć będzie może z milion ludzi, ale to przecież zbyt mało, by zakłócić porządek świata, a poza tym ludzi tych nauczy się szanować i rozumieć naturę, a nie niszczyć ją.

Projekt nie miał przecież doprowadzić do końca świata, lecz raczej zbudować nowy świat, w kształcie takim, jakim życzyłaby sobie mieć go sama natura. Jego imię na wieczność związane będzie z tym wielkim dziełem. John Brightling — człowiek który ocalił Ziemię.

Pat O'Connor złożył swój codzienny raport wieczorem. Usiadł naprzeciw biurka Ussery'ego, trzymając w ręku dość już grubą teczkę; do gabinetu wszedł bez marynarki.

— Sprawa Bannister. Coś już wiadomo, Pat? — spytał Chuck Ussery.

— Nic — odparł agent. — Przesłuchaliśmy czternaścioro jej przyjaciół z okolic Gary.

Nikt z nich nie miał pojęcia, co Mary robiła w Nowym Jorku. Tylko szóstka wiedziała, że dziewczyna w ogóle wyjechała. Nigdy nie rozmawiała o pracy, o chłopakach, jeśli jakichś miała.

Tak więc z tamtego kierunku, nic.

— Nowy Jork?

— Mamy tam dwóch agentów, Toma Sullivana i Franka Chathama. Współpracują z detektywem z nowojorskiej policji, nazywa się d'Allessandro. Eksperci kryminalistyki byli w jej mieszkaniu i nie znaleźli nic. Sąsiedzi znają ją z widzenia, ale z nikim się nie zaprzyjaźniła.

Policja ma zamiar wydrukować ulotki z portretem i rozpowszechnić je własnymi kanałami. Ich człowiek boi się, że to robota seryjnego mordercy. Mają inną zaginioną dziewczynę, ten sam wiek, podobna z wyglądu, mieszkająca w sąsiedztwie, znikła mniej więcej w tym samym czasie.

— Psychologia behawioralna?

O'Connor skinął głową.

— Przyjrzeni się temu, co mamy do tej pory. Zastanawiają się, czy e-mail wysłała ofiara, czy też morderca, znęcający się nad rodziną. Są różnice stylu w porównaniu z korespondencją, którą przedstawił pan Bannister. To wygląda zupełnie tak, jakby ten list pisał ktoś inny albo ta sama osoba, ale po narkotykach, a ona z całą pewnością nie zażywała narkotyków. Nie jesteśmy w stanie prześledzić tego e-mailu wstecznie. Poduczyłem się trochę o systemie anonimowych remailerów. Istnieją chyba tylko po to, żeby ludzie mogli przesyłać sobie pornografię.

Rozmawiałem z Eddie'em Moralesem z Baltimore. To czarodziej z „Czystych Obrazków”... To taki projekt FBI, którego celem jest wytropienie i aresztowanie ludzi przesyłających sobie dziecięce porno z komputera do komputera. Bert twierdzi, że bawią się różnymi technicznymi sztuczkami. Mają na etacie hackera, który sądzi, że znalazł sposób na przełamanie anonimowości, ale niczego jeszcze nie przełamał, a miejscowy prokurator okręgowy nie jest nawet pewien czy to legalne.

— O kurwa! — wyraził się o tej prawniczej opinii Chuck Ussery. Pornografii dziecięcej FBI nienawidziła jak mało czego.

— Dokładnie to samo myśli Bert — stwierdził O'Connor.

— No więc na razie nic się nie dzieje?

— Nic ważnego. Mamy porozmawiać jeszcze z paroma przyjaciółmi Mary, z pięciorgiem jutro, ale jeśli coś ma się wydarzyć, to moim zdaniem wydarzy się w Nowym Jorku. Ktoś przecież musiał ją

znać. Jakiś chłopak musiał umawiać się z nią na randki. Ale nie tu, Chuck.

Wyjechała z Gary, nie oglądając się za siebie.

Ussery siedział, marszcząc brwi. Nie, w śledztwie O'Connora nie sposób było dopatrzeć się błędu. Nad sprawą Bannister ślęczało dwunastu agentów. Takie sprawy rozwiązują się, kiedy same chcą. Jeśli James Bannister dziś do niego zadzwoni, a dzwonił codziennie, trzeba mu będzie powiedzieć po prostu, że Biuro pracuje nad sprawą jego córki i czy może podać nazwiska jakiś przyjaciół córki, o których być może zapomniał, przygotowując ich pierwszą listę.

Wschód słońca

— Niedługo pan u nas gościł — zauważył urzędnik imigracyjny, wpatrzony w paszport Popowa.

— Krótkie spotkanie w interesach — odparł Rosjanin ze swym najlepszym amerykańskim akcentem i szerokim uśmiechem. — Wrócę niebawem.

— Zapraszamy. — W paszporcie pojawił się kolejny stempel i Popow mógł już przejść do poczekalni pierwszej klasy.

Wiedział, że Grady się zgodzi. Nie miał żadnych wątpliwości. Rzucił mu wyzwanie, któremu człowiek tak dumny po prostu nie potrafi się oprzeć. No i jeszcze pieniądze. Nikt z IRA na oczy nie widział sześciu milionów na raz, nawet we wczesnych latach osiemdziesiątych, kiedy Irlandzką Armię Republikańską utrzymywał Muamar Kaddafi. W ogóle terroryści mieli problemy finansowe. Rosjanie w przeszłości dawali im broń oraz, co z punktu widzenia IRA było znacznie bardziej istotne, możliwość ćwiczeń w obozach i dane wywiadowcze dotyczące Brytyjczyków, ale nie pieniądze. Związek Radziecki nigdy nie dysponował znacznymi zapasami obcych walut, a i tak zużywał je najczęściej na zakup zachodnich technologii militarnych. Poza tym w pewnym momencie okazało się, że pewne starsze małżeństwo — kurierzy dostarczający gotówkę agentom w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie — niemal od samego początku kontrolowane było przez FBI. Popow tylko pokręcił głową. KGB może i było znakomite, ale FBI mu nie ustępowało, zwłaszcza jeśli chodzi o prowadzenie operacji „pod obcą flagą”, tak jak w przypadku owych kurierów, którzy ujawnili całkiem sporo operacji pozostających pod nadzorem ludzi z Pierwszego Zarządu, zajmującego się „Środkami Aktywnymi”. Amerykanom wystarczyło w tym przypadku rozsądkiem, by nie zdjąć kurierów i użyć ich w celu uzyskiwania coraz to nowych informacji o działaniach KGB, dzięki czemu dowiedzieli się także, co Rosjanie zdążyli już spenetrować.

Jeszcze raz pokręcił głową i poszedł do samolotu. Nadal nic nie wiedział. Nadal nie umiał

odpowiedzieć sobie na najważniejsze pytanie: co właściwie robi? Czego Brightling od niego chce? Dlaczego w ogóle trzeba zaatakować Tęczę?

Chavez zdecydował, że dziś nie będzie ćwiczył z pistoletem maszynowym *MP-10*, lecz z *USP*. Z pistoletu maszynowego nie chybił od tygodni — w jego przypadku „chybienie”

oznaczało trafienie powyżej dwu i pół centymetra od wybranego, idealnego miejsca pomiędzy i nieco powyżej oczu sylwetki celu. Celownik *H&K* był bezbłędny — jeśli widziało się przez niego cel, to się go trafiało. Nic prostszego na świecie.

Z pistoletami nie szło już aż tak łatwo. Potrzebował praktyki. Wyrwał broń z zielonej kabury,

wykonanej z goretexu i podrzucił błyskawicznie, lewą dłoń dołączył do prawej na chwycie, cofnął prawą stopę o pół kroku i obrócił się bokiem, przyjmując klasyczną postawę Weavera, której przed laty nauczył się na Farmie w Tidewater, w Wirginii. Patrzył w dół, nie na cel, podczas podnoszenia broni spojrzął w celownik, wymierzył, spokojnie ściągnął spust palcem wskazującym...

...ale nie wystarczająco spokojnie. Kula strzaskałaby szczękę celu, być może przerwała jakąś ważną tętnicę, nie spowodowałaby jednak natychmiastowej śmierci. Śmiertelny był dopiero drugi strzał, który padł w pół sekundy później. Ding chrząknął, zły na siebie. Opuścił kurek i schował pistolet do kabury. Jeszcze raz. Spojrzął w dół i ponownie podniósł wzrok na cel. Oto terrorysta trzymający lufę przy głowie dziecka. Wyciągnął *USP* błyskawicznym ruchem, wymierzył, ściągnął spust. Lepiej. Trafił sukinsyna w lewe oko. Drugi strzał, który również padł

w pół sekundy później, trafił wreszcie między oczy, rysując na tarczy leżącą ósemkę.

— Znakomite podwójne trafienie, panie Chavez — rozległ się głos za plecami.

Ding odwrócił się i zobaczył Dave'a Woodsa, instruktora strzelania.

— Dzięki. Za pierwszym razem ściągnąłem trochę w bok i w dół — przyznał. To że kula rozniosłaby twarz terrorysty, nie grało w tej chwili roli.

— Proszę mniej pracować nadgarstkiem, a bardziej palcem — poradził Woods. — Niech no się przyjrzę, jak trzyma pan broń. Aha.

— Poprawił nieco uchwyt lewej ręki. — Tak będzie lepiej — obiecał.

O, cholera, pomyślał Ding, czyżby rzeczywiście było to takie proste? Pół centymetra różnicy w położeniu dwóch palców i pistolet leżał mu w dłoni jakby jego chwyt zrobiono specjalnie z myślą o nim. Włożył pistolet w kaburę i spróbował po raz trzeci. Tym razem już pierwsza kula trafiła oddalony o siedem metrów cel dokładnie między oczy, a druga pomknęła w ślad za nią.

— Doskonale — orzekł Woods.

— Jak długo uczy pan strzelania, sierżancie?

— Dość długo. W Hereford od dziewięciu lat.

— Jak to się stało, że nie jest pan w SAS?

— Kłopoty z kolaniem. Uszkodziłem je sobie w 1986 roku, skacząc z *Warriora*.

Wystarczy, że przebiegnę trzy kilometry i już sztywnieje. — Rude wąsy sierżanta, wywoskowane w cieniutkie końce, drgnęły, oczy zabłysły wesoło i Chavez nie miał już wątpliwości: ten facet nauczyłby tego i owego samego Doca Hallidaya. — Nie przeszkadzam — zakończył sierżant i odszedł.

— No, zobaczymy — szepnął pod nosem Ding. Bardziej palcem, mniej nadgarstkiem, lewa ręka odrobinę niżej na kolbie i już... W trzy minuty później w sylwetkowej tarczy ziała poszarpana dziura o średnicy najwyżej dwóch centymetrów. Tę lekcję trzeba będzie koniecznie zapamiętać.

Tim Noonan stał na sąsiednim stanowisku, strzelając z własnego *USP* — wolniej niż Chavez i z nieco gorszym skupieniem, ale każdy wystrzelony przez niego pocisk przeszedłby przez mózg, aż do jego pnia, powodując natychmiastową śmierć, bo tam właśnie kręgosłup łączył

się z czaszką. W końcu obaj wystrzelali wszystkie naboje. Chavez zdjął zabezpieczające uszy słuchawki i klepnął Tima po ramieniu.

— Dość wolno mi to szło — przyznał Noonan.

— Może i tak, ale przecież położyłeś sukinsyna. Byłeś w ZOZ?

— Owszem, ale nie jako strzelec. Tam też odpowiadałem za technikę. Owszem, ćwiczyłem z nimi regularnie na strzelnicy, ale do reprezentacji mnie nie wzięli. Nie jestem tak szybki jakbym chciał.

— Noonan uśmiechnął się, rozłożył pistolet i zabrał się do jego czyszczenia.

— A jak działa ten wyszukiwacz ludzi?

— Ding, to jedno wielkie pieprzone чудо! Jeszcze tydzień i będę wiedział wszystko. Ma paraboliczną nakładkę na antenę, wygląda jak coś ze „Star Trek”, ale niech to diabli, rzeczywiście znajduje ludzi. — Wytarł części pistoletu i prysnął na nie oliwą w aerozolu.

— Ten Woods... Dobry z niego nauczyciel, nie?

— Właśnie rozwiązał za mnie mały problem. — Chavez też zabrał się do czyszczenia broni.

— Główny instruktor Akademii FBI również bardzo mi pomógł, kiedy tam się uczyłem.

Jak układać dłonie na rękojeści, i że palec musi naciskać równo. — Noonan przeczyścił lufę, spojrział przez nią i złożył pistolet. — Wiesz, z mojego punktu widzenia najlepsze jest w Anglii to, że chyba tylko nam wolno tu nosić broń.

— Cywile nie mogą posiadać broni krótkiej, prawda?

— Tak. Kilka lat temu zmienili prawo. Jestem pewien, że przyczyni się to do zmniejszenia przestępczości. Z prawem do posiadania broni zaczęli eksperymentować w latach dwudziestych. Chcieli utrudnić w ten sposób życie IRA. — Noonan roześmiał się. — Tu też odnieśli olśniewający sukces, nie? No, ale w tym kraju nigdy nie spisano konstytucji, nie tak jak u nas.

— Zawsze chodzisz uzbrojony?

— Jasne. — Agent FBI spojrział mu w oczy. — Ding, zrozum, ja jestem policjantem. Bez przyjaciela przy pasku czuję się nagi. Nawet kiedy pracowałem w laboratorium w Budyńku Hoovera i miałem

własne miejsce na parkingu, nigdy nie chodziłem po Waszyngtonie bez broni.

— A musiałeś jej kiedyś użyć?

— Nie. — Tim Noonan potrząsnął głową. — Niewielu agentów staje wobec tej konieczności, ale... To urok zawodu, wiesz? — Rzucił okiem na tarczę. — Pewne rzeczy po prostu chce się robić dobrze.

— To chyba dotyczy nas wszystkich.

Dzięki kruczkowi prawnemu żołnierze Tęczy mogli chodzić uzbrojeni — uznano po prostu, że jako członkowie oddziału antyterrorystycznego są stale na służbie. Chavez przeważnie nie korzystał z tej możliwości, ale musiał przyznać, że argumentacja Tima brzmiała rozsądnie.

Noonan włożył magazynek do wyczyszczonego i złożonego na powrót pistoletu, przeładował

broń, zabezpieczył ją, a potem wyjął magazynek i włożył do niego jeszcze jeden nabój. Następnie schował USP do kabury przy pasku, przy którym miał też ładownicę na dwa dodatkowe magazynki. Cóż, był gliniarzem, a gliniarze zawsze zachowują się tak samo.

— Cześć, Tim.

— Do zobaczenia, Ding.

Niewielu ludzi naprawdę posiadało tę umiejętność, ale są i tacy, którzy nigdy nie zapominają twarzy. Bywa to bardzo przydatne, zwłaszcza w przypadku barmanów, bo ludzie lubią wracać do baru, w którym bez pytania dostają swój ulubiony drink. A do nowojorskiego baru „Pod Żółwiem” przy Columbus Avenue wracali chętnie.

Policjant wszedł do środka tuż po otwarciu baru w południe.

— Cześć, Bob — pozdrowił barmana.

— Cześć, Jeff. Napijesz się kawy?

— Jasne — odparł młody policjant, przyglądając się, jak barman wyjmuje z pojemnika porcję Starbucka. W barach kawa bywała na ogół podła, ale nie w tym — tu wpadali smakosze z okolicznych kancelarii adwokackich. Jeszcze kostka cukru, odrobina śmietanki i gotowe.

Jeff patrolował ten rewir od niespełna dwóch lat, wystarczająco długo, by poznać wszystkich właścicieli małych biznesów w rejonie, oni zaś doskonale znali go i jego przyzwyczajenia. Był uczciwym policjantem, ale nigdy nie odmawiał darmowej kawy i pączka

— ulubionego pożywienia amerykańskich gliniarzy.

— I co słychać? — spytał Bob.

— Szukamy zaginionej dziewczyny. Może ją kiedyś widziałeś. — Wyjął z kieszeni kserokopię zdjęcia.

— A owszem, widziałem. Annie Jakaśtam, lubi wino Kendall Jackson Reserve Chardonnay. Wpadała często, ale teraz nie było jej od jakiegoś czasu.

— A tę? — Na bar powędrowała druga odbitka. Bob przyjrzał się jej uważnie.

— Mary... Mary Bannister. Pamiętam ją, taki mały zagubiony kotek, wiesz, jak to jest. Jej też tu ostatnio nie było.

Policjant nie wierzył własnemu szczęściu.

— Co o nich wiesz? — pytał dalej.

— Zaraz, chwileczkę, mówiłeś, że zaginęły? To znaczy porwano je czy coś w tym stylu?

— Zgadza się. — Policjant upił łyk kawy. — FBI jej szuka. — Stuknął palcem w zdjęcie Mary. — O tej drugiej dowiedzieli się od nas.

— No, niech mnie diabli. Niewiele mogę ci powiedzieć. Przychodziły tu parę razy w tygodniu, tańczyły i w ogóle, no wiesz, jak to samotne dziewczyny szukające facetów.

— Słuchaj, ktoś od nas się tu pojawi, dobra? Postaraj się wszystko sobie przypomnieć. —

Jeff musiał rozważyć możliwość, że to Bob jest przyczyną zniknięcia dziewczyn, ale w każdym śledztwie kryje się ryzyko, które przecież trzeba ponieść, a poza tym prawdopodobieństwo, że Bob jest porywaczem, było niewielkie. Jak wielu nowojorskich kelnerów i barmanów, zamierzał zostać aktorem, co wyjaśniało jego znakomitą pamięć.

— Jasne, przyjacielu. Porwane, niech to diabli? O porwaniach przecież już się prawie nie słyszy.

— To wielkie miasto. — Policjant dopił kawę i wstał. Miał wrażenie, że wykonał lwią część pracy na dziś. Po wyjściu z baru natychmiast użył wiszącego u naramiennika mikrofonu radia i przekazał na posterunek wszystko, czego się dowiedział.

Twarz Grady'ego znano w Anglii, ale bez ryżej brody i grubych okularów, co — taką przynajmniej miał nadzieję — zmniejszało szansę rozpoznania go przez jakiegoś bystrego konstabla. No i policji było tu jednak znacznie mniej niż w Londynie.

Brama bazy w Hereford wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Całkiem niedaleko znajdował się szpital komunalny. Sean uważnie obejrzał drogi, pobocza i parkingi. Wypstrykał

sześć filmów Nikonem. Plan, który powoli kształtował mu się w głowie, był prosty, jak wszystkie

dobrze plany. Drogi dojazdowe z pewnością mogły mu tylko pomóc, otwarta przestrzeń wokół także. Jak zwykle najskuteczniejszą bronią miało okazać się zaskoczenie. A potrzebował

go, skoro operację trzeba było przeprowadzić tak blisko miejsca stacjonowania najlepszej jednostki armii brytyjskiej. Odległości same narzucały ograniczenia czasowe. Miał najwyżej czterdzieści minut, najmniej pół godziny i plan rzeczywiście mógł się powieść. Piętnastu ludzi...

Ze znalezieniem piętnastu odpowiednich ludzi nie powinno być problemu. Tak, to się może udać.

Pozostało do rozstrzygnięcia jeszcze jedno pytanie: przeprowadzić akcję w dzień czy w nocy? Na ogół bardziej odpowiadała im noc, ale on sam nauczył się już — na własnych błędach — że oddziały antyterrorystyczne uwielbiały działać w nocy, ponieważ dysponowały sprzętem, który w sensie taktycznym zrównywał dzień z nocą, a ludzie tacy jak on nie przechodzili odpowiedniego przeszkolenia i przez to w ciemnościach na ogół przegrywali. Noc dała policji przewagę i pod Wiedniem, i w Bernie, i w Parku Światowym. Więc czemu nie spróbować uderzyć w pełnym świetle dnia? Trzeba przedyskutować tę sprawę, zdecydował Grady, przekręcił kluczyk w stacyjce i pojechał na Gatwick.

— Owszem, od kiedy Jeff pokazał mi te zdjęcia, próbuję przypomnieć sobie wszystko —

powiedział barman. Nazywał się Bob Johnson. Miał na sobie wieczorowy strój swojej profesji: biała koszula do smokingu, czarny szeroki pas, muszka.

— Zna pan tę kobietę?

— Tak. — Bob energicznie skinął głową. — Mary Bannister. Ta druga to Anne Pretloe.

Obie pojawiały się tu regularnie. Fajne dziewczyny. Tańczyły, flirtowały z facetami.

Wieczorami, zwłaszcza w weekendy, jest tu spory tłok. Przychodziły gdzieś tak koło ósmej, wychodziły o jedenastej, wpół do dwunastej.

— Same?

— Przeważnie tak, ale nie zawsze. Annie zaprzyjaźniła się z jednym facetem... Hankiem, nie znam nazwiska. Biały, ciemne włosy, piwne oczy, mojego wzrostu, z brzuszkiem, ale nie grubas. Zdaje się, że jest prawnikiem. Pewnie dziś się pojawi, bywa u nas prawie codziennie. I był jeszcze jeden taki, zdaje się, że z nim ją widziałem po raz ostatni... Jak on się, cholera, nazywa... — Bob opuścił wzrok na bar. — Kurt, Kirk, coś w tym stylu. Właściwie to widziałem też Mary, jak z nim tańczyła raz i drugi. Biały, przystojny, od jakiegoś czasu go nie było, pijał

Jima Beama, dawał niezłe napiwki. — Barmani zawsze pamiętali, kto daje duże, a kto małe napiwki. — Myśliwy.

— Słucham? — zdziwił się agent Sullivan.

— Polował na dziewczyny. Po to w końcu faceci przychodzą to takich barów.

Sullivan i Chatham pomyśleli jednocześnie, że tego chłopaka zesłał im chyba Bóg we własnej osobie.

— I nie widział go pan od pewnego czasu, prawda?

— Chodzi wam o tego Kurta? Nie. Parę tygodni go nie było, chyba nawet dłużej.

— Może mógłby nam pan pomóc w sporządzeniu jego portretu?

— Chodzi wam o taki szkic, jak w gazecie?

— Dokładnie.

— No cóż, mogę spróbować. Niektóre z naszych dziewczyn też mogą go znać. Marissa prawie na pewno. Przychodzi co wieczór, o siódmej, wpół do ósmej.

— Zdaje się, że jakiś czas u pana zabawimy — powiedział Sullivan, zerkając na zegarek.

O północy Malloy podniósł *Night Hawka* z lądowiska bazy RAF w Mildenhall i skierował

go na zachód, w kierunku Hereford. Drażek chodził idealnie, jak zawsze. Nawet ten nowy dynks działał. Okazało się, że to wskaźnik paliwa pokazujący jego zapas cyfrowo zamiast strzałką.

Dawał się odczytywać w galonach (amerykańskich, nie brytyjskich) i funtach. Całkiem niezły pomysł.

Widzialność była niezła, co rzadko zdarzało się w tym kraju, nie było jednak księżycy, więc zdecydował się na pilotowanie w goglach noktowizyjnych. Zmieniały one ciemność w zielonkawy półmrok i choć redukowały nieco ostrość widzenia, znacznie to było lepsze od całkowitej ślepoty. Malloy prowadził helikopter na wysokości stu metrów, trzymając się powyżej linii wysokiego napięcia, których bał się panicznie, jak wszyscy doświadczeni piloci śmigłowców. Tym razem nie transportował żołnierzy, jeśli nie liczyć sierżanta Nance'a, uzbrojonego w pistolet, dzięki któremu czuł się prawdziwym żołnierzem. Broń osobistą mieli prawo nosić wszyscy żołnierze oddziałów specjalnych, nawet ci, którzy praktycznie nie mieli szansy jej użyć. Malloy trzymał swą służbową *Berettę M9* w torbie, a nie w kaburze pod pachą, którą uważał za coś rodem z kina, a tym samym niegodnego żołnierza piechoty morskiej.

— Helikopter na lądowisku szpitalnym — zameldował porucznik Harrison. Zauważył go podczas skrętu na kurs, który miał doprowadzić ich wprost do bazy. — Turbiny włączone, widzę światła pozycyjne.

— Widzę — potwierdził Malloy. Minęli go w bezpiecznej odległości, na wypadek gdyby pilot zdecydował się nagle wystartować. — Nikogo na naszym pułapie — dodał jeszcze, szukając wzrokiem migających świateł pozycyjnych samolotów pasażerskich kierujących się na lotniska Heathrow i Luton. Pilotom kochającym życie nie wolno było zagapić się choćby na chwilę.

Gdyby Malloy miał zostać dowódcą dywizjonu VHM-1 w bazie Marynarki Anacostia pod Waszyngtonem, rutynowo latałby w bardzo zatłoczonej przestrzeni powietrznej w okolicy lotniska

Reagana i, choć ceniał pilotów samolotów pasażerskich, ufał wyłącznie własnym umiejętnościom. Zresztą piloci cywilni dokładnie to samo myśleli o wszystkich noszących zielone mundury. Żeby zarabiać na życie lataniem, trzeba uważać się za najlepszego, pomyślał

Malloy, nie mając zresztą żadnych wątpliwości, że to właśnie on jest najlepszy. Ten Harrison ma talent, byle tylko pozostał w mundurze, a nie skończył jako kontroler lotów gdzieś w Pipidowie Dolnej.

Dostrzegli wreszcie lądowisko w Hereford i wzięli kurs wprost na nie. Po pięciu minutach byli na ziemi, a w dwadzieścia minut później Malloy smacznie spał już we własnym łóżku.

— Owszem, zrobi to — powiedział Popow. Siedzieli w narożnej łoży, płynąca z głośników muzyka sprawiała, że rozmowy nie dało się podsłuchać.

— Kto to jest? — spytał Henriksen.

— Sean Grady. Znasz go?

— PIRA. Działał głównie w Londonderry, prawda?

— Owszem, przede wszystkim tam. Porwał dwóch żołnierzy SAS i... pozbył się ich. W

dwóch odrębnych akcjach. SAS urządziła na niego trzy kolejne zasadzki. Raz już go prawie mieli, zlikwidowali też ośmiu jego najbliższych współpracowników. Osobiście załatwił kilku swoich ludzi, których podejrzewał o przekazywanie SAS informacji. Facet jest bezlitosny.

— To prawda — potwierdził Henriksen, zwracając się do Brightlinga. — Czytałem, co zrobił z tymi chłopakami z SAS. Niemiła lektura. Grady to pieprzony mały sadysta. Ma wystarczająco wielu ludzi, żeby spróbować?

— Moim zdaniem ma — odparł Rosjanin. — I nacisnął nas w sprawie pieniędzy.

Powiedziałem „pięć”, a on zażądał sześciu milionów, plus narkotyki.

— Narkotyki? — Henriksen był wyraźnie zaskoczony.

— Zaraz, chwileczkę, zdaje się że PIRA zwalczała handel narkotykami? — zdziwił się Brightling.

— Zgadza się. Przez lata PIRA zwalczała handel narkotykami w całej Irlandii, głównie przez „kolankowanie”, co przyczyniało jej rozgłosu. Było to z jej strony posunięcie zarówno psychologiczne, jak i polityczne. Teraz być może została zmuszona do rozważenia metod finansowania operacji — wyjaśnił Popow. Aspekt moralny tej decyzji nie interesował

najwyraźniej żadnego z nich.

— No cóż — stwierdził z wyraźnym niesmakiem Brightling — tę ich prośbę chyba możemy spełnić.

— „Kolankowanie”? Co to właściwie znaczy?

— Bierze się pistolet, przykłada do kolana od tyłu i strzela — wyjaśnił mu Henriksen. —

Dokumentnie rozwała rzepekę kolanową. Bolesne i okalecza na całe życie. Tak rozprawiali się z informatorami i w ogóle z ludźmi, którzy się im nie podobali. Protestancy terroryści dokonywali z reguły tej operacji za pomocą wiertarki. Po paru takich zabiegach wszyscy wiedzieli, że z tymi ludźmi lepiej nie zadzierać.

— Uuuuch, okropne. — W Brightlingu na chwilę odezwał się lekarz.

— Dlatego właśnie nazywa się ich terrorystami — zauważył Henriksen. — Dziś po prostu zabijają. Grady ma opinię bezwzględnego, prawda?

— Owszem — potwierdził Rosjanin. — Nie mam wątpliwości, że podejmie się tej misji.

Spodobały mu się zarówno pomysł, jak i twoja sugestia co do planu, Bill. Trzeba także wziąć pod uwagę jego rozbudowane ego. — Popow upił łyk wina. — Chce objąć polityczne przywództwo IRA, a to oznacza, że musi zrobić coś cholernie widowiskowego.

— Oto Irlandia — uśmiechnął się Henriksen — kraj nieszczęśliwych miłości i wesołych wojen.

— Uda mu się? — spytał Brightling.

— Plan jest dobry. Proszę tylko pamiętać, że dla niego sukces oznacza eliminację celów głównych: dwóch kobiet, a następnie co najmniej kilku żołnierzy z Tęczy. Potem niewątpliwie spróbuje ucieczki i powrotu do Irlandii. Samo przeżycie takiej operacji będzie dla niego sukcesem politycznym. Wdanie się w otwartą walkę jest z jego punktu widzenia szaleństwem, a Grady nie jest szaleńcem. — Rosjanin mówił z przekonaniem, nie był jednak całkowicie przekonany o prawdzie swych słów. Przecież wszystkich rewolucjonistów można uznać za wariatów. Trudno zrozumieć ludzi, którzy pozwalają, by ich życiem rządziła wizja. Ci, którym udało się w naszym stuleciu: Lenin, Mao, Ghandi, umieli skutecznie użyć swej wizji, ale czy rzeczywiście odnieśli sukces? Związek Radziecki padł, Chińska Republika Ludowa musi paść z tych samych przyczyn, dla których upadł ZSRR, Indie zaś to przecież wielka ekonomiczna klęska. Na Kubie przynajmniej świeciło słońce i ludzie rzadko tam marzli. By przetrwać, pozbawiona znaczących zasobów naturalnych Irlandia potrzebowała bliskich związków ekonomicznych z kimś, a najbliżej miała Zjednoczone Królestwo. Nie był to jednak temat na rozmowę przy obiedzie.

— Więc spodziewasz się, że uderzy i ucieknie — stwierdził Henriksen.

Rosjanin skinął głową.

— Wszystko inne byłoby taktycznym nonsensem. Facet ma nadzieję pożyć wystarczająco długo, by skorzystać z pieniędzy, które mu płacimy. Założywszy, oczywiście, że zgodzi się pan podwyższyć

oferowaną sumę.

— Przecież chodzi zaledwie o milion. — Henriksen uśmiechnął się pod nosem.

A więc obaj uważają milion dolarów za drobiazg, zdumiał się Popow i znów uderzyła go myśl, że muszą planować coś naprawdę strasznego. Tylko co?

— W jakiej formie mamy zapłacić? — spytał Brightling. — Gotówką?

— Nie. Powiedziałem im, że pieniądze zostaną przelane na numerowe konto w Szwajcarii. Mogę to załatwić.

— Mam już przeprane nawet więcej — oznajmił szefowi Henriksen. — Możemy załatwić sprawę nawet jutro.

— Co oznacza, że muszę znów lecieć do Szwajcarii — stwierdził kwaśno Rosjanin.

— Zmęczyło cię latanie?

— Dużo ostatnio podróżowałem, doktorze Brightling. — Rzeczywiście, zmaganie się z różnicą czasów wywarło na nim niekorzystny wpływ.

— Mów mi John — powiedział Brightling.

— Zgoda, John. — Szef po raz pierwszy okazał mu coś w rodzaju sympatii. Dziwne.

— Doskonale cię rozumiem, Dmitrij — dodał Henriksen. — Mocno odczułem tę wyprawę do Australii.

— Dmitrij, jak właściwie dorastało się w Rosji? — spytał Brightling.

— Trudniej niż w Ameryce. W szkole było znacznie więcej przemocy. Nauczyciele na ogół nie zwracali na to nawet najmniejszej uwagi.

— Gdzie mieszkałeś?

— W Moskwie. Ojciec też był w KGB. Studiowałem na Uniwersytecie Moskiewskim.

— W czym się specjalizowałeś?

— Języki i ekonomia. — Języki obce rzeczywiście mu się przydały, czego nie sposób powiedzieć o ekonomii: marksistowska ekonomia nie udowodniła przecież swej wyższości.

— Wyjeżdżałeś z miasta? No wiesz, jak u nas skauci, wycieczki i w ogóle?

Popow uśmiechnął się. Nie wiedział, do czego miała prowadzić ta rozmowa i dlaczego padają w

niej takie dziwne pytania. Postanowił jednak odpowiedzieć szczerze.

— Przeżyłem wtedy chyba najszczęśliwsze chwile dzieciństwa. Byłem pionierem.

Jeździliśmy do kołchozów i pracowaliśmy tam przez miesiąc, pomagając przy żniwach i, jak to mówicie wy, Amerykanie, żyjąc na łonie natury. — Właśnie wtedy, miał czternaście lat, poznał

swa pierwszą miłość, Jelenę Iwanowną. Ciekawe, co się z nią teraz dzieje?

Brightling zauważył nieznaczny uśmiech na jego wargach i odczytał z niego to, co chciał odczytać.

— Podobało ci się na wsi, co?

A więc o przygody miłosne pytać go nie zamierzali.

— Och, oczywiście. Często zastanawiałem się, jakie właściwie byłoby to życie. Jeździć na koniu, czuć słońce na plecach, uprawiać ziemię. Chodziliśmy z ojcem na spacer do lasu.

Zbieraliśmy grzyby. Jako chłopiec bardzo lubiłem te spacer. Las był dla mnie miejscem romantycznym, miejscem, gdzie wszystko mogło się zdarzyć, no i cieszyłem się, oczywiście, każdą chwilą spędzoną z ojcem.

— Macie tam jakąś zwierzynę łowną? — spytał Bill Henriksen.

— Ptaki, oczywiście, wiele ptaków. Czasami pojawiają się łosie, takie jak u was. Ale rzadko. Zabijają je państwowi myśliwi. Polują przede wszystkim na wilki. Z helikopterów. My, Rosjanie, w odróżnieniu od was nie lubimy wilków. Opowiada się wiele o wściekłych wilkach zabijających ludzi. Przypuszczam, że w większości to kłamstwa.

Brightling skinął głową.

— U nas też gada się takie niestworzone rzeczy. Wilki to po prostu wielkie dzikie psy, można je tresować i trzymać w domu. Niektórzy tak właśnie robią.

— Są wspaniałe — dodał Henriksen. Często myślał o tym, żeby zdobyć sobie i wychować wilka, ale do tego trzeba byłoby mieć kawał ziemi. Może kiedy Projekt wejdzie w życie, będzie miał na to czas?

O co w tym wszystkim, do diabła, chodzi? — zastanawiał się tymczasem Popow, ale nadal brał udział w grze.

— Zawsze chciałem zobaczyć niedźwiedzia, ale w okolicach Moskwy nie pozostał po nich nawet ślad. Widziałem je tylko w zoo. Uwielbiam niedźwiedzie — łągał jak z nut.

Niedźwiedzie przerażały go jak nic innego na świecie. Jak każde rosyjskie dziecko, słyszał

mnóstwo bajek o niedźwiedziach, w których te zwierzęta opisywane były przeważnie jako bardzo nieprzyjazne. Oczywiście, jeszcze gorszą opinią cieszyły się wilki. Wielkie psy? Litości, na stepach wilki zabijały ludzi. Pracownicy kolchozów nienawidzili ich z całego serca i entuzjastycznie witali państwowych myśliwych z ich helikopterami i karabinami maszynowymi, dzięki którym łatwo się je wykrywało i jeszcze łatwiej dokonywało rzezi.

— No cóż, John i ja jesteśmy miłośnikami natury — stwierdził Henriksen, zamawiając kolejną butelkę wina. — Od zawsze. Od czasu, kiedy byliśmy w skautingu... To pewnie coś takiego jak ci wasi pionierzy.

— W Związku Radzieckim państwo nie interesowało się środowiskiem naturalnym.

Mamy znacznie większe problemy niż wy, tu, w Ameryce. Amerykanie przyjeżdżają do nas, pomagają znaleźć sposoby na poprawę sytuacji, zanieczyszczenia i w ogóle. Zwłaszcza w rejonie Morza Kaspijskiego, gdzie ścieki i spływające z pól bawełny nawozy zabiły prawie wszystkie jesiotry, te których ikra znana jest jako kawior. Dzięki nim Związek Radziecki zdobywał niegdyś zagraniczną walutę.

— Owszem, to przestępstwo — stwierdził poważnie Brightling. — Ale tak dzieje się nie tylko w Rosji, ale na całym świecie. Ludzie po prostu nie szanują natury tak jak powinni. —

Tymi słowami rozpoczęło się kilkunastominutowe, najwyraźniej wielokrotnie wygłaszane kazanie, którego Rosjanin cierpliwie wysłuchał.

— Ekolodzy to w Stanach poważna siła polityczna, prawda? — spytał.

— Nie tak potężna jak chciałoby wielu — odparł Henriksen. — Ale dla niektórych z nas jest rzeczywiście bardzo ważna.

— Coś takiego przydałoby się nam, Rosjanom. Szkoda, że tak wiele zniszczono i to zupełnie bez sensu. — Popow nie do końca kłamał. Państwo powinno chronić zasoby naturalne i wykorzystywać je rozważnie, a nie niszczyć coś tylko dlatego, że miejscowy tępy kacyk nie ma pojęcia, co z tym zrobić. Ale w końcu Związek Radziecki był strasznie niewydolny w każdej dziedzinie, może z wyjątkiem szpiegostwa. A Amerykanie całkiem nieźle sobie radzili. Ich miasta były znacznie czystsze niż rosyjskie. Nawet jeśli mieszkało się w Nowym Jorku, wystarczyła godzina jazdy za miasto i już człowiek znajdował się wśród zieleni. Ważniejsza była jednak inna kwestia: dlaczego rozmowa, która zaczęła się od planowania akcji terrorystycznej, skończyła się... tym? Czy może on sam powiedział albo zrobił coś, co wywołało tematy ekologiczne? Nie, to doktor Brightling nagle skierował rozmowę na te tory. Nie był to żaden przypadek. Badali go? W porządku, ale skąd ten bełkot: natura to, natura tamto? Popow popijał

wino, przyglądając się siedzącym z nim przy stole mężczyznom.

— Wiecie — powiedział — nie miałem jeszcze czasu obejrzeć sobie Ameryki. Bardzo chciałbym zobaczyć wasze parki narodowe. Jak się nazywa ten z gejzerami? Goldstone? Jakoś podobnie, prawda?

— Yellowstone, w Wyoming. Chyba najładniejsze miejsce w Ameryce — rozpromienił się Henriksen.

— Nic z tych rzeczy — zaprzeczył mu natychmiast Brightling. — Yosemite w Kalifornii.

Ładniejszej doliny nie ma w całym kraju. Jasne, zdeptują ją teraz ci cholerni turyści, ale przecież wkrótce to się zmieni.

— Z Yellowstone będzie dokładnie tak samo.

Tacy byli pewni tych zmian, a przecież amerykańskie parki narodowe zarządzane były przez rząd federalny i dostępne dla wszystkich obywateli, prawda? Tak musiało być, ponieważ utrzymywano je z podatków. W parkach nie limitowano dostępu wyłącznie dla elity. Wszyscy równi — wiele uczyli go o równości w radzieckiej szkole, ale ludzie w Ameryce naprawdę byli równi. Kolejny powód, dla którego jeden kraj padł, a drugi nadal się rozwija.

— Co macie na myśli, mówiąc „to się zmieni”? — spytał.

— Och, chodzi o to, żeby ograniczyć wpływ cywilizacji na te tereny. Dobry pomysł, ale najpierw musi się wydarzyć coś jeszcze.

— Jasne, John, potrzebna jest dosłownie odrobina wysiłku — zachichotał Henriksen.

Doszedł do wniosku, że zabrnęli za daleko. — Wracając do sprawy, Dmitrij, jak się dowiemy, że Grady rzeczywiście podejmie się przeprowadzić tę akcję?

— Zadzwoń do niego. Zostawił mi numer telefonu komórkowego, z którego mogę skorzystać o wyznaczonych porach dnia.

— Taki ufny z niego facet?

— Mnie ufa. Zaprzyjaźniliśmy się w latach osiemdziesiątych, kiedy jeszcze siedział w dolinie Bekaa. A poza tym to telefon komórkowy, kupiony pewnie w sklepiku na rogu za gotówkę. Dla funkcjonariuszy wywiadu to bardzo użyteczne narzędzia. Trudno je namierzyć, chyba że ma się bardzo skomplikowany sprzęt. Ameryka z pewnością nim dysponuje i Anglia pewnie też, ale inne kraje? Nie, nie sędzę.

— No więc zadzwoń do niego, kiedy uznasz to za właściwe. Chcemy tej operacji, prawda, John?

— Chcemy — przytaknął stanowczo doktor Brightling. — Bill, przygotuj na jutro pieniądze do przelewu. Dmitrij, otwórz konto w Szwajcarii.

— Doskonale — odparł Rosjanin. W tym momencie podano deser.

Wszyscy widzieli, że Grady jest podniecony perspektywą operacji. W Dublinie dochodziła druga w nocy. Zdjęcia wywołał sympatyk ruchu. Sześć z nich zostało powiększonych.

Największe wisiało na ścianie, mniejsze leżały w odpowiednich miejscach rozpostartej na wielkim stole mapy.

— Zbliżą się stąd, jadąc tą drogą. Jest tylko jedno miejsce, w którym mogą zaparkować pojazdy, prawda?

— Zgoda — przytaknął Rodney Sands, sprawdzając układ terenu.

— No dobrze, Roddy, więc zrobimy to tak... — I Grady przedstawił im zarysy planu.

— Jak się będziemy komunikować?

— Telefony komórkowe. Każda grupa będzie miała jeden. Zaprogramujemy klawisze szybkiego wybierania, żeby móc porozumiewać się bez zwłoki.

— Broń? — spytał Danny McCorley.

— Tego towaru nigdy nie zabraknie, mały. Facetów będzie pięciu, maksimum dziesięciu.

Nigdzie, nawet w Hiszpanii nie wystawili więcej niż dziesięciu-jedenastu. Liczyliśmy z nagrań programów telewizyjnych, prawda? Nas będzie piętnastu, ich dziesięciu i w obu fazach operacji zaskoczenie będzie działało na naszą korzyść.

Bliźniacy Barry, Peter i Sam, nastawieni byli raczej sceptycznie, lecz jeśli cała akcja odbędzie się szybko... zgodnie z planem... tak, to niewątpliwie możliwe.

— Co z kobietami? — spytał Timothy O'Neil.

— Jak to „co z kobietami”? — zdziwił się Grady. — Są naszym głównym celem.

— Jedna z nich jest w ciąży, Sean... W telewizji nie będzie to wyglądało najlepiej.

— Są Amerykankami, ich mężowie to nasi wrogowie, poza tym posłużą jako przynęty do wywabienia ich z bazy. Nie zabijemy ich od razu, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, może pozostawimy nawet przy życiu, żeby mogły opłakiwać śmierć mężów. — Grady powiedział to, pragnąc uspokoić sumienia chłopaka. Timothy nie był tchórzem, ale kołatały się w nim resztki burżuazyjnej moralności. Teraz skinął głową, przyjmując do wiadomości wyjaśnienia dowódcy.

Grady'emu niebezpiecznie się było sprzeciwiać, a poza tym... Cóż, to on był dowódcą.

— Ja poprowadzę grupę do szpitala, tak? — upewnił się tylko.

— Owszem — odpowiedział Sean. — Roddy i ja pozostaniemy na zewnątrz razem z grupą zabezpieczającą.

— Doskonale.

Rozwiązania

Problemem często pojawiającym się podczas prowadzenia tego rodzaju śledztwa była możliwość dekonspiracji wobec podejrzanego, ale temu nie zawsze można przeciw zaradzić.

Agenci Sullivan i Chatham siedzieli w barze prawie do północy. Znaleźli dwie dziewczyny znające Mary Bannister i jedną, która znała Annę Pretloe. Jeśli chodzi o tę pierwszą, to udało im się nawet zdobyć nazwisko mężczyzny, z którym często tańczyła — stałego gościa, który jednak tego wieczora nie pojawił się. Jego adres zyskali jednak niemal natychmiast na podstawie numeru telefonu, który najwyraźniej znało sporo dziewczyn. O północy byli już gotowi do wyjścia, nieco rozczarowani, że w tak wesołym i ożywionym lokalu nie dane im było wypić czegokolwiek mocniejszego od Coca-Coli, ale i ucieszeni, bo przecież pojawiło się parę nowych tropów. Jak na razie sprawa wydawała się typowa. Agent specjalny Sullivan wyobrażał ją sobie na podobieństwo dokonywania zakupów w supermarkecie. Z przypadkowych półek zdejmuje się przypadkowe produkty, a jak smakują, to się okaże dopiero w kuchni.

— Dzień dobry, kochanie — powiedział Ding i nim wstał, jak co dzień pocałował żonę.

— Cześć, Ding — odparła Patsy, próbując przewrócić się na bok, ale było to takie trudne z powodu brzucha, w którym spało dziecko. Niech się już urodzi, mam dość czekania, pomyślała, mimo iż bała się bólu związanego z porodem.

Poczuła dłoń męża przesuwaną się po napiętej skórze płaskiego niegdyś brzucha.

— Jak się ma mały?

— Mam wrażenie, że właśnie się budzi — odparła z uśmiechem. Ciekawe, do kogo podobny będzie... lub podobna. Ding jest taki pewny, że to chłopiec. Zupełnie jakby nie zamierzał zaakceptować niczego innego. Pewnie wszyscy Latynosi są właśnie tacy, pomyślała.

Niezależnie jednak od tego, jakiej płci dziecko wyda na świat, miała niemal stuprocentową pewność, że będzie zdrowe. Maluszek był niezwykle ożywiony od chwili, gdy zaczął kopać w wieku trzech miesięcy. — Już się obudził — dodała w chwilę później, gdy zanurzone w wodach płodowych dziecko wykręciło fikołka.

Domingo Chavez poczuł ten ruch dłonią przyłożoną do brzucha Patty i uśmiechnął się.

Jeszcze raz pocałował żonę, po czym poszedł do łazienki. Zerknął także do urządzonego już pokoju dzieciennego z wymalowanymi na ścianach fantastycznymi stworami i czekającą na lokatora kołyską. Już niedługo, powiedział do siebie. Ginekolog ostrzegł, że poród może się rozpocząć w każdej

chwili, nie omieszkął jednak dodać, że pierwsze dziecko przychodzi na świat na ogół z opóźnieniem.

Piętnaście minut później, przebrany w dres, wyszedł z domu. Wypił kawę, ale nie jadł

niczego — śniadanie zje dopiero po porannym biegu. Samochodem podjechał pod kwaterę Drugiego Zespołu, gdzie już gromadzili się jego żołnierze.

— Cześć, Eddie — powitał Price'a.

— Dzień dobry, majorze — odpowiedział służbiście sierżant. Pięć minut później kompletny oddział gimnastykował się już na trawniku, wszyscy ubrani w dresy. Dziś Mike Pierce, nadal najlepszy likwidator oddziału, prowadził ćwiczenia. Po piętnastu minutach rozpoczął się poranny bieg.

— Parasole skaczą z góry — zaintonował Pierce, a reszta dośpiewała: — Zamiast mózgu mają wióry.

Piosenka ta wydawała się Chavezowi całkiem na miejscu. Przeszedł wprawdzie szkolenie Rangersów w Fort Benning, ale kursu spadochronowego już nie. Zawsze był zdania, że o wiele sensowniej jest przybywać na pole bitwy helikopterem, niż zlatywać z nieba w charakterze rzutka dla sukinsynów z ziemi i w dodatku nie móc odpowiedzieć im ogniem. Sam pomysł już go przerażał. Był jednak jedynym żołnierzem w Drugim Zespole, który nigdy nie skakał, co czyniło z niego „pieprzonego dwunoga”, czyli typowego piechociarza, a nie przedstawiciela ludu wybranego ze znaczkiem przypominającym srebrny rożek lodów. Dziwne, że nikt z jego ludzi nigdy sobie z tego nie podkpiwał, pomyślał, kończąc pierwszy kilometr. Pierce biegał świetnie i narzucił mocne tempo, może próbował zgubić kogoś na trasie? Ale nikt nie zostanie w tyle i wszyscy o tym doskonale wiedzieli. Patsy pewnie szykuje się już do wyjścia do pracy w izbie przyjęć. Na razie przygotowywała się do specjalizacji w nagłych przypadkach, co oznaczało, że musi zdobyć uprawnienia chirurga ogólnego. Ciekawe, właściwie to jeszcze nie wybrała sobie specjalności. Umysł przecież miała taki, że mogłaby robić właściwie wszystko, a długie i silne palce wydawały się wręcz stworzone do chirurgii. Ćwiczyła je zresztą używając do tego talii kart i w ciągu kilku miesięcy nauczyła się całkiem nieźle wyciągać asy z rękawa. Pokazywała mu, co robi i jak, on uważnie się jej przyglądał, ale ani razu nie dostrzegł momentu podmiany jednej karty na drugą, co w równym stopniu zdumiewało go i denerwowało. Ma wspaniałe uzdolnienia motoryczne, pomyślał z dumą. Piąty kilometr. Teraz już czuł, że biegnie, to podczas piątego kilometra nogi biegacza dochodziły do wniosku, że dość się już napracowały i może warto byłoby trochę zwolnić. Może nie każdego, ale jego z pewnością tak. Dwóch ludzi z jego zespołu biegało maratony, a Loïselle i Weber, najmniejszy i największy w drużynie, nigdy się nie męczyli. A już na pewno nie Weber, absolwent szkoły strzelców górskich Bundeswehry, właściciel znaczka Bergermeistera. Najtwardszy sukinsyn, jakiego zdarzyło mu się spotkać w życiu, a przecież on, Chavez, sam siebie miał za cholernego twardziela. Loïselle zaś biegał jak jakiś cholerny zajac, lekko, z wdziękiem i niez mordowanie.

Jeszcze dziesięć minut, pomyślał Chavez. Mięśnie go pobolewały, ale nic po sobie nie pokazał. Biegi po wysypanej żużlem ścieżce ze spokojną, niemal znudzoną miną. Pierwszy Zespół biegał po tym samym torze, tyle że w przeciwnym kierunku, dzięki Bogu nigdy się nie ścigali. Oczywiście mierzyli czasy, ale bezpośrednia rywalizacja skłoniłaby wszystkich żołnierzy do wysiłku, który musiałby skończyć się kontuzjami, a tych — myślał — i tak nam nie brakuje, choć Drugi Zespół był w tej

chwili w pełnej gotowości operacyjnej.

— Oddział... marsz! — rozkazał w końcu Pierce i to był już koniec biegu. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i zatrzymali się.

— Panowie, dzień dobry, mam nadzieję, że obudziliście się już i jesteście gotowi bronić świata przed złymi facetami — powiedział Pierce z uśmiechem na spoconej twarzy. — Majorze Chavez... — zaprosił dowódcę, wycofując się na swoje miejsce w szeregu.

— W porządku, mieliśmy miłą rozgrzewkę. Dziękuję za poprowadzenie biegu, sierżancie Pierce. A teraz pod prysznic i na śniadanie. Rozejść się.

Dwuszereg — po pięciu żołnierzy w szeregu — rozłamał się. Nadeszła pora, by pod prysznicem zmyć poranny pot. Niektórzy rozluźniali mięśnie rąk i ramion, w które mogły ich złapać kurcze. Zwiększony poziom endorfiny — reakcja ciała na wysiłek — wprowadził ich w stan

„euforii biegu”, który po paru minutach ustępował, zmieniając się w cudowne wrażenie zdrowia i równowagi organizmu, trwające przez cały ranek. Już rozpoczęły się rozmowy o poważnych i niepoważnych sprawach zawodowych, i prywatnych.

Angielskie śniadanie w zasadzie niczym nie różniło się od amerykańskiego: jajka na boczku, grzanka, kawa — dla niektórych herbata — jednym słowem paliwo na nadchodzący dzień. Niektórzy jedli dużo, inni mniej, w zależności od indywidualnych wymagań organizmów.

Przebrani już byli w mundury polowe i gotowi do rozpoczęcia pracy. Tim Noonan miał wygłosić wykład o bezpiecznej łączności. Nowe radia z E-Systems nie wymagały skomplikowanej instrukcji obsługi, Tim pragnął jednak, by wszyscy wszystko o nich wiedzieli, łącznie z mechanizmami systemu kodowania. Członkowie zespołu już się za ich pomocą porozumiewali, a ci, którzy próbowali ich podsłuchać, słyszeli tylko biały szum. Podobnie było i poprzednio, te radia jednak, z ich słuchawkami i cieniuteńkimi mikrofonami wiszącymi przed ustami, były zupełnie z innej bajki, przynajmniej w opinii Tima. Po nim Bill Tawney miał wprowadzić ich w najnowsze dane wywiadowcze i wiadomości dotyczące śledztw w sprawie trzech przeprowadzonych przez Tęczę akcji. Potem, jeszcze przed lunchem, wyprawa na strzelnicę.

Dziś jednak nie mieli przeprowadzać symulacji, jej miejsce zajęły ćwiczenia w zjazdach na linie z helikoptera Malloya.

Jednym słowem — pracowity, lecz w gruncie rzeczy zwykły dzień. Chavez miał nawet na końcu języka słowo „nudny”, lecz przecież wiedział, że John bardzo stara się urozmaicić zajęcia.

Poza tym sprawy podstawowe ćwiczy się raz za razem, ponieważ są właśnie podstawą do osiągnięcia sukcesu, zwłaszcza wtedy, kiedy sytuacja taktyczna staje się nieciekawa i nie ma czasu zastanawiać się, co teraz zrobić, a czego nie. W tej chwili każdy członek Drugiego Zespołu wiedział już, co w każdej dowolnej chwili myśli inny członek Drugiego Zespołu, więc podczas ćwiczeń symulujących sytuację, w której rzeczywistość rozmija się z otrzymanymi wcześniej danymi wywiadowczo-taktycznymi żołnierze zawsze jakoś się do tych zmienionych warunków adaptowali i

to najczęściej nie wymieniając między sobą nawet słowa, zupełnie jakby kontaktowali się telepatycznie. Takie były rezultaty męczącego fizycznie i potwornie nużącego intelektualnie treningu. Oba zespoły wyewoluowały w samodzielne żywe, myślące organizmy, których części funkcjonowały najwyraźniej automatycznie. Kiedy Chavez o tym myślał, wydawało mu się to czymś niezwykłym, na ćwiczeniach okazywało się jednak proste i oczywiste jak oddychanie. Zupełnie jak z Mike'em Pierce'em, przeskakującym przez biurko w Parku Światowym. Tego przecież nie ćwiczyli, ale Mike przeskoczył przez biurko i wszystko byłoby doskonale, gdyby pierwszą serią trafił przeciwnika w głowę, a nie w plecy - zadając i tak śmiertelne rany — i dopiero drugą serią rozniósł mu łeb. Reszta żołnierzy Tęczy nie miała wątpliwości, że Pierce potrafi pokryć swój sektor, a po wyeliminowaniu przeciwników, pomoże także innym. Zupełnie jak palce dłoni, pomyślał Chavez, czasami zwijające się w śmiertcioną pięść, lecz zdolne także wykonywać indywidualne zadania. W przypadku Tęczy każdy palec potrafił jeszcze myśleć.

Najłatwiej poszło z bronią. Ludzi z zewnątrz mogłoby to nawet rozbawić: jak wiewiórki orzechy, tak Irlandczycy zapamiętali gromadzili ją, ukrywali i... czasami zapominali, gdzie została ukryta. IRA dostawała broń z całego świata już od pokoleń i pieczołowicie ją przechowywała, przeważnie pod ziemią, w oczekiwaniu chwili, gdy wszyscy Irlandczycy jak jeden mąż powstaną pod dowództwem Tymczasowych, zaatakują angielskich najeźdźców i na zawsze wygnają ich ze świętej irlandzkiej ziemi... albo coś w tym stylu, pomyślał Grady.

Osobiście zakopał przeszło trzy tysiące sztuk broni, głównie radzieckich *Kałasznikowów*, w miejscach takich jak to w hrabstwie Tipperary. Czterdzieści metrów na zachód od wielkiego dębu, za wzgórzem, naprzeciw farmerskiego domu. Dwa metry pod ziemią, tak by pług nie wyciągnął skrzyń na powierzchnię, a łopata dało się wykopać w godzinę. Setka *Kałasznikowów*, dostarczonych w 1984 roku przez uczynnego przyjaciela, którego poznał w Libanie, plus plastikowe magazynki, dwadzieścia na sztukę. Zarówno broń, jak i amunicja zapakowane były w natłuszczony papier, na wzór rosyjski zabezpieczone przed wilgocią. Opakowanie wydawało się nienaruszone. Grady z uwagą selekcjonował broń przeznaczoną do akcji. Wybierał z dwudziestu sztuk. Rozdzierał opakowania, szukając śladów uszkodzeń i korozji, za każdym razem odciągał

zamek. Okazało się, że broń jest w idealnym stanie, podobnie jak smar, którym zakonserwowano ją w fabryce w Izewsku. *AKMS* był udoskonaloną wersją *Kałasznikowa*, w tym przypadku ze składaną kolbą, co czyniło go znacznie łatwiejszym do ukrycia niż wersja z drewnianą kolbą. Co ważniejsze, z tą właśnie wersją jego ludzie ćwiczyli w Libanie. *Kałasznikowy* były proste w obsłudze, łatwe do ukrycia i bezawaryjne, dzięki czemu doskonale nadawały się do zastosowania w nadchodzącej operacji.

Wybrał ostatecznie piętnaście sztuk wraz z trzystoma magazynkami, w których mieściło się trzydzieści nabojów. Załadował je do furgonetki, po czym jego ludzie zasypali skrytkę.

Wszystko to zajęło im zaledwie trzy godziny.

Załadowany samochód ruszył w kierunku wybrzeża w hrabstwie Cork. Prowadził tam farmę człowiek, z którym Sean Grady zawarł pewien układ.

Sullivan i Chatham byli w biurze przed siódmą rano. Udało się im przyjechać, nim na ulicach powstawać zaczęły korki, a w dodatku, o dziwo, znaleźli nawet przyzwyczajone miejsca do parkowania. Przede wszystkim użyli policyjnego programu komputerowego, umożliwiającego ustalenie nazwisk i adresów na podstawie numerów telefonicznych. To poszło szybko. Następnie mieli spotkać się i porozmawiać z trzema mężczyznami, których widziano w towarzystwie Mary Bannister i Anne Pretloe. Wydawało się całkiem możliwe, że seryjnym mordercą lub porywaczem był jeden z nich. Jeśli rzeczywiście mieli do czynienia z mordercą, był to prawdopodobnie człowiek wyjątkowo sprytny i ostrożny. Seryjny morderca to drapieżnik polujący na ludzi. Ci sprytni zachowywali się zdumiewająco podobnie do żołnierzy. Najpierw tropili ofiarę, poznawali jej zwyczaje i słabości, a potem porywali, by użyć jej do czego tam chcieli, a wreszcie, gdy im się znudziła, zabijali. Samo morderstwo, seryjne czy nie, nie leżało, ściśle rzecz biorąc, w kompetencjach FBI, porwanie jednak owszem, zwłaszcza jeśli ofiarę przewieziono przez granicę stanu, a ponieważ granica stanu znajdowała się w odległości kilkuset metrów od Manhattanu, mieli formalną podstawę do zajęcia się sprawą. Pamiętali, że seryjni mordercy dbali z reguły o powierzchowność, by łatwiej zwabiać ofiary. Poszukiwany przez nich mężczyzna był uprzejmy, prawdopodobnie przystojny, przyjazny i w ogóle nie wzbudzał strachu

— aż do chwili, gdy los ofiary był już przesądzony.

Obaj agenci FBI doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że seryjny morderca to najniebezpieczniejszy rodzaj przestępcy.

Stan zdrowia Obiektu K4 pogarszał się gwałtownie. Ani Interferon, ani Interleuken-3a nie zaszkodziły Sziwie, który mnożył się radośnie i w tym szczególnym przypadku z przerażającą gwałtownością zaatakował przede wszystkim wątrobę, a także trzustkę, która po prostu rozpadała się w oczach, powodując poważny krwotok wewnętrzny. Dziwne, pomyślał doktor Killgore.

Sziwa przez dłuższy czas „rozglądał się” po organizmie, ale kiedy już go rozpoznał, ruszał przed siebie, zzerając ciało chorego z niewiarygodnym apetytem. Lekarz uznał, że Mary Bannister ma przed sobą najwyżej pięć dni.

M7, Chip Smitton, czuł się odrobinę lepiej. Jego system immunologiczny pracował na pełnych obrotach, ale Sziwie nie miał prawa dać rady. W tym przypadku atakował równie pewnie, choć odrobinę wolniej.

K5, Anne Pretloe, pochodziła z dolnych rejonów genetycznej puli. Tym razem dysponowali pełną historią medyczną pacjentów, doktor Killgore wiedział więc, że w rodzinie Mary dziedziczny był rak — na raka piersi zmarły jej matka i babka. Organizm chorej nie stawiał

też Sziwie większych przeszkód. Czyżby była jakaś korelacja między podatnością na raka i skłonnością do zapadania na choroby zakaźne? Czy oznacza to może, że rak jest w istocie chorobą systemu odpornościowego, co zresztą podejrzewało wielu badaczy? W sam raz materiał

na artykuł do „New England Journal of Medicine”. Pewnie zyskałby nim sobie spory szacunek w środowisku medycznym — ale nie miał czasu na pisanie, a poza tym w momencie publikacji pismo zapewne nie będzie miało już czytelników. Ale za to będzie o czym porozmawiać w Kansas. Tam

przecież nadal będzie lekarzem i nadal będzie pracował nad projektem Nieśmiertelność. Większość najlepszych naukowców Horizon nie była wtajemniczona, ale ich nie można tak po prostu zabić, prawda? Więc, jak wielu innych, skorzystają z dobrodziejstwa Projektu. W ogóle przeżyje więcej ludzi niż to absolutnie konieczne, no ale różnorodność genetyczna bardzo się liczy, więc czemu nie mają ocaleć ludzie mądrzy, zdolni w końcu pojąć, dlaczego Projekt i jego cele są tak bardzo ważne. A jeśli nie docenią, to co: popełnią samobójstwo? W każdym razie wszyscy byli na liście do szczepionki B przygotowanej przez Steve'a Berga równoległe ze śmiertelnością szczepionką A.

Killgore zebrał notatki i rozpoczął obchód. Jako pierwszą odwiedził Mary Bannister, K4.

Gdyby nie potężne dawki morfiny, cierpiałyby katusze. Morfina podawana w tej ilości komuś zdrowemu z pewnością by go zabiła, narkomana zaś wprowadziła w niewysłowioną błogość.

— Jak się czujemy dziś rano? — spytał ją wesoło.

— Źle... Jestem taka słaba...

— Boli?

— Trochę, ale nie za bardzo. Przede wszystkim brzuch. — Twarz chorej z powodu wewnętrznego krwotoku była śmiertelnie blada. Z powodu wybroczyn nie podawano jej lustra, by się nie przeraziła. Lekarze Projektu pragnęli, by ich pacjenci umierali spokojnie, bez paniki.

Dla wszystkich było to wygodniejsze. Zwierzętom nie okazaliśmy tyle miłosierdzia, pomyślał

Killgore. Nie w porządku to, ale istnieją przecież względy praktyczne. Niższe zwierzęta, których używali do badań, nie były w stanie sprawić im kłopotów, nikt też właściwie nie wiedział, jak leczyć u nich ból. W Kansas zbadają pewnie i ten problem. Może sam się tym zajmę? —

pomyślał Killgore. Cel godny mych talentów. Zwiększył dawkę morfiny w kroplówce, odrobinę, tyle by utrzymać dziewczynę w stanie półjawy. Jej mógl okazać miłosierdzie, które chętnie okazałby także rebusom. Czy w Kansas będą prowadzić badania na zwierzętach? Zapewne pojawią się przeszkody natury praktycznej. Znikną spedytorzy międzynarodowi, więc zdobywanie zwierząt stanie się bardzo trudne, poza tym należało wziąć pod uwagę także kwestie etyczne. Większość świadomych uczestników Projektu będzie się temu sprzeciwiać i trudno odmówić im racji. Ale, do diabła, nie można przecież opracowywać nowych metod terapii bez choćby częściowych badań na zwierzętach. Tak jest, myślał Killgore przechodząc z jednej sali do następnej, wyrzuty sumienia wyrzutami sumienia, lecz za postęp naukowy trzeba przecież zapłacić jakąś cenę, a poza tym uratują przecież miliony zwierząt, prawda? Tysiące poświęcono podczas prac nad Sziwą i jakoś nikt się temu nie sprzeciwiał. Oto kolejny problem wart przedyskutowania podczas zebrania personelu.

— Jak się dziś czujemy, Chip?

Wszyscy razem podziękowali Bogu za to, że w tej części hrabstwa Cork Garda[3]

pojawiła się rzadko. Przystępność praktycznie tu nie istniała, jaki więc byłby z niej pożytek?

Irlandzka policja państwowa była równie skuteczna co brytyjska, a jej wydział rozpoznania współpracował na nieszczęście z londyńską Piątką, ale ani jednym, ani drugim nie udało się zlokalizować Seana Grady'ego. W każdym razie nie po tym, jak zidentyfikował i pozbył się ludzi, których podejrzewał o współpracę z policją. Dwóch z nich znikło z powierzchni ziemi, zmieniło się w karmę dla łososi, czy jakie tam ryby pożywiają się kapusiami. Grady doskonale pamiętał wyraz ich twarzy, pamiętał, jak przekonywali go o swej niewinności aż do końca, do chwili, gdy dwadzieścia kilka kilometrów od brzegu wrzuceni zostali do wody z żelaznymi łańcuchami owiniętymi wokół kostek. Niewinni, też coś! To dlaczego po ich śmierci ludzie z SAS więcej go nie niepokoili, choć przedtem aż trzykrotnie zastawiali na niego pułapki?

Po kilkugodzinnych ćwiczeniach w strzelaniu, przeprowadzonych na farmie leżącej wystarczająco na uboczu, by nikogo nie zaniepokoił charakterystyczny terkot broni maszynowej, Sean i jego ludzie wypełnili niemal po brzegi śliczny wiejski pub o nazwie „Pod Dzbanem”, nawiązującej do słów ulubionej piosenki irlandzkich buntowników. Każdy wystrzelać musiał po kilka magazynków, by na powrót przyzwyczać się do *Kałasznikowa*, ale strzelanie z broni długiej opanowywało się łatwo, a w przypadku tej broni jeszcze łatwiej. Siedzieli teraz i rozmawiali na obojętne tematy, niczym kumple, którzy razem wybrali się na piwo. Szczególnym zainteresowaniem cieszył się mecz, oglądany na umieszczonym nad barem telewizorze. Grady też przyglądał się grze, ale nie myślał o piłce nożnej. Zastanawiał się, jak szybko na miejscu pojawią się Brytyjczycy, albo ten nowy oddział Tęcza. Nie było wątpliwości, z którego kierunku nadejdą. Tak, przygotował się na każdą ewentualność i im dłużej rozważał przygotowany plan operacyjny, tym bardziej mu się podobał. Oczywiście, ktoś może zginąć, ale dla rewolucjonisty to po prostu koszty prowadzenia firmy. Nie miał wątpliwości, że jego ludzie, pochłonięci w tej chwili meczem, byli świadomi ryzyka i chętnie je akceptowali.

Spojrzał na zegarek, odjął w myśli pięć godzin i sięgnął po telefon komórkowy. Ze względów bezpieczeństwa włączał go zaledwie trzy razy dziennie, na najwyżej dziesięć minut.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że musi być ostrożny i ta świadomość, oraz, oczywiście, odrobina szczęścia, pozwoliła mu prowadzić wojnę tak długo.

Telefon zadzwonił dwie minuty później. Grady wyszedł z pubu. Rozmawiał na zewnątrz.

— Słucham.

— Sean, tu Joe.

— Cześć, Joe. Jak tam nasze sprawy w Szwajcarii?

— W tej chwili jestem akurat w Nowym Jorku. Chciałem cię tylko zawiadomić, że sprawa, o której rozmawialiśmy, chodzi o finansowanie, została załatwiona pozytywnie —

powiedział do słuchawki Popow.

— Doskonale. A inne sprawy?

— Sam ci dostarczę. Przylecę za dwa dni, samolotem mojej firmy. Na Shannon.

Wylądujemy około wpół do siódmej.

— Powitam cię osobiście.

— Doskonale, przyjacielu. I do zobaczenia.

— Do widzenia, Joe.

— Do widzenia, Sean.

Połączenie zostało przerwane. Grady wyłączył telefon i schował go do kieszeni. Nawet jeśli ktoś ich podsłuchał — co nie wydawało się prawdopodobne, skoro widok rozciągał się aż po horyzont i nie zauważył żadnej zaparkowanej furgonetki, no a poza tym gdyby wiedzieli, gdzie jest, wysłaliby przeciw niemu pluton wojska lub policji — usłyszałby tylko rozmowę o interesach. Wrócił do pubu.

— Kto dzwonił, Sean? — spytał go Roddy Sands.

— Joe. Spełnił naszą prośbę. Więc chyba i my możemy się ruszać.

— No jasne. — Roddy triumfalnym gestem uniósł kufel piwa.

Brytyjska Służba Bezpieczeństwa, zwana niegdyś MI-5 przez pokolenia prowadziła dwie operacje szczególnej wagi. Po pierwsze, tropiła agentów radzieckich, którym udało się przeniknąć do brytyjskiego rządu, co niestety przyczyniało jej pracy, jako że KGB i jego poprzednikom kilkakrotnie udało się oszukać najlepsze brytyjskie zabezpieczenia. W pewnym momencie ich agent, Kim Philby, omal nie został szefem Piątki, co dałoby Rosjanom bezpośrednią kontrolę nad całym angielskim kontrwywiadem! Na wspomnienie tej wpadki personel Piątki, od szefa po sprzątaczkę, nadal dostawał dreszczy. Drugą dziedziną działalności Piątki była penetracja Irlandzkiej Armii Republikańskiej i innych irlandzkich grup terrorystycznych, a w szczególności identyfikacja i eliminacja przywódców — tę wojnę prowadzono według staroświeckich reguł. Czasami wzywano policję celem dokonania aresztowania, czasami SAS brał sprawy w swe ręce i załatwiał je z właściwą sobie bezpośredniością. Te różnice natury technicznej powodowały, że rząd Jej Królewskiej Mości nie potrafił jednoznacznie zdecydować, czy „problem irlandzki” to sprawa kryminalna czy też kwestia bezpieczeństwa narodowego. Zdaniem FBI przez tę opieszałość był on problemem przez co najmniej dekadę za długo.

Kształtowanie polityki nie było jednak w mocy Piątki. Tym zajmowali się urzędnicy powołani w wyborach, na ogół niechętnie słuchający ekspertów zawodowo zajmujących się podobnymi problemami. Więc, zaciskając zęby, pracowali jak najlepiej potrafili, gromadzili tony danych o rzeczywistych członkach IRA i tych, których tylko o to podejrzewano, i przechowywali je dla potrzeb innych agend rządowych.

Dane otrzymywali w większości od informatorów. Donoszenie na towarzyszy było kolejną typowo

irlandzką słabością, którą Brytyjczycy wykorzystywali od dawna i z wielkim powodzeniem. Wielokroć zastanawiali się nad przyczyną sukcesów na tym polu. Doszli do wniosku, że przyczyną może być religia. IRA uważała się za obrończynię irlandzkich katolików i za katolicką tożsamość płaciła cenę: katolickie zasady i etyka często przeważały w końcu w sercach i umysłach bojowników, na co dzień zabijających w imię wyznawanej religii. Pojawiało się poczucie winy, z jednej strony nieunikniony skutek działalności rewolucyjnej, z drugiej zaś czynnik całkowicie zbędny, wręcz szkodliwy dla bojownika, bowiem obniżający jego sprawność.

Piątka zgromadziła całe tomy danych o Seanie Grady, zresztą nie tylko o nim. Grady uznawany był jednak za postać wyjątkową. W jego oddziale Anglicy ulokowali doskonale spisującego się informatora, który, niestety, znikł w pewnym momencie, bez wątplenia zamordowany. Nie było tajemnicą, że Sean wcześniej zrezygnował z „kolankowania” i przerzucił

się na morderstwa, jako skuteczniejszy sposób na załatwienie przecieków, choć policji nigdy nie pozostawił najmniejszego śladu tej działalności, a zwłaszcza ciała ofiary. Piątka miała obecnie dwudziestu siedmiu różnej wagi informatorów w szeregach PIRA, w tym cztery kobiety o moralności lżejszej, niż to na ogół bywa w Irlandii. Pozostali byli mężczyznami, którzy dali się zwerbować z różnych powodów. Trzech z nich nie wiedziało nawet, że zdradzają sekrety brytyjskim agentom. Służba Bezpieczeństwa robiła co w jej mocy, by ich chronić, więcej niż kilku z nich wobec utraty użyteczności znalazło schronienie w Anglii, a następnie w Kanadzie, gdzie rozpoczęli nowe życie. Na ogół jednak dojono ich jak długo się dało, bowiem byli to przeważnie ludzie, którzy mieli na swym koncie zabójstwa, przestępcy a jednocześnie zdrajcy, których wyrzuty sumienia opanowały odrobinę zbyt późno, by wzbudzić uczucie sympatii u prowadzących ich funkcjonariuszy.

Według ostatnich zawartych w jego aktach informacji, Grady znikł z powierzchni ziemi.

Niektórzy przypuszczali nawet, że nie żyje, zabity przez rywala, ale nie wydawało się to szczególnie prawdopodobne — taka wieść rozniosłaby się przecież, choćby wśród przywództwa PIRA. Tego człowieka nawet członkowie konkurencyjnych frakcji traktowali z szacunkiem jako prawdziwie oddanego Sprawie oraz niezwykle skutecznego zabójcę gliniarzy i żołnierzy w Londonderry. Służba Bezpieczeństwa nadal pragnęła go dostać za zabicie trzech żołnierzy SAS, których jakimś cudem dopadł, a następnie zamordował po torturach. Wściekłość SAS nie opadła bynajmniej z czasem, bowiem 22. pułk nie zwykł był ani wybaczać, ani zapominać. Śmierć to śmierć, bywa, ale tortury?

Cyril Holt, zastępca dyrektora Służby Bezpieczeństwa, jak co kwartał przeglądał akta głównych prowadzonych przez jego ludzi spraw. Zatrzymał się na teczce Grady’ego. Grady znikł, jakby go nigdy nie było. Gdyby zginął, informacja ta niewątpliwie by do niego dotarła.

Być może zrezygnował z walki, pojął, że jego organizacja dojrzała, by przystąpić do negocjacji, mogących zakończyć się czymś w rodzaju pokoju, więc podporządkował się i zakopał topór wojenny. Ale w to też trudno było uwierzyć. Ekspertyza przygotowana przez ordynatora oddziału psychiatrycznego Guy’s Hospital w Londynie dowodziła, że byłby jednym z ostatnich ludzi na ziemi skłonnych złożyć broń i poszukać sobie pokojowego zajęcia.

Najprawdopodobniej Grady ukrywał się, być może w Ulsterze, być może w Republice Irlandii. Zapewne jednak w republice, ponieważ większość informatorów Piątki działała na północy. Holt

przyjrzał się zdjęciom Grady'ego i jego mniej więcej dwudziestu żołnierzy, którym także pozakładano teczki. Żadne z tych zdjęć nie zachwycało jakością, mimo obróbki komputerowej. Musiał przyjąć, że Sean Grady nadal jest aktywny, nadal dowodzi bojową sekcją PIRA, planuje operacje, które mogą, albo i nie, dojść do skutku, ale na razie przynajmniej nie wychyla się, ukryty za maską jakiejś tożsamości, których co najmniej kilka musiał sobie zawczasu przygotować. Na razie nie dało się zrobić nic, można było tylko czekać, kiedy znów wyjdzie na światło dzienne. Holt zrobił odpowiednią notatkę, umieścił teczkę Grady'ego na stosie przeczytanych i zabrał się do kolejnych. Następnego dnia jego notatka miała znaleźć się w komputerze Piątki, powoli, lecz wytrwale zastępującym papierowe akta, przez niego samego jednak nie kochanym. Holt po prostu lubił to, co dało się wziąć w garść.

— Tak szybko? — zdziwił się Popow.

— A czemu nie? — odpowiedział pytaniem Brightling.

— Racja. A kokaina? — spytał z niesmakiem.

— Zapakowana do walizki. Pięć kilo medycznie czystego narkotyku z naszych własnych zapasów. Walizka będzie na pokładzie samolotu.

Popowowi nie przypadła do gustu perspektywa przemykania narkotyków. Nie to, że nagle odezwało mu się sumienie, po prostu bał się celników i wszędobylskich psów. Brightling musiał

odczytać ten strach z jego twarzy, bowiem nagle się uśmiechnął.

— Odpręż się, Dmitrij — zaproponował. — Gdyby coś poszło nie tak, transportujesz kokainę dla naszej filii w Dublinie. Dostaniesz odpowiednie dokumenty. Tylko postaraj się ich nie używać. Ucierpiałaby reputacja firmy.

— Rozumiem. — Popow odprężył się nieco. Tym razem miał lecieć wyczarterowanym prywatnym *Gulfstreamem V* — transport narkotyku przez normalne lotnisko samolotem rejsowym wydawał się jednak nieco zbyt niebezpieczny. W krajach europejskich Amerykanów nie poddawano na ogół jakimś szczególnym szykanom, w końcu zajmowali się oni przede wszystkim wydawaniem dolarów, a nie prowokowaniem awantur, ale psy miał w tej chwili każdy, nawet najuboższy, kraj i każdy kraj bał się narkotyków jak ognia.

— Dziś wieczorem?

Brightling skinął głową. Zerknął na zegarek.

— Samolot startuje z lotniska Teterboro — powiedział. — Bądź tam o szóstej.

Popow skinął głową i wyszedł. Złapał taksówkę i pojechał do mieszkania. Pakowanie nie sprawiało mu najmniejszych kłopotów, miał jednak o czym myśleć. Brightling pogwałcił właśnie jedną z najbardziej fundamentalnych zasad bezpieczeństwa. Wynajęcie prywatnego odrzutowca po raz

pierwszy powiązało z nim jego firmę, podobnie wystawione na konkretne nazwisko dokumenty pozwalające na przewóz kokainy. Nie podjęto żadnych starań, by odciąć jego, Popowa, od pracodawcy. Może oznaczało to, że Brightling mu nie ufa, nie wierzy, że w razie aresztowania Popow będzie trzymał gębę na kłódkę? Nie, to nie o to chodziło. Gdyby mu nie ufano, nie powierzono by mu tej operacji. Od początku był przecież łącznikiem z terrorystami.

A więc facet mi ufa, pomyślał Rosjanin. Lecz jednocześnie gwałci zasady bezpieczeństwa. Oznaczało to, że, zdaniem Brightlinga, sprawy bezpieczeństwa nie mają większego znaczenia. Dlaczego nie miałyby mieć znaczenia? Czyżby zaplanowano jego wyeliminowanie? Możliwe, ale raczej nieprawdopodobne. Brightling z pewnością potrafi być bezlitosny, z całą pewnością jednak nie jest aż tak sprytny, a raczej odwrotnie, jest zbyt sprytny.

Tym można się nie przejmować, pomyślał Rosjanin.

Więc o co chodzi?

Przyjrzał się sobie w lustrze. Nadal nie wiedział tego, co powinien wiedzieć. Podjął się tej pracy, bowiem ze wszystkich możliwych pokus najbardziej przemawiały do niego pieniądze. Stał

się swego rodzaju wolnym strzelcem, pracującym za pieniądze dla człowieka, który nie przywiązywał do pieniędzy najmniejszej nawet wagi. Nawet CIA, tak niesłychanie bogata, kilka razy oglądała banknot, nim zapłaciła nim agentowi. Amerykańskie służby bezpieczeństwa płaciły agentom sto razy lepiej niż rosyjskie, ale przecież i tak wymagały udokumentowania wydatków.

CIA też miała księgowych, rządzących agentami terenowymi z bezwzględnością carskich dworzan i ekonomów rządzących rosyjskimi wioskami. Popow wiedział, że Horizon Corporation dysponuje ogromnymi zapasami gotówki, ale przecież nikt nie staje się bogaty dlatego, że garściami wyrzuca pieniądze za okno. W społeczeństwie kapitalistycznym ludzie bogacą się dzięki sprytowi, może nawet bezwzględności, ale z całą pewnością nie przez głupotę, a wyrzucanie pieniędzy na śmietnik, niczym jakaś agenda rządowa, to przecież właśnie dowód głupoty.

Więc o co chodzi? Odwrócił się od lustra i dokończył pakowanie.

Cokolwiek Brightling planuje, cokolwiek spowodowało, że potrzebne mu były ataki terrorystów, wkrótce to coś przyniesie owoce.

W tej myśli była odrobina sensu. Kryjesz się, jak długo musisz, a kiedy uznasz, że nie musisz, przestajesz się przejmować? Ale to przecież czysta amatorszczyzna. Amator, nawet —

jak w przypadku jego pracodawcy — utalentowany amator, nie wie, bo nie nauczyło go tego gorzkie zbiorowe, instytucjonalne doświadczenie, że nigdy, ale to nigdy nie łamie się zasad działania, nie łamie się ich nawet po szczęśliwym zakończeniu konkretnej operacji, bo przecież przeciwnik może dowiedzieć się czegoś, co da się użyć następnym razem...

...Chyba że następnego razu nie będzie, przemknęło przez głowę Rosjaninowi, kiedy wybierał

bieliznę do spakowania. Czyżby była to ostatnia operacja? A może to tylko moja ostatnia operacja?

Jeszcze raz wszystko sobie przemyślał. Każda zorganizowana za jego pośrednictwem akcja była większa od poprzedniej. Teraz uszczęśliwiał terrorystów nie tylko sześcioma milionami dolarów, lecz także kokainą, którą osobiście transportował. Ułatwiono mu przemyt dostarczając dokumenty, wiążące go zarówno z samymi narkotykami, jak i z firmą Brightlinga.

Fałszywe dokumenty, którymi się posługiwał, bez trudu przejdą kontrolę policyjną — chyba że Garda ma bezpośrednie połączenie z Piątką, co nie wydawało się szczególnie prawdopodobne.

Jeszcze bardziej nieprawdopodobne jest, by Brytyjczycy znali jego fałszywe nazwisko, by mieli jego fotografię, choćby nawet kiepską, a poza tym przecież zmienił fryzurę całe lata temu.

Tylko jedno ma sens, uznał Popow, kończąc pakowanie: to ostatnia operacja. Brightling zamierza zwinąć sklepik. Czyli ostatnia szansa, żeby się nachapać. Miał więc nadzieję, że Gary i jego banda doczekają się końca równie smutnego jak ten, który spotkał podobnych im w Bernie i pod Wiedniem... i tych z Hiszpanii, choć ich akurat nie znał. Miał już numer i kod dostępu nowego konta w szwajcarskim banku, konta, na którym złożono wystarczająco wiele pieniędzy, by mógł żyć za nie komfortowo, aż do śmierci. Jedno tylko było mu bardzo potrzebne: Tęcza musi załatwić chłopców z PIRA. Wówczas on sam będzie mógł zniknąć.

Z tą pocieszającą myślą zadzwonił po taksówkę, która zawiozła go na lotnisko Teterboro.

Sposób przenoszenia

— Doprawdy, to strata czasu — powiedziała Barbara Archer, rozsiadając się wygodnie w fotelu w sali konferencyjnej. — K4 już nie żyje, tyle że serce nie przestało jeszcze bić.

Spróbowaliśmy wszystkiego. Sziwy nie powstrzyma nic, koniec i kropka.

— Z wyjątkiem przeciwciał szczepionki B — skinął głową Killgore.

— Tak, z tym jednym wyjątkiem. Ale nic innego nie jest w stanie pomóc chorym, prawda?

Obecni na konferencji zgodzili się z nią. Rzeczywiście, użyli wszelkich metod terapeutycznych dostępnych współczesnej medycynie, włączywszy w to środki, o których marzono tylko w Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych, Wydziale Badań Medycznych Stanów Zjednoczonych i Instytucie imienia Pasteura w Paryżu. Wypróbowali nawet wszystkie znane nauce antybiotyki, od penicyliny po Keflex, oraz dwa antybiotyki syntetyczne, jeden od Mercka, drugi ich własny, z Horizon. Zastosowanie antybiotyków było w zasadzie formalnością, ponieważ nie miały one prawa zadziałać w przypadku infekcji wirusowej, ale w sytuacji ostatecznej ludzie sięgają przecież po ostateczne środki, zawsze może się zdarzyć coś nieoczekiwanego...

...ale nie w przypadku Sziwy. Ta nowa, dzięki zastosowaniu inżynierii genetycznej, udoskonalona wersja Eboli, gorączki krwotocznej nadal panoszącej się w dorzeczu Konga, była tak stuprocentowo śmiertelna i tak stuprocentowo odporna na leczenie, jak nic znanego do tej pory ludzkości i — jeśli tylko nie nastąpi jakiś dramatyczny przełom w leczeniu chorób zakaźnych — ci, którzy na nią zachorują, nie mają żadnej szansy na przeżycie. Miliony ludzi zachoruje w wyniku zarażenia pierwotnego, resztę dobić miała szczepionka A Steve'a Berga.

Dzięki tej różnorodności metod Sziwie dane będzie przetoczyć się przez świat na kształt lawiny rosnącej w miarę staczania się po górskim zboczu. W ciągu najbliższych sześciu miesięcy ludzkość wyginie — z wyjątkiem tych, którzy mieścili się jednej z trzech kategorii.

Po pierwsze, niektórzy w ogóle się nie zarażą. Niewielu ich będzie, bowiem pierwsze

„naturalne” przypadki Sziwy tak wystraszą obywateli państw mających dostęp do telewizji, że wręcz rzucą się na szczepionkę A.

Po drugie, system immunologiczny nielicznych osobników zwalczy chorobę. Praktyka laboratoryjna nikogo takiego nie ujawniła, ale muszą przecież żyć gdzieś ci wystarczająco odporni, by samodzielnie uporać się z wirusem. Na szczęście większość tych nielicznych zginie tak czy owak w skutek nieuchronnego rozprężenia systemu usług komunalnych we wszystkich miastach świata, czyli

przede wszystkim z głodu, w rozruchach, które wywoła rozpad więzi społecznych oraz od zwykłych infekcji bakteryjnych, nieuniknionych z powodu choćby gigantycznej ilości nie pogrzebanych zwłok.

Po trzecie, kilka tysięcy ludzi ocaleje w Kansas. Projekt Szalupa Ratunkowa, tak go nazywano. W skład tej grupy wchodził przede wszystkim świadomi uczestnicy Projektu — było ich kilkuset — ich rodziny oraz naukowcy, których ochronić miała szczepionka B Berga.

Enklawa w Kansas — wielka, odizolowana i doskonale zaopatrzona w broń na wypadek pojawienia się nieproszonych gości, praktycznie gwarantowała stuprocentowe bezpieczeństwo.

Sześć miesięcy. Dwadzieścia siedem tygodni. Czas wyznaczony przez komputery w trakcie symulacji. Gdzieś pójdzie szybciej, gdzieś wolniej. Zdaniem komputerów ostatnia poddać się miała Afryka, ponieważ tam szczepionka A miała dotrzeć najpóźniej, a poza tym nędzna infrastruktura utrudniała zorganizowane działania „ratunkowe”. Europa była za to pierwsza na liście, ze swą doskonale zorganizowaną służbą medyczną i posłusznymi obywatelami, którzy staną z pewnością w kolejkach po „lekarstwo”. Po Europie miał przyjść czas na Amerykę i, wreszcie, cały świat.

— Cały świat, ot tak. — Killgore pstryknął palcami. Wyglądał przez okno, patrzył na zielone łagodne pagórki pogranicza Nowego Jorku i New Jersey, i porastające je drzewa. Wielkie równiny od Kanady po Teksas porosną trawą, choć gdzieś zdziczała pszenica rosnąć będzie przez stulecia. Bizony z Yellowstone i prywatnych hodowli rozmnożą się natychmiast na wolności, za nimi zaś pojawią się wilki, niedźwiedzie grizzly, ptaki, kojoty i pieski preriowe.

Natura błyskawicznie wróci do równowagi, tak przynajmniej prorokowały komputery. Niespełna pięć lat i Ziemia zmieni się nie do poznania.

— Owszem, John — przytaknęła doktor Archer — ale na razie zostało jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Co z naszymi obiektami?

Nie było najmniejszych wątpliwości, co sugeruje. Doktor Archer nienawidziła medycyny klinicznej.

— K4 pierwsza?

— Tylko marnuje powietrze oddychając i wszyscy o tym wiemy. Oni cierpią, a my niczego nowego już się nie nauczymy. Wiemy, że Sziwa jest zabójczy i nic tego nie zmieni. Poza tym za kilka tygodni przenosimy się na zachód, po co utrzymywać ich przy życiu? Przecież nie pojedą z nami.

— Oczywiście, że nie — powiedział jakiś inny lekarz.

— Doskonale. Nie mam zamiaru bawić się w klinicystkę i ratować życie trupom. Wnoszę byśmy zrobili, co mamy zrobić. Wreszcie będzie spokój.

— Popieram — odezwał się jakiś głos.

— Kto za? — Killgore policzył wzniesione ręce. — Kto przeciw? — Załedwie dwie osoby. — Doskonale, zdecydowaliśmy za. Załatwimy tę sprawę we dwoje, z Barbarą. Dziś, Barb?

— A po co czekać? — westchnęła pani doktor.

— Kirk Maclean? — spytał agent Sullivan.

— To ja — odparł stojący w drzwiach mężczyzna.

— FBI. — Sullivan pokazał mu legitymację. — Możemy porozmawiać?

— O czym?

Denerwuje się, jak wszyscy, zauważyli agenci.

— Po co stać na klatce? — spytał spokojnie Sullivan.

— Ależ, oczywiście, przepraszam panów. — Maclean otworzył szeroko drzwi, zaprosił

ich do środka i poprowadził do dużego pokoju. Telewizor był włączony na film z jakiejś stacji kablowej.

— Jestem agentem specjalnym FBI, nazywam się Tom Sullivan, a to agent Frank Chatham. Zajmujemy się sprawą dwóch zaginionych dziewczyn — powiedział starszy stopniem funkcjonariusz, kiedy już usiedli na kanapie. — Mamy nadzieję, że będzie pan w stanie nam pomóc.

— Chętnie. Porwano je czy coś w tym rodzaju?

— Istnieje taka możliwość. Te dziewczyny to Anne Pretloe i Mary Bannister.

Dowiedzieliśmy się, że znał pan jedną z nich, a być może obydwie.

Maclean zamknął oczy, a potem otworzył je i przez chwilę gapił się w okno.

— Z baru „Pod Żółwiem” chyba... bo ja wiem?

— Tam pan je spotkał?

— Panowie, znam kupę dziewczyn. Ten lokal to fajne miejsce, dobra muzyka i w ogóle.

Macie zdjęcia?

— Proszę. — Chatham podał mu fotografie.

— Aha, racja. Pamiętam Annie, chociaż nie znałem przedtem jej nazwiska. — Sekretarka w firmie prawniczej, zgadza się?

— Zgadza się — potwierdził Sullivan. — Dobrze pan ją znał?

— Tańczyliśmy trochę, trochę rozmawialiśmy, wypiliśmy parę drinków, ale nic więcej.

— Czy wychodził pan z nią kiedyś z baru, spacerowaliście, coś takiego?

— Raz chyba odprowadziłem ją do domu. Mieszkała zaledwie parę przecznic od

„Żółwia”, prawda? — Znów zamilkł na moment. — Tak, pamiętam, pół przecznicy od Columbus Avenue. Odprowadziłem ją do domu, ale panowie, nawet nie wszedłem do środka. To znaczy...

my nigdy... no wiecie... nigdy z nią nie poszedłem do łóżka — wykrztusił w końcu Maclean, wyraźnie zażenowany.

— Znał pan może jakichś jej przyjaciół? — spytał Chatham, notując przebieg rozmowy.

— No, był taki jeden, którego się trzymała. Jim. Chyba księgowy. Nie wiem, jak bliska to była znajomość, ale, kiedy spotykali się w barze, na ogół pili razem. I widziałem też innego, ale pamiętam twarz, nie nazwisko. Może i rozmawialiśmy, ale w głowie niewiele mi z tego zostało.

Wiecie, panowie, to lokal dla samotnych, spotyka się mnóstwo ludzi, czasami coś z tego wychodzi, ale przeważnie nie.

— Numery telefonów?

— Do tych dwóch to nie mam. Ale mam dwa od innych dziewczyn z „Żółwia” i mogę je wam dać.

— Znały Mary Bannister i Annę Pretloe? — zainteresował się Sullivan.

— Nie wiem. Dziewczynom to łatwiej przychodzi niż facetom, zbierają się w grupki, gadają o nas... Faceci też to robią, ale dziewczyny, jakby to powiedzieć, są lepiej zorganizowane...

Padło jeszcze wiele pytań, rozmowa ciągnęła się przez dobre pół godziny, co gospodarzowi — w odróżnieniu od wielu — najwyraźniej nie przeszkadzało. W końcu agenci spytali, czy mogą rozejrzeć się po mieszkaniu. Żaden przepis prawa ich do tego nie upoważniał, ale, co na pierwszy rzut oka mogło wydawać się dziwne, nawet kryminaliści rzadko sprzeciwiali się tego rodzaju prośbie i więcej niż kilku schwytanych zostało, ponieważ dowody ich przestępstw leżały po prostu na widoku. W przypadku takim jak ten agenci mieli szukać przede wszystkim magazynów ilustrowanych ze zdjęciami prezentującymi dewiacje seksualne, a może nawet osobistych zdjęć przedstawiających tego rodzaju dewiacje. Lecz w domu Macleana znaleźli wyłącznie zdjęcia zwierząt oraz pisma dotyczące ochrony przyrody — niektóre z nich były wydawnictwami organizacji uznawanych przez FBI za ekstremistyczne — oraz sprzętu turystycznego i wycieczkowego.

— Lubi pan wyprawy w teren? — spytał Chatham.

— Owszem, z przyjemnością chodzę tam, gdzie nie ma ludzi — odparł natychmiast Maclean. — Brakuje mi tylko dziewczyny, która też by to lubiła, ale w tym mieście niełatwo taką znaleźć.

— Chyba tak. — Sullivan wręczył mu wizytówkę. — Jeśli coś się panu przypomni, proszę, niech pan

dzwoni natychmiast. Na odwrocie zapisałem telefon do domu. Dziękujemy za pomoc.

— Chyba niewiele wam pomogłem.

— Jak to mówią: liczą się dobre chęci. Do widzenia.

Maclean zamknął za nimi drzwi i odetchnął głęboko. Kurwa mać, jakim cudem wpadli na jego nazwisko i adres? Pytania padły takie, jakich się spodziewał, odpowiedzi przeciwiczył sobie pracownicy, ale to było tak dawno temu... Czemu teraz?

— No i nic — stwierdził Chatham, kiedy szli do samochodu.

— Ale może te babki, których telefony dostaliśmy, coś nam powiedzą?

— Wątpię. Z jedną z nich rozmawiałem wczoraj w barze.

— To pogadaj z nią jeszcze raz. Zapytaj, co sądzi o tym Macleanie — powiedział

Sullivan.

— Dobra, Tom. To się da zrobić. Wyczułeś coś u tego faceta? Bo ja nic.

Sullivan tylko potrząsnął głową.

— Nie, nic. Ale nie nauczyłem się jeszcze czytać w myślach.

— Ja też — westchnął Chatham.

Należało zrobić to już, odkładanie na później nie miało najmniejszego sensu. Barbara Archer otworzyła szafkę z lekarstwami kluczem ze swego osobistego zestawu i wyjęła dziesięć ampułek z roztworem potasu w soli fizjologicznej. Włożyła je do kieszeni. Przed pokojem K4

napełniła zawartością ampułki strzykawkę, a potem otworzyła drzwi.

— Cześć — powitała ją pacjentka, leżąca na łóżku, wpatrzona w umieszczony na ścianie telewizor. Był to bardziej jęk, niż artykułowane słowo.

— Dzień dobry, Mary. Jak się czujemy? — I nagle lekarce przyszła do głowy dziwna myśl: dlaczego właściwie lekarze zwracają się do pacjentów mówiąc „jak się czujemy”? Dziwny nawyk językowy, prawdopodobnie wyniesiony ze studiów medycznych. Być może jego celem było ustanowienie swego rodzaju solidarności między lekarzem i pacjentem, ale w tym konkretnym przypadku nie mogło być przecież mowy o żadnej solidarności. Jako studentka pracowała podczas wakacji — prawie na samym początku zatrudniło ją schronisko dla psów.

Zwierzakom dawano tydzień — jeśli przez tydzień nikt się po nie nie zgłosił, były usypiane, na ogół dużą dawką fenobarbitalu. Ludzie mówili „usypiane”, ale dla niej było to zwykłe morderstwo. Zastryk zawsze robiono w lewą przednią łapę i po mniej więcej pięciu sekundach zwierzę po prostu

zapadało w sen. Potem zawsze płakała. Psy usypiano we wtorek, przed lunchem, ale nie była w stanie nic zjeść, nawet kolacji, jeśli któryś z piesków był wyjątkowo miły. Kładli je na stalowym stole zabiegowym, a ktoś zawsze przytrzymywał psy, żeby jej ułatwić zadanie. Mówiła do nich, uspokajała je, żeby uczynić ich śmierć łatwiejszą.

Doktor Archer przygryzła wargę, czując się tak, jak zapewne czuł się, a przynajmniej powinien się czuć, Adolf Eichmann.

— Bardzo źle — powiedziała po dłuższej przerwie Mary Bannister.

— Mam coś, co ci pomoże. — Doktor Archer zdjęła plastikową nakładkę zabezpieczającą igłę. Podeszła do łóżka od lewej strony, ujęła ramię chorej, unieruchomiła je i wbiła igłę w żyłę w przedramieniu poniżej łokcia.

Zrobiła zastrzyk, patrząc K4 wprost w oczy.

Oczy Mary nagle się rozszerzyły. Roztwór potasu przeżerał żyły, wędrując nimi wraz z krwią. Prawą ręką dziewczyna objęła najpierw lewe ramię, by w sekundę potem przyłożyć ją do piersi — nieznośne gorąco przesunęło się w stronę serca. Potas zatrzymał je natychmiast.

Stojący przy łóżku elektroencefalograf, jeszcze przed chwilą pokazujący prawie normalny obraz, nagle wskazał płaską falę, włączając jednocześnie alarmowy brzęczyk. Oczy Mary Bannister pozostały jednak otwarte — mózg dysponował tlenem umożliwiającym mu pracę przez blisko minutę, mimo iż serce przestało już pompować krew. Wielkie, przerażone oczy. K4 nie mogła już mówić, nie mogła protestować, w momencie ustania pracy serca przestała oddychać, ale patrzyła wprost w oczy lekarki. Zupełnie jak te psy, tylko psie oczy nie oskarżały tak jak te ludzkie. Archer patrzyła w nie jednak bez wyrazu i nie czuła nic, ani odrobiny tego żalu, który towarzyszył jej w schronisku.

Po niespełna minucie Mary Bannister zamknęła oczy i wreszcie umarła. Jeden płotek pokonany, dziewięć do przeskoczenia i pani doktor Archer będzie mogła pojechać do domu.

Niepokoili ją tylko, czy magnetowid działa właściwie. Zaprogramowała go na nagranie programu o wilkach w Yellowstone z Discovery Channel, ale miała kłopoty z programowaniem i w ogóle ta cholerna maszyna czasami doprowadzała ją do szaleństwa.

Po pół godzinie komplet zwłok, zapakowanych w plastikowe torby, pojechał do krematorium. Był to model specjalny, zaprojektowany do celów medycznych — likwidowania odpadów organicznych takich jak obcięte członki i martwe płody. Opalany gazem naturalnym osiągał bardzo wysoką temperaturę, potrafił spalić nawet plomby z zębów, zmieniając wszystko w drobny pył, który wiatry unosiły w stratosferę, a potem przewiewały nad ocean. Pokoje chorych miały być teraz dokładnie wyczyszczone tak, by nie pozostał w nich ani ślad Sziwy. Po raz pierwszy od miesiący zabraknie tu szczepów wirusa szukających sobie łakomie kolejnych ofiar. Członkom Projektu z pewnością sprawi to przyjemność, pomyślała doktor Archer, wracając do domu. Sziwa był użytecznym narzędziem, skutecznie prowadzącym do celu, ale i czymś zbyt strasznym, by nie cieszyć się z jego zniknięcia.

Popow przespał się pięć godzin w samolocie. Steward potrząsnął go za ramię dwadzieścia minut

przed lądowaniem na Shannon. To lotnisko, obsługujące niegdyś łodzie latające linii Pan American, tankujące tu przed lotem do Southampton — to właśnie tu linie lotnicze wymyśliły

„kawę po irlandzku”, skutecznie dobudzającą pasażerów — znajdowało się na zachodnim wybrzeżu Irlandii i otoczone było farmami i porośniętymi zieloną trawą podmokłymi łąkami, które wydawały się świecić w blasku wschodzącego słońca. Rosjanin umył się w toalecie, po czym wrócił na miejsce i spokojnie oczekiwał lądowania, które okazało się nadspodziewanie gładkie. Samolot szybko podkołował do terminalu, przy którym stało kilka innych prywatnych odrzutowców, podobnych do wyczarterowanego dla niego *Gulfstreama*.

Zaledwie maszyna zatrzymała się, już podjechał pod nią brzydki, urzędowy samochód. Po schodach wszedł mężczyzna w mundurze. Pilot gestem zaprosił go do środka i wskazał na tył

kabiny.

— Witamy w Shannon — powiedział oficer imigracyjny. — Mogę prosić o paszport?

— Oczywiście.

Urzędnik przerzucił kartki.

— Ach, widzę, że ostatnio nas pan odwiedził — zauważył. — Powód przyjazdu?

— Interesy. Farmaceutyki — dodał natychmiast Rosjanin na wypadek, gdyby kazano mu otworzyć torbę.

— Aha. — Urzędnika najwyraźniej niewiele to obeszło. Podstemplował paszport. — Ma pan coś do zadeklarowania?

— Nie, właściwie nie.

— Doskonale. Życzymy miłego pobytu. — Z uśmiechem równie mechanicznym co jego ruchy Irlandczyk wrócił do samochodu.

Popow, zamiast westchnąć z ulgą, w myślach rozżłościł się z powodu strachu, który towarzyszył mu podczas lotu, a okazał się bezsensowny. Kto przy zdrowych zmysłach wynająłby odrzutowiec za sto tysięcy dolarów, by przemycać w nim narkotyki? Oto kolejna lekcja o kapitalizmie. Jeśli nie brak ci forsy, by podróżować niczym księżę, to z założenia nie możesz łamać prawa. Zdumiewające. Włożył płaszcz i wysiadł z samolotu. Na pasie czekał już na niego czarny Jaguar, do którego wcześniej zapakowano bagaże.

— Pan Sierow? — Kierowca uprzejmie otworzył mu drzwi. Właściwy każdemu lotnisku hałas pozwalał nie obawiać się podsłuchu.

— To ja. Jedziemy spotkać się z Seanem?

— Oczywiście, proszę pana.

Popow skinął głową i usiadł na tylnym siedzeniu. W chwilę później opuścili teren lotniska. Wiejskie drogi w Irlandii bardzo przypominały angielskie i były zdecydowanie węższe niż w Stanach, a poza tym i tu jeździło się po niewłaściwej stronie drogi. Zdumiewające, zastanawiał się Popów. Skoro Irlandczycy tak bardzo nie lubią Anglików, czemu z upodobaniem naśladują ich zwyczaje motoryzacyjne?

Po półgodzinie dojechali na odległą od drogi farmę. Przed domem farmera stały dwa samochody osobowe i półciężarówka. Był też wartownik. Rosjanin rozpoznał go: Roddy Sands, ten ostrożny.

Wysiadł i przyjrzał mu się, nie podając ręki. Z bagażnika wyjął walizkę z kokainą i wszedł do środka.

— Dzień dobry, Władimirze — przywitał go Grady. — Jak tam podróż?

— Wygodna. — Walizka przeszła z ręki do ręki. — Mam, o co prosisz, Sean.

Z tonu jego głosu nietrudno było wywnioskować, co myśli. Irlandczyk spojrzał mu w oczy, na jego twarzy malowało się zażenowanie.

— Mnie też się to nie podoba — powiedział. — Ale muszę jakoś finansować operacje, a to dobry środek na ich finansowanie. — Pięć kilo kokainy miało różną wartość dla różnych ludzi.

Horizon kosztowało zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na otwartym rynku, na którym zaopatrywały się firmy farmaceutyczne. Na ulicy, w mniejszym stężeniu, narkotyk ten warty był pięćset razy więcej. Kolejna sztuczka kapitalizmu, pomyślał Popow, ale skoro dokonano wymiany, problem ten przestał go interesować.

— Oto numer konta i kod umożliwiający korzystanie z pieniędzy — powiedział, wręczając rozmówcy kawałek papieru. — Wypłat dokonywać można tylko w poniedziałki i środy, to taki dodatkowy środek bezpieczeństwa. Na koncie masz sześć milionów dolarów w dolarach amerykańskich. Stan konta podadzą ci w każdej chwili.

— Wład, robienie z tobą interesów to, jak zawsze, czysta przyjemność. — Sean Grady uśmiechnął się, co czynił nieczęsto. Do tej pory nigdy nie dysponował nawet dziesiątą częścią tej sumy, choć od dwudziestu lat był zawodowym rewolucjonistą. Z drugiej strony, ci ludzie nigdy nie udawali biznesmenów, pomyślał Popow.

— Kiedy zaczynacie? — spytał.

— Niedługo. Poznaliśmy cel i opracowaliśmy plan, który można określić tylko jednym słowem, przyjacielu. Jest piękny. Zranimy ich i to dotkliwie, Władimirze Andriejewiczu. Bardzo dotkliwie.

— Muszę dokładnie wiedzieć, kiedy przeprowadzicie akcję. Ja też mam swoje obowiązki.

Nie było wątpliwości, że udało mu się wstrząsnąć rozmówcą. Właśnie naruszone zostały zasady bezpieczeństwa: ktoś z zewnątrz zapragnął pojąć informację, dostępną tylko ludziom z

wewnętrzny kręgu. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. I wreszcie poddał się Irlandczyk. Pieniądze znalazły się na miejscu, nie miał więc powodów, by nie ufać Rosjaninowi, poza tym pięć kilogramów białego proszku także dobitnie świadczyło na jego korzyść... Chyba że jeszcze dziś Garda miała go dopaść. Nie, to nie tego rodzaju człowiek, prawda?

— Pojutrze. Operacja rozpocznie się punktualnie o pierwszej po południu.

— Tak szybko?

Grady z widocznym zadowoleniem przyjął fakt, że do tej pory był najwyraźniej niedoceniany.

— A na co mamy czekać? — odpowiedział pytaniem. — Teraz, kiedy dostaliśmy pieniądze, mamy wszystko, czego potrzebujemy.

— Czy mogę jeszcze w czymś ci pomóc?

— Nie.

— Więc, za twoim pozwoleniem, wracam do domu. Tym razem uścisnęli sobie dłonie.

— Daniel odwiezie cię do Dublina? — upewnił się Irlandczyk.

— Tak, na lotnisko. Dziękuję, Sean i... powodzenia. Pewnie się jeszcze spotkamy.

— Mam szczerą nadzieję.

Popow spojrzał na niego po raz ostatni — nie miał wątpliwości, że ostatni, mimo wypowiedzianych przez chwilę słów. Oczy Grady'ego aż śmiały się w tej chwili na myśl o demonstracji gotowości rewolucyjnej, która miała odmienić jego przyszłość. Dostrzegł w nich jednak także okrucieństwo, którego nie zauważył wcześniej. Jak Fürchtner, jak Dortmund, ten człowiek był raczej drapieżnym zwierzęciem niż człowiekiem i choć przecież często stykał się z tego typu stworami, Popow stwierdził nagle, że czuje niepokój. Podobno nieźle umiał czytać w umysłach rozmówców, w tym odczytał jednak tylko pustkę, brak ludzkich uczuć oraz zajmującą ich miejsce ideologię, prowadzącą Seana Grady'ego... Właśnie, dokąd go prowadząca? Czy on sam potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie? Prawdopodobnie nie. Sądził, że idzie drogą prowadzącą ku Świetlanej Przyszłości — radziecka partia komunistyczna wręcz uwielbiała to określenie — ale światłość, która go przyzywała, świeciła z oddali, a w dodatku swym blaskiem kryła pułapki, które czekały na Irlandczyka. A gdyby nawet miał kiedyś osiągnąć cele, do których dążył z takim uporem, myślał Rosjanin, jako rządzący ludźmi okazałby się dla nich nieszczęściem — jak wielu przed nim: Stalin, Mao i cała reszta — bo nie umiał patrzeć na świat oczami zwykłych ludzi, zupełnie jakby przybył z innej planety. Dla niego życie i śmierć były tylko narzędziami w realizacji wizji, a nie czymś, co zdarza się ludziom. Ze wszystkiego, co narodziło się w świecie z Karola Marksa, to właśnie było chyba najgorsze. Sean Grady zastąpił

wszystko, co było w nim ludzkie, a zwłaszcza uczucia, geometrycznie doskonałym modelem

idealnego świata. Tak zakochał się w tej wizji, iż nie dostrzegł nawet, że jego model walił się wszędzie tam, gdzie próbowano go zrealizować w praktyce. Ścigał chimere, stworzenie nie do końca rzeczywiste, unoszące się w powietrzu zawsze tuż poza zasięgiem ręki, lecz nieuchronnie wabiące w objęcia śmierci nie tylko jego samego, lecz także tych wszystkich, którzy z rozmysłem lub przypadkowo stanęli mu na drodze. Z radosnym błyskiem oka myślał teraz o swym wielkim przedsięwzięciu. Ideologiczna czystość w jakiś sposób uniemożliwiła mu postrzegania świata takim, jakim rzeczywiście był, a przecież nawet Rosjanie, którzy tę samą chimere ścigali przez siedemdziesiąt lat, obudzili się wreszcie i rozejrzeli dookoła. Jakie to dziwne, pomyślał Popow: ludzie o błyszczących entuzjazmem oczach służący ślepemu Panu.

Odwrócił się i wyszedł do samochodu.

— Doskonale, Peter, teraz wy jesteście na służbie — powiedział Chavez dowódcy Pierwszego Zespołu. Ten oddział był teraz w stanie alarmu, Drugi Zespół pozostawał zaś wyłącznie w gotowości i automatycznie przechodził na intensywniejszy cykl szkolenia.

— Dyżur przejęty — powiedział Covington. — Ale wygląda na to, że nigdzie nic się nie dzieje.

Dane wywiadowcze przekazywane im przez wiele agencji państwowych wydawały się optymistyczne. Informatorzy mający kontakt z terrorystami i osobami podejrzanymi o kontakty z terrorystami — a tych było znacznie więcej, większość aktywnych terrorystów już dawno aresztowano — przekazywali jak jeden mąż, że akcja w Parku Światowym skutecznie ugasiła entuzjazm bojowników rewolucji, zwłaszcza że Francuzi opublikowali nazwiska i zdjęcia ofiar akcji w Hiszpanii i, jak się okazało, jedną z nich był znany i niezwykle szanowany w lewackich kręgach członek Action Directe, mający na koncie sześć morderstw i powszechnie uważany za eksperta od akcji w terenie. Jego śmierć, pokazana przez telewizję na cały świat, wstrząsnęła podstawami społeczności terrorystów, szalenie wzrósł też szacunek dla hiszpańskiej policji, kąpiącej się w chwale dokonań Tęczy, ku wielkiemu niezadowoleniu baskijskich terrorystów, którzy, jak informowały hiszpańskie źródła, przycichli nieco po śmierci swych ludzi.

Raport Billa Tawneya kończył się stwierdzeniem, iż istnieje możliwość, że Tęcza rzeczywiście wywarła takie wrażenie, jakiego spodziewano się, gdy jednostka była formowana.

Być może nie będą musieli ruszać w pole i zabijać tak często, jak to do tej pory bywało.

Nie wypłynęły jednak żadne dane wyjaśniające, dlaczego trzy ostatnie akcje terrorystyczne nastąpiły w tak krótkim odstępie czasu. Brytyjska SIS posunęła się do stwierdzenia, że było to zdarzenie przypadkowe, skoro trzy akcje nastąpiły w trzech różnych krajach: Szwajcarii, Niemczech i Hiszpanii, a nie wydaje się przecież szczególnie prawdopodobne, by istniał ktoś mający kontakty z podziemiem terrorystycznym we wszystkich trzech. W dwóch, może, ale żeby w trzech? Radzono także, by nawiązać kontakty ze służbami wywiadowczymi byłych krajów Bloku Wschodniego celem sprawdzenia, co robią niektórzy ich funkcjonariusze, odesłani na emerytury. Być może opłacałoby się kupić informacje po cenie rynkowej, która ostatnio wzrosła, jako że byli szpiegzy zmuszeni zostali do sfinansowania sobie życia w rzeczywistym świecie. Tawney podkreślił ten paragraf w kopii raportu

przekazanej Johnowi Clarkowi, John porozmawiał z Langley, Langley znów go usadziło, więc Tęcza Sześć cały tydzień łąził wściekły, narzekając na cholernych biurokratów z Firmy. Tawney zastanawiał

się, czy nie powinien użyć własnych wpływów w Szóstce, ale zdawał sobie sprawę z tego, że pozbawiony poparcia CIA tylko marnowałby czas.

Z drugiej strony Tęcza najwyraźniej robiła co do niej należało. Nawet jej dowódca przyznawał to niechętnie, bo nie mógł się pogodzić z tym, że zasiadł za biurkiem i tylko wysyła młodszych od siebie tam, gdzie dzieje się coś ciekawego. Przez większość swej kariery oficera wywiadu John Clark zawsze narzekał na „tych z góry”. Teraz on był „tym z góry” i miał

wrażenie, że jakby nieco lepiej rozumie dziś swoich byłych przełożonych. Dowodzenie miało swoje zalety, ale z całą pewnością nie fascynowało kogoś, kto kiedyś krył się w krzakach, biegał

zygzakiem, by uniknąć trafienia i w ogóle musiał zawsze szybko myśleć i reagować. Sam pomyślał, że skoro niegdyś dobrze robił to, co robił, więc teraz może uczyć innych również dobrego robienia tego samego, nie za bardzo mu się podobał. Życie to jedna wielka pułapka, myślał Clark, z której można się wprawdzie wydostać, ale to też nie takie znów zabawne. No więc co rano wiązał krawat, zakładał marynarkę i narzekał, że się starzeje, dokładnie tak jak większość mężczyzn w jego wieku na całym świecie. Gdzie się podziała młodość? Kiedy znikła, jakby jej nigdy nie było?

Popow pojawił się na lotnisku w Dublinie przed lunchem. Kupił bilet na godzinny lot do Londynu, na Gatwick, Żałował, że nie ma do dyspozycji *Gulfstreama*. Bardzo wygodnie się nim leciało, no i nie musiał wysiadywać na zatłoczonych lotniskach. Prywatne odrzutowce były również wygodne co *Jumbo-Jety*, ale nie miał takich pieniędzy, żeby aż tak sobie dogadzać, więc po prostu przestał marzyć. Musi pogodzić się z koniecznością lotu pierwszą klasą, co nie za bardzo mu się podobało, więc siedział zaszępiiony popijając wino, podczas gdy 747 wspinał się w powietrze. Nadal miał o czym myśleć, a samotność pierwszej klasy w wielkiej maszynie najwyraźniej sprzyjała rozmyślaniam.

Czy chcę, by Grady'emu się udało? — pytał sam siebie. Co ważniejsze, czy mój pracodawca chce, by mu się udało? W przypadku Berna i Wiednia sukces nie miał dla niego najwyraźniej żadnego znaczenia — czy teraz było inaczej? Być może Henriksen uważał, że jednak tak. Takie wrażenie sprawiał w rozmowie. Jeśli tak, na czym polegała różnica?

Henriksen pracował niegdyś w FBI. Być może to wszystko wyjaśniało. Może chciał

ugodzić Tęczę wystarczająco mocno, by nie mogła... czego nie mogła? Wtrącić się w jakąś inną operację?

I znów przed nim wyrósł mur. Zainicjował dwie operacje terrorystyczne, których jedynym celem mogło być uświadomienie światu, że terroryści nadal są groźni. Henriksen był

właścicielem prywatnej firmy zajmującej się walką z terroryzmem, może potrzebował

terrorystów, by zdobywać kontrakty? Ten sposób ich zdobywania wydawał się drogi i nieskuteczny. Z całą pewnością honoraria za kontrakty nie pokrywały nawet jego, Popowa, wydatków... i oszczędności. Ale, przypomniał sobie, pieniądze pochodziły z innego źródła, od Johna Brightlinga i jego Horizon Corporation, a może i osobiście od Brightlinga, a nie z kasy Global Security. Tak więc obie firmy miały najwyraźniej wspólny cel, ale nie inwestowały weń po równo.

A więc, myślał Rosjanin, popijając francuskie chablis, hipotetyczną operację przeprowadza Brightling, Henriksen tylko wspomaga go radą i doświadczeniem...

...ale jednym z celów, który pomógł osiągnąć, było załatwienie Henriksenowi kontraktu na olimpiadę w Sydney, która miała zacząć się za zaledwie kilka tygodni. Olimpiada wydawała się być bardzo ważna dla nich obu. A więc Henriksen wykonywał dla Brightlinga bardzo istotne zadanie, z całą pewnością ułatwiając mu osiągnięcie celu, niezależnie od tego, jaki, cholera, był

ten cel.

Dobrze. Kolejne pytanie. Czym zajmował się Brightling? Horizon i jego przeróżne filie prowadziły badania medyczne. Firma produkowała leki i co roku wydawała mnóstwo forsy na opracowanie nowych. Przędowała w świecie w badaniach medycznych. W laboratoriach zatrudniała laureatów Nagrody Nobla i, jak wynikało z doniesień w Internecie, ich prace mogły doprowadzić do przełomu w kilku niezwykle ekscytujących dziedzinach medycyny. Popow tylko pokręcił głową. Co inżynieria genetyczna i farmacja na skalę przemysłową mogą mieć wspólnego z międzynarodowym terroryzmem?

Nad Morzem Irlandzkim stewardesa wygasła światła. Rosjaninowi w tym momencie przypomniało się coś bardzo ważnego. Przecież przed zaledwie dwoma laty Ameryka zaatakowana została bronią biologiczną. Zginęło podobno pięć tysięcy ludzi, a Amerykanie i prezydent wpadli po prostu w szal. Z otrzymanego dossier wiedział, że dowódca Tęczy, ten Clark i jego zięć, Chavez, odegrali bardzo ważną, choć nie nagłaśnianą, rolę w zakończeniu tej wojny.

Wojna biologiczna, pomyślał Popow. Na dźwięk tych dwóch słów drżał świat. W tym szczególnym wypadku okazało się, że nie jest to szczególnie skuteczne narzędzie polityki, zwłaszcza że na froncie w Arabii Saudyjskiej Ameryka zareagowała z szybkością i doskonale ukierunkowaną, miążdzącą siłą. Przyniosło to jeden skutek: dziś już żadne państwo nie rozpatrywało nawet możliwości zaatakowania Ameryki. Amerykańskie siły zbrojne były jak szeryf z miasteczka na Dzikim Zachodzie, szanowane i — co znacznie ważniejsze — budzące strach.

Popow dokończył wino. Siedział i bawił się kieliszkiem, obserwując zbliżające się zielone wybrzeże Anglii. Wojna biologiczna. Horizon Corporation zajmowała się najnowszymi technikami medycznymi, więc, oczywiście, mogła bez problemu prowadzić badania nad bronią biologiczną... Tylko po co miałyby to robić? Przecież była to wyłącznie firma, nie samodzielne państwo. Nie uprawiała polityki zagranicznej. Na prowadzeniu wojny nic nie mogła wygrać.

Firmy nie wypowiadają wojen, chyba że chodzi o wojny z innymi firmami. Podkradają sobie technologie, ale żeby zaraz przelewać krew? Oczywiście nonsens. No tak, pomyślał Popow, jedyne co mi pozostało, to znaleźć czystą twardą ścianę i walić w nią głową.

— Teraz uwaga — powiedział sierżant sztabowy Dick Voss. — Po pierwsze, jakość dźwięku tych cyfrowych radiostacji jest taka, że będziecie w stanie rozpoznać głos, zupełnie jak podczas rozmowy przy kominku. Poza tym są kodowane w dwóch pasmach, więc kiedy w polu macie dwa oddziały, rozmowy jednego słyszycie w jednym uchu, a drugiego w drugim. Dowódcy nie będą już tak łatwo tracić głowy. — Bardzo to rozbawiło australijskich podoficerów. — W

każdym razie zachowuje się lepszą kontrolę nad operacją, no i wszyscy wiedzą, co się dzieje. A im lepiej jesteś poinformowany, tym lepiej działasz w polu. Tą gałką ustawia się głośność...

— Jaki jest zasięg? — spytał najstarszy z podoficerów.

— Do piętnastu tysięcy metrów, nieco więcej, jeśli po drodze nie ma przeszkód. Na dalszy dystans pojawiają się zakłócenia w transmisji. Baterie można ładować, w każdym zestawie są dwie zapasowe. Nie używane, trzymają napięcie do pół roku, zalecamy jednak ładowanie ich co tydzień. To żaden problem, ładowarka z uniwersalną wtyczką jest w każdym zestawie. Będzie pasowała do gniazdka w ścianie tutaj i na całym świecie. Bawicie się laleczką, póki nie znajdziecie właściwej wtyczki... — Pokazał im, jak się to robi. Większość obecnych w sali żołnierzy przyjrzała się swoim ładowarkom. — No dobra, panowie, zakładamy słuchawki i zaczynamy ćwiczenia. Wyłącznik jest tutaj...

— Piętnaście kilometrów? — spytał Malloy.

— Właśnie — odparł Noonan. — Możesz słuchać, co się dzieje na ziemi, zamiast czekać, aż ci łaskawie powiedzą. Pasuje do słuchawek samolotowych i nie powinno przeszkadzać w odbieraniu koniecznych informacji przez interkom. Ten mały przełącznik da się podłączyć tu, przyciski kontrolne masz na rękawie i schodzą aż do ręki, więc włączanie i wyłączanie jest bardzo łatwe. Radio można także włączyć w trybie nasłuchu. Pozycja trzecia, o tu.

— Fajne — zauważył sierżant Nance. — Dobrze będzie wiedzieć, co się dzieje na ziemi.

— Racja, cholera. W przypadku konieczności ewakuacji będę w pół drogi, nim mnie zawołają. Podoba mi się — orzekł pułkownik Malloy. — To co, bierzemy, Tim?

— To ciągle jeszcze model eksperymentalny, może mieć jakieś wady, ale jeśli tak, nikt ich jeszcze nie znalazł. System kodowania rewelacyjny: studwudziestośmiobitowy, stały, synchronizowany urządzeniem-matką, ale hierarchiczny, więc jeśli jedno urządzenie zawiedzie, jego rolę automatycznie przejmuje następne. Chłopcy z Fort Meade złamaliby pewnie ten kod, ale dopiero w dwanaście godzin po przejęciu transmisji.

— Jakież problemy na pokładzie śmigłowca? Interferencje z systemami pokładowymi? —

spytał porucznik Harrison.

— Nic o tym nie wiem. Testowali na *Night Hawkach* i *Stalkerach* w Fort Bragg, nie stwierdzono żadnych problemów.

— Fajnie, sprawdzimy cudenka — zdecydował natychmiast Malloy. Życie nauczyło go nie ufać elektronicznie. Poza tym był to doskonały pretekst, by ruszyć *Night Hawka* z ziemi. —

Sierżancie Nance, prowadźcie do naszego ptaszka.

— Jasne, pułkowniku. — Nance wstał i ruszył w kierunku drzwi.

— Tim, ty zostaniesz. Sprawdzimy w środku i na zewnątrz, ustalimy zasięg.

W pół godziny później helikopter krążył nad Hereford.

— No i jak, Noonan?

— Czysto i głośno, Niedźwiedziu.

— Doskonale, odległość jakieś... tak, jedenaście kilometrów, słyszę cię jak Rusha Limbaugh[4]. Fajne są te cyfrowe radyjka.

— Fajne — potwierdził Tim Noonan i wsiadł do samochodu, by sprawdzić, czy metalowa klatka ma jakiś wpływ na osiągi. Nie miała. Okazało się, że efektywny zasięg wynosił przeszło siedemnaście kilometrów. Nieźle jak na zabawkę zasilaną baterią wielkości dwóch dwudziestopięciocentówek i z anteną długości dwóch wykałaczek. — Teraz ślizgi po linie będą ci lepiej wychodzić, Niedźwiedziu — powiedział.

— A niby dlaczego, Noonan?

— No wiesz, chłopcy będą mogli ci powiedzieć, jeśli podejdziesz trochę za nisko albo trochę za wysoko.

— Noonan! — W rozbrzmiewającym w słuchawce głosie słychać było gniew. — A jak myślisz, po co istnieje wycucie głębi?

— Dobrze już, Niedźwiedziu — roześmiał się były agent FBI.

W świetle dnia

Pieniądze rzeczywiście ułatwiają życie. Zamiast kraść ciężarówki, kupili je płacąc czekami bankierskimi z konta założonego przy użyciu fałszywych dokumentów przez osobę, która poszła do banku w przebraniu. Były to wielkie szwedzkie Volvo, bez naczep, z brezentowymi plandekami, na których wymalowano nazwy nie istniejących firm.

Ciężarówki przetransportowano promami przez Morze Irlandzkie do Liverpoolu.

Wyładowane kartonowymi pudłami od lodówek, bez problemu przeszły przez brytyjskie cło.

Potem należało je już tylko poprowadzić po autostradzie, nie przekraczając ograniczenia prędkości. Ciężarówki przejechały w ciasnym szyku przez zachodnią Anglię i tuż przed zmierzchem znalazły się w pobliżu Hereford. Zaparkowały na uzgodnionym parkingu. Kierowcy wysiedli i ruszyli do pubu.

Sean Grady i Roddy Sands przylecieli tego samego dnia. Przeszli przez odprawę paszportową i imigracyjną na Gatwick na fałszywych papierach, które wcześniej wielokrotnie potwierdziły swą użyteczność. Po raz kolejny, ku ich wielkiej uciechu, okazało się, że brytyjscy urzędnicy imigracyjni są nie tylko głusi i głupi, ale także ślepi. Obaj wynajęli samochody, płacąc za nie fałszywymi kartami kredytowymi, ruszyli do Hereford i znaleźli się w pubie tuż po kierowcach ciężarówek.

— Jakież problemy? — spytał bliźniaków Barry Grady.

— Żadnych — odparł Sam. Peter tylko skinął głową. Jak zwykle jego ludzie demonstrowali wesołą beztroskę, choć, oczywiście, wszyscy denerwowali się przed operacją.

Podzielili się na grupy, jedną siedmio-, drugą ośmioosobową, usiedli przy stolikach, popijali Guinnessa i rozmawiali cicho, nie budząc większego zainteresowania gości.

— Działają całkiem nieźle — powiedział do Noonana Malloy. Siedzieli w klubie, popijając piwo.

— E-Systems, tak?

— Przyzwoita firma. W ZOZ używaliśmy mnóstwa ich rzeczy. Pilot skinął głową.

— Tak samo w Dowództwie Operacji Specjalnych. Ale ja nadal wolę to, co ma kable i kolorowe kontrolki.

— No jasne, panie pułkowniku, ale z helikoptera trudno nawiązać łączność za pomocą dwóch papierowych kubków i nitki.

— Aż taki zacofany nie jestem, Tim. — Żart zasługiwał jednak co najmniej na uśmiech.

— Nigdy nie potrzebowałem pomocy przy zjazdach na linie.

— To rzeczywiście nieźle ci idzie. — Noonan napił się piwa. — Od jak dawna lataś na wiatrakach?

— Dwadzieścia dwa lata, w październiku będzie dwadzieścia trzy. Wiesz, tak naprawdę nigdzie indziej już się nie lata. Te nowe maszyny, niech to diabli, komputery pokładowe przeprowadzają głosowanie, czy podoba im się pilot, nim zdecydują za niego co robić. Bawię się komputerami: gry, poczta elektroniczna, tego rodzaju rzeczy, ale prędzej zdechnę, nim pozwolę im za mnie latać!

Zdaniem Noonana było to tylko gadanie. Prędzej czy później, postęp dotrze i do świata śmigłowców, piloci będą kłąć, ale w końcu pogodzą się z rzeczywistością, bo nie będą mieli innego wyjścia, pogodzą się ze współpracą komputerów i ich maszyny staną się zarówno bezpieczniejsze, jak i skuteczniejsze.

— Właśnie czekam na list z dowództwa — wyznał pułkownik.

— Tak? Jaki list?

— Staram się o dowództwo *VMH-1*.

— Będziesz woził prezydenta?

Malloy skinął głową.

— Hank Goodman odwalał tę robotę, ale dostał gwiazdkę, więc przenoszą go gdzie indziej. Zdaje się, że ktoś komuś gdzieś powiedział, że nie jestem najgorszy.

— To prawda — zgodził się poważnie Noonan.

— Nudne to, lata się cały czas prosto i równo, żadnej zabawy — poskarżył się pułkownik, udając niesmak. Dowodzenie *VMH-1* było dla pułkownika zaszczytem i oznaką zaufania do umiejętności wybranego ze strony Korpusu Piechoty Morskiej. — Powinienem dowiedzieć się wszystkiego w ciągu dwóch tygodni. Fajnie będzie znów obejrzeć sobie Redskinów w akcji.

— Co szykuje się na jutro?

— Tuż przed lotem transport ze zrzutem z niskiego pułapu, po południu papierki. Mam ich dla Sił Powietrznych chyba z tonę. No, w końcu to ich cholerna maszyna, dobrze ją utrzymują, dali mi niezłych ludzi. Ale założę się, że piloci pasażerów nie muszą przekopywać się przez góry śmiecia. — Ci szczęściarze muszą tylko latać, choć to ich latanie jest równie ciekawe jak zawody w wysychaniu farby albo maraton rośnięcia trawy.

Chavez nie całkiem jeszcze przyzwyczał się do angielskiego humoru, w związku z tym pokazywane przez miejscową telewizję seriale rozrywkowe raczej go nudziły. Miał jednak kablówkę, a na kablówce The History Channel, który polubił natychmiast, w odróżnieniu od żony.

— Tylko jedno, Ding — powiedziała Patsy. Teraz, kiedy poród mógł się zacząć dosłownie w każdej chwili, pilnowała, by mąż był trzeźwy jak niemowlę, co oznaczało jedno piwo na wieczór.

— Oczywiście, kochanie.

Jak łatwo przychodzi kobietom rozstawianie mężczyzn po kątach, pomyślał Ding, patrząc na prawie pustą szklankę. Wypiłoby się drugą, oj wypiło. Fajnie było popijać piwko w klubie, rozmawiać o pracy w miłym, nieformalnym nastroju, nawiązywać kontakty z ludźmi, w tej chwili jednak nie oddalał się od żony na więcej niż sto pięćdziesiąt metrów, chyba że musiał, ona zaś zawsze miała przy sobie numer jego pagera. Dziecko opadło, cokolwiek to miało znaczyć...

To znaczy owszem, wiedział, że poród zbliża się wielkimi krokami, ale co to właściwie znaczy

„opadło” to już nie. No więc pił tylko jedno piwko dziennie, choć i po trzech był trzeźwy jak...

niemowlę?

Siedzieli obok siebie na fotelach. Ding próbował jednocześnie oglądać telewizję i przeglądać informacje wywiadu. Nieźle mu to wychodziło, miał dobrą podzielność uwagi, co doprowadzało do szału Patsy, czytającą jakieś pismo medyczne i robiącą notatki na papierze.

W domu Johna Clarka nie wyglądało to inaczej, chociaż zamiast telewizji gospodarze oglądali film z kasety.

— Coś nowego w biurze? — spytała Sandy.

W biurze, pomyślał John. Nie pytała o biuro, kiedy wracał z akcji w terenie. Nie, wtedy pytała: „nic ci się nie stało?” I zawsze pobrzmiwała w tym pytaniu nutka niepokoju, bo choć właściwie nigdy — no, prawie nigdy — nic jej nie mówił o operacji, Sandy wiedziała, że to jednak co innego niż parę dni za biurkiem. Dobra, kolejne potwierdzenie, że odsunięto go na boczny tor. Dziękuję, kochanie, pomyślał.

— Nie, właściwie nic — odpowiedział spokojnie. — A jak tam w szpitalu?

— Wypadek samochodowy po południu. Nic wielkiego.

— Co u Patsy?

— Będzie dobrym lekarzem, kiedy wreszcie przestanie się tak denerwować. Ale zgoda, ja pracuję na izbie przyjęć od przeszło dwudziestu lat. Teorię zna o wiele lepiej ode mnie, ale musi jednak trochę popraktykować. Ale wiesz, w ogóle jest nieźle.

— Myślałaś kiedyś, że i ty mogłabyś zostać lekarzem?

— Pewnie mogłabym... To były inne czasy.

— Co z dzieckiem?

Tym razem Sandy się uśmiechnęła.

— Jest bardzo podobna do mnie. Niecierpliwa. Kiedy dociera się do tego punktu, chcesz już tylko, żeby zaczęło się i skończyło jak najszybciej.

— Jakieś trudności?

— Nie. Doktor Reynolds jest naprawdę doskonały, Patsy czuje się świetnie. Tylko nie jestem pewna, czy chciałabym zostać babcią. — I szczęśliwa Sandy roześmiała się głośno.

— Jak ja cię dobrze rozumiem. Teraz to już w każdej chwili, prawda?

— Wczoraj dziecko opadło. To znaczy, że synek jest już całkiem gotowy.

— Synek? — zdziwił się John.

— Chyba wszyscy poza tobą są tego więcej niż pewni. Cóż, zobaczymy, kiedy wreszcie się pojawi.

John mruknął coś pod nosem. Domingo przy każdej okazji powtarzał, że to musi być syn, taki przystojny jak tata, no i dwujęzyczny, *jefe* — dodawał zawsze z tym swoim chytrym latynoskim uśmiechem. Cóż, mógł mu się trafić gorszy zięć. Domingo był inteligentny i uczył

się chyba najszybciej ze wszystkich ludzi, których zdarzyło mu się widzieć. Z młodego sierżanta lekkiej piechoty do szanowanego agenta terenowego CIA, tytuł magistra na uniwersytecie George'a Masona... a teraz od czasu do czasu zastanawia się, czy nie warto byłoby postudiować jeszcze dwa lata, zrobić doktorat, może na Oksfordzie? To mu wpadło do głowy na początku tygodnia, tylko nie był pewien, czy dostanie więcej wolnego, żeby mu starczyło czasu. Ale jaja, pomyślał Clark, Chicano ze Wschodniego Los Angeles z oksfordzkim doktoratem! Może pewnego dnia skończy jako dyrektor CIA, a to byłoby rzeczywiście nie do zniesienia.

John zachichotał, napił się Guinnessa i powrócił do oglądania filmu.

Popow powtórzył sobie w duchu, że musi bardzo uważać. Znow był w Londynie.

Zameldował się w hoteliku średniej klasy. Tę operację po prostu musiał obejrzeć. Pierwsza, w której terroryści rzeczywiście mogą wygrać. Mieli dobry plan, wymyślony wprawdzie przez Henriksena, ale podobał się przecież Grady'emu i w ogóle taktycznie wydawał się w porządku.

Oczywiście, jeśli nie poniesie ich i przerwą akcję, kiedy trzeba, żeby wiać. W każdym razie Dmitrij pragnął to zobaczyć, w końcu musiał wiedzieć, czy może zadzwonić do banku i przelać pieniądze na własne konto, a potem zniknąć z powierzchni ziemi. Grady jakoś nie pomyślał o tym, że dysponować kontem i złożonymi na nim pieniędzmi mogą dwie osoby. Być może Sean był rzeczywiście ufną duszą, mimo iż brzmiało to trochę dziwnie. Bez oporów zaakceptował

kontrakt od swojego przyjaciela z KGB i choć postawił dwa trudne warunki: pieniądze i kokainę,

kiedy je dostał, natychmiast przystąpił do realizacji planu. Teraz, kiedy głębiej się nad tym zastanowił, Popow musiał uznać, że to bardzo dziwne. Z pewnością jednak pojedzie swym wynajętym Jaguarem, by się wszystkiemu przyjrzeć. Nie powinno być to ani szczególnie trudne, ani szczególnie niebezpieczne, byle tylko właściwie zabrać się do sprawy.

Z tą myślą dopił ostatnią tego wieczora szklaneczkę Stolicznej i zgasił światło.

Tego ranka obudzili się o tej samej godzinie — Domingo i Patricia w jednym domu, John i Sandy w drugim. Budziki włączyły się o wpół do szóstej, rozpoczynając zwykłą codzienną krzątalinę. Kobiety musiały być w szpitalu za piętnaście siódma, ich dyżur zaczynał się o siódmej, więc w obu domach panie pierwsze skorzystały z łazienki, mężczyźni zaś powędrowali do kuchni, by wsypać kawę do ekspresów i włączyć je, następnie zabrać z progu poranne gazety, a jeszcze potem włączyć radia na poranny dziennik BBC. Dwadzieścia minut później wymieniono się gazetami i łazienkami, a po kolejnym kwadransie śniadania były już gotowe, choć w przypadku Dominga składało się ono wyłącznie z drugiej filiżanki kawy — zwyczajowo jadał śniadanie ze swymi ludźmi, po porannej zaprawie i biegu. W domu Clarka Sandy eksperymentowała ze smażonymi pomidorami, lokalnym daniem, którego przygotowania próbowała się nauczyć, ku niezadowoleniu męża twierdzącego, że jest lojalnym amerykańskim obywatelem. O szóstej dwadzieścia panie przebrały się w służbowe kitle, mężczyźni w mundury, po czym wszyscy rozjechali się do swych zwykłych zajęć.

Clark nie ćwiczył z żołnierzami. Musiał wreszcie sam przed sobą przyznać, że jest na to za stary, ale na placu stawiał się mniej więcej razem z nimi i wykonywał mniej więcej te same ćwiczenia. Zupełnie jak niegdyś w SEAL, choć tu nie pływał — mieli basen, ale jak na jego gust o wiele za mały. Zamiast pływać, biegał więc pięć kilometrów. Żołnierze musieli przebiec osiem i — co przyznawał ze wstydem — w nieco szybszym tempie. Nie miał jednak wątpliwości, że, jak na mężczyznę w tym wieku, jest we wspaniałej kondycji, jednak utrzymanie takiej formy wydawało się z dnia na dzień trudniejsze. Kolejny kamień milowy na jego osobistej drodze do śmierci nosił numer „sześćdziesiąt”. Dziwne wydawało mu się to, że nie jest już tym energicznym twardzielem, który poślubił Sandy. Miał wrażenie, że ktoś go z czegoś okradł, ale jeśli tak się stało, niczego takiego nie zauważył. Po prostu pewnego dnia spojrzął w lustro i odkrył, że nie wygląda tak jak myślał. Niemiła to niespodzianka, nie da się ukryć, pomyślał, kończąc bieg, spocony, na miękkich nogach, mając przed sobą perspektywę drugiego tego dnia prysznic.

W drodze na kwaterę dostrzegł ćwiczącego według własnego gustu i własnym tempem Alistaira Stanleya. Al był od niego pięć lat młodszy i zapewne nadal, błędnie, uważał się za młodego. Zdążyli się już ze sobą zaprzyjaźnić. Stanley miał dobry instynkt, zwłaszcza do analizy materiałów wywiadowczych i był doskonałym oficerem terenowym na swój własny, dziwny, bardzo brytyjski, bardzo opanowany sposób. Sprawiał bardzo przeciętne wrażenie, chyba że spojrzano mu się w oczy, a i tak trzeba było wiedzieć, czego szukać. Przystojny w łobuzerski sposób, nadal gęste jasne włosy, szeroki przyjacielski uśmiech, ale, jak on sam, Stanley zabijał w terenie i, jak on sam, nie miał z tego powodu koszmarów. Żeby nie skłamać, jako dowódca był

odrobinę lepszy. John przyznawał to przed sobą, ale tylko przed sobą. Obaj nadal ostro konkurowali, zupełnie jakby nie przekroczyli jeszcze dwudziestki i żaden nie udzielał

lekkomyślnie pochwał.

John Clark po prysznicu poszedł do pokoju, usiadł za biurkiem i zaczął załatwiać poranną papierkową robotę, klnąc cicho, bo zajmowała mu za wiele czasu i bez przerwy trzeba było myśleć o tak bezsensownej rzeczy jak rozliczanie wydatków. W szufladzie biurka spoczywał

H&K USP, dowód na to, że nie jest tylko jeszcze jednym urzędnikiem państwowym, ale dziś nie będzie miał czasu, by postrzelać i w ogóle poćwiczyć umiejętności walki, które uczyniły z niego dowódcę Tęczy. Panna Foorgate pojawiła się odrobinę po ósmej, zajrzała do gabinetu szefa, zobaczyła, że siedzi skrzywiony, jak zawsze gdy musiał zajmować się sprawami administracyjnymi, a nie raportami wywiadu i kwestiami operacyjnymi, które choć trochę go interesowały. Włączyła ekspres do kawy, odebrała zwyczajowe szorstkie powitanie, wróciła do sekretariatu i sprawdziła, czy nie przyszło faksem coś, z czym szef powinien się zapoznać bez zwłoki. Nic.

W Hereford rozpoczął się kolejny dzień.

Grady i jego ludzie także się już obudzili. Wypili herbatę, zjedli jajka na boczku i grzanki, bo typowe irlandzkie śniadanie właściwie nie różniło się od angielskiego. W ogóle obywatele obu krajów mieli zdumiewająco identyczne przyzwyczajenia, nad czym nie zastanawiali się zresztą ani dowódca, ani jego ludzie. W obu krajach ludzie byli uprzejmi i zawsze gotowi pośpieszyć z pomocą gościom. Obywatele obu krajów chętnie się uśmiechali, porządnie wykonywali swą robotę, oglądali przeważnie te same programy w telewizji, czytali te same wiadomości sportowe w gazetach, uprawiali niemal identyczne sporty, które i w jednym, i w drugim kraju urastały czasem do rangi ważnych kwestii państwowych, pili mniej więcej te same ilości mniej więcej tego samego piwa w pubach, które można byłoby spokojnie między krajami powymieniać i nikt by się chyba nie zorientował — nawet szyldy i nazwy były podobne.

Ale chodzili do innych kościołów i mówili z innym akcentem, choć obcokrajowcom wydawał się on nie do odróżnienia. Oczywiście, tylko obcokrajowcy mogli nie zauważyć tak fundamentalnych różnic. Umiejętność rozpoznawania akcentu nadal uchodziła za ważną i przydatną, ale światowa telewizja zmieniała powoli i to. Gdyby w tym świecie pojawił się przybysz sprzed pięćdziesięciu lat, zauważyłby natychmiast mnóstwo amerykańizmów, które stopniowo przeciekły do współczesnego języka. Sytuacja typowa dla krajów, w których działały ruchy rewolucyjne — dla ludzi z zewnątrz różnice mogły sobie być niewielkie, ale tym, którzy pragnęli wprowadzić zmiany, wydawały się ogromne. Grady i jego towarzysze bronili dostrzegali już podobieństwa wyłącznie jako kamuflaż ułatwiający im przeprowadzenie akcji, a nie coś wspólnego, co mogłoby zbliżyć ich kraje. Ludzie, z którymi bez problemu mogli napić się piwa i pogadać o jakimś szczególnie interesującym meczu, wydawali się im obcy jak przybysze z Marsa, a więc tym łatwiejsi do zabicia. Byli rzeczami, nie „kumplami”. Z perspektywy obserwatora z boku mogło się to wydawać szaleństwem, w nich jednak przekonanie to wrosło tak głęboko, że stało się po prostu zwykłe, tak zwykłe jak czyste, jasne powietrze poranka, które wciągali w piersi.

Ruszyli w stronę samochodów. Akcja miała rozpocząć się wkrótce.

O wpół do jedenastej rano Chavez i jego ludzie przenieśli się na strzelnicę w budynku.

Dave Woods był na miejscu i zdążył już porozstawiać pudełka z amunicją w miejscach najwygodniejszych dla żołnierzy Drugiego Zespołu. Podobnie jak ostatnim razem, Chavez zdecydował się na ćwiczenia z pistoletem raczej niż z łatwiejszym w użyciu *MP-10*, z którego każdy mający dwoje oczu i palec wskazujący potrafił celnie strzelać. Więc zdał amunicję 10 mm i wymienił ją na dwa pudełka naboju *A5ACP*, produkcji amerykańskiej, z doskonałymi pociskami *Hydra-Shok* firmy Federal z wydrążonymi wierzchołkami. Otwory w ich wierzchołkach były tak wielkie, że można w nich było przyrządzić drinka.

Podpułkownik Malloy i jego załoga, porucznik Harrison oraz sierżant Nance, dołączyli do nich w momencie rozpoczęcia ćwiczeń. Ubrojeni byli w standardowe *Beretty M9* z pociskami pełnopłaszczowymi kalibru 9 mm, zgodnie z przepisami konwencji haskiej. Ameryka nigdy nie podpisała żadnego traktatu międzynarodowego, który miałby jej dyktować, co na polu bitwy wolno, a czego nie wolno, ale się do postanowień takich traktatów dostosowywała. Żołnierze Tęczy używali innej, skuteczniejszej amunicji opierając się na przekonaniu, że nie walczą na polu bitwy, lecz zwalczają przestępców, którzy nie zasługują na względy udzielone ich lepiej zorganizowanym i lepiej uzbrojonym kolegom. Każdy, kto choć raz się nad tym zastanowił, od razu rozumiał, że ma do czynienia ze swego rodzaju szaleństwem, ale przecież nikt nie napisał, że świat nie ma być zwariowany, więc strzelali tą amunicją, którą im dano i nie zadawali pytań.

Żołnierze Tęczy oddawali nie mniej niż sto strzałów dziennie, Malloy i jego załoga jakieś pięćdziesiąt na tydzień, ale z nich nikt nie zamierzał zrobić snajperów — na strzelnicę przychodzili przez grzeczność. Okazało się zresztą, że Malloy strzela wyśmienicie, choć jedną ręką, tak jak go nauczono w wojsku. Harrison i Nance przybierali nowocześniejszą pozycję Weavera. Pułkownikowi brakowało też czterdziestki piątki z czasów młodości, ale Armia przeszła na broń mniejszego kalibru, żeby uszczęśliwić państwa NATO, mimo że mniejsze kule robiły mniejsze dziury w ciałach ludzi, do których od czasu do czasu trzeba było strzelać.

Nazywała się Fiona. Miała prawie pięć lat. W przedszkolu spadła z huśtawki. Wbiła sobie kilka drzazg, przede wszystkim obawiano się jednak, że mogła doznać złamania kości promieniowej lewego ramienia. Sandy dotknęła jej i mała rozplakała się głośno. Poruszyła ramieniem, bardzo delikatnie, ale płacz nie wzmógł się, nie zauważyła żadnej reakcji. A więc nie złamanie, co najwyżej niegroźne pęknięcie, ale zapewne nawet i to nie.

— Zrobimy prześwietlenie — postanowiła Patsy i dała Fionie winogronowego lizaka. W

Anglii podziałało to równie skutecznie, jak w Ameryce. Dziewczynka przestała płakać jak na komendę, zdrową ręką wzięła lizaka, zębami rozerwała plastikowe opakowanie i natychmiast zaczęła go ssać. Sandy mokrą gazą wytarła jej lewe ramię. Szwy okazały się zbędne, parę otarć, które wystarczy zdezynfekować i zalepić plastrem.

W tym szpitalu na izbie przyjęć działo się zdecydowanie mniej niż w Ameryce. Po pierwsze, był to praktycznie wiejski szpital, tak że o poważnych ranach nie warto było w ogóle mówić, choć w zeszłym tygodniu przyjęto farmera, któremu młockarnia omal nie oberwała ręki

— Patsy i Sandy nie miały jednak wówczas dyżuru. Poważnych wypadków samochodowych też było mniej niż w porównywalnym miejscu w Ameryce. Anglicy najwyraźniej prowadzili bezpieczniej,

mimo tych swoich wąskich drózek i lewostronnego ruchu. W porównaniu z amerykańskimi, brytyjskie szpitale miały też więcej pracowników, przez co obciążenie pracą było mniejsze.

Dziesięć minut później Patsy oglądała zdjęcie. Kości Fiony były w całkowitym porządku, po pół godzinie mała wracała już do przedszkola, w sam raz na lunch. Patsy usiadła za biurkiem i zabrała się do lektury najnowszego numeru „The Lancet”, Sandy zaś poszła do pokoju pielęgniarek porozmawiać z przyjaciółmi. Obie, niezbyt po lekarsku, wołałyby mieć więcej pracy, choć przecież oznaczało to, że będzie cierpiał ktoś, kogo nawet nie znają. Sandy Clark wspomniała mimochodem, że przez cały czas pobytu w Anglii nie widziała rany postrzałowej, podczas gdy w jej szpitalu w Williamsburgu, w Wirginii, pacjenci z takimi ranami pojawiali się praktycznie codziennie. Jej koleżanki sprawiały wrażenie przerażonych, choć dla pielęgniarki z izby przyjęć każdego amerykańskiego szpitala rana postrzałowa była czymś najzupełniej zwyczajnym.

Hereford nie było wprawdzie typowym sennym miasteczkiem, ale ruch uliczny w ciągu dnia nie czynił też z niego metropolii. Grady jechał wynajętym samochodem za zmierzającymi do celu ciężarówkami. Prowadził nieco wolniej niż zazwyczaj po skrajnym lewym pasie.

Spodziewał się intensywniejszego ruchu i założył dłuższy czas dojazdu. Mógłby wprawdzie wcześniej znaleźć się na miejscu i wcześniej rozpocząć operację, ale był człowiekiem metodycznym, planującym ze szczegółami, a następnie działającym tak, jakby był niewolnikiem swego planu. Dzięki temu wszyscy wiedzieli, co się zdarzy, gdzie i kiedy. W nieprzewidzianych okolicznościach każdy członek zespołu mógł skorzystać z telefonu komórkowego z zaprogramowanymi klawiszami szybkiego wybierania, co zapewniało kontakt z pozostałymi członkami tegoż zespołu. Grady uważał, że komórki są niemal równie dobre, jak radiostacje używane przez żołnierzy.

Podjeżdżali do szpitala, zbudowanego u stóp wzgórza. Parking nie wydawał się przesadnie zatłoczony. Być może niewielu leżało w nim pacjentów, być może odwiedzający poszli na lunch i po nim wrócą do łóżek ukochanych chorych?

Dmitrij zaparkował wypożyczony samochód na poboczu wąskiej drogi. Znajdował się w tej chwili jakieś pół kilometra od szpitala. Ze szczytu pagórka widział zarówno wejść sympatycznych ludzi — a poza tym żyło się tam niespiesznie, spokojnie, no i Ameryka była wystarczająco blisko, by zawsze mógł ją odwiedzić, zainwestować, gdyby znalazł coś godnego zainwestowania...

Nie, zdecydował. Istniała przecież szansa, że Grady wyjdzie z życiem, nawet jeśli wcześniej uprzedzi się Tęczę, a on nie chciałby, by do końca życia ścigał go ten twardy i okrutny Irlandczyk. Lepiej, żeby sprawy potoczyły się własnym tokiem, uznał Popow. Rozsiadł się wygodnie, trzymając na kolanach lornetkę i zaczął słuchać muzyki poważnej, nadawanej przez jedną ze stacji BBC.

Grady wysiadł z Jaguara. Otworzył bagażnik, wyjął z niego paczkę i schował kluczyki.

Timothy O’Neil również wysiadł ze swego samochodu — wybrał sobie mikrobus — i stał nieruchomo, czekając, aż dołączy do niego pozostała piątka. Trwało to kilka minut. Potem wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wcisnął odpowiedni klawisz. Sto metrów dalej zadzwonił telefon

Grady'ego.

— Tak?

— Jesteśmy gotowi, Sean.

— My również. Zaczynajcie. Życzę szczęścia, przyjacielu.

— Doskonale. Zaczynamy.

O'Neil miał na sobie brązowy kombinezon pracownika firmy kurierskiej. Ruszył w kierunku bocznego wejścia do szpitala, niosąc spore kartonowe pudło. Za nim szło czterech ludzi z pudłami podobnej wielkości, lecz innego koloru.

Wściekły Popow zerknął we wsteczne lusterko. Właśnie parkował za nim policyjny radiowóz. Wsiadł z niego konstabl i podszedł do Jaguara.

— Czy coś się stało, proszę pana? — spytał uprzejmie policjant.

— Nie, nic takiego. Już zadzwoniłem do firmy, mają kogoś przysłać, wie pan...

— Ale w czym problem?

— Nie jestem pewien. Silnik nie pracował jak powinien, pomyślałem, że lepiej będzie zjechać na pobocze i jak najszybciej go wyłączyć. Jak mówiłem, już zadzwoniłem do firmy, mają przysłać kogoś, żeby sprawdził...

— Rozumiem. — Policjant przeciągnął się. Wyglądało na to, że wysiadł raczej po to, by zaczerpnąć świeżego powietrza, niż żeby pomóc potrzebującemu. Popow nie mógł obronić się przed myślą, że zdarzyło się to w najgorszej możliwej chwili.

— W czym mogę pomóc? — spytała recepcjonistka.

— Mam przesyłkę dla doktor Chavez i siostry... — zerknął na przyklepioną do pudełka karteczkę: uznał, że będzie to dobre zagranie — ...siostry Clark. Czy są dzisiaj w szpitalu?

— Zaraz je poproszę — powiedziała recepcjonistka, wychodząc zza stołu i kierując się w głąb szpitala.

Tim wsadził rękę pod pokrywkę pudła, gotów otworzyć je natychmiast. Odwrócił się i skinął do pozostałej czwórki, grzecznie czekającej za nim w kolejce. Potarł nos i jeden z jego ludzi wyszedł na zewnątrz. Stał tam samochód policyjny, Range Rover, biały z pomarańczowym pasem. W samochodzie siedział policjant i zjadał kanapkę. Zrobił sobie pewnie przerwę na lunch w spokojnym i wygodnym miejscu, prawdopodobnie nawet znalazł sobie, używając żargonu amerykańskich gliniarzy, „kurnik” i zabijał czas pozostały do końca zmiany, skoro nigdzie nie działo się nic ciekawego. Dostrzegł mężczyznę stojącego przed wejściem do izby przyjęć, trzymającego w ręku coś, co wyglądało na pudło z kwiatami, paru innych facetów właśnie weszło do środka z

podobnymi pudłami, nie dziwnego, to przecież szpital, ludzie bez przerwy dają sobie kwiaty, ale... Ten facet wpatrywał się w jego samochód, choć z drugiej strony ludzie często się w niego wpatrywali.

Policjant przyjrzał mu się dokładniej, wyłącznie z ciekawości, choć instynkt, jaki wyrabiają w sobie wszyscy gliniarze, już ostrzegł go, że dzieje się tu coś dziwnego...

— Jestem doktor Chavez — powiedziała Patsy. O'Neil zdążył jeszcze zauważyć, że lekarka jest prawie tak wysoka jak on, i w bardzo zaawansowanej ciąży, napinającej na brzuchu sztywny lekarski kitel. — Pan coś dla mnie ma?

— Oczywiście, pani doktor — odparł. Do tej Chavez podeszła inna kobieta.

Podobieństwo uderzyło go od pierwszego spojrzenia. Matka i córka, bez żadnych wątpliwości... a więc nadeszła wreszcie wielka chwila.

Zerwał wieczko z pudła i błyskawicznie wyciągnął z niego *Kalasznikowa*. Spuścił przy tym wzrok na broń, nie widział więc, jak szeroko otwierają się w szoku oczy stojących przed nim kobiet. Prawą ręką wyjął magazynek i płynnym ruchem włożył go do gniazda. Zmienił dłonie, prawą zacisnął na łożu, lewą zaś szarpnął do tyłu rączkę zamkową. Wszystko to trwało zaledwie dwie sekundy.

Patty i Sandy zamarły: typowa reakcja ludzi, którzy nagłe zobaczyli broń. Patrzyły na nią szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Ktoś stojący po ich lewej krzyknął. Trzej inni

„kurierzy”, stojący za pierwszym, trzymali teraz w rękach identyczną co on broń, obróceni do niego plecami, celując we wszystkie strony. Zwykły dzień w szpitalu w Hereford przestał być taki zwykły.

Stojący na zewnątrz Carr otworzył pudło i, z uśmiechem na ustach, wymierzył w policyjny samochód, od którego dzieliło go raptem jakieś sześć metrów.

Policjant nie wyłączył silnika. Zareagował instynktownie — jego obowiązkiem było wynieść się i zameldować o zagrożeniu. Lewą ręką wrzucił wsteczny bieg, wcisnął gaz, samochód drgnął...

Carr zareagował błyskawicznie. Podniósł broń, odbezpieczył, wymierzył i nacisnął spust.

Seria piętnastu pocisków trafiła w przednią szybę. Rangę Rover wycofywał się mniej więcej w prostej linii, ale kiedy padły strzały skręcił w prawo i tyłem uderzył w ceglana ścianę szpitalnego gmachu. Zatrzymał się, ponieważ nie było już komu przyciskać pedału gazu. Carr podbiegł do samochodu i stwierdził, że na świecie jest teraz o jednego angielskiego konstabla mniej.

Z jego punktu widzenia był to czysty zysk.

— Co się dzieje? — To retoryczne pytanie zadał nie Popow, lecz sympatyczny brytyjski glina, który przystanął, by udzielić pomocy obcemu człowiekowi. Pytanie było retoryczne, bowiem odgłosu serii z broni maszynowej nie sposób pomylić z niczym innym. Policjant spojrzął

przed siebie przytomniej, dostrzegł samochód, bliźniaczo podobny do jego radiowozu ruszający na

wstecznym biegu, walący w mur i zatrzymujący się, oraz człowieka, który podbiegł do niego, zajrzał do środka i... odszedł wolnym krokiem. — O, kurwa!

Rosjanin siedział spokojnie, obserwując gliniarza podbiegającego do radiowozu, wyciągającego mikrofon radia i mówiącego coś szybko. Nie słyszał słów, ale w gruncie rzeczy nie musiał ich słyszeć.

— Mamy je, Sean — rozległ się w słuchawce głos O’Neila. Grady potwierdził przyjęcie informacji, wcisnął przycisk kończący rozmowę i natychmiast zadzwonił na numer Petera Barry’ego.

— Tak?

— Timothy zgarnął je. Wygląda na to, że kontrolujemy sytuację.

— Doskonale.

Koniec rozmowy. Sean wcisnął klawisz łączący z jeszcze innym numerem.

— Dzień dobry, mówi Patrick Casey — powiedział. — Opanowaliśmy szpital miejski w Hereford. Naszymi zakładniczkami są doktor Chavez i siostra Clark, ale nie tylko one. Wszyscy zakładnicy zostaną zwolnieni, jeśli wypełnicie nasze żądania. Jeśli ich nie wypełnicie, będziemy zabijali zakładników, póki nie zrozumiecie, że podjęliście błędną decyzję. Żądamy zwolnienia wszystkich więźniów politycznych z więzień Albany i Parkhurst na wyspie Wight. Gdy zostaną zwolnieni i gdy ich zwolnienie pokaże telewizja, znikniemy, jakby nas nigdy nie było.

Zrozumiano?

— Tak jest, zrozumiałem — odpowiedział sierżant dyżurny. W rzeczywistości nic z tego nie rozumiał, ale rozmowę miał nagraną, więc wszystko to przekaże komuś, kto może zrozumie.

Carr krył wejście do izby przyjęć. Bliźniacy Barry, Peter i Sam, weszli do szpitala przez główne wejście. W środku wszystko było mniej więcej normalnie niezorganizowane.

Wystrzelona przez Carra seria nie wzbudziła popłochu. Parę osób odwróciło głowy, ale że nic szczególnego się nie działo, więc ludzie spokojnie wrócili do tego, czym zajmowali się wcześniej. Strażnik szpitala, mężczyzna mniej więcej pięćdziesięcioletni, emerytowany policjant ubrany w uniform przypominający mundur policyjny, wychodził właśnie z terenu szpitalnego do holu, kiedy zobaczył bliźniaków idących w jego kierunku z bronią w ręku. Zdążył

tylko powiedzieć: — Co tu się dzieje? — W najlepszym stylu angielskich policjantów i już krótki ruch lufy *Kałasznikowa* zmusił go do podniesienia rąk nad głowę. Sam Barry złapał go za kołnierz munduru i wypchnął do głównego holu.

Zgromadzeni tam ludzie wreszcie zauważyli broń. Rozległy się krzyki. Niektórzy próbowali uciekać i tym się udało, nikt do nich nie strzelał — bliźniacy Barry i bez tego mieli pełne ręce roboty.

Nadana przez policjanta patrolującego boczną drogę wiadomość spowodowała większe poruszenie, niż informacja przekazana przez Grady'ego, zwłaszcza że poinformował on o tym, iż strzelano do — i prawdopodobnie zabito — policjanta w jego służbowym radiowozie. Miejscowy nadinspektor zarządził natychmiast, by wszystkie radiowozy znalazły się w bezpośrednim sąsiedztwie szpitala. Zaledwie połowa dysponowała bronią palną, w większości rewolwerami *Smith & Wesson*, co raczej nie dawało im szansy w starciu z przeciwnikiem, który, według raportu, posługiwał się bronią maszynową. Śmierć policjanta potwierdzono, kiedy funkcjonariusz, który zaparkował radiowóz pod szpitalem, nie złożył kolejnego meldunku, mimo iż wielokrotnie wzywano go przez radio.

Każdy komisariat policji na świecie operuje według ustalonych wcześniej schematów dostosowanych do możliwych zagrożeń. To szczególne zagrożenie nazywało się „terroryzm” i nadinspektor wyciągnął odpowiednią teczkę, choć jej zawartość znał na pamięć. Chciał się po prostu upewnić, czy niczego nie zapomniał. Przede wszystkim należało zawiadomić Home Office

— brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, więc przekazał przez telefon, co wiedział (a było tego niewiele) najstarszemu rangą urzędnikowi, upewniając go, że stara się zdobyć wszelkie możliwe informacje i, oczywiście, skontaktuje się, kiedy będzie wiedział więcej.

Siedziba Home Office mieściła się niedaleko pałacu Buckingham. Zatrudnieni tam urzędnicy zajmowali się nadzorem praktycznie każdego aspektu życia obywateli Zjednoczonego Królestwa. Także przestrzeganiem prawa. Na wypadek zagrożenia stworzono zestaw instrukcji.

Teczkę z nazwą konkretnego zagrożenia właśnie wyjęto z regału. Ostatnio dołączono do niej nową stronę i nowy numer telefonu.

— Cztery-trzy-trzy, trzy-trzy — przedstawiła się Alice Foorgate. Na tej linii przyjmowano wyłącznie najważniejsze informacje telefoniczne.

— Z panem Clarkiem, jeśli to możliwe.

— Oczywiście. Proszę chwilę poczekać. Panie Clark — powiedziała do interkomu — mam rozmowę na trzy-trzy.

— Mówi Tęcza Sześć — powiedział John Clark, podnosząc słuchawkę.

— Nazywam się Frederick Callaway, dzwonię z Home Office. Mamy sytuację zagrożenia.

— Dobrze, proszę mi powiedzieć, gdzie?

— Niestety, po sąsiedzku, proszę pana. W szpitalu w Hereford. Człowiek, który do nas zadzwonił, przedstawił się jako Patrick Casey. To kod, którego używa PIRA celem potwierdzenia tożsamości.

— Szpital w Hereford? — spytał John. Dłoń na słuchawce telefonu zacisnęła się kurczowo.

— Owszem, proszę pana.

— Proszę zaczekać. Zaraz na tej linii pojawi się jeden z moich ludzi. — John zakrył

dłonią słuchawkę. — Alice! — krzyknął. — Włącz Alistaira na linię. Natychmiast!

— O co chodzi, John?

— Panie Callaway, to Alistair Stanley, mój zastępca. Proszę powtórzyć to, co powiedział mi pan przed chwilą.

Callaway powtórzył to, co powiedział

— Rozmówca zidentyfikował dwie zakładniczki — dodał na końcu. — Siostra Clark i doktor Chavez.

— O, kurwa! — jęknął Clark.

— John, ogłaszam alarm dla oddziału Petera — poinformował Stanley.

— Doskonale. Ma pan nam jeszcze coś do powiedzenia, panie Callaway?

— Nie otrzymaliśmy żadnych nowych informacji. W tej chwili próbuje je zdobyć lokalny nadinspektor.

— Dobrze, dziękuję panu. W każdej chwili może pan dzwonić do mnie na ten numer. —

John Clark odłożył słuchawkę na widełki i powiedział cicho: — O, kurwa.

W głowie wirowały mu myśli. Ktoś, kto rozpracował Tęczę, miał w tym jakąś myśl.

Podanie nazwisk tych dwóch zakładniczek nie mogło być kwestią przypadku. Ktoś rzucił

bezpośrednie wyzwanie jemu i jego ludziom, używając jako broni żony i córki dowódcy. Potem przez głowę przemknęła mu myśl, że teraz dowództwo powinien zdać Stanleyowi... i wreszcie dotarło do niego, że to jego żona i córka są zagrożone, a on nic nie może na to poradzić.

— Chryste — westchnął w słuchawkę telefonu major Peter Covington. — Tak jest. Zaraz ruszę chłopaków. — Wstał zza biurka i przeszedł do sali, w której znajdowali się jego ludzie. —

Uwaga, jest robota.

Żołnierze Pierwszego Zespołu natychmiast ruszyli w kierunku swoich szafek. Na ćwiczenia to nie wyglądało, ale zachowywali się dokładnie tak, jakby to były ćwiczenia. Starszy bosman Mike Chin gotów był jako pierwszy. Podszedł do dowódcy, który właśnie zakładał

kamizelkę kuloodporną.

— O co chodzi, szefie? — spytał.

— PIRA, miejscowy szpital, mają za zakładników żony Clarka i Chaveza.

— Że co? — Chin zagapił się na niego, jakby nie dowierzał świadectwu zmysłów.

— Słyszałeś, co powiedziałem, Mike.

— Jasna cholera! — Chin zwrócił się do swych ludzi. — Biegiem! — rozkazał. — To nie żadne cholerne ćwiczenia!

Malloy już biegł do swego *Night Hawka*. Sierżant Nance czekał wewnątrz śmigłowca.

— Poruczniku, do roboty!

— Włączam pierwszą turbinę — zameldował Harrison. Sierżant Nance zapiął pas nie krępujący swobody ruchów i przesunął się w stronę lewych drzwi, by sprawdzić, jak wygląda ogon śmigłowca.

— Pułkowniku, wirnik ogonowy wolny — zameldował.

Malloy potwierdził, wpatrzony w tablicę przyrządów, na której pojawiały się wskazania czujników. Wszystko wydawało się w porządku. Włączył radio.

— Dowództwo, tu Niedźwiedź, możemy startować. Co się dzieje, odbiór.

— Niedźwiedź, tu Piątka. — Nadawał Stanley i to zdziwiło Malloya. — Startuj i kręć się nad szpitalem. To właśnie szpital został zaatakowany.

— Powtórz, Piątka, odbiór.

— Niedźwiedź, zaatakowany został szpital. Napastnicy wzięli zakładników, panią Clark i panią Chavez. Podali nazwiska. Rozkaz brzmi: startować i krążyć nad szpitalem.

— Zrozumiałem. Niedźwiedź startuje. — Lewą ręką ściągnął dźwignię zespoloną i *Sikorsky* uniósł się w powietrze.

— Pułkowniku, czy on powiedział to, co wydaje mi się, że powiedział? — spytał

Harrison.

— Wygląda na to, że owszem. Kurwa mać. — Ktoś tu próbuje złapać tygrysa za jaja, pomyślał Malloy. Spojrzał w dół. Z bazy wyjechały właśnie ciężarówki, mknące w tym samym co on kierunku. To Covington ze swymi ludźmi. Wrócił myślami do rzeczywistego świata i podniósł helikopter na dwieście metrów, wywołał miejscową kontrolę lotów celem poinformowania jej, co się dzieje. Dostał kod transpondera, dzięki któremu wiedzieli dokładnie, gdzie jest.

Na miejscu stały cztery policyjne samochody, blokujące wjazd na szpitalny parking, ale poza tym niewiele się działo. Policjanci po prostu obserwowali przebieg zdarzeń. Żaden nie pozostał w samochodzie, dwóch miało w ręku broń, ale w nic nie celowali, lufy trzymali zwrócone ku ziemi.

Z jednej ciężarówki meldunki składał Gwington, z drugiej Chin. Żołnierze Tęczy nie byli tak zszokowani jeszcze nigdy w życiu. Siebie i swoje rodziny uważali ipso facto za nie zagrożone aktami terroru, bowiem nigdy jeszcze nikt nie zachował się tak po kretyńsku jak ci tam. Można drażnić lwa zamkniętego w klatce, ale nie lwa na wolności. I nigdy, przenigdy nie robi się krzywdy lwiatkom, jeśli chce się dożyć zachodu słońca. Rodzina jednego żołnierza oddziału jest rodziną wszystkich żołnierzy oddziału. Porwanie się na żonę dowódcy było jak policzek wymierzony każdemu z nich z osobna i wszystkim razem, było aktem świadczącym o nieopisanej wręcz arogancji. A w dodatku żona Chaveza była w ciąży! Dwie niewinne kobiety, tak bliskie człowiekowi, który ćwiczył z nimi codziennie rano, pił z nimi piwo wieczorem, żołnierza jak oni, członka ich zespołu. Włączyli radia i czekali z bronią w pogotowiu.

— Al, muszę przekazać ci dowodzenie operacją — powiedział Clark, szykując się właśnie do wyjścia z gabinetu. Towarzyszyli mu doktor Bellow i Bill Tawney.

— Rozumiem, John. Wiesz, jak dobry jest Peter i jego ludzie. John Clark tylko westchnął.

— Wiem — powiedział, bo i co innego miał powiedzieć?

— Bill? — Stanley zwrócił się do Tawneya.

— Użyli prawidłowego kodu. „Patrick Casey” nie jest znany prasie. Tego nazwiska Tymczasowi używają, kiedy chcą nam powiedzieć, że to nie żarty, na przykład kiedy informują o podłożeniu bomby. Paul?

— Podanie nazwiska twojej żony i córki, John, to bezpośrednie wyzwanie. Mówią nam, że wiedzą o Tęczy, że wiedzą, kim jesteśmy, no i, oczywiście, że wiedzą, kim ty jesteś.

Oznajmiają, że są zawodowcami, zdecydowanymi iść na całość. — Psychiatra pokręcił głową. —

Ale jeśli naprawdę są z PIRA, mamy do czynienia z katolikami. Właśnie tego mogę użyć.

Zabierzcie mnie stąd i nawiążmy z nimi jakiś kontakt.

Tim Noonan jechał już na miejsce swoim prywatnym samochodem. Sprzęt taktyczny rzucił na tylne siedzenie. On przynajmniej miał łatwe zadanie. W rejonie Hereford znajdowały się dwa nadajniki mikrofalowe telefonii komórkowej, a on zdążył odwiedzić oba, eksperymentując z programem do blokowania rozmów. Najpierw podjechał do tego dalszego.

Wyglądał bardzo typowo: wysoka wieża ogrodzona ze wszystkich stron, plus przyczepa. Przed ogrodzeniem stał zaparkowany samochód. Noonan zatrzymał się obok niego i wyskoczył zza kierownicy, nie troszcząc się nawet o zamknięcie drzwi. W sekundę później był już w przyczepie.

— O co chodzi? — zdumiał się technik.

— Jestem z Hereford. Zdejmujemy z linii pański nadajnik.

— Kto to powiedział?

— Ja to mówię. — Tim obrócił się lekko, pokazując technikowi wiszący u pasa pistolet.

— Niech pan zadzwoni do szefa. Wie, kim jestem i co robię. — Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia podszedł do tablicy rozdzielczej i wyłączył główny bezpiecznik, odcinając zasilanie do nadajnika. Następnie usiadł przy komputerze i włożył do stacji dyskietkę, wyjętą z kieszeni koszuli. Wystarczyły dwa kliknięcia myszą i czterdzieści sekund, by system został

zmodyfikowany tak, że przyjmował rozmowy wyłącznie do numerów poprzedzonych cyframi 777.

Technik nie miał pojęcia, co się dzieje, ale wystarczyło mu rozsądku, by nie spierać się z uzbrojonym facetem.

— Nadajnik po drugiej stronie miasta... Jest tam ktoś? — spytał Noonan.

— Nie. To znaczy w przypadku problemów jestem ja, ale przecież nie mamy żadnych problemów.

— Kluczyki.

— Nie mogę. To znaczy, nie mam pozwolenia...

— To niech pan dzwoni do szefa. — Agent FBI podał technikowi słuchawkę telefonu stacjonarnego.

Covington wyskoczył z wozu zaparkowanego obok jakichś wielkich ciężarówek. Policja już ustawiła barierki, trzymające ciekawskich z daleka od miejsca, gdzie coś się działo. Podbiegł

do mundurowego, który wydawał się dowodzić akcją.

— Już są — poinformował Tima O'Neila przez telefon komórkowy Grady. —

Rzeczywiście, szybko się ruszają. A jak wspaniale wyglądają! Jak tam w środku?

— Sean, za dużo tu ludzi. Nie damy rady ich upilnować. Bliźniacy są w holu głównym, Jimmy tutaj, ze mną, a Daniel patroluje piętro.

— Co z zakładnikami?

— Chodzi ci o kobiety? Siedzą na podłodze. Młodsza jest w zaawansowanej ciąży.

Wygląda zupełnie jakby poród mógł nastąpić lada chwila.

— Spróbuj do tego nie dopuścić, mały. — Grady pozwolił sobie na uśmiech. Wszystko szło zgodnie z planem, a czas biegł. Ci cholerni żołnierze byli nawet uprzejmi zaparkować swoje wozy dwadzieścia metrów od jego ciężarówek. Lepiej już być nie mogło.

Houston wcale nie miał na imię Sam. Mama wybrała mu imię Mortimer, od ulubionego wujka, a obecny pseudonim otrzymał na obozie ćwiczebnym w Fort Jackson w Południowej Karolinie, przed jedenastu laty i ani mu w głowie powstało protestować[5]. Jego karabin snajperski nadal spoczywał w obszernym futerale, chroniącym broń przed wstrząsami w trakcie transportu.

W tej chwili szukał sobie dobrego stanowiska. To miejsce będzie dobre, pomyślał. Był gotów na wszystko, co mógł przynieść mu dzień.

Identycznym karabinem posługiwał się przyjaciel Houstona, Homer Johnston, który zresztą strzelał równie dobrze jak on. No, nie tak zupełnie równie — podkreślał sierżant w każdej rozmowie. To samo dotyczyło jego „Dwójki”, sierżanta Freda Franklina, byłego instruktora strzelectwa w jednostce treningowej komandosów w Fort Benning, trafiającego bezbłędnie na dystansie dwóch kilometrów ze swego wielkiego samopowtarzalnego karabinu *MacMillan* kalibru 0,50 cala.

— I co, Sam?

— Tu mi się całkiem podoba, Freddy. Ty możesz skryć się za tą górką, za lądowiskiem helikopterów.

— Wygląda nieźle. — Franklin zarzucił futerał na ramię i poszedł zająć stanowisko.

— Ci faceci wyglądają na fachowców — powiedział do słuchawki Roddy Sands.

— Racja, ale jeden z nich stoi wystarczająco blisko, by sprzątnąć go od razu. To należy do ciebie, mały.

— Dobra, Sean — zgodził się siedzący pod budą jednej z ciężarówek Sands.

Noonan, który, oczywiście, dostał klucze do drugiego nadajnika, już zmierzał w jego kierunku. Jeszcze ze dwadzieścia minut... nie, więcej — zorientował się. Na tej podrzędnej drodze już tworzył się korek, a jemu, choć przecież nosił broń, nie zainstalowano w wozie ani syreny, ani koguta... Błąd, ale przecież on też to przeoczył i teraz był na siebie wściekły jak cholera. Jakim cudem udało się wszystkim zapomnieć o czymś tak istotnym! Przecież jesteś gliną, powtarzał sobie raz za razem.

Zjechał na pobocze, włączył światła awaryjne, wcisnął klakson i ruszył przed siebie, wyprzedzając stojące w korku samochody.

Chavez pozornie nie zareagował nawet na to, co się stało. Nie sprawiał wrażenia ani rozgniewanego, ani przestraszonego. Niewysoki, teraz wręcz jakby zapadł się w sobie na oczach swego teścia.

— Dobra — powiedział w końcu. W ustach czuł suchość. — I co teraz robimy?

— Pierwszy Zespół jest już na miejscu albo wkrótce powinien być. Operacją dowodzi Al.

My jesteśmy obserwatorami.

— Jedziemy tam?

Clark zawahał się w bardzo nietypowy dla siebie sposób. Rozum podpowiadał mu, że najlepsze, co może zrobić, to siedzieć w gabinecie i czekać, a nie jechać na miejsce i torturować się myślą, że nic nie może zrobić. Przekazując dowodzenie Stanleyowi podjął prawidłową decyzję. Nie wolno dopuścić, by w polu decydowały względy osobiste. W końcu zagrożone były nie tylko jego żona i córka, a Stanley to zawodowiec, bez najmniejszych wątpliwości zdolny do podjęcia właściwej decyzji i nie potrzeba udzielać mu dobrych rad. Ale, z drugiej strony, siedzenie w fotelu i słuchanie informacji przekazywanych przez radio lub przez telefon — czy może być coś gorszego?

Więc John podszedł do biurka, wyjął z szuflady pistolet i włożył go do kabury na pasku, po prawej stronie. Dopiero teraz dostrzegł, że Chavez przyszedł do niego uzbrojony.

— Idziemy! — zdecydował.

— Chwileczkę. — Ding zadzwonił z komórki do kwatery Drugiego Zespołu.

— Starszy sierżant Price — usłyszał w słuchawce.

— Eddie, mówi Ding. Jedziemy z Johnem na miejsce. Ty dowodzisz Drugim Zespołem.

— Tak jest! Major Covington i jego chłopcy są równie dobrzy jak my, a Drugi Zespół jest gotów wejść do akcji w każdej chwili.

— Doskonale. Zabieram ze sobą radio.

— Życzę szczęścia.

— Dzięki, Eddie. — Chavez odłożył słuchawkę. — John, możemy iść.

John Clark skorzystał z usług kierowcy, który zresztą miał ten sam problem z korkiem na drodze co Noonan i rozwiązał go bardzo podobnie: zjeżdżając na pobocze, naciskając klakson i migając światłami. Na miejsce powinni dotrzeć w dziesięć minut, dotarli po dwudziestu.

— Z kim mówię?

— Nadinspektor Fergus Macleash — odpowiedział policjant, który przyjął rozmowę. —

Kim pan jest?

— Patrick Casey. Na razie powinno nam to wystarczyć — odparł Grady. — Czy rozmawialiście już z Home Office?

— Oczywiście, panie Casey. — Macleash zerknął na Stanleya i Bellowa, którzy towarzyszyli mu na stanowisku dowodzenia, oddalonym o niespełna kilometr od szpitala, i przysłuchiwali się rozmowie

za pośrednictwem głośnika.

— Kiedy zostaną zwolnieni więźniowie?

— Panie Casey, większość wyższych stopniem urzędników jest w tej chwili nieobecnych, to pora lunchu! Ludzie z Londynu, z którymi rozmawiałem, właśnie ich wyszukują i wzywają do biur. Rozumie pan, że nie skontaktowałem się jeszcze z nikim mającym prawo podjąć tego rodzaju decyzję.

— Udzielę panu dobrej rady: niech pan zażąda od Londynu, by bardziej się starali. Nie jestem z natury cierpliwym człowiekiem.

— Musimy mieć gwarancję, że zakładnikom nic się nie stanie — zaryzykował Macleash.

— Z wyjątkiem jednego z waszych konstabli nikomu nic się na razie nie stało. Na razie.

Sytuacja zmieni się drastycznie, jeśli podejmiecie jakąś akcję przeciwko nam lub jeśli przez pana i pana londyńskich przyjaciół będziemy musieli czekać zbyt długo. Czy to jasne?

— Oczywiście. Doskonale rozumiem, co pan powiedział.

— Za dwie godziny rozpoczniemy eliminowanie zakładników. A wiecie, że mamy ich spory zapas.

— Pan zaś z pewnością wie, że skrzywdzenie choćby jednego zakładnika całkowicie zmieni sytuację, prawda, panie Casey? Jeśli przekroczycie tę granicę, moje możliwości negocjacji zmniejszą się dramatycznie.

— To już pana problem, nie nasz — powiedział spokojnie głos. — Mam tu ponad setkę ludzi, w tym żonę i córkę waszego głównego eksperta w dziedzinie walki z terroryzmem. One pierwsze zapłacą za pańską bierność. Ma pan godzinę i pięćdziesiąt minut na załatwienie zwolnienia więźniów politycznych z Albany i Parkhurst. Proponuję, by natychmiast zajął się pan tą sprawą. Do widzenia.

Połączenie zostało przerwane.

— Twarda gadka — zauważył doktor Bellow. — To głos człowieka dojrzałego, prawdopodobnie po czterdziestce. Potwierdził, że wie, kim są panie Clark i Chavez. Naszym przeciwnikiem jest zawodowiec dysponujący bardzo dobrym wywiadem. Skąd może otrzymywać informacje?

Bill Tawney opuścił wzrok.

— Nie wiem, doktorze — przyznał. — Rzeczywiście, mieliśmy informacje, że ktoś interesuje się nami i wie o tym, że istniejemy, ale żeby do tego stopnia... To już jest niepokojące.

— Dobrze. Kiedy zadzwoni następnym razem, ja z nim porozmawiam — zdecydował

Bellow. — Zobaczmy, czy uda się go trochę uspokoić.

— Peter, tu Stanley — nadał przez radio Tęcza Pięć.

— Zgłasza się Covington.

— Co zrobiliście do tej pory?

— Rozstawiłem snajperów, a resztę ludzi trzymam przy sobie. Czekam na plany szpitala.

Nie mamy na razie dokładnych danych dotyczących liczby terrorystów i ich zakładników. —

Covington jakby się zawahał. — Proponuję wprowadzić do akcji Drugi Zespół — powiedział w końcu. — Budynek jest za duży, by na wypadek rozpoczęcia akcji mogło go opanować ośmiu ludzi.

Stanley skinął głową.

— Dobrze, Peter — powiedział. — Zaraz do nich zadzwonię.

— Co z paliwem? — spytał Malloy, wpatrzony w szpital nad którym krążyli.

— Wystarczy na dobre trzy i pół godziny, panie pułkowniku — odpowiedział

natychmiast porucznik Harrison.

Pułkownik Malloy obejrzał się przez ramię. Sierżant wyjął ze schowków i przygotował

liny do zjazdów, mocując je do uchwytów w podłodze helikoptera. Skończywszy z tym, usiadł na składanym siedzeniu znajdującym się za fotelami pilotów. Jak wszyscy wsłuchiwał się w radio.

W kaburze wiszącej pod ramieniem miał pistolet.

— Wygląda na to, że trochę tu zabawimy — zauważył pułkownik.

— Panie pułkowniku, co pan myśli o...

— Myślę, poruczniku, że mi się to nie podoba. A poza tym, lepiej w ogóle nie myśleć. —

Była to marna odpowiedź, o czym wiedzieli wszyscy obecni na pokładzie *Night Hawka*. W tej sytuacji radzenie ludziom, żeby przestali myśleć, jest mniej więcej tak samo produktywne jak radzenie Ziemi, żeby przestała się kręcić. Malloy oglądał szpital, rozpracowując w myślach kąty podejścia do zjazdu po długiej albo krótkiej linii. Gdyby przyszło co do czego, nie byłoby to takie trudne.

W dole wszędzie pełno było samochodów, a jakieś ciężarówki zaparkowały nawet bardzo blisko szpitala. Policyjne radiowozy łatwo było rozpoznać po błyskających niebieskich światłach.

Drogi prowadzące do szpitala zostały zablokowane i — jak to się często zdarzało — drogi wylotowe były w związku z tym całkiem opustoszałe. Niczym królik wyjęty z kapelusza przez iluzjonistę, nikaąd pojawił się telewizyjny wóz transmisyjny. Zaparkował na wzgórzu odległym o niespełna kilometr od szpitala, gdzie zresztą już stało parę samochodów. Łowcy sensacji, pomyślał z niesmakiem pilot. Podglądacze pojawiali się zawsze, niczym sępy krążące nad pustynią. Obrzydliwe to, ale jednocześnie jakież ludzkie.

Popow odwrócił się i dostrzegł parkujący niespełna dziesięć metrów za jego wynajętym Jaguarem biały wóz transmisyjny telewizji, wyposażony w umieszczoną na dachu wielką antenę satelitarną. Nim zdążył stanąć na dobre, wyskoczyli z niego ludzie. Jeden wspiął się po drabince na dach i zabrał się do rozkładania kanciastej anteny. Drugi męczył się z ustawieniem kamery.

Trzecim był niewątpliwie dziennikarz, w marynarce i krawacie, a jakże. Porozmawiał przez chwilę z technikami, a potem obrócił się w stronę miasteczka. Popow postanowił ich ignorować.

Nareszcie! — pomyślał Noonan, podjeżdżając do drugiej wieży nadajnika mikrofalowego. Zatrzymał samochód, wysiadł, podszedł do drzwi i sięgnął po otrzymane od technika klucze. W trzy minuty później oprogramowanie blokujące było już załadowane do komputera. Tim włączył radio.

— Noonan do Stanleya, odbiór.

— Stanley.

— Al, wszystko w porządku, właśnie odciąłem drugi nadajnik. Wszystkie telefony komórkowe w okolicy powinny przestać działać.

— Doskonale, Tim. Przyjeżdżaj do nas.

— Zrozumiałem, jadę.

Noonan poprawił zestaw nagłowny tak, by mikrofon znalazł się przed ustami, wsiadł do samochodu i pojechał do szpitala. Dobra, sukinsyny, myślał po drodze, niech któryś z was spróbuje teraz użyć komórki!

Jak zwykle w dramatycznych sytuacjach i teraz nie sposób było powiedzieć, co się właściwie dzieje, doszedł do wniosku Popow. Obok dwóch wojskowych ciężarówek widać było co najmniej piętnaście policyjnych radiowozów. Lornetkę miał za słabą, by rozpoznać twarze, ale znał przecież z widzenia tylko jednego z nich, dowódcę, a on jest pewnie w punkcie dowodzenia.

Dwaj żołnierze dźwigający długie futerały, prawdopodobnie snajperzy, wysiedli wcześniej z pomalowanych w zielony maskujący wzór ciężarówek i teraz nie było ich nigdzie widać... A nie, przez lornetkę dostrzegł jednego, zieloną plamkę w krajobrazie, której wcześniej tam nie było. Spryciarze. Strzelec wyborowy z pewnością obserwuje przez celownik optyczny szpital. Drugi snajper też powinien być w pobliżu, ale Rosjanin nie potrafił go znaleźć.

— Snajper Jeden-Dwa do dowództwa — nadał przez radio Fred Franklin.

— Jeden-Dwa, tu dowódca — odparł natychmiast Covington.

— Jestem na pozycji. Nie widzę niczego przez okna na parterze. W niektórych oknach na trzecim piętrze ruszają się firanki, jakby ktoś wyglądał na zewnątrz, ale poza tym nic.

— Przyjąłem. Obserwuj nadal.

— Zrozumiałem, snajper Jeden-Dwa, koniec.

W kilka sekund później bardzo podobny meldunek złożył Houston. Obaj strzelcy wyborowi zajęli pozycje. Stroje maskujące czyniły ich niemal niewidzialnymi.

— Nareszcie — powiedział Covington. Właśnie przyjechał policyjny samochód, dowożąc do punktu dowodzenia plany budynku. Po przejrzeniu pierwszych dwóch stron twarz mu się wyciągnęła. Szpital był labiryntem pokoiów, zwłaszcza na wyższych piętrach. W każdym z nich mógł się kryć uzbrojony człowiek, ale na tym nie kończyły się problemy: w salach leżeli chorzy i przynajmniej niektórych z nich granaty obeszczadniające z całą pewnością mogą zabić. Peter miał

już materiały konieczne do zaplanowania operacji, lecz odniósł z ich posiadania tylko jedną korzyść, w pełni uświadomił sobie, jak niebezpieczna jest ta operacja.

— Sean?

Grady odwrócił się.

— Tak, Roddy?

— Są. — Roddy Sands wskazał mu kierunek wyciągniętym palcem. Ubrani na czarno żołnierze stali przy wojskowych ciężarówkach, zaledwie kilka metrów od nich.

— Naliczyłem tylko sześciu, mały. Miałem nadzieję na przynajmniej dziesięciu.

— Zachłanność może nas zaprowadzić wyłącznie do piekła. Sean zerknął na zegarek.

Według planu operacja miała trwać czterdzieści pięć minut do godziny. Jej przedłużenie zwiększało szansę przeciwnika i dawało mu czas na zorganizowanie się. Już trwała trzydzieści pięć minut. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Na drogach prowadzących do szpitala powstały pewnie gigantyczne korki, natomiast drogi prowadzące w przeciwnym kierunku opustoszały, co ułatwi im ucieczkę. Miał do dyspozycji trzy duże ciężarówki, mikrobus i dwa samochody osobowe. Od żadnego z nich nie dzieliło go więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Zasadniczy cel operacji nie został jeszcze osiągnięty, ale przecież jego ludzie doskonale wiedzieli, czego od nich oczekuje. Roddy ma rację. Najwyższy czas zrobić, co mają do roboty i zniknąć. Grady skinął głową, wyjął telefon i wcisnął klawisz wybierania przyporządkowany telefonowi O'Neila.

Ale telefon nie działał. Kiedy podniósł go do ucha, usłyszał szybki przerywany sygnał, wskazujący dzwoniącemu, że z połączeniem coś jest nie tak. Zdenerwowany, jeszcze raz połączył się z Timem... i ponownie nie otrzymał połączenia.

— Co, do diabła? — zdumiał się po trzeciej nieudanej próbie. — Roddy, daj mi swój telefon.

Roddy Sands natychmiast wypełnił polecenie dowódcy. Wszystkie używane w akcji telefony pochodziły od tego samego producenta i zostały identycznie zaprogramowane. Sean wcisnął więc odpowiedni klawisz i usłyszał ten sam sygnał. Na razie bardziej był zdziwiony niż zły, zdążył się już jednak przestraszyć. Zaplanował wszystko, ale nie to. Operacja uda się tylko wówczas, gdy będzie w stanie koordynować działania wszystkich trzech grup. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, co mają robić... ale nie kiedy zacząć. Czekali na jego rozkaz.

— Cholera jasna — zaklął. Zadzwoił do operatora sieci. Nic z tego. — Te pieprzone telefony przestały działać — powiedział bezradnie.

— Nie kontaktował się z nami już od jakiegoś czasu — zauważył Bellow.

— I nie podał nam numeru telefonu.

— Można spróbować któryś z tych — zauważył Tawney, który miał już listę numerów telefonów szpitalnych. Bellow wybrał numer centrali izby przyjęć i wydzwoił go z komórki, najpierw wystukując, oczywiście, 777. Czekał dobre pół minuty, ale ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

— Tak? — powiedział głos z irlandzkim akcentem. Nie był to głos ich poprzedniego rozmówcy.

— Czy mogę rozmawiać z panem Caseyem? — spytał psychiatra, przełączając rozmowę na głośnik.

— W tej chwili go tu nie ma.

— A nie mógłby pan go poprosić? Mam mu coś do przekazania.

— Proszę czekać.

Bellow wyłączył mikrofon przenośnego telefonu.

— Inny głos — oznajmił. — Inny facet. Gdzie jest Casey?

— Pewnie na terenie szpitala — odparł Stanley, ale zdawał sobie sprawę, że jego odpowiedź jest niewystarczająca. Czekali i czekali, lecz nikt nie odzywał się przez dobre kilka minut.

Noonan musiał wyjaśniać, kim jest i co robi aż na dwóch policyjnych punktach kontrolnych, ale wreszcie, jakimś cudem, udało mu się dotrzeć do szpitala. Zadzwoił do Covingtona i powiedział, że

za pięć minut będzie na miejscu. Od dowódcy Pierwszego Zespołu dowiedział się, że sytuacja na razie pozostaje bez zmian.

Clark i Chavez wysiedli z samochodu pięćdziesiąt metrów od zielonych wojskowych ciężarówek, które przywiozły na miejsce Pierwszy Zespół. Drugi Zespół był już w drodze, jadąc również brytyjską wojskową ciężarówką w asyście policji, której zadaniem było pomóc jej przedrzeć się przez blokujące drogę samochody. Chavez zabrał ze sobą kolekcję zdjęć znanych irlandzkich terrorystów, którą zgarnął po drodze z biurka w dziale wywiadu. W tej chwili miał

jednak inny, ważniejszy problem: drżały mu ręce i nie mógł sobie z tym poradzić. Ze strachu? Z

gniewu? Nie wiedział. Musiał zaprząć do roboty wszystkie wyostrzone przez ćwiczenia instynkty, by raczej myśleć o operacji, niż zamartwiać się losem teściowej i żony oraz nie narodzonego jeszcze syna. Udaowało mu się to, ale tylko dlatego, że patrzył na zdjęcia, a nie na otaczający go świat, bowiem miał oto w dłoniach podobizny ludzi, których pragnął zabić. W

chwilach takich jak ta prawdziwy mężczyzna mógł zrobić tylko jedno: zamknąć się w sobie i udawać, że w pełni nad sobą panuje. Ding Chavez właśnie się przekonał, że łatwo być odważnym, gdy niebezpieczeństwo grozi tobie, ale w przypadku bliskich i kochanych, to już coś zupełnie innego, odwaga nie ma nic do rzeczy... i można tylko czekać. Jest się widzem i nikim więcej, widzem obserwującym coś w rodzaju turnieju, w którym gra idzie o życie najbliższych.

Przecież mógł tylko patrzeć i wierzyć w profesjonalizm zespołu Petera Covingtona. Tak, owszem, zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że Peter i jego chłopcy są równie dobrzy jak on i jego chłopcy, i że jeśli zakładników można uratować, to z całą pewnością ich uratują, ale o ileż lepiej byłoby być w akcji, dowodzić, mieć kontrolę nad tym, co się dzieje. Jeszcze dziś, powtarzał sobie Ding, wezmę żonę w ramiona... albo na zawsze stracę ją i dziecko. Ścisnął w dłoniach komputerowe wydruki zdjęć, mnąc ich brzegi, pocieszał go zaś wyłącznie ciężar wiszącego przy pasku pistoletu. Dobrze jest mieć broń, przemknęło mu przez głowę, choć przecież wiedział, że w tej chwili na nic mu się nie przyda i prawdopodobnie tak pozostanie do samego końca.

— Jak mam się do pana zwracać? — spytał Bellow. Ktoś wreszcie poniósł słuchawkę.

— Proszę mi mówić Timothy.

— Doskonale — zgodził się natychmiast lekarz. — Ja mam na imię Paul.

— Jesteś Amerykaninem?

— Owszem. Amerykankami są także twoje zakładniczki, doktor Chavez i siostra Clark.

— I co z tego?

— Tylko to, że zawsze uważałem, iż nienawidzicie Brytyjczyków, a nie nas, Amerykanów. Wiesz, że twoje zakładniczki to matka i córka, prawda? — Bellow zdawał sobie sprawę, że terrorysta wie,

więc mógł powiedzieć to tak, jakby przekazywał ważną informację.

— Wiem.

— A wiesz, że są katoliczkami, jak ty?

— Nie.

— No więc są — powtórzył psychiatra z lekkim naciskiem. — Zapytaj, jeśli chcesz.

Panięskie nazwisko pani Clark to O'Toole. Jest Amerykanką pochodzenia irlandzkiego.

Dlaczego uważasz ją za wroga, Timothy?

— Ona... to znaczy jej mąż...

— Jej mąż jest także irlandzkim katolikiem i, o ile wiem, nigdy nie działał przeciwko wam lub waszej organizacji. Właśnie dlatego nie mogę pojąć, dlaczego narażacie życie tych kobiet.

— Mąż tej starszej jest szefem tej choleralnej Tęczy, a ona zabija ludzi dla brytyjskiego rządu!

— Nie, Timothy, to nie tak. Tęcza jest oddziałem pozostającym pod dowództwem NATO. Kiedy poprzednim razem przeprowadziliśmy akcję, ocaliliśmy życie trzydziestu dzieciakom. Też tam byłem. Ludzie, którzy przetrzymywali dzieciaki, zabili dziewczynkę.

Holenderkę. Miała na imię Anna i umierała na raka. Umierała na raka, Timothy, ale ci ludzie nie mieli zamiaru czekać, aż umrze. Jeden z nich zabił ją strzałem w plecy. Może nawet widziałeś to w telewizji? Religijny człowiek nie zrobiłby czegoś takiego, prawda? Katolik nie zabiłby małej, umierającej na raka dziewczynki. Doktor Chavez jest w ciąży. Nie wątpię, że to zauważyłeś. Jeśli coś jej zrobicie, co stanie się z dzieckiem? Jeśli ją zabijecie, zabijecie nie tylko ją, lecz także nie narodzone jeszcze dziecko. Wiem, co sądzi o tym kościół katolicki i ty, oczywiście, też. I wiesz, jakiego zdania na ten temat jest rząd Republiki Irlandii. Timothy, bardzo cię proszę, rozważ, co osiągniecie spełniając wasze groźby. To prawdziwi ludzie, nie cyfry w równaniu. Dziecko w łonie doktor Chavez też jest prawdziwym człowiekiem. A teraz chciałbym coś przekazać panu Caseyowi. Znalazłeś go?

— Nie... to znaczy, nie może w tej chwili podejść do telefonu.

— Dobrze. Muszę kończyć. Jeśli znów zadzwonię pod ten numer, ty podniesiesz słuchawkę?

— Tak.

— Doskonale. Zadzwonię, kiedy będę miał dla was nowe informacje. — Bellow wcisnął

przycisk przerywający połączenie. — Dobre nowiny — oznajmił. — To był ktoś inny, młodszy i nie tak pewny siebie. Mam coś, czym mogę go przycisnąć. Facet jest katolikiem, a przynajmniej uważa się za katolika. A to oznacza sumienie i zasady. Nad tym chłopakiem mogę popracować

— powiedział z przekonaniem.

— Ale gdzie jest ten drugi? — zdziwił się Stanley. — Chyba...

— Chyba? — ponaglił go Bill Tawney.

— Chyba że w ogóle go tam nie ma.

— Co? — nie zrozumiał Bellow.

— Chyba że skurwysyna w ogóle tam nie ma! Pierwszy do nas zadzwonił, ale nie odzywa się już od jakiegoś czasu. Powinien się odezwać?

Psychiatra skinął głową.

— Tego bym się po nim spodziewał. Tak.

— Noonan zablokował telefony komórkowe — zauważył Stanley i włączył radio. — Tu dowódca. Uważajcie na ludzi próbujących korzystać z telefonów komórkowych. Być może mamy tu dwie grupy. Potwierdzić.

— Dowódca, tu Covington. Potwierdzam.

— O żesz ty! — zaklął Malloy, kładąc helikopter w kolejny skręt.

— To co, schodzimy niżej? — spytał Harrison.

Pułkownik pokręcił głową.

— Nie. Póki jesteśmy tu, w górze, mogli nas nawet nie zauważyć. Nie rzucajmy się w oczy, przynajmniej przez jakiś czas.

— Co tu jest grane? — Chavez spojrzał na teścia.

— Jedna grupa w środku, druga na zewnątrz? — zaryzykował John.

Sean Grady tracił cierpliwość. Siedem razy próbował zadzwonić z telefonu komórkowego i za każdym razem słyszał tylko ten cholerny, doprowadzający do szału sygnał. Sytuacja taktyczna była po prostu rewelacyjna, a jednak nie miał możliwości koordynowania pracy poszczególnych zespołów. Ludzie z Tęczy stali sobie w kupie niespełna sto metrów od ich ciężarówek! Ale to się musi zmienić. Miejscowa policja prędzej czy później zabierze się za zabezpieczanie terenu. W odległości mniejszej niż trzysta metrów od szpitala w małych grupach stało stu pięćdziesięciu, może nawet dwustu gapiów. Nadszedł właściwy czas, a cel sam wystawiał się na strzał...

Noonan przejechał przez wierzchołek wzgórza i był już bardzo blisko ludzi ze swojego oddziału. Zastanawiał się, co właściwie może zrobić. Zazwyczaj zakładał podsłuch w budynku, ale oznaczało to, że musi się do tegoż budynku zbliżyć, a zbliżyć się do szpitala... Cholerna robota,

prawdopodobnie niemożliwa do wykonania przed zapadnięciem zmroku. No, w każdym razie najważniejsza sprawa została już załatwiona. Zapobiegł użyciu przez nieprzyjaciela telefonów komórkowych... Jeśli rzecz jasna ich używali, a tego przecież nie mógł wiedzieć.

Zwolnił na podjeździe. Widział już Petera Covingtona rozmawiającego ze swymi ubranymi na czarno żołnierzami.

Clark i Chavez zajmowali się mniej więcej tym samym co dowódca Pierwszego Zespołu.

Stali o kilka kroków od służbowego samochodu Clarka i rozmawiali.

— Warto byłoby oczyścić przedpole — zauważył Ding. Skąd tu się w ogóle wzięły te wszystkie samochody? Pewnie należą do ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się w złym miejscu i w złym czasie. Nie zabrakło też, oczywiście, cholernego wozu cholernej telewizji, z rozstawioną już anteną satelitarną. Dziennikarz stał przed operatorem kamery. A więc, pomyślał Ding, teraz jego dramat stał się rozrywką dla innych.

Grady musiał podjąć decyzję i musiał ją podjąć już. Jeśli chciał osiągnąć założone cele i uciec, musiał się na coś zdecydować. Paczka z bronią leżała na ziemi przy Jaguarze. Pozostawił

ją pod opieką Roddy'ego Sandsa i podszedł do najdalszej z ciężarówek Volvo.

— Sean! — krzyknął ktoś ze środka. — Te cholerne telefony nie działają.

— Wiem. Zaczynamy za pięć minut. Czekaście na resztę, a potem postępujcie według planu.

— W porządku.

Jakby na potwierdzenie, że jego rozkazy będą wykonane, usłyszał charakterystyczny szcęk przeładowywanej broni, a potem drugi i trzeci. Powtórzył rozkaz przy kolejnych ciężarówkach. Płótno pokrywające budy miało wycięte otwory, niczym strzelnice w murach średniowiecznego zamku. Jego ludzie rozchylili teraz rozcięcia i patrzyli na żołnierzy, od których dzieliło ich niespełna sto metrów.

Grady wrócił do Jaguara. Zerknął na zegarek, spojrzął na Roddy'ego i skinął głową.

Ciężarówka Drugiego Zespołu zjeżdżała ze wzgórza. Samochód Noonana miała wprost przed sobą.

Popow przyglądał się temu wszystkiemu przez lornetkę. Dostrzegł nadjeżdżającą trzecią ciężarówkę wojskową. Z tyłu siedzieli ludzie, więc były to niewątpliwie posiłki. Przestał się nią interesować i wrócił do obserwacji żołnierzy, którzy już byli na miejscu. Przyjrzał się im dokładniej i... czyżby to był John Clark? Ten stojący na uboczu? Cóż, jego żona była zakładniczką, więc to całkiem sensowne, że przekazał dowodzenie zastępcy. Teraz tylko stał, ubrany w garnitur, nawet z tej odległości sprawiając wrażenie zdenerwowanego.

— Przepraszam — usłyszał, odwrócił się i dostrzegł idących w jego kierunku dziennikarza z kamerzystą. Przymknął oczy i zaklął w myślach.

— Tak?

— Czy mógłby pan przekazać nam swe wrażenia na temat tego, co się tam dzieje?

Najpierw jednak proszę podać nazwisko i może wyjaśnić, co pana tu przywiodło.

— Cóż... nazywam się Jack Smith. — Rosjanin użył swego najlepszego londyńskiego akcentu. — Pojechałem za miasto, żeby obserwować ptaki, oczywiście. Cieszyłem się pięknem natury, taki ładny dzień, rozumie pan, no i...

— Panie Smith, czy orientuje się pan, co się dzieje?

— Nie, skąd, ja nic nie wiem. — Przez cały czas nie odrywał lornetki od oczu, nie chciał

pokazać twarzy tym dwóm. *Charaszo!* O, Sean Grady stoi tam z Roddym Sandsem. Gdyby wierzył w Boga, wezwałby w tym momencie jego imię, przecież widział, co się dzieje, doskonale wiedział, co myślą ludzie w tym jednym jedynym okrucieństwie czasu.

Grady pochylił się i otworzył paczkę. Wyjął z niej *AKMS*, rozłożył kolbę, wstał i płynnym ruchem podniósł broń. W sekundę później mierzył i strzelał do ubranych na czarno żołnierzy.

Jeszcze jedna sekunda i zawtórowały mu strzały z ciężarówek.

Nie było żadnego ostrzeżenia. Pociski ryły burtę ciężarówki, za którą natychmiast się schronili, jednak nim żołnierze zdążyli zareagować, oberwali i to ciężko. W ciągu pierwszych dwóch sekund dostało czterech ludzi. Inni mieli czas, by odskoczyć, rzucić się na ziemię i rozejrzeć się w poszukiwaniu tych, którzy otworzyli do nich ogień.

Noonan widział, jak żołnierze Tęczy padają i chwilę trwało, nim otrząsnął się z szoku i zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje.

— Uwaga, uwaga! — ostrzegł przez radio. — Pierwszy Zespół pod ogniem z tyłu! —

Jednocześnie poszukiwał wzrokiem strzelających. Tak, to z pewnością oni, w tej wielkiej ciężarówce. Wcisnął gaz do dechy i pomknął ku niej. Prawą ręką sięgnął po pistolet.

Starszy bosman Mike Chin dostał w obie nogi, wysoko w uda. Nagłość ataku sprawiła, że ból był jeszcze straszliwszy, jeszcze trudniejszy do zniesienia. Przez kilka długich chwil leżał

nieruchomo, aż wreszcie wyszkolenie dało znać o sobie i spróbował odczołgać się za jakąś zasłonę. — Chin trafiony, Chin trafiony — nadawał przez radio, a kiedy się odwrócił, dostrzegł

innego żołnierza Pierwszego Zespołu. Krew lała mu się z rany na skroni.

Sierżant Houston poderwał głowę znad celownika, słysząc nieoczekiwany terkot broni maszynowej. Co za cholera? — przemknęło mu przez głowę. Zobaczył coś, co wydawało mu się lufą broni, sterczącą spod budy jednej z ciężarówek, więc uniósł broń i obrócił się w prawo, mierząc w cel.

Roddy Sands dostrzegł ten ruch. Snajper był dokładnie tam, gdzie pamiętał, ale niełatwo go było dostrzec spod maskującej siatki. Ruch zdradził jego pozycję, a strzał ze stu pięćdziesięciu metrów nie był niczym trudnym. Mierząc nisko, nacisnął spust i posłał serię w niewyraźny kształt na wzgórzu, pamiętając, by nie mierzyć za wysoko, po czym pociągnął długą serię.

Houston zdążył wystrzelić zaledwie raz, ale w nic nie trafił, bo w tym momencie pocisk uderzył go w prawy bark, bez problemu przebijając kamizelkę, która doskonale zabezpieczała przed pociskami z broni krótkiej, ale nie przed amunicją karabinową. Ani odwaga, ani determinacja nie są, niestety, w stanie zmusić do pracy połamanych kości. Opadł na ziemię, od razu zdając sobie sprawę z tego, że prawą rękę ma bezwładną. Instynktownie przetoczył się w lewo, lewą ręką próbując wyciągnąć z kabury pistolet. Jednocześnie meldował przez radio, że został ranny.

Frank Franklin miał znacznie łatwiej. Znajdował się zbyt daleko, by terroryści mogli go łatwo trafić, był również doskonale zamaskowany. Kilka chwil wystarczyło mu na wyrobienie sobie opinii o sytuacji, w radiu słyszał meldunki i jęki, wiedział więc, że co najmniej kilku kolegów zostało trafionych. Przesunął celownikiem po polu bitwy i dostrzegł lufę wystającą z przeciętej płachty na budzie ciężarówki. Odbezpieczył karabin, wymierzył i wystrzelił pocisk kalibru pół cala — pierwszy w tej walce. Wielki snajperski *MacMillan* strzelał tą samą amunicją co wielkokalibrowy karabin maszynowy *Browninga*, pięćdziesięciosiedmiogramowy pocisk nabierał prędkości początkowej rzędu trzech tysięcy kilometrów na godzinę. Dzielący go od celu dystans pokonał w trzy dziesiąte sekundy wierząc półtoracentymetrową dziurę w płótnie, choć nie sposób było, oczywiście, powiedzieć, czy trafił w cel. Franklin obrócił lufę w lewo, szukając kolejnego celu. Kolejna ciężarówka, dziury w budzie, środka nie widział. Jeszcze w lewo... O, facet trzyma karabin i strzela... czyżby w Sama? Sierżant Fred Franklin przeładował i dokładnie wymierzył.

Roddy Sands był pewien, że trafił snajpera. Teraz wystarczyło go tylko dobić. Po lewej miał Seana, który siedział już w samochodzie i właśnie włączał silnik. Powinni wywiać stąd najpóźniej za jakieś dwie minuty.

Silnik zaskoczył. Sean Grady spojrział na swego najbardziej zaufanego podwładnego dokładnie w chwili, w której dostał on kulę w podstawę czaszki. Pocisk rozerwał mu głowę niczym puszkę zupy. Sean Grady od lat był zawodowym terrorystą, ale czegoś podobnego nigdy nie widział. Ciało złożyło się, padło i zginęło mu z pola widzenia, zdążył jednak dostrzec, że z głowy pozostała jedynie zuchwa.

Pierwszy Zespół zaliczył pierwsze trafienie.

Noonan zatrzymał samochód kilka centymetrów od trzeciej ciężarówki. Wyskoczył z samochodu przez przednie prawe drzwi kierowcy i natychmiast usłyszał charakterystyczny klekot *Kałasznikowa*. Miał więc niewątpliwie do czynienia z wrogami i wrogowie ci niewątpliwie byli blisko. Trzymając *USP* w obu dłoniach, przyjrzał się ciężarówce od strony klapy. Dobra, na tylnych drzwiach dostrzegł

występ umożliwiający wejście do środka. Wsadził

weń stopę i podciągnął się. Płótno budy zabezpieczone było sznurem. Wsadził pistolet za pas, wyjął nóż *K-Bar*[6], przeciął linę w kilku miejscach i uwolnił róg płótna. Uniósł je lewą ręką i kiedy zajrzał do środka, zobaczył trzech mężczyzn leżących z głowami skierowanymi w lewo i prowadzących skoordynowany ogień. Doskonale. Pochylił się do środka ciężarówki i, lewą ręką nadal przytrzymując płótno, prawą wyjął zza paska *USP*. Spokojnie ściągnął spust i wystrzelił

pierwsze dwa pociski, głowa najbliższego z terrorystów odskoczyła w prawo, ciało osunęło się bezwładnie. Pozostali, ogłuszeni własnymi strzałami, nadal nie mieli pojęcia o jego istnieniu!

Tim błyskawicznie przesunął broń i wystrzelił w drugą głowę. Trzeci z terrorystów, czując osuwające się nań ciało drugiego, obrócił się. Spojrzał na intruza wielkimi, zdumionymi piwnymi oczami. Oderwał się od burty ciężarówki, przesuwając lufę broni w lewo... Szybko — jednak nie dość szybko. Dostał dwie kule w pierś, Noonan opuścił pistolet, którego lufę poderwał odrzut, i strzelił mu wprost w nos. Pocisk przebił pień mózgu. Trup na miejscu.

Tim Noonan przyjrzał się swemu dziełu. Nie miał wątpliwości, że wszyscy nie żyją, zeskoczył więc i ruszył ku następnej ciężarówce. Przystanął, by załadować nowy magazynek.

Jakaś część umysłu pojmował, że działa najzupełniej instynktownie, że jego działaniem nie steruje żadna świadoma myśl.

Grady wcisnął gaz do dechy, naciskając jednocześnie klakson, którego dźwięk był hasłem do ucieczki, obowiązującym także ludzi znajdujących się w szpitalu — tych, z którymi nie mógł nawiązać kontaktu, bo nawaliły telefony komórkowe.

— Jezu Chryste! — krzyknął O’Neil, słysząc pierwsze wystrzały. — Kurwa, dlaczego nie zadzwonił?

— Za późno, żeby się martwić, Timothy — stwierdził Sam Barry, machając na brata, i ruszył biegiem do wyjścia z izby przyjęć. Jimmy Carr postąpił identycznie, w dziesięć sekund później dołączył do nich ostatni członek zespołu, który zbiegł z góry schodami przeciwpożarowymi.

— Pora się zmywać, chłopaki — oznajmił O’Neil. Zastanowił się przelotnie, czy nie warto byłoby zabrać ze sobą zakładniczek, ale ta w ciąży z pewnością opóźniałaby im ucieczkę, a do samochodu mieli jakieś trzydzieści metrów.

Trzecia ciężarówka wojskowa zatrzymała się kilka metrów za samochodem Noonana.

Jako pierwszy wyskoczył z niej Eddie Price, trzymając w dłoniach *MP-10*, przykucnął i rozejrzał się, szukając źródła całego tego bałaganu. Cokolwiek się działo, działo się, kurwa, za szybko.

Jasne, w SAS ćwiczyli walkę w otwartym terenie, ale przecież to było dwadzieścia lat temu!

Teraz był żołnierzem oddziału do zadań specjalnych i powinien wiedzieć, gdzie ma stawiać stopę przy każdym kroku.

Obok niego pojawił się Mike Pierce.

— Co tu się, kurwa, dzieje, Eddie? — spytał.

W tej właśnie chwili obaj dostrzegli Noonana zeskakującego z budy ciężarówki Volvo i wymieniającego magazynek w pistolecie. On też ich dostrzegł i gestem nakazał im posuwać się do przodu.

— Idźmy za nim — stwierdził Pierce. Przy jego boku był już Louis Loiselle. Ruszyli we dwóch. Paddy Connolly dołączył do nich, wyjmując z plecaka granat obezwładniający.

O'Neil wraz z czterema ludźmi wybiegł przez wyjście z izby przyjęć i, przez nikogo nie niepokoiony, zdołał dobiec do mikrobusu. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Ruszyli, nim zamknęły się wszystkie drzwi samochodu.

— Uwaga, uwaga! Czterech facetów ucieka ze szpitala w brązowej furgonetcie, prawdopodobnie czterech — nadał przez radio Franklin, wymierzył tuż za przednim lewym kołem i ściągnął spust.

Wielki pocisk przebił błotnik niczym papier i uderzył w blok sześciocyndrowego silnika. Przebił także jeden z cylindrów, powodując zablokowanie tłoka i zatrzymanie silnika.

Pozbawiony napędu mikrobus skręcił w lewo, niemal przewracając się na prawą burtę.

O'Neil krzyczał i przeklinał, na darmo próbując uruchomić silnik. Rozrusznik nie był w stanie poruszyć zdeformowanego tłoka. Timothy nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało, fakt pozostawał jednak faktem: ich samochód stał, beznadziejnie nieruchomy, na całkowicie otwartym terenie.

Franklin z zadowoleniem obserwował skutki strzału, co nie przeszkodziło mu zresztą wystrzelić natychmiast po raz drugi. Celował w głowę kierowcy, wymierzył i ściągnął spust, ale w momencie strzału głowa poruszyła się i spudłował, co zdarzyło mu się po raz pierwszy w karierze. Zamarł na moment ze zdumienia, po czym przeładował karabin.

O'Neilowi odłamki szkła rozcięły policzek. Kula przeleciała najwyżej pięć centymetrów od jego głowy. Irlandczyk gorączkowo przesunął się na tył mikrobusu. Leżał teraz nieruchomo, nie mając zielonego pojęcia, co powinien zrobić.

Homer Johnston i Dieter Weber nie mieli czasu wypakować karabinów z futerałów, a ponieważ nie wydawało się, by w najbliższym czasie mieli wielkie szanse na ich użycie, w tej chwili trzymali w dłoniach pistolety. Idąc jako ostatni w oddziale obserwowali, jak Eddie Price wycina otwór w płótnie klapy drugiej ciężarówki terrorystów. Paddy Connolly wyrwał zawleczkę granatu obezwładniającego i wrzucił go do środka. W dwie sekundy później siła wybuchu całkowicie zerwała płótno z budy. Pierce i Loiselle wyskoczyli do przodu, trzymając w rękach broń, ale trzech

znajdujących się w środku facetów wybuch ogłuszył na amen. Pierce rozbroił

ich, wyrzucił broń z samochodu i pochylił się nad nimi.

W każdej z trzech ciężarówek jeden ze strzelców pełnił także rolę szofera. W pierwszej z nich przypadła ona Paulowi Murphy'emu, który, prowadząc ogień, nie zapomniał o obserwowaniu Jaguara Grady'ego. Dostrzegł, że Sean rusza, rzucił broń, skoczył na siedzenie kierowcy i uruchomił potężnego diesela. Kiedy spojrzał przed siebie dostrzegł ciało, z całą pewnością Roddy'ego Sandsa, tyle że bez głowy. Nie miał pojęcia, co się właściwie stało. Sean wysunął rękę przez otwarte okno i pomachał dłonią, sygnalizując w ten sposób, że ciężarówka ma jechać za nim. Murphy wrzucił bieg i ruszył za nim. Kątem oka dostrzegł unieruchomioną na parkingu brązową furgonetkę O'Neila. Instynkt nakazywał mu podjechać i zabrać towarzyszy broni, ale nie bardzo mógł już skrócić, a Sean nadal na niego machał, więc w końcu pojechał za dowódcą. Jeden z jego strzelców, nadal trzymający *Kalasznikowa*, podniósł płachtę z tyłu i wyrzucił, by sprawdzić, co z pozostałymi ciężarówkami, ale te stały jak wmurowane, a wokół nich kręcili się ubrani na czarno faceci...

...jednym z nich był sierżant Scotty McTyler z gotowym do strzału *MP-10*. Sierżant wymierzył i wystrzelił serię trzech pocisków w dostrzeżoną w oddali twarz. Z satysfakcją odnotował, że rozpadła się ona w różowej mgiełce i znikła z pola widzenia jak zdmuchnięta.

— Dowództwo, McTyler, mamy odjeżdżającą ciężarówkę, są w niej ludzie —

zameldował i wystrzelił jeszcze kilka razy, jednak bez widocznego rezultatu.

Popow nigdy przedtem nie widział na własne oczy walki, dopiero dziś nadarzyła mu się taka okazja. Bitwa wydała mu się przede wszystkim chaotyczna, mnóstwo ludzi biegało we wszystkie strony, pozornie zupełnie bez celu. Mężczyźni w czerni... trzej leżeli na ziemi przy jednej z wojskowych ciężarówek, najwyraźniej były to ofiary pierwszej serii, inni zaś organizowali się w pościg za Jaguarem i ciężarówką, która jechała za nim. Trzy metry dalej dziennikarz mówił coś szybko do mikrofonu, kamerzysta zaś zamarł jak zaczarowany, filmując scenę rozgrywającą się przed szpitalem. Popow nie miał wątpliwości, że dla widzów siedzących w wygodnych fotelach jest to zdarzenie niesłychanie podniecające, nie miał też wątpliwości, że powinien wynieść się stąd jak najszybciej.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i odjechał, obsypując dziennikarza żwirem wyrzuconym spod kół samochodu.

— Niedźwiedź widzi cel — zameldował Malloy, zmniejszając obroty i odpychając dźwignię zespoloną, co spowodowało natychmiastowe obniżenie pułapu do trzystu metrów.

Doskonale wyćwiczonymi oczami pilota śledził dwa uciekające pojazdy. — Można wiedzieć, kto kieruje tym burdelem?

— Panie C? — spytał Ding.

— Niedźwiedź, tu Szósty, przejmuję dowodzenie.

Obaj pobiegli do służbowego samochodu Clarka i wskoczyli do środka. Kierowca, nie bawiąc się w zadawanie pytań, natychmiast ruszył w pościg. Był nim kapral brytyjskiej żandarmerii, który nie został zakwalifikowany do Tęczy, o co miał lekką pretensję. Dziś jednak najwyraźniej tego nie żałował.

Doścignięcie uciekającej ciężarówki nie sprawiło mu większych problemów. Volvo miały wspaniałe silniki, ale nie umywały się one do V-8 Jaguara.

Paul Murphy zerknął w lusterka i na moment kompletnie się pogubił. Dochodził ich Jaguar prawie identyczny... spojrzął przed siebie — tak Sean tam był, więc kim są ci ludzie w drugim Jaguarze? Zerknął pod budę, by wydać rozkazy, lecz musiał zrezygnować. Jeden z jego ludzi leżał martwy w kałuży krwi, przelewającej się z pluskiem po stalowej podłodze, drugi jęczał, najwyraźniej ciężko ranny.

— Tu Price. Gdzieście się podzieli, ludzie? Co z napastnikami?

— Price, tu snajper Jeden-Dwa. Mamy jednego lub więcej napastników w brązowej furgonetce stojącej przed szpitalem. Załatwiłem im silnik. Oni nigdzie już nie pojedą, Eddie.

— Przyjąłem. — Price rozejrzał się dookoła. Sytuacja uspokajała się, a w każdym razie zmierzała w dobrym kierunku. Czuł się niczym rolnik z Kansas obudzony przez tornado, rozglądający się po ruinach farmy i rozpaczliwie próbujący zrozumieć, co się właściwie stało.

Odetchnął głęboko i przypomniał sobie, kto dowodzi teraz Drugim Zespołem.

— Connolly i Lincoln w prawo. Tomlinson i Vega na wzgórze i w lewo. Patterson, za mną. McTyler i Pierce, pilnujcie jeńców. Weber i Johnston, sprawdźcie, co się dzieje z Pierwszym Zespołem. Już, panowie!

— Price, tu Chavez — odezwało się radio.

— Tak, Ding?

— Co się dzieje?

— Mamy dwóch do trzech jeńców, furgonetkę z nieznaną liczbą napastników i cholera jedna wie, co jeszcze. Właśnie próbuję się zorientować. Koniec.

— No to do roboty — powiedział Clark, siedzący na lewym przednim siedzeniu Jaguara.

— Kapralu... Mole, nie myślę się?

— Tak jest, sir. — Kierowca nie poruszył głową nawet na milimetr.

— Doskonale, kapralu, podjedźcie do ciężarówki z prawej. Spróbujemy przestrzelić prawą przednią

oponę. Tylko nie zagarażujcie w nim.

— Tak jest — odpowiedział spokojnie kapral. — Już się robi. Jaguar skoczył do przodu i po dwudziestu sekundach zrównał się z Volvem. Clark i Chavez opuścili szyby, by wychylić się z okien pędzącego z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę samochodu.

Sto metrów w przodzie Sean Grady mknął przed siebie równie wściekły co zdumiony.

Kurwa mać, co tu poszło nie tak?! Pierwsze strzały jego ludzi położyły kilku facetów w czarnych mundurkach, ale potem... co zdarzyło się potem? Miał dobry plan, jego ludzie realizowali ten plan bez zarzutu... To te cholerne telefony! Wszystko popsuły te cholerne komórki! Na szczęście sprawy znów układały się mniej lub bardziej w porządku. Jeszcze dziesięć minut i wjedzie na parking przed supermarketem, gdzie pozbędzie się samochodu, zniknie bezpiecznie w tłumie ludzi, przejedzie na inny parking, do innego wypożyczonego samochodu... Jakoś się z tego wyplącze i on, i jego ludzie z tej ciężarówki. Spojrzał w lusterko. A to co znowu?

Kapral Mole spisał się doskonale. Najpierw wmanewrował ciężarówkę na lewą stronę drogi, a potem wyskoczył z prawej. Kierowca Volvo dał się zaskoczyć.

Siedzący na tylnym siedzeniu Ding Chavez dostrzegł jego twarz. Bardzo blada cera, rude włosy. Typowy Paddy[7] — pomyślał mierząc z pistoletu w prawą przednią oponę.

— Teraz! — krzyknął John. I w tym momencie kapral ostro skręcił w lewo.

Paul Murphy w porę dostrzegł zbliżający się samochód i instynktownie szarpnął

kierownicą. W tym momencie rozległy się strzały.

Clark i Chavez wystrzelili kilkakrotnie w cel odległy o zaledwie metr, najwyżej dwa metry. Pociski trafiły w oponę tuż przy feldze, wrywając w niej centymetrowe dziury. Powietrze uszło natychmiast. Jaguar ledwie zdołał wyrwać się do przodu, uciekając przed ściągającą raptownie w prawo ciężarówką. Jej kierowca próbował zwolnić, wduszając do oporu pedał

hamulca, lecz przez tę instynktowną reakcję tylko pogorszył sprawę. Volvo pochyliło się w prawo, prawa przednia felga ryła teraz asfalt, ciężarówka bardzo chciała stanąć, tak bardzo, że przewróciła się w końcu na prawą burtę. Kabina była przyzwoicie wzmocniona, ale nikt nie zaprojektował jej na takie wyczyny. Po dwóch sekundach kontaktu z jezdnią zaczęła się rozpadać.

Kapral Mole zgarbił się lekko. W lusterku widział ślizgającą się na burcie ciężarówkę.

Zjechał nieco bardziej na lewo, nie chciał ryzykować. Volvo koziółkowało jak dziecinna zabawka, sypiąc wokół szczątkami.

— *Jesuchristo* — westchnął obserwujący wszystko przez tylną szybę Ding. Z kabiny Volvo wyleciało coś, co mogło być wyłącznie ludzkim ciałem, upadło na asfalt i przeturlało się po nim.

— Stop! — rozkazał Clark.

Mole nie tylko się zatrzymał, lecz także cofnął i stanęli zaledwie kilka metrów od leżącej na boku ciężarówka. Chavez wyskoczył pierwszy — zbliżał się do niej ostrożnie, trzymając pistolet w obu dłoniach.

— Niedźwiedź, tu Chavez - nadał przez radio.

— Tu Niedźwiedź, słyszę cię.

— Spróbuj dorwać tego drugiego. Nasza ciężarówka już nigdzie nie pojedzie.

— Zrozumiałem, Niedźwiedź rusza w pościg.

— Pułkowniku? — odezwał się w interkomie głos sierżanta Nance'a.

— Tak?

— Widział pan, jak to zrobili?

— Owszem. Myślisz, że tobie też się może udać?

— Mam pistolet, panie pułkowniku.

— No to czas na użycie broni powietrze-ziemia. — Malloy błyskawicznie opuścił

helikopter na pułap trzydziestu metrów nad drogą. Był na tle słońca w stosunku do samochodu, który ścigał. Jeśli sukinsyn nie widział przez dach, po prostu nie mógł zorientować się, że ktoś go ściga.

— Znak drogowy! — krzyknął Harrison, ściągając drążek, by przeskoczyć oznaczenie kolejnego zjazdu z autostrady.

— Dobra, Harrison, ty zajmij się drogą, ja zajmę się samochodem. Szarp nim ostro, jeśli będziesz musiał, synu.

— Rozumiem, co ma pan na myśli, pułkowniku.

— No to doskonale. Sierżancie Nance, zaczynamy. — Malloy sprawdził wskazania prędkościomierza. Jaguar jechał z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę po skrajnym pasie, jego kierowca mocno naciskał gaz, ale *Night Hawk* miał przecież sporą przewagę mocy. To prawie zupełnie jak lecieć w formacji z inną maszyną, pomyślał Malloy, który przecież nigdy nie leciał w formacji z samochodem. Zbliżył się do niego na trzydzieści metrów. — Prawa strona, sierżancie — powiedział.

— Tak jest. — Nance odsunął drzwi i przyklęknął na aluminiowej podłodze. *Berettę* trzymał w obu dłoniach. — Gotów — zameldował.

— No to do roboty!

Kiedy zorientował się, że nie ma z tyłu ciężarówka, Grady przygryzł wargi. Cóż, trudno, droga za nim była chwilowo zablokowana, droga przed nim wolna, a całkowite bezpieczeństwo miał uzyskać za zaledwie pięć minut. Pozwolił więc sobie na głęboki, uspokajający oddech, rozluźnił zaciśnięte na kierownicy palce i w myślach podziękował konstruktorom, którzy stworzyli ten znakomity samochód.

Nagle kątem oka dostrzegł coś czarnego po lewej. Lekko obrócił głowę. Co do cholery...?

— Mam go — zameldował Nance, dostrzegłszy kierowcę Jaguara przez lewą tylną szybę przedziału pasażerskiego. Podniósł pistolet, jeszcze tylko metr, może nieco więcej...

Oparłszy lewy łokieć na kolanie, sierżant odbezpieczył *Berettę*. Wystrzelił. Pistolet podskoczył. Opuścił lufę i raz za razem naciskał na spust. Boże, wyglądało to zupełnie inaczej niż na strzelnicy! Po czwartym wystrzale cel gwałtownie skręcił w prawo.

Wokół niego pękało szkło. Grady źle zareagował. Gdyby przycisnął hamulec, helikopter natychmiast wyskoczyłby przed niego, ale postąpił odwrotnie, starał się przyśpieszyć, a przy tej prędkości Jaguar ospale reagował na pedał gazu. Nagle poczuł, że lewe ramię staje mu w płomieniach! W obronnych odruchu zacisnął mięśnie, prawa ręka poszła do dołu, samochód skręcił i uderzył w stalową barierkę.

Widząc przynajmniej jeden celny strzał, Malloy ściągnął dźwizek i w kilka zaledwie sekund *Night Hawk* wzniósł się na sto metrów. Kiedy zerknął w dół dostrzegł kompletnie rozbitą, dymiącą samochód stojący nieruchomo pośrodku drogi.

— Zabieramy gościa? — spytał drugi pilot.

— A co myślałeś? — odparł Malloy i wzrokiem poszukał swojego worka. *Beretta* była tam, gdzie powinna być.

Harrison miękko posadził *Sikorsky*'ego niespełna dwadzieścia metrów od samochodu.

Pułkownik rozpiął pas i już miał wyskoczyć z maszyny, uprzedził go jednak Nance, który pierwszy znalazł się na ziemi i, zgrabiony, pod obracającym się wirnikiem nośnym pobiegł w kierunku samochodu. Pilot szedł tuż za nim.

— Ostrożnie! — krzyknął, zwalniając nieco. Zbliżył się do samochodu od lewej strony.

Szyby znikły, uszczelki przytrzymały zaledwie kilka odłamków szkła. Dostrzegł kierowcę, wprawdzie nadal oddychającego, ale poza tym nie zdradzającego żadnych oznak życia, przyciśniętego do oparcia fotela poduszką powietrzną. Szyba po prawej znikła także. Nance sięgnął do środka, wymacał klamkę i otworzył drzwiczki. Okazało się, że kierowca nie zapiął

pasów bezpieczeństwa i dało się go wyjąć bez większych problemów. Malloy dostrzegł leżący na tylnym siedzeniu rosyjski *AKMS*. Wziął go ostrożnie, zabezpieczył i obszedł samochód.

— O, kurwa! — powiedział wyraźnie zdumiony sierżant Nance. — Ten facet żyje! —

Nie potrafił zrozumieć, jakim cudem nie udało mu się go zastrzelić z czterech metrów.

Na terenie szpitala, przyczajony w furgonetce, Timothy O'Neil nie miał pojęcia, co właściwie powinien teraz zrobić. Chyba już wiedział, co zaszkoziło silnikowi. W szybie po lewej stronie ziała dwucentymetrowa dziura. Jakim cudem pocisk, który najwyraźniej wpadł

tamtędy do szoferki, minął jego głowę, pozostawało na razie tajemnicą. Jaguar Seana i jedna z ciężarówek znikły z parkingu. Czyżby Grady ich porzucił? Wszystko w ogóle działo się za szybko i bez żadnego ostrzeżenia. Dlaczego Sean nie zadzwonił, nie uprzedził go o tym, co zamierza zrobić? Dlaczego ich wspaniały plan rozleciał się? Pytania, owszem, były intrygujące, ale musiały poczekać na odpowiedź. Najważniejsze wydawało się w tej chwili to, że siedział w unieruchomionym samochodzie pośrodku parkingu, otoczony przez nieprzyjaciół. Ten stan rzeczy należało zmienić.

— *Lieber Gott!* — szepnął Weber. Jeden żołnierz Pierwszego Zespołu nie żył z pewnością, dostał w skroń. Czterech innych zostało rannych, z tego trzech w pierś. Niemiec znał

zasady pierwszej pomocy, zresztą nie trzeba było lekarza, by stwierdzić, że dwóch z nich wymaga natychmiastowej opieki lekarza. Wśród tej dwójki był też Alistair Stanley.

— Tu Weber. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy lekarskiej — nadał przez radio. —

Tęcza Pięc jest ciężko ranny!

Price słyszał wszystkie nadawane meldunki. Wraz z sierżantem Hankiem Pattersonem znajdował się w tej chwili trzydzieści metrów od brązowej furgonetki. Próbowali podejść ją, sami pozostając w ukryciu. Po lewej widział wielkiego sierżanta Julio Vegę z Tomlinsonem, po prawej miał Steve'a Lincolna, któremu towarzyszył Paddy Connolly.

— Drugi Zespół, tu Price. Mamy napastników w samochodzie. Nie wiemy, czy ktoś od nich nadal znajduje się w szpitalu. Vega i Tomlinson, macie to sprawdzić, tylko uważajcie, do cholery.

— Tu Vega. Potwierdzam, Eddie. Ruszamy.

Oso zawrócił, z Tomlinsonem jako wsparciem kierując się w stronę głównego wejścia.

Pozostała czwórka nie spuszczała wzroku z tej cholernej brązowej furgonetki. Dwaj sierżanci podchodzili do szpitalnych drzwi powoli, zaglądając do środka przez naroża okiem. Nie dostrzegli jednak nic oprócz niewielkiej grupki najwyraźniej zdezorientowanych ludzi. Sierżant Vega wymierzył palcem w swą imponującą pierś, a następnie wskazał na szpital. Tomlinson skinął głową. Wielki Latynos poruszał się niesamowicie szybko. Wskoczył do holu i błyskawicznie rozejrzał się dookoła. Parę osób krzykiem zareagowało na pojawienie się mężczyzny z bronią, choć wyglądał zupełnie inaczej niż ci poprzedni. Sierżant podniósł lewą dłoń uspokajającym gestem.

— Spokojnie, proszę państwa, ja należę do tych dobrych — powiedział. — Czy ktoś z was wie, gdzie są ci źli?

Odpowiedziały mu nic nie rozumiejące spojrzenia, dwoje pacjentów wskazało jednak na tył budynku, w kierunku izby przyjęć, co wydawało się zresztą całkiem sensowne. Sierżant ruszył więc ku podwójnym drzwiom prowadzącym do izby przyjęć.

— Hol czysty — nadał przez radio. — Chodź, George. — I dodał jeszcze: —

Dowództwo, tu Vega.

— Vega, tu Price.

— Hol w szpitalu czysty, Eddie. Mam tu ze dwudziestu cywilów, którymi trzeba byłoby się jakoś zająć.

— Nikogo ci nie podeślę, Oso. Mamy tu cholernie dużo roboty. Weber poinformował właśnie o poważnych stratach.

— Tu Franklin. Odebrałem. Mogę się ruszyć, jeśli chcecie.

— Franklin, tu Price, rusz się na zachód. Powtarzam, rusz się na zachód.

— Franklin, rozumiem, na zachód — potwierdził snajper. — Wykonuję.

— Miotaczem[8] to on już nie zostanie — zauważył Nance, ładując Grady'ego do *Night Hawka*.

— Jasna sprawa... chyba że jest mańkutom — potwierdził Malloy. — No, to chyba wracamy do szpitala. — Zapiął pasy i ujął drążek. Wzniesli się w powietrze i skierowali na wschód, w kierunku szpitala. Nance ciasno skrępował jeńca.

Co za cholerna rzeźnia, pomyślał Chavez. Kierowca Volvo nie żył, zmiażdżony między kierownicą i oparciem siedzenia. Oczy i usta miał otwarte, z ust nadal sączyła się krew. Ten, którego ciało wyrzucone zostało podczas wypadku, nie żył także, ale zginął odrobinę wcześniej, o czym świadczyły dwie rany postrzałowe twarzy. Pozostał im tylko klient z połamanymi nogami i poważnie poranioną twarzą. Nie był z bólu wyłączony dlatego, że był nieprzytomny.

— Niedźwiedź, tu Szóstka — powiedział do mikrofonu Clark.

— Niedźwiedź, słucham.

— Przyleć po nas, jeśli możesz. Mamy tu rannego, a poza tym chętnie wróciłbym do szpitala sprawdzić, co się tam, do cholery, dzieje.

— Jedna chwilka i już jestem. My także mamy na pokładzie rannego jeńca.

— Potwierdzam, Niedźwiedź. — Clark spojrział na zachód. *Night Hawk* był doskonale widoczny.

Dostrzegł, jak skręca i kieruje się prosto na nich.

Chavez i Mole wyciągnęli go na drogę. Wydawało się im straszne, że jego nogi zginają się pod tak nieprawdopodobnymi kątami, ale w końcu facet był przecież terrorystą, czym nie zasługiwał sobie na przesadne współczucie.

— Wracamy do szpitala? — spytał O'Neila jeden z jego ludzi.

— Będziemy tam jak w pułapce! — zaprotestował Sam Barry.

— To tu jesteśmy jak w pułapce — zauważył rozsądnie Jimmy Carr. — Musimy się ruszyć i to już!

O'Neil uznał, że ma to sens.

— Dobra — powiedział. — Otworzę drzwi, a wy biegnijcie do wyjścia. Gotowi?

Jego ludzie, kurczowo ściskający broń, skinęli głowami.

— Teraz — wychrypiał i otworzył przesuwane drzwi.

— O, cholera! — wymknęło się Pierce'owi, stojącemu na boisku piłkarskim bezpiecznie oddalonym od szpitala. — Napastnicy wieją z powrotem do szpitala. Naliczyłem pięciu.

— Potwierdzam, pięciu — rozległ się w słuchawce czyjś głos.

Vega i Tomlinson podchodzili właśnie do izby przyjęć. Widzieli już ludzi, choć nie podwójne, prowadzące na zewnątrz drzwi. Nagle usłyszeli krzyki. Vega zdjął hełm z kewlaru i ostrożnie wyjrzał zza rogu korytarza. Niech to szlag, zaklął w myślach, widząc faceta z *AKMS*, rozglądającego się po wnętrzu szpitala. Za nim stał jeszcze jeden, widoczny do połowy i wyglądający na parking. Oso omal nie wrzasnął, kiedy ktoś poklepał go po ramieniu, lecz, gdy odwrócił się, dostrzegł Franklina uzbrojonego tylko w *USP*. Snajper nie miał przy sobie swego monstrualnego karabinu wyborowego.

— Właśnie słyszałem, pięciu facetów?

— Tak — skinął głową Vega. Gestem nakazał Tomlinsonowi zająć stanowisko po drugiej stronie korytarza. — Zostajesz ze mną, Fred?

— Jasne, Oso. Pewnie załujesz, że nie masz ze sobą *M-60*, nie?

— Jasne, bracie. — Niemiecki *MP-10* może i był dobrą bronią, jemu jednak wydawał się teraz dziecinną zabawką.

Jeszcze raz zerknął za róg. Dostrzegł żonę Dinga. Wstała i patrzyła na terrorystów. Jasne, była w ciąży, biały fartuch opinał się na brzuchu. Z Chavezem znał się od niemal dziesięciu lat, nie dopuści, by jego żonie coś się stało. Cofnął się nieco i zaczął machać dłonią.

Doktor Patricia Clark Chavez kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła głowę i zobaczyła

wielkiego żołnierza w czarnym kombinezonie, przyzywającego ją gestami. Ruszyła powolutku w jego kierunku.

— Hej, ty, zatrzymaj się! — wrzasnął gniewnie Jimmy Carr, robiąc kilka kroków w jej stronę. Nie widział znajdującego się po jego lewej sierżanta George’a Tomlinsona, który właśnie wychylił zza rogu głowę i lufę *MP-10*. Vega machał teraz znacznie gwałtowniej, więc nie zatrzymała się. Carr zrobił jeszcze krok, uniósł broń...

Tomlinson dostrzegł go, złożył się do strzału i widząc, że terrorysta celuje do Patsy, łagodnie ściągnął spust, puszczając trzystrzałową serię.

Towarzysząca tym strzałom cisza była w jakiś sposób gorsza od hałasu. Patsy obejrzała się na faceta z bronią dokładnie w chwili, kiedy jego głowa rozleciała się na kawałki, bezgłośnie, chyba żeby za głos uznać cichy trzask doskonale wytłumionej broni i wilgotny plusk rozrywanej na strzępy czaszki. Tył głowy rozprysł się po ścianach. Najdonośniejszym w tej ciszy okazał się stukot *AKMS*, wypuszczonego z bezwładnej ręki i upadającego na podłogę.

— Tu, do mnie! — krzyknął Vega i Pat machinalnie wykonała jego polecenie, pochyliła się i pobięła w jego kierunku. Oso złapał ją za ramię, szarpnął nią niczym lalką i przewrócił.

Sierżant Franklin poderwał dziewczynę z podłogi i, trzymając ją na rękach, zupełnie jakby nic nie ważyła, pobięł wprost do głównego wejścia. Tam przekazał ją szpitalnemu ochroniarzowi i wrócił pędem do Oso.

— Franklin do dowództwa. Doktor Chavez jest bezpieczna. Doprowadziliśmy ją do głównego wyjścia. Przyślijcie tu kilku ludzi, dobra? I ewakuujcie tych cholernych cywilów, co?

— Price do oddziału, gdzie są nasi ludzie? Gdzie są napastnicy?

— Price, tu Vega, zostało tylko czterech napastników. George właśnie załatwił jednego z nich. Wciąż są w izbie przyjęć. Pani Clark chyba ciągle jest z nimi. Słyszemy hałas, są tam cywile. Zamknęliśmy im drogę ucieczki. Mam tu Tomlinsona i Franklina. Fred ma tylko pistolet.

Nieznana liczba zakładników, ale moim zdaniem zostało tylko czterech bandytów, odbiór.

— Muszę tam pójść — powiedział stanowczo mocno wstrząśnięty doktor Bellow.

Strzelano w końcu do ludzi, którzy znajdowali zaledwie parę metrów od niego. Alistair Stanley leżał na ziemi z raną postrzałową piersi, co najmniej jeden żołnierz Tęczy nie żył.

— Tędy. — Pierce poprowadził ich do wnętrza kompleksu szpitalnego. Pojawił się członek Pierwszego Zespołu i ruszył w wyznaczonym kierunku. Był nim Geoff Bates, jeden ze strzelców Covingtona. Tego dnia nie udało mu się jeszcze oddać ani jednego strzału.

Jakimś cudem śmierć Carra pozostała nie zauważona. Dopiero po chwili O’Neil odwrócił

się i zobaczył trupa, którego głowa wyglądała niczym łodyga krwistoczerwonego kwiatu o płatkach rozlanych na kafelkowej podłodze. Sytuacja najwyraźniej pogarszała się z każdą sekundą. Nadal miał przy sobie czterech uzbrojonych ludzi, ale nie był w stanie wyrzucić na korytarz, na którym czaili się bez wątpienia żołnierze SAS, odcinając mu jedyną drogę ucieczki.

Miał ośmiu cywilów, być może mógł ich użyć jako zakładników, ale stawka w tej grze była jasna dla każdej z uczestniczących w niej stron. Nie mam dokąd uciekać, powtarzał sobie, choć uczucia mówiły mu coś zupełnie innego niż intelekt. W końcu był przecież uzbrojony, nieprzyjaciół miał na wyciągnięcie ręki, jego świętym obowiązkiem było ich zabić, a jeśli już miał umrzeć, wołał umrzeć za Sprawę, której poświęcił całe życie, dla której, co bezustannie sobie powtarzał, gotów był zginąć. No i dobrze, dotarł do kresu drogi, śmierć była doprawdy bardzo blisko, nie taka, o jakiej myślał zasypiając w łóżku i nie mogąc doczekać się snu, nie taka jaką wyobrażał sobie w pubie popijając piwo i rozmawiając o przyjaciółach, którzy poświęcili życie za Irlandię. Teraz wreszcie stanął twarzą w twarz z niebezpieczeństwem i nadszedł czas, by udowodnić, że jego odwaga nie ograniczała się do gadania. Bardzo pragnął przekonać cały ten cholerny świat, że jest człowiekiem dotrzymującym wierności zasadom i wierze... Z drugiej strony chciał uciec do Irlandii, a nie umrzeć w tym bezsensownym angielskim szpitalu.

Sandy Clark obserwowała go z odległości zaledwie trzech metrów. Chłopak był całkiem przystojny i najprawdopodobniej odważny... Jak na przestępcę, przywołała się do porządku.

Pamiętała, jak mąż powtarzał jej wielokrotnie, że bohaterstwo to cecha znacznie częstsza od tchórzostwa, a to dlatego, że jeśli stchórzysz, musisz stawić czoło wstydu. Niebezpieczeństwu należało przeciwstawić się nie w pojedynkę, lecz w zbiorowości, a kto pragnie ujawnić swą słabość przed przyjaciółmi? Tak więc najbardziej bohaterskie wyczyny brały się ze strachu przed oskarżeniem o tchórzostwo. John, akceptując ten sposób myślenia, wydawał się jej cynikiem, ale przecież nim nie był. Czyżby więc miał rację?

W tym konkretnym przypadku miała do czynienia z bardzo młodym mężczyzną, trzymającym broń tak, jakby na całym wielkim świecie nie pozostał mu już nikt...

Instykt macierzyński powiedział Sandy, że jej córka i nie narodzony jeszcze wnuk są bezpieczni. Martwy terrorysta chciał zabić Patsy, lecz przecież był teraz martwy, leżał w kałuży krwi na szpitalnej podłodze, co oznaczało, że dziewczyna jest już bezpieczna. Nic lepszego nie mogło się jej dziś wydarzyć, więc zamknęła oczy i w myślach odmówiła dziękczynną modlitwę.

— Cześć, doktorku — uśmiechnął się szeroko sierżant Vega.

— Gdzie oni są? — zapytał Bellow.

Oso wyciągnął rękę.

— Za rogiem — powiedział. — Zdaje się, że jest ich czterech. George załatwił jednego z nich.

— Rozmawialiście z nimi?

— Nie.

— Doskonale. — Doktor Bellow odetchnął głęboko. — To ja, Paul! — krzyknął ile sił w płucach. — Czy jest tam gdzieś Timothy?

— Jestem.

— Nic ci nie jest? To znaczy, nie zostałeś ranny?

O'Neil otarł krew z twarzy, kawałki szkła z szyb furgonetki nieszkodliwie pocięły mu twarz.

— Nic nam nie jest — powiedział gniewnie. — A kim ty, do cholery, jesteś?

— Lekarzem. Nazywam się Paul Bellow. Z kim rozmawiam?

— Mam na imię Timothy i to ci powinno wystarczyć.

— Świetnie, doskonale. Timothy, nie wiem jak to powiedzieć, ale może przemyślałbyś sobie sytuację, dobrze?

— Przecież wiem, jak wygląda sytuacja — zabrzmiał bez wątpienia zdenerwowany głos.

Sytuację zaczęto, lepiej lub gorzej, lecz jednak opanowywać. Pojawiły się nawet karetki pogotowia i sanitariusze z bazy. Zaopiekowali się rannymi, którzy przewiezieni zostali do szpitala w bazie, gdzie czekali już na nich lekarze. Do pomocy Tęczy przydzielono również trzydziestu komandosów SAS. Pułkownik Malloy wylądował w bazie. Jego dwóch jeńców przewieziono do szpitala wojskowego, gdzie otrzymać mieli natychmiastową opiekę lekarską.

— Tim, chyba zdajesz sobie sprawę, że nie wydostaniesz się stąd — powiedział Bellow, najłagodniej jak tylko potrafił.

— Będę zabijał zakładników, póki nas nie puścicie — odparł O'Neil.

— Owszem, możesz spróbować, ale nam nie uciekniesz. Co chcesz osiągnąć zabijając ludzi, Tim?

— Wolność dla mojej ojczyzny!

— Ależ twoja ojczyzna zyskuje wolność w tej właśnie chwili. Toczą się rozmowy pokojowe. Czy znasz kraj, który osiągnął niepodległość mordując niewinnych ludzi? Co pomyślą sobie twoi krajanie, kiedy dowiedzą się, że zamordowałeś zakładników?

— Walczymy o wolność!

— Doskonale, jesteście żołnierzami walczącymi o wolność swego kraju — zgodził się natychmiast psychiatra. — Tylko że żołnierze, prawdziwi żołnierze, nie mordują cywilów.

Doszło dziś do wymiany ognia, byli zabici, ale przecież nie było to morderstwo. Zabijanie niewinnych cywilów jest jednak morderstwem, Tim. I wiem, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Twoi zakładnicy nie są uzbrojeni, prawda? A może noszą mundury?

— Nie noszą i co z tego? Są wrogami mej ojczyzny!

— Dlaczego zaraz mają być wrogami, Tim? Gdzie się urodzili? Czy ktokolwiek z nich wystąpił kiedykolwiek przeciwko tobie? Czy którykolwiek wystąpił przeciwko twojemu krajowi?

Może należałoby ich o to zapytać?

O'Neil potrząsnął głową. Wiadomo, o co im chodziło: wyłącznie o to, żeby się poddał.

Spojrzał na towarzyszy. Ale jego ludzie nie patrzyli sobie w oczy. Wpadli w pułapkę i wszyscy o tym wiedzieli. Opierali się teraz siłą woli raczej niż siłą zbrojną, a wola słabła im powoli, choć żaden jeszcze nie wypowiedział głośno swych wątpliwości. Wątpili jednak i nawet nie próbowali tego ukrywać.

— Macie podstawić nam autobus!

— A dokąd pojedziecie tym autobusem?

— Macie nam dać autobus! — wrzasnął O'Neil.

— W porządku, mogę pogadać o tym z różnymi ludźmi, ale oni będą chcieli wiedzieć, dokąd ma pojechać autobus, przecież policja musi choćby oczyścić wam drogę. — Bellow mówił

spokojnie, w jego głosie nie było nawet śladu napięcia. W końcu była to tylko kwestia czasu. Tim

— warto byłoby wiedzieć, czy podał prawdziwe imię, choć doktor był prawie pewien, że tak —

w ogóle nie mówił o zabijaniu, nie zagroził nawet śmiercią zakładników, nie podał terminu spełnienia żądań, nie wyrzucił przed próg martwego ciała. Tim nie był zapewne zabójcą, a z całą pewnością nie był mordercą. Uważał się za żołnierza, a żołnierz to nie przestępca — dla terrorysty rozróżnienie to miało ogromną wagę. Nie bał się śmierci, lecz wyłącznie porażki oraz

— oczywiście — przejścia do historii jako zabójca niewinnych. Życie żołnierzy to jedno, życie kobiet i dzieci mierzy się zupełnie inną miarą. Słabością większości ludzi zawsze jest dbałość o własny wizerunek. Z tymi, którzy dbają o to, co pomyślą o nich inni, z tymi, którzy podczas golenia patrzą w lustro — z nimi zawsze można rozmawiać. Pozostawała tylko kwestia czasu.

Nie byli to zwykli fanatycy. Dawalo się ich zmęczyć. — Aha, jeszcze jedna sprawa, Tim.

— Jaka sprawa?

— Zrobiłbyś coś dla mnie?

— Co takiego?

— Mógłbyś może upewnić mnie, że zakładnikom nic się nie stało? Ja też mam nad sobą szefów, wiesz? Może dałoby się przyjść, zobaczyć...

O'Neil zawahał się.

— Tim, daj spokój — mówił dalej Bellow. — Ty musisz zrobić to, ja muszę zrobić tamto, rozumiesz? Jestem lekarzem. Nie noszę broni. — Powtarzanie, że nie mają się czego bać, że boją się niepotrzebnie, przynosiło na ogół dobre skutki. Nie odpowiedzieli mu natychmiast, a to oznaczało, że rzeczywiście są przestraszeni... Co oznaczało z kolei, że ten Tim myśli, co dla psychiatry Tęczy było miłą niespodzianką.

— Nie! Tim, nie! — krzyknął Peter Barry. — Nic mu nie dawaj!

— Tylko jak się stąd wydostaniemy, skąd dostaniemy autobus, jeśli czegoś im nie damy?

— Tim spojrzał na pozostałą trójkę. Sam Barry skinął głową. Dan McCorley także. — Dobra! — zawołał. — Możesz podejść.

— Dzięki. — Bellow poszukał wzrokiem Vega, najstarszego stopniem żołnierza w okolicy.

— Uważaj pan na tyłek, doktoru — powiedział Vega. Nie uzbrojony facet dobrowolnie wchodzący w gniazdo węży... Inaczej przywykł oceniać ludzką inteligencję. Z drugiej strony doktorek to chłop z jajami, pomyślał.

— Będę uważał — zapewnił go Paul Bellow. Wziął głęboki oddech, zrobił trzy kroki, dzięki którym znalazł się na zakręcie korytarza i znikł z oczu żołnierzy Tęczy.

Zawsze wydawało mu się to dziwne, nawet komiczne, że bezpieczeństwo od niebezpieczeństwa dzieliło na ogół zaledwie kilka kroków... i może jeszcze zakręt korytarza.

Rozejrzał się dookoła z prawdziwym zainteresowaniem. Nieczęsto spotykał się z przestępcami w tych okolicznościach. I dobrze, że oni byli uzbrojeni, on zaś bezbronny.

Potrzebują przecież uczucia pewności płynącego z samego faktu posiadania broni, by zapomnieć, przynajmniej na chwilę, że to oni złapani zostali w pułapkę.

— Jesteś ranny — powiedział, gdy tylko dostrzegł Tima.

— Nic wielkiego, zwykle zadrapania.

— Chcesz może, żeby ktoś się tobą zajął?

— To nic wielkiego — powtórzył Tim O'Neil.

— Doskonale, to twoja twarz, nie moja. — Bellow rozejrzał się dookoła, policzył terrorystów. Było ich czterech, uzbrojonych w *AKMS*, o ile pamięć go nie myliła. Rozpoznał

Sandy Clark. Zakładników naliczył ośmioro, bardzo przestraszonych, ale czy można było spodziewać się po nich czegoś innego? — Powiedz, Tim, czego tak naprawdę chcesz?

— Autobusu, i to zaraz.

— Dobrze, to może nawet da się zrobić, ale potrzebujemy czasu, trzeba to wszystko zorganizować, a poza tym rozumiesz, daj coś w zamian.

— Co takiego?

— Na przykład zwolnij paru zakładników.

— Mamy ich tylko ośmiu!

— Tim, słuchaj, ja też mam nad sobą szefów, takich na przykład, którzy mogą załatwić ci autobus, ale muszę coś im dać, bo inaczej oni nie dadzą mi nic, co mógłbym dać wam. W taką gramy grę, Tim. — Bellow nadal zachowywał spokój. — Każda gra rządzi się swoimi regułami.

Stary, przecież wiesz o tym lepiej niż ja.

— No i...?

— No i jako znak dobrej woli daj mi paru zakładników, najlepiej kobiety i dzieci, to zawsze fajnie wygląda w telewizji. — Doktor jeszcze raz przyjrzał się zakładnikom. Czterech mężczyzn, cztery kobiety. Dobrze byłoby wyrwać im Sandy Clark.

— A potem?

— A potem powiem szefom, że chcesz autobusu i okazałeś dobrą wolę. Mam cię wobec nich reprezentować, prawda?

— Pewnie jeszcze jesteś po naszej stronie — powiedział ktoś. Dopiero teraz doktor Bellow dostrzegł, że wśród terrorystów są bliźniacy, najwyraźniej nie odstępujący się na krok.

Bliźniacy-terroryści. Ciekawy przypadek kliniczny.

— Nie, tego bym nie powiedział. Słuchajcie, nie mam zamiaru traktować was jak durniów. Lepiej

ode mnie wiecie, w jakiej znaleźliście się sytuacji. Ale jeśli czegoś chcecie, to lepiej zacznijcie się targować. Takie są zasady gry, nie ja je zresztą wymyśliłem. Jestem tylko pośrednikiem. Jeśli potrzeba wam czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć, to bardzo dobrze, będę pod ręką.

— Dajcie nam autobus.

— W zamian za co?

— Dwie kobiety. Tę i tę.

— Mogą pójść ze mną? — spytał doktor. Tim, cud nad cuda, wskazał na Sandy Clark.

Okoliczności najwyraźniej go przerosły i to też mogło się obrócić na korzyść negocjatora.

— Dobra, ale załatw nam ten cholerny autobus!

— Zrobię co w mojej mocy — obiecał psychiatra, dając znak dwom kobietom, by poszły za nim.

— Miło znów pana zobaczyć, doktoru — powiedział spokojnie Vega. — Hej, świetnie się pan spisał — dodał natychmiast, widząc dwie uwolnione zakładniczki. — Miło mi panią zobaczyć, pani Clark. Jestem Julio Vega — zakończył szarmancko.

— Mamo! — Patsy Clark nie wytrzymała w bezpiecznym miejscu. Wyskoczyła i rzuciła się matce na szyję. W tym momencie dwaj żołnierze SAS, którzy właśnie pojawili się na miejscu, wyprowadzili kobiety z terenu zagrożenia.

— Vega do dowództwa.

— Price do Vegi.

— Powiedz Szóstce, że jego żona i córka są bezpieczne.

John, mając obok siebie Chaveza, siedział w mikrobusie, niczego nie pragnąc tak jak przejęcia dowództwa. Obaj usłyszeli podany przez radio komunikat. Obaj drgnęli, obaj odczuli ulgę. Tylko że terroryści mieli jeszcze szóstkę zakładników.

— Tu Clark, przyjąłem, jak wygląda sytuacja?

Vega przekazał radio doktorowi Bellowowi.

— John, tu Paul.

— Co tam się właściwie dzieje, doktorze?

— Daj mi parę godzin i dostarczę ci ich elegancko zapakowanych, John. Wiedzą, że wpadli w

pułapkę. Wystarczy, że będziemy z nimi rozmawiali. Jest ich czterech, wszyscy koło trzydziestki, wszyscy uzbrojeni. Mają sześcioro zakładników. Ale rozmawiałem z ich przywódcą i ten chłopak da się urobić.

— Doskonale, będziemy na miejscu za dziesięć minut. Czego chcą?

— Tego co zwykle. Autobusu, żeby ich gdzieś zabrał.

Clark zastanawiał się przez chwilę. Gdyby wyszli, jego ludzie załatwią ich bez problemu.

Cztery strzały. Dziecko by sobie poradziło.

— Damy im ten autobus? — spytał.

— Na razie nie. Niech trochę poczekają.

— Dobra, doktorze, to pańska działka. Dowiem się więcej, kiedy przyjadę na miejsce. Do zobaczenia. Koniec.

— Do zobaczenia. — Lekarz oddał radio sierżantowi. Na ścianie wisiał plan piętra szpitala. — Zakładnicy są tutaj — pokazał. — Terrorysty tu i tu. Widziałem bliźniaków, wszyscy są biali, po trzydziestce, uzbrojeni w *Kalasznikowy* ze składaną kolbą.

Vega skinął głową.

— Świetnie. Gdyby przyszło nam zaatakować...

— Nie przyjdzie. A przynajmniej nie widzę takiej konieczności. Ich przywódca nie jest mordercą, a przynajmniej nie uważa się za mordercę.

— Skoro pan tak twierdzi. — Vega nie sprawiał wrażenia przekonanego. Dobrze przynajmniej, że w każdej chwili mogą rzucić kilka granatów obezwładniających, wejść i załatwić tych czterech sukinsynów... Ryzykowałiby jednak życiem zakładników, a ich życie należy przecież chronić przede wszystkim. Łatwo przyszło mu przedtem zlekceważyć lekarza, który przecież miał jaja, by stanąć przeciw czterem uzbrojonym facetom, rozmawiać z nimi i jeszcze przy okazji uwolnić panią Clark. Obejrzał się. Stało za nim sześciu żołnierzy SAS. Paddy Connolly był gdzieś tam, na zewnątrz, z plecakiem pełnym materiałów wybuchowych, szpital został odizolowany, sytuację mieli pod kontrolą.

Dopiero teraz sierżant Vega odrobinę się odprężył.

— Cześć, Sean — powiedział Bill Tawney, rozpoznając twarz rannego leżącego na łóżku w szpitalu bazy w Hereford. — Musisz przyznać, że to nie był twój dzień.

Terrorysty unieruchomiono ramię, wymagające zresztą operacji. Dostał dwie kule, z których jedna strzaskała kość ramieniową. Cierpiał, choć zaledwie dziesięć minut wcześniej podano mu środki przeciwbólowe. Otworzył oczy i pierwsze, co dostrzegł, to Anglik w krawacie.

Wziął go za policjanta i milczał.

— Wybrałeś sobie dziś do zabawy niewłaściwą piaskownicę — ciągnął Tawney. — Aha, żeby uniknąć nieporozumień, jesteś w tej chwili w szpitalu bazy w Hereford. Jeszcze sobie pogadamy. — Na tym skończyła się rozmowa. Chirurg ortopeda miał teraz zająć się zranionym ramieniem. Pacjent dostał narkozę i zaczęto przygotowywać go do operacji. Tawney poszedł

porozmawiać z jednym z terrorystów, który wyszedł z życiem z wypadku ciężarówki.

Wesoły dzień nam nastał, pomyślał. Dwa rozbite samochody blokowały autostradę, policji ściągnięto tyle, że sama następowała sobie na nogi, a przecież w okolicy był jeszcze SAS i żołnierze Tęczy. Z Londynu już jechali na miejsce ludzie z Piątki i Szóstki, gotowi udowodniać wszystkim na raz i każdemu z osobna, że oni są tu najważniejsi, co mogło wywołać pewne problemy, jako że status Tęczy regulowała pisemna umowa między rządami Stanów Zjednoczonych i Anglii, nie uwzględniająca jednak bieżącej sytuacji, a więc należało spodziewać się również przyjazdu szefa placówki CIA w Londynie. Zdaniem Tawneya ten ostatni miał zostać w końcu szefem tego szczególnego cyrku — jeśli z dobrym skutkiem użyje bicia, cylindra i noży.

Nie było mu jednak do śmiechu. Dwaj żołnierze Tęczy zginęli, czterech zostało rannych i leżało w tej chwili w tym samym szpitalu co Grady. Znał tych ludzi, pamiętał ich twarze, a dwóch z nich nigdy już nie zobaczy. Z drugiej strony Sean Grady, najgorszy chyba ekstremista z PIRA, trafił wreszcie pod opiekę rządu Jej Królewskiej Mości i miał pod tą opieką pozostać na bardzo długie lata. Grady dysponował z pewnością nieprzebranym bogactwem informacji...

Trzeba je będzie jakoś z niego wyciągnąć.

— Gdzie ten cholerny autobus?

— Tim, rozmawiałem z przełożonymi. Właśnie się nad tym zastanawiają.

— A nad czym tu się zastanawiać?

— Sam odpowiedz sobie na to pytanie. Mówimy przecież o urzędnikach, biurokratach, a oni nie robią nic, nim nie zadbają o własny tyłek.

— Paul, mam tu sześciu zakładników i...

— Owszem, masz, ale przecież nic im nie zrobisz, prawda? Tim, przecież wiesz, że jeśli komuś coś się stanie, zaatakują żołnierze, co zakończy sprawę, a ty na zawsze pozostaniesz w pamięci ludzi jako zwykły morderca. Tego chcesz? Naprawdę tego chcesz? — Paul Bellow zamilkł na chwilę. — A co z waszymi rodzinami? — mówił dalej. — Cholera, jaki obraz waszego ruchu wyrobiją sobie ludzie? Ciężko usprawiedliwić zabijanie niewinnych, prawda?

Pamiętaj, nie jesteście przecież muzułmańskimi fundamentalistami, tylko chrześcijanami, a chrześcijanie tak nie postępują. Nikogo nie zabijesz, Tim, bo jeśli zabijesz, zginiesz, a wraz z tobą

zginą też twe polityczne ideały. Aha, tak przy okazji, mamy Seana Grady'ego. Żywego. —

Psychiatra uznał, że nadeszła właściwa chwila, by o tym wspomnieć.

— Co? — Jego rozmówcą najwyraźniej wstrząsnęła ta informacja.

— Zatrzymaliśmy go podczas ucieczki. Został postrzelony, ale przeżyje. Właśnie jest operowany.

To przypomina przekłuwanie balonu na raty, pomyślał. Z przeciwnika uszła właśnie kolejna porcja powietrza. Byle nie przesadzić, postępować krok po kroku. Byle nie spowodować gwałtownej reakcji, lecz grać na zmęczenie i masz ich w garści. Doktor Bellow napisał na ten temat książkę. Po pierwsze, kontrola fizyczna, co oznaczało zatrzymanie terrorystów w określonym miejscu, bez możliwości ucieczki. Po drugie, kontrola informacyjna, czyli podawanie im wyłącznie wybranych informacji, jednej za drugą, reżyserując to tak dokładnie jak musical na Broadwayu. I już się ich ma.

— Zwolnicie Seana. Pojedzie z nami autobusem.

— Tim, Sean leży w tej chwili na stole operacyjnym i będzie na nim leżał przez kilka następnych godzin. Nie można go ruszyć, to by zagrażało jego życiu. Sean mógłby od tego umrzeć, Tim. Rozumiem, chciałbyś mieć go przy sobie, ale to po prostu niemożliwe.

Niewykonalne. Przykro mi, ale nikt nic na to nie poradzi.

Sean więźniem? — myślał O'Neil. Sean pojmany żywcem? Dziwne, ale bardziej przejął

się tym, niż sytuacją, w jakiej się znalazł. Powiedzmy, że zostanie aresztowany. Sean z pewnością jakoś wyciągnąłby go z więzienia, ale przecież nie wtedy, jeśli go zamkną na wyspie Wight. Czyżby wszystko się skończyło?

— Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

— Tim, przecież dobrze wiesz, że w takiej sytuacji nie mogę kłamać. Kłamstwo wszystko by spieprzyło. Trudno jest kłamać przekonująco, a gdybyś mnie przyłapał, nigdy już byś mi nie uwierzył, prawda? Przestałbym być przydatny nie tylko tobie, ale i szefom. — Bellow przemawiał spokojnie, przekonująco.

— Jesteś lekarzem, tak?

— Owszem.

— Gdzie praktykujesz?

— Tutaj, ale specjalizację robiłem na Harvardzie. Pracowałem w czterech szpitalach i trochę uczyłem.

— I twoim zadaniem jest skłanianie takich jak ja, żeby się poddali. — O’Neil zrozumiał

wreszcie, że jest to nieuniknione, i zareagował wybuchem gniewu.

Bellow tylko pokręcił głową.

— Nie — tłumaczył, nie podnosząc głosu. — Moim zadaniem jest ratowanie życia.

Jestem lekarzem, Tim. Nie wolno mi ani zabijać ludzi, ani pomagać w ich zabijaniu. Dawno temu składałem nawet odpowiednią przysięgę. Stoicie naprzeciw uzbrojonych żołnierzy i sami jesteście uzbrojeni. Nie chcę, żeby ktoś zginął. Za wiele było dziś śmierci. Lubisz zabijanie, Tim?

— Nie, oczywiście że nie. Kto lubi zabijać?

— Są tacy, którzy to lubią. — Psychiatra uznał, że nadszedł czas, by podbudować nieco ego chłopaka. — Nazywamy ich socjopatami, ale ciebie to przecież nie dotyczy. Ty jesteś żołnierzem. Walczysz o coś, w co głęboko wierzysz. Ci tu żołnierze także. — Bellow gestem wskazał ludzi z Tęczy. — Oni cię szanują i mam nadzieję, że ty szanujesz ich. Żołnierze nie mordują ludzi. Nie są przestępcami, mordercami. — Była to, oczywiście, prawda, a także, co ważniejsze, bardzo istotna informacja. Tym istotniejsza, że terroryści uważali się za romantyków i określenie „przestępca” głęboko raniło ich dumę. Podczas rozmowy negocjator budował w nich właśnie obraz romantyków, zapobiegając temu, co przecież mogli zrobić. Powtarzał raz za razem, że są żołnierzami, a nie przestępcami, więc mają postępować jak żołnierze, a nie jak przestępcy.

— Doktorze Bellow! — zawołał ktoś. — Telefon do pana.

— Tim, mogę odebrać? — Zwracanie się z prośbą o pozwolenie na zrobienie czegoś, umacniało terrorystów w przekonaniu, że to oni rządzą, zawsze się opłacało.

— Jasne. — Tim O’Neil machnął ręką i doktor znikł za rogiem korytarza.

Czekał już tam na niego John Clark. Odeszli kilkanaście metrów dalej, do innej części szpitala.

— Paul, dziękuję, że wyciągnąłeś z tego moją żonę i córkę.

Lekarz tylko wzruszył ramionami.

— Po prostu miałem szczęście — wyjaśnił. — Rzeczywistość przerosła tego chłopaka.

Nie myśli jasno. Chcą autobusu.

— Już mi o tym powiedziałeś. Mamy im go dać?

— Nie będzie takiej konieczności. Gramy w pokera, John, a ja mam dużego strita.

Oczywiście, coś zawsze może się spieprzyć, ale na razie w pełni kontrolujemy sytuację.

— Noonan był na zewnątrz. Mamy mikrofon w oknie. Słyszałem, co im mówiłeś. Nieźle ci idzie, doktorze.

— Dzięki. — Bellow przetarł twarz. Dopiero teraz, tutaj, mógł ujawnić napięcie, wobec Tima musiał grać twardego, zimnego jak lód faceta, mądrego nauczyciela. — Co z resztą terrorystów?

— Bez zmian. Grady jest właśnie operowany. Twierdzą, że zajmie im to kilka godzin.

Ten drugi nie odzyskał przytomności, nie wiemy, kim jest i jak się nazywa.

— Grady nimi dowodził?

— Naszym zdaniem tak. Pasuje to do zgromadzonych przez nas informacji.

— Więc może nam wiele powiedzieć. Powinienem być z wami, kiedy wyjedzie z sali operacyjnej.

— Najpierw musisz skończyć tę sprawę.

— Wiem. Wracam.

John Clark pożegnał go klepieniem w ramię i doktor wrócił do terrorystów.

— No i co? — spytał go Timothy.

— Cóż, na razie nie podjęli jeszcze decyzji w sprawie autobusu. Bardzo mi przykro. —

Paul Bellow przekonująco udawał przygnębionego. — A już zdawało mi się, że ich przekonałem.

— Jeśli nie dostaniemy autobusu, zabijemy...

— Nikogo nie zabijesz, Tim. Ty o tym wiesz, ja o tym wiem i oni o tym wiedzą.

— To niby czemu mieliby nam dać autobus?! — O'Neil wyraźnie tracił panowanie nad sobą.

— Ponieważ powiedziałem im, że mówisz poważnie i powinieneś być traktowany poważnie. Może i nie wiedzą, na co cię stać, ale doskonale zdają sobie sprawę, co możesz zrobić, a gdybyś to zrobił, ich szefowi mieliby do nich pretensje. — Tim O'Neil potrząsnął głową, nie do końca pojmując logikę tego wyводу. Sprawiał wrażenie bardziej zaskoczonego niż rozgniewanego. — Zaufaj mi — przyciskał lekarz. — Łatwiej jest negocjować z żołnierzami takimi jak ty, niż z tymi cholernymi urzędnikami. Ty umiesz podejmować decyzje. Urzędnicy unikają podejmowania decyzji, jeśli tylko mogą. Mają w nosie to, czy ktoś zginie, czy nie, po prostu nie chcą, żeby obsmarowały ich gazety.

W tym momencie zaszło coś pocieszającego. Tim wyjął z kieszeni papierosa i zapalił.

Walczył z napięciem, starał się je jakoś kontrolować.

— Palenie szkodzi, chłopcze — zauważył Clark, oglądając tę scenę z kamery, którą zainstalował Noonan w oknie. Plan ataku został już opracowany w najdrobniejszych szczegółach.

Connolly podłączył ładunki do okien — miały zarówno utorować im drogę, jak i odwrócić uwagę terrorystów. Zadaniem Vegi, Tomlinsona i Batesa było unieszkodliwienie terrorystów po użyciu granatów obezwładniających. Plan ten miał jedną słabą stronę, jak zresztą wszystkie tego typu plany: jeden z terrorystów mógł przecież ostrzelać zakładników i, niezależnie od tego, czy byłby to przypadek, czy jego ostatni świadomy akt, zakładnicy by zginęli. Na razie wyglądało na to, że Bellow nieźle sobie radzi. Jeśli ci faceci mieli choć trochę oleju w głowie, powinni teraz zrezygnować, no ale — uświadomił sobie John — skoro ja sam nie widzę siebie w więzieniu, oni też zapewne nie uznają tej możliwości za szczególnie atrakcyjną. W każdym razie cierpiał w tej chwili wyłącznie na nadmiar żołnierzy. Cała kompania SAS pojawiła się w punkcie dowodzenia na czele z pułkownikiem, który kibicował im teraz w szpitalnym holu.

— Wszyscy mieliśmy ciężki dzień, co, Tim? — spytał doktor Bellow.

— Bywały milsze — zgodził się Timothy O’Neil.

— Przecież wiesz, jak to się musi skończyć. — Psychiatra rzucił smakowitą muszkę pstrągowi. Ciekawe, czy ją połknie.

— Owszem, doktorze, wiem. — Chwila milczenia. — Ani razu dziś nie wystrzeliłem.

Nikogo nie zabiłem. Jimmy, owszem. — O’Neil wskazał na leżące na podłodze zwłoki. — On, tak. My, nie.

Wygrałem, pomyślał Bellow.

— To też się liczy, Tim — powiedział spokojnie. — Powiedziałbym nawet, że to najważniejsze. Wojna w Irlandii wkrótce się skończy. Politycy spotkają się i zawrą pokój. A to oznacza amnestię dla większości żołnierzy. Dla ciebie... Dla was — zwrócił się bezpośrednio do pozostałej trójki. Oni też obserwowali go, słuchali... I również wahali się, jak ich przywódca. Ich też trzeba było przekonać, że wszystko stracone. Otoczono ich, ujęto dowódcę, mieli przed sobą prosty wybór: umierają lub idą do więzienia. Ucieczki jako realnego rozwiązania nawet nie rozpatrywali — wiedzieli, że jeśli spróbują przejść z zakładnikami do autobusu, zginą równie pewnie jak zostając na miejscu, tyle że inaczej.

— Tim?

— Tak? — Chłopak głęboko zaciągnął się papierosem.

— Jeśli położycie teraz broń na podłodze, macie moje słowo, że nic wam się nie stanie.

— Tylko pójdziemy siedzieć? — W głosie O’Neila brzmiał gniew.

— Tim, z więzienia kiedyś się wychodzi. A śmierć jest nieodwracalna. Przemysł to sobie.

Na litość boską, jestem lekarzem — to warto było podkreślić jeszcze raz — i nie cieszy mnie widok zwłok.

Timothy O’Neil spojrział na towarzyszy broni. Stali, patrząc w podłogę, nawet bliźniacy Barry nie sprawiali wrażenia szczególnie bojowo nastawionych.

— Jeśli dzisiaj nic nikomu nie zrobiliście to, owszem, pójdziecie do więzienia, ale pewnego dnia uchwalona zostanie amnestia, więc wyjdziecie na wolność. Albo to, albo zginiecie bez sensu. Bo przecież nie dla ojczyzny. Zabójcy cywilów nie zostają bohaterami. — Musiał to powtarzać, raz za razem. — Zabijanie innych żołnierzy owszem, ale nie mordowanie niewinnych. Zginiecie bez sensu albo będziecie żyć i pewnego dnia wyjdziecie na wolność. Wy decydujecie. Wy macie broń. Ale autobusu nie dostaniecie. Nie uciekniecie. Jasne, macie sześcioro zakładników, możecie ich zabić, ale co na tym zyskacie oprócz biletu w jedną stronę do piekła? Daj sobie spokój, Timothy — zakończył, zastanawiając się przelotnie, czy może kiedyś jakaś zakonnica w katolickiej szkole zwracała się do niego pełnym imieniem.

O’Neilowi niełatwo było podjąć decyzję. Bał się zamknięcia w klatce jak zwierzę w zoo, bał się towarzystwa pospolitych przestępców, bał się odwiedzin rodziny. Wiedział, że w więzieniu może spędzić całe lata i choć wyżej cenił bohaterską śmierć z bronią w ręku, wiedział

przecież, że ten amerykański doktor mówi prawdę. Zabicie szóstki angielskich cywilów nie przysporzyłoby mu chwały. O tym nikt nie napisałby pieśni, za to nie wznoszono by kufli w pubach Ulsteru. Mógł tylko umrzeć w niesławie, a życie, każde życie, nawet w więzieniu, było lepsze od takiej śmierci.

Timothy Dennis O’Neil spojrział na swych żołnierzy i dostrzegł w ich twarzach to, co oni dostrzegli w jego twarzy. Niemal jednocześnie wszyscy skinęli głowami. Tim zabezpieczył

AKMS i położył go na podłodze. Reszta poszła jego śladem.

Paul Bellow podszedł i uściskał im dłonie.

— Szóstka do Vega, wchodźcie — rozkazał Clark, który widział co się działo na małym, czarno-białym monitorze.

Oso Vega wypadł zza rogu, ściskając w dłoniach *MP-10*. Tu są, stoją z doktorem.

Tomlinson i Bates pchnęli ich na ścianę, ale niezbyt brutalnie. Jeden ich pilnował, drugi przeszukiwał. Po chwili pojawili się dwaj umundurowani policjanci z kajdankami i ku zdumieniu żołnierzy Tęczy odczytali Irlandczykom ich prawa!

Po burzy

Dla doktora Bellowa dzień jeszcze się jednak nie skończył. Nie zdążył nawet napić się wody, tylko natychmiast wskoczył do zielonej wojskowej furgonetki i pojechał do Hereford. Ci, których pozostawił w szpitalu, także mieli jeszcze przed sobą długi dzień.

— Cześć, mała — powiedział Ding. Znalazł żonę przed szpitalem, otoczoną przez żołnierzy SAS. Gdy go zobaczyła, podbiegła i przytuliła się do niego tak mocno, jak tylko pozwalał na to jej wielki brzuch. — Nic ci nie jest?

Pokręciła głową. W oczach miała łzy.

— Co z tobą? — spytała.

— Wszystko w porządku. Przez moment było ciekawie, kilku z naszych oberwało, ale w tej chwili panujemy już nad sytuacją.

— Terrorysta... Ktoś go zabił i ja...

— Wiem, kochanie. Celował do ciebie i dlatego musiał zginąć. — Chavez zapisał sobie w pamięci, że sierżant Tomlinson ma u niego za ten strzał duże piwo. Kiepska to nagroda, ale w społeczności żołnierzy długi spłacało się w ten właśnie sposób. Na razie jednak o niczym nie chciał myśleć, wystarczyło mu, że trzyma żonę w objęciach. W oczach miał łzy. Zamrugał, nim spłynęły na policzki. To nie po męsku, a on wyznawał przecież kult *machismo*. Obawiał się, jak wpłyną na samopoczucie żony wydarzenia tego dnia. W końcu jej życiową misją było leczyć, nie zabijać, a przed chwilą oglądała śmierć z tak bliska. Sukinsyny, pomyślał o terrorystach. Wleźli mu w prywatne życie, zaatakowali cywilów, zabili przyjaciół. Ktoś udzielił im informacji, dzięki którym byli w stanie dokonać tego wszystkiego. Gdzieś był przeciek, bardzo poważny przeciek i teraz przede wszystkim trzeba było go załatać.

— Jak tam mały? — spytał.

— Wszystko w porządku. Naprawdę nic mi się nie stało.

— To świetnie, kochanie. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, ty wracasz do domu.

— Przywołał gestem jednego z żołnierzy SAS. — Zabierzcie ją do bazy, dobrze? — poprosił.

— Tak jest — odparł natychmiast brytyjski sierżant.

Na parkingu zobaczyli Sandy i Johna, także tulących się do siebie i także trzymających się za ręce. Postanowili, że najlepiej będzie, jeśli panie pojedą do domu Clarków. Mieli ich strzec oficer i sierżant SAS: drzwi do stajni zamykało się po ucieczce konia — jak zwykle. Cóż, taka już jest natura ludzka i nic nie można na to poradzić.

Samochód SAS odjechał w eskorcie policyjnego radiowozu.

— A my co, panie C? — spytał Ding.

— Naszych przyjaciół zabrano do szpitala w bazie. Paul już tam pewnie jest. Chce przesłuchać przywódcę, Grady'ego, gdy tylko wywiozą go z sali operacyjnej. Myślę, że powinniśmy być w pobliżu.

— Jasne, John. No to w drogę.

Popow dojeżdżał do Londynu, słuchając samochodowego radia. Ktokolwiek informował dziennikarzy, wiedział i mówił za dużo. Usłyszał wiadomość, że przywódca terrorystów z IRA został wzięty do niewoli. Krew ścięła mu się w żyłach. Mieli Grady'ego, a Grady znał go przecież, znał jego nazwisko, wiedział o przelewie, w ogóle wiedział cholernie dużo. Nie czas było popadać w panikę, ale należało zrobić coś, i to zaraz.

Spojrzał na zegarek. Banki były jeszcze otwarte. Z telefonu komórkowego zadzwonił do Berna. Odpowiedniego urzędnika natychmiast przywołano do telefonu. Podał mu numer konta —

komputer w Szwajcarii wyświetlił właściwe dane, kod został przyjęty (na szczęście był właściwy dzień) — i poprosił o przelanie sumy na inne konto. Urzędnik nie poskarżył się nawet, że jego bank traci tak okrągłą sumkę, szwajcarskiego banku parę milionów dolarów przecież nie zrukuje, a tymczasem on wzbogacił się w krótkim czasie o pięć milionów. Gorzej, że przeciwnik mógł wkrótce poznać jego nazwisko i rysopis. Trzeba natychmiast opuścić Anglię.

Zjechał z autostrady i podjechał pod czwarty terminal lotniska Heathrow. W dziesięć minut oddał wypożyczony samochód i wykupił ostatni bilet pierwszej klasy na lot British Airways do Chicago. Musiał się mocno śpieszyć, ale zdążył na samolot, śliczna stewardesa zaprowadziła go na miejsce i *Boeing* wystartował do lotu przez ocean.

— Kiepsko im to wyszło — zauważył John Brightling, wyłączając dźwięk w telewizorze.

Dosłownie każde wiadomości na każdym kanale zaczynały się od Hereford.

— Mieli pecha — stwierdził spokojnie Henriksen. — Ale ci komandosi rzeczywiście są dobrzy i umieją wykorzystać każdą nadarzącą się szansę. Cholera jasna, padło ich czterech lub pięciu. Nikt jeszcze nie wyciął takiego numeru elitarnym jednostkom.

Brightling wiedział, że w związku z tego rodzaju akcją Henriksen może cierpieć na coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Musiał czuć przynajmniej współczucie wobec ludzi, których pomógł przecież zaatakować.

— Jakie będzie to miało skutki? — spytał.

— Cóż, jeśli złapali dowódcę, coś w końcu kiedyś z niego wycisną, ale faceci z IRA nie gadają. To się jeszcze nie zdarzyło. Do nas mogliby dojść najwyżej przez Dmitrija, a to przecież zawodowiec. Jak go znam, pewnie siedzi już w lecącym gdzieś samolocie. Musi mieć zestawy fałszywych

dokumentów, karty kredytowe, paszporty i wszystko inne. Moim zdaniem jest bezpieczny. John, uwierz mi, KGB wiedziało, jak szkolić ludzi.

— Jeśli go dostaną, będzie gadał?

— To całkiem możliwe. Tak, moim zdaniem będzie gadał — przyznał Henriksen. —

Kiedy wróci, porozmawiam z nim o ryzyku i...

— A może by go... Wyeliminować?

Szef był lekko zażenowany, zadając to pytanie. Henriksen skupił się i udzielił dokładnie przemyślanej, ostrożnej odpowiedzi.

— Owszem, w normalnej sytuacji tak, ale to również ryzykowne posunięcie. Jak powiedziałem, Popow to zawodowiec. Pewnie zorganizował gdzieś skrytkę. — I widząc, że Brightling najwyraźniej nie rozumie, wyjaśnił: — Przed możliwością eliminacji człowiek z branży broni się, na przykład, tak, że zapisuje wszystko, co wie i chowa w bezpiecznym miejscu.

Jeśli nie sprawdza się takiego miejsca, na przykład, co miesiąc, informacje zostają rozpowszechnione zgodnie z przygotowanym wcześniej planem. W tym celu z reguły wynajmuje się prawnika. Rozumiesz, dla nas to poważne ryzyko. Popow może nas załatwić i żywy, i martwy, ale martwy wydaje się jednak groźniejszy. — Bill przerwał na chwilę. — Tak —

zakończył — wolę go mieć żywego. Oczywiście, pod kontrolą.

— Dobra, ty się tym zajmij. — Brightling zapadł się w fotel i zamknął oczy. Za blisko już byli końca, by głupio, niepotrzebnie ryzykować. Dobrze, Bill zaopiekuje się Rosjaninem, zneutralizuje go. Być może nawet uratują mu życie... Jasne, pomyślał, oczywiście, że uratują mu życie. Miejmy nadzieję, że wykaże odpowiednio głęboką wdzięczność. Jego też zresztą trzeba docenić — okaleczył tę Tęczę, a w każdym razie mocno ją zranił. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Spełnił swoje zadanie, uwrażliwił świat na najwyraźniej powracający problem terroryzmu i załatwił Global Security kontrakt na olimpiadę w Sydney, a w dodatku jeszcze dokopał najlepszej na świecie jednostce antyterrorystycznej, być może wystarczająco mocno, by usunąć ją z gry. Wszystkie elementy układanki znalazły się już na miejscu. Wkrótce można będzie zaczynać.

Sean Grady wyjechał z sali tuż po ósmej, po operacji trwającej trzy i pół godziny.

Zdaniem Bellowa operujący go chirurg ortopeda wykonał pierwszorzędną robotę. Kość ramienia złożona została na stalowo-kobaltowy gwóźdź, który miał pozostać pod skórą na zawsze i był

prawdopodobnie wystarczająco duży, by Grady, nawet nago, nie mógł przejść przez lotniskową bramkę nie włączając alarmu; z drugiej strony nie wyglądało na to, by w przewidywalnej przyszłości dane mu było odwiedzać lotniska. Dwie kule, które dostał podczas pogoni nie uszkodziły mięśni, funkcje ręki nie zostały więc upośledzone na stałe. Rany klatki piersiowej okazały się powierzchowne. Brytyjski lekarz wojskowy stwierdził, że oczekujący go zapewne wyrok dożywocia odsiedzi w doskonałym zdrowiu.

Operację przeprowadzono, oczywiście, pod całkowitą narkozą, używając w tym celu tlenu azotu, dokładnie jak w Stanach, w połączeniu z barbituranami, które otrzymał wcześniej.

Bellow usiadł przy jego łóżku w sali pooperacyjnej, obserwując monitory specjalistycznej aparatury. Czekał, aż pacjent się obudzi. A budzić miał się powoli, stopniowo, co mogło zająć sporo czasu.

Na sali znajdowali się także policjanci, zarówno mundurowi, jak i po cywilnemu, oraz Chavez i Clark. Gapili się na człowieka, który tak bezczelnie zaatakował ich jednostkę... i rodziny, tak, nie wolno zapominać o rodzinach. Chavez wydawał się spokojny, ale wpatrzone w nieprzytomnego nieruchomym spojrzeniem oczy błyszczały mu niebezpiecznie. Psychiatra uważał, że całkiem dobrze zna dowódców Tęczy. Z całą pewnością byli to prawdziwi zawodowcy, choć ci dwaj, Chavez i Clark, żyli w mrocznym świecie i dokonali w nim wielu mrocznych czynów, o których nie wiedział i nigdy nie miał się dowiedzieć. Nie wątpił jednak, że są to ludzie przedkładający porządek nad chaos, że pod wieloma względami przypominają policjantów, że robią to, co robią w imię pewnych zasad. Może i niektóre z nich zdarzyło im się łamać, lecz zawsze po to, by je w efekcie wzmocnić. Byli idealistami, podobnie jak terroryści, tyle że walczyli w imię innej sprawy. Ich zadaniem było chronić, Grady'ego zaś narażać i ta różnica mówiła o nich wszystko. Takie to było proste. I choć teraz byli wściekli na śpiącego po operacji człowieka, nawet do głowy by im nie przyszło, że mogą wyrządzić mu fizyczną krzywdę. Karę pozostawiali społeczeństwu, które człowiek ten krzywdził tak dotkliwie, społeczeństwu, które oni ochraniali i którego zasad przysięgali bronić, choć nie zawsze udawało im się według nich żyć.

— Już niedługo — powiedział. Aparatura monitorująca informowała, że pacjent powoli dochodzi do siebie. Ciało drgnęło, sygnalizując ożywienie mózgu, jeszcze nieznacznie, niemal niewidocznie. Wkrótce mózg zorientuje się, że niektóre części ciała nie przyjmują od niego poleceń, skupi się na nich, zbada ograniczenia, poszuka bólu, lecz jeszcze go nie odczuje. Głowa poruszyła się w lewo, w prawo, to już zaraz...

Powieki ранego drgnęły i uniosły się bardzo powoli. Bellow zerknął na listę nazwisk, którą podała mu brytyjska policja i ludzie z Piątki.

— Sean? — powiedział. — Sean, obudziłeś się?

— Kto...?

— To ja, Jimmy Carr. Sean, obudziłeś się?

— Co...? Gdzie...?

— To Szpital Uniwersytecki w Dublinie. Doktor McCaskey właśnie skończył składać ci ramię. Jesteś w sali pooperacyjnej. Wyzdrowiejesz, Sean. Ale, Boże, jak trudno nam było cię tu dowieźć. Boli cię? Boli cię ramię?

— Nie. Nie, Jimmy. Ilu...

— Ilu z nas przeżyło? Dziesięciu. Dziesięciu się wydostało. Ukryli się w bezpiecznych lokalach.

— Doskonale. — Grady otworzył wreszcie oczy i dostrzegł kogoś w chirurgicznej masce i czepku, ale nie mógł skupić wzroku, wszystko widział zamazane. Sala... tak, to szpital, sufit, kafelki w metalowych ramach... lampy fluorescencyjne. Gardło miał suche i trochę bolało go z powodu wprowadzonych w nie podczas operacji rurek, ale to przecież nieważne. Na razie żył

niczym we śnie, nic się tak naprawdę nie działo, unosił się w powietrzu otoczony białą mgłą, dobrze przynajmniej, że jest przy nim Jimmy Carr.

— Roddy? Co z Roddym?

— Nie żyje. Przykro mi, ale Roddy'emu się nie udało.

— Boże, każdy byle nie on...

— Sean, potrzebujemy kilku informacji i to natychmiast.

— Jakich... Jakich informacji?

— Facet, który zdobył dla nas dane o Tęczycy, musimy się z nim skontaktować, ale nie wiemy, jak go znaleźć.

— Chodzi ci o... Władimira?

Trafiłem, odetchnął z ulgą Bellow.

— Tak, Sean, chodzi właśnie o Władimira, musimy się z nim skontaktować...

— Pieniądze? Mały, wszystko mam w portfelu.

Tak? — zdziwił się Clark. Bill Tawney wyłożył zawartość kieszeni Grady'ego na składanym stoliku i rzeczywiście, był tam portfel, dwieście dwadzieścia funtów brytyjskich, sto siedemdziesiąt funtów irlandzkich, kilka kawałków papieru. Na żółtej samoprzylepnej karteczce wypisano dwie sześciocyfrowe liczby, bez żadnego wyjaśnienia. Konto? Szwajcaria? —

zastanawiał się Clark.

— Jak przejąć pieniądze? Musimy to zrobić natychmiast, rozumiesz, przyjacielu?

— Swiss Commercial Bank w Bernie... Zadzwoń. Numer konta i hasło na kartce...

portfel...

— Świetnie. Dzięki, Sean. Ten Władimir... nie pamiętam nazwiska... jak się z nim skontaktować?

Proszę, musimy go złapać jak najszybciej. — Falszywy irlandzki akcent Bellowa nie oszukałby nawet pijaka, ale umysł Grady'ego funkcjonował w tej chwili znacznie gorzej niż mózg jakiegokolwiek pijaka.

— Nie... wiem. Pamiętaj, to on się z nami kontaktował. Władimir Andriejewicz kontaktuje się ze mną przez Roberta... przez siatkę... Ja nie mogę się z nim skontaktować.

— Jak ma na nazwisko? Nigdy nie podałeś nam jego nazwiska.

— Sierow. Władimir Andriejewicz Sierow, Rosjanin... KGB... dolina Bekaa, wiele lat temu...

— Dobrze miał informacje o tej Tęczycy, nie?

— Ilu... ilu dostaliśmy?

— Dziesięciu, Sean. Zabiliśmy ich dziesięciu. Nam udało się uciec, ale ciebie postrzelili w Jaguarze, pamiętasz? Ale dokopaliśmy im, naprawdę im dokopaliśmy!

— Dobrze... to dobrze... zabić... wszystkich zabić... — szeptał Grady.

— Marne szanse, dupku — powiedział cicho stojący trochę z boku Chavez.

— A kobiety? Co z tymi dwiema...?

— Wszystko w porządku, Sean. Osobiście je zastrzeliłem. Ale proszę, wróćmy do tego Rosjanina. Musimy wiedzieć o nim coś więcej.

— Władimir? Dobry przyjaciel, z KGB, załatwił nam pieniądze i narkotyki. Mnóstwo forsy... sześć milionów... kokaina. — Przesłuchanie filmowano małą kamerą stojącą na statywie przy łóżku, Grady mówił wprost do niej. — Przekazał nam je na Shannon, pamiętasz? Przyleciał

małym odrzutowcem, narkotyki i pieniądze ze Stanów... Chyba ze Stanów... bo skąd? Teraz tak mówi, z amerykańskim akcentem jak z filmów. Śmieszne u Rosjanina, nie, Jimmy?

— Władimir Andriejewicz Sierow?

Grady próbował skinąć głową.

— Oni się tak nazywają. Władimir syn Andrieja.

— Jak on wygląda, Sean?

— Mojego wzrostu... brązowe włosy, okrągła twarz, zna kilka języków... dolina Bekaa, osiemdziesiąty szósty rok... W porządku gość, dużo nam pomagał...

— I co ty na to, Bill? — spytał Tawneya Chavez.

— Cóż, nic z tego nie utrzyma się, oczywiście, w sądzie...

— Pieprzyć sądy. Co ci to mówi? Pasuje do czegoś?

— Nazwiska nie pamiętam, ale sprawdzę w kartotece. Znajdziemy to konto, jakiś papierowy ślad musiał zostać, ale... — Tawney zerknął na zegarek — ...to już będzie musiało poczekać do jutra.

Clark skinął głową.

— Racja. Niezłe przesłuchanie, co?

— Czegoś takiego w życiu nie widziałem. Skuteczna metoda. Grady przytomniał stopniowo. Zauważył wreszcie stojących przy łóżku ludzi.

— Kim... Kto...? — spytał wpatrzony w jedną z obcych twarzy.

— Nazywam się Clark, John Clark, Sean.

Oczy terrorysty otwarły się szeroko ze zdumienia.

— Ty...?

— Owszem, właśnie ja. To ja jestem Clark. Przy okazji dziękuję za wszystko, co nam powiedziałaś. Dorwaliśmy was wszystkich, przyjacielu. Całą piętnastkę. Mam nadzieję, że lubisz Anglię, bo czeka cię bardzo długi pobyt w tym gościnnym kraju. A teraz dobrze zrobiłoby ci chyba, gdybyś się przespał — zaproponował John z uprzedzającą grzecznością. Zabijałem lepszych od ciebie, śmieciu — dawał do zrozumienia z kamiennym spokojem.

Doktor Bellow schował magnetofon i notatki do kieszeni. Tego rodzaju przesłuchania skuteczne były niemal w stu procentach. Umysł człowieka budzącego się z narkozy był bardzo podatny na sugestię. Dlatego właśnie ludzie mający dostęp do tajnych materiałów operowani byli zawsze w towarzystwie kogoś z ich macierzystej agencji. W tym szczególnym przypadku miał

dziesięć minut na zanurzenie się głęboko w umysł pacjenta i wyszukanie w nim potrzebnych informacji. Oczywiście, dla sądu dowodem być nie mogły, ale Tęcza to przecież nie policja.

— Malloy go dostał, tak? — spytał John, idąc w kierunku drzwi z sali.

— Właściwie to sierżant Nance — odparł Chavez.

— Trzeba mu będzie jakoś podziękować. Jesteśmy jego dłużnikami. Mamy nazwisko, Domingo. Rosyjskie nazwisko.

— Fałszywe. Na niewiele się zda.

— Jesteś pewien?

— Jasne, John. A co, nie poznałeś? Sierow, szef KGB gdzieś tak w latach sześćdziesiątych. O ile pamiętam, Ruscy go rozwalili.

Clark tylko skinął głową. Jasne, w prawdziwym paszporcie Rosjanina tego nazwiska nie znajdą, ale coś przecież mieli, choćby tylko na początek. Wyszli ze szpitala w chłodne powietrze brytyjskiego wieczoru. Samochód Johna już na nich czekał, a kapral Mole sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Zarobił sobie pewnie na baretkę i pochwalny list od tego amerykańskiego pseudogenerała. John i Ding pojechali do aresztu bazy, gdzie trzymano więźniów, ponieważ miejski areszt uznano za niewystarczająco zabezpieczony. Skierowali się do pokoju przesłuchań, gdzie siedział przykuty kajdankami do krzesła O'Neil.

— Cześć. Nazywam się Clark, a to Domingo Chavez.

Więzień patrzył na nich w milczeniu.

— Rozkazano ci zabić nasze żony. — To też nie spowodowało żadnej widocznej reakcji.

— Ale spieprzyliście robotę. Było was piętnastu, zostało sześciu. Reszta niczego już w życiu nie zrobi. Wiesz, przez takich jak wy, wstyd mi przyznać, że jestem Irlandczykiem. Jezu, wy nie jesteście nawet skutecznymi bandziorami. Aha, przy okazji, Clark to takie nazwisko do pracy.

Naprawdę nazywam się John Kelly, a panięskie nazwisko mojej żony brzmi O'Toole. I co, wy nędzne pętaki z IRA, zabraliście się teraz za irlandzkich katolików ze Stanów? Fajnie będzie to wyglądało w gazetach, śmieciu.

— Żeby już nie wspomnieć o sprzedawaniu koki, którą dostaliście od Rosjanina — dodał Chavez.

— Narkotyki? My nie...

— Owszem, handlujecie. Sean Grady właśnie wszystko nam opowiedział. Mówię ci, śpiewał jak kanarek. Mamy numer konta w szwajcarskim banku, mamy nazwisko tego Rosjanina...

— Sierow — podrzucił uśmiechnięty Chavez. — Władimir Andriejewicz Sierow. Stary przyjaciel twojego szefa, jeszcze z doliny Bekaa.

— Nie mam nic do powiedzenia. — A już powiedziałem więcej niż zamierzałem, dodał w myśli Tim. Sean Grady śpiewa? Sean? Niemożliwe... Tylko skąd w takim razie wiedzą to, co wiedzą? Świat oszalał.

— *Mano* — mówił dalej Ding — chciałeś zabić moją żonę, a moja żona nosi w sobie moje dziecko. Jak myślisz, będziesz teraz żył długo i szczęśliwie? Jak sądzisz, facet wyjdzie kiedyś z pierdła? — zapytał Clarka.

— Oj, nieprędko, Domingo.

— Dobra, Timmy, pozwól, że teraz coś ci wyjaśnię. Tam, skąd pochodzę, facet, który dowala się do cudzej kobiety, musi za to zapłacić, i to bardzo wysoką cenę. I tam, skąd pochodzę, nikt, ale to nikt nie dotyka cudzych dzieci. Za to cena jest jeszcze wyższa. Dobieranie się do kobiet? — powtórzył Chavez z nutką zastanowienia. — Hej, John, z tym problemem możemy sobie chyba poradzić na miejscu, nie? Mogę go załatwić tak, że już nigdy nie dobierze się do żadnej kobiety. — Z pochwy przy pasie Chavez wyjął nóż *K-Bar*. Jego ostrze było oksydowane na czarno wyjąwszy półcentymetrowej szerokości lśniąca krawędź.

— Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł — zaprotestował bez przekonania Clark.

— Dlaczego? Mnie w tej chwili wydaje się znakomity. — Chavez wstał, podszedł do siedzącego więźnia i rękę z nożem oparł na jego krzesło. — To nic wielkiego, Tim —

powiedział. — Jeden ruch ręki i zaczynamy operację zmiany płci. Wiesz, że nie jestem lekarzem i nie wiem, jak założyć potem szwy, ale zrobię dobry początek, nie martw się. — Zbliżył twarz do twarzy O'Neila, aż niemal stykali się nosami. — Człowieku, zapamiętaj, nikomu, ale to nikomu nie wolno dotknąć kobiety Latynosa! Rozumiesz, co mówię?

Timothy O'Neil miał za sobą kiepski dzień, ale najwyraźniej najgorsze było dopiero przed nim. Spojrzał w oczy tego dziwnego śniadego faceta, usłyszał jego akcent i dopiero wówczas zrozumiał, że nie ma do czynienia ani z Anglikiem, ani nawet z Amerykaninem z tych, których — jak mu się zdawało — znał.

— Ja już robiłem takie rzeczy — uświadomił go Chavez. — Zabijam głównie z broni palnej, ale parę osób wykończyłem i nożem, nie bój się. Śmieszne, jak się wiją... Ale nic się nie bój, ciebie nie zabiję. Ciebie przerobimy na dziewczynkę. — I nóż oparł o krocze przykutego do krzesła terrorysty.

— Dość tego, Domingo — wtrącił się Clark.

— Odpieprz się, John. On chciał skrzywdzić moją żonę! No więc załatwię go tak, że do kobiet już się nie będzie przystawiał, *mano*. — Ding przyglądał się Irlandczykowi z uwagą. —

Będę ci patrzył w oczy — obiecał. — Będę ci patrzył w oczy, robiąc z ciebie dziewczynkę!

Przerażający był ten smagły facet. Jego wzrok płonął wściekłą nienawiścią i samo to już był straszne, lecz jeszcze straszniejsze wydawało się O'Neilowi to, że nienawiść ta była usprawiedliwiona. Bo przecież on i jego przyjaciele planowali porwanie i zapewne też zabójstwo kobiety w ciąży, okropne to, zawstydzające i usprawiedliwiające atak furii żołnierza.

— To nie było tak — jęknął. — Nie mieliśmy... nie...

— Nie mieliście czasu, żeby ją zgwałcić, co? I to z was robi dobrych facetów?

— Nie... Nikt z naszego oddziału nigdy nie...

— Jesteś pieprzonym śmieciem, Tim, ale zaraz zrobimy z ciebie śmiecia, który o pieprzeniu będzie mógł co najwyżej pomarzyć. — Nóż poruszył się lekko. — Ale będzie zabawa, John! — ucieszył się Chavez. — Pamiętasz tego faceta z Libii, sprzed dwóch lat?

— Jezu, Ding, ciągle go widzę w koszmarach! — Clark odwrócił głowę. — Dobrze ci radzę, przestań!

— Pieprz się, John. — Lewa ręka Chaveza odpięła pasek spodni więźnia i górny guzik rozporka. Sięgnęła do środka. — O, cholera, tu nie ma co wycinać. Ledwie coś namacałem.

— O’Neil, jeśli masz nam coś do powiedzenia, lepiej mów. Nie powstrzymam tego chłopaka, już go takim widziałem i...

— Za dużo tego gadania, John. Cholera, przecież Grady wszystko wyśpiewał. Ten gówniarz w niczym nam nie pomoże. Obetnę mu jaja i nakarmię nimi któregoś z naszych piesków. One lubią świeże mięsko.

— Domingo, jesteśmy cywilizowanymi ludźmi i...

— Cywilizowanymi? Ten facet chciał zabić moją żonę i dziecko. O’Neil gapił się na niego, oczy niemal wychodziły mu z orbit.

— Zabić? Nie... Nigdy...

— A te pieprzone *Kalasznikowy* mieliście po to, żeby podbić ich serca i wydać się inteligentniejszymi? Morderca kobiet! Morderca dzieci!

— Nikogo nie zabiłem, nawet nie wystrzeliłem, tylko...

— Świetnie. Więc jesteś kiepskim mordercą. Myślisz, że zostawię ci fiutka, bo jesteś niezdara?

— Kim jest ten Rosjanin? — spytał Clark.

— Przyjaciół Seana, Sierow. Przywiózł nam pieniądze i narkotyki...

— Narkotyki? John, kurwa, to ci faceci są na dodatek narkomanami?

— Gdzie są pieniądze? — naciskał John.

— Szwajcarski bank. Numerowe konto. Władimir założył to konto. Sześć milionów dolarów... Sean poprosił go o kokainę, pięć kilo, do sprzedaży, na finansowanie operacji.

— Gdzie jest teraz ta kokaina?

— Na farmie. — O’Neil opisał dom, drogę i miejscowość. Chavez nagrywał każde jego słowo na

magnetofonie ukrytym w kieszeni.

— Jak wygląda ten Sierow?

Opis Rosjanina również został nagrany. Chavez nagle się uspokoił, a nawet uśmiechnął.

— W porządku, John, idziemy pogadać z innymi. Dzięki, Timmy. Zachowaj sobie to swoje małenstwo.

Nad kanadyjską prowincją Quebec zapadał zmrok. Zachodzące słońce odbijało się w setkach jezior, z których część ciągle jeszcze była skuta lodem. Popow nie zmrużył oka, jako jedyny w pierwszej klasie. Nie mógł przestać myśleć o tym, co się zdarzyło i co jeszcze może zdarzyć.

Jeśli Brytyjczycy złapali Grady'ego, mają nazwisko, którego używa i które figuruje w dokumentach. Cóż, trzeba będzie natychmiast się ich pozbyć. Mają też jego opis, ale taki opis pasuje do tysięcy ludzi. Popow miał bardzo przeciętną powierzchowność. Grady znał numer konta w Szwajcarii, ale pieniądze zostały już przelane na inne konto, o którym Irlandczyk nie ma pojęcia. Istniała teoretyczna możliwość, że Anglicy pójdą tropem informacji, które Sean z pewnością im dostarczy, nie ma się co oszukiwać, może znajdą nawet jakieś odciski palców...

Nie, to niebezpieczeństwo chyba jednak nie istniało, a w każdym razie żadna zachodnia służba wywiadowcza nie miałaby z czym tych odcisków porównać, nikt nic na niego nie miał, bo gdyby miał, Popow już dawno zostałby aresztowany.

Jak więc naprawdę przedstawia się sytuacja? Nazwisko zniknie, opis pasuje do milionów mężczyzn na świecie, konto bankowe o znanym Grady'emu numerze zostało zamknięte.

Przeciwnicy nie dysponowali praktycznie niczym. Trzeba tylko jak najszybciej sprawdzić procedury, których Szwajcarzy używają przy transferach dużych sum. Czy transfery podlegają prawu o anonimowości, chroniącym same konta? Cóż, Szwajcarów trudno uznać za wzór uczciwości. Jakieś porozumienie między bankami i policją musi przecież istnieć, choćby po to, by szwajcarska policja mogła skutecznie kłamać innym policjom na świecie. Ale to drugie konto było naprawdę bezpieczne. Założył je w imieniu Popowa adwokat, który nie mógł go zdradzić, bowiem kontaktowali się wyłącznie przez telefon. Doskonale. Ciekawe, czy kiedykolwiek uda mu się podjąć te pięć milionów siedemset tysięcy dolarów... Cóż, jakiś sposób pewnie się znajdzie, może przez innego prawnika, z Lichtensteinu na przykład, gdzie prawo bankowe było surowsze nawet niż w Szwajcarii? Kolejna sprawa do sprawdzenia. Amerykański prawnik mu w tym pomoże, w Stanach obowiązuje prawo ochrony tożsamości klienta.

Jesteś bezpieczny, Dmitrij, powiedział sobie Popow. Bezpieczny i bogaty, ale trzeba koniecznie skończyć z tym ryzykownym zachowaniem. Żadnych więcej operacji na zlecenie Johna Brightlinga. Z O'Hare poleci do Nowego Jorku, wróci do mieszkania, zadzwoni do pracodawcy, a potem cicho i elegancko zniknie. Tylko czy pracodawca da mu uciec?

Nie ma wyboru, doszedł do wniosku Popow. Tylko on i Henriksen mogli powiązać szefa z masowymi morderstwami. Pewnie przyjdzie mu do głowy, by mnie zabić, pomyślał, ale Henriksen

ostrzeże go w porę. To przecież zawodowiec, zna reguły gry. Popow, oczywiście, prowadził dziennik, który spoczywał bezpiecznie w sejfie nowojorskiej kancelarii prawniczej.

Prawnicy dostali dokładne instrukcje na każdą okoliczność. Tak więc, jak długo jego przyjaciele zdecydują się przestrzegać reguł gry — miał zamiar zresztą im o nich przypomnieć —

niebezpieczeństwo nagłej śmierci praktycznie nie istniało.

Więc może w ogóle nie warto wracać do Nowego Jorku? Dlaczego po prostu nie zniknąć?

Nie, kusząca to myśl, prawda, ale musi przecież wytłumaczyć Brightlingowi i Henriksenowi, dlaczego lepiej zostawić go w spokoju. Poza tym Brightling dysponował znakomitym źródłem w amerykańskim rządzie, a tę informację z pewnością dałoby się wykorzystać celem zapewnienia sobie osobistego bezpieczeństwa. Bezpieczeństwa nigdy za dużo.

Popow wreszcie się odprężył. Jeszcze półtorej godziny i wylądują w Chicago. Świat jest wielki i zniknąć łatwo, zwłaszcza jeśli dysponuje się odpowiednimi środkami.

— Co właściwie mamy? — spytał doradców John Clark.

— Nazwisko. Władimir Sierow. Nie ma go w naszych komputerach w Londynie —

oznajmił Cyril Holt ze Służby Bezpieczeństwa. — A CIA?

Clark pokręcił głową.

— Znaleźliśmy dwóch Sierowów — wyjaśnił. — Jeden nie żyje, drugi dobiega siedemdziesiątki i siedzi na emeryturze w Moskwie. Co z opisem?

— Pasuje do tego faceta. — Holt pokazał im zdjęcie.

— Gdzieś go już widziałem.

— To on spotkał się z naszym przyjacielem Kirilienką w Londynie, kilka tygodni temu.

Pasuje to do całości układanki, John. Uważamy, że to on odpowiada za przeciek dotyczący twojego oddziału, pamiętasz tę sprawę? I zgadał się z Gradym... Pasuje doskonale, może nawet, jak na mój gust, odrobinę za dobrze.

— Możemy jakoś pójść tym tropem?

— Owszem, zwrócić się do SWR — i my, i CIA mamy niezłe układy z Siergiejem Gołowką. Pewnie by nam nawet pomógł. Będę naciskał — obiecał Holt.

— Co jeszcze?

— Te liczby — zabrał głos Bill Tawney. — Jedna to pewnie numer identyfikacyjny konta

bankowego, druga — kod aktywacyjny. Ich policja ma to dla nas sprawdzić. Coś może z tego wyniknąć... Oczywiście, jeśli pieniądze nie zostały dokładnie przeprane, i jeśli nadal są na miejscu. A powinny być.

— Broń — powiedział najstarszy stopniem policjant na spotkaniu. — Sądząc po numerach seryjnych, radziecka, z fabryki w Iżewsku. Dość stara, ma co najmniej dziesięć lat, ale aż do dziś nikt z niej nie strzelał. Jeśli chodzi o narkotyki, przekazałem informacje Dennisowi Maguire, szefowi Gardy. Rano poda ją telewizja. Znaleźli i zabezpieczyli pięć kilo czystej kokainy... Tak czystej, jakby kupiona została od firmy farmaceutycznej. Wartość na ulicy sięgnęłaby milionów. Znaleziono ją w opuszczonym domu na farmie, na zachodnim wybrzeżu Irlandii.

— Zidentyfikowaliśmy trzech z sześciu więźniów. Z jednym nie mogliśmy jeszcze rozmawiać, jest zbyt ciężko ranny. Aha, porozumiewali się przez telefony komórkowe, używając ich jak krótkofalówek. Ten wasz Noonan zrobił dobrą robotę, wyłączając nadajniki. Jeden Bóg wie, ilu ludziom uratował życie — powiedział Holt.

Siedzący przy końcu stołu Chavez skinął głową i zadrżał wewnątrz. Gdyby mogli koordynować działania... Jezu Chryste. I tak nie wszystko przecież skończyło się szczęśliwie.

Będą pogrzeby, jego ludzie będą musieli włożyć galowe mundury, stanąć w szeregu, oddać salwę honorową... A potem znaleźć nowych żołnierzy na miejsce tych, którzy odeszli. Całkiem niedaleko stąd Mike Chin leżał w łóżku z nogą w gipsie — pociski złamały kość udową.

Pierwszy Zespół został wyeliminowany na co najmniej miesiąc, mimo iż tak dobrze walczył.

Noonan, ten się popisał, zaliczył trzech z pistoletu. I Franklin — z tego swojego potwora rozwalił

głowę jednemu, a drugim strzałem unieruchomił brązową furgonetkę, uniemożliwiając ucieczkę pięciu facetom. Ding myślał o tym wszystkim, kiedy odezwał się pager wyświetlając jego prywatny numer.

Zadzwonił natychmiast.

— Tak, skarbie? — powiedział do żony.

— Ding, jak najszybciej wracaj do domu. Zaczęło się. — Patsy była zupełnie spokojna, jednak serce jej męża na chwilę stanęło.

— Już jadę. John, wracam do domu. Patsy mówi, że się zaczęło.

— Jasne, leć. — John Clark uśmiechnął się, po raz pierwszy od rana. — Pocałuj ją ode mnie.

— Jasne, panie C. — I Chavez znikł za drzwiami.

— Porody zawsze jakoś zaczynają się nie w porę — zauważył Tawney.

— Ale przynajmniej zdarzy się dziś coś miłego. — Tęcza Sześć przetarł zmęczone oczy.

Jakoś przyzwyczył się do myśli, że zostanie dziadkiem. Lepsze to niż tracić ludzi, a z utratą ludzi nie pogodził się do tej pory. Dwoje ludzi. Jego ludzi. I ranni. Także jego ludzie. — Dobra, panowie, co z przeciekiem? Ktoś się na nas zaczął, zapolował i trafił. Co z tym robimy?

— Cześć Ed, tu Carol — przedstawiła się doktor Brightling, doradca prezydenta do spraw naukowych.

— Dzień dobry, pani doktor. Co mogę dla pani zrobić?

— Co, do diabła, zdarzyło się dziś w Anglii? To byli nasi ludzie? Tęcza?

— Tak, Carol. Owszem.

— Jak wygląda sytuacja? Bo z tego, co mówią w telewizji, niewiele można zrozumieć.

— Dwie ofiary śmiertelne, czterech rannych. Dziewięciu terrorystów zginęło, sześciu pojmano, łącznie z dowódcą.

— A te radiostacje, które im załatwiłam? Dobrze się spisały?

— Nie dostałem jeszcze raportu z tej akcji, ale wiem, czego nasi będą chcieli jak najszybciej się dowiedzieć.

— Czego?

— Kto się wygadał. Terrorysty znali nazwisko Johna, imiona jego żony i córki, ich zawody, miejsce pracy, wszystko. Mieli dobry wywiad, z czego Clark nie jest szczególnie zadowolony.

— Rodzinom nic się nie stało?

— Nie. Dzięki Bogu, nie ma ofiar wśród cywilów. Carol, cholera, ja znam Sandy i Patricię. Zapewniam cię, że w tej sprawie sporo się jeszcze będzie działo.

— Mogę jakoś pomóc?

— Nie jestem pewien, ale będę pamiętał, że spytałaś.

— Nie, to nic takiego, tylko chciałam dowiedzieć się, jak działały radiostacje.

Powiedziałam tym z E-Systems, że mają się śpieszyć, bo naszym ludziom ich zabawki są bardzo potrzebne. Mam nadzieję, że chociaż trochę pomogły.

— Dowiem się, Carol.

— Świetnie. Wiesz, jak mnie znaleźć.

— Jasne i dzięki za telefon.

30

Perspektywy

Było dokładnie tak, jak oczekiwał, choć przecież nie miał pojęcia czego oczekiwać.

Wszystko poszło znacznie lepiej niż się spodziewał i wreszcie Domingo Chavez trzymał w ramionach syna.

— Witaj — powiedział, wpatrując się w nowego człowieka, którego będzie teraz strzegł, uczył i za jakiś czas przedstawi światu. Po sekundzie, która dla niego trwała wieki, oddał dziecko żonie.

Po twarzy Patsy spływał pot. Wymęczył ją trwający pięć godzin poród, lecz — jak to zwykle bywa — nie pamiętała już o bólu. Spełniła swe marzenia, miała dziecko. Łyse, różowe i wrzeszczące — krzyk ustał, gdy John Conor Chavez spoczął na lewej piersi mamy i uraczył się pierwszym posiłkiem w tym życiu. Patsy była jednak naprawdę zmęczona i wreszcie pielęgniarka zabrała dziecko na salę noworodków, Ding zaś odprowadził żonę, którą wywieziono do jej pokoju. Pani Chavez zasnęła po drodze. Pocałował ją na pożegnanie, wrócił samochodem do Hereford i odwiedził teścia w domu.

— Co tam? — spytał John, otwierając mu drzwi. Zięć zaoferował mu cygaro z niebieskim paskiem.

— John Conor Chavez, trzy i pół kilo. Patsy w porządku, dziadziu — powiedział, uśmiechając się niepewnie. W końcu to jego żona odwaliła najcięższą robotę.

Są takie chwile, kiedy płaczą najtwardsi mężczyźni, a to była właśnie jednak z nich.

Ojciec i dziadek padli sobie w objęcia. Po dłuższej chwili John wyprostował się i sięgnął do kieszeni szlafroka po chusteczkę, którą otarł sobie oczy.

— Jak wygląda? — spytał.

Ding uśmiechnął się szeroko.

— Jak Winston Churchill — odparł. — Do diabła, John, jakoś nie potrafię sobie tego poukładać. John Conor Chavez... cholernie to skomplikowane, nie? Mały ma dziwnych przodków. Karate i strzelanie od piątego roku życia... No, może szóstego...

— Golf i baseball byłyby chyba lepsze, ale to twój dzieciak. Wchodź, chłopcze.

— I co? — spytała Sandy. Chavez musiał opowiedzieć o wszystkim po raz drugi, podczas gdy John zapalał kubańskie cygaro. Nienawidził wprawdzie palenia, a Sandy, pielęgniarka z zawodu, po prostu nie mogła pochwalać tego nałogu, ale przy tej szczególnej okazji oboje złamali zasady. Teściowa również uściskała Dinga.

— John Conor? — spytała, unosząc lekko brew.

— To ty wiesz? — zdziwił się John Terrence Clark.

Sandy skinęła głową.

— Patsy powiedziała mi w zeszłym tygodniu — przyznała.

— To miała być niespodzianka! — zmartwił się młody ojciec.

— Ding, przecież jestem jej matką. Śniadanie?

Dochodziła czwarta nad ranem. Panowie zgodzili się, że nie jest za wcześnie i postanowili zjeść śniadanie.

— Wiesz, John, to jednak cholernie ważny moment — stwierdził Ding. Trudno było nie dostrzec, z jaką łatwością zmieniał akcent w zależności od tego, o czym mówił. Wczoraj, przesłuchując jeńców z PIRA, zachowywał się jak dziecko ulicy z Los Angeles, członek gangu, mówił z wyraźnym latynoskim akcentem, językiem wręcz rynsztokowym, ale w momentach bardziej refleksyjnych wychodził z niego młody wykształcony mężczyzna z uniwersyteckim dyplomem, mówiący prawidłową, całkowicie bezakcentową angielszczyzną. — Jestem ojcem.

Mam syna. — Chavez uśmiechnął się z radością, w której pobrzmiwała odrobina zdumienia. —

To nie byle co!

— Rzeczywiście, czeka cię wielka przygoda. — John nalał sobie kawy. Boczek już się smażył.

— Jaka przygoda?

— Musisz uformować kompletnego człowieka. To wielka przygoda, mój kochany. A jeśli ci się nie uda, to kim się okażesz?

— No cóż, wam nieźle się udało.

— Dziękuję, Domingo. — Sandy na moment oderwała się od kuchni. — Bardzo się staraliśmy.

— Ona bardziej niż ja — przyznał Clark. — Mnie prawie w domu nie było, wielkiego agenta terenowego. W tym, cholera, trzy razy na Boże Narodzenie. Tego nigdy sobie nie wybaczę. To wielki dzień, każdy ojciec powinien być w domu.

— A gdzie wtedy byłeś?

— Dwa razy w Rosji, raz w Iranie. Wyciągałem naszych ludzi. Z dwoma się udało, z jednym nie. Ten jeden został w Rosji, a Rosjanie nie traktują lekko zdrady głównej. W cztery miesiące później biedaka już nie było. Kiepskie to było Boże Narodzenie. — John zamilkł

przypominając sobie ten ponury dzień, funkcjonariusza KGB zgarniającego człowieka niespełna pięćdziesiąt metrów od niego, obróconą w jego stronę, zrozpaczoną twarz i tę upokarzającą konieczność ucieczki szlakiem, który przygotował dla dwóch osób. Wiedział, że nic innego nie mógł zrobić, ale mimo to czuł się fatalnie. Musiał tłumaczyć Edowi Foleyowi, co się stało, a potem

dowiedzieli się, że tego agenta wydał, czyli w żargonie Firmy „spalił”, zdrajca w kierownictwie CIA, który teraz żył sobie komfortowo w więzieniu federalnym, w ciepłej i wyposażonej w telewizję kablową celi.

— To już minęło, John. — Chavez właściwie zinterpretował wyraz twarzy teścia.

Przecież wraz z nim brał udział w podobnych operacjach, tyle że zespół Clark-Chavez nie poniósł do tej pory porażki, choć niektóre z ich operacji były rzeczywiście szalone. — A wiesz, co w tym wszystkim najśmieszniejsze?

— Co takiego? — Ciekawe, czy czuje to samo co ja, pomyślał Tęcza Sześć.

— Teraz już wiem, że kiedyś umrę. Nie zaraz, oczywiście, ale kiedyś. Ten mały facet...

On mnie przeżyje. Jeśli nie przeżyje, to znaczy, że ja coś spieprzyłem, a na to przecież nie mogę sobie pozwolić. Ja odpowiadam za małego JC. On będzie dorastał, ja się będę starzał, a kiedy dorośnie do mojego wieku, będę miał już przeszło sześćdziesiątkę. Jezu, ludzie, przecież ja nigdy nie planowałem, że się zestarzeję!

— Wiesz, że mną było dokładnie tak samo — zachichotał Clark. — Odpręż się, mały. Na razie to ja jestem... — już miał powiedzieć „pieprzonym”, ale Sandy bardzo nie lubiła tego słowa, więc poprawił się w ostatniej chwili — ...cholernym dziadkiem. I ja też tego nie planowałem.

— Nie jest przecież tak źle — wtrąciła Sandy, rozbijając jajka na jajecznicę. — Będziemy go rozpuszczać, a potem oddawać rodzicom.

Z ich dziećmi tak być nie mogło, przynajmniej od strony Johna. Jego matka zmarła na raka, ojciec zaś, w końcu lat sześćdziesiątych, na atak serca, ratując dzieci podczas pożaru domu w Indianapolis. Ciekawe, pomyślał John, czy wiedzą, gdziekolwiek są, że ich dzieciak dorósł, zestarzał się i został dziadkiem. Trudno powiedzieć, prawda? To chyba normalne, że przy narodzinach myśli się o śmierci. Wielki krąg życia. Kim zostanie mały John Conor Chavez?

Bogaczem, biedakiem, żebrakiem, złodziejem, lekarzem, prawnikiem, wodzem Indian? To już chyba zależy przede wszystkim od rodziców, im musi po prostu zaufać, zresztą z pewnością doskonale sobie poradzą. Córkę znał doskonale, a Dinga niemal równie dobrze. Od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył go w górach Kolorado, wiedział, że jest w nim coś wyjątkowego.

Domingo Chavez był niczym jego młodsze wcielenie, cechowała go zarówno odwaga, jak i poczucie honoru, a więc, mówił sobie w myśli Clark, dobry będzie z niego ojciec, zwłaszcza że już się okazał dobrym, wiernym mężem. Wielki krąg życia, powtórzył w myśli John Clark, paląc cygaro i popijając kawę. I nawet jeśli wnuk to kolejny kamień milowy na drodze do śmierci —

doskonale, niech i tak będzie. Prowadził ciekawe życie, życie, którym jakoś tam przysłużył się innym, takim właśnie jak młody Domingo i takim — w Bogu nadzieja — jak mały John Conor.

A poza tym, John Clark uśmiechnął się do siebie, cholera, przecież moje życie wcale się jeszcze nie skończyło!

Zdobycie biletu na samolot do Nowego Jorku okazało się trudniejsze niż sobie wyobrażał, ale w końcu Popow znalazł się na dodatkowym miejscu w starym *Boeingu 727* linii United.

Ciasno mu było, ale lot trwał krótko. Na La Guardia zamierzał wziąć taksówkę, ale po drodze na parking odnalazł w kieszeni płaszcza zestaw dokumentów, na którym przyleciał z Anglii. Dobrze mu służyły, ale nadszedł najwyższy czas, żeby się ich pozbyć. Przy wyjściu dyskretnie wyrzucił je więc do wielkiego kosza na śmieci.

Popow był zmęczony. Dzień rozpoczął się dla niego tuż po północy amerykańskiego czasu wschodniego, w samolotach nie spał prawie wcale i — jak to mówili Amerykanie —jechał już na oparach benzyny. Być może dlatego popełnił pomyłkę.

Kiedy dojeżdżał do swego nowojorskiego mieszkania, pod terminal United Airlines podjechali śmieciarze, by wymienić plastikowe worki w koszach. Byli to niemal wyłącznie Portorykańczycy, wykonujący nużącą, mechaniczną i dość ciężką fizycznie pracę. Po kolei podnosili pokrywy koszy, wyciągali plastikowe worki, obracali się, ładowali je w wózki, z których powędrować miały najpierw do śmieciarek, a potem na wysypisko na Staten Island.

Ćwiczenia te wyrabiały mięśnie klatki piersiowej i ramion, a nudzie przy pracy zapobiegały przenośne radia.

W jednym z koszy, stojącym jakieś pięćdziesiąt metrów od postoju taksówek, metalowy pojemnik nie został ustawiony prawidłowo. Przy wyjmowaniu torba zaczepiła się o krawędź i rozdarła, jej zawartość zaś rozsypała częściowo na betonowy chodnik. Śmieciarz zaklął cicho.

Musiał teraz pochylić się i zgarnąć śmiecie dłońmi w grubych rękawicach. W trakcie tej czynności zobaczył książeczkę w czerwonych okładkach, wyglądającą na brytyjski paszport. Hej, ludzie przecież nieczęsto wyrzucają paszporty na śmieci. Otworzył go. Między okładkami znalazł

dwie karty kredytowe. Nazwisko to samo co w paszporcie... Sierow, dziwne jak na Angola.

Paszport z kartami wsadził do kieszeni na udzie kombinezonu. Będzie musiał go oddać do biura rzeczy znalezionych. Cóż, w śmieciach znajdował różne przedmioty, raz nawet nabity pistolet kalibru 9 mm.

Popow dojechał do domu tak zmęczony, że nie bawił się nawet w rozpakowywanie walizek. Rozebrał się i padł na łóżko, rezygnując ze zwyczajowej szklaneczki wódki przed snem.

Zupełnie odruchowo włączył telewizor i, oczywiście, trafił na kolejny materiał o zdarzeniach w Hereford. Telewizja to *priakliatyje gawno*, pomyślał. A to ten wóz transmisyjny. Przyjechał nim dziennikarz, który chciał przeprowadzić z nim wywiad. Rozmowa nie nadawała się na antenę, ale zobaczył samego siebie z profilu, sfilmowanego z odległości pięciu metrów, robił za tło dla

dziennikarza komentującego sytuację do kamery. Kolejny powód, żeby wreszcie zniknąć, pomyślał zasypiając.

Paszport i karty kredytowe oraz kilka innych niewątpliwie wartościowych rzeczy powędrowały do biura firmy prowadzącej wysypisko na Staten Island — mieszczącego się w przyczepie kempingowej — pod koniec dnia pracy. Szef zmiany rzucił je na właściwe biurko, podbił kartę i pojechał do domu w Queens na spóźniony jak zwykle obiad.

Tom Sullivan pracował do późna, po pracy zaś poszedł do baru, w którym często spotykali się agenci FBI, odległego o przecznicę od Centrum Jacoba Javitsa na dolnym Manhattanie. Jego partner, Frank Chatham, był już na miejscu. Usiedli przy stoliku, popijając piwo Sam Adams.

— Coś się dzieje na twoim podwórku? — spytał Sullivan. Przez cały dzień był w sądzie, jako świadek w sprawie o fałszerstwo, opóźnienia proceduralne sprawiły jednak, że nie zdążył

złożyć zeznań.

— Rozmawiałem z dwiema dziewczynami. Obie twierdzą, że znają Kirka Macleana, ale żadna nie spotykała się z nim prywatnie. Wygląda na to, że mamy kolejny ślepy zaułek.

— Pojawiły się jakieś inne nazwiska związane z tymi zaginionymi dziewczynami?

Chatham potrząsnął głową.

— Dziewczyny powiedziały tylko, że widziały, jak rozmawiał z jedną z nich, a potem zaraz wyszedł, dokładnie tak, jak nam powiedział. Nic w tym nadzwyczajnego. Normalne w barach dla samotnych. Nie mamy nic, co podważałoby jego zeznania. Żadna z nich nie lubiła go za bardzo. Twierdziły, że brał się za dziewczyny, zadawał parę pytań, a potem na ogół je zostawiał.

— A o co pytał?

— O to co zwykle. Nazwisko, adres, praca, rodzina. My pytamy o to samo, Tom.

— A te twoje dwie dziewczyny skąd pochodziły? — spytał z namysłem Sullivan.

— Jedna z samego Nowego Jorku, druga zza rzeki, z New Jersey.

— Bannister i Pretloe przyjechały z daleka.

— Wiem, i co z tego?

— Gdybyś był seryjnym mordercą, wybierałbyś raczej ofiary nie mające rodziny w pobliżu, prawda?

— Element selekcji ofiar? Nie przesadzasz, Tom?

— Pewnie przesadzam, ale co więcej mamy? — Rzeczywiście, niewiele mieli. Dzięki ulotkom rozdawanym przez policję udało się wprawdzie znaleźć piętnaście osób twierdzących, że znają twarze, ale od nikogo z tej piętnastki nie uzyskali żadnej przydatnej informacji. —

Dobrze, zgoda, Maclean starał się nam pomóc, ale jeśli rzeczywiście podrywa dziewczyny, póki nie dowie się, że mają rodziny w okolicy, a panienki z prowincji odprowadza do domu, to wiemy o nim więcej niż o kimkolwiek, prawda?

— Porozmawiamy z nim jeszcze raz?

Sullivan skinął głową. Była to część rutynowej procedury. Kirk Maclean ani jednemu, ani drugiemu nie wydawał się typem seryjnego mordercy, ale na Akademii FBI w Quantico uczono ich, że właśnie oni potrafią się maskować najlepiej. Poza tym nie było dla nich tajemnicą, że dzięki rutynowym czynnościom dochodzeniowym rozwiązano więcej spraw, niż dzięki cudownym zbiegom okoliczności, tak lubianym przez autorów powieści kryminalnych.

Prawdziwa policyjna robota była równie nudna co otepiająca, lecz ci, którzy potrafili ją wykonywać, wygrywali. Na ogół.

W Hereford wstał dziwny ranek. Z jednej strony Drugi Zespół był przybity tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia. Śmierć towarzyszy broni zawsze ma taki wpływ na oddział. Z

drugiej strony jednak ich dowódca został ojcem, a co lepszego może przytrafić się mężczyźnie?

Jeszcze przed poranną zaprawą dłoń nieco skrępowanego Dinga, który tej nocy nie spał w ogóle, uściskał każdy z jego ludzi i każdy złożył mu krótkie gratulacje. Nawet ci młodszy od niego uśmiechali się ze zrozumieniem, bowiem wszyscy już mieli dzieci. Poranną zaprawę skrócono ze względu na kiepski stan fizyczny dowódcy, po biegu zaś Eddie Price poradził dowódcy, żeby wrócił do domu i przespał się odrobinę, bo w stanie, w jakim się znajduje, może tylko przeszkadzać, a pożytku żadnego nie przyniesie. Ding Chavez zastosował się do tej rady, przewracał się w łóżku do południa i obudził z potwornym bólem głowy.

W Nowym Jorku z potwornym bólem głowy obudził się również Dmitrij Popow. Miał o ten ból pretensję do losu, ponieważ poprzedniego dnia nie pił w ogóle. Uznał, że ciało mści się na nim za nadmiar długich podróży i za męczący dzień spędzony na zachód od Londynu. Słuchając CNN podreptał do łazienki dokonać zwykłych porannych ablucji tudzież zażyć aspirynę.

Następnie zrobił sobie kawę. W ciągu dwóch godzin wykąpał się, przebrał, rozpakował walizki i rozwiesił ubrania, które zabrał ze sobą do Europy.

Następnie złapał taksówkę i pojechał na dolny Manhattan.

Na Staten Island biurem rzeczy zaginionych zawiadywała sekretarka, która nienawidziła tej roboty. Na jej biurku kończyły przedmioty nieodmiennie śmierdzące i to często tak śmierdzące, że aż ją wykręcało. Dziś też tak było i po prostu nie mogła przestać się dziwić, dlaczego ludzie wrzucają tak

obrzydliwe rzeczy do śmieci zamiast...? Właśnie, zamiast co?

Paszport. Niczym nie różnił się od całej reszty. Władimir A. Sierow. Mężczyzna około pięćdziesiątki, ze zdjęcia patrzyła na nią twarz równie oryginalna jak hamburger od McDonalda.

Ale dokument i dwie karty kredytowe do kogoś przecież należały. Zadzwoiła do konsulatu brytyjskiego na Manhattanie, gdzie połączono ją z pracownikiem wydziału paszportowego. Nie wiedziała, oczywiście, że biuro paszportowe tradycyjnie służyło za przykrywkę agentom wywiadu. W rezultacie krótko trwającej rozmowy śmieciarka, która jechała na Manhattan, podrzuciła kopertę do konsulatu, strażnik przy wejściu zadzwonił do odpowiedniego biura, biuro posłało na dół sekretarkę. Znalezione w śmieciach dobra wylądowały w końcu na biurku szefa wydziału paszportowego, Petera Williamsa.

Williams był w rzeczywistości kimś w rodzaju szpiega. Ten młody chłopak po raz pierwszy znalazł się na placówce za granicą. Była to bezpieczna i wygodna praca, w wielkim mieście, w zaprzyjaźnionym kraju. Prowadził kilku agentów — samych dyplomatów Narodów Zjednoczonych. Otrzymywał od nich z rzadka drugorzędne informacje natury politycznej, które przekazywał do Whitehall, do oceny przez równie jak on nisko postawionych urzędników Foreign Office, brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Śmierzący paszport, który trafił na jego biurko, wydawał się czymś raczej niezwykłym.

Choć w teorii tego rodzaju sprawy należały do jego kompetencji, w rzeczywistości zajmował się najczęściej wydawaniem paszportów zastępczych turystom, którzy swoje dokumenty zgubili jakimś cudem w Nowym Jorku, co wcale nie zdarzało się tak rzadko, jak można byłoby przypuszczać.

Procedura, którą Williams miał zastosować w tym wypadku, polegała na przefaksowaniu numeru seryjnego znalezionej dokumentu do Londynu celem zidentyfikowania jego posiadacza. Potem miał zadzwonić do jego domu z nadzieją, że trafi na członka rodziny lub szefa, który będzie wiedział, jak skontaktować się z właścicielem paszportu.

W zaledwie trzydzieści minut po wysłaniu faksu dostał telefon z Whitehall.

— Peter?

— Tak. Cześć, Burt.

— Ten paszport. Władimir Sierow. Zdarzyło się właśnie coś dziwnego.

— Co takiego?

— Z numeru paszportu wyszedł nam adres i telefon kostnicy. A w kostnicy nikt nie słyszał o żadnym Władimirze Sierowie, żywym albo martwym.

— Aha? Fałszywy, co? — Peter Williams dokładniej przyjrzał się dokumentowi. Jeśli był

falszywy, został podrobiony wręcz idealnie. Czyżby na odmianę miało zacząć działać się coś ciekawego?

— Nie, nic z tych rzeczy. Komputer ma numer i nazwisko, ale ten jakiś Sierow nie mieszka tam, gdzie podał nam. Moim zdaniem to przypadek fałszywej tożsamości. Z danych wynika, że facet jest naturalizowanym Brytyjczykiem. Chcesz, żebyśmy to też sprawdzili?

Williams zastanawiał się przez chwilę. Miał już do czynienia z przypadkami fałszywej tożsamości, na akademii SIS nauczono go też, jak zaopatrywać się w lewe dokumenty. Dobrze, niech sprawdzą. Może uda mu się wykryć szpiega?

— Słuchaj, Burt, zróbcie to dla mnie, jeśli możecie.

— Zadzwonię jutro — obiecał pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych i odłożył słuchawkę.

Ze swej strony Peter Williams włączył komputer i wysłał e-mail do Londynu. Tak oto wyglądał całkiem zwyczajny dzień młodego wiekiem i bardzo młodego stażem oficera wywiadu na jego pierwszej zagranicznej placówce. Nowy Jork pod pewnymi względami bardzo przypominał Londyn: wielkie, bezosobowe miasto z mnóstwem muzeów i teatrów, tyle że, niestety, Amerykanom brakowało dobrych manier jego rodaków.

Sierow, pomyślał. Rosyjskie nazwisko, ale na Rosjan wpada się przecież wszędzie.

Mieszkają w Londynie, a już w Nowym Jorku nie sposób ich uniknąć. Wprost ze statku lub samolotu przesiadają się do taksówek, nie znając nie tylko ulic miasta, ale nawet języka.

Brytyjski paszport na rosyjskie nazwisko... i co z tego?

Pięć i pół tysiąca kilometrów od Nowego Jorku nazwisko Sierowa wprowadzono do systemu komputerowego SIS. Przepuszczono je przez system i niczego nie znaleziono, program wykonujący miał jednak duże możliwości i wykorzystywał je. Samo nazwisko wystarczyło wprawdzie — system sprawdził je także w brzmieniu Serov, Seroff i Serof — ale kiedy przyszedł

e-mail z Londynu komputer rozpoznał go i wysłał na biurko oficera dyżurnego. Wiedząc, że wiek właściciela paszportu pasował do podanych parametrów, oficer dyżurny oznaczył e-mail i przesłał go do terminalu komputerowego osoby, od której wyszło polecenie rozpoczęcia poszukiwań Sierowa, Władimira Andriejewicza.

Po pewnym czasie informacja pojawiła się jako list elektroniczny w komputerze Billa Tawneya. Cholernie przydatne są te komputery, pomyślał Bill drukując list. Nowy Jork.

Interesujące. Zadzwoił pod numer konsulatu i otrzymał połączenie z Peterem Williamsem.

Przedstawił się.

— Macie coś jeszcze w sprawie paszportu tego Sierowa? — spytał.

— Owszem, w środku znaleźliśmy dwie karty kredytowe, MasterCard i Visa, obie platynowe. — Nie musiał dodawać, że oznaczało to wysoką sumę kredytu.

— Doskonale. Proszę o natychmiastowe wysłanie mi zdjęcia i numerów kart kredytowych przez bezpieczną linię. — Tawney podał chłopakowi numer telefonu.

— Tak jest, natychmiast to załatwię — zgodził się przejęty Peter. Ciekawe, o co w tym wszystkim chodzi. I kim, do cholery, jest ten William Tawney? W każdym razie pracuje do późna — w Anglii było pięć godzin później niż w Nowym Jorku, a on sam już zastanawiał się, co zje na kolację.

— John?

— Tak, Bill — odparł zmęczonym głosem Clark, który siedział zgarbiony, wpatrzony w biurko i właśnie zastanawiał się, czy tego dnia zobaczy wnuka.

— Nasz przyjaciel Sierow właśnie pokazał się na horyzoncie.

John zareagował błyskawicznie. Oczy mu się zwęziły.

— Tak? Gdzie?

— W Nowym Jorku. W koszu na śmieci na La Guardia znaleziono brytyjski paszport i dwie karty kredytowe. Paszport i karty kredytowe wystawione były na nazwisko Władimir A.

Sierow.

— Sprawdźcie karty, może...

— Już zadzwoniłem do attachè prawnego waszej ambasady w Londynie, żeby sprawdzili konta. W ciągu godziny powinienem mieć jakieś informacje. John, to może oznaczać przełom. —

W głosie Anglika brzmiała radość.

— Kto to prowadzi w Stanach?

— Gus Werner, zastępca dyrektora FBI, wydział terroryzmu. Spotkałeś go kiedyś?

— Nie. — Clark pokręcił głową. — Ale słyszałem o nim.

— Znam Gusa osobiście. To dobry gliniarz.

FBI utrzymuje przyjazne stosunki z wieloma wielkimi firmami. Visa i MasterCard nie są pod tym

względem wyjątkiem. Agent FBI zadzwonił do obu firm ze swego biura w Budynku Hoovera i podał numery kart szefom ich wydziałów bezpieczeństwa. Obaj byli byłymi agentami FBI — Biuro kierowało na tego typu pozycje wielu swych emerytowanych pracowników, tworząc swego rodzaju sieć przyjaciół na odpowiedzialnych stanowiskach. W obu przypadkach szefowie zajrzeli do komputerów i znaleźli w nich dane o koncie łącznie z nazwiskiem, adresem, rejestrem transakcji i — co najważniejsze — ostatnimi wypłatami. Lot British Airways z lotniska Heathrow w Londynie na lotnisko O'Hare w Chicago. Informacja ta pojawiła się na monitorze komputera agenta w Waszyngtonie.

— No i co? — spytał Gus Werner, kiedy młody agent pojawił się w jego gabinecie.

— Wczoraj późnym wieczorem złapał lot z Londynu do Chicago. Z Chicago do Nowego Jorku poleciał ostatnim rejssem, dostał bilet na dodatkowe miejsce, kupiony w ostatniej chwili.

Dokumenty musiał wyrzucić zaraz po przylocie na miejsce. Tu mamy wszystko. — Agent podał szefowi wydruki informacji o ostatnich wypłatach i faks formularza zakupu biletu. Werner szybko przeczucił strony.

— O cholera! — stwierdził były szef Zespołu Odbijania Zakładników. — Jimmy, wygląda mi to na strzał w dziesiątkę.

— Tak jest! — zameldował służbiście młody agent, świeżo przeniesiony z biura terenowego w Oklahoma City. — Tylko jedna sprawa pozostaje nie wyjaśniona: jakim cudem dostał się do Europy. Wszystko mamy udokumentowane, jest nawet taki lot z Dublina do Londynu, nie mamy tylko nic stąd do Irlandii — zauważył przytomnie James Washington.

— Może ma jeszcze kartę American Express. Zadzwoń i sprawdź.

— Jasne, proszę pana.

— Z kim mam się kontaktować w tej sprawie?

— Nazwisko i numer jest tu, na pierwszej stronie.

— A rzeczywiście, doskonale. Znam go. Dziękuję, Jimmy. — Werner podniósł

słuchawkę i wykręcił międzynarodowy numer telefonu. — Z panem Tawneyem proszę — powiedział, gdy odezwała się centrala. — Mówi Gus Werner z kwatery głównej FBI w Waszyngtonie.

— Cześć, Gus. Szybko reagujecie. — Bill Tawney właśnie wkładał rękę w rękaw płaszcza. Chętnie wróciłby już do domu.

— Cuda ery komputerowej, Bill. Mam prawdopodobny ślad tego waszego Sierowa.

Wczoraj odleciał z Heathrow do Chicago. Było to trzy godziny po strzelaninie w Hereford. Mam zamiar na wypożyczony samochód, rachunek hotelowy i odcinek biletu na lot Chicago-Nowy Jork.

— Adres?

— Aż tak to szczęście nam nie dopisało. Skrytka pocztowa na dolnym Manhattanie. Bill, powiedz mi, czy to naprawdę takie ważne?

— Gus, jeszcze ważniejsze! Sean Grady podał nam to nazwisko, a inny facet z PIRA je potwierdził. Niedługo przed atakiem ten Sierow dał im sporą sumę pieniędzy i pięć kilo kokainy.

W tej chwili Szwajcarzy szukają dla nas tej forsy. A teraz okazuje się, że facet operuje ze Stanów. Bardzo interesujące.

— Musimy jak najszybciej złapać sukinsyna — powiedział Werner bardziej do siebie niż do rozmówcy. FBI dołoży wszelkich starań, by wspomóc śledztwo w tej sprawie, bowiem amerykańskie przepisy prawne w sprawach o terroryzm obejmowały cały świat. Podobnie było z narkotykami.

— Spróbujesz? — spytał Tawney.

— Jasne, przyjacielu. Rozpoczął się sezon polowań na pana Sierowa.

Werner pogrzebał w komputerze w poszukiwaniu nazwy kodowej. Będzie to ważna i tajna sprawa, więc powinna nazywać się... nie, nie tak. Kazał maszynie wybrać następne w kolejce słowo.

— Panie Werner? — powiedziała sekretarka. — Mam pana Henriksena na trzeciej linii.

Gus Werner natychmiast podniósł słuchawkę.

— Cześć, Bill — przyjaźnie przywitał znajomego.

— Fajny mały gościu, prawda? — cieszył się Chavez.

John Conor Chavez leżał w plastikowym łóżeczku-kołysce, w tej akurat chwili rozkosznie śpiąc. Kołyska podpisana była jego imieniem i nazwiskiem, ale jeszcze skuteczniej identyfikował

małego czuwający nad nim uzbrojony policjant. Kolejny policjant pilnował mamy, a teren wokół

szpitala patrolowała trójka komandosów SAS — ich nieco trudniej było zidentyfikować, ponieważ nie strzygli się na jeża. I znów sprawdzało się stare przysłowie o zamknięciu stajni po ucieczce konia, Dingowi nie przeszkadzało jednak, że jego żona i syn są dobrze pilnowani.

— Większość niemowląt jest taka urocza — sprowadził go na ziemię John Clark, pamiętając doskonale jak w tym wieku wyglądały Patsy i Maggie... Cały czas zdawało mu się zresztą, że takie

malutkie były zaledwie wczoraj. Jak większość mężczyzn, swych dzieci nie przestał uważać za dzieci i zawsze miał pamiętać tę chwilę, kiedy w szpitalu po raz pierwszy brał

na ręce owinięte w śpioszki i kocyki pakuneczki. Teraz znów przyszło mu kąpać się w tej radości. Doskonale wiedział, jak w tej chwili czuje się tata — jednocześnie dumny i lekko przestraszony odpowiedzialnością, nieodłącznie związaną z ojcostwem. Cóż, tak urządzony jest ten świat. Podobny do matki, pomyślał jeszcze, a więc do jego rodziny, i bardzo dobrze. Na tę myśl uśmiechnął się ironicznie. Ciekawe czy śni po hiszpańsku? Zresztą, jeśli dorastając nauczy się hiszpańskiego... Czy to źle być dwujęzycznym?

W tym momencie odezwał się pager. Szczęśliwy dziadek niezbyt chętnie podniósł go do oczu. Numer Billa Tawneya. Wyjął z kieszeni bezpieczny telefon komórkowy i zadzwonił. Pięć sekund trwało, nim systemy kodowania nadajnika i odbiornika w pełni się ze sobą zsynchronizowały.

— O co chodzi, Bill?

— Dobre wieści, John. FBI jest już na tropie Sierowa. Pół godziny temu rozmawiałem z Gusem Wernerem. Ustalili, że wczoraj odleciał z Heathrow do Chicago, a z Chicago do Nowego Jorku. Nowojorski adres był też na kartach kredytowych.

Kolejnym krokiem było poszukiwanie prawa jazdy, którego nie znaleźli, co oznaczało, że nie będą mieli aktualnego zdjęcia poszukiwanego. Agenci FBI sprawdzający Albany byli nieco rozczarowani, lecz nie zaskoczeni. Jutro czekało ich nowe zadanie — rozmowa z pracownikami poczty, na której ich klient wynajął sobie skrytkę.

— To co, Dmitrij, wracałeś w pośpiechu? — spytał Brightling.

— Wydawało mi się to dobrym pomysłem — odparł Popow. — Cała ta operacja była jedną wielką pomyłką. Żołnierze Tęczy są za dobrzy, żeby dało się ich tak zaatakować. Ludzie Seana naprawdę zrobili, co mogli. Plan wyglądał na znakomity, ale przeciwnik reagował z błyskawiczną szybkością. To wspaniale wyszkoleni żołnierze, co zresztą dało się wywnioskować z poprzednich akcji.

— Ale nawet taki atak musiał nieźle nimi wstrząsnąć, prawda?

— Być może. — Rosjanin nie sprawiał wrażenia przekonanego. W tym momencie do pokoju wszedł Henriksen.

— Złe nowiny — oznajmił od progu.

— Co się stało?

— Dmitrij, skopałeś sprawę.

— Tak? — Popow nie ukrywał ironii.

— Nie jestem pewien, ale wiedzą, że jakiś Rosjanin namierzył terrorystów na Tęczę.

Sprawa już dotarła do FBI. Pewnie wiedzą, że jesteś w Nowym Jorku.

— Niemożliwe! Chwileczkę... Owszem, dostali Grady'ego, prawdopodobnie sypał... Tak, wiedział, że przyleciałem z Ameryki, a może tylko się domyślił, zna nazwisko, którego używałem, ale paszport na to nazwisko wyrzuciłem do śmieci.

— Może i tak, ale właśnie rozmawiałem z Gusem Wernerem. Pytałem go o sprawę Hereford, czy może coś o niej powiedzieć. Powiedział, że właśnie założyli akta w sprawie poszukiwań faceta o rosyjskim nazwisku. Mają powód, by wierzyć, że to Rosjanin, bazujący zapewne w Stanach, nawiązał pierwszy kontakt z PIRA. Co oznacza, że znają twoje nazwisko, a to oznacza, że będą teraz sprawdzali nazwiska na listach pasażerów. Nie waż się nie doceniać FBI, przyjacielu.

— Nigdy — oparł Rosjanin, lekko, ale tylko lekko, przestraszony. Niełatwo będzie sprawdzić listy pasażerów wszystkich lotów transatlantyckich, nawet w epoce komputerów. Już postanowił, że następny zestaw dokumentów wyrobi sobie na nazwisko Jones, Smith, Brown albo Johnson, zamiast używać nazwiska szefa KGB, który popadł w niełaskę na początku lat sześćdziesiątych. To nazwisko było z jego strony żartem, jak się okazało nie najlepszym. Joseph Andrew Brown, postanowił Popow, siedząc sobie w gabinecie na najwyższym piętrze firmowego wieżowca.

— Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? — spytał Brightling.

— Jeśli znajdą pana Popowa, owszem — przytaknął Henriksen. John Brightling skinął głową i podjął decyzję.

— Dmitrij, byłeś kiedyś w Kansas? — spytał.

— Dzień dobry, panie Maclean — powiedział Tom Sullivan.

— A, to panowie. Chcecie porozmawiać, prawda?

— Jeśli nie zrobi to panu kłopotu — usprawiedliwił się lekko Frank Chatham.

— Ależ skąd. Wejdźcie, proszę. — Maclean szeroko otworzył drzwi. Zaprosił agentów do dużego pokoju. Cały czas powtarzał sobie w myśli, że musi zachować spokój. Usiadł, wyłączył dźwięk w telewizorze. — Czego jeszcze chcecie się dowiedzieć?

— Może przypomniał pan sobie jeszcze kogoś, kto mógł dobrze znać Mary Bannister?

Maclean zmarszczył czoło. Potrząsnął głową.

— Nie, nikogo takiego, kogo mógłbym wymienić z nazwiska. To znaczy, rozumiecie panowie, to bar dla samotnych, ludzie przysiadają się do siebie, rozmawiają, zawierają przyjaźnie i... i w ogóle, rozumiecie. — Zamilkł na chwilę. — Może był taki jeden, ale przepraszam, nie wiem, jak się nazywa. Wysoki facet, mniej więcej w moim wieku, jasne włosy, potężny, jakby ćwiczył i w ogóle,

ale nie znam jego nazwiska, przykro mi. Mary z nim tańczyła i chyba popijała, ale poza tym, czy ja wiem.. W środku jest półmrok, kręci się sporo ludzi...

— I odprowadził ją pan do domu tylko ten jeden jedyny raz?

— Tak. Porozmawialiśmy, pożartowaliśmy, ale jakoś się nie zaprzyjaźniliśmy. Ot, zwykła znajomość. Nigdy nie próbowałem jej poderwać, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Po prostu nigdy do tego nie doszło. Jasne, odprowadziłem ją do domu, ale nie wszedłem do środka, nie pocałowałem na dobranoc, po prostu podaliśmy sobie ręce. — Zauważył, że Chatham notuje jego zeznania. Czy to im powiedział poprzednio? Tak, pewnie tak, ale przecież trudno wszystko spamiętać, zwłaszcza gdy w pokoju siedzi dwóch federalnych gliniarzy. Cholera, najgorsze, że rzeczywiście niewiele pamiętał. Tyle że ją wybrał, zaprowadził do samochodu i koniec. Nie miał

pojęcia, gdzie dziewczyna jest teraz, choć uznał, że raczej nie żyje. Wiedział, na czym polegać miała ta część Projektu, co czyniło go zarówno porywaczem, jak i współnikiem morderstwa, ci dwaj z FBI nie mieli się jednak o niczym dowiedzieć. Stan Nowy Jork przywrócił niedawno karę śmierci i z tego, co wiedział, władze federalne też mogły karać śmiercią. Pochylając się, nieświadomie oblizał wargi i wytarł spocone dłonie o spodnie. Wstał, spojrzał w kierunku kuchni.

— Przynieść wam coś do picia, panowie? — spytał.

— Nie, dziękujemy, ale niech pan sobie nie przeszkadza. — Sullivan zauważył właśnie coś, czego nie dostrzegł za pierwszym razem. Napięcie. Czy to tylko niewinne zdenerwowanie, które przecież może się pojawić u każdego rozmawiającego z FBI, czy też facet rzeczywiście coś ukrywa? Patrzyli, jak gospodarz przyrządza sobie drinka.

— Jak opisałby pan Mary Bannister? — spytał Sullivan.

— Ładna, ale nie taka, żeby zaraz zwalić z nóg. Miła, łatwo nawiązująca kontakty...

Dziewczyna z prowincji, pierwszy raz w wielkim mieście... Taka zwykła babka, rozumiecie, o co mi chodzi?

— I twierdzi pan, że z nikim się nie przyjaźniła?

— Nic o tym nie wiem, ale przecież nie byłem z nią szczególnie blisko. Co mówią inni?

— Słyszeliśmy, że byliście bardzo zaprzyjaźnieni.

— Może i byliśmy, ale żeby zaraz bardzo? To znaczy, do niczego nigdy nie doszło.

Nawet jej nie pocałowałem. — Maclean, popijający bourbon z wodą, zaczął się powtarzać. —

Może i chciałem, ale jakoś nie wyszło — przyznał.

— A z kim w barze był pan naprawdę blisko? — spytał Chatham.

— To chyba moja prywatna sprawa.

— Przecież wie pan, jak to jest. Próbujemy wyczuć to miejsce, jak to właściwie wygląda, takie różne sprawy...

— Panowie, ja nie spotykam się z dziewczynami, żeby się przechwalać. To nie w moim stylu.

— Trudno mieć o to do pana pretensję. — Sullivan uśmiechnął się ciepło. — Ale jak na bary dla samotnych, ma pan raczej niezwykły styl.

— Jasne, są faceci, którzy oznaczają zdobycze nacięciami na kolbie, ale nie ja.

— Więc Mary Bannister znikła, a pan nic nie zauważył?

— Może i zauważyłem, ale jakoś się nad tym nie zastanawiałem. Ludzie pojawiają się, a potem znikają, to nie jest społeczność zamknięta. Raz są, raz ich nie ma, niektórych w ogóle się już nie spotyka.

— Dzwonił pan kiedyś do niej?

Maclean zmarszczył brwi.

— Nie. Nie pamiętam nawet, czy dała mi numer telefonu. Pewnie jest zresztą w książce telefonicznej, ale nie, nigdy do niej nie dzwoniłem.

— Tylko ten jeden jedyny raz odprowadził ją pan do domu?

— Owszem tylko ten jeden jedyny raz — potwierdził Maclean, pociągając solidny łyk bourbona. Niechże wreszcie ci dwaj inkwizytorzy wyniosą się do diabła! Czyżby coś wiedzieli?

Dlaczego wrócili? Dobrze przynajmniej, że w mieszkaniu nie ma żadnego dowodu na to, by znał

jakąkolwiek dziewczynę z „Pod Żółtciem”. No, może zapisane gdzieś numery telefonów, ale po tych, które od czasu do czasu gościł, nie pozostała nawet pończocha. — Przecież, panowie, rozejrzeliście się tu przy pierwszej wizycie — powiedział.

— Ależ nie ma sprawy. Zawsze to robimy. Kwestia rutyny — powiedział swobodnie Sullivan. — Będziemy już lecieć, za parę minut mamy spotkanie w pobliżu. Dziękuję, że zgodził

się pan z nami porozmawiać. Nie zgubił pan wizytówki?

— Nie, jest w kuchni, na drzwiach lodówki.

— Świetnie. Proszę zrozumieć, dla nas to trudna sprawa. Gdyby przypomniał pan sobie coś, cokolwiek, proszę dzwonić.

— Jasne. — Kirk Maclean odprowadził gości, zamknął drzwi i pociągnął kolejny wielki łyk whisky.

— Denerwuje się — zauważył Chatham, kiedy wyszli na ulicę.

— I to bardzo. Mamy wystarczająco wiele na wywiad środowiskowy?

— Żaden problem.

— Zaczynamy jutro rano — zdecydował starszy stopniem Sullivan.

Była to jego druga podróż na lotnisko Teterboro w New Jersey, położone po drugiej stronie rzeki w stosunku do Manhattanu, tym razem czekał jednak na niego inny samolot, z wypisaną na stateczniku pionową nazwą HORIZON CORP. Popow nie próbował żadnych sztuczek, pewien, że uciec może z każdego miejsca w Stanach Zjednoczonych, a poza tym doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Henriksen powstrzyma szefa, gdyby ten chciał się zachować nieodpowiedzialnie. Podróż zapowiadała się więc interesująco, drażniła ciekawość.

Rosjanin usiadł w lewym fotelu przy oknie, czekając na start maszyny. Miał nawet obsługę, bardzo ładną stewardesę, która podała mu szklaneczkę wódki Finlandia. Popijał spokojnie, obserwując ziemię uciekającą spod skrzydeł *Gulfstreama V*. Kansas, pomyślał, stan pszenicznych pól i tornad. Jeszcze trzy godziny.

— Pan Henriksen?

— Tak, kto mówi?

— Kirk Maclean.

— Czy coś się stało? — spytał zaniepokojony Henriksen, bo w głosie Macleana wyraźnie słychać było strach.

Ruch

Na dworze było już ciemno. Kiedy Popow wysiadł z samolotu, zobaczył czekający na niego wielki, przypominający wojskowe, pojazd. Zauważył biały pas pośrodku asfaltu, zaczął się więc zastanawiać, czy to pas lotniska, czy też jakaś wiejska droga. Ale nie, nieco dalej zauważył

wielki, częściowo oświetlony budynek. Zaciekawiony, jak jeszcze nigdy w życiu, Rosjanin wsiadł do pojazdu, który natychmiast ruszył w tym kierunku. Wzrok powoli przyzwyczajał mu się do ciemności. Otaczający go teren wydał mu się bardzo płaski, z widocznymi tu i ówdzie nieznacznymi wzniesieniami. Kiedy odwrócił się, dostrzegł cysternę podjeżdżającą do samolotu

— zapewne miał on natychmiast wracać do New Jersey. Jasne, tego rodzaju maszyny są kosztowne, więc Brightling chciał pewnie mieć ją tam, gdzie mógłby jej użyć. Popow nie wiedział, że Horizon Corporation dysponuje całą flotą odrzutowców, i że właśnie z fabryki pod Savannah w Georgii odebrała trzy następne.

Kiedy wchodzili do budynku, poczuł, że zmęczenie podróżami wcale mu nie przeszło.

Umundurowany strażnik odprowadził go do windy, którą pojechali na trzecie piętro, gdzie, jak się okazało, miał mieszkać. Jego kwatery przypominała pokój w średniej klasy hotelu, wyposażony w kuchenkę mikrofalową i lodówkę. Znajdował się tu także telewizor i magnetowid.

Taśmy znalazł obok, w szafce. Same programy przyrodnicze: lwy, niedźwiedzie, łosie, łososie.

Nie znalazł ani jednego filmu fabularnego. Magazyny na stoliku przy łóżku poświęcone były podobnej tematyce. Dziwne. Sytuację ratował bar zaopatrzony w satysfakcjonujący wybór trunków, wśród których była też wódka Absolut, równie dobra jak jego ulubione wódki rosyjskie.

Nalał sobie drinka, włączył telewizor i odnalazł CNN.

Henriksen jest przesadnie ostrożny, pomyślał. Bo i co może mieć na mnie FBI?

Nazwisko? Dobrze. Po nazwisku dotrą zapewne do... Tak, jeśli będą mieli mnóstwo szczęścia, to do kart kredytowych, z których odtworzą trasę jego podróży, nic z tego nie będzie miało jednak wartości dowodowej przed sądem. Nie, jeśli Sean Grady nie zidentyfikuje go jako łącznika przekazującego informacje i fundusze, jest całkowicie bezpieczny, a zdaniem Popowa Grady nie będzie chlapać przed Brytyjczykami. Zbyt mocno ich nienawidził. Wystarczyło więc zaszyć się w mysia dziurę i przykryć pokrywką — bardzo podobał mu się ten amerykańizm. Pieniądze ukryte na drugim szwajcarskim koncie można zapewne wytropić, ale i tę sprawę da się niewątpliwie załatwić przy użyciu odpowiednich środków. Prawnicy, co odkrył z radością, byli szalenie użyteczną instytucją. Działali sprawniej niż całe KGB razem wzięte.

Nie, jedynym prawdziwym zagrożeniem mógłby stać się dla niego jego pracodawca, nie znający reguł gry, ale za to Henriksen zna je niewątpliwie, więc mu pomoże. Popow odprężył się zupełnie i powoli popijał wódkę. Jutro obejrzy sobie dokładnie, gdzie się znalazł, a ze sposobu, w jaki go

traktowali, wynikało wyraźnie, że...

Nie, jest przecież prostszy sposób. Podniósł słuchawkę telefonu, stuknął w dzwonek, uzyskując dostęp do zewnętrznej linii, a następnie zadzwonił do swego nowojorskiego mieszkania. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. A więc może kontaktować się ze światem, co oznacza, że jest bezpieczny, nadal nie wiedział jednak o co w tym wszystkim chodzi. Pod tym względem nie posunął się o krok od czasu pierwszego spotkania we Francji, podczas którego zabawiał amerykańskiego biznesmena historiami z życia byłego terenowego agenta KGB. A teraz siedział tu, w Kansas, popijając wódkę i oglądając telewizję, mając na dwóch kontach w Szwajcarii w sumie ponad sześć milionów dolarów. Osiągnął

pierwszy cel, przyszedł więc czas na osiągnięcie następnego. Musiał znaleźć odpowiedź na pytanie: o co im, do diabła, chodzi? Czy znajdzie ją tu? Żył szczerą nadzieję, że tak.

Załadowane po brzegi samoloty jeden za drugim lądowały na lotnisku międzynarodowym Kingsforda Smitha w Sydney, większość z nich na pasie wdzierającym się w zatokę Botany, słynną z tego, że tu właśnie po rejsie przez pół świata dobijały drewniane statki z Anglii, wiozące więźniów i wyrzutek społecznych. Ich zadaniem było zbudowanie sobie własnego państwa. Ku wielkiemu zdumieniu wysyłających ich w ową podróż, doskonale sobie oni z tym zadaniem poradziły.

Wśród pasażerów samolotów byli także świetnie wytrenowani sportowcy, najlepsi z najlepszych w swych krajach, które wysłały ich tu, by reprezentowali je na oczach świata. Przede wszystkim jednak do Australii przylatywali turyści, którzy w agencjach podróży wykupili drogie wycieczki lub otrzymali je jako prezenty od polityków lub organizatorów. Wielu z nich przypięło do strojów miniaturowe flagi swych państw. Nieliczni biznesmeni zmuszeni byli wysłuchiwać ciągnących się w nieskończoność dyskusji kibiców.

Po wylądowaniu, sportowcy, traktowani niczym głowy państw, zapraszani byli z honorami do autobusów i autostradą numer 64 odwiezieni do kwater w wiosce olimpijskiej, wybudowanej przez rząd Australii wielkim nakładem sił i kosztów. Obok wioski wznosił się stadion — zawodnicy przyglądali mu się zastanawiając się, czy będzie on świadkiem ich chwały.

— I co pan o tym myśli, panie pułkowniku?

— Piękny stadion, nie ma dwóch zdań — odparł emerytowany pułkownik wojsk chemicznych Armii Stanów Zjednoczonych, Wilson Gearing. — Tylko że w lecie to u was raczej gorąco, przyjacielu.

— Efekt El Niño. Prądy oceaniczne przy wybrzeżu Ameryki Południowej znów zmieniły konfigurację, co spowodowało wyjątkowy wzrost temperatury w naszym kraju. Przez cały czas ma być powyżej trzydziestu pięciu stopni.

— Dobra, ale mam nadzieję, że ten wasz system schładzania działa, bo inaczej nie nadążycie zabierać ze stadionu ludzi z porażeniem słonecznym.

— Działa, panie pułkowniku — upewnił go australijski gliniarz. — Został bardzo wszechstronnie sprawdzony.

— Mógłbym może od razu się mu przyjrzeć? Bill Henriksen chciał, żebym sprawdził, czy ewentualni terroryści nie mogliby go przypadkiem użyć do rozpylenia środków chemicznych.

— Oczywiście. Proszę za mną. — Na miejscu znaleźli się w ciągu pięciu minut.

Australijczyk miał klucze do stacji pomp. Otworzył ją dla amerykańskiego gościa.

— Ach, tu chlorujecie wodę? — Gearing zdziwił się lekko. Przecież czerpali ją z systemu wodociągowego Sydney.

— Owszem. Nie chcemy zarazić gości z całego świata zarazkami.

— Oczywiście.

Amerikanin dokładnie przyjrzał się plastikowemu pojemnikowi z chlorem, umocowanemu na rurach za pompami. Woda przepływała przezeń, nim dostała się do systemu zraszaczy, który znajdował się przy wszystkich wejściach i bramach stadionu. System trzeba będzie przepłukać czystą wodą przed wprowadzeniem do niej Sziwy, ale z tym nie powinno być żadnych kłopotów, a pułkownik miał w pokoju pojemnik, podobny do tego tutaj jak dwie krople wody. Jego zawartość przypominała nawet chlor, choć w nanokapsułkach zamknięty był wirus.

Przyglądając się systemowi zimnymi piwnymi oczami, myślał właśnie o Sziwie. Przez całe swe zawodowe życie, najpierw w składzie broni chemicznej w Edgwood w Marylandzie, następnie na poligonie Dugway w Utah był specjalistą od wojny chemicznej, ale to, co teraz zamierzał zrobić, nie było wojną chemiczną, prawda? Już raczej biologiczną — rodzoną siostrą tej, której poświęcił przeszło dwadzieścia lat.

— Czy te drzwi są strzeżone? — spytał.

— Nie, ale podłączyliśmy alarm, a systemu nie da się rozpracować tak od razu, potrzeba na to ładnych kilku minut. Włączenie alarmu sygnalizowane jest w punkcie dowodzenia. Mamy tu duży oddział szybkiego reagowania.

— Jak duży?

— Dwudziestu żołnierzy SAS i dwudziestu policjantów zawsze na miejscu. Po stadionie krąży dziesięciu żołnierzy SAS w dwuosobowych patrolach. Żołnierze w centrum dowodzenia uzbrojeni są w broń maszynową, patrole na stadionie w broń krótką. Kilometr stąd stacjonuje jednostka wsparcia w sile plutonu, dysponująca lekkimi pojazdami opancerzonymi i bronią ciężką. Dwadzieścia kilometrów od stadionu stacjonuje batalion piechoty z helikopterami.

— Brzmi nieźle — stwierdził z przekonaniem pułkownik Gearing. — Jaki jest kod alarmu do stacji pomp?

— Jeden-jeden-trzy-trzy-sześć-sześć. — Nawet się nie zawahał. W końcu Gearing był

emerytowanym oficerem Armii USA oraz wysoko postawionym pracownikiem firmy konsultingowej

wynajętej do czuwania nad bezpieczeństwem olimpiady. Pułkownik zapisał kod na wszelki wypadek, a następnie na próbę uzbroił i rozbroił system. Uznał, że pojemniki da się podmienić bardzo szybko, w końcu system ten zaprojektowano mając na myśli także szybkość i prostotę obsługi. Wszystko wyglądało tu dokładnie tak, jak na modelu w Kansas, na którym on i jego ludzie trenowali przez ostatnie kilka dni. Czas wymiany wynosił czternaście sekund, a tymczasem nawet przy dwudziestu sekundach nikt nie dostrzegłby przerwy w działaniu zraszaczy

— do jego działania przez ten krótki czas wystarczyło wytworzone ciśnienie.

Niemniej Gearing dopiero teraz zobaczył miejsce, w którym przyjdzie mu dokonać prawdziwej zamiany, i krew na moment zastygła mu w żyłach. Planowanie to jedno, obejrzenie właściwego terenu operacji to coś zupełnie innego, a właśnie w tej chwili go oglądał. To tu nastąpi pierwszy atak choroby, która zabije niemożliwą wręcz do policzenia liczbę ludzi i która, w swym ostatecznym efekcie, pozostawi przy życiu wyłącznie wybranych. Ocala Ziemię, oczywiście, ale cena jej ocalenia będzie straszna. Jednak pułkownik poświęcił się tej operacji już przed laty. Widział, jak daleko posuwa się człowiek niszcząc wszystko, co nawija mu się pod rękę. Był młodym porucznikiem na poligonie w Dugway, kiedy zdarzył się słynny wypadek z GB, środkiem neurologicznym trwałego działania, który rozproszył się za daleko i zabił kilkaset owiec, a śmierć od neurotoksyny nie była lekka. Media nie zająknęły się nawet o dzikich zwierzętach, a przecież one wszystkie — od owadów po antylopy — zginęły tą samą straszną śmiercią. Wstrząsnęło nim, że jego własna Armia Stanów Zjednoczonych potrafi popełnić tak koszmarny błąd, sprawić tyle cierpienia. Potem było już tylko coraz gorzej. Środki binarne nad którymi pracował, próbując wytworzyć „bezpieczne” trucizny do użycia na polu walki...

Najśmieszniejsze, że wszystko to zaczęło się w Niemczech w latach dwudziestych i trzydziestych od prac nad środkami owadobójczymi. Większość środków owadobójczych była właśnie prostymi neurotoksynami, atakującymi prymitywny system nerwowy mrówek i żuków, ale niemieccy chemicy wpadli przy okazji na ślad kilku najgroźniejszych w świecie środków chemicznych. W trakcie służby Geary wielokrotnie współpracował z wywiadem, oceniając informacje dotyczące fabryk broni chemicznej w krajach, które pod żadnym warunkiem nie powinny dysponować tego typu bronią.

W przypadku broni chemicznej istniał jeden poważny problem: dystrybucja, czyli jak zaatakować nią równo całe pole bitwy, by skutecznie zabijać nieprzyjacielskich żołnierzy. Fakt, że wiatr zaniósłby ją poza linię frontu, że zginęliby cywile, ignorowany był zawsze przez dowódców i polityków, niczym wstydlivy sekret rodzinny. A już z pewnością nic nie obchodziły ich zwierzęta, które również ginęłyby masowo i — co może najgorsze — także straszliwe skutki genetyczne. Nawet najdrobniejsze ilości gazów działających na układ nerwowy, nie doprowadzające do śmierci, atakowały DNA ofiary, powodując mutacje mające trwać przez pokolenia. Geary spędził pół życia doskonale zdając sobie z tego sprawę, co być może znieczuliło go na tyle, że mógł bez większych emocji rozpatrywać morderstwo na skalę naprawdę masową.

Teraz jednak miał zupełnie inne zadanie. Nie rozsiewa przecież organofosforowej trucizny chemicznej, lecz drobnuteńkie wirusy. Ludzie, którzy przejdą przez chłodzącą mgłę wchodząc na stadion lub przemieszczając się po nim z miejsca na miejsce, zainfekowani zostaną wirusem, związki chemiczne w ich ciałach rozpuszczą nanokapsułki i Sziwa weźmie się do roboty, zrazu niespiesznie, a kiedy wrócą do domów, będą zarażać innych. Po czterech do sześciu tygodni od zakończenia

olimpiady w Sydney na całym świecie wybuchnie epidemia, a właściwie pandemia, której skutkiem będzie powszechna panika. Wówczas to Horizon Corporation poinformuje, że dysponuje eksperymentalną szczepionką A, sprawdzoną na zwierzętach, w tym naczelnych, bezpieczną dla człowieka i gotową do masowej produkcji. Szczepionka będzie masowo produkowana i rozprowadzana na całym świecie, zaszczepieni nią ludzie również zachorują po czterech do sześciu tygodni. Przy odrobinie szczęścia populacja świata zmniejszy się do ułamka promila dzisiejszej wielkości. Panika, rozruchy, walki zabiją większą część tych, których natura pobłogosławiła systemem odpornościowym wystarczająco silnym, by samodzielnie zwalczył

Sziwę, i po około sześciu miesiącach przy życiu pozostaną tylko ci wybrani, doskonale zorganizowani i wyposażeni, bezpieczni w enklawach w Kansas i w Brazylii — po sześciu miesiącach oni odziedziczą świat, powracający powoli do stanu naturalnego. Pułkownik spojrzał na Australijczyka.

— Jaka jest długoterminowa prognoza pogody? — spytał.

— Upał i susza, przyjacielu. Mam nadzieję, że sportowcy naprawdę są w dobrej formie.

Będą jej potrzebowali.

— No to wasz system schładzania może okazać się prawdziwym błogosławieństwem.

Byle nie dopuścić, by bawili się nimi terroryści. Za pana pozwoleniem, każę moim ludziom mieć oko na to pomieszczenie.

— Doskonale — zgodził się policjant, myśląc jednocześnie, że Amerykanie mają chyba fioła na punkcie tego urządzenia, choć, z drugiej strony, w przypadku specjalisty od broni chemicznej może to być zrozumiałe.

Zasypiając Popow nie zaciągnął zasłon w oknach, więc o wschodzie słońca przebudził się raczej gwałtownie. Otworzył oczy i natychmiast zamknął je, oślepiony boleśnie jaskrawymi słonecznymi promieniami. Powłókł się do łazienki. W szafce znalazł Tylenol oraz aspirynę, we wnęce kuchennej zaś kawę i ekspres. Lodówka była praktycznie pusta. Wykąpał się, wypił kawę i wyruszył na poszukiwanie czegoś do jedzenia. Znalazł jadalnię, wielką, lecz niemal pustą, choć przy ladzie stali jacyś ludzie. Nabrał jedzenie na talerz, usiadł samotnie i zajadał, rozglądając się dookoła. Obecni w jadalni mieli przeważnie trzydzieści do czterdziestu lat, wyglądali na pracowników naukowych i technicznych, niektórzy mieli nawet na sobie białe laboratoryjne fartuchy.

— Pan Popow? — rozległ się jakiś głos i Dmitrij odwrócił się słysząc swe nazwisko.

— Zgadza się.

— Nazywam się David Dawson i jestem szefem ochrony tego obiektu. Mam dla pana identyfikator — wręczył Rosjaninowi prostokąt białego plastiku do przypięcia do koszuli — i z przyjemnością

pokażę panu nasz obiekt. Witamy w Kansas.

— Dziękuję. — Popow przypiął identyfikator. Było na nim nawet jego zdjęcie.

— Proszę nosić go przez cały czas, tak by inni wiedzieli, kim pan jest — powiedział Dawson z uśmiechem.

— Oczywiście, rozumiem. — A więc wszyscy podlegali tu ścisłej kontroli, a budynek był chroniony. Interesujące.

— Jak się panu do nas leciało?

— Wygodnie i bez przygód. — Popow powoli popijał drugą tego ranka filiżankę kawy.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie ja się właściwie znalazłem?

— To placówka badawcza firmy Horizon. Wie pan, czym się zajmuje firma, prawda?

— Oczywiście. Medycyna i badania biologiczne. Jesteście najwięksi na świecie.

— No więc jest to nowa placówka badawczo-rozwojowa, bardzo niedawno ukończona.

Właśnie sprowadzamy tu naszych ludzi. Wkrótce będzie tu główna siedziba firmy.

— Dlaczego właśnie tutaj, na odludziu? — Rosjanin rozejrzał się po niemal pustej jadalni.

— Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy w centrum Stanów Zjednoczonych. Stąd w każde miejsce kraju można dostać się w niespełna trzy godziny. Poza tym nikt nas nie niepokoi.

Jesteśmy bardzo dobrze zabezpieczeni, a firma prowadzi wiele prac wymagających stuprocentowego bezpieczeństwa.

— Boicie się szpiegostwa przemysłowego?

— Oczywiście. — Dawson skinął głową. — Nawet bardzo.

— Mogę się porozglądać, wyjść na zewnątrz i tak dalej?

— Sam pana oprowadzę. Pan Henriksen poinformował mnie, że mamy przyjąć pana z należytą gościnnością. Proszę spokojnie skończyć śniadanie. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Wróć za jakiś piętnaście minut.

— Świetnie, dziękuję. — Popow odprowadził wzrokiem wychodzącego mężczyznę.

Warto dokładnie obejrzeć sobie to miejsce, pomyślał. Wyglądało dziwnie, chłodno, laboratoryjnie, niemal jak jakieś tajne laboratorium rządowe — radzieckie laboratorium rządowe.

Nie miało ducha, charakteru, nie zostało stworzone z myślą o ludziach. Nawet KGB powiesiłoby na szerokiej, białej, nagiej ścianie portret Lenina, wprowadzający do tego wnętrza jakiś ludzki wymiar. A tu? Z jednej strony przyciemniane okna, wychodzące na sięgające po horyzont pola pszenicy przecięte drogą i nic więcej. Zupełnie jak statek na morzu, pomyślał jeszcze Rosjanin, w życiu nic takiego nie widział. Dokończył śniadanie i czekał na gospodarza z nadzieją, że tu wreszcie czegoś się dowie.

— Domingo, ty się tym zajmiesz — powiedział John Clark.

— Trzeba cholernie daleko jechać, a ja przecież dopiero co zostałem ojcem — zaprotestował Chavez.

— Przykro mi, przyjacielu, ale Covington jest wyłączony z akcji, to samo z Chinem.

Wysłałam ciebie i czterech ludzi. Australijczycy znajdują się na robocie, ale prosili, żeby kogoś im podesłać do pomocy. Wybrałem ciebie ze względu na to, jak zawsze doskonale radziłeś sobie w terenie. Rozumiesz?

— Kiedy wyjeżdżam?

— Dzisiaj. Z Heathrow. — John wyciągnął kopertę z biletami.

— Świetnie — burknął Ding.

— Hej, nie martw się, przynajmniej byłeś przy porodzie.

— Szczęście w nieszczęściu. A jeśli coś się zdarzy, kiedy nas nie będzie? — Warto było zaryzykować nawet tak kiepski argument.

— Jakiś oddział złożymy do kupy, ale czy naprawdę sądzisz, że ktoś będzie próbował pociągnąć tygrysa za ogon zaraz po tym, jak rozprawiliśmy się z tymi sukinsynami z PIRA? Bo ja nie.

— Co z tym Rosjaninem, Sierowem?

— FBI próbuje zlokalizować go w Nowym Jorku. Pracuje nad nim cała chmara agentów.

Jednym z tych agentów był Tom Sullivan, który siedział właśnie na poczcie. Znajdująca się tu skrytka 1453 wynajęta została przez tajemniczego pana Sierowa. Znajdowało się w niej trochę reklam i miesięczne rozliczenie karty Visa. Sądząc po datach na kopertach nikt jednak nie otwierał jej przez co najmniej dziewięć dni. Żaden z urzędników nie pamiętał wyglądu właściciela, choć jeden zeznał z wahaniem, że chyba niezbyt często odbierał pocztę. Wynajmując skrytkę Sierow podał adres ulicy odległej o kilkanaście przecznic. Po sprawdzeniu okazało się, że to adres włoskiej piekarni. Numer telefonu został wymyślony, zapewne specjalnie na tę okazję.

— Nie ma wątpliwości, facet jest szpiegiem — powiedział Sullivan, nie zwracając się do nikogo w szczególności, za to zastanawiając się, dlaczego sprawy nie przejął od nich kontrwywiad.

— A przynajmniej tak się zachowuje — zgodził się z nim Chatham. Ich robota dobiegła końca. Nie mieli żadnych dowodów na to, by poszukiwany popełnił przestępstwo, brakowało im też ludzi, więc nie mogli wyznaczyć nikogo do całodobowej obserwacji skrytki.

Popow jadący z Dawsonem w pojeździe wojskowego typu, który kierowca nazywał

Hummerem, musiał przyznać, że ochrona terenu wyglądała doskonale. Każda obrona wymagała głębi, a tej tu nie brakowało. Granice posiadłości dzieliło od budynku co najmniej dziesięć kilometrów.

— Było tu kilka dużych farm, ale przed paru laty Horizon wykupił je wszystkie i rozpoczął budowę. Trochę to trwało, ale teraz wszystko jest gotowe — powiedział Dawson.

— I nadal uprawiacie pszenicę?

— Owszem. Same laboratoria nie zajmują znów tak dużo miejsca, resztę staramy się utrzymać w stanie naturalnym. Jest jej tyle, że wystarczy prawie dla wszystkich pracowników, mamy nawet własny elewator, o tam. — Gospodarz wskazał ręką na północ.

Popow spojrział we wskazanym kierunku. W pewnej odległości dostrzegł masywną betonową konstrukcję. Zdumiewające, jak wielka jest Ameryka, ta równina przypominała mu nawet rosyjskie stepy. Ziemia tu zapadała się odrobinę, ówdzie odrobinę wznosiła, ale nierówności te podkreślały tylko brak choćby niskich wzgórz. Pojechali na północ i po pewnym czasie przejechali przez tory, prowadzące najwyraźniej do elewatora.

Jeszcze dalej, na północy, niemal na horyzoncie, można było dostrzec jadące drogą samochody.

— To północna granica terenu — wyjaśnił kierowca, kiedy wjechali na nieuprawną ziemię.

— A to co takiego?

— Nasze małe stadko antylop. — Skręcili lekko, by podjechać bliżej. Pojazd podskakiwał po kępach trawy.

— Piękne zwierzęta.

— Owszem, bardzo piękne i bardzo szybkie, choć w rzeczywistości nie są to żadne antylopy, genetycznie już raczej kozy. Potrafią biec sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i to długo, prawie przez godzinę. Mają także wspaniałe wzrok.

— Wyobrażam sobie, że trudno je upolować. A ty polujesz?

— Owszem, trudno i nie, nie poluję. Jestem weganem.

— Kim?

— Wegetarianinem. Nie jem mięsa ani w ogóle żadnych produktów zwierzęcych. —

Rzeczywiście, nawet pasek facet miał parciany, nie skórzany.

— Ale dlaczego, David? — Rosjanin nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego.

— Och, po prostu takiego dokonałem wyboru. Nie pochwalam zabijania zwierząt celem zdobycia pożywienia ani z żadnego innego powodu. — Dawson obrócił się i spojrzał gościowi wprost w oczy.

— Nie wszyscy się ze mną zgadzają, nawet tutaj, w Projekcie, ale wielu myśli tak jak ja. Naturę należy szanować, nie wykorzystywać.

— Nie kupisz żonie futra w prezencie?

— Gdzież tam! — roześmiał się Dawson.

— Ja nigdy nie polowałem — stwierdził Popow. — Nie widziałem w tym żadnego sensu, zresztą w Rosji wytrzebiono prawie wszystkie dzikie zwierzęta.

— Tak, słyszałem. Przykre to, ale przecież kiedyś wrócą.

— Jak? Mając przeciw sobie państwowych myśliwych? Ta instytucja przetrwała nawet obalenie komunizmu.

Na twarzy gospodarza Rosjanin dostrzegł w tej chwili wyraz, który widywał wcześniej na twarzach funkcjonariuszy KGB. Facet wiedział coś, o czym nie chciał w tej chwili mówić, choć uznawał to coś za ważne.

— Są i na to sposoby, przyjacielu, są sposoby — powiedział tylko. Wycieczka trwała dobre półtorej godziny. Posiadłość okazała się zdumiewająco wielka. Droga prowadząca do kompleksu pełniła też funkcję pasa startowego. Znajdowało się tu kompletne lotnisko z elektronicznymi urządzeniami do sprowadzania samolotów na ziemię i światłami zatrzymującymi samochody na wypadek lądowania. Intrygujące. Popow poprosił Dawsona o wyjaśnienia.

— To chyba oczywiste. Będą tu lądować i startować *Gulfstreamy*. Podobno mogą u nas lądować prawdziwe samoloty pasażerskie, te średnie, ale czegoś takiego nigdy nie widziałem.

— Doktora Brightlinga musiało to kosztować fortunę.

— Bez wątplenia. Ale wierz mi, warto było zapłacić. „Pasem startowym” podjechali pod budynki.

— Idziemy — powiedział Dawson i zaciekawiony gość ruszył za nim.

Dopiero teraz Popow naprawdę uświadomił sobie, jaką potęgą są wielkie amerykańskie firmy. To,

co widział i podziwiał, mogłoby być i, ze względu na oszałamiające rozmiary, chyba powinno być wielkim kompleksem rządowym. Hotel, w którym spędził noc, mógł pomieścić chyba z tysiąc osób. Po co budować taki hotel w takim miejscu? Czyżby Brightling zamierzał

przenieść tutaj całą swą firmę, wszystkich pracowników? W głąszę, z daleka od miast, lotnisk, wszelkich udogodnień cywilizacyjnych? Dlaczego? Chyba wyłącznie z powodów bezpieczeństwa. Znajdowali się tu poza zasięgiem policji, środków przekazu, dziennikarzy. Pod względem bezpieczeństwa kompleks ten można byłoby równie dobrze wybudować na Księżycu.

Budynek laboratoriów również wydawał się za duży, ale tu przynajmniej coś się działo.

Siedzący przy wejściu recepcjonista znał Dawsona. Nie niepokojeni przeszli do wind, jedną z nich wjechali na czwarte piętro i skręcili w prawo, do biura.

— Cześć, doktorze — powiedział Dawson. — To Dmitrij. Doktor Brightling przysłał go nam wczoraj wieczorem. Zostanie z nami przez jakiś czas.

— Dostałem faks. — Lekarz wstał i wyciągnął rękę. — Dzień dobry, nazywam się John Killgore — powiedział. — Proszę za mną.

Z biura wchodziło się wprost do lekarskiego gabinetu. Killgore kazał Popowowi rozebrać się do bielizny i zbadał go dokładnie: ciśnienie krwi, sprawdzenie wzroku, słuchu i odruchów.

Obmacał mu nawet brzuch, chcąc przekonać się, czy wątroba nie jest powiększona, a na końcu pobrał krew do analizy. Rosjanin poddał się badaniu bez protestu, choć wcale mu się ono nie podobało. Jak większość ludzi, w obecności lekarza czuł się nieco onieśmielony. Wreszcie doktor wyjął z szafki fiolkę i jej zawartością napełnił jednorazową strzykawkę.

— Co to takiego? — zaniepokoił się Rosjanin.

— Środek uodparniający — wyjaśnił lekarz, odkładając fiolkę. Popow wziął ją ze stolika.

Na etykietce widniał tylko tajemniczy ciąg liter i cyfr: B-2100 11-21-00. Nic więcej. Skrzywił się, gdy Killgore wbił mu igłę w ramię. Nie lubił zastrzyków.

— Już po wszystkim — usłyszał. — Wyniki badania krwi będą jutro. Pacjent ubrał się i wyszedł. Nawet nie wie, pomyślał doktor Killgore, że właśnie uratowałem mu życie.

— Równie dobrze mogłoby go w ogóle nie być — powiedział szefowi agent specjalny Tom Sullivan. — Może i ktoś sprawdza za niego pocztę, ale nie zrobił tego w ciągu ostatnich dziewięciu dni.

— Można jakoś sobie z tym poradzić?

— Jeśli chcesz, założymy w skrytce kamerę i czujnik ruchu taki, jaki ci z kontrwywiadu zakładają w

skrzynkach kontaktowych. To się da zrobić, tyle że sporo kosztuje no i wymaga jednego-dwóch ludzi posadzonych gdzieś blisko i czekających na uruchomienie się alarmu. Czy to ważna sprawa?

— Owszem, zrobiła się bardzo ważna — powiedział agent specjalny, zastępca dyrektora biura terenowego w Nowym Jorku. - Zaczął ją Gus Werner i teraz zresztą cały czas patrzy nam przez ramię. Więc pogadaj z kontrwywiadem, niech ci pomogą założyć podgląd na skrytkę.

Sullivan skinął głową, ukrywając zdziwienie.

— Załatwione — obiecał.

— Co w sprawie Bannister?

— W tej chwili nic. Najbliżej czegoś jesteśmy po drugiej rozmowie z tym Kirkiem Macleanem. Zachowywał się dość niespokojnie. Może był po prostu zdenerwowany, ale coś ukrywa. Niestety, nie mamy na niego nic w związku z tymi zaginionymi dziewczynami, tylko tyle, że popijali razem w tym barze „Pod Żółwiem” i trochę rozmawiali. Sprawdziliśmy gościa.

Zarabia nieźle. Pracuje w Horizon Corporation, z zawodu jest biochemikiem. Skończył

Uniwersytet Delaware, magister, pisze doktorat na Columbii. Należy do stowarzyszeń ekologicznych Przyjaciele Ziemi i Klub Sierra, dostaje ich pisma. Jego głównym hobby są piesze wędrówki. Ma w banku dwadzieścia dwa tysiące. Rachunki płaci na czas. Sąsiedzi twierdzą, że jest spokojny, typ samotnika, w miejscu zamieszkania nie ma przyjaciół. Nie wiemy nic o żadnej dziewczynie. Twierdzi, że znał Mary Bannister przelotnie, raz odprowadził ją do domu, żadnych stosunków seksualnych. To wszystko czego się dowiedzieliśmy.

— Jeszcze coś?

— Policyjne ulotki nie dały na razie nic. Nie powiem, że bym był w tej sprawie optymistą.

— Więc co teraz?

Sullivan wzruszył ramionami.

— Za parę dni znów pogadamy z Macleanem. Jak już mówiłem, sprawiał wrażenie zaniepokojonego, nie mamy jednak nic, co usprawiedliwiłoby wzięcie go pod obserwację.

— Rozmawiałem z porucznikiem d'Allesandro. Jego zdaniem w tej części miasta może działać seryjny morderca.

— Niewykluczone. Zaginęła jeszcze jedna dziewczyna, Anne Pretloe i w jej sprawie też nic się nie rusza. Nie mamy od czego zacząć. Ale nadal będziemy próbować. Jeśli to rzeczywiście seryjny morderca, prędzej czy później popełni błąd. — Tymczasem jednak młode dziewczyny nadal wpadać będą w tę czarną dziurę i ani FBI, ani nowojorska policja nic nie mogły na to poradzić. — Jeszcze

nigdy nie miałem do czynienia z taką sprawą.

— A ja miałem — stwierdził szef. — Zabójca z Green River w Seattle. Zebraliśmy na niego tonę materiałów, ale nie udało się nam go dorwać, a morderstwa nagle ustały. Może złapano go za włamanie albo kradzież w sklepie monopolowym, może siedzi w więzieniu stanowym, czeka na przedterminowe zwolnienie i znów zacznie zabijać prostytutki. Doskonale wiemy, jak pracuje jego umysł... ale nic więcej, nie możemy dopasować tej wiedzy do nikogo konkretnego. To są rzeczywiście cholernie trudne sprawy.

W tym samym czasie w jednym z setek nowojorskich barków przy sklepach z gotowymi artykułami spożywczymi Kirk Maclean jadł lunch, na który składała się woda mineralna i sałatka jajeczna.

— I co? — spytał go Henriksen.

— Przyszli do mnie drugi raz, zadawali w kółko te same pytania, zupełnie jakby oczekiwali, że gdzieś się sypnę.

— Sypnąłeś się?

— Nie, cały czas powtarzałem to samo, historyjkę, którą przygotowałem sobie zawczasu.

Skąd wiedziałeś, że tak właśnie na mnie naskoczą?

— Pracowałem w FBI. Prowadziłem sprawy, wiem, jak działa Biuro, jak pracują agenci.

Bardzo łatwo ich zlekceważyć, ale kiedy pojawiaasz się w celowniku... — Henriksen uznał, że chłopaka trzeba dodatkowo ostrzec.

— Co z nimi? To znaczy z dziewczynami?

— Tego nie musisz wiedzieć, Kirk. Pamiętaj, tego nie musisz wiedzieć.

— Oczywiście. — Maclean znał swoje miejsce w hierarchii władzy. — I co teraz?

— Przyjdą do ciebie jeszcze raz. Zrobili już pewnie wywiad środowiskowy i...

— Jaki wywiad środowiskowy?

— Rozmawiali z sąsiadami, współpracownikami, sprawdzili, jakie brałeś pożyczki, na co i jak je spłacałeś, jakim jeździsz samochodem, czy często dostawałeś mandaty, czy byłeś oskarżony lub aresztowany... Jednym słowem szukali czegoś świadczącego, że możesz być facetem, którego szukają.

— Ale niczego nie znajdą — oburzył się Maclean.

— Wiem. — Henriksen przeprowadził wcześniej podobny wywiad. Nie widział sensu w

angażowaniu do łamania prawa w imieniu Projektu kogoś, kto wcześniej już łamał prawo.

Przeciw Kirkowi Macleanowi świadczyło wyłącznie członkostwo w Przyjaciołach Ziemi, którą to organizację FBI traktowało niemal jak terrorystyczną, a w każdym razie z całą pewnością ekstremistyczną. Ale Kirk nie brał udziału w jej pracach, ograniczał się do czytania ich pisemka.

Zresztą ci ludzie miewali doskonałe pomysły, w ramach projektu dyskutowano nawet, czy niektórzy z nich nie powinni dostać szczepionki B. Niestety, większość z nich ratowanie Ziemi pojmowała wyłącznie w kategoriach działalności typu wbijanie w drzewa długich gwoździ, łamiących ostrza pił tarczowych. Doprowadzali tym tylko do furii pracowników tartaków i budzili niechęć tępej opinii publicznej, niczego jej nie ucząc i niczego nie osiągając. Henriksen od lat wiedział doskonale, że na tym właśnie polega problem terrorystów. Ich akcje nie pasowały do aspiracji. Cóż, ci ludzie byli po prostu tępi i nie potrafili znaleźć sposobów na skuteczną działalność. Do tego trzeba znaleźć sobie miejsce w społecznej ekostrukturze, a oni nie byli w stanie podjąć walki na tym polu. Sama ideologia to za mało, potrzebna jest jeszcze inteligencja i umiejętność przystosowywania się. Tylko godni tego zaszczytu zostają wybrani. Kirk Maclean nie był go być może godny, ale stanowił część zespołu, a teraz, niestety, zwrócił na siebie uwagę FBI. Nic wielkiego, wystarczyło, by trzymał się swej historii, ale FBI nim wstrząsnęła, a więc nie można mu już było ufać. Coś z tym trzeba zrobić.

— Pakuj się — zdecydował Henriksen. A niech tam, i tak niedługo zaczynają. — Dziś wieczorem przetrzucimy cię do enklawy Projektu.

— Świetnie. — Maclean szybko skończył sałatkę. Henriksen jadł pastrami. Nie jest wegetarianinem. Szkoda. Może kiedyś się nawróci?

Na niektórych nagich ścianach pojawiły się obrazy, więc może miejsce to stanie się wkrótce mniej nieludzkie, pomyślał Popow. Były to głównie pejzaże: góry, lasy, zwierzęta —

niektóre niezłe, ale większość przeciętna, pasująca w sam raz do jakiegoś taniego moteliku.

Rosjanin nie potrafił przestać się dziwić — na tak ogromny kompleks położony na odludziu wydano fortunę, a obrazy kupowano chyba hurtowo. Cóż, o gustach się nie dyskutuje, a Brightling to przecież technokrata, z całą pewnością nie mający zielonego pojęcia o tym, co w życiu jest piękne. W dawnych czasach byłby pewnie druidem, brodatym facetem w długiej białej szacie czczącym drzewa i zwierzęta, i na kamiennym ołtarzu poświęcającym dziewice ich duchom. A przecież dziewice można wykorzystać do znacznie przyjemniejszych rzeczy. Dziwny człowiek, mieszanka tego, co skrajnie nowe z tym, co skrajnie stare. Całe to towarzystwo dziwnie się zresztą prezentowało. Szef ochrony było „weganem”, nie jedzącym mięsa. Toż to bzdura! Horizon Corporation przewodziła światu w najnowocześniejszych badań biologicznych i medycznych, a jej pracownicy byli szaleńcami wyznającymi prymitywne, pogańskie wierzenia.

To pewnie taka amerykańska poza, pomyślał. Brightling, geniusz naukowy i finansowy, wynajął go celem znalezienia gotowych do działania terrorystów...

...A potem sprowadził tutaj. Ciekawe, po co? — zastanawiał się przy obiedzie Rosjanin.

Dlaczego tutaj? Czym właściwie jest to miejsce?

Rozumiał już, dlaczego sumy wypłacane terrorystom wydały się Brightlingowi śmiechu warte. Horizon więcej zapłacił za wyasfaltowanie drogi dojazdowej niż te nędzne sześć milionów, które udało mu się wyrwać i przetransferować do Szwajcarii. To centrum musiało być dla nich bardzo ważne. Świadczył o tym każdy szczegół, nawet taki drobiazg jak obrotowe drzwi, uniemożliwiające swobodny przepływ powietrza. Przy każdym zainstalowano coś w rodzaju komory ciśnieniowej, co wręcz narzucało myśl o statku kosmicznym. Nie szczędzono kosztów, by doprowadzić to miejsce do perfekcji. W jakim celu?

Popow popijał herbatę. Pokiwał głową. Jedzenie mieli tu świetne, wszystko tu było świetne, z wyjątkiem tych absurdalnie przeciętnych obrazów. Perfekcja, żadnych kompromisów.

Brightling nie należał przecież do ludzi zawierających kompromisy, prawda? A więc wszystko, co tu zrobiono, zrobiono umyślnie, wszystko układało się w jakiś wzór, a we wzorze tym można odczytać cel samego kompleksu i cel przyświecający człowiekowi, który go stworzył. Wycieczka musiała prowadzić go na mylny trop... Wycieczka i badania lekarskie? Po co go, do cholery, badali? I zrobili zastrzyk. Jak to powiedział lekarz? „Odpornościowy”. Dlaczego trzeba go było uodpornić? Przeciwno czemu?

Poza tą świątynią techniki znajdowała się zwykła farma, poza farmą zaś ostoja dzikiej zwierzyny, którą jego przewodnik wydawał się czcić niczym bóstwo.

Druidzi, pomyślał Rosjanin. Kiedy jako agent terenowy pracował w Anglii, znalazł czas, by przeczytać wiele książek o kulturze tego kraju, udawał turystę, pojechał nawet do Stonehenge i w inne podobne miejsca — chciał lepiej zrozumieć ludzi, z którymi miał do czynienia. W końcu zrozumiał jednak, że historia to tylko historia, bez wątplenia interesująca, ale równie nielogiczna co historia w Związku Radzieckim, przykrawana tak, by pasować do idei marksizmu-leninizmu.

Druidzi byli poganami, ich kultura zaś oparta została na wierze w bogów, żyjących podobno w drzewach i kamieniach. Bogom tym składali ofiary z ludzi. Niewątpliwie w ten sposób ich kapłani pragnęli utrzymać kontrolę nad wieśniakami... nad arystokracją zresztą też, taki przecież jest cel każdej religii. W zamian za pomoc w zrozumieniu największych tajemnic życia: co dzieje się z człowiekiem po śmierci, dlaczego deszcz pada wtedy, kiedy pada, jak powstał świat, brali w dłonie ziemską władzę, czyli narzucali innym, jak mają żyć. Dla wielu inteligentnych, lecz nisko urodzonych był to doskonały sposób na osiągnięcie potęgi, którą kojarzy się zazwyczaj z arystokracją. Ale u podstaw każdego ludzkiego działania leży chęć sięgnięcia po władzę najzupełniej doczesną. I, podobnie jak członkowie Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — snuł rozważania Popow — druidzi wierzyli w to, co wmawiali ludziom, co więcej musieli wierzyć, bo nie wąpi się przecież w system wartości, z którego czerpie się moc władzy.

Otoczający go ludzie nie byli jednak prymitywni. To naukowcy, wielu z nich należało w swych dziedzinach do najlepszych w świecie. Horizon Corporation zawdzięczała swój sukces temu, że przyciągała geniuszy. Jak inaczej udałooby się Brightlingowi zarobić takie pieniądze?

Zamyślony Popow zebrał naczynia na tacę i zaniósł je na odpowiedni stół. Czuł się zupełnie jak w stołówce KGB na Łubiance. Niezłe jedzenie i anonimowość. Wrócił do pokoju, nadal nie wiedząc, co właściwie stało się z jego życiem w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy.

Druidzi? Jakim cudem ludzie nauki zachowują się tak strasznie głupio. „Weganie”? Jak ludzie mający choć odrobinę zdrowego rozsądku mogą nie jeść mięsa? Co takiego niezwykłego było w tych szarobrazowych antylopach, żyjących na granicy ich posiadłości? Szef ochrony kompleksu, musi przecież cieszyć się największym osobistym zaufaniem właściciela... i jest pieprzonym wegetarianinem w kraju o produkcji mięsa tak wielkiej, że reszta świata może mu tylko zazdrościć?

Czym był ten cholerny „uodparniający” zastrzyk? — zastanawiał się Popow, włączając telewizor. Na co miał uodpornić? Nie miał pojęcia, po co go w ogóle badano. Im głębiej wchodził w tę sprawę, im więcej zdobywał informacji, tym trudniejsza do rozwiązania wydawała się ta zagadka.

Jakiegolwiek jednak miało być jej rozwiązanie, należało mierzyć je rozmiarami inwestycji, na które zdecydowali się Brightling i jego firma, a były to rozmiary olbrzymie. I — o cokolwiek mu chodziło — nie wahał się zabijać nieznanym ludzi, których najwyraźniej uważał

za nieważnych. Tylko... O co w tym wszystkim chodziło?

Popow po raz kolejny musiał przyznać sam przed sobą, że nie ma zielonego pojęcia.

Gdyby przekazał posiadane przez siebie informacje swym byłym szefom z KGB, ci uznaliby go zapewne za lekko szurniętego. Z całą jednak pewnością kazaliby mu iść po tym tropie, a ponieważ wyszkoliło go właśnie KGB, nie potrafił nie iść tropem poznanych faktów, zupełnie tak samo, jak nie potrafił nie oddychać.

Przynajmniej fotele w pierwszej klasie są wygodne, pomyślał Chavez. Szykował się do długiego lotu, chyba najdłuższego z możliwych, skoro od celu dzieliło go prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów, a Ziemia miała czterdzieści tysięcy kilometrów obwodu na równiku. Samolot British Airways, rejs nr 9, startował o dwudziestej drugiej piętnaście, po jedenastu godzinach i czterdziestu pięciu minutach lądował w Bangkoku na półtorej godziny, a następnie leciał jeszcze osiem godzin i pięćdziesiąt minut do Sydney. Gdzieś pod koniec tej przygody, powiedział sobie Ding, będę już zdolny wyjąć pistolet i zastrzelić zarówno stewardesy, jak i pilotów. A wszystko to — plus rozstanie z żoną i dzieckiem — tylko dlatego, że cholerni Australijczycy chcieli, żeby ich trzymać za rączkę podczas zawodów sportowych. Doleci na miejsce o piątej dwadzieścia rano pojutrze, bo takie kaprysy ma równik i międzynarodowa linia zmiany daty, z mózgiem rozbitym na jajecznicę rzadszą niż ta, którą zjadł dzisiaj na śniadanie. Niestety, nic nie mógł na to poradzić. Jedno dobre: British Airways zakazała palenia na pokładzie swych samolotów, palacze prawdopodobnie dostaną szau, ale to już przecież ich problem. On zabrał ze sobą cztery książki i sześć pism, które wraz z prywatnym telewizorkiem do oglądania filmów miały mu umilić czas.

No, powiedział sobie, jakoś to będzie.

Stewardesy zamknęły drzwi, silniki ruszyły i kapitan przez interkom powitał pasażerów w maszynie, która miała stać się ich domem na dzień, czy też raczej na dwa dni, zależy od tego, jak kto liczy.

Krwawe żniwo

— Uważasz, że to dobry pomysł? — spytał Brightling.

— Moim zdaniem tak. Kirka i tak mieliśmy na liście. Jego współpracownicy będą mówić wszystkim zainteresowanym, że wyjechał z miasta w sprawach firmy.

— A jeśli FBI zdecyduje się znów go przesłuchać?

— Wyjechał z miasta. Muszą czekać, nie mają wyboru — powiedział spokojnie Henriksen. — Tego rodzaju śledztwa normalnie ciągną się miesiącami, a oni nie mają przed sobą tyle czasu, prawda?

Brightling skinął głową.

— Chyba masz rację — przyznał. — A jak sobie radzi Dmitrij?

— Dave Dawson twierdzi, że jest w porządku. Zadaje pytania jak jakiś turysta, nic więcej. John Killgore przebadał go i zaszczepił szczepionką B.

— Mam nadzieję, że facet lubi życie. Z tego, co mówił, wygląda, że ma szansę zostać naszym człowiekiem, nie uważasz?

— Nie jestem tego taki pewien, ale on nie wie nic, kompletnie nic, a kiedy już się dowie, będzie za późno. Wil Gearing jest na miejscu. Zameldował, że wszystko toczy się zgodnie z rozkładem jazdy. John, jeszcze trzy tygodnie i plan wejdzie w fazę realizacji. Najwyższy czas zacząć przerzucać ludzi do Kansas.

— Szkoda. Projekt Długowieczność wygląda w tej chwili wręcz doskonale.

— Tak?

— No cóż, nie da się dokładnie przewidzieć przełomów, ale wyniki badań są doprawdy rewelacyjne.

— Więc może będziemy żyć wiecznie? — Henriksen uśmiechnął się krzywo. Mimo że od bardzo długiego czasu związany był z Brightlingiem i Horizon Corporation, nadal niedowierzał

tego rodzaju przepowiedniom. Fakt, w dziedzinie badań medycyny firma dokonała kilku cudów, ale o wynalezienie nieśmiertelności jednak jej nie podejrzewał.

— Potrafię wyobrazić sobie gorsze rzeczy. Osobiście dopilnuję, żeby cały ten zespół

dostał szczepionkę B.

— No to przenieś ich wszystkich do Kansas, choćby nie wiem jak głośno krzyczeli. Co z resztą firmy?

Brightling nie lubił tego rodzaju pytań, nie podobało mu się, że ponad połowa pracowników Horizon potraktowana zostanie jak cała reszta ludzkości, w najlepszym wypadku skazana na śmierć, w najgorszym zamordowana szczepionką A. Doktor nauk medycznych John Brightling posiadał jeszcze jakieś resztki sumienia, objawiające się w lojalności w stosunku do współpracowników. To dlatego właśnie Dmitrij Popow siedział sobie wygodnie w Kansas, z przeciwciałami B we krwi. A więc nawet sam Wielki Szef ma wątpliwości, zdziwił się Henriksen. Cóż, sumienie jest nieśmiertelne. Niejaki Szekspir miał na ten temat wiele do powiedzenia.

— Decyzja została podjęta. — Odpowiedź padła po sekundzie nieprzyjemnego milczenia.

Brightling miał zamiar ocalić tych swoich pracowników, którzy brali udział w pracach Projektu i tych, których wiedza i umiejętności miały być przydatne w przyszłym świecie. Księgowi, prawnicy i sekretarki niemal w całości skazani zostali na śmierć. Ocaleje około pięciu tysięcy ludzi — tylu, ilu zdołają pomieścić enklawy Projektu w Kansas i w Brazylii — to bardzo wiele, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że tylko niewielka część coś o Projekcie wiedziała. Gdyby był

marksistą, doktor Brightling pomyślałby z pewnością, a być może nawet głośno powiedział, że potrzeba intelektualnej elity, by stworzyć Nowy Wspaniały Świat, ale on naprawdę nie rozumował w tych kategoriach. Całym sercem wierzył, że jego misją jest ocalić świat i choć koszta owego ocalenia będą morderczo wysokie, cel wydawał się ich warty, choć doktor nie potrafił obronić się przed myślą, że być może nie wystarczy mu siły, by przeżyć okres przejściowy, że popełni samobójstwo prześladowany poczuciem winy, które przecież z pewnością się pojawi.

Henriksen nie przeżywał podobnych dylematów. To, co ludzie robili ze światem było przestępstwem, a ci, którzy w nim aktywnie uczestniczyli, wspierali je lub nie robili nic, by je powstrzymać, byli przestępcami — jego zaś zadaniem było powstrzymać przestępców. Nie widział żadnego innego sposobu. W końcu zostanie ocalony niewinny świat. W każdym razie ludzie i narzędzia Projektu znajdowali się już na miejscu. Wil Gearing był pewien, że uda mu się przeprowadzić operację, tak sprytnie Global Security ulokowała się w samym środku australijskiego systemu bezpieczeństwa dzięki Popowowi i wywołanym przez niego atakom terrorystycznym w Europie. Projekt zostanie zrealizowany i za rok nasza planeta będzie wyglądała zupełnie inaczej. Henriksena obchodziło wyłącznie to, jak wiele osób przetrwa epidemię. Naukowcy Projektu dyskutowali o tym bez końca. Większość szczęściarzy odpornych na Sziwę miała zginąć z głodu i innych przyczyn, część zorganizuje się jakoś w stopniu wystarczającym by określić, dlaczego przetrwali także członkowie Projektu, a następnie podjąć przeciw nim działania. Większość „naturalnych” ocalonych zostanie zaproszona do współpracy z wybrańcami i ci najinteligentniejsi bez wątplenia wybiorą właśnie współpracę. Jeśli chodzi o innych... A, do diabła z innymi! Henriksen osobiście opracował system bezpieczeństwa enklawy Projektu w Kansas. Dysponowali bronią maszynową, jego zdaniem najzupełniej wystarczającą, by powstrzymać szalejących farmerów z objawami Sziwy.

Najprawdopodobniejszym rezultatem epidemii miał być gwałtowny rozpad więzi społecznych. Nawet wojsko musiało się w końcu rozsypać, a enklawa w Kansas znajdowała się w całkiem przyzwoitej odległości od najbliższej bazy wojskowej. Żołnierze z bazy w Fort Riley zostaną przede wszystkim wysłani do miast celem utrzymania tam porządku, więc i oni mieli w końcu zachorować. Zaopiekują się nimi — nieskutecznie, oczywiście — lekarze wojskowi, struktura społeczeństwa zacznie się rozsypywać. Nastanie czas niepewności, ale minie on szybko i jeśli tylko ludzie z Kansas będą trzymali głowy przy ziemi, nie powinni stać się obiektem zorganizowanego ataku. Cholera, być może wystarczy, by pokazali światu, że tu, u nich, także umierają ludzie, może wystarczy tylko wykopać parę grobów i przed kamerami wrzucić do nich czarne worki, to powinno odstraszyć ciekawskich, sprawić, by trzymali się z dala od kolejnego lokalnego centrum epidemii. Tak zrobią. Przecież planowali od lat. Projekt zakończy się sukcesem. Musi. Bo kto inny jest w stanie ocalić Ziemię?

W jadalni serwowano dziś dania kuchni włoskiej i Popow z przyjemnością stwierdził, że nie wszyscy kucharze są „weganami”. Do przyrządzenia lasagnii użyto mięsa. Odwracając się od lady z załadowaną tacą, na której znajdowała się także szklaneczka chianti, Rosjanin dostrzegł

jedzącego samotnie doktora Killgore i postanowił się do niego przysiąść.

— Dzień dobry, panie Popow — przywitał go przyjaźnie lekarz.

— Dzień dobry, panie doktorze. Jak tam wyniki badań krwi?

— Bardzo dobrze. Trochę za dużo cholesterolu, odrobinę zakłócony balans lipidowy, ale ja bym się tym przesadnie nie martwił. Odrobina ćwiczeń fizycznych i problem zniknie sam.

Przeciwciała prostaty...

— Co to takiego?

— Test na raka prostaty. Powinien go przechodzić każdy mężczyzna około pięćdziesiątki.

Z panem nie ma problemu. Powinienem powiedzieć panu to wszystko już wczoraj, ale zważyło mi się tyle roboty, że nie powiedziałem, a poza tym, skoro nie znalazłem nic ważnego... W tym przypadku brak wiadomości jest dobrą wiadomością, panie Popow.

— Mam na imię Dmitrij. — Rosjanin wyciągnął dłoń.

— A ja John. — Killgore uściśnął ją mocno. — Dla ciebie to chyba coś jak Iwan?

— I, jak rozumiem, nie jesteś weganem?

— Co? Ja? Ależ skąd, Dmitrij. Nic z tych rzeczy. Homo sapiens to gatunek wszystkożerny. Nasze zęby nie są zębami roślinożerców. Szklivo nie jest wystarczająco mocne.

Weganie to raczej rodzaj manifestacji politycznej. Niektórzy z nich nie noszą skórzanych butów, bo skóra to produkt zwierzęcy. — Killgore nadział na widelec klopsika, jakby chciał udowodnić, co sądzi o wegetarianizmie. — Wiesz, ja nawet lubię polować.

— Tak? A gdzie da się tu polować?

— Nie, nie na terenie Projektu. Obowiązują nas dość ściśle zasady. Ale już wkrótce będę sobie spokojnie polował na jelenie, łosie, bizona, ptaki... Na co tylko dusza zapagnie.

— Bizona? Myślałem, że bizona wyginęły. — Popow przypomniał sobie, co słyszał czy może czytał dawno, dawno temu.

— Nie. Sto lat temu były zagrożone, ale wiele ich przetrwało i mnożą się szczęśliwie w Yellowstone oraz na prywatnych ranczach. Niektórzy nawet krzyżują je z bydłem domowym, bo mięso mają doprawdy znakomite. Nazywa się „bizonie”. Można je kupić w niektórych tutejszych sklepach.

— Bizona można skrzyżować z krową? — zdumiewał się Rosjanin.

— Jasne. Pod względem genetycznym są sobie bardzo bliskie i z krzyżowaniem nie ma żadnych problemów. Jest tylko jedna trudność — lekarz uśmiechnął się — a mianowicie domowy byk tak bardzo boi się bizoniej krowy, że ma kłopoty z... rozumiesz... wypełnieniem małżeńskich obowiązków. Więc hoduje się je ze sobą od dzieciństwa, byk przyzwyczaja się do bizonic i nie ma problemów małżeńskich.

— Co z końmi? W miejscu takim jak to spodziewałem się zobaczyć konie.

— Mamy je, przede wszystkim ćwierciaki[9] i Appaloosy[10]. Stajnie znajdują się na południowo-wschodniej części naszej posiadłości. Jeździsz konno, Dmitrij?

— Nie, ale kocham westerny. Kiedy Dawson obwoził mnie po terenie, spodziewałem się zobaczyć w każdej chwili kowbojów z wielkimi *Coltami* u pasa, zaganiających bydło.

Lekarza bardzo to rozśmieszyło.

— Widać, że pochodzisz z miasta. Ja też byłem kiedyś taki, ale pokochałem wyjazdy w plener, a zwłaszcza jazdę konną. Chciałbyś spróbować?

— W życiu nie siedziałem na końskim grzbiecie. — Popowa zaintrygowało to zaproszenie. Doktor był człowiekiem niewątpliwie szczerym, a zapewne także ufnym. Od kogoś takiego łatwo będzie wyciągnąć informacje.

— Mamy tu bardzo łagodną i miłą klacz. Nazywamy ją Śmietanka, wyobraź sobie.

— Dawno przyjechałeś?

— Zaledwie w zeszłym tygodniu. Pracowałem w laboratorium Binghamton, na północny zachód od Nowego Jorku.

— Czym się właściwie zajmujesz?

— Tak naprawdę jestem lekarzem epidemiologiem. Ekspertem od tego, jak epidemie pojawiają się i rozwijają w społecznościach ludzkich. Ale także praktykuję, więc wyznaczono mnie tu jako swego rodzaju lekarza rodzinnego. W dawnych czasach nazywano to „lekarzem ogólnym”. Wiem co nieco o wszystkim, ale nie mam określonej specjalizacji, oczywiście wyjąwszy epidemiologię, a epidemiolog to w rzeczywistości taki księgowy wśród lekarzy.

— Moja siostra jest lekarką — powiedział Popow.

— Naprawdę? Gdzie?

— W Moskwie. Doktorem pediatrii. W latach siedemdziesiątych skończyła studia na Uniwersytecie Moskiewskim. Ma na imię Maria Arkadijewna. Ja jestem Dmitrij Arkadijewicz.

Nasz ojciec miał na imię Arkadij, rozumiesz?

— I też był lekarzem?

Popow potrząsnął głową.

— Nie. To ja odziedziczyłem zawód po nim. Obaj byliśmy szpiegami, oficerami wywiadu w KGB.

— Powiedział to, chcąc wy badać reakcję rozmówcy. Miał wrażenie, że tu przynajmniej nie musi utrzymywać tajemnicy, co, oczywiście, mogłoby mu się przydać. Ty coś dajesz, to i tobie coś dadzą...

— Pracowałeś w KGB? Naprawdę? — Najwyraźniej udało mu się wyrzec spore wrażenie na rozmówcy.

— Owszem, pracowałem, ale mój kraj się zmienił, KGB zmniejszyło zatrudnienie i zostałem, jak to się u was mówi, „wylany”?

— Co dla nich robiłeś? Możesz powiedzieć?

Zupełnie jakbym oznajmił, że jestem słynnym sportowcem — zdziwił się Rosjanin.

— Byłem oficerem wywiadu. Zbierałem informacje. Służyłem także jako łącznik z ludźmi, którymi KGB dawniej się interesowało.

— Co to właściwie znaczy?

— No cóż, spotykałem się z grupami ludzi, z którymi łączyły nas... Powiedzmy, wspólne zainteresowania.

— Jakimi ludźmi?

— Wybacz, ale tego już nie mogę ci powiedzieć. Twój doktor Brightling wie. To właśnie dlatego mnie zatrudnił.

— Ale teraz jesteś człowiekiem Projektu, prawda?

— Ja nawet nie wiem, co to znaczy. John mnie tu przysłał, ale nie powiedział dlaczego.

— Ach, teraz rozumiem. Jedno ci powiem, zostaniesz tu przez jakiś czas, Dmitrij. — Tak przynajmniej wynikało z faksu, który dotarł do lekarza z Nowego Jorku. Ten Rusek był teraz częścią Projektu, czy chciał tego, czy nie. Dostał przecież szczepionkę B.

Popow tymczasem próbował odzyskać kontrolę nad rozmową.

— Słyszałem to już przedtem. Co to za „projekt”? Co wy właściwie tu robicie?

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy Killgore jakby się zmieszał.

— Słuchaj, Dmitrij, kiedy John przyjedzie, on cię we wszystko wprowadzi. Powiedz, jak ci smakowało jedzenie?

— Jak na stołówkę całkiem niezłe — odparł Rosjanin, zastanawiając się, na jaką minę właśnie włożył. Miał wrażenie, że otarł się o coś bardzo ważnego, a instynkt nie mylił go nigdy.

Zadał bezpośrednie pytanie dotyczące czegoś, co zdaniem Killgore’a powinien wiedzieć, i właśnie ten brak wiedzy zaskoczył lekarza.

— Owszem, w kuchni mamy tu kilku niezłych ludzi. — Killgore zjadł ostatni kawałek chleba. — To jak, chcesz pojeździć sobie konno?

— Ależ owszem, nawet bardzo.

— To spotkajmy się tu jutro rano, powiedzmy o siódmej. Wszystko ci pokażę.

I lekarz odszedł, zastanawiając się, po co im, u diabła, ten Rosjanin. No cóż, jeśli wybrał

go osobiście doktor Brightling, facet musi być ważny dla Projektu... Lecz jeśli tak, dlaczego nie wie, o co chodzi w Projekcie?

Sullivan i Chatham zapukali do drzwi. Nikt im nie odpowiedział. Oczekali kilka chwil i zapukali ponownie, w końcu facet mógł być akurat w toalecie lub pod prysznicem. Nadal żadnej reakcji. Zjechali na dół, znaleźli portiera i pokazali mu legitymację.

— Wie pan, gdzie może być pan Maclean?

— Wyszedł jakiś czas temu. Miał ze sobą torby, jakby wyjeżdżał gdzieś na dłużej.

— Taksówka na lotnisko? — zainteresował się Chatham.

Portier pokręcił głową.

— Nie. Przyjechał po niego samochód. Pojechali na zachód. — Wskazał kierunek na wypadek, gdyby agenci nie wiedzieli, gdzie jest zachód.

— Mówił coś o przekazywaniu poczty?

— Nie.

— Doskonale, dziękujemy. — Agenci ruszyli w kierunku zaparkowanego opodal samochodu. — Jak myślisz? — spytał Sullivan. — Podróż służbowa? Wakacje?

— Jutro zadzwonimy do niego do pracy i wszystkiego się dowiemy. Na razie nie jest przecież o nic podejrzany, Tom.

— Dobra, jedziemy do baru, pokażemy zdjęcia jeszcze kilku osobom.

Chatham zgodził się niechętnie. Ta sprawa nie tylko odrywała go od domu i od telewizora, co jeszcze dałoby się znieść, ale w dodatku nie chciała posunąć się choćby odrobinę naprzód, co było znacznie gorsze.

Hałas obudził Johna Clarka, który przez dobrą chwilę musiał przypominać sobie, że córka mieszka teraz z nimi. Nie chciała zostać sama, no i matka zawsze mogła pomóc jej z małym JC, jak wszyscy już nazywali chłopczyka. Tym razem postanowił wstać, mimo że pora była wczesna.

Sandy wstała jeszcze wcześniej, płacz dziecka obudził w niej instynkty macierzyńskie. John pojawił się w momencie, kiedy jego żona podała przewiniętego już malucha córce, na pół jeszcze śpiącej, siedzącej na kupionym w tym celu bujanym fotelu. Koszule nocną rozpięła już na piersiach. Nieco zawstydzony, jej ojciec odwrócił wzrok i trafił spojrzeniem na żonę, która —

także w koszuli nocnej — przyglądała się tej scenie z uśmiechem.

Fajny maluch, pomyślał Clark. Zerknął spod oka — jego wnuk przyssał się do piersi, kierowany jedynym zapewne instynktem, z którym rodzą się mali ludzie. W tym stadium życia w związku matka-dziecko nie ma miejsca dla mężczyzny. Jakie cenne jest życie, pomyślał.

Zaledwie kilka dni temu JC był płodem, rzeczą żyjącą w ciele matki i to, czy żyje zależało od poglądów, jakie człowiek ma na aborcję, a dla Johna Clarka sprawa ta była kontrowersyjna. John zabijał w życiu, nieczęsto, ale częściej niżby chciał. Zabijając powtarzał sobie, że ludzie, którym odbiera życie, zasłużyli na ten los ze względu na to, co zrobili lub co pomogli zrobić. Poza tym działał wówczas w imieniu swej ojczyzny, co ratowało go przed wyrzutami sumienia — winę, jeśli ją czuł, delegował na coś znacznie od siebie większego. Teraz jednak, kiedy patrzył na wnuka, musiał przypominać sobie, że każdy człowiek, któremu odebrał życie zaczynał się właśnie od czegoś takiego, całkowicie bezbronny, we wszystkim zależny od troski matki, i że dopiero później ów człowiek dorastał, stawał się mężczyzną, a jakim stał się mężczyzną zależało nie tylko od niego, lecz i od wpływu innych ludzi. Był dobry lub był zły. Co popychało ludzi do zła? Wybór? Przeznaczenie? Szczęście lub pech? Cholera, o czym to człowiek nie myśli o trzeciej nad ranem. Cóż, powiedział

sobie John, jednego jestem pewien: w życiu nie skrzywdziłem dziecka, choćby okoliczności zmuszały mnie do jak najgwałtowniejszego zachowania. I nigdy nie skrzywdzi, tego był pewien. Nie, jego zadaniem było eliminowanie tych, którzy wcześniej kogoś skrzywdzili lub stanowili dla kogoś zagrożenie. I trzeba było likwidować, ponieważ tym, którym grozili, należała się jego ochrona, pośrednia lub bezpośrednia. Oni też mieli prawa, mieli prawa do jego ochrony...

Podszedł, dotknął stopki dziecka. JC nie zareagował, najwidoczniej wiedział, co w tej chwili najważniejsze. Jedzenie. Przeciwciała, które przyjmował z mlekiem matki, gwarancja zdrowia. Jeszcze trochę i zacznie rozpoznawać twarze, uśmiechać się, a potem nauczy się siadać, pełzać, chodzić, mówić i tak dołączy do świata mężczyzn. Ding będzie dobrym ojcem, dobrym wzorem dla jego wnuka, Clark nie wątpił w to ani przez chwilę, zwłaszcza że pod ręką będzie jeszcze Patsy, temperująca jego gwałtowniejsze zachowania.

Uśmiechnął się i wrócił do łóżka. Poświęcił jeszcze chwilę na zastanowienie się, gdzie właściwie jest w tej chwili Chavez. Świat kobiet pozostawił kobietom, tak jest lepiej dla wszystkich.

Śpiącego w hotelopodobnym pokoju Popowa jak zwykle obudził świt. Już pojawiła się codzienna rutyna: Rosjanin wstawał, włączał ekspres, szedł do łazienki, brał prysznic, golił się, w dziesięć minut później wracał do pokoju i włączał CNN. Głównym tematem programów informacyjnych była teraz olimpiada. Świat stał się strasznie nudny. Popow doskonale pamiętał, jak podczas swej pierwszej operacji terenowej w Londynie oglądał w telewizji wiadomości o napięciach między Wschodem i Zachodem, o ruchach armii, o rosnącej wzajemnej nieufności polityków — to przecież definiowało świat jego młodości. Doskonale pamiętał zwłaszcza kwestie strategiczne, tak często mylnie interpretowane przez dziennikarzy, zarówno w druku, jak i w mediach elektronicznych: rakiety zwykłe i wielogłowicowe, pociski, antyrakiety, które podobno zakłócić mogły równowagę strachu. Wszystko to już przeszłość, powiedział sobie Popow. Czuł się tak, jakby na jego oczach znikło gdzieś całe górskie pasmo. Kształt świata zmienił się dosłownie z dnia na dzień, sprawy, które uważał za absolutnie pewne okazały się absolutnie niepewne i zmieniły w coś, czego po prostu nie sposób było przewidzieć. On sam, jego agencja, wreszcie jego naród obawiali się wojny globalnej, a teraz wojna globalna wydawała się mniej prawdopodobna niż zniszczenie życia na Ziemi przez wielki meteoryt.

Nadszedł czas, by dowiedzieć się czegoś więcej. Popow ubrał się i zszedł do jadalni.

Doktor Killgore spełnił obietnicę i już na niego czekał, zajęty śniadaniem.

— Dzień dobry, John. — Rosjanin przysiadł się do jego stolika.

— Cześć, Dmitrij. Gotów na wycieczkę?

— Chyba tak. Mówiłeś, że to łagodny koń?

— Ośmioletnia klacz, ćwierciaczka.

— Co właściwie oznacza ta nazwa?

— Te konie ścigały się wyłącznie na dystansie ćwierć mili. W Teksasie do dziś organizuje się takie gonytwy. Zapomniałem gdzie, ale mówię ci, nagrody są nie do pogardzenia.

Cóż, ta instytucja też wkrótce zniknie. — Killgore posmarował grzankę masłem.

— Co takiego?

— Aaa, nie, nic ważnego. — Bo i rzeczywiście nie było to nic ważnego, pomyślał lekarz.

Konie z pewnością przetrwają, powrócą na wolność, by radzić tam sobie po stuleciach, podczas których opiekował się nimi człowiek. Należy przyjąć, że instynkt, genetycznie zaprogramowany w DNA, ocali większość z nich. A pewnego dnia ludzie z Projektu (lub może ich potomkowie) będą je łapać, ujeżdżać, i jeździć na nich, by napawać się niczym nie zakłóconym pięknem natury. Konie robocze, ćwierciaki i Appaloosa powinny poradzić sobie doskonale. Gorzej z końmi pełnej krwi, przygotowanymi do jednego tylko: biegania w kółko tak szybko, jak tylko to możliwe. Cóż, mają pecha, prawa Darwina są surowe, ale w jakiś sposób także uczciwe. Lekarz dokończył śniadania i wstał.

— Gotowy? — spytał.

— Owszem, John. — Popow ruszył za nim w kierunku drzwi. Okazało się, że lekarz ma własnego *Hummera*. Pojechali nim na południowy zachód. Poranek był piękny. W dziesięć minut później znaleźli się w stajniach. Lekarz wziął siodło, podszedł do boksu, na którego sosnowych drzwiach wyryto imię ŚMIETANKA, szybko osiodłał konia i wręczył wodze Popowowi.

— Przespaceruj się z nią — zaproponował. — Jest bardzo spokojna, nie będzie ani kopać, ani gryźć.

— Skoro tak twierdzisz... — Rosjanin podejrzliwie przyglądał się klaczy. Na nogach miał

adidasy, nie buty jeździeckie: ciekawe, czy to ważne. Koń przyglądał mu się wielkimi, obojętnymi piwnymi oczami, w żaden sposób nie zdradzając, co sądzi o prowadzącym go obcym człowieku. Dmitrij przeszedł przez wielkie wrota stajni na świeże, czyste powietrze. Koń posłusznie szedł za nim. Kilka minut później dołączył do nich Killgore na wałachu, tak przynajmniej wydawało się Popowowi.

— Wiesz, jak wsiąść? — spytał.

Popow uznał, że widział w życiu wystarczająco wiele westernów, by przynajmniej z tym sobie poradzić. Włożył lewą stopę w strzemię i wspiął się na siodło.

— Doskonale. Wodze trzymaj tak, a teraz cmoknij, o w ten sposób. — Rosjanin posłusznie wykonał polecenie i koń ruszył przed siebie.

— Bardzo dobrze, Dmitrij — pochwalił go lekarz. — Taki właśnie powinien być ten świat. Piękny poranek, koń i mnóstwo wolnej przestrzeni dookoła.

— A gdzie rewolwer? — zachichotał Popow.

Killgore też się roześmiał.

— Cóż, nie spotkamy tu ani Indian, ani złodziei bydła. No, jedziemy. — Piętami uderzył

konia po bokach. Wałach przyśpieszył nieco, a Śmietanka potulnie ruszyła w jego ślady. Popow bez problemu dostosował się do zmienionego rytmu jazdy.

Jakie to wspaniałe, pomyślał. Dopiero teraz zaczął pojmować etos wszystkich tych kiepskich filmów, które udało mu się obejrzeć w życiu. W jeździe konnej było coś wspaniałego, coś męskiego, nawet jeśli jeźdźcowi brakowało kapelusza i sześciostrzałowca. Sięgnął do kieszeni po okulary przeciwsłoneczne, rozejrzał się po otaczającej go równinie i poczuł się jej częścią.

— John, strasznie ci dziękuję. Nigdy czegoś takiego nie robiłem, a to przecież wspaniałe!

— To sama natura, przyjacielu. Świat powinien być taki i tylko taki. Pośpiesz się, Mistyk

— powiedział i jego koń przyśpieszył. Killgore obejrzał się, by sprawdzić, czy jego gość nadaża i chociaż tym razem Popowowi trudniej było dostosować się do ruchów Śmietanki, udało mu się to względnie szybko.

— Więc tak zdobyto Dziki Zachód?

— Owszem — skinął głową lekarz. — Kiedyś wszędzie tu były bizona, trzy, może cztery wielkie stada, widziało się je aż po horyzont, jak okiem sięgnąć... A potem przyszedli myśliwi i załatwili sprawę w niespełna dziesięć lat, używając głównie jednostrzałowych karabinów *Sharpsa*. Zabijali bizona dla skór, dla mięsa, a czasami wyłącznie dla języków. Wyrznęli je jak Hitler Żydów. — Killgore tylko pokręcił głową. — To jedna z największych zbrodni, jaką popełnili Amerykanie, Dmitrij. Zabijali bizona tylko dlatego, że stały im na drodze. Ale one wrócą — dodał, zastanawiając się, jak długo to może potrwać. Pięćdziesiąt lat? Jeśli tak, ma szansę jeszcze je sobie obejrzeć. Może sto? Wilki i niedźwiedzie grizzly również powrócą, ale wolniej, drapieżniki nie mnożą się tak szybko jak ich ofiary. Chciał obejrzeć prerię taką, jaką była kiedyś, podobnie jak wielu innych członków Projektu. Niektórzy nawet zamierzali żyć w tipi, jak Indianie, ale jego zdaniem była to już spora przesada...

— Hej, John! — rozległ się za ich plecami wesoły okrzyk. Obrócili się i dostrzegli, że ktoś galopuje w ich kierunku. Po chwili można było już rozpoznać jeźdźca.

— Kirk! A ty skąd się tu wzięłeś?

— Przyleciałem wieczorem — wyjaśnił Maclean, osadził konia i przywitał się z lekarzem. — Co u ciebie?

— Przeniosłem się w zeszłym tygodniu, z ludźmi z Binghampton. Zamknęliśmy operację i doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie zniknąć.

— Nikt wam nie został? — spytał Maclean i ton jego głosu zwrócił uwagę Popowa. Kto miał im zostać?

— Nikt. — Killgore poważnie pokręcił głową.

— Jesteśmy o czasie? — Nowo przybyły najwyraźniej niezbyt przejął się otrzymaną informacją.

— Niemal dokładnie w stosunku do symulacji. Ostatnim, jakby to powiedzieć, pomogliśmy.

— Aha. — Kirk spojrzął w ziemię. Przez chwilę żałował dziewczyn, które pomógł porwać na potrzeby Projektu. Ale tylko przez chwilę. — Więc sprawy posuwają się do przodu?

— Och, oczywiście. Pojutrze zaczyna się olimpiada i...

— Jasne. Ruszamy.

— Dzień dobry — wtrącił się w tym momencie Popow. Miał wrażenie, że Killgore zupełnie o nim zapomniał.

— Och, przepraszam cię bardzo. Kirk, to Dmitrij Popow. John przysłał go do nas kilka dni temu.

— Cześć, Dmitrij. — Panowie uścisnęli sobie dłonie. — Jesteś Rosjaninem?

— Owszem. Pracuję bezpośrednio dla doktora Brightlinga. A ty?

— Małe kółeczko w trybach wielkiego przedsięwzięcia.

— Kirk jest biochemikiem i inżynierem środowiskowym — wyjaśnił Killgore. — Poza tym to bardzo przystojny mężczyzna, więc wykonywał dla nas jeszcze jedno drobne zadanie. —

Była w tym odrobina kpiny. — Ale teraz już po wszystkim. Co się stało, że przyjechałeś tak wcześniej?

— Pamiętasz Mary Bannister?

— Owszem, ale co ona ma z tym wspólnego?

— FBI zaczęło mnie o nią wypytywać, czy ją znałem i tak dalej. Porozumiałem się z Henriksenem i to on zdecydował, że powinienem przyjechać do was odrobinę wcześniej.

Rozumiem, że ona już...

— Już, w zeszłym tygodniu. — Lekarz uspokajająco skinął głową.

— Więc A działa?

— Działa. B też.

— Świetnie. Już mnie zaszczepili.

Popow przypomniał sobie zastrzyk, który zrobił mu Killgore. Na etykiecie kapsułki była duża litera „B”. O co chodzi z FBI? Ci dwaj rozmawiali bez skrępowania, ale jakby w obcym języku... Nie, był to raczej żargon środowiskowy, ze słowami-terminami, tak rozmawiają inżynierowi czy fizycy, no i, oczywiście, szpiedzy też. Do zawodowych umiejętności Popowa jako agenta terenowego należało zapamiętywanie tego, co zostało przy nim powiedziane, choćby nawet nie rozumiał ani słowa, więc zapamiętał słowa Kirka i Johna, choć na twarzy miał wyraz zdumienia.

Killgore ruszył przed siebie.

— Pierwszy raz na przejażdżce w tym roku, co, Kirk? — spytał.

— Tak. Brakowało mi czasu, żeby sobie pojeździć. Nogi i tyłek będę miał jutro cholernie obolałe — roześmiał się Maclean.

— Jasne, ale to dobry rodzaj bólu. — Killgore zawtórował mu śmiechem. Miał konia w Binghampton, miał nadzieję, że rodzina, która go tam dla niego trzymała, wypuści go na wolność we właściwym czasie, żeby Rodeo mógł sam się wyżywić... No, ale był wałachem, więc nie miał

swego miejsca w biologicznym porządku świata, chyba jako pożeracz trawy. Szkoda go, był dobrym koniem pod wierzch.

Maclean wstał w strzemionach. Gdyby się obejrzał, widziałby budynki Projektu, przed sobą jednak, po lewej i po prawej miał tylko prerię. Pewnego dnia będą musieli spalić domy i budynki na farmach. Tylko psuły widok. Nagle na wprost przed sobą zauważył

niebezpieczeństwo. Wyciągnął rękę.

— Uwaga, John! — krzyknął, wskazując dziury w ziemi.

— Co się stało? — nie zrozumiał Popow.

— Pieski preriowe. — Killgore zwolnił do stępa. — Dzikie gryzonie, kopią dziury i tunele, prawdziwe podziemne miasta. Jeśli koń wpadnie do którejś, może złamać nogę. Ale idąc wolno omijają je bez kłopotów.

— Gryzonie? Przecież można się ich pozbyć. Wystrzelać, otruć. Jeśli mogą zaszkodzić koniowi, to...

— Dmitrij, one też są częścią natury. Są tu bardziej u siebie niż my — zdziwił się nieco Maclean.

— Ale przecież koń jest... — chciał powiedzieć „drogi”, ale przerwał mu lekarz.

— Konie nie są częścią natury — powiedział. — Też je lubię, ale prawdę mówiąc to nie jest ich

miejsce.

— Jastrzębie i inne ptaki drapieżne już same załatwią kontrolę populacji gryzoni —

stwierdził Kirk. — Właściciele ferm drobiowych nie będą już zabijać swego dobytku. Boże, jak ja lubię obserwować je w locie.

— Ba! — rozmarzył się Killgore. — Inteligentne bomby natury. Ułożyć sokoła tak, by polował ci z ręki... To był prawdziwy sport królów. Uwielbiam te arktyczne.

— Białe? O tak, to szlachetne ptaki — przytaknął Maclean.

Są pewni, że świat tu zmieni się dramatycznie w ciągu najbliższych kilku lat, pomyślał

Popow. Ale co ma spowodować tę zmianę?

— Powiedźcie mi — poprosił — jak to wszystko będzie wyglądać za pięć lat?

— Znacznie lepiej — odparł natychmiast Killgore. — Powrócą bizona. Być może będziemy nawet musieli bronić przed nimi naszych zbóż.

— Zaganiać samochodami? — zastanowił się Maclean.

— Albo z helikopterów. Kilka ich będzie latać, do pomiarów populacji. Mark Holtz zastanawia się nawet, czy nie pojechać do Yellowstone i nie przywieźć paru bizonów w ciężarówkach, żeby przyspieszyć powstanie stada. Znasz Marka?

Kirk Maclean potrząsnął głową.

— Nie. Nigdy go nie spotkałem.

— Jeśli chodzi o ekologię, facet jest strategiem. Ale nie chce przeszkadzać naturze, raczej odrobinę jej pomóc.

— Co zrobimy z psami? — spytał Kirk, mając na myśli domowe psy, nagle wypuszczone na wolność, zmieniające się w groźne drapieżniki zabijające zwierzęta.

— Będziemy po prostu obserwować, co się dzieje. Większość z nich jest za mała, by skrzywdzić dorosłe osobniki, sporo zostało wysterylizowanych przez właścicieli, więc nie będą się mnożyć. Może trzeba je będzie zabijać? To nie powinno być zbyt trudne.

— Niektórym się to nie spodoba. Wiesz, jak myślą: „nie wolno nam robić nic, tylko obserwować”. Ja tam tego nie kupuję. Skoro spieprzyliśmy ekosystem, powinniśmy naprawić to, co zepsuliśmy. Choćby częściowo.

— Zgoda. Ale nad tym będziemy głosować. Cholera, chcę polować, a oni będą chcieli zabronić także polowania!

— Niech to szlag! A co z Jimem Bridgerem[11]? Łapał bobry, ale czy poza tym robił coś złego?

— Weganie to ekstremiści, Kirk. Albo tańczysz jak ci zagrają, albo tańczysz na wietrze.

— Niech się pieprzą! Powiedz im, że natura nie zrobiła z nas roślinożerców, toż to przecież naukowy fakt! — Minęli już miasteczko piesków preriowych, niewielkie jak się okazało. Dziury w ziemi pozostały za nimi.

— A co pomyślą sobie o tym wasi sąsiedzi? — spytał Popow, uśmiechając się niewinnie.

O czym, do diabła, gadali ci faceci!

— Jacy sąsiedzi? — zdziwił się Killgore.

„Jacy sąsiedzi?” Ale nie sama odpowiedź zaniepokoiła Rosjanina, lecz raczej fakt, że udzielona została zupełnie machinalnie. Lekarz natychmiast zresztą zmienił temat.

— Dobra pogoda na taki spacer — powiedział niewinnie.

„Jacy sąsiedzi?” Popow po prostu nie mógł przestać się dziwić. Niespełna dziesięć kilometrów dalej widział wyraźnie dachy budynków okolicznych farm, błyszczące w promieniach słońca. O co im chodziło z tymi sąsiadami? Dyskutowali o nowym wspaniałym świecie pełnym dzikich zwierząt, a ani słowem nie zająknęli się o ludziach. Czyżby mieli zamiar wykupić okoliczne farmy? Przecież nawet Horizon Corporation nie ma tyle pieniędzy. Toż to cywilizowany, zasiedlony kraj. Okoliczne farmy przynosiły zyski, były własnością zadowolonych z życia, zamożnych ludzi. Dokąd mieliby udać się ci ludzie? Dlaczego mieliby naraz porzucić życie, które prowadzili zapewne od pokoleń?

Popow po raz kolejny pomyślał: „O co tu, do diabła, chodzi?” I po raz kolejny nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Igrzyska

Chavez musiał mocno się postarać, by nie wylecieć z samolotu na twarz. Zdumiewało go, że obsługa wygląda tak świeżo i rześko. No cóż, mieli praktykę i prawdopodobnie lepiej od niego zaadaptowali się do ciągłych zmian czasu. On sam, podobnie jak wszyscy pasażerowi w zasięgu wzroku, mlaskał wargami, uparcie i nieskutecznie próbując pozbyć się kwaśnego smaku w ustach, mrużył odzwyczajone od naturalnego światła oczy i szedł ku wyjściu do rękawa z radością więźnia, zwalnianego po długim wyroku z więzienia o obostrzonym rygorze.

— Major Chavez? — spytał głos z wyraźnym australijskim akcentem.

— Tak? — zdołał tylko wychrypieć Ding, patrząc na faceta w cywilnym ubraniu.

— Podpułkownik Frank Wilkerson, z australijskiej SAS. — Mężczyzna wyciągnął dłoń.

— Cześć. — Ding uchwycił ją jakoś i uściśnił słabo. — To moi ludzie: sierżanci Johnston, Pierce, Tomlinson oraz agent specjalny Tim Noonan z FBI, nasz ekspert od spraw technicznych.

— Witamy w Australii, panowie. Proszę za mną. — Pułkownik gestem wskazał im kierunek.

Zaledwie piętnaście minut zabrało im zebranie bagażu, na który składało się również sześć wielkich wojskowych plastikowych pojemników, które załadowane zostały do mikrobusa.

W dziesięć minut później jechali już autostradą 64 w stronę Sydney.

— Jak tam lot? — spytał Australijczyk, obracając się na przednim siedzeniu.

— Długi. — Chavez rozejrzał się dookoła. Wschodziło słońce, była już niemal szósta rano, choć żołnierzom Tęczy wydawało się, że powinno raczej zachodzić, tak sugerował im zegar biologiczny. Mieli tylko nadzieję, że kawa i przysnec choć odrobinę im pomogą.

— Rzeczywiście, z samego Londynu... Lot jak cholera — wyraził im swe współczucie pułkownik.

— Jasne — zgodził się Chavez w imieniu wszystkich swych ludzi.

— Kiedy zaczynają się igrzyska? — spytał Mike Pierce.

— Jutro. Większość sportowców jest już w wiosce olimpijskiej, nasze siły bezpieczeństwa zostały zgromadzone w całości i przeszły pełny cykl treningowy. Nie spodziewamy się żadnych kłopotów. Nasz wywiad nie wie nic o możliwych zagrożeniach. Nasi ludzie obserwujący lotnisko nie zauważyli niczego, a przecież mamy zdjęcia i rysopisy wszystkich międzynarodowych terrorystów. Niewielu ich już zostało, głównie dzięki wam. — Australijczyk uśmiechnął się, wyrażając tym Tęczy swe profesjonalne uznanie.

— No cóż, panie pułkowniku, robimy, co możemy. — Tomlinson pogładził się dłonią po twarzy w geście zmęczenia.

— Ci faceci, którzy zaatakowali was bezpośrednio, byli z PIRA, jak mówili dziennikarze?

— Tak — odparł Chavez. — Luźna grupa. Ale sporo o nas wiedzieli. Ktoś przekazał im dobre informacje. Cele cywilne zidentyfikowali z nazwiska i zawodu, w tym moją żonę i teściową...

— O tym nie słyszałem!

— Mieliliśmy dwóch zabitych i czterech rannych, w tym Petera Covingtona, dowódcę Pierwszego Zespołu. Bitwę za nas wygrał Tim. — Pokazał palcem Noonana.

— Jak to? — Pułkownik zwrócił się bezpośrednio do agenta FBI, sprawiającego wrażenie lekko zawstydzonego.

— Mam program wyłączający telefony komórkowe. Okazało się, że faceci używali ich jak krótkofalówek. Odcięliśmy im łączność i tym samym pokrzyżowaliśmy plany. Potem pojawił się Ding z resztą ludzi i było po sprawie. Mieliliśmy doprawdy kupę szczęścia, panie pułkowniku.

— Pan jest z FBI? To pewnie zna pan Gusa Wenera?

— Jasne. Poznaliśmy się kawał czasu temu. Teraz jest zastępcą dyrektora do spraw terroryzmu, to nowy oddział w Biurze. Odwiedził pan Quantico, prawda?

— Zaledwie przed paroma miesiącami. Ćwiczyliśmy z waszym Zespołem Odbijania Zakładników i z Deltą pułkownika Byrona. Dobrzy chłopcy.

Kierowca zjechał z autostrady zjazdem, który wydawał się prowadzić do centrum Sydney.

Ruchu prawie nie było, o tej godzinie ludzie nie są na ogół przesadnie aktywni, wyłączając, oczywiście, mleczarzy i gazeciarzy. Mikrobus zatrzymał się przed eleganckim hotelem. Chłopcy hotelowi ruszali się całkiem żwawo, nawet o tej nieludzkiej porze.

— Mamy z nimi umowę — wyjaśnił Wilkerson. — Zatrzymali się tu także ludzie z Global Security.

— Z czego? — zdziwił się Chavez.

— Global Security. Podpisaliśmy z nimi umowę konsultingową. Pan Noonan zna pewnie ich szefa, Billa Henriksena.

— Billa Drzewoluba? — Mimo zmęczenia Tim zdołał się nawet roześmiać. — Jasne, każdy go zna.

— Drzewoluba?

— Parę lat temu był w dowództwie ZOZ. Kompetentny facet, ale to jeden z tych wariatów od ochrony środowiska. Tuli drzewa i puchate zajączki, i martwi się dziurą ozonową.

— O tym nie wiedziałem. Ale my tu też martwimy się dziurą ozonową. Trzeba używać kremów z

filtrem na plażach i w ogóle. Podobno za parę lat sprawa może zrobić się poważna.

— A co mi tam. — Noonan ziewnął rozdzierająco. — Nie surfuję. Portier otworzył drzwi i Amerykanie chwiejnym krokiem weszli do hotelu. Wilkerson musiał uprzedzić obsługę, bo goście błyskawicznie odstawieni zostali do bardzo ładnych pokoi na orzeźwiający prysznic i wielkie śniadanie z mnóstwem kawy. Różnica czasów to rzecz straszna, najłatwiej jednak uporać się z nią przeżywając najgorszy pierwszy dzień zgodnie z czasem miejscowym, a potem dobrze wypaść się w nocy. Po prostu zsynchronizować się z rzeczywistością. Przynajmniej w teorii, pomyślał Ding, wycierając się ręcznikiem i widząc, że wygląda równie fatalnie jak się czuje.

Po kilku minutach, przebrany w cywilne ubranie, pojawił się w hotelowej kawiarni.

— Wie pan, pułkowniku — powiedział — jeśli ktoś kiedyś wymyśli lekarstwo likwidujące skutki różnicy czasów, umrze bogatszy od Krezusa.

— Ma pan rację. Ja też przez to przechodziłem.

— Proszę mi mówić Ding. Naprawdę mam na imię Domingo, ale Ding wystarczy.

— Jak wyglądała twoja kariera wojskowa, Ding?

— Zacząłem od piechoty, potem CIA a teraz to. Nic nie wiem o tym dętym majorze.

Jestem dowódcą Drugiego Zespołu Tęczy i to chyba musi wystarczyć.

— Byliście mocno zajęci, prawda?

— Owszem, pułkowniku. — Pojawił się kelner z dzbankiem kawy. Chavez pokręcił

głową. Ciekawe, czy ktoś tu ma wojskową kawę, taką z potrójną zawartością kofeiny. Przydałaby się teraz. I dobre poranne ćwiczenia też. Nie tylko czuł się zmęczony, jego ciało buntowało się także przeciwko zamknięciu przez cały dzień w ciasnej trumnie samolotu. Miejsca w korytarzu wystarczało na wykonanie paru żabek, ale projektanci *Boeinga* nie przewidzieli ścieżki zdrowia.

Ciekawe, jak się czują ci nieszczęśnicy z klasy turystycznej, pomyślał z lekkim wstydem. No, przynajmniej szybko zjawili się na miejscu. Podróż statkiem zabrałaby jakiś miesiąc, warunki byłyby wspaniałe i mnóstwo miejsca na ćwiczenia. Jak to w życiu, zawsze jest coś za coś.

— Brałeś udział w tej akcji w Parku Światowym?

— Owszem. Mój oddział zaatakował zamek. Całe trzydzieści metrów dzieliło mnie od faceta, który zamordował tę dziewczynkę. Powiem panu, że nie było mi do śmiechu.

— Jestem Frank.

— Fajnie, dziękuję, Frank. Ale dostaliśmy sukinsyna, to znaczy dostał go Homer Johnston. Jeden z moich snajperów.

— Z tego, co widziałem w telewizji, nie był to najlepszy strzał.

— Homer złożył nim pewne osobiste oświadczenie. — Chavez lekko uniósł brew. — To się więcej nie powtórzy.

Wilkerson od razu zrozumiał, o co chodzi.

— Świetny pomysł, między nami. Masz dzieci, Ding?

— Kilka dni temu zostałem ojcem. Syn.

— Gratuluję. Stawiam ci za to piwo, może dziś po południu?

— Frank, jedno piwo i będziesz mnie musiał nosić. — Ziewnął i zawstydził się, że jest w tak fatalnej formie. — Wracając do rzeczy: a my wam tu po co? Wszyscy mówią, że w pełni kontrolujecie sytuację.

— Co dwie głowy to nie jedna. Moi chłopcy są dobrze wyszkoleni, ale mamy bardzo niewiele doświadczenia praktycznego. No i potrzebujemy najnowszego sprzętu. Te nowe radia E-Systems, które załatwiła nam Global Security, to prawdziwe cudowniki. Macie podobne magiczne zabawki?

— Noonan przywiózł coś, od czego zaczniesz podskakiwać. Patrzyłem, co to urządzenie może i nie wierzyłem własnym oczom, choć w tej konkretnej sytuacji pewnie się nie przyda. Za dużo ludzi. Ale jeżeli zechcesz, dostaniesz, obiecuję.

— Co to takiego?

— Tricoder, przynajmniej w terminologii Tima... Wiesz, od tego gadżetu, którego Spock używa chyba w każdym odcinku „Star Trek”. Znajduje ludzi jak radar samoloty.

— Na jakiej zasadzie?

— Tim ci powie. Jakieś pole elektryczne wokół serca czy coś.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Bo to absolutna nowość. Produkt małej firmy z Seattle, DKL. Ale mówię ci, działa jak trzeba. Mały Willie z Fort Bragg już zdążył się zakochać.

— Pułkownik Byron?

— Ten sam. Wspomniałeś coś, że ostatnio z nim pracowałeś?

— Owszem. Wspaniały facet.

Chavez zachichotał.

— Ale nie bardzo lubi Tęczę. Zabraliśmy mu najlepszych ludzi.

Ding popijał kawę. Pojawiła się reszta jego ludzi, podobnie jak on ubrana w cywilne, choć nieco militarne w stylu, ubrania. Kiedy zobaczyli swojego dowódcę, ruszyli w stronę jego stolika.

W Kansas była mniej więcej czwarta po południu. Po porannej przejażdżce Popow odczuwał ból w miejscach, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewał. Dokuczały mu zwłaszcza biodra, które dopiero musiały się przyzwyczaić do nóg rozwartych pod niezwykłym dla nich kątem. Mimo to z przyjemnością wspominał poranną przejażdżkę.

Zdawał sobie sprawę z tego, że właściwie nie ma tu nic do roboty. Nikt nie przydzielił mu żadnej pracy, a do lunchu zdążył obejrzeć wszystko co warte było obejrzenia. Jako rozrywka pozostawała mu wyłącznie telewizja, a tej nigdy jako rozrywki nie traktował. Był człowiekiem o dużej inteligencji, więc nudził się łatwo, a nudy nienawidził. CNN tymczasem przekazywała stale te same wieści z olimpiady. Lubił sport, ale prawdziwe zawody sportowe na olimpiadzie miały się dopiero zacząć. No więc włóczył się po długich korytarzach, wyglądał przez okna. Jutro rano znów przejażdżka, pomyślał. Przynajmniej wyrwę się na dwór.

Łaził tak przez przeszło godzinę, a potem zjechał do jadalni.

— O, cześć, Dmitrij — powitał go Maclean, który stał tuż przed nim w kolejce. On też nie był wegetarianinem. Nałożył sobie na talerz wielki kawał szynki. Popow zwrócił mu na to uwagę.

— Wspomniałem podczas przejażdżki, że natura nie stworzyła nas roślinożernymi. —

Kirk uśmiechnął się lekko.

— Skąd wiesz, że to prawda?

— Głównie z powodu zębów. Zwierzęta roślinożerne jedzą głównie trawę, a w tego rodzaju pożywieniu jest zawsze sporo ziemi, piasku i w ogóle. Działa na zęby jak papier ścierny.

Więc roślinożerne mają bardzo grube szkliwo, żeby zęby przetrwały więcej niż kilka lat. Szkliwo na zębach ludzkich jest znacznie cieńsze niż, na przykład, u krowy. Więc albo zaadaptowaliśmy się do mycia jedzenia, albo źródłem większości białka w naszym jedzeniu miało być mięso. Nie sądzę, żebyśmy na samym początku stworzenia wynaleźli kuchnie z bieżącą wodą. — Kirk Maclean znów uśmiechnął się szeroko. Usiedli przy stoliku. — Co robisz dla Johna?

— Chodzi ci o doktora Brightlinga?

— Owszem. Mówiłeś, że pracujesz bezpośrednio dla niego.

— Byłem w KGB. — Popow uznał, że warto wypróbować skuteczność tego chwytu po raz drugi.

— Ach, więc szpiegowałeś dla nas? — Maclean pokroił leżącą na talerzu szynkę.

Rosjanin pokręcił głową.

— Nie całkiem. Nawiązywałem kontakty z ludźmi, którymi interesował się doktor Brightling, i załatwiałem, by robili to, co chciał, żeby robili.

— Tak? Na przykład co?

— Nie jestem pewien, czy wolno mi powiedzieć.

— Tajna robota, tak? Hej, człowieku, tu tego nie brakuje. Wprowadzono cię w Projekt?

— Nie do końca. Być może jestem jego częścią, ale nikt nie wyjaśnił mi do końca, jaki ma cel. Ty wiesz?

— No jasne! Jestem w nim niemal od początku. To wielka sprawa, człowieku.

Oczywiście, po drodze będzie parę bardzo niemiłych momentów, ale — zakończył z chłodnym błyskiem w oku — nie da się zrobić omletu nie tłukąc jaj.

To przecież słowa Lenina, pomyślał Popow. Wypowiedziane na początku lat dwudziestych, kiedy ktoś spytał, dlaczego w imię rewolucji dokonuje się tak strasznych okrucieństw. Powiedzenie to zrobiło prawdziwą karierę, zwłaszcza w KGB, kiedy ktoś zwracał

uwagę, że jakaś operacja terenowa jest szczególnie obrzydliwa. Na przykład taka, jak te moje kontakty z terrorystami, którzy zazwyczaj działali jak wściekle zwierzęta, nie ludzie. Tylko jaki omlet przygotowywano tutaj?

— Zmienimy oblicze świata, Dmitrij — obiecał Maclean.

— Jak?

— Poczekaj, zobaczysz. Pamiętasz naszą poranną wycieczkę?

— Owszem, była bardzo przyjemna.

— Więc wyobraź sobie, że tak będzie wyglądał cały świat.

— Jak tego dokonacie? Co się stanie z farmerami? — Naprawdę nie wiedział, o co temu facetowi chodzi.

— Pomyśl o nich jako o jajkach. — Kirk uśmiechnął się, a rosyjskiemu szpiegowi krew nagle zastygła w żyłach, choć nie miał pojęcia dlaczego. Nie potrafił połączyć luźnych faktów w jedną spójną całość, choć o tym właśnie marzył. Zupełnie jakby znów był w terenie, jakby podczas bardzo ważnej operacji próbował ocenić zamiary przeciwnika, znał fakty, może nawet większość faktów, ale nadal nie umiał złożyć sobie w głowie pełnego obrazu tego, co ma się zdarzyć. Przeróżające, lecz

przecież ci z Projektu mówią o ludzkim życiu dokładnie tak, jak o ludzkim życiu mówili naziści. „To tylko Żydzi”. Nagle rozmyślania przerwał mu narastający hałas. Przez okno widział jak na drodze dojazdowej-pasie startowym ląduje odrzutowiec. Nieco dalej, na światłach, zatrzymał się rząd samochodów. W kafeterii też było więcej ludzi, niemal dwukrotnie więcej niż poprzedniego dnia. A więc Horizon zaczęła przerzucać tu swoich ludzi?

Dlaczego? Czy to część Projektu? A może tylko rozruch tego bardzo przecież kosztownego centrum? Mam przed sobą większość elementów układanki, myślał Popow, ale nie potrafię złożyć z nich żadnego obrazka.

— Cześć, Dmitrij — powiedział Killgore, przysiadając się do ich stolika. — Boli tyłek, co?

— Trochę boli, ale wcale nie żałuję. Chętnie spróbowałbym znowu. Mogę?

— Oczywiście. Jeżdżę codziennie. Ty też możesz.

— Tak, dziękuję, to bardzo uprzejmie z twojej strony.

— No to do zobaczenia o siódmej rano. — Killgore uśmiechnął się. — Ty też, Kirk?

— Jasne. Tylko muszę jutro pojechać i kupić sobie nowe buty. Jest tu jakiś dobry sklep turystyczny?

— Pół godziny jazdy stąd. Nazywa się „U.S. Cavalry”. Dwa zjazdy z autostrady na wschód.

— Świetnie. Lepiej załatwić to jak najwcześniej, bo inaczej nowi wykupią wszystko w okolicy.

Ma rację, pomyślał lekarz.

— A teraz — zwrócił się do Rosjanina — może opowiesz nam, jak to jest być szpiegiem?

— Najczęściej to po prostu strasznie nudna robota — powiedział zgodnie z prawdą Popow.

— Rany, ale ogrom — westchnął z podziwem Ding. Stadion był rzeczywiście wielki, mieścił dobre sto tysięcy ludzi. Tyle że będzie tu straszliwie gorąco, zupełnie jak w wielkim betonowym kotle. Jasne, w przejściach stały kioski, no i oczywiście między widzami krążyć mieli sprzedawcy roznoszący zimne napoje, zaś wokół stadionu znajdowało się mnóstwo pubów przeznaczonych dla tych, którzy woleli piwo. Na gęstej, zielonej trawie nawierzchni nie było nikogo oprócz ogrodników, którzy przycinali ją jeszcze tu i ówdzie. Na tym stadionie miano rozegrać większość konkurencji lekkoatletycznych. Sztuczną nawierzchnię bieżni oznaczono dla różnych dystansów, w tym biegów przez płotki, widział także piaskownice na końcach rozbiegów do skoków. Po przeciwnej stronie wznosiły się w niebo gigantyczna tablica świetlna i ekran, na którym miano pokazywać powtórki największych sportowych wydarzeń olimpiady.

Chavez poczuł lekki dreszcz emocji. Nigdy nie widział olimpiady na żywo, był jednak sportowcem przynajmniej na tyle, by w pełni docenić zręczność i siłę woli tych, którzy taką wybrali sobie w życiu

kariere. Najzabawniejsze, że choć jego ludzie byli naprawdę dobrzy, nie dorównywali sportowcom, których uważał za dzieciaki i którzy jutro mieli przemaszerować bieżnią. Nawet jego snajperzy nie wygraliby w konkurencjach strzelania z karabinu i pistoletu.

Jego ludzie byli świetni w wielu dziedzinach, trenowano ich właśnie po to, olimpijscy sportowcy byli zaś bardzo wąskimi specjalistami, umieli robić jedno, za to doskonale. W rzeczywistym świecie ich umiejętności przydatne byłyby mniej więcej tak samo jak machanie pałką zawodowego baseballisty, ale mimo to patrzyło się na nich z przyjemnością.

— Jest wielki. I sporo kosztował. — przytaknął Frank Wilkerson.

— Gdzie stacjonują wasze siły szybkiego reagowania?

— Tędy. — Australijczyk gestem wskazał kierunek.

— Ale fajnie! — ucieszył się Ding wkraczając w wodną mgiełkę.

— Prawda? Redukuje odczuwalną temperaturę o dobre piętnaście stopni. Wyobrażam sobie, że podczas zawodów mnóstwo ludzi będzie przychodziło tu tylko po to, żeby się ochłodzić. Widzisz, mamy tu nawet telewizory, żeby widzieli, co się dzieje.

— Z pewnością się przydadzą. Co ze sportowcami?

— Podobną instalację założyliśmy w tunelach wejściowych, także w tym głównym, którym wejdą na stadion pierwszego dnia, ale nie na płycie. Na płycie będą się po prostu pocić.

— Niech Bóg pomoże maratończykom.

— Racja. W wyznaczonych punktach będziemy mieli lekarzy. Prognoza długoterminowa mówi niestety wyraźnie: sucho i upał. Ale mamy wystarczającą liczbę punktów pierwszej pomocy na wszystkich arenach. Na pewno przydadzą się także na torze kolarskim.

— Gatorade — powiedział nagle Chavez.

— Co?

— To taki napój dla sportowców, woda i mnóstwo elektrolitów. Zapobiega porażeniu słonecznemu.

— Aha. Mamy tu coś podobnego. No i tabletki soli. Do rozdawania na wiadra.

Po chwili znaleźli się na terenie zamkniętym. Australijscy komandosi SAS wypoczywali w komforcie, mieli klimatyzację i telewizor, na którym mogli obserwować wydarzenia sportowe oraz monitory kamer umieszczonych w miejscach, gdzie można było spodziewać się tłoku i zatorów. Wilkerson dokonał prezentacji. Australijscy żołnierze przywitali się następnie z gośćmi, potrząsając ich dłońmi z tą szczerą, otwartą gościnnością, która wydawała się być cechą charakterystyczną

wszystkich Australijczyków. Sierzanci zaraz zaczęli pogaduszki ze swymi kolegami z SAS i atmosfera natychmiast się rozluźniła. Fachowcy rozpoznali fachowców, co wobec tego elitarnego braterstwa znaczący granice państw?

Centrum Projektu wypełniało się gwałtownie. Pierwszego dnia byłem jedynym mieszkańcem czwartego piętra, a teraz co? — pomyślał Popow. Zajętych zostało co najmniej sześć przyległych pokoi, a widoczny przez okno parking wypełnił się prywatnymi samochodami, które przyjechały tego jednego dnia. Z Nowego Jorku jechało się do Kansas dwa lub nawet trzy dni, więc polecenie przyjazdu wydane zostało najwyraźniej całkiem niedawno.

Tylko gdzie są ciężarówki firm przeprowadzkowych? Czy ci ludzie zamierzali mieszkać tu do końca życia? Budynek hotelowy był wygodny, na skalę hotelu, ale przecież nie mógł się nawet równać z własnym domem. Rodzice małych dzieci oszaleją wkrótce, przecież pociechy będą im się plątać pod nogami dniami i nocami. Po drodze minął młode małżeństwo rozmawiające z innym młodym małżeństwem i, chcąc nie chcąc, usłyszał fragment rozmowy, pełen zachwytów nad widzianymi po drodze dzikimi zwierzętami. Jasne, jelenie i inne takie są bardzo ładne, ale czy to jedyny temat do rozmowy w takiej chwili? To mają być ci wybitni naukowcy pracujący dla Horizon? Zachowywali się jak moskiewscy pionierzy, którzy pierwszy raz wyjechali z miasta i szeroko otwartymi oczami chłonęli uroki kołchozu. Już lepiej chyba obejrzeć sobie operę wiedeńską albo paryską, pomyślał były szpieg KGB, wchodząc do swego pokoju. Nagle naszała go jeszcze inna myśl. Wszyscy ci ludzie byli miłośnikami natury. Może warto byłoby lepiej poznać to, czym tak się fascynują. W pokoju były przecież kasety wideo. Aha, tu. Włożył do magnetowidu pierwszą z brzegu, włączył telewizor...

Aaa, dziura ozonowa, coś, przeciw czemu Zachód protestował namiętnie i gwałtownie.

Popow pomyślał, że czas na współczucie przyjdzie być może dopiero wtedy, kiedy pingwiny zaczną wymierać z poparzeń słonecznych, ale siedział i patrzył. Okazało się, że taśmę wyprodukowała organizacja nazywająca się Przyjaciele Ziemi. Komentarz wprost ociekał

polemiczną retoryką jakże charakterystyczną dla dowolnego propagandowego filmu radzieckiego. Rzeczywiście, Przyjaciele Ziemi potrafili namiętnie protestować. Wzywali do zaniechania produkcji użytkowych środków chemicznych... A jak bez nich działałaby klimatyzacja? Zrezygnować z klimatyzacji, by ocalić życie pingwinom, ginącym z nadmiaru promieniowania ultrafioletowego? Co to za bzdury?

Film trwał pięćdziesiąt dwie minuty. Kolejny, produkcji tych samych ludzi, opowiadał o tamach. Rozpoczął się od wścieklej krytyki „kryminalistów środowiskowych”, którzy zaprojektowali i zbudowali tamę Hoovera na rzece Kolorado. Ale przecież woda spiętrzona przez tę tamę zasilala elektrownię! Czy ci ludzie chcieli żyć bez elektryczności? Czy elektrownie wodne nie są najczystszym ekologicznie środkiem do produkcji elektryczności? Czy ta taśma, wyprodukowana w Hollywood, nie powstała właśnie dzięki użyciu elektryczności wyprodukowanej przez tamę Hoovera? Co tu się dzieje?

I dlaczego te właśnie taśmy znalazły się w jego hotelowym pokoju? Druidzi. Rosjaninowi nie pierwszy raz przyszło do głowy to słowo. Ci, którzy modlą się do drzew i składają ofiary z dziewic. Jeśli tak, dziwne sobie znaleźli miejsce. Przez okno niewiele widać było drzew, płaską równinę

porastała wszechobecna pszenica.

Druidzi? Kult natury? Przewinał taśmę i zabrał się do lektury pozostawionych mu w pokoju pisemek. Znalazł jedno, publikowane przez tę samą grupę.

Przyjaciele Ziemi. Z artykułów bił wręcz szalony gniew z powodu „zbrodni”, jakich człowiek dopuścił się na naturze. Racja, kopalnia odkrywkowa nie jest z pewnością najpiękniejszą rzeczą na świecie, Ziemia powinna być piękna, a jej uroda doceniana. Popow kochał zielony las jak każdy normalny człowiek, podobnie jak każdego normalnego człowieka cieszył go widok ciemnych skał wyniosłych gór. Przyznawał, że jeśli Bóg istnieje, artysta z niego nie byle jaki, ale... Co to u diabła?

Ludzkość — czytał w kolejnym artykule — jest gatunkiem pasożytniczym, niszczącym świat, zamiast wzbogacać go i upiększać. Ludzkość doprowadziła do zagłady wiele gatunków zwierząt i roślin, a więc sama sobie odebrała prawo do życia na Ziemi... Boże, ktoś to rzeczywiście napisał.

Co za nonsens! — pomyślał po raz kolejny. Czy antylopa na widok atakującego ją lwa wzywa przez telefon policję i prawników, czy powołuje się na prawo do życia i dążenia do szczęścia? Czy płynący w górę rzeki łosoś złoży pozew przeciw niedźwiedziowi, który wyciągnął go z wody, zabił i zeżarł, żeby się pożywić? Czy krowa jest równa człowiekowi? W

czyich oczach?

Z niemal religijną żarliwością wierzyło się w Związku Radzieckim, że Amerykanie mogą sobie być bogaci i mocni, ale są to ludzie szaleni, pozbawieni kultury, nieprzewidywalni.

Amerykanie są zachłanni, Amerykanie kradną dobra innym, Amerykanie wykorzystują nie-Amerykanów do swych własnych, egoistycznych, amerykańskich celów. Popow zdemaskował te kłamstwa podczas swej pierwszej operacji w terenie, przy okazji dowiedział się jednak, że również i zachodni Europejczycy mają swych kuzynów zza oceanu za lekko zwariowanych. Jeśli Przyjaciele Ziemi byli organizacją reprezentatywną dla Stanów, to z całą pewnością nie mylili się w swych sądach. Ale nawet w Anglii oblewano farbą ludzi ubranych w zwierzęce futra. Norki też mają prawo do życia!

Dziś rano ludzie ci oburzyli się, kiedy powiedział, że można przecież zabijać... Jak się one nazywały?... Aha, pieski preriowe. Jakież spasioone szczury, żyjące w norach, przez które koń może złamać nogę. Jak to ujęli? One „przynależą”, a konie i ludzie — nie? Taką troską otaczać szczury? Szlachetne zwierzęta, jastrzębie, niedźwiedzie, nawet te ich dziwne antylopy... One rzeczywiście są ładne, ale szczury? Podobną rozmowę toczył z Brightlingiem i Henriksenem, oni też niezwykłą miłością otaczali to co lata, biega i pełza pod podłogą. Szkoda, że nie zapytał ich wówczas o komary i czerwone mrówki.

Czy ten druidyczny bełkot może być kluczem do głównych drzwi? Uznał, że musi się jeszcze sporo nauczyć, choćby tylko po to, by dowiedzieć się, czy nie zatrudnił go przypadkiem szaleniec... Nie, nie, zaledwie masowy morderca.

W tej chwili nie było to pocieszająca myśl.

— Jak tam lot?

— Jak można się było spodziewać. Cały dzień w stalowej trumnie — poskarżył się zgryźliwie przez telefon Chavez.

— Ale przynajmniej leciałeś pierwszą klasą.

— Wielkie dzięki. Następnym razem chętnie ci ustąpię miejsca. Jak Patsy i JC? —

Najwyższa pora przejść do kwestii naprawdę ważnych.

— Doskonale. Wcale nie tak źle jest być dziadkiem. — John nie uznał za stosowne wspomnieć, że jak na razie nie zmienił nawet jednej pieluchy. Sandy bezlitośnie zagarnęła przywileje drugiej opiekunki do dziecka, pozwalając mężowi zaledwie potrzymać małego, i to tylko od czasu do czasu. Kobiety mają ten instynkt rozwinięty w szczególnie sposób, pomyślał

John i nie protestował ani nie próbował się sprzeciwić. — Fajny mały facet, Domingo. Dobra robota, mały.

— Nie ma sprawy, dziadku! — padła ironiczna odpowiedź. — Patsy?

— Wszystko w porządku, tyle że niewyspana. JC sypia najwyżej dwie-trzy godziny na raz, ale to się zmieni nim wrócisz. Chcesz z nią porozmawiać?

— A jak pan myśli, panie C?

— Dobra, czekaj. Patsy! Dzwoni Domingo!

— Cześć, mała — powiedział siedzący w swym hotelowym pokoju Ding.

— Co u ciebie? Jak tam lot?

— Długi, ale w porządku — skłamał gładko Chavez. Nie ujawnia się słabości przed żoną.

— Bardzo miło nas przyjęli, tylko strasznie tu gorąco. Przypomniało mi się, co to prawdziwy upał.

— Będiesz na uroczystości otwarcia?

— Oczywiście, Patsy, Australijczycy dali nam wszystkim przepustki dla ochrony. Jak JC?

— Jest cudowny — padła oczywista odpowiedź. — I jaki śliczny. Prawie wcale nie płacze. Cudownie jest go mieć, wiesz?

— Sypiasz w ogóle?

— Od czasu do czasu. Nie jest źle. Praktyka w szpitalu była znacznie gorsza.

— Słuchaj, pozwól, żeby Sandy ci trochę pomogła.

— Pomaga — zapewniła męża Patsy.

— Dobra, daj jeszcze ojca. Muszę z nim pogadać, sprawy służbowe. Kocham cię, mała.

— Ja też cię kocham.

John wziął słuchawkę od córki.

— Domingo, mam wrażenie, że wyrobisz się na całkiem znośnego zięcia. Nigdy nie widziałem, żeby Patricia aż tak szeroko się uśmiechała. Podejrzewam, że to twoja zasługa.

— Dzięki, tatuśku. — Chavez zerknął na zegarek, sprawdzając, która teraz jest godzina w Anglii. Tuż po siódmej rano. W Sydney była bardzo upalna czwarta po południu.

— No i jak wyglądają sprawy? — spytał Tęcza Sześć.

— Doskonale. Naszym łącznikiem jest pułkownik nazwiskiem Frank Wilkerson. Dobry żołnierz. Jego ludzie też są całkiem dobrzy, wytrenowani, pewni siebie, sympatyczni i wyluzowani. Współpraca z policją doskonała. Plany działania wyglądają nieźle... Jednym słowem, John, oni nas tu potrzebują mniej więcej tak jak jeszcze kilku kangurów na tym pustkowiu, nad którym leciałem.

— No i co z tego? To oglądaj olimpiadę. — Mogą się sobie skarżyć, ale każdy z jego ludzi ma przynajmniej wakacje za dziesięć tysięcy dolców, więc niech nie narzekają, jakby szli do więzienia.

— Marnujemy tylko czas, John.

— No cóż, Domingo, przecież nigdy nic nie wiadomo.

— Jasne. — Z tym stwierdzeniem Chavez musiał się zgodzić. Przez ostatnie kilka miesięcy nie robili nic innego tylko udowadniali raz za razem, że nigdy nic nie wiadomo.

— Twój ludzie w porządku?

— Owszem, traktują nas tutaj całkiem nieźle. Dobre pokoje w hotelu, tak blisko stadionu, że można przejść spacerkiem, ale i tak dali nam służbowe samochody. Więc wygląda na to, że jesteśmy tylko turystami, którym płacą za oglądanie igrzysk.

— Jasne. Baw się dobrze, Domingo.

— Jak tam Peter?

— Dochodzi do zdrowia, ale jest wyłączony co najmniej na miesiąc, prawdopodobnie na sześć tygodni. Dobrych tu mają lekarzy. Gorzej z nogami China. Dwa i pół miesiąca, nim znów stanie na

nogi.

— Pewnie się wścieka?

— Jeszcze jak!

— A faceci z PIRA?

— Przesłuchuje ich policja. Dowiadujemy się coraz więcej o tym Rosjaninie, ale na razie nie mamy niczego, czego moglibyśmy użyć. Irlandzcy gliniarze próbują zidentyfikować kokainę przez producenta, jest medycznie czysta, pochodzi z firmy medycznej. Pięć kilogramów czystej kokainy. Na ulicy warta jest tyle, że można byłoby kupić sobie za nią cholerny pasażerski odrzutowiec! Garda boi się, że to może być początek mody. Bojówki PIRA mogą pójść na serio w narkotyki, ale to już nie nasz problem.

— Ten Rosjanin... Sierow, prawda? To on udzielił informacji o nas?

— Tak, tylko że nadal nie wiemy, skąd je wziął, a nasi irlandzcy przyjaciele nie dają nam więcej, niż już wiedzieliśmy. Pewnie sami nie wiedzą. Grady milczy, a jego prawnik wścieka się za to, że przesłuchaliśmy go w sali pooperacyjnej.

— Powiedźcie mu, że taki już jest ten świat terroryzmu.

— Dobry pomysł, Domingo. — Clark zachichotał. Przecież nie mieli zamiaru przedstawiać jego zeznań jako dowodu w sądzie. Ekipa BBC, która pojawiła się w Hereford, nagrała i puściła materiał ukazujący Grady'ego opuszczającego miejsce zbrodni. Seana czekał

pobyt w więzieniu na okres zdefiniowany przez prawo brytyjskie jako „do uznania Królowej”, czyli dożywocie i jeszcze sporo, chyba że Unia Europejska się w to wtrąci. Timothy O'Neil i ludzie, którzy poddali się wraz z nim, mieli jakąś tam szansę na wyjście na wolność, mniej więcej około sześćdziesiątki, przynajmniej zdaniem Billa Tawneya. — Masz do mnie coś jeszcze?

— Nie, John, nic. Z naszej strony wszystko wygląda doskonale. Zadzwoń jutro o tej samej porze.

— Dobra.

— Ucałuj ode mnie Patsy.

— Mogę ją nawet od ciebie przytulić.

— Dobra, dzięki, dziadku — zgodził się z uśmiechem Chavez.

— No to cześć.

I na tym skończyła się rozmowa.

— Nie najgorszy pomysł, wyjechać teraz z domu, szefie — zauważył stojący parę metrów obok Mike Pierce. — Pierwsze dwa tygodnie są najgorsze. A tak, nim wrócisz do domu, dzieciak będzie spał cztery, może nawet pięć godzin jednym ciągiem. A jeśli masz szczęście, nawet dłużej

— przemówił z głębi swego doświadczenia ojciec trzech synów.

— Mike, widzisz tu jakieś problemy?

— Jest dokładnie tak, jak powiedziałeś Szóstce. Kangury mają wszystko pod kontrolą.

Wyglądają na niezłych, człowieku. Trzymanie nas tu to strata czasu, ale co tam, przynajmniej obejrzymy sobie olimpiadę.

— Chyba masz rację. Jakieś pytania?

— Będziemy uzbrojeni?

— Tylko w broń krótką. Nosimy się po cywilnemu. Karta wstępu dla ochrony załatwia tę sprawę. Chodzimy dwójkami: my razem, George z Homerem. Zabieramy też radia, i to wszystko.

— W porządku. Jak samopoczucie po podróży?

— Jakby wsadzono mnie do worka i obito kijami baseballowymi. — Pierce uśmiechnął się szeroko. — Ale jutro będzie lepiej. Możemy poćwiczyć z kangurami i przebiec się po olimpijskiej bieżni. Fajnie, nie?

— Podoba mi się to.

— Nieźle byłoby się spróbować z biegaczami na średnich dystansach, zobaczyć, jak biegają z bronią i w kamizelce z kewlaru. — W najlepszej formie i pełnym oporządzeniu Pierce przebiegał tysiąc pięćset metrów w cztery i pół minuty, ale nigdy nie udało mu się przebiec tego dystansu poniżej czterech minut, nawet w szortach i sportowych butach. Louis Loïselle twierdził, że jemu udało się to raz i Chavez mu wierzył. Mały Francuz zbudowany był jak średniodystansowiec. Mike wydawał się za duży i za szeroki w ramionach, żeby dobrze biegać.

Wyglądał jak dog, nie jak chart.

— Spokojnie. Jesteśmy tu po to, żeby bronić ich przed terrorystami. W ten sposób możemy udowodnić, kto jest najlepszy.

— Jasne, szefie. — Pierce uznał, że warto zapamiętać to zdanie.

Popow obudził się i początkowo nie wiedział właściwie, dlaczego. Aha... to lądował

kolejny *Gulfstream*. Pewnie przylecieli nim ludzie najważniejsi dla tego czegoś, co nazywali Projektem. Mniej ważni, i ci z rodzinami, przyjeżdżali prywatnymi samochodami albo przylatywali na pobliskie lotnisko samolotami pasażerskimi. Samolot podkołował i zatrzymał się pod światłami, rozłożyły się schodki, zeszli po nich ludzie i wsiedli do czekających na nich samochodów, które natychmiast ruszyły w stronę hotelu. Ciekawe kto to? — pomyślał Popow, ale z tej odległości nie potrafił rozpoznać twarzy. Zresztą pewnie i tak spotka tych ludzi rano, w stołówce. Napił się wody z kranu w łazience i wrócił do łóżka. Centrum wypełniało się w lawinowym tempie, a on nadal nie wiedział, dlaczego się wypełnia.

Pułkownik Wilson Gearing siedział w swoim pokoju, znajdującym się zaledwie kilka pięter nad pokojem Tęczy. Wielkie torby trzymał w szafie, ubrania rozwiesił porządnie.

Pokojówki niczego nie dotykały, sprawdzały po prostu szafę, słały łóżka, myły łazienkę. Do toreb nie zajrzał nikt — Gearing miał sposób, by to sprawdzić — w jednej z nich zaś spoczywał

plastikowy pojemnik z wymalowanym na nim napisem CHLOR. Z wyglądu niczym nie różnił się od tego, którego używano w systemie schładzania założonym na stadionie olimpijskim, kupiony został w firmie, która zakładała ten system w Sydney — wyczyszczono go jednak i wypełniono nanokapsułkami. Wyposażony był także we wszystkie konieczne do wykonania zamiany narzędzia i trenował tę zamianę na podobnym systemie zainstalowanym w Kansas. Był w stanie dokonać tego z zamkniętymi oczami — ćwiczył raz za razem, by maksymalnie zmniejszyć czas zamiany. Teraz pułkownik myślał o zawartości pojemnika. Nigdy nie widział jeszcze niczego tak śmiertelnego skupionego w tak małej kubaturze. Broń jądrowa nie była nawet w połowie tak niebezpieczna, ponieważ, w odróżnieniu od Sziwy, nie mnożyła się sama, lecz tylko wybuchała i na tym koniec. Nanokapsułki dotrą do rozpylaczy w około pół godziny. Zarówno symulacje komputerowe, jak i testy praktyczne wykazały, że przenikną przez rury do końcówek i wydostaną się przez nie, niewidzialne wśród drobnych kropelek mgle chłodzącej mgły. Ludzie idący tunelami prowadzącymi na stadion oraz przechodzący schodami z poziomu na poziom będą je wdychać w tempie średnio około dwustu na minutę, co znacznie przekraczało dawkę śmiertelną.

Kapsułki wnikały do płuc, przedostawały się do krwi i tam rozpuszczały, uwalniając Sziwę.

Genetycznie zmienione wirusy, wędrujące w krwiobiegu widzów i sportowców, prędko dotrą do swych ulubionych organów wewnętrznych: wątroby i nerek, gdzie natychmiast zaczną się mnożyć. Wszystko to sprawdzono dokładnie w laboratoriach w Binghampton. Minie kilka tygodni i wirusów będzie wystarczająco wiele, by zaczęły zabijać. Po drodze zarażeni przekażą Sziwę niezarażonym poprzez pocałunki i kontakty seksualne, kaszląc, kichając. To także sprawdzono w laboratorium. Po mniej więcej czterech tygodniach ludzie źle się pocują.

Niektórzy odwiedzą lekarzy rodzinnych, oni zaś stwierdzą grypę i poradzą pacjentom, by brali aspirynę, dużo pili, leżeli przed telewizorami i w ogóle odpoczywali. Ludzie spełnią ich polecenia i pocują się lepiej — taki skutek mają nawet zwykłe odwiedziny u lekarza — ale...

może na dzień, może na dwa dni. Ich stan zdrowia wcale się nie poprawi. Wkrótce pojawi się krwawienie wewnętrzne — Sziwa zawsze powodował ten skutek — a w tydzień później, po mniej więcej pięciu tygodniach od uwolnienia nanokapsułek, niektórzy lekarze przeprowadzą test na

przeciwiała i z przerażeniem stwierdza, że oto na świecie pojawiło coś bardzo podobnego do przerażającego wirusa Ebola. Dobry program epidemiologiczny mógłby nawet doprowadzić do odkrycia, że epidemia rozpoczęła się podczas Igrzysk Olimpijskich w Sydney, ale przecież w igrzyskach uczestniczyły na różny sposób dziesiątki tysięcy ludzi. Oto wspaniały sposób na rozprzestrzenienie Sziwy, opracowany przed laty przez najstarszych członków Projektu, opracowany jeszcze przed biologicznym atakiem Iranu na Amerykę, atakiem z góry skazanym na zagładę, bo i wirus był nie ten, i metoda jego uwolnienia okazała się zbyt przypadkowa. Nie, ich plan był wcielony w życie doskonałością. Każdy naród świata wysyłał na olimpiadę sportowców i sędziów, wszyscy oni przejdą przez system chłodzący, pozostając w jego zasięgu jak najdłużej, bowiem oferował on ulgę podczas upału, oddychając głęboko, szczęśliwi i odprężeni. Po czym wrócą do domu — do Stanów i Argentyny, do Rosji i Rwandy, roznosząc Sziwę i wywołując pierwszą falę paniki.

Następnie miała się rozpocząć Faza Druga. Horizon Corporation zacznie produkować i rozprowadzać szczepionkę A, tysiące litrów szczepionki, wysyłając ją samolotami do wszystkich tych krajów na świecie, w których system opieki zdrowotnej gwarantował, że lekarze i pielęgniarki zaszczepią każdego, kto im wpadnie w ręce. Zadaniem Fazy Drugiej było dopełnienie miary, pełne wykorzystanie paniki, która miała wystąpić w rezultacie Fazy Pierwszej. W cztery do sześciu tygodni od momentu otrzymania szczepionki ludzie, którym ją wstrzyknięto, też zaczną chorować. A więc liczymy, pomyślał Gearing: trzy tygodnie od dziś, plus mniej więcej sześć tygodni, plus dwa tygodnie, plus następne sześć, plus ostatnie dwa.

Dziewiętnaście tygodni, nie pół roku nawet, krócej niż trwa sezon baseballu i ponad dziewięćdziesiąt pięć procent populacji ludzi umrze. Nasza planeta zostanie uratowana. Żadna broń chemiczna nie będzie już zabijała niewinnych owiec. Bezmyślni ludzie nie będą już wybijali całych gatunków. Dziura ozonowa wkrótce zamknie się sama. Natura odrodzi się w całym swym pięknie. A on będzie w stanie obserwować ten cud, by napawać się nim i radować, i wraz z nim będą przyjaciele z Projektu. Ocalą Ziemię i wychowają dzieci w szacunku i miłości dla natury, którą trzeba chronić. Świat znów będzie zielony i piękny.

Pułkownik jednak nie tylko się cieszył. Wyglądał przez okno, widział spacerujących ulicami Sydney ludzi i z prawdziwym bólem myślał o tym, jaki czeka ich los. Lecz on przecież poznał już ból. Owce w Dugway. Małpy, świnie i inne zwierzęta testowe w Edgewood. One też cierpiały. One też miały prawo do życia, lecz ludzie woleli nie zwracać uwagi na te dwa fakty.

Spacerujący ulicami Sydney ludzie nie używali szamponu, który nie został sprawdzony na oczach królików, unieruchamianych w okrutnych klatkach, cierpiących w milczeniu, niezdolnych wyrazić cierpienia, a ludzi nie rozumiejących zwierząt nie obchodziło to nic, tak jak nic ich nie obchodziło, jak przyrządza się hamburgery w McDonalddie. Ci ludzie pomagali niszczyć Ziemię, ponieważ nic ich nie obchodziło. Nic ich nie obchodziło, więc nawet nie próbowali nauczyć się tego co ważne, a ponieważ nie nauczyli się tego co ważne, umrą. Należeli do gatunku, który zagrażał sam sobie i w końcu zginie z własnej ręki. Nie są podobni do mnie, myślał Gearing. Nie widzą na oczy. Okrutne, lecz sprawiedliwe prawa Karola Darwina postawiły ich w niekorzystnej sytuacji. Tak jak jeden gatunek zastępuje inny, tak on i jemu podobni zastąpią ich.

Sziwa to w końcu nic innego niż środek naturalnej selekcji, prawda?

Skutki zmiany stref czasowych znikły, pomyślał Chavez. Poranne ćwiczenia okazały się cudowne, z ich zdrowym potem i bólem, które zmniejszała dawka endorfiny, a już najwspanialej było przebiec się po olimpijskiej bieżni. Wraz Mikiem Pierce'em włożyli w ten bieg wszystkie siły. Nie rejestrowali czasu, ale biegli jak najszybciej potrafili, biegnąc zaś patrzyli na puste trybuny i wyobrażali sobie oklaski i okrzyki tłumu, który dopingowałby ich, gdyby byli prawdziwymi sportowcami. Potem wzięli prysznic, uśmiechając się do siebie na myśl o tym, jak bawili się niczym dzieci, następnie przebrali się w cywilne ubrania, przypięli kabury pod marynarkami, wsadzili radia do kieszeni i zawiesili na szyi plakietki identyfikacyjne.

Nieco później rozbrzmiały fanfary i — witana ogłuszającym aplauzem publiczności —

przez wielką bramę po przeciwległej stronie stadionu na bieżnię weszła pierwsza ekipa: sportowcy Grecji. Tak zaczęła się olimpiada w Sydney. Chavez powtarzał sobie, że jako funkcjonariusz ochrony powinien wpatrywać się w tłum, ale stwierdził, że jeśli nie widzi zagrożenia, nie potrafi po prostu patrzeć w anonimowe twarze. Dumni młodzi sportowcy maszerowali za sztandarami i sędziami niemal równie dobrze jak żołnierze. Muszą być teraz szczęśliwi, pomyślał Chavez. I dumni z tego, że przyszło im reprezentować ojczyznę przed tym wielkim tłumem. Każdy z nich miesiące — nie, lata — ćwiczył z nadzieją na tę jedną chwilę, a teraz przyjmował owację i myślał pewnie tylko o tym, czy okaże się godny tego zaszczytu. Cóż, nie jest to coś, co może zrobić funkcjonariusz Firmy i dowódca Drugiego Zespołu Tęczy.

Olimpiada to czysty sport, czyste współzawodnictwo i jeśli nie da się zastosować w normalnym życiu, to kogo to krzywdzi? Każda konkurencja olimpijska to forma aktywności fizycznej w stanie najczystszej, a niemal wszystkie wywodziły się z wojskowości. Biegi — najważniejszą cechą żołnierza była zdolność do biegu, by wziąć udział w bitwie lub przestać w niej uczestniczyć. Oszczep — dzida, którą rzucało się w przeciwnika. Kula, rzut dyskiem — miotanie pocisków. Skok o tyczce — przeskoczenie przez palisadę do obozu przeciwnika. Skok w dal —

przeskoczenie przez rów, który nieprzyjaciel wykopał na polu bitwy. Wszystko to były umiejętności żołnierskie z najdawniejszej przeszłości, a współczesne olimpiady miały przecież w programie także strzelanie z broni długiej i krótkiej. Pięciobój nowoczesny — bieg, jazda konna, strzelanie, pływanie, szermierka... — wywodził się wprost z umiejętności, które musiał posiadać kurier w końcu XIX wieku, by dostarczyć wodzowi informacje konieczne do skutecznego dowodzenia armią.

Ci młodzi ludzie, mężczyźni i kobiety — też byli swego rodzaju wojownikami. Przybyli tu, by zyskać chwałę dla siebie i swego kraju, by zwyciężyć wrogów, choć bez przelewu krwi, by zdobyć najczystsze zwycięstwo w najbardziej honorowej formie walki. To, myślał Ding, cel szlachetny pod każdym względem, on jednak był już za stary i nie dość sprawny, by zostać sportowcem. Nie dość sprawny? Biorąc pod uwagę wiek chyba nie... A i pewnie nadal był

sprawniejszy od niektórych sportowców, maszerujących bieżnią pięknego stadionu. Nie byłby jednak w stanie wygrać żadnej z konkurencji olimpijskich. Pod pachą czuł ciężar *USP*. Dzięki pistoletowi i umiejętności jego użycia był przynajmniej sprawny na tyle, by obronić te dzieciaki przed każdym, kto chciałby je skrzywdzić.

Domingo Chavez uznał, że to musi wystarczyć.

— Ładny widok, nie, szefie? — powiedział Pierce, obserwując Greków, przechodzących właśnie koło ich stanowiska.

— Owszem, Mike. Bardzo ładny.

Igrzyska trwają

Jak wszystko w życiu, także i to przerodziło się w rutynę. Chavez i jego ludzie spędzali większość czasu z ludźmi pułkownika Wilkersona, przeważnie siedząc w centrum monitoringu i oglądając zawody w telewizji. Od czasu do czasu wychodzili na zewnątrz, odwiedzając różne imprezy, oficjalnie po to, by na miejscu zapoznać się z możliwymi źródłami zagrożeń, ale tak naprawdę tylko po to, by z bliska obejrzeć tę czy inną konkurencję. Dzięki swoim przepustkom mogli się włóczyć, gdzie chcieli. Z tego przywileju korzystali, czasem wchodząc nawet na same boiska, gdzie rozgrywano konkurencje. Australijczycy, w ocenie Dinga, mieli hysia na punkcie sportu, byli zagorzałymi kibicami, ale jednocześnie ludźmi cudownie gościnnymi. Po służbie często przesiadywał w pobliskim pubie, gdzie piwo było doskonałe, a atmosfera po prostu świetna. Gdy tylko miejscowi dowiadywali się, że jest Amerykaninem, zaczynała się karuzela stawianych kolejek i pytań, na które odpowiedzi wysłuchiowano bez odrywania oczu od zawieszzonego na ścianie telewizora, przekazującego kolejną transmisję z jakiejś dyscypliny.

Jedno co mu nie odpowiadało, to powietrze gęste od papierosowego dymu — Australijczycy jakoś nie potrafili się wyzbyć tego nałogu. No cóż, nikt nie jest doskonały, prawda?

Każdego poranka jego ludzie ćwiczyli razem z ludźmi Wilkersona i okazało się, że akurat w tej konkurencji olimpiady, różnice pomiędzy zespołem australijskim a jego „Resztą Świata” są znikome. Któregoś ranka poszli na olimpijską strzelnicę, wypożyczyli pistolety sportowe dostosowane do konkurencji olimpijskich i próbowali rozegrać zawody według regulaminów ISSF, ale nic z tego nie wyszło. Regulaminy konkurencji sportowych nie miały nic wspólnego z tym, czego się do tej pory uczyli, sposób liczenia punktów i tarcze były zupełnie inne, niż w rzeczywistej walce z użyciem pistoletu. Kiedy skończyli, Chavez uznał, że jedni i drudzy, mimo całego swojego doświadczenia i wysokiego poziomu wyszkolenia, mieliby szansę najwyżej w konkurencji z reprezentacją Mali, gdyby to państwo w ogóle startowało w zawodach strzeleckich.

Z Amerykanami, czy Rosjanami, w ogóle nie mieli się po co mierzyć. Ich umiejętności wybijania jak najmniejszej dziurki jak największą liczbą pocisków w papierowej tarczy, która obracała się na sterowanym komputerowo stojaku, były po prostu nieludzkie. I całkowicie niepraktyczne, bo papierowa tarcza nie odpowie ogniem — przekonywał się Ding, a to stanowi najpoważniejszą różnicę. Poza tym, sukces w ich dyscyplinie wyrażał się martwym niegodziwcem na podłodze, a nie rozmiarem dziurki w papierowej tarczy średnicy dwudziestopięciocentówki. To też spora różnica, przyznawali członkowie obu zespołów, z niewesołymi minami oglądający swoje tarcze.

To, czym się zajmowali, raczej nie miało szans na stanie się olimpijską konkurencją, no chyba że ktoś by powrócił do pierwotnego sensu słowa „igrzyska” i przywrócił zmagania gladiatorów. Nie była to jednak forma rozrywki, która mogłaby liczyć na powszechne uznanie. Czy zresztą robili to dla sportu albo dla rozrywki? Na pewno nie. Chociaż Ding chyba chętnie poszedłby sobie coś takiego obejrzeć.

Jakaś część duszy Chaveza zastanawiała się, jakie by to było uczucie oglądać takie walki w amfiteatrze Flawiusza w Rzymie, ale, oczywiście, nie mówił o tym głośno, by go nie wzięto za barbarzyńcę. A właściwie, dlaczego nie? *Ave Caesar, morituri te salutant!* To nie to samo co Superbowl, prawda? Tak więc Domingo Chavez, sierzanci Mike Pierce i Homer Johnston oraz George Tomlinson oglądali za darmo zawody olimpijskie, czasem dla niepoznaki w marynarkach z plakietkami MKOL, udając organizatorów.

To samo odnosiło się do Popowa, który spędzał większość czasu oglądając olimpiadę w telewizji w swoim pokoju. Wolał już skupiać się nad zawodnikami biegającymi wokół boiska po bieżni, niż bezładną gonitwą myśli, krążących uparcie po jego mózgu. Rosjanom, którym kibicował, szło nie najgorzej, zupełnie jak za dawnych dobrych czasów, chociaż na mapie świata pojawiło się zadziwiająco wiele nowych sportowych mocarstw. Australijczycy byli doskonałymi gospodarzami igrzysk, ale oprócz tego znakomicie sobie radzili, zwłaszcza w konkurencjach pływackich. Pływanie zdawało się być narodową pasją Australijczyków. Problemem była znaczna rozbieżność w czasie. Kiedy chciał oglądać zawody na żywo, w Kansas był środek nocy, więc na porannych przejażdżkach konnych z Macleanem i Killgorem, które bardzo polubił, wyglądał jak odgrzewany nieboszczyk.

Ten poranek był podobny do dziesięciu poprzednich, chłodny zachodni wiatr przyjemnie łechtał po plecach, pomarańczowe wschodzące dopiero słońce rzucało przedziwne, ale przepiękne światłocienie na falujące pszeniczne łany. Śmietanka już go poznawała i obdarzała wzruszającymi przejawami oddania, za które nagradzała ją, a to kostką cukru, a to jabłkiem, zabranym ze stołu w jadalni. Klacz uwielbiała je i rzucała się na nie łapczywie, porywając je i miażdżąc jednym kłapięciem szczęki tuż nad dłonią Popowa. Nauczył się już sam ją siodłać, więc zrobił to szybko i wyprowadził ze stajni na podwórze, by dołączyć do innych.

— Witaj, Dmitrij! — pozdrowił go Maclean.

— Dzień dobry, Kirk.

Ruszyli kilka minut później, tym razem na południe, ku wielkim pszenicznym polom i szybciej, niż przy pierwszych przejażdżkach.

— To jak to właściwie jest być tajnym agentem? — zapytał Killgore, kiedy odjechali już z kilometr od stajni.

— My raczej mówimy na siebie „oficer wywiadu” — poprawił Popow. Ten durny hollywoodzki stereotyp wbił się Amerykanom w głowy tak głęboko, że nie miał nadziei na to, że zapamiętają. — Szczerze? To raczej nudna robota. Większość czasu spędza się czekając na spotkania, a potem wypełniając masę papierków, wysyłanych do Centrali albo rezydentury.

Ryzyko jest, ale raczej aresztowania niż śmierci. W dzisiejszych czasach sprawy się bardzo ucywilizowały. Pojmanych oficerów wywiadu wymienia się na swoich, nikt długo nie siedzi w więzieniu. Mnie się to zresztą nigdy nie zdarzyło. Byłem dobrze wyszkolony. — I miałem dużo szczęścia, dodał w myśli.

— Czyli co, żadnych numerów w stylu Bonda, nikogo nawet nie zabiłeś, nic z tych rzeczy? — zapytał Kirk Maclean.

— Dobry Boże, nie, nigdy! — zaśmiał się Popow. — Od tego są inni specjaliści. Zresztą, rzadko kiedy zachodzi taka potrzeba.

— Jak rzadko?

— W dzisiejszych czasach? Właściwie nigdy. Robota KGB to zbieranie informacji i przekazywanie ich rządowi. Oficer wywiadu to teraz bardziej dziennikarz, coś jak reporter Associated Press. Zresztą większość informacji zbiera się właśnie z ogólnodostępnych źródeł: gazet, tygodników, telewizji. Wasza CNN to niezastąpione źródło, chyba najlepsze z obecnie dostępnych na świecie.

— A jakie informacje ty zbierałeś?

— Zajmowałem się głównie wywiadem dyplomatycznym i politycznym, rozpoznawaniem intencji, pozwalającym zawczasu przewidzieć posunięcia przeciwnika. Inni zajmowali się wywiadem technicznym: jak szybko leci samolot, jak daleko strzela armata i takie tam, ale to nigdy nie była moja działka. Ja specjalizowałem się we współpracy z ludźmi.

Spotykałem się z nimi, dostarczałem im wiadomości i przesyłki, a potem ich odpowiedzi do centrali.

— Co to byli za ludzie?

Popow zawahał się przez chwilę nad odpowiedzią, ale w końcu zdecydował się powiedzieć prawdę.

— Wy ich nazywaliście terrorystami.

— O? A jacy to byli terroryści?

— Głównie europejscy, ale czasem i ci z Bliskiego Wschodu. Mam zdolności do języków, potrafię rozmawiać z ludźmi z wielu stron świata w ich własnym języku.

— Czy to było trudne zajęcie? — zainteresował się Killgore.

— Właściwie nie. Mieliśmy podobne przekonania polityczne, a mój kraj dawał im broń, szkolił ich i zapewniał kryjówki w krajach bloku wschodniego. Czuję się właściwie jak szef biura wycieczkowego, poza tym, że czasem wskazywałem im jakiś cel do zaatakowania, w ramach odpłaty za okazaną pomoc.

— Dawaliście im pieniądze? — zapytał Maclean.

— Tak, ale nie za wiele. Związek Radziecki nigdy nie narzekał na nadmiar twardej waluty i nigdy nie płaciliśmy ludziom dużo. W każdym razie nie ja.

— A więc wysyłałeś terrorystów, żeby zabijali ludzi? — zapytał Killgore.

Popow kiwnął głową.

— Tak. Tym się czasem zajmowałem. I właśnie dlatego doktor Brightling mnie wynajął.

— Co takiego? — zdziwił Maclean.

Dmitrij zastanowił się przez chwilę, jak wiele może powiedzieć.

— Poprosił mnie, żebym robił to samo dla Horizon.

— A więc to ty podgrzewałeś sprawy w Europie?

— Skontaktowałem się z paroma starymi znajomymi i poczyniłem sugestie, które oni zrealizowali. Więc jeśli o to pytacie, to tak, jako pośrednik mam na rękach krew tych, którzy zginęli. Trudno, takie jest życie. To tylko biznes, a ja w nim siedzę od ładnych paru lat.

— To dlatego się tu znalazłeś? Musiałeś się dobrze sprawić — powiedział Maclean. —

Masz szczęście, John jest bardzo lojalny wobec swoich ludzi.

Popow wzruszył ramionami.

— Pewnie tak. Nigdy mi nie mówił, po co mu to było potrzebne, ale domyślam się, że chciał w ten sposób zapewnić Henriksenowi kontrakt na ochronę olimpiady, którą teraz oglądam w telewizji.

— Masz rację — potwierdził Killgore. — To było dla nas bardzo ważne. — Oglądaj ją uważnie, dodał w myśli, bo więcej ich już nie będzie.

— Ale po co mu to było?

Zawahali się, słysząc pytanie wprost. Lekarz i inżynier popatrzyli na siebie przez chwilę.

— Dmitrij, co ty myślisz o środowisku naturalnym? — zapytał Killgore.

— O co ci chodzi? O to tu wokół? Tu jest pięknie. Wiele się od was nauczyłem w czasie tych porannych przejażdżek, przyjaciele. — odparł Rosjanin, ostrożnie dobierając słowa. — To niebo, powietrze, ta cudowna preria i pola pszenicy. Nigdy nie myślałem, że to może być takie piękne. Pewnie dlatego, że wychowywałem się w Moskwie. — Obrzydliwie brudne miasto, nawet sobie nie zdajecie sprawy, jak bardzo, dodał w myślach.

— No, nie wszędzie jest tak jak tutaj.

— Wiem, John. U nas, w Rosji... Wiecie, u nas państwo nie dba o przyrodę tak jak wy, Amerykanie. Morze Kaspijskie, to tam, skąd jest kawior, zostało prawie doszczętnie zatrute ściekami. Na Uralu jest takie miejsce, gdzie próbowano bomby atomowe. Została po nich pustynia. Nigdy tego nie

widziałem, ale słyszałem o tym. Znaki na szosie każą tam zamykać szyby i jechać z maksymalną szybkością przez strefę największego skażenia promieniotwórczego.

— Tak, człowiek, jeśli mu pozwolić, jest w stanie zabić całą planetę — zgodził się Maclean.

— To byłaby zbrodnia, z którą żadna z najgorszych zbrodni hitlerowskich nie może się równać. Barbarzyństwo, niegodne cywilizacji. Filmy i magazyny, które leżą u mnie w pokoju, nie pozostawiają co do tego wątpliwości.

— Dmitrij, co myślisz o zabijaniu istot ludzkich? — zapytał Killgore.

— Zależy kogo. Jest mnóstwo ludzi, którzy zasługują na śmierć z tego, czy innego powodu. Cywilizacja zachodnia żywi jednak jakieś dziwne przekonanie, że każde odebranie życia to coś złego. Zawsze się dziwię, jak widzę, jakiej hysterii dostajecie u was w Stanach, kiedy jakiegoś zbrodniarza, wielokrotnego mordercę, mają stracić w więzieniu. Zawsze mnie to dziwiło.

— A co ze zbrodniami przeciw naturze? — zapytał Killgore, patrząc gdzieś w dal.

— Nie rozumiem.

— To, co szkodzi całej planecie, wybijanie całych gatunków zwierząt, trucie powietrza i mórz. Co z tym?

— Kirk, to są straszliwie akty barbarzyństwa, które trzeba karać ze szczególną surowością. Tylko jak zidentyfikować winnych? Czy winnym będzie przemysłowiec, który wydał polecenie i ma z tego zysk, czy robotnik, któremu płacą za to, żeby robił, co mu każą?

— A co na ten temat powiedziano w Norymberdze? — zapytał Killgore.

— Chodzi ci o trybunał, sądzący zbrodniarzy wojennych? Postanowiono tam, że wypełnianie rozkazów nie jest okolicznością łagodzącą. — W Akademii uczyli nas inaczej, pomyślał Popow. Tam mówiono, że Partia Ma Zawsze Rację.

— A widzisz — odparł epidemiolog. — Ale przecież Trumana nikt nie ścigał za Hiroszimę.

Bo zwycięzców nikt nie sądzi, baranie, pomyślał Popow.

— Pytasz, czy to była zbrodnia? — zapytał. — Nie, nie była. Ta bomba położyła kres dużo większemu złu. Poświęcenie życia tych ludzi było konieczne dla przywrócenia pokoju.

— A gdyby stawką było uratowanie planety?

— Nie rozumiem.

— Gdyby planeta umierała, co można by... Co trzeba by zrobić dla jej ratowania?

Ta dyskusja zaczynała mu przypominać zajęcia z marksizmu-leninizmu na Uniwersytecie im. Łomonosowa. Była równie przesycona ideologią i filozofią — i równie oderwana od rzeczywistości. Zabić całą planetę? Przecież to niemożliwe. Może gdyby wybuchła wojna atomowa na szeroką skalę, no to może wtedy, ale w dzisiejszych czasach to przecież niemożliwe!

Świat się zmienił. Czy ci dwaj druidzi nie rozumieją, jaki to cud? Przecież świat kilka razy stanął na krawędzi atomowej zagłady, a teraz to już tylko historia, przeszłość, do której nie ma powrotu.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, przyjaciele.

— A my owszem — powiedział Maclean. — Dmitrij, są dziś na świecie ludzie i siły, zdolne zabić to wszystko wokół. Ktoś musi powstrzymać ten proces, ale jak tego dokonać?

— Nie mówisz o kampanii politycznej, prawda? — upewnił się były szpieg.

— Nie. Na to już za późno, zresztą i tak nie usłyszałaby tego wystarczająca liczba ludzi

— odpowiedział Killgore. Skręcił w prawo, a reszta podążyła za nim. — Obawiam się, że będzie trzeba podjąć bardziej drastyczne środki.

— To znaczy? Co, wybić całą ludzkość jak robaki? — ironicznie zapytał Popow.

Wesołość w nim jednak szybko zgasła, kiedy, zamiast odpowiedzi na retoryczne w założeniu pytanie, ujrzał dwa identyczne spojrzenia. Trening sprawił, że nie zmroziły mu one krwi, ale zamiast tego wprowadziły jego mózg na wyższe niż dotąd obroty i skierowały w innym niż dotąd, nieznanym i przerażającym kierunku. Ci ludzie to faszyci. Gorzej, fanatycy. Czy oni naprawdę chcą zrealizować ten swój nedorzeczny pomysł? Czy ktokolwiek byłby zdolny do czegoś takiego? Są gorsi od stalinowców. Zresztą tamci z pewnością nie byli szaleńcami.

Szum silników odrzutowca przerwał te rozmyślania. To był jeden z floty firmowych *Gulfstreamów* Horizon, startujący z lotniska na terenie kompleksu, który po starcie wznosił się i zakręcał na wschód. Do Nowego Jorku po kolejnych członków Projektu? Pewnie tak. Kompleks był w ocenie Popowa wypełniony w osiemdziesięciu procentach. Tempo napływu nowych zmalało, ale ludzie nadal przybywali, głównie prywatnymi samochodami. Stołówka była w porze obiadowej wypełniona prawie po brzegi, a światła w części laboratoryjnej paliły się do późna.

Czym ci ludzie się zajmowali?

Horizon była korporacją biotechnologiczną, specjalizującą się w produkcji lekarstw i rozwoju terapii medycznych. Killgore był lekarzem, Maclean inżynierem, specjalistą w dziedzinie ochrony środowiska. Obaj byli druidami, czcicielami natury, wyznawcami tego cholernego neopogaństwa, które szerzyło się na Zachodzie. Z rozmowy w Nowym Jorku wynikało, że John Brightling też był jednym z nich. Fanatyzm tych ludzi i przedmiot zainteresowań ich firmy... Te pisma w pokoju. Ludzie jako pasożytniczy gatunek, żerujący na naturze. I ci dwaj, którzy tak lekko mówili o skazywaniu na śmierć za szkodzenie naturze, zwłaszcza w połączeniu z wyraźnym stwierdzeniem, że wszystkich ludzi uważają za szkodliwych. Co oni mają zamiar zrobić? Zabić wszystkich? Co za bzdura! Drzwi

prowadzące do prawdy uchyliły się znowu trochę, ale choć jego myśl biegła szybciej niż Śmietanka, nadal zbyt wolno, by coś sensownego z tego wyciągnąć.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Jakiś cień przeciął ich drogę i Popow spojrział w górę.

— Co to?

— Jastrząb — odparł Maclean, spoglądając także w górę. — Szuka śniadania.

Patrzyli, jak drapieznik powoli krąży we wstępującym prądzie powietrza, nabierając wysokości, aż wreszcie wspiął się na dwieście metrów. Szeroko rozłożywszy skrzydła, płynął na prądach powietrznych, z opuszczoną głową, wypatrując swym niewiarygodnie byстрым wzrokiem na powierzchni ziemi nieostrożnego gryzonia. Bez słów wszyscy trzej zatrzymali konie, by śledzić tę scenę. Kilka minut przyglądali się, chłonąc piękno i grozę tego widoku.

Nagle jastrząb zwinął skrzydła i zanurkował, dodając jeszcze szybkości ruchami lotek. Po chwili rozłożył skrzydła ponownie, podniósł głowę i teraz opadał żółtymi szponami naprzód...

— Ha! — wykrzyknął Maclean.

Jastrząb zabił swoją ofiarę, jak dziecko rozgniatające robaka, kilkakrotnie uderzając jego głową, trzymaną szponami, o ziemię. Po chwili ujął bezwładne, wydłużone truchło i ciężko poruszając skrzydłami wzniósł się ponownie w przestworza, kierując się na północ, do gniazda.

Piesek preriowy, którego zabił jastrząb, nie miał żadnych szans. Taka była natura, a i ludzie nie byli inni. Żaden żołnierz nigdy nie dawał wrogowi szansy na żadnym polu bitwy. To nie było ani rozsądne, ani bezpieczne. Jeżeli się uderza, wkłada się w to całą furię, na jaką kogoś stać, i daje się jak najmniej ostrzeżeń, żeby pozbawić wroga życia jak najszybciej, a jeśli wrogowi zabrakło rozsądku, żeby się odpowiednio zabezpieczyć — to już jego, a nie nasze zmartwienie. Jastrząb atakował od strony słońca, pionowo w dół. Piesek preriowy, siedzący na brzegu nory, nie miał

szans zobaczyć nawet jego cienia, zanim było już za późno. Jastrząb zabił go bez zastanowienia i bez współczucia. Zabił go, bo musi jeść i karmić młode. Tak czy inaczej, piesek preriowy zwiślał

bezwładnie w szponach drapieźcy, który za chwilę rozerwie go na strzępy i pożre.

— Cholera, jak ja lubię na to patrzeć — zachwycił się Maclean.

— To okrutne, ale piękne — zgodził się Popow.

— Matka Natura taka już jest, chłopie. Okrutna i piękna — powiedział Killgore, śledząc odlatującego jastrzębia. — To było wspaniałe.

— Będę sobie musiał jednego złapać i oswoić — ogłosił Maclean. — Nauczę go polować z ręki.

— Czy pieski preriowe są gatunkiem zagrożonym?

— A skąd! — odparł Killgore. — Drapieżniki kontrolują ich populację, ale nie są w stanie wytepić. Natura sama reguluje bilans.

— A gdzie jest w nim miejsce dla ludzi?

— Nie ma — odparł Popowowi Kirk Maclean. — Ludzie po prostu go rozpieprzają, bo są zbyt głupi. Nie mają pojęcia, co działa, a co nie. I nic ich nie obchodzi szkody, jakie wyrządzają.

To jest największy problem.

— To co go może rozwiązać? — zapytał Popow. Killgore spojrzał mu prosto w oczy i odpowiedział:

— My.

— Ed, on tego pseudonimu musiał używać od dawna — upierał się Clark. — Ludzie w PIRA nie widzieli go od lat, ale znali go pod tym właśnie nazwiskiem.

— Na to wygląda — zgodził się przez telefon Ed Foley. — Czyli naprawdę chcesz z nim porozmawiać?

— Co w tym dziwnego, Ed? Ten Sierow spuścił ze smyczy ludzi, którzy mieli zabić moją żonę, córkę i wnuka, pamiętasz? I zabili mi dwóch ludzi. Więc mam twoją zgodę na to, żeby z nim mówić, czy nie? — zapytał Tęcza Sześć.

W biurze na szczycie budynku Centrali CIA w Langley, jej dyrektor do spraw wywiadu, Ed Foley, siedział przy biurku i był, jak rzadko kiedy, w rozterce. Jeśli pozwoli na to Clarkowi, a on dostanie to, czego żąda, Firma będzie musiała się zrewanżować. Siergiej Nikołajewicz zadzwoni któregoś ranka do niego i też zażąda jakiejś ważnej wiadomości, a on będzie musiał ją mu dostarczyć albo budowane od lat wielkim wysiłkiem odprężenie między wywiadami szlag trafi. Nie było sposobu, żeby przewidzieć, czego mogli zażądać w zamian Rosjanie. Obie strony szpiegowały się wzajemnie, jak gdyby nigdy nic, więc przyjazne reguły współzycia jednocześnie obowiązywały i nie. Udawało się, że obowiązują, ale działało się tak, jakby ich nie było. Kontakty na wysokim szczeblu, zwłaszcza takiej natury, były bardzo rzadkie, a przecież Gołowko już dwa razy pomógł im przeprowadzić bardzo ważne operacje. Nigdy nie zażądał niczego w zamian, być może dlatego, że obie operacje pośrednio dotyczyły też bezpieczeństwa jego własnego kraju, ale nigdy nic nie wiadomo. Dług wdzięczności niebezpiecznie narastał, a Siergiej Nikołajewicz nie należał do ludzi, którzy zapominają o wiarygodnościach...

— Wiem, o czym myślisz, Ed — dobiegło ze słuchawki — ale straciłem przez tego gościa ludzi i chcę go dorwać, a Siergiej może nam pomóc zidentyfikować skurwiela.

— A jeżeli to wciąż ich człowiek?

— Wierzysz w to?

— No, raczej nie. Ten etap chyba mamy na szczęście za sobą.

— Ja też nie, Ed. A więc, skoro Siergiej jest naszym przyjacielem, to zadajmy mu przyjacielskie pytanie. Może dostaniemy przyjacielską odpowiedź. Czego może zażądać w zamian? Treningu z naszymi ludźmi przez parę tygodni? Czekamy z otwartymi ramionami. Taką cenę chętnie zapłacę.

Nie było sensu kłócić się z Johnem, który kiedyś był jego i jego żony (obecnie zastępczyni dyrektora do spraw operacyjnych) instruktorem.

— Dobra, John. Zatwierdzam to. Kto podejmie próbę nawiązania kontaktu?

— Mam jego numer do biura — odparł Clark.

— No to dzwoń. Zatwierdzam to — zakończył sprawę Foley, choć niechętnie. — Coś jeszcze?

— Nie, panie dyrektorze, to wszystko. Jak Mary Pat i dzieciaki?

— Świetnie. A jak twój wnuk?

— Nie najgorzej. Patsy ma się dobrze, a Sandy przejęła wszystkie zajęcia przy JC.

— JC?

— John Conor Chavez.

Ależ mu imiona wybrali, pomyślał Foley.

— No dobra, dzwoń, John. Do zobaczenia.

— Dzięki, Ed. Cześć. — Clark przełączył telefon na linię wewnętrzną. — Bill, mamy zgodę.

— Świetnie — ucieszył się Tawney. — Kiedy zadzwonisz?

— Co powiesz na to, żeby zaraz?

— Przygotuj wszystko jak należy — ostrzegł Tawney.

— Spokojna głowa. — Clark rozłączył się i wcisnął kolejny guzik na klawiaturze telefonu, który uruchamiał wewnętrzny magnetofon. Potem wykręcił kierunkowy do Rosji i numer w Moskwie.

— Sześćset sześćdziesiąt, słucham — odezwał się po rosyjsku kobiecy głos w słuchawce.

— Chciałbym rozmawiać z Siergiejem Nikołajewiczem. Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Iwan Timofiejewicz — powiedział swoją literacką ruszczyzną Clark.

— *Minutoczku* — powiedziała sekretarka i przełączyła, zastanawiając się, skąd ten ktoś zna zastrzeżony bezpośredni numer szefa.

— Klierk?! — zapytał tubalny głos z drugiego końca linii. — Dzwonisz z Anglii?

Oho, już się zaczyna. Szef rosyjskiego wywiadu dał do zrozumienia, że wie, gdzie jest Clark i co porabia. Nie było sensu pytać, skąd.

— Klimat tu całkiem znośny, panie przewodniczący.

— Słyszałem, że ten twój oddział miał ostatnio pełne ręce roboty. No i ten zamach na twoją żonę i córkę. Czy z nimi wszystko w porządku?

— Miłe to na pewno nie było, ale dziękuję, wszystko w porządku. — Rozmowa toczyła się po rosyjsku, w języku, którym Clark posługiwał się doskonale. Gołowko powiedział mu kiedyś, że ma akcent, jak ktoś, kto całe życie spędził w Leningradzie. To znaczy, teraz w Sankt-Petersburgu. Cholera, znowu się trzeba będzie od nowa uczyć nazw tych miast, pomyślał Clark.

— A ostatnio zostałem dziadkiem.

— No, to gratuluję, Wania! To wspaniała wiadomość. Bardzo mnie poruszyła wieść o tym ataku. — Clark uznał, że mówi szczerze. Rosjanie mieli skłonności do sentymentalizmu, zwłaszcza, kiedy chodziło o dzieci.

— Mnie też. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, jak to mówią. Jednego z tych sukinsynów złapałem własnoręcznie.

— O, tego nie wiedziałem, Wania. — Clark zastanawiał się, czy to prawda. Zresztą, i tak nie miał jak sprawdzić. — To z czym właściwie dzwonicz?

— Potrzebuję pomocy. Chodzi o nazwisko.

— Jakie?

— To pseudonim. Władimir Andriejewicz Sierow. Jeden z waszych, zapewne byłych, oficerów. Pracował z elementami postępowymi na Zachodzie. Mamy podstawy przypuszczać, że stał za ostatnimi akcjami terrorystycznymi, w których zginęli ludzie, w tym za atakiem na moich ludzi w Hereford.

— Nie mieliśmy z tym nic wspólnego, Wania — natychmiast i bardzo poważnym tonem odparł Gołowko.

— Nikt w to nie wątpi, Siergiej. Ale to właśnie człowiek posługujący się tym pseudonimem i rosyjskim paszportem przekazał pieniądze i narkotyki irlandzkim terrorystom.

Irlandczycy znali go od wielu lat, poznali się w dolinie Bekaa. Z tego wysnuwam wniosek, że może chodzić o byłego oficera KGB. Mam też rysopis.

— Sierow, powiadasz... Dziwne, że ktoś przybiera sobie akurat to nazwisko jako pseudonim...

— Też tak myślę.

— To dla ciebie ważna sprawa?

— Sierioża, nie dość, że straciłem dwóch ludzi, to jego operacja zagroziła bezpośrednio życiu mojej żony i córki. Tak, przyjacielu, to dla mnie bardzo ważne.

Gołowko zastanowił się przez chwilę. Znał Clarka od lat, ostatni raz widzieli się półtora roku temu. Wiedział, że Clark był doskonałym agentem terenowym, obdarzonym niebywałym talentem i sporą dozą szczęścia. Był kiedyś bardzo groźnym wrogiem, kwintesencją profesjonalizmu w szpiegowskim rzemiośle, tak samo jak ten jego młodszy kolega, jak mu było...

Domingo Chavez? Chyba tak. Córka Clarka wyszła za niego — tego dowiedział się dopiero niedawno. Ktoś przekazał tę wiadomość Kirilience w Londynie, ale już nie pamiętał kto.

Jeżeli jednak naprawdę stał za tym Rosjanin i to w dodatku były czekista, to mogło to mieć bardzo nieprzyjemne następstwa dla kraju i Służby. Czy powinien pójść na współpracę z Clarkiem? Jakie mogły być zyski i jakie zagrożenia? Jeżeli się nie zgodzi, CIA i inne zachodnie agencje mogą jemu nie pójść na rękę, kiedy przyjdzie jego kolej na prośbę o współpracę. Czy wydanie tego człowieka leżało w interesie kraju? A w interesie jego służby?

— Zobaczę, co da się zrobić, Wania, ale niczego nie mogę obiecać. Dobra nasza, pomyślał Clark. To oznaczało, że przynajmniej spróbują.

— Będę to uważał za osobistą przysługę, Siergiej Nikołajewiczu.

— Rozumiem. Zobaczę, co da się zrobić.

— Doskonale. Życzę miłego dnia.

— Do widzenia.

Clark odłożył słuchawkę i wyłączył magnetofon. Wyjął kasetę i wrzucił ją do szuflady biurka.

— Dobra, kolego. Zobaczymy, czy nam pomożesz.

Systemy komputerowe w centrali rosyjskiego wywiadu nie były z pewnością tak zaawansowane, jak te, którymi dysponowali Amerykanie, ale drobne techniczne różnice i tak nic nie mówiły przeciętnemu ich użytkownikowi, którego rozum pracował o wiele wolniej niż nawet najbardziej opóźniony w rozwoju komputer. Gołowko wiedział sporo o komputerach, by czasem samemu robić z nimi rzeczy, których wolałby nie zlecać nikomu innemu. Po kilku chwilach miał

cały ekran folderów zawierających wiadomości o człowieku, który używał tego pseudonimu.

POPOW DMITRIJ ARKADIJEWICZ widniało u góry strony. Miał jego numer służbowy, daty

urodzin i przyjęcia do służby. Dosłużył się stopnia pułkownika, zanim przyszła pierwsza fala zwolnień grupowych, która odchudziła KGB o jedną trzecią etatów. Miał

znakomitą opinię służbową, ale specjalizował się w kontaktach z elementami postępowymi, a Służba straciła zainteresowanie nimi. Prawie wszystkich pracowników tego zarządu zwolniono na przedwczesną emeryturę w kraju, w którym nawet pełna emerytura była w stanie wyżywić przez pięć dni w miesiącu... Niewiele można było na to poradzić. Ledwie dało się wydusić w Dumie fundusze na utrzymanie funkcjonowania Służby na kierunkach ważnych dla państwa, które, chociaż, a może właśnie dlatego, że tak zmniejszone, potrzebowało sprawnego wywiadu jak nigdy dotąd. Clark dwa razy pomagał im przeprowadzić operacje, na które sami nie mogliby sobie pozwolić. Oczywiście, uprzednio wyrządził Związkowi Radzieckiemu wiele szkód, ale z drugiej strony... Gdyby nie te szkody, Gołowko nie miałby nawet co marzyć o zajmowaniu fotela w tym gabinecie.

Pomoże mu więc. Jednocześnie zyska argument przetargowy na później, kiedy będzie czegoś potrzebował od Amerykanów. Clark był zawsze w stosunku do niego w porządku, a udział byłego kolegi w zamachu na jego rodzinę na pewno nie przysparzał Służbie chwały. Ataki na cywilów nie były w tym rzemiośle przyjęte. Pewnie, za czasów zimnej wojny, zdarzało się czasem, że żonę schwytanego na gorącym uczynku oficera CIA potraktowano trochę obcesowo, ale żeby zaraz zabijać? Nigdy. Raz, że to *niekulturalnie*, a dwa, że to mogło rozkręcić spiralę odwetu, która zaszkodziłaby wykonywaniu pracy. Od lat 50. rzemiosło naprawdę się ucywilizowało, a działania stały się przewidywalne. Przewidywalność to rzecz, której Rosjanie zawsze oczekiwali po Zachodzie, więc obie strony były zadowolone. Clark był zawsze przewidywalny.

Gołowko podjął decyzję, zaświetlił interesujące go pliki i wywołał je na ekran.

— No i? — Clark zapytał Tawneya.

— Szwajcarom jak zwykle się nie śpieszyło, ale wygląda na to, że numer podany przez Grady'ego był prawdziwy.

— Był? — zapytał John, wyczuwając, że zaczynają się złe wieści.

— To znaczy, konto jest nadal aktywne. Otworzono je i przelano na nie sześć milionów dolarów, potem podjęto kilkaset tysięcy, a w końcu, dokładnie w dniu ataku na szpital, cała reszta, poza stoma tysiącami dolarów, została przelana na inne konto w innym banku.

— Gdzie?

— Mówią, że nie mogą udzielić takiej informacji.

— Tak? No to jak następnym razem ich pieprzony minister sprawiedliwości zadzwoni po pomoc, to mu powiem, żeby mnie w dupę pocałował i będę oglądał w telewizji, jak terroryści mordują jego rodaków!

— John, u nich obowiązuje takie prawo, nic na to nie poradzisz — próbował go uspokoić Tawney.

— A jeśli facet zlecił dokonanie przelewu adwokatowi? Adwokat ma prawo do tajemnicy zawodowej i żadne państwo nic na to nie poradzi. Szwajcarski kodeks przewiduje możliwość złamania tajemnicy bankowej jedynie w sytuacji, gdy konto należy do przestępcy, ale my nie mamy na to dowodu, prawda? Zapewne da się to jakoś obejść, ale to potrwa, staruszk.

— Cholera — mruknął Clark. Zastanowił się przez chwilę. — Rusek? Tawney w zamyśleniu pokiwał głową.

— To ma ręce i nogi — powiedział. — Założył im konto i podał numer, a kiedy wpadli, skorzystał z tego, że nadal go pamiętał, prawda?

— To skurwiel! Wystawił ich i jeszcze okradł.

— Na to wygląda. Grady mówił w szpitalu o sześciu milionach i Szwajcarzy to potwierdzili. Wziął tych kilkaset tysięcy na ciężarówki i inne pojazdy, potrzebne do dokonania ataku — to potwierdziło dochodzenie policyjne — a resztę zostawił na koncie. Rosjanin uznał, że i tak Grady'emu się już do niczego nie przydadzą, więc czemu nie miałyby z nich zrobić lepszego użytku? Rosjanie znani są z chciwości.

— Co Rusek dał, Rusek wziął, niezbadane są wyroki Ruska — skrzywił się Clark. —

Oprócz tego dał im też namiary na nas.

— Nie upierałbym się, że tak nie było — zgodził się Tawney.

— Dobra, czyli wróćmy do początku — powiedział Clark, odkładając na bok emocje. —

Rusek przychodzi do Grady'ego i daje mu informacje wywiadowcze o nas i pieniądze na przeprowadzenie operacji. Skąd są pieniądze? Na pewno nie z Rosji, bo, po pierwsze, Rosjanie nie mieli żadnego powodu do tego, żeby coś takiego zrobić, a po drugie, nie mają paru milionów dolarów na zbyciu. A więc, pytanie numer jeden: skąd były pieniądze?

— I narkotyki, John — dorzucił Tawney. — Nie zapominaj o tym.

— Dobra. Skąd były pieniądze i narkotyki?

— Chyba łatwiej wysledzić narkotyki. Garda mówi, że kokaina była medycznej jakości, a to oznacza, że pochodziła z firmy farmaceutycznej. Legalną produkcję kokainy na świecie kontroluje się bardzo dokładnie w każdym kraju. Pięć kilo to bardzo duża ilość, wystarczy, żeby wypełnić sporą walizkę, bo kokaina ma objętość prawie taką jak tytoń. A więc, pięć kilo kokainy zajmuje tyle miejsca, co pięć kilo papierosów. Czyli spora walizka. A to mnóstwo narkotyku, John. W czymś pilnie strzeżonym magazynie zyje teraz takiej właśnie wielkości dziura.

— Myślisz, że to się mogło zacząć w Stanach?

— Zacząć? Owszem. Największe na świecie firmy farmaceutyczne mieszczą się tu i u was. Ja zapytam naszych chłopaków z Distillers Limited, a ty zadzwoń do swoich z DEA[12].

— Zadzwoń do FBI — zdecydował Clark. — A oni niech się dogadują z DEA. Tak więc, Bill, czego się do tej pory dowiedzieliśmy?

— Zakładamy, że Grady i O'Neil mówili prawdę o Sierowie. Mamy więc byłego, zapewne, oficera KGB, który stoi za atakiem na Hereford. Wynajął ich jak najemników, płacąc pieniędzmi i narkotykami. Kiedy atak nie wyszedł, po prostu przywłaszczył sobie pieniądze.

Rosjanie raczej nie posiadają takich ilości pieniędzy prywatnie, no może poza mafią, w której roi się od byłych czekistów, którzy woleli przejść tam, niż przymierać głodem na emeryturze, ale nie widzę, jaki mogliby mieć cel w tym, żeby nas atakować. Tęcza nie jest dla nich zagrożeniem, prawda?

— Nie — zgodził się Clark.

— Czyli mamy dużą ilość narkotyku i sześć milionów dolarów, które dostarcza Rosjanin.

Na razie zakładamy, że pieniądze pochodziły z Ameryki, na co wskazuje ilość narkotyków i suma pieniędzy.

— A to dlaczego?

— Nie wiem, John. Ja po prostu mam nosa.

Clark rozłożył ręce.

— Dobra, niech ci będzie. Jak te pieniądze i narkotyki dostały się do Irlandii?

— Nie wiemy. Musiały skądś przylecieć do Dublina. Tak, wiem, z taką ilością narkotyków to byłaby głupota. Ale jakoś ta kokaina się tam przecież znalazła, prawda? Trzeba będzie o to popytać naszych przyjaciół z Gardy.

— Powiedz im, że to ważne. W ten sposób możemy odnaleźć numer rejsu i miejsce, skąd przyleciał.

— Masz rację — powiedział Tawney i zapisał to w notesie.

— Czego jeszcze nam brakuje?

— Idę do Szóstki sprawdzić nazwiska oficerów KGB, o których wiadomo, że pracowali z terrorystami. Mamy rysopis, który może przydać się do eliminacji tych, którzy mu nie odpowiadają. Ale chyba najlepszym śladem jest te pięć kilo koki.

Clark skinął głową.

— Dobra, zaraz zadzwonię do Biura w tej sprawie.

— Pięć kilogramów?

— Zgadza się, Dan. I to najczystsze farmaceutycznego towaru. To naprawdę mnóstwo koki,

człowieku, więc gdzie powinno jej brakować.

— Zadzwoń do DEA, żeby się szybko rozejrzeli — obiecał dyrektor FBI. — A poza tym, co tam u was?

— Ano dalej szukamy. Jak na razie zakładamy, że to się musiało zacząć w Stanach — powiedział Clark i zreferował powody, podane przez Tawneya.

— Ten Rusek, Sierow, jak mówisz, były kagiebista i łącznik między terrorystami.

Niewielu takich było, a na paru mamy tu całkiem grube teczki.

— Bill obiecał, że poszpera też w tym, co mają w Szóstce, a poza tym uruchomiłem już Eda Foleya. No i rozmawiałem z Siergiejem Gołowko.

— Myślisz, że pomoże?

— Najwyżej odmówi, a wtedy pozostaje nam to, co już wiemy.

— Masz rację. Możemy jeszcze coś dla ciebie zrobić?

— Jeżeli dowiem się czegoś nowego, dam ci znać, Dan.

— Dobra, John. Oglądasz może olimpiadę?

— Tak, nawet mamy tam swój zespół.

— Nie wiedziałem.

— Wysłałem tam Dinga i jeszcze paru ludzi. Australijczycy prosili, żeby ktoś od nas przyjrzał się ich systemowi zabezpieczeń. Ding mówi, że są w porządku.

— Olimpiada za darmo, nieźle im się powodzi — zauważył z zazdrością dyrektor FBI.

— Chyba tak, Dan. Daj znać, gdyby coś się u was urodziło w tej sprawie.

— Jasne, John. Do zobaczenia.

— Cześć, Dan.

Clark odłożył słuchawkę bezpiecznego telefonu i odchylił się na oparcie fotela, zastanawiając się, co też mogło ujść jego uwadze. Sprawdzał wszystkie ślady, które przysły mu do głowy, ciągnął za każdą nitkę, którą zauważył, licząc na to, że ktoś dorzuci jakiś brakujący fragment układanki, coś, co od tygodni wałało się pod nogami i na co nikt nie zwracał uwagi, a teraz pomogłoby rozwiązać sprawę. Nigdy nie doceniał mozolnych wysiłków policjantów, rozwiązujących skomplikowane sprawy kryminalne. Nawet kolor samochodu, którym jechał

przestępca, mógł być ważny i trzeba było pamiętać, żeby zapytać świadków nawet o taki, z pozoru nieważny szczegół. Jego nikt tego nie uczył, nie to było jego zadaniem, więc musiał

polegać na policjantach, którym tę sprawę dano do rozwiązania.

A oni zajmowali się tym właśnie w tej samej chwili. W Londynie Timothy O'Neil siedział znowu w pokoju przesłuchań. Zaproponowano mu herbatę i zgodził się.

Nie było mu łatwo. Postanowił, że nic nie powie. W ogóle do swoich oprawców nie odezwie się i tyle. A potem oni opowiedzieli mu te wszystkie rzeczy, których mogli się dowiedzieć tylko od Seana Grady'ego, ich szefa, najtwardszego z twardzieli. Wiara i wola oporu O'Neila doznały wstrząsu i zaczęły się powolutku rozsypywać. Powiedział kilka rzeczy, zapoczątkowując w ten sposób proces, który raz zaczęty, nie dawał się już zatrzymać ani cofnąć.

— Ten Rosjanin, który, jak mówiłeś, nazywał się Sierow — wrócił znowu do sprawy prowadzący przesłuchanie — przyleciał do Irlandii?

— To raczej za daleko na to, żeby dopłynął, nie? — odparł żartem O'Neil.

— Tak, samochodem też daleko, zwłaszcza, że po dnie — zgodził się policjant. — Czyli przyleciał, tak? Czym?

Odpowiedzią była cisza. To rozczarowujące, ale należało się tego spodziewać.

— Mogę ci powiedzieć coś, czego nie wiesz, Tim — zaoferował policjant. To powinno sprawić, że rozmowa potoczy się żwawiej, pomyślał.

— Co takiego?

— Ten Sierow założył dla was numerowe konto w szwajcarskim banku i tam złożył

pieniądze dla was, pamiętasz? Właśnie dowiedzieliśmy się od Szwajcarów, że zostało wyczyszczone.

— Co?

— W dniu waszej operacji ktoś zadzwonił do banku i przelał prawie wszystko, co było na tym koncie, na inne. Czyli Rusek jedną ręką wam dał te pieniądze, a drugą zabrał. O, popatrz —

policjant położył na stole kartkę z faksu — widzisz? To jest numer waszego konta, a to numer autoryzujący przelewy. Sześć baniek zielonych, minus to, co wydaliście na samochody i różne takie. Resztę Sierow sobie przelał, założę się, że na swoje własne konto. Wybraliście sobie niezłego przyjaciela, nie ma co.

— To cholerny złodziej! — Tim nie posiadał się z oburzenia.

— Owszem, Tim. Wiem. Wy tacy nigdy nie byliście. Ale Sierow jest i to jest fakt, chłopcze.

Tim zaklął w sposób, którego jego proboszcz na pewno by nie pochwalił. Poznał numer, wiedział, że jest prawdziwy. Wiedział, że Sean go zapisał i że policjant może mówić prawdę o tym, co się stało.

— Przyleciał na Shannon prywatnym odrzutowcem. Nie wiem skąd.

— Na pewno?

— To pewnie z powodu tych prochów, które przywiózł. Bogaczy nie trzepią tak, jak biedaków, nie? Zachowują się jak pieprzona szlachta.

— Co to był za samolot?

O'Neil pokręcił głową.

— Miał dwa silniki z tyłu i ogon w kształcie litery T, ale nie mam pojęcia, jak się to cholerstwo mogło nazywać.

— A czym dotarł na spotkanie?

— Podstawiliśmy mu samochód.

— Kto prowadził?

— Daj pan spokój, nazwiska nie powiem. Już wam to mówiłem.

— Wybacz, Tim, ale muszę o to zapytać. Przecież wiesz — powiedział tonem takim, jakby się usprawiedliwiał. Ciężka praca zaczynała przynosić efekty. Terrorysta zaczynał darzyć go zaufaniem.

— Sean zaufał temu Sierowowi. To był jego błąd. Polecenie przelewu przyszło dwie godziny po rozpoczęciu waszej operacji. Podejrzewamy, że był tam w pobliżu i obserwował, co się dzieje. Kiedy zobaczył, że wam nie idzie, po prostu zrobił was w trąbę i najzwyczajniej w świecie ograbił. Ruscy to pieprzone chciwe świny, Tim — rozwodził się inspektor. Nikt, kto patrzyłby mu w oczy, nie zauważyłby rozsadzającej go radości z tego, jak podziałała wiadomość. W pokoju był, oczywiście, mikrofon, więc jego koledzy już dzwonili do Irlandii.

Irlandzka policja państwowa, Garda, zwykle współpracowała chętnie z policją brytyjską, więc i tym razem nie odmówiła pomocy. Miejscowy komendant Gardy pojechał natychmiast na lotnisko Shannon sprawdzić dziennik przylotów. Z całej sprawy obchodziło go jedynie pięć kilo kokainy, które trafiły do kraju tym lotem. Jak większość Irlandczyków sympatyzował z IRA, ale te prochy to był głupi błąd taktyczny, który spowodował, że czasami przymykane oko republikańskiej sprawiedliwości otwierało się szeroko. Policjanci mogli sympatyzować z bojownikami o wolność, ale handlarzy narkotyków, jak ich wszyscy koledzy po fachu z całego świata, uważali na najgorszą szumowinę.

Biuro kontroli ruchu powietrznego na Shannon przechowywało dokumentację każdego przylotu i odlotu na lotnisko, z datami i godzinami przylotu i odlotu. Po podaniu daty znalezienie właściwej informacji nie zajęło nawet trzech minut. Tak, tego dnia wczesnym rankiem wylądował tam *Gulfstream*, zatankował i wkrótce odleciał. W dokumentach był numer rejestracyjny samolotu i nazwiska członków załogi. Maszyna zarejestrowana była w Ameryce, należała do dużej firmy

wynajmującej samoloty dyspozycyjne. Z kontroli lotów policjant poszedł

do biura imigracyjnego i przekonał się, że pasażerem tego samolotu był istotnie niejaki Władimir Sierow. Policjant zrobił kserokopie odpowiednich dokumentów i zabrał je ze sobą na posterunek, skąd powędrowały faksem do centrali Gardy w Dublinie, stamtąd do Londynu, a potem jeszcze dalej, do Waszyngtonu.

— Cholera — mruknął znad biurka Dan Murray. — Wygląda na to, że to rzeczywiście zaczęło się u nas.

— Na to wychodzi, szefie — potwierdził Chuck Baker, zastępca dyrektora FBI do spraw dochodzeń kryminalnych.

— Zajmij się tym, Chuck.

— Jasne, Dan. Zdaje się, że to idzie głęboko.

Pół godziny później dwóch agentów FBI przybyło na lotnisko w Teterboro, w stanie New Jersey, gdzie miała siedzibę firma czarterowa. Szybko dowiedzieli się, że samolot wynajął

Władimir Sierow i zapłacił czekiem z konta w Citibanku, otwartego na to samo nazwisko. Nie, nie mieli zdjęcia człowieka, który wypożyczał samolot. Załoga była za granicą, w kolejnym locie, ale zaraz po powrocie będą, oczywiście, do dyspozycji Biura.

Agenci pojechali stamtąd, z kopiami niektórych dokumentów, do banku, w którym otwarte było konto Sierowa. Nikt w całym banku nie pamiętał nikogo takiego i chyba nigdy go nie widział na oczy. Adres, który podał, okazał się tym samym adresem skrzynki pocztowej, na którym zakończyli poszukiwania, zaczęte od karty kredytowej.

FBI miało już kopię zdjęcia paszportowego Sierowa, ale, jak przyznawał sam dyrektor Murray, rzadko kiedy takie zdjęcie nadawało się do czegokolwiek innego niż identyfikacja zwłok ofiary wypadku lotniczego. Mimo to, teczka rosła i to napawało Murraya optymizmem. Powoli, ale systematycznie, przybywało im wiedzy na temat podejrzanego i, prędzej czy później, musiało dojść do jakiegoś przełomowego odkrycia. Żadne szkolenie, nawet KGB, nie było w stanie zapobiec głupiej pomyłce, która kiedyś musiała nadejść. A wtedy wpadnie, bo jeśli ktokolwiek trafił w obszar zainteresowania Biura, jego dziewięć tysięcy wyszkolonych agentów zaczynało takiego człowieka szukać. I szukało, aż znalazło albo aż ktoś im powiedział, że mają przestać.

Zdjęcie, konto bankowe, karty kredytowe... Następny przystanek to wpłaty na konto — skąd się brały pieniądze na rachunku używanym przez tego człowieka? Jeśli miał pracodawcę albo sponsora, to przychodził czas na to, żeby go przycisnąć i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. I tak od rzemyczka do koniczka. To już była tylko kwestia czasu, a Murray wiedział, że mają na złapanie sukinsyna mnóstwo czasu, choćby do końca świata. Rzadko udawało się zapuszkować wyszkolonego szpiega. Byli najtrudniejszą zwierzyną do podejścia i stąd też najbardziej pożądanym trofeum myśliwskim. Terroryzm i na dokładkę handel narkotykami. Cóż za smakowita sprawa dla prokuratora generalnego.

— Cześć — powiedział Popow.

— Siemasz — odparł tamten. — Ty nie jesteś stąd.

— Dmitrij Popow — przedstawił się Rosjanin, wyciągając rękę na powitanie.

— Foster Hunnicutt — odparł Amerykanin, ściskając ją. — Co tu robisz?

Popow uśmiechnął się.

— Tu? Nic a nic, poza nauką jazdy na koniu. Pracuję bezpośrednio dla doktora Brightlinga.

— Kogo? A, samego wielkiego szefa, tak?

— Zgadza się. A ty?

— Jestem myśliwym i przewodnikiem — odparł mieszkaniec Montany.

— Fajnie. Jesteś weganinem?

Hunnicutt uznał to za niezły dowcip.

— Nie za bardzo. Lubię czerwone mięso tak samo, jak każdy. Jedyna różnica, że wolę łosia, niż to tajemnicze mięso nie wiadomo z czego — dodał, z niesmakiem dziobiąc widelcem w to, co leżało na jego talerzu.

— Łosia?

— Może być też wapiti, największy pieprzony jelen, jakiego można spotkać na tym świecie. Dobrze wyrośnięty ma ze dwieście kilo dobrego mięsa. No i te łopaty, człowieku!

— Łopaty?

— No, rogi na głowie, rozumiesz. Niedźwiedzie mięso też lubię.

— Lepiej nie mów tego głośno, chłopie — włączył się Killgore. — Mnóstwo ludzi tutaj zaczęłoby od tego chodzić po ścianach!

— Człowieku, polowanie to najlepsza forma zachowania gatunku. Gdyby ktoś nie zajmował się selekcją, to w bardzo krótkim czasie nie byłoby na co polować. No wiesz, jak to co robił Teddy Roosevelt w parku Yellowstone. Jeśli chcesz zrozumieć zwierzęta, ale tak naprawdę zrozumieć, to trzeba być myśliwym, człowieku.

— Nikt tu nie mówi inaczej — odparł epidemiolog.

— No dobra, może ja nie jestem z tych, co kochają zajaczki, ale do cholery, zabijam tylko tyle, ile

mogę zjeść. Nie zabijam dla zabawy, żeby zobaczyć śmierć z bliska — powiedział i uśmiechnął się szeroko. — W każdym razie nie zwierzęta. Ale jest paru idiotów, których chętnie bym kropnął dla rozrywki.

— Zdaje się, że właśnie dlatego tu jesteśmy, prawda? — uśmiechnął się znad talerza Maclean.

— Jasne, człowieku. Zbyt wielu idiotów zatruwa świat elektrycznymi szczoteczkami do zębów, samochodami i paskudnymi domami.

— To ja pozyskałem Fostera dla Projektu — powiedział Mark Waterhouse. Znali się z Macleanem od lat.

— Wiesz już wszystko?

— Tak jest. I ze mną wszystko w porządku. Wiecie, zawsze się zastanawiałem, jakby to było być Jimem Bridgerem albo Jedediaszem Smithem[13]. Może teraz, za parę lat, dowiem się?

— Poczekaj z pięć lat, to się dowiesz — odparł Maclean. — Tak wynika z naszych symulacji komputerowych.

— Brigder? Smith? — zapytał Popow.

— To byli pionierzy — wyjaśnił Hunnicutt. — Pierwsi biali, którzy zobaczyli Zachód, legendarni odkrywcy, myśliwi i pogromcy Indian.

— Tak, tych Indian to jednak szkoda.

— Może — zgodził się Hunnicutt.

— Kiedy przyjechałeś? — zapytał Waterhouse'a Maclean.

— Dzisiaj. Samochodem — odparł Mark. — Tu już chyba komplet, co? — Ten tłok wcale mu się nie podobał.

— Zgadza się — potwierdził Killgore. Jemu to się też nie podobało. — Ale na zewnątrz nadal jest pięknie. Jeździ pan konno, panie Hunnicutt?

— A niby jak człowiek ma polować na Zachodzie? Przecież nie z pieprzonego Suburbana, nie?

— Prowadzisz polowania?

— No — kiwnął głową Hunnicutt. — Byłem kiedyś geologiem, pracowałem dla nafciarzy, ale kopnąłem to w dupę już dawno. Miałem dość pomagania w zabijaniu planety, rozumiecie?

Cholera, następny druid, pomyślał Popow. W tym towarzystwie to nic niezwykłego, ale temu się gęba

nie zamykała i plótl bombastyczne androny.

— I wtedy, rozumiecie — ciągnął myśliwy — właśnie wtedy zrozumiałem, co jest ważne na tym świecie, człowieku. — I tu parę minut poświęcił na swoją teorię o Brązowej Smudze. —

Wziąłem swoje pieniądze i powiesiłem to wszystko na kołku, człowieku. Zawsze lubiłem polować i tak dalej, więc kupiłem za to mały domek w górach, stare ranczo hodowcy bydła i zająłem się polowaniem na okrągło.

— O? I mogłeś to robić? Znaczy polować, kiedy chciałeś? — zapytał Killgore.

— To zależy. Był kiedyś jeden taki ze Straży Łowieckiej, który się do mnie o to przypieprzał... No i przestał się przypieprzać.

Popow zobaczył, że Waterhouse mrugnął do Killgore'a, kiedy ten prymityw mówił o strażniku. Natychmiast zrozumiał, dlaczego stróż prawa przestał prześladować myśliwego: Hunnicutt zabił go i uszło mu to na sucho. Jakich oni ludzi ściągają do tego swojego Projektu?

— Urządzamy sobie przejażdżki z rana. Przyłączysz się do nas?

— Jasne! Tego bym nigdy nie odmówił.

— Mnie się to też zaczęło podobać — wtrącił Popow.

— A widzisz, Dmitrij, Kozak z ciebie wyłazi — zaśmiał się Killgore. — Foster, przyjdź na śniadanie tuż przed siódmą, to pojedziemy razem.

— Umowa stoi — potwierdził Hunnicutt.

Popow wstał od stołu.

— Panowie wybaczą, ale za dziesięć minut zaczyna się transmisja z zawodów jeździeckich na olimpiadzie.

— Hej, na razie nawet nie myśl o skakaniu przez przeszkody — ostrzegł Maclean. — Na tyle dobry jeszcze nie jesteś.

— Ale chyba mogę popatrzeć, jak to robią inni? — upewnił się Rosjanin, odchodząc.

— Co on tu robi? — zapytał Hunnicutt, kiedy Popow się oddalił.

— Tak jak powiedział, tu już nic, ale pomógł w realizacji Projektu w bardzo znaczący sposób.

— O, a w jaki?

— Pamiętasz te wszystkie ataki terrorystyczne ostatnio w Europie?

— Aha. Antyterrorystyci naprawdę spisali się na medal odstrzeliwując tych skurwieli.

Niektórzy z nich to cholernie dobrzy strzelcy. Popow miał w tym swój udział?

— Tak, to on wysyłał terrorystów do akcji. Za każdym razem — wyjaśnił Maclean.

— Cholera — zrozumiał nagle Waterhouse — a więc pomógł w ten sposób Billowi dostać kontrakt na ochronę olimpiady, tak?

— Właśnie. Bez niego jakbyśmy, do cholery, mieli rozprzestrzenić Sziwę?

— On jest w porządku — orzekł Waterhouse, sącząc kalifornijskie Chardonnay. Cholera, będzie mi tego brakować po uruchomieniu Projektu, pomyślał. A co tam, mało to w kraju i na świecie zostanie opuszczonych piwniczek? Do końca życia nie wypije wszystkiego.

Maraton

Popow tak polubił te poranki, że specjalnie wstawał wcześniej, by nacieszyć się nimi.

Czasem po prostu nie kładł się spać po zakończeniu transmisji z olimpiady, bo i tak nie było sensu kłaść się na jedną czy dwie godziny do wschodu słońca. Tego dnia wstał tuż po świcie i podziwiał pomarańczoworóżową poświatę, rozświetlającą horyzont na wschodzie. Przed przyjazdem do Kansas nigdy w życiu nie jeździł na koniu i dopiero tu poznał, jakie to przyjemne uczucie siedzieć na wielkim, potężnym zwierzęciu, czuć je między nogami i kierować dowolnie jego ruchami za pomocą niczego więcej ponad lekkie ściąganie, czy popuszczanie wodzy albo nawet i bez tego, zwykłym cmoknięciem. To dawało zupełnie inną perspektywę, niż z pozycji człowieka idącego na własnych nogach i było takie... męskie, przyjemne w jakimś pierwotnym sensie.

Schodził wcześniej do stołówki, brał śniadanie ze szwedzkiego stołu, w tym dodatkowe jabłko dla Śmietanki, niemal deptając po piętach obsłudze kuchennej, która właśnie wykładała śniadanie. Dzień zapowiadał się pogodny i jasny. Farmerzy pewnie byli zachwyceni tą pogodą tak samo jak on. Deszczu w nocy było akurat tyle, żeby podlał pszenicę, a potem cały dzień świeciło mocno słońce, w którym zboże szybko dojrzewało. Amerykańscy farmerzy produkowali najwięcej i najlepszą pszenicę na świecie. Z taką glebą i wręcz nieprawdopodobną mechanizacją rolnictwa, to nic dziwnego, pomyślał, ruszając z wyładowaną tacą do tego samego stolika co zwykle. Był w połowie swojej porcji jajecznicy, kiedy pojawili się Killgore i ten nowy, Hunnicutt.

— Dzień dobry, Dmitrij — pozdrowił go wysoki myśliwy. Popow musiał przełknąć kęs, zanim mógł odpowiedzieć.

— Dzień dobry, Foster.

— No i jak ci się podobał konkurs jeździecki?

— Ten Anglik, który wziął złoty medal, był po prostu wspaniały, ale to w równej mierze zasługa jego konia.

— Fakt, wybierają sobie najlepsze — zgodził się Hunnicutt, ruszając do bufetu. Wrócił po kilku minutach z tacą.

— Byłeś szpiegiem, co?

— Oficerem wywiadu. Owszem, tym się zajmowałem w czasach Związku Radzieckiego.

— Pracowałeś z terrorystami, z tego co mówił John?

— To też prawda. Takie dostawałem zadania i z nich się wywiązywałem.

— Nie ma sprawy, Dmitrij, mnie to nie przeszkadza. Ani żadnemu z tych, co tu znam.

Zresztą, wiesz, ja nawet kiedyś pracowałem w Libii, dla Royal Dutch Shell. Libijczycy to bardzo fajni ludzie. Znalazłem im dobre złożo ropy i naprawdę nie musiałem na nich narzekać —

mówił, atakując widelcem imponującą porcję jajecznicy na bekonie. No tak, taki zwalasty niedźwiedź musi sporo jeść, pomyślał Dmitrij. — No i jak ci się podoba Kansas?

— Pod wieloma względami przypomina mi Rosję. Wielkie przestrzenie, wielkie farmy...

Tyle że wasze jakby trochę bardziej efektywne od naszych kołchozów. Tak niewielu ludzi produkuje tak wiele pszenicy, to zdumiewające.

— Tak, liczymy na to, że z tego utrzymamy się przez jakiś czas — zgodził się Hunnicutt z pełnymi ustami. — Mamy tu tyle ziemi, że możemy sporo wyhodować i wszelki sprzęt, jakiego możemy potrzebować. Może zresztą sam się tym zajmę?

— O?

— Projekt każdemu przydzielili jakieś zadanie do wykonywania. To ma sens: na początku i tak wszyscy będziemy musieli ciągnąć razem. Tyle że już nie mogę się doczekać, kiedy pójdę zapolować na bizona. Już nawet sobie kupiłem prawdziwą strzelbę na bizony.

— Jak to?

— W Montanie jest taka firma, bracie, nazywa się Shiloh Arms i oni robią repliki bizonówek. Kupiłem sobie taką miesiąc temu, *Sharps .40-90*. Ależ to strzela, brachu, jak sukinsyn!

— Zdaje się, że parę osób tutaj nie podzieliłoby twojego zachwytu — powiedział Popow, mając na myśli wegan, skrajnych ekstremistów nawet wśród tych druidów.

— A, ci? Jak im się wydaje, że człowiekowi uda się żyć w harmonii z przyrodą bez broni, to niech sobie poczytają Lewisa[14] i Clarka[15]

— Nie, no daj spokój, Foster — włączył się Killgore, który właśnie przysiadł się do nich.

— W całej historii Ameryki nie zanotowano udokumentowanego przypadku, żeby wilki zjadły człowieka!

— Tak? Trudno, żeby ktoś, komu wilk rozerwał tyłek opowiadał o tym, nie? Trupy nie opowiadają o swojej śmierci, doktoru. A jak to jest w Rosji, Dmitrij?

— Chłopi ich nienawidzą, zawsze ich nienawidzili, ale u nas państwowi myśliwi polują na nie z broni maszynowej, z helikopterów. U was powiedziałyby się, że to nie fair, tak?

— Na pewno — zgodził się Hunnicutt. — Zwierzyńkę trzeba szanować. To jej ziemia, nie nasza, i powinniśmy trzymać się zasad. Tylko tak można się dowiedzieć o zwierzakach czegoś, jak żyją, jak

myślą. To dlatego jeżdżę na polowania konno i przywożę zdobycz do domu na końskim grzbiecie. Ze zwierzyną trzeba grać fair. A z ludźmi, to już jak się zdarzy — dodał, mrugając.

— Nasi wegańscy przyjaciele nie rozumieją myśliwych — dorzucił Killgore. — Chyba im się zdaje, że całe życie będą mogli jeść trawę i robić zdjęcia zwierzątkom.

— Pieprzenie — machnął z rezygnacją ręką Hunnicutt. — Śmierć jest częścią życia, człowiek jest najlepszym drapieżnikiem i zwierzęta o tym wiedzą. Chłopaki, nic tak nie smakuje, jak kawał jeleniego udźca, upieczony nad ogniskiem. Tego smaku nigdy nie zapomnę i niech mnie szlag, jeśli pozwolę go sobie komukolwiek odebrać. Jeśli ci maniacy chcą wpieprzać trawę, to ich zmartwienie, ale niech mi nikt nie próbuje mówić, co mogę jeść, a czego nie i kiedy. Był

już jeden taki mądrała — uśmiechnął się okrutnie. — Nikomu już nie będzie się naprzykrzał. Kto jak kto, do cholery, ale ja wiem, jak ten świat się kręci.

Zabiłeś tego biedaka z tak błahaego powodu? Barbarzyńca, pomyślał Popow. Przecież mógł sobie pójść po prostu do supermarketu i kupić ile i jakiego mięsa tylko chciał! Jasna cholera, uzbrojony druid to chyba najgorszy gatunek. Skończył śniadanie i wyszedł na powietrze.

Pozostali wkrótce do niego dołączyli. Hunnicutt wyciągnął cygaro z juków, które niósł na ramieniu, i poszli do *Hummera* Killgore'a.

— Musisz mi palić w samochodzie? — poskarżył się lekarz, gdy tylko zobaczył cygaro w jego rękę.

— No już dobrze, John, będę je trzymał za pieprzonym oknem. A co, ty się też zapisałeś do tych hitlerowców, którym szkodzi dym z cudzego papierosa? — Sięgnął do korbki i opuścił

szybę. Przez całą drogę do stajni trzymał rzeczywiście cygaro za oknem.

Jazda była krótka. Popow osiodłał pokorną Śmietankę, dał jej jabłko i wyprowadził na zewnątrz. Wsiadł na klacz i, czekając na pozostałych, oglądał otaczające kompleks zielonobursztynowe morze traw i pszenicy. Hunnicutt pojawił się na koniu, którego Dmitrij tu dotąd nie widział, srokatym indiańskim ogierze, zapewne własności myśliwego. Popow przyjrzał

mu się bliżej i...

— To pistolet? — zapytał, wskazując na kaburę.

— To jest rewolwer, synu. *Colt Single Action Army wzór 1873* — odparł Foster, wyciągając go z kabury *Threepersons*. — To broń, która zdobyła Dziki Zachód. Nigdy nie ruszam w pole bez mojego małego przyjaciela, Dmitrij — dodał z pełnym zadowolenia uśmiechem.

— Kaliber czterdzieści pięć? — zapytał Rosjanin. Widywał takie w kinie, ale nigdy z bliska.

— Nie, *.44-40*. To znaczy kalibru 0,44 cala i z ładunkiem 40 granów, po twojemu to będzie 2,6

grama, czarnego prochu. Sto lat temu była to bardzo popularna amunicja, bo pasowała do karabinu Winchestera. Można było kupować te same naboje do jednego i drugiego, wychodziło taniej. Na bizona może by nie wystarczył — zgodził się wspaniałomyślnie — ale już jelenia położy bez problemu.

— A człowieka?

— Jasne. To jeden z najbardziej śmiertelnych nabojev, jakie kiedykolwiek stworzono. — Hunnicutt zakręcił młynka na palcu i schował rewolwer do kabury. — Ta kabura

— kontynuował — to tak naprawdę replika, nie oryginał. Ten wzór nazywa się Threepersons, od nazwiska Billa Trzy Osoby, Indianina, który był tropicielem, łowcą nagród, a potem nawet szeryfem federalnym. To on ją wynalazł w końcu dziewiętnastego wieku. Bardzo szybko się z niej dobywa broń, o widzisz? — Popow był pod wrażeniem szybkości, z jaką broń znalazła się w ręku Hunnicutta. Pierwszy raz widział na własne oczy to, co pokazywano w tak wielu filmach.

Hunnicutt miał nawet na głowie autentycznego Stetsona. Dupek i pyszałek, pomyślał Popow, ale chyba zaczynam lubić faceta.

— Naprzód, Jeremiaszu — powiedział Foster, kiedy zobaczyli pozostałych dwóch przed zagrodą.

— Twój własny koń? — zapytał Popow.

— Tak. Kupiłem go od kumpla, jednego Indianina z plemienia Nez Perce. Ośmiolatek, akurat w sam raz dla mnie — uśmiechnął się Hunnicutt, kiedy przejeżdżali przez bramę. Facet jest w swoim żywiole, bez dwóch zdań, pomyślał Popow.

Dla Dmitrija jazdy straciły już swój walor poznawczy. Nawet tutaj teren był jednak ograniczony i nie dawało się go odkrywać bez przerwy, ale nadal przejażdżki sprawiały mu przyjemność. Dziś pojechali na północ, powoli przechodząc przez teren kolonii piaszków preriowych, a potem wzdłuż płotu od strony ruchliwej autostrady.

— W którą stronę jest jakieś miasto? — zapytał Popow.

— Tam — wskazał Killgore. — Jakies siedem kilometrów. Zresztą, miasto to chyba lekka przesada. Taka tam dziura.

— A jest tam lotnisko?

— Małe lądowisko dla prywatnych samolotów. Na wschód, jakies trzydzieści kilometrów stąd, jest następne miasteczko z lądowiskiem dla drobiazgu, ale stamtąd można polecieć do Kansas City, a stamtąd już gdziekolwiek.

— Ale my używamy naszego własnego lądowiska dla firmowych *Gulfstreamów*, prawda?

— Tak — potwierdził Killgore. — Te nowe mogą stąd dolecieć aż do Johannesburga bez międzylądowań.

— Naprawdę? — zainteresował się Hunnicutt. — Znaczy, jak by nam się zachciało, bo ja wiem, zapolować w Afryce, to byśmy sobie mogli polecieć?

— Nie ma sprawy, Foster — odparł epidemiolog. — Tylko z zapakowaniem słońa na grzbiet tego twojego konika miałbyś trochę kłopotu — zaśmiał się.

— A na cholere mi cały słoń? — odparł też śmiejąc się Hunnicutt. — Obciąłbym mu tylko kły i w drogę. Myślałem raczej o lwie albo gepardzie, John.

— Afrykanie zjadają lwie jądra, wiedzieliście o tym? Lew jest najbardziej jurnym zwierzęciem na świecie — wyjaśnił Killgore.

— Jak to?

— Kiedyś jakaś ekipa filmowa kręciła dwa samce obsługujące lwicę w rui. Człowieku, włożyły na nią przeciętnie co dziesięć minut przez półtorej doby! Macie pojęcie? Trzy numerki na godzinę przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy! W życiu nie miałem takiej średniej. —

Roześmieli się wszyscy. — W każdym razie, niektóre plemiona wierzą, że, spożywając części ciała zabitego zwierzęcia, przejmują to, za co dany organ odpowiadał. Lwie jądra są tam w cenie.

— I to działa? — zainteresował się Maclean. Killgore'owi wyraźnie się to pytanie spodobało.

— Człowieku, gdyby działało, to samce lwa oglądalibyśmy tylko na obrazku!

Popowa ta dyskusja nie ubawiła, aż tak jak jego towarzyszy. Spoglądał wciąż na autostradę i zauważył autobus Greyhounda, który jechał ponad setką, a potem nagle zwolnił i zatrzymał się przed małą budką na poboczu.

— Co to takiego? — zapytał.

— Przystanek na żądanie dla autobusów międzymiastowych — wyjaśnił Waterhouse. —

Stawiają takie na pustkowiu. Siedzi się w nich i czeka, a jak przyjeżdża autobus, to się macha ręką i stają. Coś jak kiedyś przystanki kolejowe z masztem flagowym.

— Aha.

Popow zawrócił konia na wschód za resztą, ale zapamiętał usytuowanie przystanku.

Jastrząb, którego polowanie oglądali niedawno, znów unosił się nad bezbrzeżną równiną, wypatrując w dole pieska preriowego na śniadanie. Przypatrywali mu się czas jakiś, ale dziś jastrząb wyraźnie

nie miał szczęścia. Jechali naprzód godzinę, potem zawrócili. Popow jechał

strzemię w strzemię z Hunnicuttem.

— Od jak dawna jeździsz konno?

— No, już z tydzień będzie — odparł Dmitrij.

— Nieźle ci idzie, jak na miastowego — pochwalił Hunnicutt.

— Chciałbym potrenować więcej, żebym mógł zacząć jeździć galopem — zwierzył się Popow.

— Może być wieczorem, powiedzmy tuż przed zachodem słońca?

— Pewnie. Dziękuję, Foster. Zaraz po kolacji?

— Może być. Wpół do siódmej w zagrodzie?

— Dzięki. Na pewno będę — obiecał Popow. Nocna przejażdżka przy gwiazdach... To powinno być przyjemne.

— Mam pomysł — powiedział Chatham, kiedy weszli do Centrum Javitsa.

— Jaki?

— Ten Rusek, Sierow. Mamy jego zdjęcie paszportowe, tak?

— Mamy. I co z tego? — zapytał agent Sullivan.

— Słuchaj, może by znowu spróbować z tymi ulotkami? Wybrałby bank chyba blisko domu, nie?

— Mówisz? Może to i dobry pomysł. Tak, to mi się podoba — agent Sullivan wyraźnie się ożywił.

— Chodź, zobaczymy jak szybko da się to zrobić.

— Cześć, Chuck — powiedział głos w słuchawce.

— Dzień dobry, John. Czy może już dobry wieczór?

— Jeszcze dzień dobry. Właśnie jesteśmy po obiedzie — odparł Clark. — Słysząc coś w sprawie Sierowa?

— Na razie nic — przyznał zastępca dyrektora FBI do spraw kryminalnych. — Wiesz, takich spraw nie rozwiązuje się z dnia na dzień, chyba że przypadkiem. Podkręciłem biuro terenowe w Nowym Jorku, żeby się wzięli za poszukiwanie tego drania. Jeśli jest w mieście, to go znajdą. To może trochę potrwać, ale masz to jak w banku.

— Wolałbym prędzej niż później — przyznał się Tęcza Sześć.

— Wiem. Każdy by wolał, myślisz, że my nie? Ale to się po prostu nie zdarza z dnia na dzień. — Baker wiedział, że jego rozmówca naciska go, żeby nie przekładał sprawy na niższą półkę. Nigdy nikt tego nie robił, ale ten cały Clark to facet z CIA, który nie miał pojęcia, jak to wygląda w policji. — John, znajdziemy ci tego faceta. O ile, oczywiście, tu jest. Czy Angole też go dla ciebie szukają?

— Pewnie. Problem tylko w tym, że nie mamy pojęcia, ile ten sukinsyn może mieć jeszcze przykrywek.

— Ile byś miał na jego miejscu?

— Ze trzy albo pewnie i cztery, na tyle do siebie podobnych, żebym je pamiętał, i na tyle różnych, żeby mi się nie poplątały. To jest wyszkolony szpieg. Ma na pewno odpowiedni zapas nazwisk na wszystkie okazje i potrafi je zmieniać jak rękawiczki.

— Wiem, John. Pracowałem kiedyś w wydziale kontrwywiadu. To trudna zwierzyna, ale umiemy na nich polować. A jak tam u was? Wydusiliście coś z tych terrorystów?

— Nic nie mówią. Policja nie umie skutecznie przesłuchiwać.

A co, mamy ich dla ciebie przypiekać na wolnym ogniu? Chuck miał ochotę go o to zapytać, ale dał sobie spokój. FBI operowało w granicach zakreślonych przez konstytucję, CIA zwykle nie i z tego powodu federalni wyrażali się o niej raczej z niesmakiem. Nigdy nie znał

Clarka osobiście, ale jego reputacja znacznie go wyprzedzała. Dyrektor Murray szanował go, ale też miał swoje zastrzeżenia. Raz jeden tylko napomknął coś o tym, że Clarkowi zdarzyło się kogoś torturować, a to dla FBI, choćby było nie wiem jak efektywne, było całkowicie nie do przyjęcia. Konstytucja na to nie pozwalała i tyle. Nawet w stosunku do porwaczy i gwałcicieli dzieci, którzy w oczach agentów w zupełności zasługiwali na tortury.

— Zaufaj angielskim glinom, John. Oni są naprawdę dobrzy i mają do cholery doświadczenia z tymi typami z IRA. Wiedzą, jak z nimi rozmawiać.

— Ty się na tym lepiej znasz, Chuck — w głosie rozmówcy słychać było powątpiewanie.

— Dobra, jeśli dostaniemy cokolwiek nowego, wyślę to prosto na twoje biurko.

— Doskonale. Ja też dam ci znać, kiedy u nas pojawi się coś ciekawego.

— Fajnie. To cześć.

Baker zastanowił się, czy nie powinien pójść do łazienki i umyć rąk po tej rozmowie.

Wiedział o Tęczy i jej ostatnich osiągnięciach. Doceniał i podziwiał jej wojskową sprawność — trafił do Biura, podobnie jak wielu kolegów, „przeskakując płot”, to znaczy trafiając do Akademii

FBI w Quantico prosto z sąsiadującej z nią bazy piechoty morskiej — ale nie mógł się do końca pogodzić z wieloma rzeczami, które odróżniały jej działania od tego, co robiło Biuro.

Zwłaszcza z łamaniem praworządności. Dan Murray z mieszaniną podziwu i niesmaku wyrażał

się o Clarku, mówiąc, że to twardy sukinsyn, weteran operacji specjalnych Firmy, często robiący rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć. Ale co tam, byli przecież po tej samej stronie, prawda? W

końcu ten poszukiwany Rusek zainicjował operację wymierzoną przeciw jego rodzinie. Dzięki temu cała sprawa nabierała dla Clarka osobistego wymiaru i to Baker musiał uszanować.

Chavez wrócił do pokoju po kolejnym dniu, który wypełniło mu patrzyenie, jak sportowcy biegają i się pocą. To były ciekawe dwa tygodnie. Bardzo mu brakowało Patsy i małego, którego ledwie miał szansę obejrzeć, zanim go tu wysłali, ale nie mógł narzekać i dobrze się bawił.

Igrzyska dobiegały końca. Dziennikarze sportowi już robili podsumowania klasyfikacji medalowej: Amerykanie wypadli nie najgorzej, a Australijczycy zaskoczyli wszystkich, biorąc w pływaniu właściwie wszystko, co było do wygrania — żeby móc powiedzieć, który kraj „wygrał”

olimpiadę. Za trzy dni pobiegną maratończycy, których zmagania tradycyjnie kończyły igrzyska, potem odbędzie się uroczyste zamknięcie i zgaśnie znicz. Maratończycy już dziś zapoznawali się z trasą, szli lub biegli nią, poznając zakręty, wzniesienia i spadki. Głupio by się potem było zgubić na trasie, prawda? Zresztą to też tylko teoretyczna możliwość, bo przecież cała trasa będzie gęsto obleżona przez wiwatujących widzów. Poza tym trenowali codziennie na stadionie wioski olimpijskiej. Nie na tyle, żeby wyczerpać siły, ale akurat tyle, żeby zahartować mięśnie i płuca do morderczego wysiłku w biegu na tym najdłuższym z dystansów. Chavez uważał, że jest w świetnej formie, ale nie odważyłby się pobiec ponad czterdziestu kilometrów w taki upał.

Żołnierze musieli czasem biec, ale przecież nie aż tyle! No, może poza kilkoma chłopakami z Tęczy. Taki bieg na twardej nawierzchni, nawet na tych miękkich, sprężystych podszewkach nowoczesnych butów sportowych, musiał mieć straszliwe następstwa dla kostek, stawów i mięśni biegaczy. O tak, ci ludzie naprawdę musieli być z żelaza, myślał leżąc na łóżku.

Od momentu zapalenia znicza, aż do dziś igrzyska szły jak z płatka. Organizacja była wyśmienita i widać było, że Australijczycy włożyli w tę olimpiadę całą duszę i wszystkie siły narodu. Zupełnie jak kiedyś Ameryka, kiedy Kennedy wymyślił, że jeszcze przed końcem dekady, a zwłaszcza przed Rosjanami, trzeba wysłać ludzi na Księżyc. Organizacja wszystkiego była doskonała, co uzmysławiało mu, że on tu tylko marnuje czas. Bezpieczeństwo igrzysk nie było zagrożone nawet myślą o jakichkolwiek kłopotach. Australijska policja była przyjazna, kompetentna i licznie zgromadzona, a australijska SAS, która miała ich wspierać, była prawie tak samo dobra, jak jego ludzie. Mieli doskonałe wyposażenie i doradców z Global Security, którzy wyposażyli ich w radiostacje taktyczne tego samego typu, którym dysponowała Tęcza.

Wyglądało na to, że GS była dobra w sprzedawaniu takiego sprzętu i Chavez zanotował sobie, żeby John porozmawiał z nimi o tym. Nigdy nie zaszkodzi posłuchać opinii z zewnątrz.

Jedno, co nie dopisywało, to pogoda. Przez całą olimpiadę panowały nieznosne upały.

Personel medyczny w budkach, gdzie udzielano pomocy ofiarom udarów, miał pełne ręce roboty.

Nikt na szczęście nie umarł, ale już ze sto osób wymagało hospitalizacji z tego powodu. Liczbę tych, którym na miejscu udzielili pomocy sanitariusze z wojska i straży pożarnej, oceniano na trzydzieści razy tyle. Ta statystyka nie uwzględniała, oczywiście, tych wszystkich, którym wystarczyło usiąść na krawężniku w cieniu i nie potrzebowali pomocy medycznej. Upał nie przeszkadzał mu, podobnie jak pocenie, ale przecież dokuczał i Chavez też chętnie korzystał z wodnej mgiełki systemu zraszającego. Telewizja nawet zrobiła program o tych zraszaczach, z czego zapewne najbardziej ucieszyła się amerykańska firma, która je wyprodukowała i zainstalowała. Mówiło się nawet, że ma powstać wersja tego systemu dla pól golfowych w Teksasie i wszędzie tam, gdzie też jest równie gorąco jak tu. Takie przejście z trzydziestu sześciu stopni do dwudziestu paru było naprawdę przyjemne, jak wejście pod prysznic, więc korytarze stadionu, gdzie zainstalowano zraszacze, były zwykle zatłoczone ludźmi, szukającymi wytchnienia przed upałem.

Ostatnią myślą Chaveza było, że chciałby tu mieć monopol na produkcję kremu z filtrem do opalania. Wszędzie było widać znaki ostrzegające przed dziurą ozonową i wzywające do używania kremu z filtrem, żeby nie dostać raka skóry. Wiedział, że śmierć na coś takiego nie zalicza się raczej do przyjemności. Każdego ranka on i wszyscy jego ludzie smarowali się obficie, tak samo jak każdy wokół. Za parę dni, kiedy wrócą do Anglii, ich opalenizna będzie zwracała uwagę bladolicych Angoli. Toż u nich w „upalny” dzień słupek rtęci w termometrze nie wznosi się do połowy tego, co tutaj wskazuje na co dzień. Starczy, że zrobi się dwadzieścia pięć stopni i ludzie zaczynają padać jak muchy, a gazety biją na alarm, że nadciągnęła „fala zabójczych upałów”! Proszę, co się na tym świecie porobiło. A kiedyś przecież śpiewano, że w upalne południe na ulice wychodzą tylko wściekłe psy i Anglicy. Musieli być wtedy jacyś inni Anglicy, pomyślał Chavez i zasnął.

Popow osiodłał Śmietankę około szóstej wieczorem. Do zachodu słońca pozostała nie więcej niż godzina, a klacz, która cały dzień wypoczywała i jadła, nie miała nic przeciwko temu, żeby znowu ktoś się nią zajął. Dał jej jabłko, rzuciła się na nie z radością podobną tej, którą odczuwa człowiek, mogący po dniu ciężkiej pracy wypić pierwsze piwo.

Jeremiasz, koń Hunnicutta, był mniejszy od Śmietanki, ale mocniej zbudowany. Miał

dziwne umaszczenie — prawie cały był siwy, i tylko na grzbiecie rozciągała się wielka czarna kwadratowa plama, która, jak domyślał się Popow, dała początek nazwie tej odmianie koni Appaloosa — „derkacz”. Rzeczywiście, wyglądała jak derka, narzucona na grzbiet, pomiędzy szyją a zadem. Wkrótce pojawił się i sam Hunnicutt, zarzucił wałachowi na grzbiet swoje westernowe siodło. Schylił się, by zapiąć i ściągnąć popręgi, po czym zakończywszy przygotowania, przypasał kaburę z *Coltem*. Wsadził stopę w lewe strzemie i trzymając się lęku, wskoczył na siodło. Jeremiasz musiał to uwielbiać. Dodatkowy ciężar na grzbiecie sprawił, że ogier uległ jakby wewnętrznej przemianie. Uniósł dumnie głowę, zastrzygł uszami, czekając komendy, a kiedy usłyszał wytęsknione cmoknięcie, ruszył do bramy zagrody obok Popowa na Śmietance.

— Piękny koń, Foster.

— Najlepszy, jakiego dotąd miałem — zgodził się Hunnicutt. — Appaloosa są dobre do wszystkiego. Hodują je Indianie Nez Perce. To Nez Perce pierwsi oswoili konie na Zachodzie.

Łapali na prerii konie, które uciekły Hiszpanom i żyły tam dziko. Potrafili oczyścić rasę aż do arabskich początków i zobacz, co im z tego wyszło. — Pochylił się i poklepał Jeremiasza po karku. Ogier powitał tę pieszczotę z zachwytem. — Jak dla mnie, nie ma lepszych koni od Appaloosa. Są bystre, spokojne, zdrowe i nie kapryszą jak araby. I są piękne, człowieku, po prostu piękne. Nie są może najlepsze w żadnej specjalności, ale są cholernie dobre we wszystkim. Doskonałe wierzchowce do wszystkiego. Jeremiasz jest wspaniały do polowania i tropienia. Sporo czasu spędziliśmy w górach, tropiąc łosie. Wiesz, że nawet znalazł mi złoto?

— Złoto? Jak to możliwe?

Hunnicutt roześmiał się.

— Żyłę na mojej działce w Montanie. Kiedyś było to ranczo hodowcy bydła, ale góry okazały się zbyt strome dla krów. W każdym razie, płynie tam strumień. Połem tam kiedyś Jeremiasza, aż tu patrzę, coś błyszczący. — Przeciągnął się i poprawił wodze. — Samorodek, człowieku, wielka bryła złota i kwarcu, najlepsze warunki dla występowania żył złota, Dmitrij.

Zdaje się, że mam niezłe złożę na mojej ziemi. Jak wielkie? Nie mam pojęcia, zresztą to i tak już bez znaczenia.

— Bez znaczenia? — Popow aż obrócił się w siodle, żeby popatrzeć na tego wariata, dla którego wielkość żył złota na jego działce nie miała znaczenia. — Foster, ludzie od tysiąca lat zabijają innych dla złota, a ty mówisz, że to bez znaczenia?

— Już nie będą, Dmitrij. To się skończy i miejmy nadzieję, że na zawsze.

— Ale jak? Dlaczego?

— Ty co? O Projekcie nie słyszałeś, czy jak?

— Trochę, ale widać nie na tyle, żebym mógł cię zrozumieć.

A, co mi tam, pomyślał Hunnicutt.

— Dmitrij, życie ludzkie na tej planecie w takim kształcie, jak je znamy, wkrótce się skończy.

— Ale...

— Naprawdę nic ci nie powiedzieli?

— Nie, Foster. O tym nie mówili. Możesz mi wyjaśnić, co tu się dzieje?

A cholera tam, ponownie pomyślał Hunnicutt. Zresztą, olimpiada i tak się już kończy, więc czemu nie? Ten Rusek rozumiał naturę, umiał jeździć konno, a poza tym przyłożył rękę do sukcesu,

wykonując dla Johna Brightlinga bardzo śmierdzącą część przygotowań.

— To się nazywa Sziwa — zaczął parominutowe wyjaśnienia.

Dla Popowa to był ciężki egzamin jego zawodowych umiejętności zachowania pokerowej twarzy. Ledwie panował nad emocjami, chłonąc opowieść. Kiedy czuł, że przerażenie zaczyna przeważać, zdobył się nawet na maskujący je uśmiech.

— Ale jak zamierzacie to rozprzestrzeniać?

— John ma jeszcze jedną firmę, która dla niego pracuje, Global Security. Jej szefem jest Bill Henriksen...

— A, ten z FBI? Znam go.

— Co ty powiesz? Wiedziałem, że to były gliniarz, ale żeby zaraz federalny? W każdym razie, dzięki tobie dostał kontrakt na doradzanie Australijczykom w sprawie zabezpieczenia olimpiady. Jeden z jego ludzi zajmie się rozprzestrzenieniem Sziwy. Z tego, co słyszałem, ma to mieć jakiś związek z klimatyzacją, czy czymś w tym rodzaju. To ma się zdarzyć w ostatnim dniu, podczas ceremonii zamknięcia igrzysk. A następnego dnia wszyscy rozjadą się do domów, zabierając mały prezent od nas. Tysiące ludzi rozwiozą Sziwę po całym świecie.

— No dobrze, ale jak my ocalejemy?

— Po przyjeździe tutaj dostałeś szczepionkę?

— Tak, Killgore mówił, że to jakiś zastrzyk wzmacniający.

— I miał rację, Dmitrij. To była szczepionka, która cię zabezpieczyła przed Sziwą. Ja też ją dostałem. To się nazywa szczepionka B, człowieka. Jest jeszcze druga szczepionka, A, ale tej byś nie chciał dostać, zapewniam cię. — Po czym wyjaśnił Rosjaninowi, na czym polega różnica.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Byłem jednym z ludzi, którzy projektowali system zabezpieczeń naszego kompleksu na wypadek, gdyby ludzie dowiedzieli się, w czym rzecz i przyszli tu wyrazić swoje niezadowolenie. — Uśmiechnął się. — Musieli mi powiedzieć, dlaczego Projekt może potrzebować ochrony. To poważna sprawa, człowieku. Gdyby ktoś wywąchał, co jest grane, mogliby nam nawet spuścić na łeb atomówkę. Niestety, mało kto rozumie, że planetę trzeba ratować. — Uśmiechnął się znowu. — Za jakieś dwadzieścia lat, jeśli my byśmy tego nie zrobili, ludzkość i tak sama by się unicestwiła. I nie tylko sama, ale pociągnęłaby za sobą zwierzęta.

Przecież nie możemy do tego dopuścić, nie?

— Tak, nie możemy — zgodził się Popow bez mrugnięcia powieką. — Masz rację.

Hunnicutt kiwnął głową z satysfakcją.

— Tak też sobie myślałem, że akurat ty zrozumiesz. Wiesz, te ataki terrorystyczne, które organizowałeś, były bardzo ważne. Gdyby wszyscy na świecie nie zaczęli znowu bać się międzynarodowego terroryzmu, Bill Henriksen nie dostałby tego kontraktu i nie mógłby tam umieścić tego faceta z Sziwą. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Dmitrij — zakończył Hunnicutt, sięgając do kieszeni po cygaro. — Wykonałeś dla Projektu kawał doskonałej i bardzo ważnej roboty.

— Dzięki za wyjaśnienia, Foster — odparł Popow, czując falę zimnego potu. — Jesteś pewien, że to się uda?

— Powinno. Też mnie to interesowało. Dopuszcili mnie do planowania, bo ja też jestem naukowcem. Kiedyś byłem całkiem niezły jako geolog. Dużo wiem. A ta zaraza, człowieku, to straszne świństwo. To efekt prac speców od inżynierii genetycznej nad wirusem Ebola.

Pamiętasz tę aferę półtora roku temu, jak wszyscy srali w portki przed Ebolą?

Popow skinął głową.

— Oj, pamiętam. Byłem wtedy w Rosji i też się bałem. — Ale odpowiedź amerykańskiego prezydenta była jeszcze bardziej przerażająca, dorzucił w myśli.

— No więc oni, to znaczy prawdziwi naukowcy z Projektu, wiele się z tego nauczyli.

Kluczem do sprawy jest szczepionka A. Pierwotna epidemia może zabić najwyżej parę milionów ludzi, ale jej prawdziwe znaczenie leży w sferze psychologicznej. Ta szczepionka, której istnienie Horizon ogłosi po wybuchu pierwotnej epidemii, zawiera żywe wirusy, jak ta na chorobę Heine-Medina. Ale tu podobieństwa się kończą, człowieku, bo ta szczepionka zamiast zatrzymać Sziwę, ma ją rozprzestrzeniać. Symptomy występują dopiero po miesiącu, czasem po sześciu tygodniach. To już sprawdzono w laboratorium.

— Jak?

— Tym zajął się Kirk. Porwali z ulic paru ludzi i wypróbowali na nich Sziwę. Wszystko działało jak w zegarku, nawet te rozpylacze, z których mają korzystać w Sydney.

— Zmienić oblicze Ziemi... — zadumał się Popow, patrząc na autostradę za płotem. —

To wielka sprawa.

— Trzeba to zrobić, człowieku. Jeśli tego nie zrobimy, Dmitrij, to wszystko wokół zginie.

Nie mogę na to pozwolić.

— Tak, to będzie straszne, ale logiczne. Brightling musi być geniuszem, skoro to zauważył i wymyślił sposób rozwiązania problemu, a potem znalazł w sobie siłę i odwagę, by zrobić to, co było

konieczne. — Popow miał nadzieję, że jego głos nie brzmi zbyt lizusowsko.

Hunnicutt, na szczęście, okazał się zbyt ograniczony, żeby to zauważyć.

— No — potwierdził, nie wypuszczając z ust cygara, które zapalał właśnie zapałką.

Kiedy skończył, potrzymał zapałkę w palcach, aż zgasła i dopiero wtedy upuścił, żeby nie wywołać pożaru. — Błyskotliwy naukowiec, a w dodatku on to rozumie, masz pojęcie, człowieku? Dzięki Bogu, że stać go było na przeprowadzenie tego wszystkiego. Przecież to musiało kosztować, ja wiem, z miliard dolarów? A tam, miliard! Miliard to tylko na ten kompleks, nie licząc tego w Brazylii.

— Brazylii?

— Tam powstała zmniejszona kopia naszego kompleksu. To gdzieś na zachód od Manaus, z tego co słyszałem. Nigdy tam nie byłem. Tropikalne lasy aż tak mnie nie interesują. Ja jestem raczej zwolennikiem otwartych przestrzeni — wyjaśnił. — Afrykańska sawanna, o to co innego. Mam nadzieję, że teraz będę mógł tam zapolować.

— O tak, też bym chciał zobaczyć te równiny. Te dzikie zwierzęta, które wygrzewają się w słońcu — rozmarzył się Popow, podejmując właśnie decyzję.

— No. I zapolować na lwa z mojego *Hollanda* .375. — Hunnicutt cmoknął i Jeremiasz ruszył szybciej, lekkim galopem, który Popow usiłował naśladować. Raz już jechał w tym tempie, ale teraz jakoś miał kłopoty z dostosowaniem się do ruchów Śmietanki. Musiał porzucić myśli, od których włosy stawały mu dęba, i dopiero wtedy udało mu się ta sztuka. Dołączył do Fostera.

— To co, zrobicie z tego z powrotem Dziki Zachód, tak? — zapytał. Autostrada była ze trzy kilometry stąd. Ciężarówki przesuwały się szybko, widać było bursztynowe światelka konturowe na ich naczepach.

— Tak, mamy na to nadzieję.

— I będziesz wszędzie jeździł ze swoim pistoletem?

— Rewolwerem, Dmitrij — poprawił Hunnicutt. — Tak, będę żył jak ludzie, o których czytałem, w harmonii z naturą. Może znajdę sobie jakąś kobietę, która myśli tak jak ja, i zamieszkamy w domku w górach, jak Jeremia Johnson. W odróżnieniu od niego nie będę się musiał przynajmniej bać Indian — dodał z uśmiechem.

— Foster?

— Tak?

— Mogę potrzymać twój rewolwer? — zapytał Rosjanin, modląc się, by odpowiedź była po jego myśli.

— Jasne. — Hunnicutt sięgnął do kabury i podał mu broń, trzymając dla bezpieczeństwa lufę uniesioną wysoko w górę.

Popow ujął go w rękę i zważył w dłoni.

— Nabity?

— A jak myślisz? Co za sens targać ze sobą kilo żelastwa, którego nawet nie można użyć w razie potrzeby? Jak chcesz sobie postrzelać, to wystarczy tylko odwieść kurek i pociągnąć za spust. Tylko lepiej ściągnij porządnie wodze, dobra? Jeremiasz jest przyzwyczajony, ale nie wiem jak ta twoja kobyła.

— Zaraz się przekonamy — odparł Popow, ujmując mocno wodze Śmietanki w lewą rękę. Wyciągnął prawą rękę z rewolwerem i odwiódł kurek, wsłuchując się w charakterystyczny potrójny odgłos temu towarzyszący. Wycelował w drewniany słupek geodezyjny i pociągnął za spust. Ocenił siłę nacisku na jakieś dwa i pół kilograma.

Śmietanka podskoczyła, słysząc wystrzał tuż koło ucha, ale nie wpadła w panikę. Pocisk drasnął słupek odległy o jakieś sześć metrów. No, jeszcze nie zapomniałem, jak się to robi.

— Niezły, nie? — zapytał Hunnicutt. — Gdyby mnie kto pytał, *Single Action Army* jest najlepiej wyważonym rewolwerem, jaki kiedykolwiek produkowano.

— Tak, bardzo przyjemny — zgodził się Popow i odwrócił się ku niemu. Hunnicutt siedział na Jeremiaszu najwyżej trzy metry od niego. Łatwizna. Były oficer KGB ponownie odwiódł kurek, wycelował w sam środek klatki piersiowej myśliwego i pociągnął za spust, zanim zaskoczony myśliwy zdążył cokolwiek zrobić. Jego oczy rozwarły się szeroko, albo z bezbrzeżnego zdziwienia, albo pod wpływem uderzenia ciężkiego pocisku, ale to i tak już było bez znaczenia. Ciężka pecyna ołowiu trafiła prosto w serce. Ciało Hunnicutta przez kilka sekund tkwiło wyprostowane jak struna w siodle, zdumione oczy wpatrywały się w Popowa, a potem zwiotczało i zsunęło się powoli z konia na trawę.

Dmitrij zsiadł z konia i, odciągnąwszy ponownie kurek, podszedł trzy kroki do ciała, by się upewnić, że Hunnicutt nie żyje. Nie było potrzeby dobijania go, więc spuścił kurek i rozpiął

popręgi siodła pod brzuchem Jeremiasza, który przyjął śmierć swego pana z flegmatycznym spokojem. Zdjął siodło, ściągnął ogłowie wraz z wędzidłem, trochę zdziwiony, że koń nawet nie próbował go ugryźć. W końcu to nie pies, pomyślał Popow, uderzając mocno ogiera w zad.

Jeremiasz odbiegł o jakieś pięćdziesiąt metrów, stanął i opuścił łeb, skubiąc trawę.

Popow wsiadł z powrotem na Śmietankę i cmoknął, kierując ją na północ. Obejrzał się i popatrzył na kompleks budynków Projektu. W oknach paliły się światła. Zastanawiał się przez chwilę, czy zniknięcie ich obu zostanie szybko zauważone. W końcu doszedł do wniosku, że pewnie nie. Dojechał do płotu, oddzielającego kompleks od autostrady. Na zachodzie miało być jakieś małe

miasteczko, przypomniał sobie, ale po chwili zdecydował, że większe szansę dawało mu odnalezienie tego przystanku autobusowego na autostradzie. Może jak nie będzie autobusu, uda mu się zatrzymać jakiś samochód albo ciężarówkę? Wszystko jedno, musi jak najszybciej wydostać się z tego miejsca. Popow nie wierzył w Boga, który był dla niego tylko składnikiem wyrażeń w stylu „Bóg wie”. Tak go wychowano, sam nigdy nie czuł pociągu do zgłębiania zagadnień nadprzyrodzonych, ale tego dnia nauczył się czegoś ważnego. Boga może i na świecie nie było, tak jak go uczono, ale diabły były na nim na pewno. I on w dodatku dla nich ostatnio pracował. Nic dotąd w życiu młodego emeryta z KGB nie napawało go takim przerażeniem jak ta myśl.

Wysokie loty

Strach był równie okropny, jak przerażenie. Popow w swojej karierze oficera wywiadu nigdy właściwie nie przeżył jakiegoś szczególnie przerażającego momentu. Napięcie towarzyszyło pracy zawsze, zwłaszcza na początku, ale szybko nauczył się ufać swojemu wyszkoleniu i umiejętnościom zawodowym. Biegłość w rzemiośle była dla niego czymś w rodzaju płaszcza, którego ciepłymi połami chronił duszę przed niewygodami. Ale dzisiaj płaszcz uleciał gdzieś w dal.

Był sam w obcym miejscu. Nie tylko w obcym kraju, ale w zupełnie obcym otoczeniu.

Był mieszczuchem. W każdym mieście świata potrafiłby zniknąć w ciągu minuty — rozpląnąć się w powietrzu tak sprawnie, że żadna policja świata nie zdołałaby go znaleźć. Ale teraz nie był

w mieście. Zsiadł ze Śmietanki sto metrów od przystanku i ją również rozsiodłał, zdejmując przy tym ogłowie. Może to i nie był jego żywioł, ale wiedział, że osiodłany koń bez jeźdźca na pewno zwrócił czyjąś uwagę, podczas gdy pasący się gdzieś na łące koń bez uprzęży raczej nie. W

każdym razie, nie zwróci uwagi tu, gdzie tylu ludzi hodowało konie. Teraz pozostało już tylko przecisnąć się przez płot z drutu kolczastego i dojść do przystanku. Przystanek był pusty. Nie tylko nikogo tam nie było, ale w ogóle niczego tam nie było. Tylko bielone betonowe ściany i nic więcej, nawet żadnego rozkładu jazdy. Sam przystanek był tylko pudłem z lanego do szalunków betonu, najprostszą z prostych konstrukcji. Zupełnie jak u nas, pomyślał Popow. Betonowy strop był bardzo gruby, zapewne z myślą o ciężarze zimowego śniegu, a może dla ochrony przed tornadami, o których słyszał, ale których nigdy nie widział.

Nawet ławka była wylana z betonu. Usiadł na niej, żeby opanować wstrząsające nim dreszcze. Nigdy w życiu nie czuł się tak źle jak teraz. Bał się ludzi, tych strasznych ludzi, którzy planowali wymordowanie milionów, ba, miliardów, bliźnich. Cóż przy takich zamiarach znaczyło jego marne życie? Nie zawahaliby się nawet ułamka sekundy, zabierając mu je. Musiał

stąd uciec.

Po dziesięciu minutach spojrzął na zegarek i zastanowił się, ile może być autobusów o tej porze. Autostradą jeździły jakieś samochody i ciężarówki, może by spróbować...

Podszedł do drogi i podniósł rękę. Samochody mijały go, nawet na sekundę nie zwalniając z tych swoich stu trzydziestu, stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Przez chwilę przeraził się, że ich kierowcy nie mają nawet czasu go zobaczyć, nie mówiąc o hamowaniu. Po kwadransie bezowocnego machania koło przystanku zatrzymała się beżowa półciężarówka Forda.

— Gdzie się wybierasz, bracie? — zapytał kierowca. Wyglądał na farmera, miał ze sześćdziesiąt lat, a jego ogorzała twarz i szyję orały głębokie zmarszczki.

— Na lotnisko, do miasteczka — odparł Dmitrij, wsiadając. — Może mnie pan tam zawieść?

Stary nie miał zapiętego pasa bezpieczeństwa, co pewnie było niezgodne z przepisami, ale

morderstwo, którego dopiero co dokonałem, pomyślał Popow, też nie było w zgodzie z prawem. Niech jeździ jak sobie chce, byle mnie stąd w cholere wywiózł i to jak najszybciej.

— Jasne, zresztą i tak zjeżdżam tym samym zjazdem z autostrady. Jak masz na imię?

— Joe, to znaczy Joseph.

— A ja Pete. Nie jesteś stąd, co?

— Niezupełnie. Przyjechałem z Anglii — odparł Dmitrij, dopasowując angielski akcent.

— Z Anglii? A co cię tu do nas sprowadziło?

— Interesy.

— Jakie interesy?

— Jestem konsultantem.

— A jak żeś utkwiał na tym zadupiu, Joe?

Co jest, cholera? Jakiś emerytowany policjant, czy co? Przesłuchuje mnie zupełnie jak fachowiec z Drugiego Zarządu.

— A, takie tam. Mój kumpel miał jakieś kłopoty rodzinne i musiał mnie wysadzić, żebym poczekał na autobus.

— Aha.

Nareszcie się zamknął, ucieszył się Popow, błogosławiąc w myśli ostatnie kłamstwo. A co mu miał powiedzieć? Wiesz, stary, właśnie ukatrupiłem faceta, który chciał zabić ciebie i wszystkich twoich znajomych? To był jeden z tych momentów, kiedy prawda po prostu nie działała. Jego umysł wybiegał naprzód, dużo szybciej, niż ta cholerna półciężarówka, której kierowca bardzo szanował pedał gazu. Wszystkie inne pojazdy tylko gwizdały w ciemności za szybą. Farmer był stary i cierpliwy, miał czas, nigdzie mu się nie śpieszyło. Gdyby to Popow siedział za kierownicą, dawno przekonałby się, ile można wyciągnąć z silnika tego grata. Mimo to drogowskaz do zjazdu z sylwetką samolotu, wskazującą drogę do lotniska, pojawił się w świetle reflektorów już po dziesięciu minutach. Ostatkiem sił powstrzymał się przed bębnieniem w podłokietnik, kiedy staruszek powoli skręcał w drogę dojazdową, a z niej w prawo, na małe regionalne lotnisko komunikacyjne. Minutę później Pete zatrzymał się przed drzwiami do terminalu US Air Express.

— Dziękuję panu — powiedział Popow.

— Miłej podróży, Joe — odparł kierowca i dorzucił przyjacielski uśmiech.

Popow szybkim krokiem wszedł do małego terminalu i ruszył w kierunku biurka oddalonego jakieś dwadzieścia metrów.

— Chciałbym się dostać do Nowego Jorku — powiedział. — Pierwszą klasą, jeśli to możliwe.

— Za kwadrans odlatuje samolot do Kansas City, a stamtąd złapie pan samolot US

Airways do Nowego Jorku, na La Guardia, panie...?

— Demetrius — Popow podał nazwisko ze swojej ostatniej zapasowej karty kredytowej.

— Joseph Demetrius — powiedział, wyciągając portfel i podając ją urzędnikowi. W skrytce bankowej w Nowym Jorku miał paszport na to nazwisko, karta była ważna, z wysokim pokryciem i nie obciążana przez ostatnie trzy miesiące. Temu za biurkiem zdawało się pewnie, że szybko pracuje, ale Popow pragnął odwiedzić toaletę i nie chciał, żeby jego pośpiech rzucił się komukolwiek w oczy. W tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież w jukach, które trzyma przerzucone przez ramię, wciąż tkwi ten olbrzymi rewolwer, który zabrał Hunnicuttowi. Musiał

się go pozbyć i to zaraz.

— Proszę bardzo, panie Demetrius, oto pańskie bilety. Ten na lot do Kansas, wyjście numer 1, a ten z Kansas do La Guardia. Odlatuje z Kansas, wyjście A-34, pierwsza klasa, miejsce od strony przejścia, 2C. Czy potrzeba jeszcze jakichś wyjaśnień, proszę pana?

— Nie, dziękuję. — Popow zabrał bilety i wetknął je w kieszeń. Rozejrzał się, szukając wyjścia na pas, a potem ruszył w tamtym kierunku. Zatrzymał się przy koszu na śmieci, ukradkiem wyjął rewolwer z torby, wytarł go połą kurtki i wrzucił do pojemnika. Obejrzał się przez ramię. Nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek cokolwiek zauważył. Zajrzał raz jeszcze do juków, sprawdzając zawartość, ale właściwie nic w nich więcej nie było. Zadowolony z wyniku oględzin ruszył ufnie do bramki kontrolnej. Nie zapiszczała. Wziął torbę z przenośnika i poszedł

poszukać toalety. Po minucie wyszedł z niej w dużo lepszym nastroju.

„Hala odlotów” portu lotniczego składała się właściwie tylko z dwóch wyjść na pas, ale za to pomiędzy nimi był bar, do którego Popow skierował następnie swe kroki. W portfelu miał

pięćdziesiąt dolarów gotówką. Za pięć kupił podwójną wódkę, którą wychylił jednym haustem, następnie przeszedł kolejne sto kroków do wyjścia. Podał bilet kontrolerowi, który wskazał mu dalszą drogę.

Samolot, stojący za drzwiami, był napędzany śmigłami. Popow lata całe już nie latał

czymś takim, ale dziś byłby w stanie przystać nawet na to, żeby samolot był napędzany gumkami, byleby go stąd zabrał. Wszedł na pokład *Saaba 340B*, jak przeczytał na tabliczce przy drzwiach, i usiadł na jednym z wielu wolnych miejsc.

Pięć minut później śmigła ruszyły i Popow zaczął się odprężać. Pół godziny do Kansas City, potem czterdzieści minut przerwy i *Boeing 737* zabierze go do Nowego Jorku. W pierwszej klasie alkohol był za darmo, a w dodatku szczęśliwie miejsca z lewej nikt nie zajął i nie próbował

z nim nawiązywać rozmowy. Popow musiał się teraz zastanowić nad dalszym postępowaniem.

Dokładnie i ostrożnie, ale szybko, choć nie pochwopnie.

Zamknął oczy, kiedy samolot zaczął się rozpędzać na pasie. Hałas silników zagłuszył

wszystkie odgłosy z zewnątrz. Dobra, pomyślał. Czego się dowiedziałem i co powiniennem z tym zrobić? Dwa pytania, może i proste, ale zdecydowanie musiał zastanowić się nad odpowiedzią na pierwsze, zanim zajmie się drugim. Prawie zaczął się modlić do Boga, w którego nie wierzył.

Wyjrzał w ciemność za oknem, a jego umysł zaczął pracować na zwiększonych obrotach.

Clark przebudził się ze złego snu. W Hereford była trzecia w nocy, a jemu przyśniło się coś, co wraz z przebudzeniem umknęło bezpowrotnie w mrok niczym obłok dymu, bezkształtny i niemożliwy do objęcia. Musiało to być coś bardzo nieprzyjemnego, bo się obudził, a nie zdarzało mu się to nawet podczas niebezpiecznych operacji w terenie. Poczul, że ręce mu się trzęsą, ale nie wiedział dlaczego. Po chwili uspokoił się, przekręcił na plecy i ponownie zamknął oczy, żeby przespać się jeszcze trochę. Dziś czeka go narada budżetowa, zmora dręcząca go na jawie, brzemień dowódcy, którego zmuszano do grania roli pieprzonego księgowego. Może właśnie to mu się przyśniło? Bardzo możliwe, pomyślał, wtulając głowę w poduszkę. Uwięziony na wieki wśród dyskusji o tym, skąd wziąć i na co wydać pieniądze...

Lądowanie w Kansas City było gładkie, *Saab* podkołował do terminalu i śmigła stanęły.

Mechanik podszedł do nich i zaczepił do łopat linki, które unieruchomiły je na czas, kiedy wysiadali pasażerowie. Popow spojrzał na zegarek. Byli kilka minut przed czasem. Wszedł z samolotu, wciągnął w płuca świeże powietrze i skierował się do drzwi terminalu. Tam, trzy wyjścia od bramki A-34 — sprawdził to na wszelki wypadek, zanim się tam skierował — znalazł

bar. O dziwo, zupełnie jak nie w Ameryce i jak nie w porcie lotniczym, wolno było tam palić.

Zakręciło mu się w głowie od dymu, przypominając dawne dni młodości, kiedy ukradkiem zaciągał się papierosami Trud i ledwie powściągnął chęć poproszenia jednego z Amerykanów o papierosa. Udało mu się nad tym zapanować i tylko wypił podwójną wódkę w łoży w rogu sali, obrócony do ściany. Nie chciał, żeby ktokolwiek zapamiętał jego twarz. Po półgodzinie wywołano pasażerów jego lotu. Zostawił na stoliku dziesięć dolarów i wyszedł, zabierając torby.

Już w drzwiach zapytał sam siebie, po cholerę mu one. I zaraz odpowiedział mu tkwiący w nim oficer KGB: pasażer bez bagażu na pewno wzbudziłby zainteresowanie. Wziął je więc ze sobą i upchnął pod pokrywą bagażnika nad fotelem. Okazało się, że i tym razem dopisało mu szczęście

— sąsiednie miejsce było znowu wolne. Przesunął się więc na nie, pod okno, odwrócił twarz do szyby, żeby stewardesie trudniej było mu się przyjrzeć. *Boeing 737* wkrótce odłączył się od terminalu i ruszył w ciemność. Popow podziękował za zaoferowanego drinka. Wypił już dość i choć odrobina alkoholu pomagała skupić myśli, to jego nadmiar w tym przeszkadzał. Wypił już wystarczającą ilość, żeby się odprężyć.

A więc, jeszcze raz: czego się dziś dowiedział? Czy i na ile pasowało to do tego, czego dowiedział się wcześniej w kompleksie budynków w zachodnim Kansas? Odpowiedź na to pytanie była prostsza niż na pierwsze. To, czego się dowiedział dzisiaj, nie stało w sprzeczności z niczym, co wiedział o naturze Projektu, położeniu kompleksu, a nawet wystroju wewnątrz. Nie stało w sprzeczności z pismami, które leżały w pokoju, z kasetami wideo koło telewizora, ani z rozmowami, które podsłuchiwał na korytarzach i w stołówce. Ci maniacy naprawdę planowali położyć świat na ołtarzu swoich pogańskich wierzeń. Tylko jak mu się uda przekonać kogokolwiek, kto tam nie był, żeby mu uwierzył? I co mu powie? Jakie miał dowody, które mógłby przekazać temu komuś? I przede wszystkim — komu? W dodatku zamordował Fostera Hunnicutta. Nie miał wyboru. Musiał się jakoś wydostać z kompleksu i to była jedyna droga. Ale teraz stał się mordercą. Policja mogła go aresztować — jak wtedy zdoła ostrzec świat przed zagrożeniem ze strony tych pieprzonych druidów, powstrzymać ich przed zrobieniem tego, co, jak sami mówili, zamierzali? Przecież żaden glina na świecie nie uwierzy w ani jedno jego słowo.

To było zbyt groteskowe dla przeciętnego umysłu, a ludzie Projektu na pewno przygotowali jakąś bajeczkę na wypadek przedwczesnej dekonspiracji. Mieli sporo czasu na to, żeby przygotować legendę opartą na filarach na tyle mocnych, by skierować każde oficjalne dochodzenie na niewłaściwe tory. To przecież podstawowy wymóg bezpieczeństwa i jeżeli on na to wpadł, to zapewne i Henriksen się tym zajął.

Carol Brightling stała przy swoim biurku w gabinecie. Właśnie wyjęła z drukarki list zawiadamiający szefa personelu Białego Domu, że idzie od jutra na urlop bezpłatny, by zająć się rozwiązywaniem pewnego pasjonującego problemu naukowego. Omawiała to już z Arnie van Dammem wcześniej i wiedziała, że nie miał nic przeciwko temu. Nikomu nie będzie jej tu brakowało, to było widać z jego miny. Jego też, pomyślała, zimnym wzrokiem patrząc na ekran komputera, kiedy przyjdzie jego kolej.

Doktor Brightling włożyła kartkę do koperty, którą zostawiła na biurku sekretarza, żeby wysłał ją jutro rano do Białego Domu. Zrobiła już swoje dla Projektu i dla planety, teraz nadszedł

czas, by opuścić to miejsce. Tak dawno nie czuła już ramion Johna. Ich rozwód był bardzo nagłośniony. Tak trzeba było. Nigdy by nie dostała pracy w Białym Domu, gdyby nadal była żoną jednego z najbogatszych Amerykanów. Wyrzekła się go, tak jak publicznie musiała się wyrzec ideałów Ruchu, ideałów, które stały za inicjacją Projektu dziesięć lat temu, i w które nadal oboje gorąco wierzyli. Zrobiła to, by dostać się do obozu wroga, do rządu i by przyznano jej dopuszczenie do tajemnic na tyle wysokiego stopnia, by mogła mieć dostęp praktycznie do wszystkiego, nawet do wiadomości operacyjnych wywiadu. John potrzebował tych informacji.

Udało jej się uzyskać wiadomości na temat programów wojny biologicznej, by mogli się dowiedzieć, czym kraj dysponuje na wypadek ataku biologicznego. Dzięki temu mogli zaprojektować wirusa tak, by nic nie było mu się w stanie oprzeć i by nie zwalczała go żadna szczepionka poza tą, którą wyprodukowała Horizon.

Te wiadomości miały swoją cenę. Przez lata John pokazywał się publicznie z licznymi młodymi kobietami, z którymi zapewne sypiał, bo temperament zawsze miał ognisty. To była jedna z rzeczy, których nie omówili, zanim zdecydowali się na rozwód. Widok Johna obejmującego czule ramieniem

wciąż inną ślicznotkę na nielicznych spotkaniach towarzyskich, na których musieli razem się pokazać, był dla niej niemiłą niespodzianką. Pocieszeniem dla niej było to, że za każdym razem była to inna ślicznotka, z żadną nie nawiązał jakiegoś stałego związku. A więc nadal była kobietą jego życia, a tamte... No cóż, krew nie woda, jakoś musiał się rozładować. Tak czy inaczej, nie był to dla niej przyjemny widok, a jeszcze mniej przyjemna myśl, kiedy wracała z tych przyjęć sama, do pustej kuchni, w której towarzyszył jej tylko Jiggs.

Ta samotność często doprowadzała ją do płaczu.

Ale czymże była ta drobna ludzka słabość wobec potęgi Projektu. Praca w Białym Domu dodatkowo umocniła jej wiarę. Widziała tam wszystko — od stymulacji komputerowych wojen atomowych po plany wojny biologicznej. Irańska próba sprzed dwóch lat, po której przyjęto ją do pracy, przestraszyła ją i jednocześnie zachęciła. Przestraszyła, bo zagrożenie dla kraju było naprawdę poważne i mogło doprowadzić do wzmożenia wysiłków, żeby zabezpieczyć się skutecznie przed powtórzną próbą na przyszłość. Zachęciła, bo wykazała, że skuteczna obrona przed wirusową epidemią jest bardzo trudna. Poszczególne szczepionki chronią tylko przed tymi wirusami, które same zawierają, są więc szyte na miarę i nieskuteczne wobec innych wirusów. A kiedy już było po wszystkim, irańska próba wykazała jeszcze jedną zaletę — ludzie zaczęli się bać zarazy. To zaś znacznie upraszczało sprawę dystrybucji szczepionki A. Ludzie z całego świata rzucą się na nią. Może nawet wróci na swoje stanowisko doradcy naukowego prezydenta, by z wysokości jej urzędu poganiać opieszających i podkreślać, jak ważne dla ochrony zdrowia społeczeństwa są terminowe szczepienia? W tej sprawie na pewno będą jej ufać...

Doktor Carol Brightling wyszła z biura, przeszła w lewo korytarzem, potem raz jeszcze skręciła w lewo i zeszła schodami na podziemny parking. Dwadzieścia minut później zamknęła zamek w drzwiach samochodu i ruszyła schodami na górę, do swojego mieszkania. Powitał ją tam wierny Jiggs, który wskoczył jej na wyciągnięte ramiona i jak zwykle potarł o pierś swoją włochatą główką. Dziesięć lat wyrzeczeń dobiegło końca. Jej poświęcenie będzie teraz nagrodzone, kiedy planeta zazieleni się na nowo i natura powróci do chwały, która jej się należy.

Dobrze było znów trafić do Nowego Jorku. Do swojego mieszkania nie odważyłby się pojechać, ale przynajmniej to było miasto i wiedział, że tu potrafi zniknąć, jak szczur na wysypisku śmieci. Taksówkarzowi kazał się zawieść do „Essex House”, ekskluzywnego hotelu na południowych obrzeżach Central Parku i tam zameldował się jako Joseph Demetrius. W

pokoju był minibarek, więc zrobił sobie drinka z dwóch miniaterek amerykańskiej wódki.

Normalnie nawet by takiego świństwa do ust nie wziął, ale był zbyt poruszony ostatnimi wydarzeniami, by okropny smak tego napitku przebił się do jego świadomości. Wreszcie podjął

decyzję, zadzwonił do biura linii lotniczej, sprawdzając po raz ostatni informacje, których potrzebował i zamówił bardzo wczesne budzenie, o wpół do czwartej nad ranem. Odłożył

słuchawkę i runął na łóżko, nawet się nie rozbierając. Rano będzie musiał zrobić trochę zakupów i wpaść do banku po paszport Demetriusa. Potem weźmie z bankomatu pięćset dolarów na kartę

kredytową MasterCard Demetriusa i będzie bezpieczny. A w każdym razie, jeśli nie całkiem bezpieczny, to na pewno bezpieczniejszy niż teraz, a to już wystarczy, by nabrać więcej zaufania do siebie i przyszłości. Oczywiście, o ile uda się powstrzymać Projekt. A nawet jeśli nie, pomyślał zamykając przymglone nieco alkoholem oczy, przynajmniej będę wiedział, czego się wystrzeżać, żeby przeżyć.

Clark obudził się o zwykłej porze. JC spał teraz, po dwóch tygodniach na tym świecie, trochę dłużej, a tego poranka przynajmniej dostosował się do pana domu. John ledwie zdążył

wstać, żeby się ogolić, kiedy mały zaczął pierwszy tego poranka koncert w sypialni, którą zajmował z Patsy. Sandy obudziła się natychmiast, chociaż wcześniej przespała budzik Johna.

Widać instynkt macierzyński, nawet po upływie pokolenia, działa silniej. Clark zszedł do kuchni, włączył ekspres do kawy, po czym otworzył frontowe drzwi i podniósł poranne wydania

„Timesa”, „Daily Telegraph” i „Manchester Guardian”, z których co rano robił sobie prasówkę.

Musiał przyznać brytyjskim gazetom, że ich poziom był zdecydowanie wyższy niż przeciętnej amerykańskiej gazety.

Mały rośnie jak na drożdżach, zauważył, kiedy Patsy weszła do kuchni z JC uwieszonym u jej piersi, za nimi kroczyła na wyciągnięcie ręki Sandy. Córka nie piła kawy, pewnie bała się kofeiny, która wraz z mlekiem mogła się dostać do organizmu jego wnuka. Zamiast tego sama piła mleko, podczas gdy jej matka szykowała śniadanie. John Conor Chavez świata nie widział

poza swoim śniadaniem, a jego dziadek poszedł w ślady wnuka dziesięć minut później. Radio nastawione było na dziennik BBC, który uzupełniał Clarkowi gazety, leżące przed nim na stole.

Media potwierdzały zgodnie, że w czasie jego snu na świecie panował względny spokój.

Wszyscy interesowali się olimpiadą, o której co wieczór opowiadał im Ding. To znaczy, wieczór był u nich, bo przez różnicę stref czasowych w Sydney, skąd dzwonił, był właśnie poranek. Te telefony zwykle kończyły się oddaniem słuchawki małemu, żeby dumny ojciec mógł sobie posłuchać jego głosu.

O 6.30 John był już ubrany i gotowy, by pojechać na boisko lekkoatletyczne i odbyć tam poranne ćwiczenia wraz z członkami Pierwszego Zespołu, zdekompletowanego w wyniku strzelaniny pod szpitalem, ale dumnego i twardego jak zawsze. Tego poranka zajęcia prowadził

starszy sierżant Fred Franklin i Clark próbował stosować się do nich, choć nie szło mu to już tak dobrze, jak o wiele młodszymi podwładnymi. Mimo to prawie utrzymywał tempo, czym zaskarbił

sobie ich szacunek, choć też i parę spojrzeń, wyrażających politowanie dla starego piernika, któremu się zdaje, że nadal jest komandosem. W równym stopniu zdekompletowany Drugi Zespół ćwiczył po drugiej stronie boiska pod dowództwem starszego sierżanta sztabowego Eddiego Price'a. Po pół godziny wyczerpującej gimnastyki, wykapał się ponownie — dwa pryszniczki dziennie w odstępie półtorej godziny to zdecydowanie nie było coś normalnego, ale poranny przywracał go z objęć

Morfeusza do normalnego życia, a po ćwiczeniach zdecydowanie potrzebował następnego. Potem, ubrany już w swój dyrektorski garnitur, wchodził do budynku dowództwa i zaczynał dzień od sprawdzenia faksu. Jak co rano znalazł tam wiadomość od FBI, że w sprawie Sierowa nie pojawiło się nic nowego. Drugi faks zapowiadał przesyłkę z Whitehall, ale nie precyzował, co zawierała. No cóż, pomyślał, przerzucając włącznik ekspresu do kawy, wkrótce się i tak przekonamy.

Al Stanley pojawił się w biurze tuż przed ósmą. Nadal widać po nim było, że nie wyleczył się do końca z ran, ale jak na człowieka w tym wieku, szybko wracał do zdrowia. Bill Tawney pojawił się dwie minuty później i dowództwo Tęczy było już w komplecie, szykując się do rozpoczęcia kolejnego dnia pracy.

Popow aż podskoczył na łóżku, kiedy zadzwonił telefon. W ciemności sięgnął po słuchawkę, chybił i sięgnął raz jeszcze.

— Tak?

— Jest trzecia trzydzieści, panie Demetrius — poinformowała telefonistka.

— Tak, dziękuję — wymamrotał Dmitrij Arkadijewicz i odłożył słuchawkę. Sięgnął do przełącznika i zapalił lampkę. Spuścił stopy na dywan koło łóżka i ponownie ujął w rękę słuchawkę telefonu. Spojrzał raz jeszcze na kartkę obok aparatu i zaczął wybierać zapisany na niej numer. 0-1-1-4-4...

Alice Foorgate przyszła do pracy kilka minut wcześniej niż zwykle. Położyła torebkę na biurku, usiadła i zaczęła przeglądać plan zajęć na kolejny dzień pracy. Oho, odprawa budżetowa o dziesiątej, pomyślała. Pan Clark będzie w paskudnym nastroju aż do obiadu...

Dzwonek telefonu przerwał jej rozmyślenia.

— Proszę z panem Johnem Clarkiem — odezwał się męski głos.

— Mogę spytać, kto dzwoni?

— Nie. Nie może pani.

Grubiańska odżywką zadziwiła sekretarkę. Już miała powiedzieć, że w takim razie nie może połączyć, ale coś ją przed tym powstrzymało. Jak dla niej było za wcześnie rano na nieuprzejmość. Wcisnęła klawisz HOLD, a potem przełączyła do dyrektora.

— Telefon do pana na jedyńce, sir.

— Kto?

— Nie chciał powiedzieć.

— Dobra — mruknął Clark i wcisnął jedyńkę. — Clark, słucham.

— Dzień dobry, panie Clark — odezwał się głos.

— Kto mówi?

— Mamy wspólnego znajomego, panie Clark. Nazywa się Sean Grady.

— Tak? — Dłoń Clarka zacisnęła się na słuchawce. Sięgnął drugą ręką i włączył magnetofon.

— Zna więc pan moje nazwisko. Nazywam się Władimir Andriejewicz Sierow.

Powinniśmy się spotkać, panie Clark.

— Tak, chyba tak — odparł spokojnie Clark. — Bardzo chciałbym pana spotkać. Gdzie i kiedy?

— Myślę, że dzisiaj, w Nowym Jorku. Proszę wsiąść do *Concorde'a* British Airways, rejs numer 1 na lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku. Spotkamy się o jedenastej przy wejściu do zoo w Central Parku. Pod budynkiem z czerwonej cegły, który wygląda jak zamek. Będę tam dokładnie o jedenastej. Jakies pytania?

— Raczej nie. Okej, jedenasta w Nowym Jorku.

— Dziękuję, do zobaczenia.

Słuchawka ucichła i Clark wyłączył magnetofon.

— Alice — powiedział do sekretarki, kiedy zgłosiła się na jego wezwanie — poproś do mnie Billa i Alistaira.

Pojawili się w ciągu niecałych trzech minut.

— Posłuchajcie tego, chłopcy — powiedział i puścił im taśmę z nagraniem rozmowy.

— Jasna cholera — Bill Tawney uprzedził o sekundę Alistaira, który chciał powiedzieć to samo. — Chce się z tobą spotkać? Ciekawe po co?

— Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Muszę złapać tego *Concorde'a* do Nowego Jorku. Al, możesz zadzwonić do Malloya, żeby mnie podrzucił na Heathrow?

— Chcesz lecieć do Nowego Jorku? — zapytał Stanley retorycznie.

— Czemu nie? Warto spróbować — uśmiechnął się łobuzersko Clark. — Choćby po to, żeby się urwać z tej choliernej odprawy budżetowej.

— Masz rację. Ale to może być niebezpieczne.

— Będę miał tam ochronę z FBI, no i nie pojedę sam — odparł, wskazując na pistolet widoczny w

otwartej szufladzie. — To zawodowiec. On się wystawia na dużo większe niebezpieczeństwo niż ja, no chyba że przygotował jakąś bardzo skomplikowaną operację, ale to by się przecież musiało rzucić w oczy. Jest zawodowcem, więc skoro podejmuje takie ryzyko, to znaczy, że ma mi coś do powiedzenia albo chce o coś prosić. W tym drugim przypadku bardzo źle trafił, prawda, panowie?

— Muszę się z tym zgodzić — potwierdził Tawney.

— Zastrzeżenia? — zapytał swoich najbliższych współpracowników i podwładnych.

Nie mieli żadnych. Byli tak samo ciekawi jak on, chociaż woleliby, żeby spotkanie w Nowym Jorku było dobrze chronione. Jednak z tym nie powinno być większego problemu.

Clark spojrział na zegarek.

— Tam jeszcze nie ma czwartej w nocy. On chce się spotkać jeszcze dziś. Strasznie mu się śpieszy. Dlaczego? Macie jakiś pomysł?

— Na pewno chce cię zapewnić, że nie miał nic wspólnego z atakiem na szpital. A poza tym? — Tawney pokręcił głową.

— Wybrał najgorszy możliwy czas dla nas. Twój samolot odlatuje za dwie i pół godziny, o 10.30 — podkreślił Stanley. — Na waszym Wschodnim Wybrzeżu jest teraz trochę po wpół do czwartej. O tej porze nikogo ważnego nie ma w pracy.

— No to ich obudzę — odparł Clark. Wziął do ręki słuchawkę i wybrał z pamięci telefonu numer do kwatery głównej FBI.

— FBI — odezwał się anonimowy głos z drugiej strony Atlantyku.

— Chciałbym rozmawiać z zastępcą dyrektora, Chuckiem Bakerem.

— Obawiam się, że pana Bakera nie ma w tej chwili w pracy...

— Wiem. Proszę mnie połączyć z jego numerem domowym. Dzwoni John Clark.

Był prawie pewien, że usłyszał w słuchawce stłumione przekleństwo, ale polecenie wydał głosem na tyle przekonującym, że zostało wykonane.

— Słucham? — odezwał się zaspany głos Bakera.

— Chuck, tu John Clark. Coś się ruszyło w sprawie Sierowa.

— Co się stało? — zapytał Baker. Co się mogło stać takiego, że nie mogło zaczekać czterech godzin do rana?

Clark wyjaśnił. Z każdą sekundą głos rozmówcy zza oceanu brzmiał bardziej przytomnie.

— Dobra — odparł w końcu, kiedy Clark skończył. — Wyślę po ciebie do terminalu kogoś z biura nowojorskiego.

— Dzięki, Chuck. I przepraszam, że musiałem cię obudzić o tak wczesnej porze.

— Nie ma sprawy, John. Cześć.

Reszta poszła jak z płatka. Malloy po powrocie do biura z porannych ćwiczeń kazał

przygotować śmigłowiec do lotu. Nie zajęło to zbyt dużo czasu. Największy problem był z ułożeniem planu lotu przez gęste od samolotów podejścia do portów lotniczych stolicy.

Śmigłowiec wylądował w końcu na lotnisku turystycznym, skąd samochód ochrony lotniska zawiózł Clarka do terminalu. Tam Clark wszedł do poczekalni dla pasażerów *Concorde'a* na dwadzieścia minut przed planowanym odlotem i odebrał bilet. W ten sposób zdołał ominąć bramki do wykrywania metalu na lotnisku, unikając niepotrzebnego rozgłosu i tłumaczeń, po co mu broń. W Wielkiej Brytanii ogłoszenie, że pasażer samolotu siada do niego z pistoletem, równa się ogłoszeniu, że cierpi na bardzo zaraźliwą odmianę trądu. Obsługa w poczekalni była odpowiednia do ceny biletu, podziękował jednak za szampana, podawanego przez stewardesy.

Kiedy wywołano ich lot, Clark ruszył do rękawa i przeszedł nim na pokład najszybszego na świecie liniowca pasażerskiego, który miał go zawieźć do Nowego Jorku. Pilot wygłosił

zwyczajowe przemówienie do pasażerów i ciągnik odholował ten przerośnięty myśliwiec ponaddzwiękowy od terminalu. Za niecałe cztery godziny będę znowu w kraju, pomyślał Clark.

Czyż to nie cudowne?

Paczka z Whitehall, którą trzymał na kolanach, okazała się jeszcze cudowniejsza.

Zawierała teczkę akt osobowych niejakiego Popowa, Dmitrija Arkadijewicza. Nie miał

wątpliwości, że jej zawartość oceniono w znacznym stopniu, ale nawet to, co w niej zostało, było fascynującą lekturą na podróż. Dziękuję, Siergieju Nikołajewiczu, pomyślał, przerzucając strony. Cholera, to muszą być prawdziwe akta KGB, pomyślał z przejęciem, widząc na kserowanych dokumentach ślady po szpilkach w lewym górnym rogu. A więc dokumenty musiały pochodzić z czasów, kiedy jeszcze w KGB używano do spinania dokumentów szpilek —

zanim ich miejsce zajęły w latach 70. zszywacze. Clark wiedział, że te szpilki to pamiątka po latach 20., kiedy skopiowano ten system z brytyjskiej MI-6. Mało kto poza najściślejszymi kręgami wywiadu mógł o tym wiedzieć.

Clark był nad środkiem Atlantyku, kiedy Popow obudził się ponownie, kwadrans po siódmej. Zamówił do pokoju śniadanie i umył się, szykując się do tego, co go dziś jeszcze czekało. O 8.15 wyszedł z hotelu i ruszył na poszukiwanie sklepu z męskimi ubraniami, czynnego o tak wczesnej

godzinie. Rezultaty okazały się frustrujące, ale wreszcie znalazł sklep, który otwierano o dziewiątej. Pół godziny później miał drogi, choć niezbyt dobrze leżący szary garnitur, koszulę i krawat, które zabrał do pokoju hotelowego, gdzie się zaraz w nie przebrał. Już najwyższy czas na spacer do Central Parku.

Budynek, który stał u wejścia do zoo, był zaiste przedziwny. Potężna budowla zbudowana została z cegieł i zaopatrzona w masywne blanki na szczycie, jakby miała bronić okolicy, ale jej ściany usiane były oknami, a sam „zamek” stał w niewielkiej kotlinie, zamiast, jak prawdziwy zamek, na szczycie wzgórza. Widać i w tym przypadku amerykańscy architekci byli „mądrzejsi”, pomyślał Popow. Obszedł teren raz jeszcze, wypatrując agentów FBI (a może oficerów CIA, kto wie?), którzy na pewno obstawiali teren ich spotkania. A może mieli go aresztować? Trudno to wykluczyć, ale nie było na to rady. Przekona się, czy ten cały Clark to naprawdę taki profesjonalista, jak pisali z Centrali. To rzemiosło rządziło się swoimi zasadami i Clark powinien ich przestrzegać. Ryzykował przede wszystkim on, i Clark powinien to uszanować, ale po tym ataku na szpital nie można było tego być pewnym. Ano, zobaczymy. Zresztą, czego na tym świecie człowiek mógł być pewien?

Doktor Killgore zszedł do stołówki o zwykłej porze, ale nie zastał tam ani Rosjanina, ani Fostera Hunnicutta. Może po wieczornej jeździe upili się i zaspali, pomyślał. Przesiedział nad śniadaniem dwadzieścia minut dłużej niż zwykle, ale nie doczekał się przyjaciół. Wreszcie uznał, że szkoda czasu i pojechał do stajni. Tu czekała na niego kolejna niespodzianka — w zagrodzie przed stajnią stały Śmietanka i Jeremiasz, oba nie osiodłane i bez ogłowi. Pomyślał, że musiały się jakoś wydostać z boksów i zaprowadził je tam. Potem osiodłał swojego konia i poczekali z Kirkiem Macleanem jeszcze kwadrans, a kiedy żaden z nieobecnych nie pojawił się, ruszyli na zachód na swoją zwyczajową poranną przejażdżkę w zmniejszonym gronie.

Życie tajniaka ma jednak swój urok, pomyślał Sullivan. Prowadził furgonetkę przemalowaną na wóz Consolidated Edison, ubrany w błękitny kombinezon z nazwą firmy na plecach. Kombinezon był na tyle obszerny, że mógł pod nim schować choćby i tuzin pistoletów, ale nie to było jego największą zaletą — w Nowym Jorku, którego ulice były pełne podobnie umundurowanych pracowników ConEd, stawał się czapką-niewidką. Ta operacja obserwacyjna została zorganizowana w wielkim pośpiechu, ale w umówionym miejscu spotkania kręciło się aż ośmiu agentów, z których każdy zaopatrzony był w zdjęcie paszportowe Sierowa. Rysopis nie podawał wzrostu i wagi, a twarz była bardzo pospolita, co sprawiało, że poszukiwany zaliczał się do grupy PBF — Przeciętnych Białych Facetów — których populacja w Nowym Jorku oceniana była na jakieś trzy miliony. Bułka z masłem...

Jego partner, Frank Chatham, w garniturze i pod krawatem, czekał wewnątrz terminalu British Airways. Kombinezon Chathama wisiał na wieszaku w furgonetce zaparkowanej przed terminalem, z Sullivanem za kierownicą. Sullivan nie miał nawet pojęcia, na kogo czeka Frank.

Facet miał się nazywać Clark i, jak powiedział wicedyrektor Baker, był jakąś cholerną fiszą.

Samolot wylądował dokładnie o czasie. Clark, siedzący na fotelu l C, w pierwszym rzędzie, tuż za kabiną pilotów, wstał i jako pierwszy wysiadł z samolotu. Nie miał najmniejszych problemów z zauważeniem agenta FBI, który czekał na niego przy wyjściu z rękawa.

— Na mnie czekasz?

— Przepraszam, a jak nazwisko?

— John Clark. Chuck Baker pewnie...

— Tak jest. Proszę za mną, sir. — Chatham wyprowadził go na skróty, omijając cło i kontrolę graniczną, raz jeszcze pozbawiając paszport Clarka dowodu na to, że wjechał do suwerennego kraju. Furgonetka ConEd na parkingu także rzuciła się w oczy. Clark skierował się do niej, nie czekając na wskazówki, i po prostu wskoczył do środka, na miejsce obok kierowcy, nie czekając na zaproszenia.

— Cześć, jestem Clark — powiedział do kierowcy.

— Tom Sullivan. Franka już pan poznał.

— Ruszajmy, panie Sullivan.

— Tak jest, sir.

Furgonetka ruszyła z kopyta. Chatham z tyłu walczył z kombinezonem.

— W porządku, sir, co się właściwie dzieje?

— Mam się spotkać z tym gościem.

— Z Sierowem? — zapytał Sullivan, przebijając się przez zatłoczony zjazd na autostradę.

— Tak, tylko że tak naprawdę facet nazywa się Popow. Dmitrij Arkadijewicz Popow. Był

kiedyś pułkownikiem KGB. Mam tu jego teczkę, czytałem ją po drodze. Specjalizował się w kontaktach z terrorystami, a kontaktów ma więcej, niż niejedna firma telefoniczna.

— To ten, który zorganizował ten atak terrorystyczny...

— Ten sam. — Kiwnął głową z przedniego prawego fotela John. — Zamach na moją żonę i córkę. To one były głównym celem tej operacji.

— Cholera! — powiedział Chatham, dociągając zamek kombinezonu. Tego nikt im nie powiedział.

— I chce się pan po czymś takim spotkać z tym gnojem?

— Biznes to biznes, chłopaki — odparł Clark, zastanawiając się, na ile sam w to wierzy.

— A kim pan właściwie jest?

— Nieważne. W każdym razie kiedyś pracowałem w Firmie.

— To skąd pan zna pana Bakera?

— Teraz zajmuję się czymś innym i mamy często do czynienia z Biurem. Zwykle z Guse'em Wernerem, ale ostatnio zdarza mi się kontaktować także z Bakerem.

— Ma pan coś wspólnego z grupą, która zrobiła porządek z tymi bandziorami tam w szpitalu, w Anglii, tak?

— Jestem ich szefem. Ale nie chcę, żeby się to rozniosło, rozumiecie?

— Nie ma sprawy — odparł Sullivan.

— A wy pracujecie nad sprawą Sierowa tu, w Nowym Jorku, tak?

— Między innymi.

— I co macie na niego?

— Zdjęcie paszportowe, ale to już pan chyba też ma.

— Lepiej, mam jego teczkę osobową z KGB, z oficjalnym zdjęciem. Lepsze niż paszportowe, bo w kilku ujęciach, jak te z księgi zatrzymanych, ale za to ma z dziesięć lat. Co jeszcze?

— Konta bankowe, zapisy obciążeń kart kredytowych, adres skrytki pocztowej i to już wszystko. Ale ciągle nad tym pracujemy.

— Za co jest poszukiwany? — zapytał John.

— Głównie organizowanie przestępstw. Podżeganie do aktów terroryzmu, organizowanie przerzutu narkotyków. Ich znamiona mają charakter blankietowy, są bardzo ogólnie sformułowane i dlatego używamy ich wtedy, kiedy nie możemy kogoś złapać za rękę.

— Możecie go aresztować?

— Jasne — powiedział Chatham z tyłu. — Chce pan, żebyśmy go zgarnęli?

— Sam nie wiem — odparł Clark, usiłując się jakoś usadowić w niewygodnym fotelu.

Patrzył na zbliżające się drapacze chmur centrum Nowego Jorku, wciąż zastanawiając się, o co właściwie w tym wszystkim chodzi. Sam się wkrótce przekona, powtarzał sobie w myśli, jednocześnie nie mogąc się doczekać chwili, w której rzuci się do gardła sukinsynowi, który nasłał uzbrojonych zbirów na jego żonę i ciężarną córkę.

Popow rozpoznał dwóch tajniaków, nie licząc pary mundurowych, którzy mogli być, ale nie musieli, częścią grupy ubezpieczającej spotkanie. Zresztą, co mu za różnica? Musiał się spotkać z Clarkiem, a to oznaczało, że będą w publicznym miejscu, bo inaczej byłaby to wędrówka do jaskini lwa, a Popow nie był aż na tyle zdesperowany. Tu do końca zachowywał

jakieś szansę. W razie czego mógł po prostu nie zatrzymać się, tylko ruszyć dalej na południe, do stacji metra. Potem wystarczyło zbiec schodami na dół, wskoczyć do wagonu i szukać wiatru w polu. Na pewno zgubiłby większość ze śledzących go, a potem miał wiele możliwości do wyboru. Mógł, na przykład, wyrzucić marynarkę i zmienić wygląd, zakładając czapkę, którą miał

w kieszeni. Doszedł do wniosku, że w razie czego ma 50 procent szans na uniknięcie złapania.

Przecież strzelać do niego nie będą, nie w sercu wielkiego miasta, w tłumie przechodniów. Ale to wszystko ostateczność. Największą szansą dla niego było spotkanie z Clarkiem. Jeżeli okaże się zawodowcem, na co liczył, potraktuje to jak biznes. Będzie musiał. Żaden z nich nie miał teraz wyboru, przekonywał sam siebie Popow.

Furgonetka przejechała East River i skierowała się na zachód przez zatłoczone ulice. John raz jeszcze spojrzął na zegarek.

— Zdążymy, proszę pana — uspokoił go Sullivan. — Będziemy na miejscu jakieś dziesięć minut przed czasem.

— Dobra — odparł Clark. Zbliżał się czas spotkania i musiał dokonać wielkiego wysiłku, żeby utrzymać nerwy na wodzy. John Terrence Clark był człowiekiem ulegającym namiętnościom i czasem zdarzało się, że pozwalał im kierować swoim postępowaniem. Tym razem nie mogło być o tym mowy. Kimkolwiek był ten Rosjanin, poprosił o to spotkanie, a to musiało coś oznaczać. Nie miał pojęcia co, ale to musiało być coś bardzo niezwykłego, skoro zdecydował się na taki krok. A skoro tak, to on musiał uczynić ten wysiłek i odłożyć na bok sprawy osobiste, niedawne, ale przecież już przesłe, zagrożenie dla swojej rodziny. Będzie na tym spotkaniu spokojny jak głaz. Teraz powinien oddychać głęboko i odprężyć się, póki ma czas.

Ciekawość nie dawała mu jednak spokoju. Rosjanin musiał się domyślać, że Clark wie, co on zrobił, a mimo to prosił o spotkanie i bardzo mu się śpieszyło. To musi coś znaczyć, powiedział

sobie raz jeszcze, kiedy przebili się wreszcie przez korek i skręcili w lewo, w Piątą Aleję. Raz jeszcze spojrzął na zegarek. Mieli czternaście minut zapasu. Furgonetka skręciła w prawo i przystanęła na sekundę. Clark wyskoczył i wmieszał się w tłum, kierując się na południe zatłoczonym chodnikiem, przeciskając się koło bukinistów i przekupniów, wciskających różną tandetę przechodniom z rozkładanych drewnianych ni to straganów, ni to skrzynek. Agenci FBI zawrócili, parkując koło umówionego punktu i wysiedli. Ruszyli przed siebie, niosąc gazety i rozglądali się wokół trochę zbyt ostentacyjnie, jak na pracowników firmy komunalnej. Clark skręcił w prawo i zszedł po schodach, przyglądając się ceglanej ścianie czegoś, co sto lat temu wydało się komuś podobne do średniowiecznego zamku. Nie czekał długo.

— Dzień dobry, panie Clark — usłyszał zza pleców.

— Dzień dobry, Dmitriju Arkadijewiczu — odparł, nie odwracając się.

— Bardzo dobrze — pochwalił głos z tyłu. — Gratuluję poznania kolejnego z moich licznych nazwisk.

— Mamy nie najgorszy wywiad.

— Lot był przyjemny?

— Szybki. Nigdy dotąd nie leciałem *Concorde*'em. Całkiem przyjemne. Czym mogę panu służyć, Dmitriju Arkadijewiczu?

— Zacznę od przeprosin za moje kontakty z Gradym i jego ludźmi.

— A co z pozostałymi operacjami? — zaryzykował pytanie Clark. Stawka była duża, ale tego dnia był w hazardowym nastroju.

— Tamte nie dotyczyły pana osobiście i zginęła tylko jedna osoba.

— Chora dziewczynka — wytknął Clark i sam się zgał za pośpiech.

— Nie, nie miałem nic wspólnego z akcją w Hiszpanii. Bank w Bernie i ten finansista spod Wiednia to moja robota, ale Park Światowy nie.

— A więc przyznał się pan do udziału w przygotowaniu trzech operacji terrorystycznych.

Wie pan, że to wbrew prawu?

— Niech pan sobie wyobrazi, że nie umknęło to mojej uwadze — odparł zimno Popow.

— A więc czym mogę panu służyć?

— To raczej ja mam panu coś do zaoferowania, panie Clark.

— Mianowicie? — John nadal nie odwracał się, ale wokół krążyło sześciu agentów FBI i zapewne wycelowany w nich był niejedyn mikrofon kierunkowy, który nagrywał tę rozmowę. A przynajmniej taką miał nadzieję. Tak się rano śpieszyli, że nie było kiedy zamontować w garniturze porządnego mikrofonu.

— Mogę podać powody, dla których zorganizowano te akcje, i nazwisko człowieka, który za nimi stał. To jakaś straszliwa historia. Dopiero wczoraj, nawet nie dwadzieścia cztery godziny temu, dowiedziałem się, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

— I o cóż takiego chodzi?

— O wymordowanie całej ludzkości, panie Clark.

Słyszając to, Clark nie mógł się już powstrzymać i obrócił się twarzą do rozmówcy. Zdjęcie z akt KGB było całkiem niezłe.

— To brzmi jak jakiś kiepski scenariusz filmowy.

— Clark, wczoraj byłem w Kansas. Tam dowiedziałem się o tym ich Projekcie.

Zastrzeliłem człowieka, który mi to powiedział, żeby móc stamtąd uciec. Człowiek, którego zabiłem, nazywał się Foster Hunnicutt, był przewodnikiem myśliwskim z Montany. Strzeliłem mu w pierś z jego własnego *Colta* kalibru czterdzieści cztery. Stamtąd dostałem się do najbliższej autostrady i udało mi się pojechać autostopem na lokalne lotnisko, skąd poleciałem do Kansas City i dalej do Nowego Jorku. Siedem godzin temu dzwoniłem do ciebie z pokoju hotelowego.

Tak, wiem, że możesz mnie aresztować. Na pewno obserwuje nas obstawa, pewnie z waszego FBI — dodał, wchodząc do ogrodu zoologicznego. — Wystarczy, że kiwniesz ręką i będę aresztowany. Dopiero co przyznałem ci się do morderstwa, podałem nazwisko ofiary i miejsce przestępstwa. Możesz mi jeszcze dołożyć podżeganie do aktów terroryzmu, a pewnie i od udziału w handlu narkotykami bym się też nie wywinął. Wiem o tym, a mimo to poprosiłem o spotkanie.

Czy nadal uważasz, że sobie żarty stroję, Clark?

— Pewnie nie — odparł Tęcza Sześć, przypatrując się uważnie rozmówcy.

— Bardzo dobrze, proszę więc, żebyś mnie zabrał do biura FBI albo do jakiejś waszej kryjówki, gdzie mógłbym ci przekazać posiadane przeze mnie informacje w bardziej kontrolowanych niż tutaj okolicznościach. W zamian chcę jedynie twojego słowa, że nie zostanę aresztowany.

— Uwierzyłbyś mi, jeśli bym je dał?

— Tak. Jesteś z CIA i znasz reguły gry, czyż nie?

Clark skinął głową.

— Dobrze. Masz moje słowo. O ile, oczywiście, to, co opowiadasz, okaże się prawdą.

— Chciałbym, żeby nie było, Clark — powiedział Popow. — Proszę mi wierzyć, przyjacielu, naprawdę chciałbym, żeby to nie była prawda.

John spojrzał mu uważnie w oczy i zobaczył w nich strach, nie, nawet nie strach, coś jeszcze głębszego. Ten facet nazwał go przyjacielem. To dużo znaczyło, zwłaszcza w takich okolicznościach.

— Chodźmy — powiedział i poprowadził go z powrotem do Piątej Alei.

— To nasz podejrzany, chłopaki — rozległ się w słuchawkach głos agentki. —

Podejrzany Sierow we własnej osobie, zapakowany w papier ze wstążką i podany na srebrnej tacy... Nie, czekajcie. Zawracają. Idą w stronę Piątej Alei.

— Nie gadaj? — odezwał się Chatham i rozejrzał się. Rzeczywiście, ujrzał ich w tej samej chwili. Szli bardzo szybko w kierunku ich furgonetki.

— Macie tu lokal operacyjny? — zapytał Clark.

— No, mamy, ale...

— Jedziemy tam! — rozkazał Clark. — Zaraz! — dodał, widząc wahanie. — Możecie zwiijać obserwację. Wsiadaj, Dmitrij — dodał, odsuwając boczne drzwi furgonetki.

Lokal operacyjny był zaledwie parę przecznic dalej. Sullivan zaparkował furgonetkę i wszyscy czterej weszli do budynku.

Gasnący płomień

Lokal operacyjny był trzypiętrową kamienicą licowaną brązowym piaskowcem, którą kilka dziesięcioleci temu podarował rządowi biznesmen, wdzięczny za odnalezienie przez FBI porwanego syna. Przez lata służył głównie jako miejsce spotkań z dyplomatami z pobliskiej siedziby Narodów Zjednoczonych, którzy w ten, czy inny sposób oprócz swoich obowiązków zawodowych, stykali się z rządem amerykańskim i jego agendami. Był też jedną z kryjówek Arkadija Szewczenki, najwyższego rangą uciekiniera z ZSRR. Z zewnątrz nie rzucał się w oczy, za to wewnątrz krył bardzo wyrafinowane zabezpieczenia i trzy pokoje przesłuchań, wyposażone w mikrofony, lustra weneckie, nieodzowne w takich miejscach stoły i krzesła trochę wygodniejsze, niż zwykle w tego rodzaju pomieszczeniach. Lokal obsadzony był przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zwykle przez nowicjuszy z nowojorskiego biura terenowego FBI, którzy pełnili tu służbę właściwie odźwiernych.

Chatham zaprowadził ich na najwyższe piętro i posadził Clarka i Popowa w pozbawionym okien pokoju. Ustawiono mikrofon, uruchomiono magnetofon, za jednym z półprzezroczystych lusterek technik włączył kamerę i magnetowid.

— Zaczynamy — powiedział Clark, podając datę, godzinę i miejsce. — Jest tu z nami pułkownik KGB w stanie spoczynku, Dmitrij Arkadijewicz Popow. Tematem przesłuchania są działania międzynarodowych grup terrorystycznych. Nazywam się John Clark i jestem oficerem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Przy przesłuchaniu asystują...

— Agent specjalny, Tom Sullivan.

— I...

— Agent specjalny, Frank Chatham.

— Z nowojorskiego biura terenowego Federalnego Biura Śledczego. Dmitrij, czy możesz już zacząć?

Popow nie najlepiej znosił to otoczenie i wyraźnie było to słychać w pierwszych minutach jego opowieści. Przez pierwsze pół godziny agenci FBI okazywali całkowity brak wiary w to, co opowiadał. Ożywili się dopiero, kiedy wspomniał poranne przejażdżki w Kansas.

— Maclean? A jak miał na imię? — zapytał Sullivan.

— Chyba Kirk, a może Kurt, ale raczej kończyło się na „k” — odparł Popow. —

Hunnicutta powiedział mi, że Maclean zajmował się w Nowym Jorku porywaniem ludzi, których

używano jako królików doświadczalnych do testowania Sziwy.

— Kurwa — wyrwało się Chathamowi. — Jak on wyglądał?

Popow opisał go bardzo dokładnie, wraz ze szczegółami w rodzaju koloru oczu i długości włosów.

— Panie Clark, ten człowiek jest nam znany. Przesłuchiwaliśmy go w sprawie zniknięcia młodej kobiety, Mary Bannister. I drugiej, Anne Pretloe, która zniknęła w bardzo podobnych okolicznościach. Jasna cholera, mówi pan, że zostały zamordowane?

— Nie. Powiedziałem, że zostały użyte do testowania wirusa Sziwa, który mają zamiar rozprzestrzenić w Sydney.

— Horizon Corporation. No tak, on tam pracował, ten Maclean! Jego współpracownicy powiedzieli, że wyjechał z miasta.

— Zgadza się, możecie go znaleźć w Kansas — kiwnął głową Popow.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, jak wielką firmą jest Horizon? — zapytał Clarka Sullivan.

— Wystarczająco dużą. Dobra, Dmitrij. — Clark uniósł rękę, kończąc temat Macleana.

— Jak zamierzali doprowadzić do rozprzestrzenienia wirusa?

— Foster powiedział mi, że ma do tego posłużyć system klimatyzacyjny na stadionie.

Tylko tyle wiem na ten temat.

John pomyślał o igrzyskach. Dziś miał być rozegrany maraton, ostatnia konkurencja, po której wieczorem będzie miała miejsce uroczystość zamknięcia. Nie było czasu na zbyt długie rozmyślenia. Obrócił się na krześle, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer w Anglii.

— Daj mi Stanleya — powiedział do pani Foorgate.

— Alistair Stanley — zgłosił się po chwili Al.

— Al, tu John. Złap Dinga i każ mu natychmiast zadzwonić do mnie na numer —

odczytał mu numer wypisany na aparacie. — Już zaraz, natychmiast. Jak najprędzej, Al.

— Zrozumiałem, John.

Clark czekał cztery i pół minuty.

— Masz szczęście, John, że mnie złapałeś, bo właśnie się ubrałem i szedłem oglądać mara...

— Zamknij się i słuchaj, Domingo — przerwał mu Clark.

— Tak, już mam — odparł Chavez, przysuwając notes i zapisując to, co mu podyktował

Clark. — Słuchaj, mówisz poważnie?

— My w to wierzymy, Ding.

— To brzmi jak kiepski scenariusz filmowy. — Kto to wymyślił? Jaki zysk mógłby mieć z czegoś takiego?

— Ding, facet, który mi to opowiedział, nazywa się Władimir Andriejewicz Sierow.

Mówi ci coś to nazwisko? Siedzi tu koło mnie.

— Rozumiem, panie C. Kiedy to ma się odbyć?

— W czasie uroczystości zamknięcia igrzysk, tak przynajmniej on twierdzi. Będzie dziś jeszcze coś, poza maratonem?

— Nie, to ostatnia konkurencja. Do czasu jej zakończenia mamy pełny luz. Ludzie zaczną się schodzić dopiero koło piątej, na zakończenie biegu i na uroczystość zamknięcia olimpiady.

Potem, jak się to skończy, wszyscy wracają do domu. — A w tym i ja, dodał w myśli.

— Tak wygląda ich plan, Ding.

— I mam ich powstrzymać, tak?

— Zgadza się. Do roboty. Zachowaj ten numer. Będę tu cały dzień pod *STU-4*. Od tej chwili wszelkie kontakty mają się odbywać przez bezpieczny telefon. Jasne?

— Jasne. Zabieram się do roboty, John.

— Zasuwasz. Cześć.

Chavez odłożył słuchawkę, zastanawiając się, co też on ma, do cholery, zrobić z tym paszтетem. Najpierw musi zebrać ludzi, to nie ulegało wątpliwości. Byli wszyscy na tym samym piętrze, więc wystarczyło, że przeszedł się korytarzem, pukając po drodze do drzwi i zapraszając swoich podoficerów do siebie.

— Słuchajcie, panowie — powiedział po chwili. — Wygląda na to, że będziemy dziś mieć robotę. Wygląda to tak — zaczął i powtórzył im to, co sam przed chwilą usłyszał od Clarka.

— Chryste — jęknął Tomlinson, wyrażając odczucia wszystkich. Historia była niewiarygodna, ale zdążyli się już przyzwyczaić do otrzymywania dziwnych informacji i działania na ich podstawie.

— Trzeba odnaleźć pompownię systemu zraszaczy. Kiedy ją znajdziemy, trzeba tam zostawić kogoś, żeby jej pilnował. Będziemy się zmieniali na tym posterunku. George i Homer, wy zaczniecie, zmienimy was ja i Mike. Zmiany co dwie godziny. Dwie godziny w środku i dwie na zewnątrz. Radiostacje mają być włączone przez cały czas. Zezwalam na użycie broni.

Noonan przysłuchiwał się całej odprawie.

— Ding, to wszystko brzmi nieprawdopodobnie.

— Wiem, Tim, ale będziemy działać zgodnie z tym, co dostaliśmy.

— Jak uważasz.

— Dobra, panowie. Do roboty — powiedział Chavez, wstając.

— To już dziś, Carol — powiedział John Brightling do swojej byłej żony. — Realizacja Projektu rozpocznie się za niecałe dziesięć godzin.

Upuściła Jiggsa na podłogę i objęła byłego męża ramionami.

— Och, John!

— Wiem. To trwało tak długo. Bez ciebie nie dalibyśmy rady.

Okazało się, że i Henriksen był tam.

— Dwadzieścia minut temu rozmawiałem z Wilem Gearingiem. Zamieni pojemniki tuż przed rozpoczęciem ceremonii zakończenia. Pogoda działa na naszą korzyść. W Sydney będzie kolejny upalny dzień, przewiduje się temperaturę w granicach trzydziestu pięciu stopni. Wszyscy będą chłodzić się pod zraszaczami.

— I głęboko oddychać — potwierdził doktor Brightling. To jeden ze sposobów, w jaki organizm broni się przed przegrzaniem.

Chavez dotarł na stadion spocony i zastanawiał się, jakim cudem maratończycy mają przeżyć swój bieg w takich warunkach. A więc ludzie z Global Security, z którymi mieszkali na tym samym piętrze hotelu, z którymi mieli współpracować jego podwładni, brali udział w tym wszystkim? Spróbował przywołać z pamięci twarze, widziane na dwóch konferencjach.

Nieważne, teraz przede wszystkim musiał znaleźć pułkownika Wilkersona. Pięć minut później znalazł go w pomieszczeniach zespołu interwencyjnego.

— Dzień dobry, majorze Chavez.

— Cześć, Frank. Mam pytanie.

— O co chodzi, Ding?

— System zraszaczy. Gdzie jest jego stacja pomp?

— Pompy są w pomieszczeniu koło Sekcji Piątej, zaraz na lewo obok rampy.

— Jak się tam dostać?

— Mogę ci dać klucz i kombinację do systemu alarmowego. A co się dzieje?

— A nic, tak tylko chciałem rzucić na to okiem.

— Jakiś problem, Ding?

— Może. Tak mi coś przyszło do głowy... — wysilił umysł, usiłując wymyślić na poczekaniu jakąś przekonującą odpowiedź. — A gdyby ktoś chciał coś tamtędy rozpylić?

Jakiś gaz, czy coś? Pomyślałem, że byłoby warto...

— Sprawdzić? Nie ty pierwszy na to wpadłeś. Uprzedził cię jeden z ludzi z Global Security, pułkownik Gearing. Już sprawdzał całą instalację. Wpadł na to samo, co ty, tylko trochę wcześniej.

— A mógłbym też się tam rozejrzeć?

— Po co?

— Niech będzie, że to paranoja.

— Tak to właśnie wygląda — powiedział Wilkerson, ale wstał z krzesła i zdjął z kołka odpowiedni klucz. — Kod 1-1-3-3-6-6.

Jedenaście, trzydzieści trzy, sześćdziesiąt sześć, powtórzył w myśli Chavez.

— Dziękuję, panie pułkowniku.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie majorze — odparł podpułkownik SAS.

Chavez wyszedł do swoich ludzi na zewnątrz i szybko wrócili na stadion.

— Powiedziałeś mi, w czym rzecz? — zapytał Noonan.

Chavez pokręcił głową.

— Nie miałem na to zezwolenia. John oczekuje, że zajmiemy się tym sami.

— A jeżeli facet będzie uzbrojony?

— Tim, mamy przecież pozwolenie na użycie siły, prawda?

— Z tego może być tęga afera — ostrzegł agent FBI, mając na myśli lokalne sądy i policję.

— Pewnie, że może — zgodził się Chavez. — Od tego mamy głowy na karku, żeby nie było, prawda?

Zadaniem Kirka Macleana w Projekcie było nadzorowanie systemów ochrony kompleksu, a zwłaszcza układu filtro-wentylacyjnego utrzymującego wszędzie nadciśnienie. Nie do końca rozumiał sens ich zainstalowania. Przecież wszyscy wewnątrz byli szczepieni szczepionką B, więc nawet jeśli Sziwa się do nich dostanie, będą bezpieczni. Uznał jednak, że doktor Brightling po prostu lekko się zagalopował w trosce o ochronę kompleksu, a w końcu, co go to obchodziło? Całą swoją dzienną robotę wykonał bez większych problemów, polegało to w większości na prostym odczytywaniu zapisów i wskazań przyrządów, których wskazówki i tak zwykle tkwiły jak przyklejone w środku zielonych pól. Kiedy skończył, poczuł nagle ochotę na przejażdżkę. Poszedł do biura transportowego i wziął kluczyki od *Hummera* należącego do Projektu, po czym pojechał nim do stajni po konia. Dwadzieścia minut później siedział już na nim i jechał na północ, cwałując przez trawiaste łąki, po drózkach, na których maszyny rolnicze zawracały na końcu łąnu. Powoli przejechał przez miasto piesków preriowych, kierując się ku autostradzie, która wyznaczała północną granicę kompleksu. Był już jakieś czterdzieści minut jazdy od budynków, kiedy zauważył coś niezwykłego.

Jak każda większa posiadłość rolna na amerykańskim Środkowym Zachodzie, także i kompleks miał swoją własną kolonię sępów. W tej okolicy nazywano je sępami indycznymi, niezależnie od tego, jakiego gatunku tak naprawdę były przedstawicielami. Były to wielkie ścierwojady, rzucające się w oczy swoimi rozmiarami i uderzającą brzydota. Miały czarno upierzone korpusy i czerwone, nagie głowy z potężnymi dziobami, które natura stworzyła do obdzierania mięsa z padliny. Sępy były zakładem oczyszczania natury, czy, jak je niektórzy nazywali, zakładem pogrzebowym natury. Stanowiły ważną część ekosystemu, choć część ludzi traktowała je z niesmakiem. Zobaczył sześć tych ptaków, krążących nad czymś w wysokiej trawie na północnym wschodzie. Sześć naraz to już dużo sępów, a jadąc w tamtym kierunku zauważył ich jeszcze więcej. Kanciaste kształty czerniały w trawie jakieś trzy kilometry przed nim. Musiało umrzeć jakieś większe zwierzę i teraz sępy zajmowały się zjadaniem padliny. Sępy były cierpliwymi, dokładnymi i ostrożnymi czyścicielami. Krążyły, by się upewnić, że zwierzę, które wypatrzyły i wywęszyły, nie żyje i nie skoczy na nie, gdy się do niego zbliżą. Ptaki są najdelikatniejszymi stworzeniami natury, stworzonymi do latania i musiały być w doskonałej kondycji, by przeżyć.

Ciekawe, co jedzą? Maclean skierował konia w ich stronę. Poruszał się bardzo powoli, by ich nie spłoszyć. Zastanawiał się, na ile mogą się przestraszyć jeźdźca na koniu. Pewnie nie bardzo, ale zaraz sam się przekona.

Cokolwiek to było, pomyślał pięć minut później, smakowało ptaszkom. Nie był to piękny widok, ale w końcu człowiek jedzący hamburgera robi to samo, przynajmniej z punktu widzenia krowy. Taka już jest natura. Sępy zjadają padlinę, przejmując jej proteiny, które po przetrawieniu zwracają ziemi, użyźniając glebę i tak nie kończący się cykl życia, śmierci i znowu życia trwa bez końca. Nawet ze stu metrów trudno było poznać, co sępy zjadają, tyle ich się tam tłoczyło. Z

wielkości truchła i obsiadającego go stada ptaków, miarowo poruszających dziobami w górę i w dół,

w ciężkim znoju spożywających twór natury, który natura sama uśmierciła, ocenił, że musiał

to być jelen. Na co umierają jelenie? Zawał? Wylew? Rak? Ciekawe, ocenił Kirk. Trzeba się będzie tym zająć w najbliższych latach. Może by tak któryś z lekarzy Projektu zrobił sekcję zwierzaka? Jeśli tylko zdążyliby przed sępami, pomyślał z uśmiechem, zanim zjedzą im dowód rzeczowy. Nagle, jakieś pięćdziesiąt metrów stamtąd, zatrzymał konia. Cokolwiek jadły sępy, nosiło za życia flanelową koszulę. Spiał konia i podjechał bliżej. Sępy zauważyły go dopiero z dziesięciu metrów i zaczęły podnosić swoje brzydkie, czerwone głowy z bezlitosnymi czarnymi oczyma, potem niezdarnie odskakiwać od ciała, a wreszcie, ciężko łopocząc skrzydłami, odleciały o parę metrów i czekały, aż intruz sobie pójdzie.

— O kurwa — wymamrotał Maclean, kiedy podjechał jeszcze bliżej. Szyja była porozrywana dziobami, wystawały z niej obgryzione kręgi szyjne, także koszula w wielu miejscach podziurawiona już była dziobami. Twarz była straszliwie okaleczona, sępy wydziobały oczy i większość mięśni, ale włosy pozostały nienaruszone...

— Jezu... Foster? Co ci się stało, człowieku? — wymamrotał pod nosem. Po chwili wypatrzył brązową plamę na środku ciemnej koszuli. Nie zsiadał z konia. Hunnicutt był martwy, najwyraźniej został zastrzelony. Kirk rozejrzał się wokoło i wypatrzył w trawie ślady podków.

Jeden albo dwa konie... Raczej dwa. Zawrócił i puścił się galopem do kompleksu, by dotrzeć tam najszybciej, jak to możliwe. Droga zajęła mu kwadrans. Pod stajnią wsiadł do *Hummera* i ruszył całym gazem na poszukiwanie Johna Killgore'a.

Pomieszczenie pompowni niczym specjalnym się nie wyróżniało. Pełne było rur, stalowych i plastikowych, a na środku stała pompa, która ruszyła, uruchomiona wyłącznikiem czasowym, kilka minut przed ich wejściem tutaj. Chavez z początku przeraził się, że może wirus już jest w instalacji. Boże, dopiero co sam przeszedłem przez tę pieprzoną mgłę! Co się stanie, jeżeli już się nawdychałem tego świństwa?

I tak nie mógł na to na razie nic poradzić. John powiedział, że mają wpuścić wirusy do tej instalacji dopiero później, a ten Rusek podobno wiedział, co ma być grane. Trzeba ufać źródłom informacji. Po prostu nie ma innego wyjścia. Informacje to waluta tego rzemiosła, kurs mierzy się życiem lub śmiercią.

Noonan ukląkł koło pojemnika z chlorkiem, wiszącego na rurze.

— Wygląda na fabryczny — ocenił, obejrzawszy go dokładnie. — Już wiem, jak się go wymienia. Wystarczy wyłączyć tę pompę — wskazał palcem — zamknąć ten zawór i odkręcić pojemnik kluczem, który wisi na ścianie. Potem już tylko włożyć nowy pojemnik, otworzyć zawór i uruchomić pompę. Roboty na pół minuty, może nawet mniej.

— A jeżeli ktoś to już zrobił? — zapytał cicho Chavez.

— To mamy przerąbane — odparł po prostu Noonan. — Mam nadzieję, że ten wasz informator nie

mylił się.

Mgła na zewnątrz pachniała chlorem, przypomniał sobie Chavez, zupełnie jak zwykła woda z miejskich wodociągów. Chloruje się ją po to, żeby ją odkazić. Poza tym chlor jako jedyny pierwiastek poza tlenem, podtrzymuje palenie. Tak kiedyś czytał.

— Co o tym myślisz, Tim?

— Myślę, że to się trzyma kupy, ale to operacja na cholernie wielką skalę, dla każdego, kto by jej spróbował. Ding, do jasnej cholery, kto mógłby być zdolny do czegoś takiego? I najważniejsze, po co, na miłość boską?

— Tego się pewnie będziemy musieli dowiedzieć. A na razie, pilnujmy tego cholernego pudła jak skarbów Sezamu. Dobra — obrócił się do pozostałych — George i Homer, zostajecie tutaj. Jak się któremu zachce łąć, tu jest kratka ściekowa — pokazał palcem. — Nikt stąd, pod żadnym pozorem, nie wychodzi. Tim, ty zostaniesz w pobliżu. Mamy radiostacje i przez nie będziemy się komunikować. Zmiany co dwie godziny, ale nikt nie odchodzi stąd dalej niż na 50

metrów. Pytania?

— Nie ma — odpowiedział za resztę Tomlinson. — Jeśli ktokolwiek wejdzie i będzie czegoś próbował?

— Zatrzymać wszelkimi dostępnymi środkami. I wezwać pomoc przez radio.

— Jasne, szefie — odparł George, a Homer Johnston kiwnął w milczeniu głową.

Chavez i pozostali wyszli ze sterowni. Stadion zaczynał się zapełniać ludźmi, chcącymi obejrzeć start do maratonu. A co potem? Będą tu siedzieli beczynn timer i rozglądali się przez trzy godziny? Nie, poprawił się, ostatnio czas jest koło dwóch godzin z minutami. Czterdzieści dwa kilometry z kawałkiem. Cholernie długa trasa dla każdego zawodnika — i każdej zawodniczki —

do przebiegnięcia. Cholera, nawet dla niego to strasznie daleko, dystans, który raczej nadaje się do przejazdu ciężarówką, czy przelotu śmigłowcem, a nie do biegania.

Razem z Pierce'em i Noonanem przeszli na jedną z betonowych ramp i stanęli przed wiszącym tam telewizorem. Biegacze zebrali się na starcie. Na ekranie pokazywano zbliżenie faworytów i ich krótkie biografie. Lokalny komentator australijski omawiał zakłady bukmacherskie, na kogo stawiano i ile. Najwięcej grających obstawiało Kenijczyka, ale w stawce był też Amerykanin, który w zeszłym roku poprawił rekord maratonu bostońskiego, bijąc go aż o pół minuty — Chavez pomyślał, że to musi być bardzo wiele w takim biegu, skoro komentator aż tak to podkreślił — i trzydziestoletni Holender, którego większość uważała za czarnego konia.

Trzy dychy na karku i jeszcze liczy się na olimpiadzie, pomyślał Chavez. Niezły.

— Dowódca do Tomlinsona.

— Tomlinson. U nas nic poza tym, że ta cholerna pompa strasznie hałasuje. Dam znać, gdyby coś się działo. Odbiór.

— Dobra, dowódca bez odbioru.

— I co teraz? — zapytał Mike Pierce.

— Czekamy. Siedzimy na dupie i czekamy.

— Tak jest, szefie — odparł Pierce. Każdy z nich umiał czekać, choć żaden z nich tego nie lubił.

— Boże — odparł Killgore. — Jesteś pewien?

— Chcesz tam pojechać i sam się przekonać? — zapytał rozgorączkowany Maclean.

Zresztą, pomyślał, i tak będą musieli pojechać po zwłoki, choćby po to, żeby je pogrzebać.

Dopiero teraz zrozumiał panujące na Zachodzie zwyczaje pogrzebowe. Widok nawet jeleniego truchła, rozrywanego przez ptaki, nie należał do przyjemnych, a co dopiero ludzkiego, i żadna miłość do natury nie miała tu nic do rzeczy.

— Mówisz, że został zastrzelony?

— Na to wygląda.

— Wspaniale, nie ma co — mruknął Killgore i podniósł słuchawkę.

— Bill? John Killgore. Spotkajmy się w głównym holu, zaraz. Mamy problem. Tak?

Dobrze. — Epidemiolog odłożył słuchawkę i wstał. — Idziemy.

Henriksen przybył do holu dwie minuty po nich i pojechali *Hummerem* na północ, do ciała. Znowu musieli odgonić sępy. Henriksen, były agent FBI, podszedł, żeby dokonać oględzin ciała. W życiu nie widział czegoś tak odrażającego, mimo długiego doświadczenia w pracy policyjnej.

— Miałeś rację, został zastrzelony — potwierdził słowa Macleana.

— Duży pocisk, w sam środek iksa — ciągnął, odnosząc się do białego krzyżyka, który wyznacza środek dziesiątki na policyjnych tarczach. Hunnicutt musiał się nieźle zdziwić, choć ptaki nie zostawiły tyle twarzy, żeby się można o tym przekonać. Mrówki już też się do niego zabrały. Cholera, liczył na to, że Hunnicutt pomoże mu w dozorowaniu ogrodzenia kompleksu po uruchomieniu Projektu. Ktoś zamordował jeden z filarów Projektu i to w samym środku jego najpilniej strzeżonego obiektu. Ale kto?

— Kto z nim jeszcze przebywał?

— Ten Rusek, Popow. Razem jeździliśmy konno — odparł Maclean.

— Hej, czekajcie — przypomniał sobie nagle Killgore. — To przecież ich konie stały dziś rano przed stajnią, Jeremiasz Fostera i Śmietanka, na której jeździł zwykle Popow. Oba były bez siodła i...

— Siodło i ogłowie leżą tam — wskazał Henriksen w trawę piętnaście metrów od miejsca, w którym stali. — Dobra, a więc ktoś zastrzelił Hunnicutta, a potem rozsiodłał jego konia... No tak, żeby nikt nie zwrócił uwagi na konia bez jeźdźca, za to z siodłem na grzbiecie.

Panowie, mamy do czynienia z morderstwem. Znajdźmy tego Popowa i to zaraz. Chyba muszę z nim pogadać. Kto go widział ostatnio i gdzie?

— Nie pojawił się na śniadaniu o zwykłej porze — powiedział Killgore. — Od tygodnia codziennie rano jedliśmy razem i urządzaliśmy sobie przejażdżki konne. Lubił to.

— Wszyscyśmy to lubili — potwierdził Maclean. — Myślę, że on...

— Nic na razie nie myśl. Dobra, trzeba zapakować ciało do *Hummera* i wracamy. John, możesz zrobić sekcję tego?

Hmm, „to”... Dostyc chłodne określenie jak na nieżyjącego kolegę, pomyślał Killgore, ale kiwnął głową.

— Ustalenie przyczyny śmierci nie będzie chyba zbyt trudne — zauważył.

— Łap za nogi — polecił mu Bill, klękając i unikając łapania za części, które sępy już napoczęły. Dwadzieścia minut później byli z powrotem. Henriksen pojechał na trzecie piętro i wszedł do pokoju Popowa, używając swojego uniwersalnego klucza. W środku nie było nikogo.

Gospodarz nie spał tej nocy w łóżku. A więc miał podejrzanego. Popow zabił zapewne Hunnicutta. Tylko po co? I gdzie teraz był ten pieprzony Rusek?

Sprawdzenie pozostałej części kompleksu zajęło im pół godziny. Rosjanina nigdzie nie było. To pasowało do układanki: jego konia przecież doktor Killgore znalazł rano przed stajnią.

No dobra, czyli Popow zabił Hunnicutta i uciekł. Dokąd? Pewnie przedostał się przez płot na autostradę i złapał okazję, a może poczekał na autobus. Lotnisko regionalne było niecałe czterdzieści kilometrów stąd, a stamtąd sukinsyn mógł polecieć choćby i do pieprzonej Australii.

Tylko po co?

— John — zapytał Killgore’a. — Co wiedział Popow?

— O co ci chodzi?

— Co on wiedział o Projekcie?

— Niewiele. Brightling przecież go nie wprowadzał we wszystko, prawda?

— Racja. Dobra, co w takim razie wiedział Hunnicutt?

— Cholera! Foster wiedział prawie o wszystkim.

— Dobra. Czyli zakładamy, że Popow i Hunnicutt poszli wieczorem pojeździć. A rano znajdujemy martwego Hunnicutta i ani śladu Popowa. Myślisz, że Hunnicutt mógł opowiedzieć Popowowi o Projekcie?

— Chyba tak — kiwnął głową Killgore.

— Czyli Popow dowiaduje się o wszystkim, zabiera rewolwer Fosterowi i go zabija, a potem wieje, tak?

— Chryste, myślisz, że on mógł...

— Tak, mógł. Cholera, człowieku, każdy z nas mógł.

— Ale on jest zaszczepiony szczepionką B! Sam mu ją dawałem!

— No cóż... — rozłożył ręce Henriksen. A teraz jest już może nawet w Aus... Kurwa mać! Wil Gearing ma właśnie dziś uruchomić Pierwszą Fazę Projektu! Jak mogłem o tym zapomnieć? Trzeba natychmiast zawiadomić Brightlinga!

Brightlingowie siedzieli w swoim penthausie na szczycie głównego budynku kompleksu, z widokiem na lotnisko, na którym stały cztery nowe firmowe odrzutowce dyspozycyjne *Gulfstream V*. Wieści, które przyniósł Henriksen, nie były pocieszające.

— Jak bardzo źle to wygląda?

— Potencjalnie bardzo źle, John — odparł Henriksen.

— Ile czasu zostało?

— Jakieś cztery godziny, może nawet mniej.

— Czy on o tym wie?

— To możliwe, ale pewności nie możemy mieć.

— Jak myślisz, do kogo mógł z tym pójść? — zapytała Carol Brightling.

— Nie mam pojęcia. CIA, może FBI. Popow to zawodowiec, doświadczony szpieg. Na jego miejscu

poszedłbym do rosyjskiej ambasady w Waszyngtonie i zawiadomił rezydenta KGB.

Jest ich człowiekiem, mogą mu uwierzyć, ale biurokracja i strefy czasowe działają na naszą korzyść. KGB nie jest w stanie zrobić czegokolwiek szybko, Carol. Wiele godzin upłynie, zanim przetrwają to, co im powie.

— To co mamy robić? Postępujemy zgodnie z planem? Bill kiwnął głową po chwili namysłu.

— Chyba tak. Zadzwoń do Wila Gearinga i potwierdź, że wszystko idzie według planu.

— A jemu możemy zaufać? — zapytała Carol Brightling.

— Myślę, że... Cholera, jestem pewien, że tak! Był z nami od lat. Jest jednym z twórców Projektu. Gdybyśmy mu nie mogli ufać, wszyscy byśmy już od dawna gnili w więzieniu.

Przecież wiedział o naszych próbach w Binghampton, a mimo to nikt nam nie przeszkadzał, prawda?

John Brightling poprawił się w fotelu.

— A więc mówisz, że możemy być spokojni?

— Tak — odparł Henriksen. — Nawet jeśli się wyda, jesteśmy kryci. W razie czego wydamy zapasy szczepionki B zamiast A i będziemy zbawcami świata. Nikt nie będzie mógł nas połączyć z tymi zaginięciami, chyba żeby ktoś pękł i zaczął sypać, ale nawet wtedy da się coś na to poradzić. Nie ma żadnego namacalnego dowodu na to, że zrobiliśmy cokolwiek złego, a w każdym razie żadnego dowodu, którego nie dałoby się zniszczyć w ciągu kilku minut.

Od dawna przygotowywali się na taką ewentualność. Wszystkie pojemniki zawierające kolonie wirusów Sziwa znajdowały się nie dalej niż dwie minuty spacerem od pieców do niszczenia odpadów zakażonych, zarówno tu, jak i w Binghampton. Ciała obiektów doświadczalnych spalono już dawno. Istnieli ludzie, którzy wiedzieli o całej operacji, ale żaden z nich nie będzie się wyrwał z takimi informacjami — przyznanie się równałoby się oskarżeniu o współudział w wielokrotnym morderstwie. Poza tym każdemu z nich wynajęli dobrego adwokata, który na pewno uchroniłby swojego klienta przed nabraniem się na sztuczki stosowane podczas przesłuchań. Na pewno nie byłby to dla nikogo przyjemny okres, ale potrafiliby sobie z tym poradzić.

— No dobrze — powiedział John Brightling, patrząc na żonę. Zbyt długo pracowali i zbyt wiele poświęcili, żeby teraz wycofać się w ostatniej chwili. Oboje przeżyli długą rozłąkę, poświęcili swoje szczęście rodzinne, czas, mnóstwo pracy i funduszy, by służyć naturze. Nie, teraz się nie wycofają. Nawet jeżeli Rosjanin wygada się, nie będzie już kiedy zatrzymać Projektu. Zresztą, komu miałby się wygadać i kto mu uwierzy? Popatrzył na żonę i oboje przenieśli wzrok na szefa bezpieczeństwa Projektu.

— Powiedz Gearingowi, żeby kontynuował realizację planu, Bill.

— W porządku, John — odparł Henriksen i wyszedł.

— Słucham cię, Bill — powiedział pułkownik Gearing. — Co się stało?

— Nic takiego. Realizuj plan. Potwierdź telefonicznie, że dostawa przebiegła zgodnie z ustaleniami.

— W porządku. Masz coś jeszcze dla mnie? Potem chciałbym się zająć realizacją swoich planów.

— Co to za plany?

— Zaraz po uroczystości lecę na parę dni na północ, ponurkować na Wielkiej Rafie Koralowej.

— Tak? To uważaj, żeby cię rekiny nie zjadły.

— Dobra, będę uważał! — roześmiał się Gearing i odłożył słuchawkę.

A więc to już przesądzone, pomyślał Bill. Mógł polegać na Gearingu. Wiedział o tym.

Zaangażował się w Projekt jako rodzaj pokuty po życiu spędzonym na truciū wszystkiego, co żywe. Szybko stał się jednym z jego filarów i wiedział wszystko o wszystkich. Gdyby sypał, nie zaszliby tak daleko. Mimo to, lepiej by było, żeby ten ruski skurwysyn nie uciekł. Ale co mógł na to teraz poradzić? Może by tak zameldować o zabójstwie Hunnicutta miejscowej policji i wskazać palcem Popowa jako podejrzanego? A czy to warto? Czym mogło ewentualnie grozić?

Popow mógł wygadać to, czego się dowiedział, o ile czegoś się dowiedział, a wtedy oni mogli powiedzieć, że to jakiś szaleniec, były agent KGB, którego wynajęli jako konsultanta w sprawach bezpieczeństwa, żeby skorzystać z jego wyszkolenia, ale okazał się człowiekiem niezrównoważonym, a teraz opowiada jakieś niestworzone historie, żeby się wykręcić od oskarżenia o morderstwo, którego dokonał na Środkowym Zachodzie. Boże święty, co on wam nawygadywał, ludzie? Że niby Horizon za jego pośrednictwem podzegała do aktów terroryzmu w Europie? Co za bzdury! Panowie, to miała być rozmowa serio, a wy sobie żarty stroicie?

Podziała? Powinno. Gdyby zadziałało, wyłączyłoby skurwiela z gry na dobre. Mógł sobie gadać do woli, ale jakie miał dowody? Żadnych.

Popow nalał sobie Stolicznej z butelki, którą mu kupili w sklepie na rogu agencji FBI. To była już piąta szklanka tego popołudnia. Szpieg zaczął popadać w serdeczny nastrój.

— To co, panie Clark? Czekamy.

— Ano, czekamy — zgodził się Tęcza Sześć.

— Chcesz o coś zapytać?

— Dlaczego zadzwoniłeś do mnie?

— Bo się już wcześniej spotkaliśmy.

— Gdzie?

— W Hereford, w budynku dowództwa twojej grupy. Dostałem się tam wraz z hydraulikiem, używając jednej z moich przykrywek.

— Zastanawiałem się, jak mogłeś mnie poznać z widzenia — powiedział Clark, kończąc piwo. — Niewielu ludzi z tamtej strony Kurtyny mogłoby tego dokonać.

— Nie masz ochoty mnie zabić?

Clark spojrział na swego rozmówcę.

— Miałem. Ale mimo wszystko wierzę, że pozostały w tobie jakieś skrupuły, skoro powiedziałeś o tym wszystkim. Jeżeli jednak skłamałeś, to szybko będziesz żałować, że cię nie zabiłem od razu.

— Żona i córka mają się dobrze?

— Tak. Mój wnuk też.

— Bardzo się cieszę — odparł Popow. — Organizowałem to z niesmakiem.

Wykonywałeś kiedyś robotę, do której czuleś odrazę, Clark?

— Kilka razy.

— A więc rozumiesz, co mam na myśli?

Ale nie w sposób, o którym myślisz, pomyślał Clark.

— Chyba tak, Dmitriju Arkadijewiczu.

— Jak mnie zidentyfikowaliście? Kto wam powiedział?

— Siergiej Nikołajewicz. To mój stary kumpel.

Odpowiedź była dla Popowa jak cios obuchem. Udało mu się zebrać wszystkie siły i nie paść trupem z wrażenia.

— Aha — wymamrotał. A więc jego własna Centrala go zdradziła? Czy to w ogóle możliwe? Nie, to musi być blef.

Clark jakby czytał w jego myślach.

— Masz — powiedział, podając mu plik papierów — sam sobie poczytaj. Wystawili ci całkiem niezłe referencje.

— Nie na tyle, żeby mnie nie wyrzucić — odparł, biorąc do ręki kopie dokumentów, których nigdy dotąd w życiu nie widział. Szok był już zbyt duży, by go nie było widać.

— Ależ ten świat zmienił się, co?

— Nie aż tak, jakbym miał nadzieję.

— Chciałbym cię o coś zapytać.

— Tak?

— Gdzie są pieniądze Grady'ego?

— W bezpiecznym miejscu, Clark. Wszyscy terroryści, których znałem, stali się teraz takimi samymi kapitalistami, jak ich wrogowie, ale ci akurat — dzięki twoim ludziom — nie będą więcej potrzebować tych pieniędzy.

— Ty chciwy draniu — powiedział Clark, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Maraton rozpoczął się dokładnie o czasie. Widzowie pozdrawiali biegaczy, którzy przebiegli jedno okrążenie po bieżni i zniknęli w wylocie prowadzącego na ulice Sydney tunelu, przez który powrócą na ten sam stadion za dwie godziny. Przez cały czas biegu olbrzymia tablica świetlna na stadionie wyświetlała obrazy z trasy i zmiany w klasyfikacji. Ten sam obraz transmitowała telewizja i pokazywały liczne telewizory wiszące wszędzie na stadionie. Biegaczy poprzedzały wozy transmisyjne, z których przekazywano prowadzącego stawkę Kenijczyka, Jomo Nyreire, któremu deptali po piętach Amerykanin, Edward Fulmer, i Holender, Willem Hoost. Czołowa trójka biegła w odstępie najwyżej dwóch kroków od siebie, mijając słupek wyznaczający dwa kilometry dobre dziesięć metrów przed resztą zawodników.

Wil Gearing, jak większość widzów, oglądał ten obraz na ekranie telewizora, pakując się w swoim pokoju hotelowym. Jutro wypożyczy sprzęt do nurkowania, obiecywał sobie emerytowany pułkownik i zafunduje sobie wycieczkę do najpiękniejszego miejsca do nurkowania, jakie można znaleźć na świecie, w dodatku ze świadomością, że już wkrótce skończy się zanieczyszczanie oceanów i nic już nie będzie mogło zagrozić temu cudownemu zakątkowi. Zapakował wszystkie swoje ubrania do dwóch walizek na kółkach i przestawił je pod drzwi. Będzie sobie nurkował, a nieświadomi nosiciele zarazy rozjadą się do swoich domów na całym świecie, nie wiedząc co ich czeka. Zastanawiał się, ile osób zginie w trakcie realizacji Fazy Pierwszej. Symulacje komputerowe przewidywały śmierć od sześciu do trzydziestu milionów ludzi, ale Gearing uważał, że to bardzo ostrożne szacunki. Zresztą, im więcej tym lepiej, bo ludzie z całego świata chętniej będą wtedy brali szczepionkę A, sami przyspieszając swą śmierć. To był gwóźdź programu — jeśli otrzymujący ją będą w badaniach medycznych wykazywać przeciwciała Sziwy, zawsze będzie można powiedzieć, że to dlatego, że A zawiera osłabione wirusy. Przecież wszyscy to wiedzą, nieprawdaż? Tyle że te wirusy nie będą aż tak osłabione, jak się wszystkim wydaje...

W Nowym Jorku Clark, Popow, Sullivan i Chatham siedzieli w lokalu operacyjnym i oglądali w telewizji transmisję z maratonu, jak miliony pozostałych Amerykanów. Nic innego nie mieli do roboty. Nudzili się, bo żaden z nich nie pasjonował się maratonem. Każde ujęcie biegnących było dla

nich bliźniaczo podobne do poprzednich.

— Jezu, bieganie w takim upale to musi być koszmar — mruknął Sullivan.

— No, przyjemność to raczej nie jest — zgodził się Clark.

— Biegł pan kiedy w czymś takim?

— Nie — pokręcił głową Clark. — Ale zdarzało mi się wiać z różnych miejsc, zwłaszcza w Wietnamie. Tam też było tak gorąco.

— Byłeś tam? — zapytał Popow.

— Półtora roku. Trzecia GOS, Grupa Operacji Specjalnych.

— I co robiłeś?

— Głównie patrzyłem i meldowałem. Czasem zdarzała się prawdziwa operacja, jakiś rajd, likwidacja, coś z tych rzeczy. — To było trzydzieści lat temu, zdał sobie nagle sprawę Clark. Trzydzieści lat. Całe pokolenie. Ten konflikt odebrał mu młodość, zimna wojna zabrała wiek średni. Co będzie robił teraz, na starość? Czy to, co mówił Popow, jest prawdą? Wydawało się tak nierealne, ale przecież półtora roku temu ktoś już próbował wywołać epidemię Ebola i tamto zagrożenie okazało się realne jak cholera. Pamiętał, jak latał wtedy po całym świecie, by mu zapobiec i pamiętał dzienniki telewizyjne, które wstrząsnęły posadami kraju. Pamiętał też straszliwy odwet, jaki wzięły za ten atak Stany Zjednoczone. Obraz tego, jak leżą z Dingiem Chavezem na płaskim dachu bloku w Teheranie i obsługują lasery, nakierowujące dwie

„inteligentne” bomby na siedzibę sprawcy, także żywo tkwił w jego pamięci. To było pierwsze wcielenie w życie nowej doktryny prezydenta. To wszystko było prawdziwe, realne, sam w tym brał udział. Ale jeżeli to, co mówi Popow o tym „Projekcie”, też jest prawdą, to co powinien zrobić jego kraj? Czy to sprawa wymiaru sprawiedliwości, czy bezpieczeństwa narodowego?

Postawić tych ludzi przed sądem? A jeśli nie, to co robić? Prawo nie przewidywało zbrodni tak potwornej, w tak wielkiej skali. Proces stanie się mieszanką cyrku i horroru, doniesienia z sali sądowej mogą zburzyć poczucie bezpieczeństwa całego świata. Boże święty, jedna firma mogłaby być zdolna do zrobienia czegoś takiego?

— Dmitrij, dlaczego oni zdecydowali się to zrobić?

— To są druidzi, Clark, czczący naturę jak boga. Mówią, że zwierzęta należą do naturalnego porządku, a ludzie nie. Mówią, że chcą przywrócić na Ziemi rządy natury i są gotowi w tym celu wymordować całą ludzkość. To szaleństwo, wiem, ale właśnie tak mi to uzasadniali.

W moim pokoju w Kansas miałem całą kolekcję kaset i pism, które propagowały te twierdzenia.

Nigdy nie sądziłem, że istnieją tacy ludzie. Mówią, że natura nas nienawidzi, planeta nas nienawidzi za to, cośmy jej zrobili. Przecież planeta nie zna uczuć, a natura nie ma głosu, którym mogłaby coś takiego wyrazić. A jednak oni w to wierzą. Zdumiewające. Wiecie, czułem się tam, jakbym trafił do jakiejś sekty szaleńców, których bóg wymaga ofiar z naszego życia, poświęcenia ludzkości, czy jak tam sobie to nazwali. — Rosjanin machnął ręką, wyrażając swoją niemożność ogarnięcia tego wszystkiego.

— Wiemy, jak wygląda ten cały Gearing? — zapytał Noonan.

— Nie — odparł Chavez. — Nikt nam go nie przedstawiał. Wilkerson pewnie go zna, ale nie mogę go zapytać.

— Chryste, Ding, czy to w ogóle może być prawda? — po raz kolejny zapytał agent FBI.

— Dowiemy się w ciągu najbliższych paru godzin, Tim. Wiem, że próba czegoś takiego już raz miała miejsce. Wiem, bo sam z Clarkiem pomagaliśmy kropnąć sukinsyna, który tego próbował. A jeśli chodzi o techniczny aspekt zagadnienia, musiałbym spytać Sandy. Ona jest mikrobiologiem, ja nie.

— Jezu — zakończył temat Noonan. Spojrzał na korytarzyk prowadzący do pompowni.

Każdy z nich trzech kupił sobie półlitrowy kubek Coca-Coli i siedział, wbijając wzrok w pomalowane na niebiesko drzwi. Ludzie czasem przechodzili obok, ale żaden nawet nie stanął przed nimi.

— Tim?

— Tak, Ding?

— Masz prawo aresztować kogoś w takiej sprawie?

— Chyba tak — pokiwał głową agent FBI. — Chodzi o usiłowanie dokonania morderstwa, a więc sprawa jest poważna, przestępstwo zostało przygotowane na terytorium Stanów Zjednoczonych, a podejrzanym jest obywatel amerykański. Nic nie powinno stać na przeszkodzie. I powiem ci coś jeszcze. Jeżeli uda nam się go stąd ściągnąć do Stanów, sąd federalny nie będzie dochodził, w jaki sposób podejrzanym znalazł się na terytorium kraju. Jeżeli znalazł się tam, to sprawa się toczy i sąd nie wnika, skąd się wziął w kraju.

— Tylko jak my go stąd zabierzemy? — zastanowił się Chavez, sięgając po telefon.

Clark podniósł słuchawkę *STU-4*. Przez pięć sekund telefony Dinga i jego dogadywały się, ustalając sekwencję szyfrowania, aż w końcu generowany komputerowo głos powiedział: —

Linia jest bezpieczna — po czym nastąpiły dwa piknięcia.

— John, tu Ding. Mam pytanie.

— Wal.

— Zwiniemy gościa i co dalej? Jak my z nim stąd się wydostaniemy?

— Dobre pytanie. Zajmę się tym.

— Dobra.

W słuchawce zapadła cisza. Logika podpowiadała Clarkowi Langley jako kolejne miejsce, w które należy zadzwonić, ale okazało się, że Foley nie ma w biurze. Rozmowę przełączono na jego numer domowy.

— John? Co się, do cholery, dzieje? — zapytał Foley zaspanym głosem.

Clark opowiedział mu pokrótce historię. Zajął mu to mniej więcej pięć minut.

— Kazałem Dingowi obstawić jedyne miejsce, w którym mogą tego dokonać i...

— Jezu Chryste, John, to wszystko dzieje się naprawdę? — głos Eda Foley'a był już całkiem trzeźwy, tyle że załamujący się z przerażenia.

— Będziemy wiedzieć dopiero wtedy, kiedy ten Gearing pojawi się na miejscu z puszką tego świństwa w ręku. I tu mam właśnie do ciebie pytanie. Jeśli się pojawi, jak możemy przetrzucić Dinga i jego ludzi z Gearingiem z powrotem do Stanów?

— Zajmę się tym. Skąd dzwonicz? — Clark podał mu numer, który Ed Foley zapisał na kartce. — Od jak dawna wiesz o tym wszystkim?

— Od dwóch godzin. Rosjanin siedzi koło mnie przy stole. To lokal operacyjny FBI w Nowym Jorku.

— Jesteś pewien, że Carol Brightling jest w to zamieszana?

— Co do niej pewności nie mam, ale jej mąż siedzi w tym po uszy.

Foley zamknął oczy i przez chwilę zbierał myśli.

— Wiesz, zadzwoniła kiedyś do mnie w sprawie twoich chłopaków i zadawała pytania.

To ona załatwiła dla was te nowe radiostacje z E-Systems. Mówiła ze mną, jakby była dopuszczona do wiadomości o Tęczy. Sporo wiedziała.

— Nie ma jej na mojej liście — odparł Clark. Osobiście opiniował każdego, komu powierzano wiadomość o istnieniu jego jednostki.

— Właśnie. Tym też się zajmę. Dobra, zadzwonię w parę miejsc i dam ci znać.

— Dzięki, cześć. — Clark odłożył słuchawkę. — Mamy w naszym zespole w Sydney jednego z waszych — powiedział do agentów FBI.

— Kogo? — zainteresował się Sullivan.

— Tim Noonan. Nazwisko coś ci mówi?

— Ten facet od technicznego wsparcia ZOZ?

Clark kiwnął głową.

— Ten sam.

— Słyszałem o nim. Podobno ma łeb jak ceber.

— Bo i ma. Uratował nam tyłek w Hereford. I prawdopodobnie życie mojej żonie i córce.

— No to możecie spokojnie aresztować Gearinga. Jeżeli on to zrobi, nikt się nie będzie mógł przyczepić, że to nielegalne.

— To dobrze, chociaż... Wiecie chłopaki, w naszej robocie nie przywiązujemy aż takiego znaczenia do tego, czy nasze poczynania są legalne. My jesteśmy od realizacji polityki, a nie wymiaru sprawiedliwości.

— No tak, u was w Firmie jest trochę inaczej, niż u nas, co? — uśmiechnął się Sullivan.

Filmy z Rondem mają jak widać duży wpływ nawet na ludzi, którzy wyglądają na porządných.

— Do pewnego stopnia.

Gearing wyszedł z hotelu niosąc na plecach maty plecak, jak większość ludzi wokół, i złapał taksówkę. Biegacze mieli jeszcze pół godziny drogi przed sobą. Przypatrywał się zatłoczonym chodnikom i tym wszystkim, którzy po nich szli. Australijczycy byli takimi uprzejmymi, gościnnymi ludźmi. Kraj, z tego co widział, też mu się całkiem podobał. Zastanowił

się, co będzie z Aborygenami. Co się z nimi stanie? A z Buszmenami z pustyni Kalahari? Żyli na tyle daleko od ośrodków cywilizacji, że mogą uniknąć zakażenia. No cóż, jeśli szczęście uśmiechnie się do nich, on nie będzie miał nic przeciwko temu. Tacy ludzie nie szkodzili naturze, a gdyby nawet, to będzie ich za mało, żeby wyrządzić poważne szkody, nawet gdyby chcieli. A przecież nie chcieli, żyli w zgodzie z naturą, czcili drzewa i pioruny jak część członków Projektu.

Czy mogli im zaszkodzić? Raczej nie. Buszmeni pewnie się rozprzestrzenia, skoro zabraknie plemion, które ich uciskały, ale ich zwyczaje plemienne nie pozwolą im się bardzo zmienić.

Zresztą pewnie nawet nie rozmnożą się za bardzo. To samo z Aborygenami w Australii. Zanim przybyli tu biali, nie było ich zbyt dużo, a przecież mieli całe tysiąclecia na zasiedlenie kontynentu. Projekt oszczędzi więc wielu ludzi. Pułkownik pocieszał się myślą, że Sziwa zabije tylko tych, których styl życia sprzeciwiał się naturze. To kryterium sprawiło, że mógł spokojnie wyglądać przez okno i to, co za nim widział, nie niepokoiło jego sumienia.

Taksówka zatrzymała się na postoju przed stadionem. Zapłacił za kurs z dużym napiwkiem i ruszył w kierunku betonowej misy stadionu. Porządkowym przy bramce pokazał

swój identyfikator i przepuścili go bez słowa. Kiedy napięcie z tym związane opadło, wrócił strach przed tym, co niósł na plecach. Będzie miał okazję sprawdzić skuteczność szczepionki B

w bardzo bezpośredni sposób, najpierw podłączając pojemnik do systemu zraszaczy, a potem przechodząc przez mgłę. Będzie wdychał nanokapsułki tak samo jak te ponad sto tysięcy turystów i jeżeli szczepionka nie zadziała, podzieli ich los. Ale wiedział o tym już od dawna i dawno się na to zdecydował.

— Ten Holender wygląda na twardziela — powiedział Noonan.

Willem Hoost wyszedł na prowadzenie i narzucił ostre tempo, wyraźnie biegnąc po rekord bez względu na pogodę. Upał dawał się we znaki wielu biegaczom. Zwalniali, pili napoje, niektórzy przebiegali przez strugi wody z fontann, choć komentator w telewizji mówił, że to powoduje tężenie mięśni w nogach i zamiast pomagać, w rzeczywistości bardzo źle wpływa na maratończyków. Mimo to szukali wszelkiej ulgi, jaką mogli znaleźć. Podawane im kubki wody z lodem część wypijała, większość wylewała na siebie.

— Masochiści — mruknął Chavez, spoglądając na zegarek. — Dowódca do Tomlinsona

— rzucił w mikrofon.

— Słucham, szefie.

— Idziemy cię zmienić.

— Rozumiem, szefie. Nie mamy nic przeciwko — odparł sierżant zza zamkniętych drzwi.

— Chodźcie. — Chavez machnął ręką na Noonana i Pierce'a. Mieli jakieś trzydzieści metrów do niebieskich drzwi. Ding obrócił klamkę i weszli do środka.

Tomlinson i Johnston kryli się w przeciwległym kącie pomieszczenia. Rozpoznając swoich, wyszli na środek.

— Trzymajcie się w pobliżu i miejcie oczy otwarte — powiedział Chavez.

— Tak jest — odpowiedział Johnston, wychodząc. Był spragniony i chciał się przede wszystkim czegoś napić. Wychodząc, zatkał uszy i wcisnął bębunki, jakby chciał wypchnąć z uszu hałas pompy.

Dźwięk pompy był naprawdę denerwujący, przyznał Chavez po kilku minutach. Nie był

może głośny, ale za to nieustający, takie głębokie przeciągłe dudnienie, jak dobrze izolowany akustycznie silnik samochodowy. Balansował na granicy świadomości, ale nie znikał, jak natrętna osa. I chyba właśnie to podobieństwo najbardziej go denerwowało.

— Po co nam to światło? — zapytał Noonan.

— Dobrze pytanie — pochwalił Chavez i sięgnął do przełącznika. W pomieszczeniu zapadła prawie zupełna ciemność, widać było tylko smugę światła spod stalowych drzwi ogniotrwałych.

Chavez wymacał drogę do przeciwległej ściany, zdołał dotrzeć tam nie rozbijając głowy i oparł się o ścianę, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

Gearing miał na sobie szorty i pionierki z niską cholewką, znad której wystawały krótkie skarpety. Wyglądało na to, że miejscowi uważali to za najlepszy strój na upały. Był wygodny, podobnie jak kapelusz z miękkim rondem i zwyczaj chodzenia z plecakiem. Podcienia stadionu wypełniały się widzami, którzy zawczasu przybyli na uroczystość zakończenia olimpiady. Wielu z nich stało pod zraszacami, szukając wytchnienia od panującego na zewnątrz upału. Tutejsi komentatorzy od prognoz pogody do znużenia tłumaczyli widzom, w jaki sposób obecna wersja El Niño wpływa na globalny klimat i powoduje falę upałów w ich kraju. I na dokładkę jeszcze za to widzów przepaszali. Zwłaszcza to go strasznie bawiło. Przepraszać za zjawisko naturalne? Co za niedorzeczność! Rozmyślał o tym, podążając do swojego celu, niebieskich drzwi, za którymi pulsowała pompa systemu zraszaczy, i minął Homera Johnstona, popijającego Coca-Colę przy automacie.

— A jeśli jest jakieś inne miejsce, którego może użyć? — zatrwożył się nagle Chavez.

— Nie ma — odparł Noonan. — Po drodze na stadion sprawdziłem schemat. Cała woda do systemu zraszaczy przechodzi tylko przez to pomieszczenie. Jeżeli ma do tego w ogóle dojść, to dojdzie tutaj.

— Jeżeli w ogóle dojdzie — powtórzył Chavez, z całych sił pragnąc, by tak się nie stało.

A wtedy pójdzie do Wilkersona, dowie się od niego, gdzie mieszka Gearing i wybierze się do niego na małą przyjacielską pogawędkę...

Gearing doszedł do korytarzyka prowadzącego do niebieskich drzwi i rozejrzał się, szukając ludzi z ochrony. Australijczyków z SAS łatwo było zauważyć, jeśli się wiedziało, jak się ubierają. Nie zauważył nikogo z nich, choć w oddali dostrzegł patrol umundurowanej policji miejskiej z Sydney. Gearing zatrzymał się niespełna piętnaście metrów od niebieskich drzwi.

Czuł napięcie, jak zwykle przed wykonaniem zadania, zwłaszcza tak ważnego. Miał zrobić coś, od czego już nie będzie odwrotu. Tysięczny raz zapytał sam siebie, czy na pewno chce tego dokonać. Otaczali go bliźni, ludzie tacy jak on, którzy mieli nadzieje, plany, aspiracje, marzenia.

No i co z tego, skoro to nie były te same marzenia, plany i aspiracje, które były obecne w jego umyśle? Oni nie rozumieli tego, co rozumiał on, nie wiedzieli, co było ważne, a co nie. Nie widzieli Matki Natury w całej jej krasie, żyli tylko dla siebie, szkodząc Jej, a nawet grożąc unicestwieniem w imię własnych, małych interesów. Jeździli samochodami, które wypluwały do atmosfery tony tlenku węgla, używali chemikaliów, które przenikały do wód gruntowych, sprejów, które niszczyły warstwę ozonową, pestycydów, które truiły ptaki i odbierały im płodność. Zabijali naturę na wiele sposobów, właściwie każdą czynnością, którą wykonywali.

Nawet nie próbowali poznać konsekwencji swojego działania. Nie, zdecydowanie nie mieli prawa dalej tak żyć. Jego zadaniem było uchronić naturę od ich dalszej niszczycielskiej egzystencji, usunąć przekleństwo wiszące nad planetą, uratować ją i pozwolić jej się odrodzić.

Musiał to zrobić.

Wil Gearing zdecydował się ostatecznie i ruszył ponownie w kierunku niebieskich drzwi.

Podszedł do nich, sięgnął do kieszeni, wyłowił z niej klucz i włożył go w dziurkę w klamce.

— Dowódcu, tu Johston, macie towarzystwo! Biały, szorty khaki, czerwona koszulka polo i plecak na grzbiecie — głos Homera zabrzmiał głośno w słuchawkach. Wraz z Tomlinsonem odstawili kubki i ruszyli w kierunku niebieskich drzwi.

— Uwaga — powiedział cicho w ciemności Chavez. W smudze światła spod drzwi pojawiły się dwie ciemne przerwy. Rozległ się zgrzyt klucza wsuwanego w zamek, potem samego zamka i do poziomej smugi światła dołączyła druga, pionowa. Drzwi powoli otworzyły się i pojawiła się w nich sylwetka człowieka. Chavez nagle zdał sobie sprawę, kto to jest i co to oznacza. A więc to jednak było naprawdę.

Światło ukazało sylwetkę intruza. Pod pięćdziesiątkę, krótko obcięte szpakowate włosy.

Facet wiedział, po co tu przybył i co zamierzał zrobić. Z miejsca sięgnął po klucz wiszący na ścianie, zdjął plecak i odpiął dwa paski zamykające klapę. Widok był tak oderwany od rzeczywistości, że Chavezowi wydawało się, że ogląda jakiś film. Facet sięgnął do przełącznika i wyłączył pompę. Dudnienie urwało się jak nożem uciął. Zamknął zawór i założył klucz na pojemnik z chlorem...

— Starczy tego, kolego — powiedział Chavez, wychodząc z kryjówki.

— Kim jesteś? — zapytał zaskoczony intruz. Jego mina wyraźnie pokazywała, że złapali go na czymś, czego nie powinien robić.

— Mógłbym zapytać o to samo, ale już wiem. Nazywa się pan Wil Gearing. Co pan zamierzał zrobić, panie Gearing?

— Ja... Mmuszę zmienić po... pojemnik z chlorem w systemie zraaszaczy — wyjąkał

Gearing. Skąd ten cholerny Latynos zna jego nazwisko? Skąd się tu wziął? Czy on też należy do

Projektu? A jeżeli nie, to co się stało? Czuł się, jakby go ktoś wyrzwał pięścią w żołądek i całe ciało zwijało się od tego ciosu.

— Tak? No to zobaczmy, panie Gearing. Tim? — Chavez wskazał Noonanowi plecak.

Sierżant Pierce stał z boku, ubezpieczając ich z ręką na chwycie pistoletu i oczyma utkwionymi w Gearinga.

— Wygląda na oryginalny — powiedział Noonan. Jeżeli to podróbka, to w każdym razie doskonała. Przez chwilę czuł pokusę, żeby odkręcić pokrywkę, ale wiedział doskonale, dlaczego nie był to najlepszy pomysł. Chavez wziął klucz i odkręcił pojemnik z chlorem, uważając, by nie wejść Pierce'owi na linię strzału.

— Po co go zmieniać, kolego? Jest jeszcze do połowy pełny. Nie czas go zmieniać, w każdym razie nie na Sziwę. Tim, ostrożnie z tym pojemnikiem.

— Mowa — odparł Noonan, chowając pojemnik z powrotem do plecaka Gearinga i zapinając paski klapy. — Trzeba to oddać do analizy. Panie Gearing, jest pan aresztowany. Ma pan prawo zachować milczenie. Ma pan prawo do przesłuchania w obecności adwokata. Jeżeli nie stać pana na adwokata, ma pan prawo do obrońcy z urzędu. Wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu w czasie procesu karnego. Czy rozumie pan przysługujące panu prawa?

Gearing był roztrzęsiony. Spojrzał na drzwi i zastanowił się, czy dałby radę...

Nie dałby. Właśnie w tej chwili drzwi się otworzyły i do środka weszli Tomlinson i Johnston.

— Macie go? — zapytał Homer.

— Tak — odparł Ding. Wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do Ameryki. Znowu chwila minęła, zanim systemy szyfrujące telefonów porozumiały się i mógł odbyć rozmowę.

— Mamy go — poinformował Tęczę Sześć. — I mamy ten pojemnik, czy jak to się tam nazywa. Jak się z tym stąd wydostaniemy do domu?

— W Alice Springs czeka na was *C-17* Sił Powietrznych.

— Dobra, John, zobaczę, czy uda nam się tam stąd dolecieć. Zadzwonię później. — Ding złożył telefon i spojrzał na aresztanta. — No dobra, kolego, jedziesz z nami. Jeśli spróbujesz czegoś głupiego, sierżant Pierce odstrzeli ci łeb. Zgadza się, Mike?

— Tak jest, panie majorze. Rozwalę mu łeb jak cholera — głos Pierce'a był tak grobowy, że nawet jego kolegów przeszedł dreszcz.

Noonan otworzył zawór i włączył pompę. Wyszli do korytarza, stamtąd do podcieni stadionu i na postój taksówek. Wzięli dwie i zamówili jazdę na lotnisko. Tam półtorej godziny czekali na *Boeinga* 737 do Alice Springs. Lot trwał kolejne dwie godziny.

Alice Springs leży w samym środku kontynentu australijskiego, u stóp pasma górskiego MacDonnell. To trochę dziwne miejsce jak na ośrodek najnowocześniejszej technologii, ale właśnie tam umieszczone są olbrzymie anteny paraboliczne, które odbierają informacje wysyłane z orbity przez amerykańskie satelity rozpoznania fotograficznego i elektronicznego oraz łączności wojskowej. Ośrodkiem kieruje Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, mieszcząca się w Forcie Meade w stanie Maryland, w połowie drogi między Waszyngtonem a Baltimore.

Samolot australijskich linii lotniczych Qantas był prawie pusty. Po wylądowaniu furgonetka zawiozła ich do terminalu Sił Powietrznych, który w otaczającym ich upale, dochodzącym po południu do 40 stopni w cieniu, okazał się zadziwiająco wygodny.

— Pan jest Chavez? — upewnił się sierżant, kierujący poczekalnią dla VIP-ów.

— Zgadza się. Kiedy odlatuje samolot?

— Czekają tylko na was. Proszę za mną, sir.

Wyszli z drugiej strony terminalu, wsiedli do kolejnej furgonetki, która zawiozła ich prosto do lewych przednich drzwi samolotu. Tam kolejny sierżant, ubrany w lotniczy kombinezon, zaprosił ich gestem do środka.

— Dokąd lecimy, sierżancie? — zapytał Chavez, mijając go.

— Hickam na Hawajach, panie majorze, a potem Travis w Kalifornii.

— Może być. Proszę powiedzieć szoferowi, że może ruszać.

— Tak jest, panie majorze — zaśmiał się sierżant, zamykając za nim drzwi i ruszył do kabiny pilotów.

Olbrzymi samolot transportowy wyglądał jak latająca jaskinia. Wewnątrz nie było nikogo poza nimi. Gearing nadal nie został skuty, czym Ding był trochę rozczarowany, ale pod czujnym okiem Noonana zachowywał się grzecznie.

— To co, panie Gearing, chce pan nam coś powiedzieć o tym wszystkim? — zapytał agent FBI.

— A co będę z tego miał?

To pytanie było oznaką słabości, czymś, na co Noonan czekał i na co miał nadzieję.

Sposób jego sformułowania ułatwił odpowiedź:

— Życie, przy odrobinie szczęścia.

Rozwiązanie

Tego było po prostu za dużo dla Wila Gearinga. Nikt mu nie powiedział, co ma robić w takiej sytuacji. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, że tajemnica okrywająca Projekt może zostać złamana. Jego rola się wydała. Jak mogło do tego dojść? I co miał teraz robić? Mógł pójść na współpracę albo nie. Zawartość pojemnika i tak zostanie sprawdzona, zapewne w Instytucie Badań Medycznych Armii Stanów Zjednoczonych w Fort Detrick w stanie Maryland.

Rozpoznanie zawartości tego, co wniósł na stadion olimpijski, zajmie ekspertom parę sekund.

Nie wytłumaczy się z tego, nie ma mowy. Jego życie, plany na przyszłość, wszystko przepadło.

Pozostało mu współpracować i mieć nadzieję.

Kiedy więc samolot transportowy *C-17A Globemaster III* wzbijał się w powietrze i nabierał wysokości, Gearing zaczął mówić. Noonan nagrywał każde jego słowo na dyktafon, który trzymał w ręku pomiędzy nimi i miał nadzieję, że cokolwiek z tego, co mówił więzień, przebije się przez ryk silników. Najtrudniej jednak było mu zachować kamienną twarz w miarę tego, czego się dowiadywał. Słyszał o ekstremistycznych grupach ekologicznych, o ludziach, którzy porównywali polowania na małe foczki w Kanadzie do Oświęcimia i Treblinki. Wiedział

też, że Biuro prowadziło dochodzenia w sprawie włamań do laboratoriów medycznych i uwalniania zwierząt doświadczalnych, czy wbijania prętów ze stali utwardzonej w drzewa, by w ten sposób doprowadzić do uszkodzeń w tartakach, ale nigdy nie słyszał o planach bardziej radykalnych akcji. To, o czym opowiadał Gearing, było zbrodnią, która musiała zmusić opinię publiczną do ponownego zdefiniowania pojęcia „potworność”. I ten religijny ferwor, który towarzyszył temu. To wszystko było tak obce Noonanowi, że miał trudności z uwierzeniem.

Wręcz miał nadzieję, że badania wykażą, że pojemnik zawierał jedynie chlor, a to wszystko, co usłyszał, było rojeniem szaleńca. Ale przecież wiedział, że tak nie jest. Pojemnik i plecak zostały zamknięte i zaplombowane w plastikowym pojemniku, starannie przypiętym pasami do fotela obok sierżanta Pierce’a.

— Nie zadzwonił jeszcze — powiedział John Brightling, spoglądając na zegarek. Trwała uroczystość zakończenia olimpiady. Przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego wchodził właśnie na trybunę, żeby wygłosić przemówienie i zaprosić młodzież całego świata na kolejne igrzyska za cztery lata. Potem zagra orkiestra i olimpijski znicz zgaśnie

— podobnie jak przeważająca część ludzkości. Było w tym pożegnaniu coś smutnego, ale było to niezbędne. Nie będzie już więcej olimpiad i młodzież całego świata, a w każdym razie to, co z niej

zostanie, będzie miała na głowie poważniejsze zmartwienia niż olimpiada.

— Pewnie też ogląda uroczystość. Poczekajmy jeszcze trochę — uspokajał Henriksen.

— Skoro tak mówisz... — Objął ramieniem żonę i próbował się odprężyć. Ludzie na stadionie zostali spryskani nanokapsułkami Sziwy. Bill miał rację. Nic nie mogło pójść źle.

Widział to oczyma duszy. Puste ulice i autostrady, opustoszałe farmy, martwe porty lotnicze.

Lasy odradzające się, pełne zwierzyny, zastanawiającej się pewnie, gdzie się podziały hałasy i te śmieszne, dwunożne stwory. Szczury i inne ścierwojady będą miały ucztę. Psy i koty na nowo zdziczeją i albo przeżyją, albo nie, zależy jak się sprawy ułożą. Zwierzęta roślinożerne i drapieżniki uwolnią się raz na zawsze od obawy przed polowaniem. Trujące pułapki, zaśmiecające teraz całą Ziemię, będą jeszcze zabijać przez jakiś czas, ale gdy zabraknie farmerów, wyczerpią się i przestaną stanowić zagrożenie dla zwierząt. Nie będzie już więcej rzezi foczych osesków, obdzieranych z ślicznych białych futerek. W tym roku Ziemia się odrodzi. To odrodzenie wymagało popełnienia tego aktu przemocy, ale nawet wtedy ludzie, potrafiący docenić znaczenie ich dzieła, zgodzą się, że to było konieczne i opłaciło się. Dla Brightlinga i jego współpracowników to było jak religia. Czcili naturę jako wielki kolektywny przejaw życia. Walczyli za Nią, bo wiedzieli, że ich kocha i żywi. Natura stworzyła ich i wszystko to, co kochali. Była wielką ideą raczej, niż konkretną osobą, a przecież nie byli pierwszymi w historii ludźmi gotowymi oddać swe życie za ideę, prawda?

— Daleko do Hickam?

— Dziesięć godzin, według tego, co mówił sierżant — powiedział Pierce, spoglądając na zegarek.
— Cholera, czuję się zupełnie jak w Osiemdziesiątej Drugiej za młodu, Tim! Tylko mi jeszcze spadochronu brakuje — uśmiechnął się Mike.

— W czym? — zdziwił się Noonan.

— W 82. Dywizji Powietrznodesantowej w Forcie Bragg. Mój pierwszy przydział, całe wieki temu — wyjaśnił. Ech, brakowało mu skakania ze spadochronem. W operacjach specjalnych raczej się tego nie robiło. Przerzut śmigłowcem był bardziej zorganizowany i na pewno bezpieczniejszy, ale nie dawał takiego kopa adrenaliny, jak skok z samolotu w przepaść bez dna z całą bandą kumpli. — No i co myślisz o tym, co zamierzał nasz przyjaciel? — zapytał, wskazując na Gearinga.

— Trudno uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

— Racja — kiwnął głową Pierce. — Chciałbym wierzyć, że nikt nie jest na tyle szalony, żeby próbować czegoś takiego. Człowieku, mózg się od tego lasuje!

— Tak — zgodził się Noonan. — Mnie też. — Wymacał w kieszeni dyktafon i zastanowił się raz jeszcze nad tym, jakie informacje zawierała taśma. Czy to przesłuchanie było legalne? Przedstawił sukinsynowi jego prawa i Gearing potwierdził, że je rozumie, ale każdy adwokat z połową mózgu mógł to wywrócić do góry nogami. Wystarczyło przypomnieć, że przesłuchanie miało miejsce na pokładzie wojskowego samolotu pełnego uzbrojonych ludzi, a to nie są sprzyjające okoliczności do

podejmowania dobrowolnych decyzji. Sędzia mógł się z nim zgodzić. Mógł też przyznać mu rację, że aresztowanie było nielegalne. Noonan wygonił te natrętne myśli z głowy. W tej chwili najważniejszy był skutek tego aresztowania. Jeżeli Gearing nie zmyślał, to uratowali w ten sposób życie milionom ludzi. Wstał z fotela i ruszył do kabiny radiowej. Tam włączył się w sieć bezpiecznej łączności i zamówił połączenie z Nowym Jorkiem.

Clark spał, kiedy zadzwonił telefon.

— Tak? — rzucił w słuchawkę, po którą sięgnął na wpół jeszcze śpiąc. Po chwili rozbudził się na tyle, by doszło do niego, że układ szyfrowy jego telefonu jeszcze porozumiewa się z tym na drugim końcu połączenia i na razie nie przekazuje głosu w żadnym kierunku. W

końcu doczekał się na dwa piknięcia, oznaczające, że połączenie zostało dokonane.

— Co jest, Ding? — zapytał.

— Tu Tim Noonan, John. Mam pytanie.

— O co chodzi?

— Co zrobisz, jak przylecimy? Mam zeznanie Gearinga na taśmie, potwierdził wszystko to, co powiedziałaś Dingowi parę godzin temu, słowo w słowo. Tylko co my teraz z tym zrobimy?

— Jeszcze nie wiem, Tim. Pewnie będę musiał o tym pomówić z dyrektorem Murrayem i Edem Foleyem z CIA. Nie mam pojęcia, czy prawo przewidziało w ogóle coś na taką skalę.

Zresztą nie wiem, czy leży w naszym interesie, żeby ta cała sprawa wyszła na światło dzienne, rozumiesz?

— Też o tym pomyślałem — zgodził się Noonan. — Dobra, czyli nie tylko ja się tym przejmuję. No i fajnie.

— Zajmiemy się tym na pewno, Tim. Coś jeszcze?

— Chyba nie.

— Dobra. To idę spać dalej.

W słuchawce zapadła cisza. Noonan wrócił na swoje miejsce. Chavez i Tomlinson pilnowali Gearinga, podczas gdy reszta próbowała spać w mało wygodnych plastikowych fotelikach i w ten sposób spędzić czas długiego, nudnego przelotu. Próbował się do nich przyłączyć, ale po godzinie okazało się, że sny nie są wcale tak nudne jak ten przelot. Z dwojga złego wolał się już ponudzić...

— Wciąż nie dzwoni — powiedział Brightling, kiedy telewizja przypominała migawki z najważniejszych wydarzeń zakończonej olimpiady.

— Wiem — zgodził się Henriksen. — Dobra, zadzwonimy do niego.

— Wstał z fotela, podszedł do telefonu, wyjął z portfela kartkę i wybrał numer telefonu komórkowego szefa ekipy Global Security w Sydney.

— Tony? Tu Bill Henriksen. Możesz coś dla mnie zrobić? Dobra. Znajdź Wila Gearinga i każ mu zaraz do mnie zadzwonić. On zna numer. Tak, tak, właśnie ten. Możesz się tym zająć zaraz? Dzięki, Tony. Cześć.

Odłożył słuchawkę.

— To nie powinno trwać długo — odezwał się do Brightlingów. — Nie ma zbyt wiele miejsc, w których może być, chyba że już pojechał na lotnisko, by stamtąd polecieć na tę swoją wycieczkę nad morze. Odpręż się, John — poradził Brightlingowi. Sam był jeszcze całkiem spokojny. Może Gearingowi padła bateria w komórce, może utkwiał w tłumie wychodzących ze stadionu i nie mógł się przebić na ulicę, do taksówki i hotelu, może na postoju zabrakło taksówek

— istniało mnóstwo całkowicie prozaicznych wytłumaczeń tego opóźnienia.

Tony Johnson przeszedł przez ulicę i wszedł do hotelu, w którym mieszkała ekipa Global Security. Wiedział, w którym pokoju mieszka Gearing, był już kiedyś u niego, więc wszedł do odpowiedniej windy i bez trudu odszukał pokój. Otwarcie zamka było dla eksperta dziecinną igraszką — wystarczyło wetknąć kartę kredytową między drzwi i framugę, a potem podważyć sprężynowy zatrzask i już był w środku.

Bagaze Gearinga były na swoim miejscu, stały pod rozsuwanymi lustrzanymi drzwiami szafy, a na stole leżały bilety lotnicze na północno-wschodnie wybrzeże Australii, mapy i foldery, wysławiające zalety Wielkiej Rafy Koralowej. Dziwne. Samolot, na który były bilety, startował za dwadzieścia minut, więc Wil powinien już być na jego pokładzie, razem z bagażami, które tu leżały. Bardzo dziwne. Gdzie ty się podział, Wil? Pomyślał nad tym chwilę, wreszcie przypomniał sobie, w jakim celu tu przyszedł. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

— Cześć, Tony. No i gdzie nasza zguba? — zapytał wesoło Henriksen. Wesołość szybko go opuściła. — Jak to? Co jeszcze wiesz? Dobra, jeśli dowiesz się czegokolwiek, zaraz dzwoń.

Cześć.

Henriksen odłożył słuchawkę i odwrócił się do pozostałych.

— Gearing zniknął. Nie ma go w pokoju, ale zostały jego rzeczy i bilety lotnicze. Po prostu się rozpułnął.

— Co to może znaczyć? — zapytała Carol Brightling.

— Nie jestem pewien. Mógł go potrącić samochód na ulicy...

— A równie dobrze Popow mógł sypanąć i go zgarneć — uciał John Brightling, cokolwiek nerwowo.

— Popow nawet nie znał jego nazwiska. Tego Hunnicutt nie mógł mu powiedzieć, bo on też go nie znał — odparł Bill. I wtedy przysłała mu do głowy inna myśl. O cholera, ale Hunnicutt wiedział, co mają zrobić z Sziwą! O jasna cholera!

— Co się stało, Bill? — zapytał Brightling, widząc nagłą zmianę na twarzy Henriksena.

Wiedział już, że to coś niedobrego.

— John, mamy problem — oznajmił były agent FBI.

— Jaki? — zapytała Carol.

Henriksen wyjaśnił, powodując nagłą zmianę nastroju w pokoju.

— A więc mogą wiedzieć?

— Nie możemy tego wykluczyć — zgodził się Henriksen.

— O Boże! — wykrzyknęła prezydencka doradczyni do sprawa naukowych. — Jeżeli to wiedzą, to...

— Zgadza się — kiwnął głową Bill. — To mamy przesrane.

— I co teraz?

— Myślę, że na początek powinniśmy zniszczyć dowody. Cały zapas Sziwy, wszystkie szczepionki, dokumentację. Ta ostatnia jest tylko na dyskach komputerów, więc wystarczy je wymazać. Tym możemy się zająć stąd. Na papierze nie zostawiliśmy prawie żadnych śladów, bo ze względów bezpieczeństwa kazaliśmy ludziom posługiwać się tylko komputerami, nie drukować i niszczyć wszelkie notatki zaraz po wprowadzeniu ich do komputera. Z mojego komputera możemy się dostać do wszystkich pozostałych i wymazać zawartość ich dysków...

— Ale przecież one były szyfrowane — przerwał Brightling.

— Chcesz sprawdzać umiejętności fachowców z Fort Meade? Ja nie mam zamiaru —

odparł Henriksen. — Nie, John, te wszystkie dane muszą zostać wymazane. Słuchaj, postępowanie karne można sabotować tylko pozbawiając prokuratora dowodów. Bez dowodów prokurator może ci soli na ogon nasypać.

— A co ze świadkami?

— Wartość zeznań świadków to najbardziej przeceniana rzecz na świecie, John. Każdy adwokat, nawet półgłówki i kompletny żółtodziób, potrafi ich zapędzić w kozi róg. Kiedy pracowałem w Biurze, chciałem mieć coś, co mogę wziąć do ręki i położyć na stole w sądzie, żeby przysięgli mogli sobie na to popatrzeć i zastanowić się nad werdyktem. Zeznania świadków, wbrew temu, co

pokazują w telewizji, w sądzie są prawie bezużyteczne. Dobra, idę do siebie zrobić porządek z tymi komputerami — zakończył Henriksen i wyszedł, nie czekając na kontynuację dyskusji.

— Mój Boże, John! — Carol była poruszona. — Jeśli ludzie się dowiedzą... Oni tego nie rozumieją!

— A co mieliby zrozumieć? Że właśnie próbowaliśmy ich pozabijać z całymi rodzinami?

Nie — zgodził się sarkastycznie Brightling — ani John Sześciopak ani Archie Beton tego nie rozumieją.

— No to co my zrobimy?

— Wyniesiemy się z kraju. Polecimy do Brazylii ze wszystkimi, którzy wiedzą o całości Projektu. Nadal mamy pieniądze. Są na wielu kontach, do których mamy dostęp drogą elektroniczną. Jeśli Bill zniszczy dyski, a my wirusy, nie będą mogli wytoczyć sprawy karnej przeciw nam. Mają Gearinga, ale to tylko jeden głos. Nie mogą nas ściagać poza granicami kraju na podstawie zeznań jednego człowieka. O wszystkim wiedziało jakieś pięćdziesiąt osób i mamy akurat tyle miejsc w samolotach, żeby dla wszystkich starczyło. Polecimy do Manaus.

Henriksen uruchomił swój komputer i ściągnął na ekran szyfrowany plik. Zawierał on numery telefonów i hasła dostępu do wszystkich komputerów firmy Horizon oraz spis tytułów plików dotyczących Projektu. Po kolei łączył się z komputerami za pomocą modemu, szukał

plików z listy, zaświetlał je i kasował, przepuszczając przez program, który naprawdę wymazywał je z dysku, a nie tylko kasował ich adresy. Całość zajęła mu trzydzieści dziewięć minut i zdążył się spocić, ale był pewien, że w komputerach nie pozostało nic kompromitującego.

Raz jeszcze otworzył listę i raz jeszcze uruchomił funkcję przeszukiwania, sprawdzając, czy gdzieś nie pozostał jakiś przeoczony plik. Nic. Wszystkie pliki z listy zniknęły. Doskonale.

No dobra, co jeszcze mogli mieć? Mają Gearinga i jego pojemnik z Sziwą. Trudno było podważyć coś takiego, ale na dobrą sprawę czego to dowodziło? Niczego, poza tym, że Wil Gearing nosił przy sobie potencjalną broń biologiczną. Mógł im powiedzieć, że dostał to z Horizon, ale nikt z pracujących przy Projekcie nigdy nie przyzna się, że mu coś takiego dał, więc tego też nie będą w stanie potwierdzić.

Z jego obliczeń wynikało, że w obu firmach, w Horizon i Global Security, całość Projektu znało 53 osoby. Prace nad szczepionkami A i B można wytłumaczyć badaniami medycznymi.

Wirus oraz zapasy szczepionki zostaną spalone i w ciągu paru godzin nie pozostanie żaden fizyczny dowód ich istnienia.

I wystarczy — a przynajmniej powinno wystarczyć. Tamci nadal mieli Gearinga, a jeśli Gearing zacznie gadać... Zacznie, orzekł Bill. Biuro zawsze umiało wydobywać informacje od ludzi. A więc, nie „jeśli”, tylko „kiedy” Gearing zacznie gadać, życie dla Brightlinga i wielu innych ludzi, jego samego nie wyłączając, stanie się ciężkie. Wyroku mogą uniknąć, ale proces będzie wystarczającą kompromitacją. Różne rzeczy mogą wyjść na jaw, jakieś uwagi ludzi Projektu wypowiedziane do

innych mogą się zacząć zazębiać... No i zostaje jeszcze Popow, który mógł powiązać Brightlinga z aktami terroryzmu. Temu mogli zapobiec oskarżając z kolei Popowa o zamordowanie Hunnicutta, co powinno zdyskredytować jego oskarżenia. Ale najlepiej znaleźć się poza zasięgiem ich rąk w momencie, kiedy będą próbowali rozwiązywać tę sprawę.

To zaś oznaczało Brazylię, zapasową kwaterę Projektu w dżungli na zachód od Manaus. Mogli tam polecieć i, korzystając z ochrony wspinających praw dotyczących ekstradycji, które panowały w tym kraju, zająć się badaniami nad fauną i florą dżungli. Tak, to się mogło udać.

Zestawił listę ludzi, którzy wiedzieli wszystko o Projekcie, ludzi, którzy w razie złapania przez FBI mogli ich pogrążyć. Wydrukował ją i wsadził kartkę w kieszonkę koszuli. Wyszedł z pokoju i ruszył do penthausu Brightlingów.

— Kazałem załogom szykować się do lotu — oznajmił Brightling, kiedy Bill stanął w drzwiach.

— Dobrze — kiwnął głową Henriksen. — Myślę, że Brazylia powinna być w porządku.

W razie czego przynajmniej zdążymy zebrać tam wszystkich ludzi przygotowujących Projekt i powiedzieć im, jak mają pokierować sprawami, jak odpowiadać na pytania i czego się spodziewać. Możemy się z tego wywinąć, John, ale tylko pod warunkiem, że będziemy to rozgrywać z głową.

— A co z planetą? — zapytała smutnym głosem Carol.

— Wiesz co, Carol, zajmij się na początek własnym tyłkiem. Nie uratujesz natury z celi w więzieniu Marion, ale jeżeli rozegramy to z głową, możemy nie dać żadnych dowodów prowadzącym śledztwo, a wtedy tam nie trafimy. Dobra — uciął temat i wyjął z kieszeni listę —

tu są nazwiska ludzi, których musimy chronić. Jest ich pięćdziesięciu trzech, akurat tylu, żeby się zmieścili w tych czterech *Gulfstreamach*, które stoją na pasie. Polecimy wszyscy do Brazylii.

Czy ktoś się sprzeciwia?

John Brightling pokręcił głową.

— Nie, sam doszedłem do tego samego wniosku. Czy to pozwoli nam się trzymać z dala od tego wszystkiego?

Henriksen z entuzjazmem pokiwał głową.

— Tak myślę. Popow może stanowić problem, ale to morderca. Mam zamiar przed odlotem powiadomić lokalną policję, że zamordował Hunnicutta. To powinno raz na zawsze skompromitować go jako świadka. Zawsze będzie można powiedzieć, że opowiada głupstwa, żeby wywinąć się od stryczka, czy czego tam się używa w Kansas do egzekucji. Maclean i Killgore nagrają zeznania, które prześlemy policji. To może nie wystarczyć do skazania go, ale na pewno sprawi mu sporo kłopotów. I tak właśnie trzeba to załatwiać, rozbijając prowadzącemu śledztwo kolejne ogniwa łańcucha dowodów i podważać wiarygodność świadków. Za rok, półtora, wyślemy adwokatów, żeby porozmawiali z lokalnymi prokuratorami i będziemy mogli wrócić do kraju. A do tego czasu

— Będziemy siedzieć w Brazylii. Przecież możesz stamtąd kierować firmą przez Internet, prawda?

— No cóż, nie to planowaliśmy, ale...

— Tak — zgodziła się Carol. — Ale to lepsze niż dożywotnie więzienie.

— A więc dobrze, Bill, uruchamiaj co trzeba — zarządził John.

— To co z tym wszystkim robimy? — zapytał Clark, kiedy się obudził.

— No cóż — odparł Sullivan — najpierw pójdziemy do zastępcy dyrektora odpowiedzialnego za nowojorskie biuro terenowe, a potem do prokuratora okręgowego i rozpoczniemy oficjalne śledztwo w tej sprawie.

— To bez sensu. — Clark potarł powieki i sięgnął po kawę.

— Nie możemy przecież tak po prostu pójść do nich i dać po łbie — podkreślił Chatham.

— Jesteśmy policjantami. Nie wolno nam łamać prawa.

— Ta sprawa może nigdy nie ujrzeć światła dziennego. To po pierwsze. Poza tym, kto wam powiedział, że w razie czego wygracie ten proces? Myślicie, że trudno będzie zatrzeć ślady?

— Nie umiem ocenić szansy na taki rozwój sprawy. Mamy dwie zaginione kobiety, które ci ludzie prawdopodobnie zamordowali, a jeżeli Popow mówi prawdę, było ich więcej. To jest zbrodnia, zarówno według prawa stanowego, jak federalnego. No i mamy tę drugą sprawę... Jezu, co za potworność! Od tego mamy prawo, panie Clark.

— Być może, ale jak myślicie, ile potrwa, zanim ruszycie stąd do jakiegoś miejsca w Kansas, nawet nie wiemy, gdzie to jest, z nakazem aresztowania jednego z najbogatszych ludzi Ameryki?

— No, trochę to może potrwać — niechętnie musiał przyznać Sullivan.

— Dwa tygodnie najmarniej — ocenił Chatham. — I to tylko na zebranie informacji, umożliwiających wszczęcie postępowania. Trzeba będzie wykonać ekspertyzy, oddać ten pojemnik odpowiednim ludziom do zbadania, a w tym czasie podejrzani będą zacierać wszelkie ślady. To nie będzie łatwe, ale w końcu to nie pierwszozna dla Biura, nie?

— Pewnie tak — z powątpiewaniem zgodził się Clark. — Nie będziemy dysponować żadnym elementem zaskoczenia. Oni już pewnie wiedzą, że mamy Gearinga. Wiedząc to, mogą przewidzieć, co może wygadać, i odpowiednio się przygotować.

— To też prawda — znowu przyznał mu rację Sullivan.

— Moglibyśmy spróbować czego innego.

— Czego?

— Sam jeszcze nie do końca wiem — rozłożył ręce Clark.

Nagranie wykonano w studiu telewizyjnym kompleksu, na sprzęcie, który miał służyć produkcji filmów przyrodniczych dla tych, którzy przeżyją zarazę. Niepowodzenie Projektu mocno ich dotknęło. Zwłaszcza Kirk Maclean był przybity rozwojem wypadków. Mimo to dobrze zagrał swoją rolę, opowiadając o porannych przejażdżkach, które odbywali z Popowem, Hunnicuttem i Killgorem. Doktor John Killgore opowiadał o tym, gdzie i w jakim stanie zastał

konie, potem Maclean opowiedział o odnalezieniu ciała. Killgore przedstawił wyniki własnoręcznie dokonanej sekcji zwłok i pokazał domniemaną przyczynę śmierci — pocisk kalibru 0,44 cala, wydobyty z klatki piersiowej denata.

Skończywszy składanie wyjaśnień przed kamerą, zeszli na dół, do holu, gdzie zebrali się pozostali najważniejsi uczestnicy Projektu i stamtąd przeszli do autobusów, które zawiozły ich na pas startowy.

Na pokładzie samolotów dowiedzieli się, że lecą do Manaus, 5.000 kilometrów stąd. To osiem godzin lotu bez międzylądowania, pestka dla *Gulfstreama V*. Pierwszy samolot był prawie pusty, wiozł jedynie Brightlingów, Henriksena i Steve'a Berga, który kierował pracami badawczymi nad Sziwą. Samolot wystartował o dziewiątej rano miejscowego czasu. Lądować miał już w Amazonii, w środku Brazylii.

Okazało się, że FBI doskonale wiedziało, gdzie znajdowały się te obiekty w Kansas, o których mówił Popow. Samochód z dwoma agentami z miejscowego biura terenowego dojechał

na miejsce akurat w porę, by obserwować start samolotów. Zameldowali o tym przez radio do swojego biura, a stamtąd wiadomość dotarła do Waszyngtonu.

Po przekazaniu tej wiadomości agenci zaparkowali na poboczu, po czym przez resztę dnia pili Coca-Colę i jedli hamburgery, obserwując całkowity bezruch w kompleksie budynków zagubionym w środku pszenicznego zagłębia Ameryki.

W bazie Sił Powietrznych Hickam Field na Hawajach wymieniono załogę *C-17*, samolot zatankował i zaraz potem wystartował w dalszą drogę do Travis na północy Kalifornii. Chavez i jego ludzie nawet nie mieli kiedy wysiąść z samolotu. Siedzieli na swoich miejscach i oglądali, jak nowa załoga, niosąca pudełka z kanapkami i napoje, zamienia się miejscami ze starą. Czekają ich jeszcze sześć godzin tej męki. Wilson Gearing usiłował im teraz wytłumaczyć, dlaczego to wszystko robili. Chavez nadstawił ucha, ale pułkownik pieprzył coś o jakichś ptaszkach i drzewach, więc dał sobie spokój. Takie głupoty nie trafiały do przekonania ojcu nowo narodzonego syna i mężowi lekarki. Gearing niezrażony plótł w najlepsze, a Noonan grzecznie kiwał głową i pilnie nagrywał wszystko, co mówił.

W lecących na południe samolotach panował spokój. Ci, którzy jeszcze nie wiedzieli o fiasku w Sydney, domyślali się, że coś poszło nie tak, ale nie mogli się porozumiewać z prowadzącym samolotem za pośrednictwem załogi, która, podobnie jak większość pracowników Horizon, nie miała pojęcia o Projekcie. Byli tylko profesjonalistami wynajętymi do roboty, na której się znali i za

wykonywanie której nieźle im płacono. Lecieli teraz południowym kursem do punktu przeznaczenia tuż koło równika. Większość z nich już leciała tą trasą, rok wcześniej, gdy powstawał zapasowy kompleks Projektu. Tam także był pas do lądowania, ale krótszy niż w Kansas i bez urządzeń do sprowadzania samolotów bez widoczności ziemi. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, mogli zawsze zboczyć z kursu i wylądować w Manaus, 150 kilometrów na wschód od ich zapasowej siedziby, który miał już pełne wyposażenie nawigacyjne i zaplecze remontowe. W zapasowej siedzibie Projektu mieli części zamienne, a na pokładzie każdego samolotu był mechanik, przeszkolony w obsłudze i naprawach *G-V*, ale poważniejsze naprawy woleli pozostawiać komu innemu. Po godzinie lotu przelecieli nad linią wybrzeża, wlatując nad Zatokę Meksykańską i skręcili na wschód, dostając się w międzynarodowy korytarz powietrzny prowadzący nad Kubą. Prognoza pogody zapowiadała sprzyjające warunki na całej trasie do Wenezueli, gdzie będą musieli trochę pokluczyć, unikając burz po drodze, ale to nic poważnego.

Szefowie Projektu w pierwszym samolocie opuszczali kraj tak szybko, jak to tylko było możliwe, znikając z powierzchni planety, którą mieli zamiar ratować.

— Co takiego? — zapytał Sullivan tego, z kim rozmawiał przez telefon. Po chwili odwrócił się do pozostałych. — Cztery samoloty odrzutowe właśnie wystartowały z Kansas i skierowały się na południe.

— Możemy je jakoś śledzić?

Sullivan wzruszył ramionami.

— Można spróbować z Siłami Powietrznymi.

— Jak my to, do cholery, zrobimy? — zastanowił się raz jeszcze na głos Clark, po czym podniósł słuchawkę i wykręcił numer Foley'a w Langley.

— Mogę spróbować, John — powiedział Ed — ale pogonienie kota Siłom Powietrznym to ciężka sprawa...

— Dobra, ale chociaż spróbuj, dobrze? Cztery *Gulfstreamy* kierują się na południe ze środkowej części Kansas, miejsce przeznaczenia nieznane.

— W porządku, zadzwonię do KCD.

Okazało się, że wykonanie tej obietnicy nie było dla dyrektora CIA aż takie trudne. Oficer dyżurny Krajowego Centrum Dowodzenia Sił Zbrojnych był dwugwiazdkowym generałem, który jeszcze niedawno dowodził tym, co pozostało z sił amerykańskiego lotnictwa myśliwskiego w Europie.

— Co mamy konkretnie zrobić, sir? — zapytał.

— Cztery samoloty dyspozycyjne typu *Gulfstream* wystartowały z Kansas około pół

godziny temu. Chcemy, żeby je ktoś śledził.

— Czym? Wszystkie nasze myśliwce są na kanadyjskiej granicy. Zanim je stamtąd ściągniemy, będzie po herbacie.

— No nie wiem, to może jakiś *AWACS*?

— Może, ale nimi dowodzi Dowództwo Obrony Powietrznej w Langley... Nasze, nie wasze, ale też w Langley. Możliwe, że akurat coś tam mają w powietrzu, w ramach jakichś ćwiczeń albo polowania na narkotyki. Mogę to sprawdzić.

— Proszę tak zrobić. Zaczekam.

Generał w niebieskim mundurze poszedł o krok dalej niż to, o czym mówili. Zadzwoił

od razu do centrali NORAD w Cheyenne Mountain, która utrzymywała kontrolę radarową nad całą przestrzenią powietrzną kraju i polecił śledzić cztery *G-V*. Ich odnalezienie zajęło mniej niż minutę. Komputer wysłał od razu pytanie do Federalnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego o plany lotu, które załogi musiały złożyć przed startem. NORAD przekazał mu także wiadomość, że w powietrzu znajdują się aż dwa samoloty *E-3B Sentry*, jeden 450 kilometrów na południe od Nowego Orleanu w ramach operacji antynarkotykowej, a drugi na południowych podejściach do bazy lotniczej Eglin na Florydzie, nadzorujący ćwiczenia tamtejszego dywizjonu myśliwskiego Gwardii Narodowej. Mając te informacje, generał miał już z czym zadzwonić do działu operacyjnego w Langley, przekazując prośbę dyrektora Firmy.

— O co w tym wszystkim chodzi, proszę pana? — zapytał generał Foleya, wracając na jego linię.

— Nie mogę powiedzieć, ale to bardzo ważne, generale. Generał przekazał słowa Foleya do Langley, ale nie odważył się przekazać dyrektorowi rady na temat tego, gdzie sobie może wsadzić takie gadki, udzielonej przez dyżurnego generała z Dowództwa. Musiał się z tym udać parę pięter wyżej, do czterogwiazdkowego generała, dowodzącego DOP w Langley. Na szczęście generał był w swoim gabinecie, zamiast cieszyć się osobistym *F-16*, który mu się należał z racji piastowanego stanowiska jako maszyna dyspozycyjna. Czterogwiazdkowiec mruknął coś pod nosem, ale w końcu doszedł do wniosku, że dyrektor CIA nie zawracałby im głowy, gdyby naprawdę nie chodziło o coś ważnego.

— Dobra, dam panu, czego pan potrzebuje. Długo to będzie trwało?

— Nie mam pojęcia, panie generale — odparł Foley. — Jak daleko może zalecieć taki *Gulfstream*?

— Ten nowy, piątka, może zalecieć ze Stanów prosto do Japonii na jednym tankowaniu.

Może się okazać, że będzie trzeba załatwić tankowanie w powietrzu dla naszej maszyny.

— Proszę się zająć wszystkim, co trzeba. Do kogo mam dzwonić, żeby się dowiedzieć o postępach

operacji?

— Do NORAD. — Generał podał dyrektorowi numer telefonu.

— Bardzo dziękuję, panie generale. Firma jest winna panu przysługę.

— Zapamiętam to sobie, panie dyrektorze — obiecał generał.

— Mamy szczęście — usłyszał Clark. — Siły Powietrzne oddadzą nam do dyspozycji *AWACS-a*. Nie będziemy ich odstępować na krok — relacjonował Foley. Trochę przesadził, bo nie wziął pod uwagę, że samolot będzie musiał w drodze uzupełnić paliwo.

Samolot, dziesięcioletni *E-3B Sentry*, dostał nowe rozkazy kwadrans później. Pilot przekazał wiadomość najstarszemu stopniem na pokładzie, majorowi, który z kolei poprosił

NORAD o dalsze szczegóły. Dostał je w dziesięć minut po tym, jak prowadzący *Gulfstream* opuścił przestrzeń powietrzną Stanów Zjednoczonych. Wytyczne z NORAD sprawiły, że cała dotychczasowa akcja myśliwców, która wydawała im się ciekawym ćwiczeniem obrony przeciwlotniczej, stała się dla załogi równie ekscytująca i trudna, co wyjazd do lokalnego supermarketu po piwo i steki. *E-3B*, zbudowany na stareńkim *Boeingu 707-320B*, leciał z tą samą prędkością, co nowoczesne samoloty dyspozycyjne, które śledził, utrzymując się 75 kilometrów za nimi. Nad Morzem Karaibskim będzie na nich czekała cysterna z Panamy, co ich na trochę zatrzyma, ale w niewielkim stopniu przeszkodzi w kontynuowaniu zadania. *AWACS* miał znak wywoławczy Orzeł 29, a jego satelitarna radiostacja była w stanie przesyłać do centrali NORAD

w Cheyenne Mountain wszelkie dane z systemów pokładowych, wliczając w to nawet obraz z ekranów radarowych. Większość załogi Orła 29 drzemała w wygodnych fotelach, jedynie trzech kontrolerów śledziło na swoich ekranach trasę przelotu czterech samolotów dyspozycyjnych.

Właściwie trafiła im się nudna robota — już po chwili jasne było, że samoloty, lecące w odstępie pięciu minut jeden od drugiego, kierują się gdzieś prosto przed siebie, nie próbując żadnych sztuczek, nawet zejścia nisko nad wodę. To zresztą byłaby tylko czysta strata paliwa i niepotrzebne narażanie maszyn. Ich by tym nie zmylili, bo radary *AWACS-a* były w stanie wykryć nawet pływającą w wodzie torbę ze śmieciami — z czego często korzystali w operacjach zwalczania przemytu narkotyków, odkąd wyrzucanie za burtę takich worków w oznaczonych miejscach stało się jedną z ulubionych sztuczek szmuglerów — albo pilnować przestrzegania ograniczeń prędkości na autostradzie, bo system automatycznie śledził każdy obiekt poruszający się szybciej niż sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Komputer śledził takie obiekty do momentu, aż operator kazał mu je zignorować. A tu nic z tych rzeczy. Jedynie, co mieli na ekranach, to rejsowe samoloty lecące tu, czy tam, jak co dzień, no i te cztery *Gulfstreamy*, lecące prosto i tak równo, że według nich nawet pilot piechoty morskiej byłby je w stanie przechwycić bez większego podpowiadania...

W tym czasie Clark leciał już do Waszyngtonu, na lotnisko międzynarodowe imienia Ronalda Reagana. Samolot wylądował o czasie i Clark spotkał człowieka z Firmy, wysłanego mu na spotkanie. Samochód CIA zaparkowany był przed terminalem, skąd wyruszyli w dwudziestominutową drogę do Langley, a tam na szóste piętro budynku kierownictwa. Popow nie

spodziewał się nigdy, że kiedykolwiek będzie mu dane wkroczyć do tego pilnie strzeżonego budynku, nawet jeśli poruszał się wszędzie z wielką, rzucającą się w oczy wywieszką: GOŚĆ —

BEZ PRAWA SAMODZIELNEGO PORUSZANIA. John przedstawił go.

— Witam — powiedział Foley całkiem znośną ruszczyzną. — Pewnie jeszcze nigdy tu pan nie był.

— Tak jak pan na Łubiance — odparł Popow.

— Ale ja tam byłem — wtrącił Clark. — I to w biurze samego Siergieja Nikołajewicza.

— Zdziwiające — skomentował Popow, siadając na wskazanym mu miejscu.

— Dobra. Ed, gdzie oni teraz są?

— Nad północną Wenezuelą i kierują się na południe, przypuszczalnie w kierunku centralnej Brazylii. Zarząd Lotnictwa Cywilnego przysłał nam plan lotu, który zgodnie z przepisami złożyli. Według niego lecą do Manaus. To chyba tam, gdzie rosną kauczukowce. W

pobliżu jest kilka większych rzek.

— Mówili mi, że mają tam podobny kompleks budynków jak w Kansas, tylko mniejszy

— wyjaśnił Popow.

— Może by się temu przyjrzeć z satelity? — zaproponował Clark.

— Jasne, ale najpierw musimy się dowiedzieć dokładnie, gdzie to jest. *AWACS* pozostał trochę z tyłu, kiedy tankował, ale to tylko dwieście kilometrów i mają ich wciąż na radarze.

Mówią, że te cztery samoloty lecą jak po sznurku, prosto do celu.

— A jak się już dowiemy, gdzie to jest... Co wtedy?

— Sam nie wiem — przyznał Foley. — Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym.

— To może nie być najbardziej udana sprawa kryminalna w historii Biura, Ed.

— Doprawdy?

— Tak. Jeśli mają głowę na karku, a musimy zakładać, że tak jest, mogą łatwo zniszczyć wszystkie fizyczne dowody przestępstwa. Zostaną nam świadkowie. Jak ci się zdaje, kto jest na pokładzie tych czterech *Gulfstreamów*?

— Wszyscy, którzy mieli pojęcie, co się szykuje — pokiwał głową Foley. — Niewielu ich było, ze względów bezpieczeństwa, co? Myślisz, że polecili na próbę chóru?

— Co takiego? — zdziwił się Popow.

— Postarają się wymyślić jakąś przekonującą historyjkę na użytek FBI, kiedy zaczną się przesłuchania — wyjaśnił Foley. — Muszą się wszyscy nauczyć tego samego tekstu, żeby potem śpiewać równo za każdym razem.

— To byś zrobił na ich miejscu, Ed? — zapytał Clark.

— Tak, coś w tym rodzaju — kiwnął głową Foley. — No dobra, co z tym teraz zrobić?

Clark spojrział dyrektorowi prosto w oczy.

— Może by ich odwiedzić? — zapytał niewinnie.

— Kto to przyklepie? — zapytał Foley.

— Nadal jestem pracownikiem Firmy — przypomniał Clark. — Czeki przychodzą stąd i tobie podlegam.

— Jezu, John!

— Mam twoje pozwolenie na przerzucenie moich ludzi do odpowiedniego punktu wyjściowego?

— To znaczy?

— Chyba Fort Bragg, a gdzieżby indziej?

Foley musiał się zgodzić, że to logiczna propozycja.

— Udzielam zezwolenia.

Clark bez słowa odszedł w głąb gabinetu, do stolika z bezpiecznym telefonem. Wykręcił numer w Hereford.

Alistair Stanley wracał do zdrowia na tyle szybko, że mógł już wysiedzieć cały dzień w biurze i nie zemdleć z wyczerpania przed fajrantem. Clark wyjeżdżając do Stanów zostawił

dowodzenie okaleczoną Tęczą w jego rękach. Musiał się zająć także problemem, którym Clark jeszcze się nie zajął: uzupełnieniami. Musiał znaleźć dwóch ludzi, którzy zajęliby miejsce po dwóch poległych podczas ataku terrorystów na szpital w Hereford. Morale oddziału nie było najlepsze. Zabrakło dwóch ludzi, z którymi stykali się na co dzień, przyjaźnili się, a pogodzenie się z takimi rzeczami nigdy nie przychodzi łatwo. Mimo to codziennie rano odbywali zaprawę, po której szli na strzelnicę wystrzelać dzienny limit, żeby utrzymać się w formie na wypadek wezwania. Nikt się nie spodziewał, żeby miało ono wkrótce przyjść, ale w końcu wszystkie zadania, które otrzymywali, zdarzały się niespodziewanie. Stanley sięgał po słuchawkę bezpiecznego telefonu, kiedy ten zaczął dzwonić.

— Alistair Stanley, słucham.

— Cześć Al, tu John. Jestem w Langley.

— Co, do cholery, się dzieje, John? Chavez i jego ludzie zniknęli z powierzchni ziemi...

— Ding i jego ludzie są w połowie drogi między Hawajami i Kalifornią, Al. Aresztowali w Sydney głównego spiskowca.

— Bardzo dobrze. A co ten drań kombinował?

— Siedzisz wygodnie, Al?

— Pewnie, że tak, John. A co...

— Słuchaj uważnie. Powiem ci wszystko w skrócie — zapowiedział Clark i przedstawił swemu zastępcy pokrótce przebieg zdarzeń. Zajęło mu to prawie dziesięć minut.

— Jasna cholera — wymamrotał na koniec Stanley. — Jesteś tego wszystkiego pewien?

— Jak diabli, Al. Właśnie śledzimy resztę tego towarzystwa w czterech samolotach.

Wygląda na to, że kierują się do środkowej Brazylii. Dobra, słuchaj, zbierz chłopaków i przylatujcie do Fort Bragg, do bazy lotniczej Pope w Północnej Karolinie. Z całym sprzętem. Ze wszystkim, Al. Może będziemy się musieli wybrać na wycieczkę w dżunglę, żeby... No, żeby się nimi zająć. Na dobre.

— Rozumiem, że sprawa jest paląca?

— Jak najbardziej. Powiedz British Airways, że potrzebujemy samolotu — ciągnął Clark.

— W porządku, John. Już się tym zajmuję.

W Langley Clark zastanawiał się, co będzie dalej, ale zanim mógł, się zdecydować na jakieś rozwiązanie, potrzebował zgromadzić w ręku wszystkie atuty. Dobrze, a więc Alistair wydusi z BA jakiś wolny samolot, którym jego ludzie trafią bezpośrednio na miejsce, do Fort Bragg. A stamtąd... No, nad tym jeszcze będzie się czas zastanowić. On też będzie się musiał

dostać do Dowództwa Operacji Specjalnych, żeby pogadać z pułkownikiem „Małym Willie’em”

Byronem.

— Obiekt Jeden zniża się — zameldował przez interkom kontroler ruchu. Dowódca zmiany podniósł wzrok znad czytanej książki, włączył swój ekran i potwierdził meldunek. Łamał

właśnie prawo międzynarodowe, jako że Orzeł 29 nie miał pozwolenia na wejście w przestrzeń powietrzną Brazylii. Nie obawiali się zanadto reperkusji, ich transponder nadawał sygnał

niewinnego cywilnego samolotu transportowego — jak zwykle, kiedy robili coś śmierdzącego.

Zresztą nikt nawet nie próbował go wywoływać.

Potwierdziwszy meldunek dyżurnego, dowódca wysłał go do NORAD i, o czym już nie wiedział, do CIA. Pięć minut później Obiekt Dwa poszedł w ślady prowadzącego. Samoloty zwolniły, dzięki czemu Orzeł 29 nadrobił nieco dystans. Dowódca zmiany polecił pilotom utrzymywać kurs i prędkość, po czym sprawdził stan paliwa i dowiedział się, że mają go na osiem godzin lotu — aż nadto, żeby wrócić do bazy Tinker koło Oklahoma City, skąd startowali.

British Airways znalazły po dziesięciu minutach poszukiwań wolnego *Boeinga 737-700*, który miał oczekiwać na żołnierzy Tęczy na Luton, małym lotnisku towarowym na północ od Londynu. Tam dojadą ciężarówkami, które dostarczy kompania transportowa bazy w Hereford.

Z góry wygląda to jak zielone morze, pomyślał John Brightling, spoglądając w dół na szczytową warstwę potrójnej zielonej kopuły rozciągającej się w dole dżungli. W świetle zachodzącego słońca srebrzyły się wody rzek, ale samej ziemi w ogóle nie było widać. To najbogatszy ekosystem planety, a ja nigdy nie miałem czasu, żeby mu się dokładnie przyjrzeć, pomyślał. No cóż, teraz będzie miał okazję. Rok, a może nawet dwa, nie będzie się mógł stąd ruszyć. Zapasowa kwatera była solidną i wygodną kryjówką, utrzymywaną przez sześćoosobową załogę, zaopatrzoną we własną elektrownię, satelitarną łączność i zapas żywności. Zastanowił się przez chwilę, czy wśród ludzi na pokładach czterech samolotów znajdą się dobrzy kucharze. Tu także, jak i w Kansas, mieli na miejscu laboratorium i zaraz po przyjeździe na miejsce zaczną prace badawcze, oczywiście pod jego kierownictwem.

W Binghampton w stanie Nowy Jork kilku pracowników laboratorium ładowało do paleniska paletę pojemników oznaczonych znakiem substancji niebezpiecznej biologicznie. Piec jest olbrzymi, pomyślał jeden z techników, można by w razie czego spalić w nim nawet kilka zwłok naraz, a sądząc z grubości izolacji termicznej, musiał osiągać bardzo wysoką temperaturę.

Wprowadzili do pieca ostatni z pojemników, po czym technik zasunął grube na siedem centymetrów drzwi paleniska, zatrzasnął je i wcisnął guzik zapłonu. Nawet przez grube ściany pieca słyhać było świst wypełniającego jego wnętrze gazu i trzask iskrownika, a potem ryk zapalanej mieszaniny gazu i powietrza. Normalka. Horizon często niszczyła nadmiar niebezpiecznych biologicznie materiałów tego, czy innego rodzaju. Nie wiedział, co było w pojemnikach i nie obchodziło go to za bardzo. Może to kolonie wirusa HIV? Czytał, że firma prowadziła ostatnio szeroko zakrojony program badawczy w tym zakresie. Spojrzał przelotnie na przypięty do plastikowej podkładki spis pojemników do spalania, który przyszedł faksem z Kansas. Wszystkie numery pojemników wypisane na trzech stronach zostały odhaczone, a więc wszystkie pojemniki trafiły do pieca. Cholera, ten piec to było dopiero coś. Nawet metalowe pokrywy pojemników zniknęły w nim bez śladu.

I tak uszły kominem do atmosfery ostatnie ślady Projektu. Technik nie miał nawet o tym pojęcia. Dla niego pojemnik G7-89-98-OOA był tylko plastikowym pojemnikiem z metalową pokrywą,

wymienionym na liście do zniszczenia. Nawet nie słyszał nigdy słowa Sziwa. Potem podszedł do komputera — każdy z pracowników firmy miał swój — i napisał komunikat o zniszczeniu wymienionych na liście pojemników. Nie wiedział nawet tego, że komputer wysłał

kopię jego notatki prosto do Kansas. Podniósł słuchawkę telefonu i, zgodnie z instrukcją, powiadomił o wykonaniu zadania swojego przełożonego, a ten z kolei wykreślił podany w poleceniu zniszczenia pojemników numer telefonu i powtórzył jego meldunek.

— Dobrze, dziękuję — odpowiedział Bill Henriksen i odłożył słuchawkę w kabinie pilotów, po czym ruszył do Brightlingów.

— Dzwonili z Binghampton. Wszystkie pojemniki z Sziwą, szczepionki i cała reszta poszło do pieca. Nie ma już żadnego fizycznego dowodu na to, że Projekt kiedykolwiek istniał.

— I co? Mamy się z tego cieszyć? — zapytała gorzko Carol, spoglądając przez okno na zbliżającą się ziemię.

— Nie, ale mam nadzieję, że jednak będzie pani trochę szczęśliwsza teraz, pani doktor, niż na sali sądowej, odpowiadając za usiłowanie morderstwa.

— On ma rację, Carol — poparł Henriksena smutnym głosem John Brightling. Byli blisko. Tak cholernie blisko. No cóż, pocieszył się, nadal miał pieniądze i zostali z nim najlepsi ludzie. Przecież jedno niepowodzenie to nie powód, żeby porzucać szczytne ideały. Nie, ani trochę. Tego prezes Horizon był pewien. Pod nimi, poniżej tego zielonego morza, ku któremu się opuszczali, tętniło życie. To właśnie jego różnorodnością uzasadniał członkom rady nadzorczej konieczność budowy obiektów, do których właśnie lecieli. Oficjalnie mieli prowadzić poszukiwania nowych substancji chemicznych w korze drzew i roślinach rosnących w dżungli, więc czemu by nie robić właśnie tego? A może uda się znaleźć przy okazji lekarstwo na raka, albo jakąś inną zmołę ludzkości? Usłyszał jęk siłowników opuszczających kłapy w skrzydłach, a wkrótce potem wysuwających podwozie. Po trzech minutach koła zapiszczały na odcinku drogi wzdłuż budynków laboratoryjnych i mieszkalnych, pełniącym rolę pasa startowego. Pilot włączył

odwrotny ciąg i samolot zaczął zwalniać.

— Obiekt Jeden na ziemi — zameldował dyżurny kontroler, podając dokładną pozycję i przerzucając radar na obserwację powierzchni ziemi. Z impulsów i ech komputer wyczarował

obraz zespołu budynków. Dobra nasza, pomyślał, każąc komputerowi obliczyć ich dokładną pozycję. Przekazał te wszystkie informacje do Cheyenne Mountain.

— Dziękuję — powiedział Foley, kończąc notować przekazaną informację. — John, mamy dokładne koordynaty geograficzne miejsca, gdzie wylądowali. Każę ustawić tam satelitę, żeby porobił parę zdjęć. Powinniśmy je mieć za jakieś dwie, może trzy godziny, zależnie od pogody.

— Tak szybko? — zapytał Popow, wyglądając za okno na parking kierownictwa CIA.

— To tylko sprawa przekazania komendy przez komputer — wyjaśnił Clark. — Satelita już tam wisi.

Tak naprawdę, trzy godziny wydawały mu się okropnie długim czasem. To musiało znaczyć, że satelity wiszą w niewłaściwym miejscu.

Tęcza wystartowała w Luton dobrze po północy czasu brytyjskiego. Samolot zatoczył

krąg nad montownią samochodów, ulokowaną tuż koło lotniska i skierował się na zachód, do Ameryki. British Airways przydzieliły im trzy stewardesy, które zadbały o to, żeby żołnierze mieli co jeść i pić, zanim ułożyli się do snu, jak kto mógł, najczęściej w poprzek pustych foteli.

Nie mieli pojęcia, po co lecą do Ameryki. Stanley nic im nie powiedział, ale dziwili się, po co zabierali cały sprzęt.

Niebo nad środkową Brazylią było na szczęście czyste. Pierwszy *KH-11D* przeszedł nad kompleksem o 21.30 lokalnego czasu. Kamery satelity wykonały 320 ujęć terenu w podczerwieni i 97 w paśmie widzialnym. Orbitalny szpieg wysłał te zdjęcia natychmiast do satelity komunikacyjnego, z którego trafiły one do anten Fort Belvoir w Wirginii. Stamtąd, już naziemnym łączem, trafiły do Narodowego Biura Zwiadu, mieszczącego się nieopodal w Waszyngtonie, tuż koło międzynarodowego lotniska imienia Johna Fostera Dullesa. Tu poddano je obróbce i przesłano kolejnym kablem, tym razem do Langley.

— Malina — zachwycił się starszy technik interpretacji, który przyszedł z nimi do biura Foleya. — Budynki tu, tu, tu i ten jeden tu. Cztery samoloty, wyglądają na *Gulfstreamy*. Te najnowsze, piątki, z dłuższymi skrzydłami. Prywatne lądowisko. Ma światła, ale brak urządzeń nawigacyjnych do lądowania bez widoczności. Tu pewnie mają zbiorniki paliwa. To elektrownia.

Pewnie agregat dieslowski, sądząc z tego pióropusza spalin. Budynki wyglądają z rozkładu świateł w oknach na mieszkalne. Ten kurort wybudował sobie ktoś, kim się interesujemy?

— Coś w tym rodzaju — zakończył temat Clark. — To wszystko?

— Niewiele więcej w promieniu stu trzydziestu kilometrów. Zdaje się, że tutaj jest plantacja kauczukowców, ale budynki są zimne, więc pewnie opuszczona. Cywilizacji ani śladu.

Tu jakieś źródła ognia — wskazał. — Wyglądają na ogniska. Pewnie jakieś miejscowe plemiona indiańskie albo coś. Cholerne zadupie, panie dyrektorze. Zbudowanie tego czegoś w takiej izolacji musiało być cholernie kłopotliwe i kosztowne.

— Dziękuję. Proszę nam przysłać jeszcze zdjęcia z satelity Lacrosse i kiedy przyjdą dobre zdjęcia w paśmie widzialnym, poproszę o nie również.

— O siódmej dwadzieścia czasu miejscowego będziemy mieć bezpośrednie przejście następnego ptaszka. Prognoza pogody zapowiada się bardzo dobrze, więc obrazki powinny być w porządku.

— Jak duże jest to lądowisko? — zainteresował się Clark.

— Wygląda na to, że ma jakieś dwa i pół kilometra długości, a szerokości ze sto metrów.

Standard. Poza tym wycięli drzewa po obu stronach pasa, na szerokość kolejnych stu metrów z każdej strony. To znaczy, że można tam posadzić całkiem spory samolot, o ile, oczywiście, nawierzchnia ma odpowiednią wytrzymałość. Nad rzeką, to jest Rio Negro, a nie sama Amazonka, mają jeszcze przystań, ale nie widać żadnych łodzi. Myślę, że to pozostałość z czasów budowy.

— Nie widać żadnych napowietrznych linii, ani telefonicznych, ani wysokiego napięcia

— powiedział Clark, oglądając zdjęcia.

— Nie, proszę pana i nie będzie ich tam, bo nie są potrzebne. Prąd mają swój, a łączność jest satelitarna. Widzi pan te anteny, o tutaj? — Analityk wskazał miejsce na zdjęciu i przez chwilę wszyscy milczeli. — Czy jestem jeszcze potrzebny?

— Nie, to wszystko. Bardzo dziękuję — odparł Clark.

— Nie ma sprawy — odparł analityk i ruszył ku windom, by zjechać do swojego laboratorium w podziemiach.

— No i co? Dowiedziałeś się czegoś? — zapytał Foley. Sam nie miał pojęcia o prowadzeniu operacji w dżungli, ale wiedział, że Clark zna się na tym.

— No cóż, wiemy teraz, gdzie są i mniej więcej wiemy, ilu ich tam może być.

— Co zamierzasz, John?

— Jeszcze do końca nie jestem pewien, Ed — padła szczerza odpowiedź. Clark nie planował niczego konkretnego, ale jego mózg już wchodził na wysokie obroty.

C-17 dość twardo przyziemił na pasie w bazie Sił Powietrznych Travis w Kalifornii.

Organizmy Chaveza i reszty były całkiem rozregulowane w następstwie długiej podróży, ale chłodne powietrze kalifornijskiego poranka trochę ich otrzeźwiło. Chavez wyciągnął telefon komórkowy i wybrał z pamięci aparatu numer do Hereford. Czekaając na połączenie przypomniał

sobie, że przecież Clark jest w Langley. Skasował połączenie i przez chwilę szukał w zakamarkach, już własnej, pamięci numeru do dyrektora CIA. Trwało to ze dwadzieścia sekund, ale w końcu przypomniał sobie numer i wystukał go.

— Biuro dyrektora, słucham?

— Domingo Chavez do Johna Clarka.

— Chwileczkę.

— Gdzie jesteś, Ding? — zapytał Clark po chwili.

— W Travis, na północ od Frisco. A gdzie mam, do cholery, być?

— Pod terminalem dla VIP-ów czeka na was VC-20 Sił Powietrznych.

— Dobra, zaraz tam idziemy. John, jesteśmy tylko w tym, w czym stoimy. Zmylił się z Australii w pośpiechu.

— Powiem komu trzeba, żeby się tym zajął. A wy zasuwaszcie do Waszyngtonu, dobra?

— Tak jest, panie C — odparł Chavez.

— Jak tam wasz gość, jak on się nazywa? Gearing?

— Tak. Noonan siedział z nim całą drogę. Facet śpiewa jak pieprzony kanarek, John. To, co ci ludzie zamierzali... Oni to naprawdę chcieli zrobić. Jezu Chryste, szefie, skąd się tacy biorą?

— Nie mam pojęcia, Ding. A tak przy okazji, właśnie zwiali z kraju.

— Wiadomo dokąd?

— Brazylia. I znamy dokładnie miejsce. Kazałem Alowi ściągnąć cały zespół do Fort Bragg. Ty leć na Andrews, a potem się wszystkim zajmę.

— Się robi, John. Idę szukać samolotu. Bez odbioru — zakończył Chavez, składając telefon. Rozejrzał się i pomachał ręką na przejeżdżającą niebieską furgonetkę. Zabrała ich do terminalu dla VIP-ów, gdzie spotkali kolejną załogę, czekającą na nich. Wkrótce potem wsiedli na pokład VC-20, wojskowej wersji samolotu dyspozycyjnego *Gulfstream*. I z tego, co im podano do jedzenia, a było to śniadanie, Chavez wywnioskował, że musi być wcześniej rano. Nie chciał

jednak polegać na domysłach i zapytał sierżanta o dokładną godzinę, po czym przestawił zegarek.

Harmonia

Noonanowi sytuacja wydawała się bardzo dziwna. Podróżował z człowiekiem, który przyznał się do zamiaru popełnienia wielokrotnego morderstwa i nie miał nawet skutych rąk, nie mówiąc o reszcie wymaganych w takiej sytuacji zabezpieczeń. Z drugiej jednak strony, czego miałby próbować i gdzie uciec? Jasne, mógłby próbować otworzyć drzwi i wyskoczyć, ale z całej dotychczasowej rozmowy nie wynikało, żeby Gearing miał zadatki na męczennika świętej sprawy. Porwać samolotu na Kubę też raczej by nie próbował. Tim miał go więc na oku, ale jego umysł zaprzętała zupełnie inna kwestia. Zwinęli sukinsyna na innym kontynencie, w innej strefie czasowej, ba, na drugiej półkuli, w dodatku już za międzynarodową linią zmiany daty. Brał

udział w aresztowaniu Fuada Yunisa na wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego dziesięć, czy jedenaście lat temu, ale z tego co wiedział, jego aresztowanie było rekordem w dziejach FBI, jeśli chodzi o odległość od kraju, w jakiej do niego doszło. Rany boskie, prawie osiemnaście tysięcy kilometrów! Ceną za to była ta podróż lotnicza, która doprowadzała go już do rozpacz, a którą najgorzej znosiło jego ciało, od tak dawna pozbawione treningu. Przetawiał zegarek, potem zastanowił się, czy aby na pewno data się zgadza. W końcu powściągnął chęć zapytania o nią sierżanta — zapytać o godzinę to co innego, człowiek nie wychodzi na totalnego idiotę, jak taki, co pyta o to, którego dzisiaj mamy, bo mu się rachuba urwała. Może na miejscu znajdzie jakąś gazetę, to się dowie. Odepchnął fotel do tyłu i utkwiał czujne spojrzenie w Gearingu. I znowu zaczął mieć wątpliwości: jak doleczą na miejsce, będzie musiał komuś przekazać aresztowanego.

Tylko komu? I na jakiej podstawie?

— Za dwie godziny doleczą do Andrews — powiedział Clark — a stamtąd jakimś małym samolotem do Pope i wtedy się zastanowimy, co dalej.

— Masz już jakiś plan, John? — bardziej stwierdził, niż zapytał Foley. Znał Clarka na tyle długo, by poznawać takie rzeczy na pierwszy rzut oka.

— Ed, ja kieruję tą sprawą, czy ty?

— Ty, John, ale w granicach rozsądku. Postarajmy się nie wszczynać z tego powodu wojny atomowej, dobrze?

— Ed, zastanów się, czy z tego kiedykolwiek będzie jakiś proces? A jeżeli Brightling już zniszczył wszystkie dowody? Trudno by mu to przyszło? Zresztą, o czym my, do cholery, gadamy! Parę wiader jakiegoś biogówna i kilka plików na komputerze. Na rynku są dostępne programy, które niszczą zapisy tak dokładnie, że nigdy nie uda się ich odzyskać.

— Racja, ale może ktoś zrobił wydruk i jak poszukać porządnie...

— Załóżmy, że byś znalazł. I co dalej? Chcesz wywołać panikę na świecie, kiedy ludzie dowiedzą się, do czego może być zdolna jedna zasrana firma farmaceutyczna, jeśli tylko chce?

Co dobrego tym osiągniesz?

— No i dorzuć do tego prezydenckiego doradcę, który okazał się wtyką tej firmy. Jezu, to może porządnie zaszkodzić Jackowi... — Foley umilkł na chwilę, zamyślony. — Ale przecież nie możemy tych ludzi tak sobie zamordować, John! To są obywatele Stanów Zjednoczonych, przysługują im prawa!

— Wiem. Nie możemy im tak po prostu dać uciec, a jednocześnie wiemy, że nie możemy ich pociągnąć do odpowiedzialności. Więc co nam zostaje? — Clark przez chwilę milczał, jakby czekał na odpowiedź. — Postaram się wymyślić coś oryginalnego, Ed.

— Co na przykład?

John Clark przedstawił mu swój pomysł.

— W ten sposób, jeśli spróbują stawiać opór, to dla nas nawet lepiej, prawda? — zakończył.

— W dwudziestu przeciw pięćdziesięciu?

— Moich dwudziestu, a właściwie teraz raczej piętnastu — poprawił Clark — przeciw pięćdziesięciu pętkom? Daj spokój, Ed.

Foley zafrasował się. Obawiał się szumu, kiedy o wszystkim dowie się prasa, ale z drugiej strony, kto miał ją o tym powiadomić? Środowisko operacji specjalnych utrzymywało w tajemnicy od lat o wiele bardziej drastyczne epizody i nikt ich nie wyniuchał.

— John... — zaczął, ale umilkł.

— Tak?

— Tylko nie daj się przyłapać.

— Nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło, Ed — przypomniał Tęcza Sześć.

— A więc zgoda — powiedział dyrektor CIA, zastanawiając się, jak się w razie czego wytłumaczy prezydentowi z całej tej akcji, jeśli coś pójdzie źle.

— Dobra. Mogę używać mojego starego biura? — Miał wiele telefonów do wykonania.

— Jasne.

— Czy to już wszystko, czego wam potrzeba? — zapytał ironicznie generał Sam Wilson.

— Tak jest, panie generale, to powinno wystarczyć.

— A mogę wiedzieć, po ci to?

— Do wykonania pewnej tajnej operacji.

— I tylko tyle mi powiesz?

— Przykro mi, Sam. Możesz sprawdzić to, co powiedziałem u Eda Foleya, jeśli chcesz.

— I pewnie nie omieszkam.

— Nie ma sprawy, panie generale. — Clark miał nadzieję, że ta tytułatura trochę osłodzi gorzką pigułkę, jaką podał Wilsonowi.

Niewiele to pomogło, ale Wilson był zawodowcem i znał zasady rządzące tym biznesem.

— Dobra, muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Pierwszy telefon był do Fort Campbell w Kentucky, gdzie stacjonował 160. pułk lotnictwa operacji specjalnych. Jego dowódca w stopniu pułkownika miał, jak łatwo było przewidzieć, opory, które, jak równie łatwo było przewidzieć, generał przełamał. Teraz z kolei pułkownik podniósł słuchawkę i kazał wysłać śmigłowiec *MH-60K Night Hawk* do bazy Sił

Powietrznych Pope. Razem ze śmigłowcem wysłał na miejsce ekipę mechaników, którzy wraz ze śmigłowcem zostali czasowo przydzieleni do pewnego zadania. Co to za zadanie, gdzie i jak długo potrwa, pułkownik nie zdołał się od generała dowiedzieć.

Następny telefon generała skierowany był do innego oficera Sił Powietrznych, który zanotował polecenie i pokwitował je krótkim: „Tak jest, panie generale”, jak przystało dobremu podwładnemu. Załatwienie wszystkiego zależało głównie od elektroniki — wystarczyło podnieść słuchawkę bezpiecznego telefonu i wydać mało zrozumiały rozkaz ludziom, którzy na szczęście przywykli do wykonywania takich rozkazów bez zadawania zbędnych pytań.

Chavez uświadomił sobie, że przeleciał trzy czwarte obwodu kuli ziemskiej w ciągu dwudziestu dwóch godzin i lądował na lotnisku, na którym był dotąd raz w życiu. Leciał teraz *VC-20*, pomalowanym tak samo, jak jego znacznie większy krewniak, *VC-25*, którego wszyscy na świecie znali jako *Air Force One*. Towarzyszem jego podróży był człowiek, planujący zamordować wszystkich ludzi, których Ding kiedykolwiek znał i miał poznać w życiu. Już dawno temu nauczył się nie zastanawiać zbyt długo nad rzeczami, które robił dla swego kraju za te 82.450 dolarów rocznie, które płaciła swoim pracownikom średniego szczebla Firma. Miał

dypłom magistra w dziedzinie stosunków międzynarodowych — jak sami z kolegami na studiach żartowali „nauki o tym, jak jedno państwo pieprzy pozostałe” — ale to przerastało jego wyobraźnię i wykształcenie. Nie mieli do czynienia z państwem, na litość boską, tylko z jedną cholerną firmą! Odkąd to przedsiębiorstwa biorą się za rozgrywki na takim szczeblu? Może to był ten „nowy porządek świata”, o którym mówił prezydent Bush po Pustynnej Burzy? Jeżeli to właśnie tak miało

wyglądać, to po co się było chrzanić z jego ustanawianiem? Rządy pochodzą z wyboru obywateli, w mniejszym czy większym stopniu, ale w ten sposób z reguły dochodzą do władzy. Przedsiębiorstwo odpowiada — jeśli w ogóle — tylko przed udziałowcami. A to nie to samo. Rządy państw powinny sprawować nadzór nad poczynaniami firm, działających na ich terenach, ale w obecnej dobie wszystko się zmieniało, nawet to. W dzisiejszym świecie zdarzało się, że prywatne spółki konstruowały narzędzia, którymi posługiwali się ludzie na całym świecie.

Postęp techniczny dawał niewielkim grupkom ludzi potężną władzę, a on zastanawiał się czy to dobrze, czy źle. Pewnie, gdyby świat polegał na działaniach rządów w sprawie postępu, ludzkość nadal jeździłaby konno, a kolej byłaby cudem techniki. Ale z drugiej strony, ten nowy porządek świata nie dawał nad tą władzą żadnej kontroli i to było coś, nad czym na pewno trzeba się poważnie zastanowić — doszedł wreszcie do wniosku Chavez, gdy samolot zatrzymał się na pasie lotniska Andrews. Kolejna anonimowa niebieska furgonetka pojawiła się u stóp schodów, jeszcze zanim zdążyli na dobre z nich zejść.

— No i jak ci idzie latanie, Domingo? — zapytał na betonie pasa Clark.

— Nie widać, że mi już pióra wyrastają? — odparł zmęczonym głosem Chavez.

— Czeka was jeszcze jedna przejażdżka — pocieszył go Clark.

— Dokąd tym razem?

— Fort Bragg.

— No to lećmy, zanim się przyzwyczaimy do ziemi pod stopami. — Potrzebował się umyć i ogolić, ale to też mogło poczekać do Bragg. Kilka minut później trafili do kolejnego samolotu Sił Powietrznych, który wkrótce wystartował i skierował się na południowy zachód.

Ten przelot był już szczęśliwie bardzo krótki i zakończył się w bazie Sił Powietrznych Pope, która przylega do Fort Bragg, siedziby 82. DPD oraz jednostki Delta i innych grup specjalnych.

Pierwszy raz ktoś pomyślał, żeby się zająć w odpowiedni sposób Wilem Gearingiem, pomyślał z zadowoleniem Noonan. Na pasie czekało trzech żandarmów, którzy od razu zabrali go do aresztu bazy. Reszta grupy udała się do kwater oficerskich.

Chavez zastanawiał się, czy ubranie, które wreszcie ściągnął z grzbietu, będzie się jeszcze kiedykolwiek nadawało do założenia ponownie. Wykąpał się i ogolił leżącą na umywalce świeżą maszynką do golenia, co pozwoliło mu wreszcie pozbyć się czarnej szczeciny, która w ciągu tej prawie doby w samolocie porosła jego — bardzo męską, nawiasem mówiąc, jak uważał — twarz.

Wyszedł z łazienki i znalazł na łóżku świeże ubranie.

— Oddałem tamte do prania — powiedział Clark.

— Dzięki, John — odparł, wciągając oporne białe bokserki i koszulkę. Na łóżku leżał

jeszcze komplet drelichowego umundurowania polowego, razem ze skarpetami i butami.

— Długi dzień, co?

— Cholera, John, wydawało mi się już, że to cały miesiąc — odparł, siadając na łóżku, po czym, po chwili namysłu, jednak rozciągając się na pościeli. — Co teraz?

— Brazylia.

— Jak to Brazylia?

— Tam wszyscy uciekli. Śledziliśmy ich, mam zdjęcia satelitarne tego miejsca, gdzie zatrzymali się.

— I co, jedziemy im złożyć wizytę?

— Zgadza się.

— W jakim celu, John?

— Żeby załatwić sprawę raz na zawsze.

— Nie widzę przeciwwskazań, ale czy to legalne?

— A odkąd to zaczęły cię martwić takie drobiazgi?

— John, jestem teraz ojcem rodziny, wiesz? Muszę się zachowywać odpowiedzialnie.

— Wystarczająco legalne, Ding.

— Dobra, skoro tak mówisz... To co teraz robimy?

— Ty się na razie idź przespać. Reszta ludzi przyleci za pół godziny.

— Co za reszta ludzi?

— Wszyscy zdolni do noszenia broni, synu.

— *Muy bien, jefe* — odparł Chavez i zamknął oczy.

Boeing 737-700 British Airways spędził na ziemi minimalny czas potrzebny na zatankowanie z cysterny Sił Powietrznych i wystartował z pasa lotniska międzynarodowego Dullesa, gdzie jego obecność nie wzbudziła większych komentarzy. Żołnierze Tęczy odjechali podstawionym autobusem poza zasięg wzroku ewentualnych ciekawskich w miejsce, gdzie pozwolono im iść spać. To zaniepokoiło starych wyjadaczy. Jeśli w wojsku dają ci się wyspać, to znaczy, że zamierzają cię zaraz wysłać w miejsce, gdzie ten odpoczynek bardzo się przyda.

Clark i Alistair Stanley odbyli naradę w Dowództwie Operacji Specjalnych, w budynku nie rzucającym się w oczy, którego okna wychodziły na niewielki parking.

— Co jest grane? — zapytał pułkownik William Byron. Dla większości swych kolegów w mundurach był „Małym Willie’em”, co nijak się miało do jego postury — pułkownik mierzył

ponad metr dziewięćdziesiąt i ważył dobrze ponad 115 kilogramów samych mięśni. Był chyba najpotężniej zbudowanym człowiekiem w całym Dowództwie Operacji Specjalnych, a ten przydomek pochodził jeszcze z czasów West Point, gdzie w ciągu czterech lat dobrego odżywiania i ćwiczeń urósł ponad piętnaście centymetrów i przybrał na wadze piętnaście kilo.

Byron był zapalonym sportowcem i swoją karierę na uczelni zakończył jako filar drużyny futbolu amerykańskiego, która rozgromiła odwiecznego rywala, drużynę Akademii Marynarki w Annapolis aż 35:10 w jesiennych rozgrywkach na Stadionie Weteranów w Filadelfii. Mały Willie zachował akcent parobka z południowej Georgii, mimo dyplomu wydziału zarządzania Uniwersytetu Harvarda, który stawał się powoli najpopularniejszą szkołą wyższą wśród oficerów sił zbrojnych.

— Wybieramy się na piknik, o tutaj. — Clark podał mu zdjęcia satelitarne. —

Potrzebujemy śmigłowca.

— A gdzie jest to zadupie?

— Brazylia, na zachód od Manaus, nad Rio Negro.

— Niczego sobie ośrodek. — Byron musiał założyć okulary, których nie znosił, żeby się przyjrzeć zdjęciom. — Kto to wybudował i kogo jedziecie odwiedzić?

— Ludzie, którzy chcieli wymordować cały pieprzony świat — odparł Clark, sięgając po telefon, który zaczął dzwonić. Znowu musiał poczekać, aż systemy szyfrowe telefonów porozumieją się, zanim mógł wreszcie powiedzieć: — Clark, słucham.

— Ed Foley. Wojskowi zbadali zawartość pojemnika w Fort Detrick.

— I?

— Mówią, że to wersja wirusa Ebola, zmodyfikowana genetycznie przez dodanie materiału komórek nowotworowych. Według nich to wzmocniło tego pieprzonego wirusa. Poza tym wirusy zamknięte były w czymś rodzaju miniaturowych kapsulek, które pomagały im przeżyć na otwartej przestrzeni. Innymi słowy, wygląda na to, że wszystko, co mówił nam twój rosyjski kumpel, potwierdziło się.

— Co z nim zrobiliście?

— Wysłaliśmy do lokalu operacyjnego w Winchester — odparł Foley. Zwykle tam właśnie lądowali obywatele państw obcych, których Firma chciała chronić. — A przy okazji, FBI poinformowało

mnie, że policja stanowa Kansas poszukuje go za zabójstwo pierwszego stopnia.

Miał zabić niejakiego Fostera Hunnicutta z Montany, a w każdym razie o to jest oskarżany.

— Może im powiedzieć, że nie mógł nikogo zamordować, bo wtedy był cały czas ze mną? — zaproponował Clark. Musiał się teraz troszczyć o Popowa. Prawie wybaczył mu atak na żonę i córkę. No cóż, to był tylko biznes i nie po raz pierwszy wróg z KGB przekształcił się w przydatnego sojusznika.

— Dobra, mogę na to pójść — zgodził się Foley. To było tylko małe białe kłamstewko na tle wielkiej czarnej prawdy. Foley zastanawiał się, jak to się dzieje, że ręce mu się nie trzęsą, kiedy o tym wszystkim myśli. Przecież ci szaleńcy nie tylko chcieli zamordować cały świat, ale jak się okazało, dysponowali odpowiednimi środkami. To było coś nowego dla CIA, coś, czym powinni się zająć ze szczegółami, nowym poważnym zagrożeniem, którego poznawanie nie będzie rzeczą ani przyjemną, ani łatwą.

— Dzięki, Ed — powiedział Clark i wcisnął guzik z czerwoną słuchawką. — Dostaliśmy potwierdzenie, że pojemnik istotnie zawierał zmodyfikowany wirus Ebola przeznaczony do rozprzestrzenienia.

— Co takiego? — zapytał pułkownik Byron.

Clark opowiedział mu całą historię, a oczy pułkownika rozszerzały się w miarę trwania tej opowieści.

— Ty to wszystko mówisz poważnie? — zapytał wreszcie.

— Śmiertelnie poważnie — odparł Clark. — Wynajęli Popowa, żeby dla nich zorganizował serię zamachów terrorystycznych w Europie. Miał w ten sposób wzbudzić zaniepokojenie zagrożeniem ze strony terrorystów, żeby kierowana przez Billa Henriksena Global Security mogła skłonić Australijczyków do zawarcia kontraktu na doradztwo w sprawach bezpieczeństwa i...

— Billa Henriksena? Czekać, ja przecież znam tego gościa!

— Tak? No to właśnie jego ludzie mieli rozprzestrzenić wirus przez system zraszaczy na stadionie olimpijskim w Sydney. Chavez był na miejscu i złapał Gearinga za rękę, kiedy ten próbował podłączyć do systemu pojemnik, którego zawartość właśnie sprawdzili eksperci z Fort Detrick. FBI miało z tego zrobić sprawę kryminalną, ale w końcu pewnie nic by z tego nie wyszło.

— I w związku z tym, wy wybieracie się do nich...

— Żeby pogadać, Willie. Samolot już gotowy?

Byron spojrzał na zegarek.

— Powinni już skończyć.

— No to czas w drogę.

— Dobra. Mam mundury polowe dla wszystkich twoich ludzi, John. Na pewno nie będziecie potrzebowali pomocy?

— Nie, Willie. Doceniamy ofertę, ale to nie może wyjść poza bardzo wąskie grono, rozumiesz?

— Pewnie tak — powiedział Byron i wstał. — Za mną, panowie. A jak spotkacie tych ludzi w Brazylii...

— To co?

— To przekażcie im i od nas pozdrowienia, dobrze?

— Tak jest, panie pułkowniku. Na pewno przekażemy.

Największym samolotem na płycie lotniska w bazie Pope był *Lockheed C-5B Galaxy*, przy którym od paru godzin uwijał się w pocie czoła personel naziemny. Zamalowano wszystkie oficjalne oznaczenia, nawet numer na stateczniku pionowym, a na kadłubie pojawił się złoty napis HORIZON CORPORATION. Dojeżdżali właśnie do samolotu, kiedy zamknęły się ogromne tylne drzwi ładowni. Clark i Stanley weszli do wnętrza pierwsi. Reszta żołnierzy przyjechała autobusem, niosąc swoje osobiste wyposażenie, i wspięła się do tylnych drzwi kabiny pasażerskiej, umieszczonych zaraz za bąblowatym występem mieszczącym podwozie samolotu. Teraz już tylko wsiadła na pokład załoga — w cywilnych ubraniach — i samolot zaczął się przygotowywać do startu, jak każdy zwykły samolot pasażerski. Nad Jamajką miał na nich czekać samolot-cysterna *KC-10*.

— Wygląda więc na to, proszę państwa, że wydarzenia przebiegły właśnie w ten sposób

— zakończył John Brightling swoje wystąpienie przed ludźmi zebranymi w audytorium. Na twarzach pięćdziesięciu dwóch współpracowników dało się zauważyć rozczarowanie pomieszczone z ulgą. A więc nawet najwierniejsi nie są wolni od rozterek sumienia. Nikt nie jest doskonały.

— A co my tu będziemy robić? — zapytał Steve Berg. Jeden z czołowych naukowców Projektu, współtwórca Sziwy, twórca szczepionek A i B, był jednym z najlepszych mikrobiologów, jakich Horizon kiedykolwiek miała.

— Będziemy badać lasy tropikalne. Zniszczyliśmy wszystko, co mogło mieć wartość dowodową. Straciliśmy w ten sposób cały zasób Sziwy i szczepionek, zniszczeniu uległy wszystkie wyniki prac badawczych, zapisane na komputerach. Jedyne, co pozostało z Projektu, to wiedza, którą macie w głowach. Innymi słowy, jeżeli ktokolwiek będzie z tego chciał zrobić sprawę kryminalną, wystarczy nabrać wody w usta i będzie po sprawie. Bill? — Brightling skinął

na Henriksena, który zajął jego miejsce na mównicy.

— Wszyscy wiecie, że pracowałem kiedyś w FBI. Znam Biuro od wewnątrz, wiem, w jaki sposób

proceedzi się dochodzenie i mogę wam powiedzieć, że przeciw nam będzie to co najmniej trudne, jeśli w ogóle możliwe. Biuro gra według zasad i są to ściśle określone zasady.

Każdego aresztowanego muszą pouczyć o przysługujących mu prawach. Jednym z nich jest prawo do obecności adwokata przy każdym przesłuchaniu. Wystarczy powiedzieć: „Chcę, żeby mój adwokat był obecny przy przesłuchaniu”. Od tej chwili nie mogą was zapytać nawet o godzinę. Zadzwońcie do nas i my wam zapewnimy adwokata, który przyjdzie i w obecności agentów powie wam, że macie w ogóle nie rozmawiać z agentami, po czym powie im, że nie będziecie z nimi rozmawiać. Od tej chwili, jeżeli spróbują z was cokolwiek wydusić, złamią wszelkie możliwe procedury i postanowienia Sądu Najwyższego. A jeżeli to jednak zrobią, sami wpakują się w kłopoty i na dodatek nie będą mogli użyć niczego z tego, czego się ewentualnie dowiedzą. To prawa chroniące wasze swobody obywatelskie. Poza tym, będziemy się tu zajmować badaniem bogatego ekosystemu i układaniem odpowiedniej bajeczki, która nas powinna uchronić od dalszych prześladowań. To zajmie trochę czasu, ale...

— Zaraz, skoro możemy w ten sposób uniknąć przesłuchania, to po co w ogóle...

— Wymyślać bajeczkę? To proste. Nasi adwokaci będą musieli coś opowiedzieć prokuratorom federalnym. Jeśli bajeczka chwyci, może nam to ująć na sucho. Policjanci nie będą stawać na głowie, wiedząc, że nie mają szans na wygraną. W zapewnieniu tego pomoże dobra przykrywka. Możemy powiedzieć, że owszem, zajmowaliśmy się wirusem Ebola, bo to straszne paskudztwo i świat potrzebuje jakiegoś lekarstwa przeciw niemu. Ale że wariatów nigdzie nie brakuje, trafił się u nas jeden taki, który postanowił zabić całą ludzkość. My z tym, oczywiście, nie mamy nic wspólnego, gdzieżby tam, a przylecieliśmy tu tylko poszukiwać nowych substancji zawartych w faunie i florze lasu tropikalnego. To przecież legalne, prawda? I brzmi całkiem niewinnie. Widownia pokiwała głowami.

— Nie będziemy się śpieszyć z wymyślaniem naszej bajki, musi być spójna i niepodważalna. A potem wszyscy nauczymy się jej na pamięć. Kiedy wszystko już będzie gotowe, nasi adwokaci porozmawiają z FBI, żebyśmy wyszli na gotowych do współpracy.

Podamy im tylko takie informacje, które nie mogą nam zaszkodzić, co więcej, pomogą uniknąć oskarżeń, które można by wysunąć pod naszym adresem. Ludzie, uwierzcie mi: jeśli będziecie się trzymać naszej wersji, żadnemu z nas nic się nie stanie. Ale żeby tak było, trzeba ruszać głową. Rozumiecie?

— Poza tym możemy tu od razu zacząć prace nad powtórką — dodał Brightling, wracając na mównicę. — Jesteście najmądrzejszymi ludźmi na świecie i wasze oddanie Sprawie nie osłabło. Spędzimy tu rok, może trochę dłużej, ciężko pracując nad nowym sposobem urzeczywistnienia tego, czemu podporządkowaliśmy nasze życie — zakończył, widząc z zadowoleniem potakujące kiwnięcia głowami na sali. Już teraz miał kilka wariantów rozwiązań, które zasługiwały na rozpatrzenie. Nadal był prezesem największej na świecie firmy farmaceutycznej, nadal pracowali dla niego najlepsi i najzdolniejsi ludzie w branży. Zarówno jemu, jak im nadal leżała na sercu sprawa ratowania planety. Po prostu będą musieli wymyślić coś innego, ale mieli czas i środki, by tego dokonać.

— A więc, drodzy państwo — powiedział z promiennym uśmiechem — to był długi dzień. Teraz niech każdy idzie do łóżka i porządnie się wyśpi, a jutro rano idziemy do dżungli, zapoznawać się z tym bogatym ekosystemem, który wszyscy tak chcemy poznać.

Aplauz, który się rozległ w sali audytorium, bardzo go podniósł na duchu. Tak, tym wszystkim ludziom zależało na tym samym, co jemu. Kto wie, być może właśnie to pozwoli im zrealizować Projekt 2.

Bill Henriksen podszedł do Brightlingów, którzy zmierzali do swego pokoju.

— Możemy mieć jeden kłopot, John.

— Jaki?

— A jeżeli nie będą się bawić w dochodzenie, tylko wyślą do nas jakiś oddział paramilitarny?

— Myślisz, że mogą wysłać tu wojsko? — zapytała Carol.

— Właśnie o to mi chodziło.

— Będziemy walczyć — odparł bez namysłu Brightling. — Mamy przecież broń, prawda?

Rzeczywiście mieli. W zbrojowni zapasowego kompleksu spoczywało 100 niemieckich karabinów samoczynnych *G3* — tych prawdziwych, wojskowych, z możliwością prowadzenia ognia seriami, a nie tych cywilnych, samopowtarzalnych *HK-91*, sprzedawanych w sklepach.

Wielu ludzi z Projektu umiało się dość sprawnie posługiwać bronią.

— Tak, to prawda. Problem w tym, że choć nie bardzo widzę, żeby mieli możliwość aresztować nas legalnie, to jeśli jednak uda im się i dostarczą nas do Stanów, sędzia federalny nie będzie dochodził, w jaki sposób do tego doszło. Sędziego obchodzi tylko to, że oskarżony jednak stoi przed jego biurkiem. Więc jeśli pokażą się tu jacyś ludzie, trzeba ich będzie odstraszyć.

Myślę...

— Myślę, że naszych ludzi nie trzeba będzie specjalnie zachęcać do walki po tym, co te sukinsyny zrobiły z Projektem!

— Zgoda, ale jak to naprawdę będzie, przekonamy się dopiero w praniu. Cholera, szkoda, że nie zamontowaliśmy tu jakiegoś radaru.

— Co takiego?

— Przylecą śmigłowcem, o ile w ogóle przylecą. To za daleko, żeby iść przez dżunglę, łodzie są za wolne, a poza tym faceci z operacji specjalnych myślą w kategoriach śmigłowców.

Tak się to po prostu robi.

— A skąd mają wiedzieć, gdzie nas szukać, Bill? Wynieśliśmy się z kraju dość szybko, więc...

— Mogą przesłuchać załogi naszych samolotów, kiedy wrócą. Poza tym musieli przed odlotem złożyć plany lotu do Manaus, więc ogólne pojęcie już mają, prawda?

— Nic nie powiedzą. Za dobrze im płacę — machnął ręką John. — Jak myślisz, ile minie, zanim się dowiedzą?

— Co najmniej dwa dni, a jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, ze dwa tygodnie. Myślę, że powinniśmy zacząć szkolenie obronne wśród naszych ludzi. Możemy zacząć od jutra.

— Dobrze, zrób tak. A ja zadzwonię do kraju i dowiem się, czy ktoś przesłuchiwał naszych pilotów.

Jego apartament miał własny węzeł łączności. Zapasowa siedziba była ostatnim krzykiem techniki pod wieloma względami, od wyposażenia laboratoriów po systemy łączności. Ogródek antenowy koło elektrowni zawierał między innymi anteny telefonu satelitarne, umożliwiającego przesyłanie także poczty elektronicznej i dostęp do olbrzymiej wewnętrznej sieci komputerowej firmy Horizon. Brightling zadzwonił do Kansas i zostawił instrukcje dla załóg firmowych samolotów, które były już w połowie drogi z powrotem — mieli go natychmiast powiadomić o jakichkolwiek próbach przesłuchań w sprawie ich ostatniej zagranicznej podróży.

Niewiele już mu pozostało do dokonania tego dnia, więc wykopał się i wrócił do żony, czekającej w sypialni.

— Jakie to smutne — powiedziała w ciemności Carol.

— Jakie to wkurzające — poprawił. — A tak blisko już byliśmy!

— Co poszło źle?

— Nie jestem pewien, ale wygląda na to, że nasz przyjaciel Popow dowiedział się, co mamy zamiar zrobić, a potem zabił człowieka, który mu to powiedział i uciekł. Jakimś cudem dowiedział się tyle, że to pozwoliło im aresztować Wila Gearinga w Sydney. Jasna cholera, byliśmy już tylko o godziny od sukcesu!

— Następnym razem będziesz ostrożniejszy — pocieszyła go Carol, gładząc jego ramię.

Chociaż się nie udało, dobrze było znów leżeć z nim w łóżku. — A co z Wilem?

— Będzie sobie musiał sam radzić. Wynajmę mu najlepszych prawników — obiecał. — I przekażę, żeby nie puszczał pary z ust.

Gearing nagle przestał być rozmowny. Z chwilą wejścia w amerykańską przestrzeń powietrzną myśli o przysługujących mu prawach obywatelskich wyszły z kątów, w które się pochowały, i od tej pory nie mówił już nic do nikogo. Siedział tyłem do kierunku lotu w fotelu *C-5B*, wbijając ponuro wzrok w okrągły właz, dzielący przedział pasażerski od przepastnej ładowni.

Żołnierze wokół głównie spali, ale dwóch z nich pilnowało go i nie zdradzało najmniejszych objawów senności. Cały czas gadali o czymś z zacięciem, ale nawet na chwilę nie spuścili go z oczu. Wokół widać było mnóstwo broni i jeszcze więcej w ładowni. Gdzie się wszyscy wybierali? Nie miał pojęcia, nikt mu nie powiedział.

Clark, Chavez i Stanley byli w tylnej części kabiny pilotów olbrzymiego transportowca.

Załogę stanowili zawodowi piloci Sił Powietrznych, choć takimi samolotami „powozili” raczej rezerwiści, na co dzień piloci linii lotniczych. Załoga trzymała się z dala od nich. Pewnie przełożeni tak im kazali, poza tym ten cyrk z przemalowywaniem musiał im dać sporo do myślenia. Czy od tej chwili stali się cywilami? Kazano im się ubrać po cywilnemu, żeby dla niedoświadczonego oka to wyglądało przekonująco, ale odkąd to jacyś cywile mieli *Lockheeda C-5B*?

— Wygląda całkiem prosto — ocenił Chavez. Fajnie byłoby znowu zostać nindżą, i żeby znowu noc należała do niego. Z tą drobną różnicą, że tym razem atakować mieli w biały dzień.

— Pytanie tylko, czy będą stawiać opór?

— Jeżeli będziemy mieli szczęście, to tak.

— Ilu ich będzie?

— Przylecieli czterema *Gulfstreamami*. Cztery razy maksymalnie szesnaście osób, to sześćdziesiąt cztery, Ding.

— Mają broń?

— A zamieszkałbyś w dżungli bez niej? — zapytał retorycznie Clark.

— Czy są wyszkoleni w jej użyciu?

— Nie przypuszczam. To naukowcy, paru może zna las całkiem nieźle, znajdzie się pewnie kilku myśliwych. Zobaczymy, czy ta nowa zabawka Noonana działa tak dobrze, jak nas zapewniał.

— Myślę, że tak. — To była dobra wiadomość. Jego ludzie są wyszkoleni i doskonale wyposażeni. W dzień, czy nie, to będzie robota dla nindżów. — Ty dowodzisz całością?

— A jak myślisz?

Nagły wstrząs, kiedy wlecieli w turbulencje za *KC-10*, z którego tankowali w powietrzu, przerwał im na chwilę. Clark wolał tego nie oglądać. Dwa wielkie samoloty parzące się wysoko w górze — czyż mógł być bardziej nienaturalny widok na świecie?

Kilka rzędów dalej Malloy z porucznikiem Harrisonem pochylali się nad zdjęciami satelitarnymi.

— Wygląda na całkiem prostą robotę — ocenił młodszy pilot.

— Tak, łatwizna — zgodził się Malloy. — Póki nie zaczną do nas prac. A wtedy zacnie się robić ciekawie — obiecał drugiemu pilotowi.

— W tym klimacie i z tym ładunkiem będziemy na granicy przeciążenia — zafrasował się Harrison.

— I dlatego mamy dwa silniki w naszym ptaszku, synu — pobłażliwie wyjaśnił doświadczony pilot piechoty morskiej.

Na zewnątrz było ciemno. Załoga *C-5* widziała w dole pojedyncze, oddalone światełka, kiedy tankowali z *KC-10*. Dla nich był to lot właściwie rutynowy, wręcz nudny. Autopilot pilnował pozycji i kursu, miał zaprogramowane punkty zwrotów i trasę, a półtora tysiąca kilometrów stąd wieża kontrolna lotniska w Manaus została powiadomiona, że wyląduje u nich samolot ze specjalną dostawą z Ameryki, który będzie potrzebował na dzień czy dwa betonowego stanowiska postojowego i paliwa na powrót. To wszystko dostali faksem, zanim samolot oderwał się od pasa w bazie Pope.

Jeszcze nie świtało, kiedy zauważyli w dole światła lotniska, na którym mieli siadać.

Pilot, młody major, wyprostował się w lewym fotelu i przejął stery, podchodząc do lądowania, podczas gdy drugi pilot, porucznik, śledził wskazania przyrządów i podawał mu wysokość oraz prędkość maszyny. Zakończywszy krąg nad lotniskiem, pilot ustawił nos samolotu w osi pasa i zadarł go do góry, wytracając prędkość i siłę nośną. *C-5B* majestatycznie opadł i przyziemił

zdumiewająco delikatnie, jak na swoje rozmiary i masę. Tylko lekki wstrząs dał znać pasażerom, że już nie lecą. Drugi pilot wyciągnął z kieszeni na mapy plan lotniska i pokierował kołującego samolotem pilota na wyznaczoną dla nich rampę. Kiedy do niej dotarli, pilot odkołował jak mógł

najdalej i ustawił się przodem do wieży kontrolnej, po czym przez interkom powiadomił szefa personelu pokładowego, że może się brać do roboty.

Po kilku minutach wielkie drzwi ładunkowe z tyłu ładowni samolotu zostały otwarte i na pokrytą rosą betonową rampę wyciągnięto wśród porannej szarówki pomalowany na czarno śmigłowiec *MH-60K*. Sierżant Nance nadzorował pozostałych trzech mechaników 160. pułku, którzy rozkładali łopaty wirnika, złożone do tyłu na czas transportu, a potem wdrapywali się na grzbiet kadłuba, by je zamocować. *Night Hawk* był zatankowany pod korek. Nance wyjął z pokrowca karabin maszynowy *M-60D* i zamontował go w drzwiach kabiny transportowej, po czym zameldował pułkownikowi

Malloyowi, że maszyna jest gotowa do lotu. Malloy i Harrison dokonali przeglądu przedstartowego i uznali, że wszystko jest w porządku, o czym powiadomili Clarka.

Żołnierze Tęczy opuścili samolot jako ostatni. Między sobą prowadzili Gearinga, któremu zarzucono na głowę worek, żeby nic nie widział. Sami obwieszani byli bronią, ubrani w plamiaste mundury maskujące, twarze pomalowali farbami kamuflażowymi.

Nie wszyscy zmieścili się na pokładzie śmigłowca. Vega i czterej inni musieli zostać, obserwując, jak *Night Hawk* startuje o świcie. Błyskające światło pozycyjne śmigłowca uniosło się w górę i odleciało na północny zachód. Żołnierze nie byli szczęśliwi z powodu tego, że musieli zostać na miejscu i pocić się dalej w wilgotnym upalnym powietrzu koło samolotu. Parę chwil później do *C-5B* podjechał samochód, przywożąc jakieś formularze do wypełnienia dla załogi. Piloci zdziwili się, że typ samolotu wpisany do formularza nie wywołał żadnych komentarzy. Firma, do której, według wymalowanych w Pope napisów, należał samolot, była duża i mogła sobie pozwolić na jego zakup. Pracownik lotniska nie wgłębiał się w nic, póki zapis na papierze zgadzał się z tym, co widział na oczy. Formularze zostały wypełnione jak trzeba i to w tej chwili interesowało go najbardziej.

Zupełnie jak w Wietnamie, pomyślał Clark, wyglądając przez odsunięte drzwi śmigłowca na zwartą ścianę zieleni poniżej. To nie był *Huey* i sam Clark miał o trzydzieści lat więcej niż wtedy, kiedy pierwszy raz owiewał go pęd powietrza w otwartych drzwiach helikoptera. Nie pamiętał, żeby się wtedy bał. Oczywiście, odczuwał napięcie, ale strachu chyba nie. Dopiero teraz go to uderzyło. Siedział, trzymając w rękach wytłumiony pistolet maszynowy *H&K*, i wyglądał przez te drzwi czując, jak mu z każdą chwilą ubywa lat. Rozejrzał się jednak po wnętrzu śmigłowca i ten proces zaraz ustał — jacyż oni wszyscy wydawali mu się młodzi, a przecież żaden z nich nie miał mniej niż trzydzieści lat. Skoro mimo to wydawali mu się młodzi, to znaczy, że on już jest starym piernikiem i nie ma co się oszukiwać, że jest inaczej. Odłożył tę niewesołą myśl na bok i znowu wyjrzał na zewnątrz ponad ramieniem sierżanta Nance'a, czujnie pochylonego nad zamontowanym w drzwiach karabinem maszynowym. Niebo się rozjaśniało, było już za jasno na gogle noktowizyjne, ale jeszcze nie na tyle, żeby wszystko było dobrze widać. Zastanawiał się, jaka tam będzie pogoda. Znajdowali się prawie na równiku, więc będzie gorąco i wilgotno. Na ziemi będą jaszczurki, węże, owady i inne stworzenia, dla których ta nieprzyjazna człowiekowi okolica była domem. I właśnie tam przyjdzie im pójść z wizytą, pomyślał John, wyglądając za drzwi.

— Jak leci, Malloy? — zapytał przez interkom Clark.

— W każdej chwili możemy to zobaczyć, to już niedale... Tam, światła dokładnie na kursie!

— Widzę — potwierdził Clark i dał ręką znak pozostałym, żeby się szykowali. —

Lecimy dokładnie według planu, pułkowniku.

— Rozumiem, Sześć — potwierdził pilot. Leciał kursem 296 stopni, utrzymując wysokość względną dwustu trzydziestu metrów i prędkość stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Odległe światła wśród dżungli wydawały się zupełnie nie na miejscu, ale przecież były, dokładnie tam, gdzie wskazywały je zdjęcia satelitarne. Wkrótce świetlisty punkt uległ rozbiciu na wiele oddzielnych światełek.

— No dobra, Gearing — powiedział Clark — zaraz będziesz mógł pogadać z twoim szefem.

— Co takiego? — dobiegł zdumiony głos spod kaptura.

— To, co słyszałeś. Masz mu dostarczyć wiadomość. Jeżeli się poddadzą, nikogo nie zabijemy. Jeżeli nie, to będzie nieprzyjemnie. Ma do wyboru walkę albo bezwarunkową kapitulację. Nie mam zamiaru z nim negocjować. Rozumiesz?

— Tak. — Głowa w czarnym kapturze opadła w dół.

Nos *Night Hawka* uniósł się w górę, kiedy maszyna wleciała nad zachodni kraniec pasa dżungli wzdłuż wyciętego lądowiska. Malloy zawisł tuż nad nawierzchnią pasa, uważając, by jej nie dotknąć kołami, na wypadek, gdyby była zaminowana. Clark wypchnął Gearinga za drzwi i śmigłowiec natychmiast odleciał na wschód.

Gearing ściągnął z głowy worek i rozejrzał się po okolicy. Zauważył światła drugiej enklawy Projektu — obiektu, który znał, ale w którym nigdy nie był. Wstał i ruszył w tamtym kierunku, nie oglądając się za siebie.

Na wschodnim krańcu pasa startowego *MH-60K* ponownie wszedł w niski zawis.

Żołnierze Tęczy szybko wyskoczyli i śmigłowiec natychmiast odleciał z powrotem do Manaus.

Tym razem lecieli prosto pod wschodzące słońce, więc Malloy i Harrison musieli założyć okulary przeciwsłoneczne. Utrzymywali kurs nad znanym już terenem, pilnując stanu paliwa.

160. pułk lotnictwa operacji specjalnych utrzymuje swoje śmigłowce w doskonałym stanie, pomyślał stary *marine*, poprawiając rękę w rękawicy na dźwigniach sterowych. Zupełnie jak chłopaki w Anglii.

Noonan wyskoczył jako pierwszy i od razu zajął się uruchamianiem swoich zabawek.

Pozostali żołnierze przebiegali koło niego, kierując się ku gęstej ścianie lasu sto metrów od brzegu betonowego pasa. Kierując się na zachód, zastanawiali się, czy Gearing zauważył ich lądowanie. Przebycie odcinka, który normalnie zajmował im dziesięć minut, tu zajęło im pół

godziny. Clark uznał, że to i tak doskonały czas. Przypomniawszy sobie nieprzyjemne uczucie, jakim był dla niego zawsze pobyt w dżungli. Znowu trafił w to cholerne miejsce, gdzie powietrze zdawało się roić od istot, których jedyną racją istnienia było ssanie krwi i roznoszenie zarazków chorób, które odbierały życie bardzo powoli i bardzo boleśnie. Jak on, do cholery, wytrzymał

dziewiętnaście miesięcy w Wietnamie? Tu już po dziesięciu minutach miał dość. Wokół widział

olbrzymie drzewa, których sięgające nieba pnie mierzyły po sześćdziesiąt albo i sto metrów, a korony nakrywały to wilgotne piekło nieprzepuszczalnym kloszem, pod którym gniło wszystko inne. Mniejsze drzewa osiągały najwyżej jedną trzecią tej wysokości i wyrastały wszędzie tam, gdzie w zielonym parasolu zdarzyła się jakaś dziura, wypełniając ją i z kolei pozwalając wyrastać jeszcze

mniejszym, dziesięciometrowym, poniżej których kłębił się gąszcz krzewów i pnączy.

Słyszał, że coś się gdzieś rusza, ale nie miał pojęcia, czy to odgłosy marszu jego podwładnych, czy jakieś zwierzęta. Ten gąszcz stanowił kryjówkę dla bardzo różnorodnych, choć, w przytłaczającej większości, nieprzyjaznych człowiekowi form życia. Przyjrzał się uważniej i zobaczył swoich ludzi, jak posuwają się wzdłuż północnej granicy pasa startowego, po drodze odłamując gałązki, by zatknąć je za gumowe opaski na swoich kewlarowych hełmach, maskując w ten sposób ich — nienaturalnie regularny w tym otoczeniu — kształt.

Gearing ze zdziwieniem zauważył, że frontowe drzwi budynku nie były zamknięte.

Wszedł do, jak się domyślił z wystroju, budynku mieszkalnego i podszedł do windy. Wsiadł do kabiny, wcisnął najwyższy guzik i po chwili znalazł się na trzecim piętrze. Przeszedł korytarzem do jedynych podwójnych drzwi na piętrze, otworzył je i w środku wymacał włącznik światła.

Światło wydobyło z mroku wnętrze salonu. Drzwi do sypialni były otwarte, więc skierował się tam.

Brightling podniósł się na łokciu, obudzony nagłym blaskiem światła. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz gościa.

— Wil? Co ty tu, do cholery, robisz?

— Przywieźli mnie tu, John.

— Kto cię przywiózł?

— Ci, którzy mnie aresztowali w Sydney — wyjaśnił Gearing.

— Co takiego?! — Brightling zerwał się z łóżka i okrył się szlafrokiem, leżącym obok na krześle.

— John, co się dzieje? — zapytała Carol ze swojej strony łóżka.

— Nic, nic, kochanie, odpręż się. — John wyszedł do salonu, zamykając za sobą drzwi od sypialni.

— Wil, co tu jest grane?!

— Oni tu są, John.

— Co za oni?!

— Ludzie z oddziałów antyterrorystycznych, którzy polecili do Australii i aresztowali mnie. Oni już tu są, rozumiesz, John? — mówił Gearing, rozglądając się po pokoju, wyraźnie zdezorientowany całą podróżą, a jeszcze bardziej sytuacją, w jakiej się znalazł.

— Tu? Gdzie? W budynku?

— Nie. — Pułkownik pokręcił głową. — Wysadzili mnie z helikoptera. Ich szefem jest facet

nazwiskiem Clark. Kazał mi powiedzieć ci, że masz się poddać. Bez żadnych warunków, John.

— A jak nie, to co?

— To przyjdzie tu po ciebie.

— Naprawdę? — To nie był ten sposób budzenia, który by mu się spodobał. Wydał dwa miliony dolarów na budowę tego obiektu — tylko tyle, bo na szczęście robocizna w Brazylii jest bardzo tania — i uważał go za fortecę. Więcej, za fortecę, której jego prześladowcy będą musieli szukać miesiącami. Uzbrojeni ludzie, tutaj i teraz, domagający się jego kapitulacji?

Dobra, pomyślał. Cokolwiek by to było, trzeba się tym zająć. Zadzwoił do pokoju Henriksena i wezwał go do siebie. Podniósł ekran swojego notebooka i poczekał, aż ekran się rozjarzy. W poczcie elektronicznej nie było żadnej wiadomości, mówiącej o tym, żeby ktoś niepokoił załogi samolotów. Nikt więc nie mógł powiedzieć, gdzie się znajdują. Skąd tamci mogli to wiedzieć? Kim do cholery byli? I czego chcieli? Jezu, to zupełnie jak z filmu!

— Co się dzieje, John? — zapytał Henriksen, wchodząc. Nagle zauważył trzeciego mężczyznę w pokoju. — Wil, a skąd tyś się tu wziął?

Brightling uciszył go gestem, usiłując uporządkować myśli w czasie, gdy Bill i pułkownik wymieniali informacje. Wyłączył światło i wyjrzał na zewnątrz przez żaluzje, szukając jakiegoś ruchu, ale nic się nie działo.

— Ilu? — zapytał Bill.

— Dziesięciu do piętnastu żołnierzy — odparł Gearing. — Zrobisz to, co oni... Poddasz się, John?

— Nigdy! — rzucił Brightling. — Bill, czy to, co oni robią, jest legalne?

— Raczej nie. W każdym razie tak mi się wydaje.

— Dobrze. A więc budźmy naszych ludzi i wydajmy im broń.

— Jak uważasz — powiedział szef ochrony, raczej bez entuzjazmu. Wyszedł do gabinetu Brightlinga, gdzie znajdowała się centralka systemu nagłaśniającego.

— No dziecino, działaj, proszę — mamrotał Noonan. Właśnie uruchomił najnowszą wersję urządzenia do wykrywania ludzi firmy DKL. Rozmieszczył dwa identyczne urządzenia w odległości około stu metrów od siebie. Każdy z nich miał wbudowany nadajnik, przesyłający sygnały do jego komputera.

DKL wykrywał pole elektromagnetyczne, wytwarzane przez bijące ludzkie serce. Drogą badań udowodniono, że ludzkie serce wytwarza specyficzne pole, dające się identyfikować i odróżniać od pola otaczającego serca zwierząt. Początkowo urządzenie potrafiło tylko wskazywać kierunek, z

którego dochodziły sygnały, ale najnowsza wersja zaopatrzona została w paraboliczne anteny, które zwiększały zasięg praktyczny do półtora kilometra i działały w sprzężeniu, dzięki czemu można było ich używać do triangulacji i dość precyzyjnego — z dokładnością do dwóch, trzech metrów — wskazywania umiejscowienia źródła. Clark spojrzął na ekran komputera Noonana. Plamki światła wskazywały ludzi równomiernie rozłożonych w pokojach budynku mieszkalnego, przed którym stali.

— Chłopie, ale byśmy z tego mieli pożytek w Wietnamie! — mruknął z podziwem.

Każdy z jego ludzi miał nadajnik *GPS*, wbudowany w osobistą radiostację i te sygnały też trafiały na ekran komputera Noonana, pozwalając odróżniać plamki oznaczające swoich od przeciwnika.

— Teraz już wiesz, dlaczego tak się podniecałem tą zabawką? — zapytał agent FBI. —

Nie mogę ci powiedzieć, na których są piętrach, ale... Patrz, wygląda na to, że zaczynają się ruszać. Chyba ktoś zarządził pobudkę.

— Niedźwiedź do dowódcy — zatrzeszczało w słuchawce.

— Gdzie jesteś, Niedźwiedź?

— Pięć minut lotu od was. Gdzie mam wysadzić resztę?

— W tym samym miejscu. Lepiej, żebyście się trzymali z dala od linii strzału. Powiedz Vedze i pozostałym, że jesteśmy po północnej stronie pasa. Punkt dowodzenia znajduje się sto metrów na północ od granicy lasu. Stamtąd będziemy z nimi się porozumiewać.

— Rozumiem. Niedźwiedź, bez odbioru.

— To musi być winda. — Noonan wskazał na ekran. Sześć plamek zebrało się tam w jednym miejscu, powstało razem przez jakieś pół minuty i rozeszło się. W pewnym miejscu zaczęło się zbierać coraz więcej punkcików. To pewnie jakiś hol albo korytarz. Potem plamki zaczęły się przesuwać na północ i znowu zbiły się w gromadkę.

— O, to mi się podoba — powiedział Dave Dawson, pobrawszy ze stojaka karabin *G3*.

Czarny niemiecki karabin był doskonale wyważony i miał znakomite przyrządy celownicze.

Dawson był jednym z szefów ochrony obiektu w Kansas, jednym z filarów Projektu, któremu nie uśmiechało się wracać do Stanów i spędzić resztę życia w więzieniu federalnym w Leavenworth.

Tej części Kansas jakoś nigdy nie lubił. — Co teraz, Bill?

— Podzielcie się po dwóch. Niech każdy weźmie to. — Rozdał im krótkofalówki. —

Myśleć. Nie strzelać, póki nie powiem. I ruszać głową.

— Dobra, Bill. Pokażemy sukinsynom, co potrafi dobry myśliwy — odparł Killgore.

Podobał mu się ten karabin. Mógłby być lżejszy, ale przynajmniej człowiek wiedział, że trzyma w rękę poważne narzędzie, a nie jakąś gównianą zabawkę. Od razu odeszli na bok z Kirkiem Macleanem.

— Weźcie i to — powiedział Henriksen, otwierając kolejną skrzynię. Ta zawierała ubrania maskujące, kurtki i spodnie.

— Jak możemy się przed nimi obronić, Bill? — zapytał Steve Berg.

— Pozabijać sukinsynów! — odparł zapalczywie Killgore. — To nie są policjanci, nie mogą nas aresztować, prawda, Bill?

— No, nie. W ogóle się nie przedstawiali, a prawo... Prawo reguluje takie sytuacje bardzo niejasno.

— W dodatku jesteśmy za granicą. Ci ludzie łamią prawo będąc tu, a skoro chcą nas zbrojnie zaatakować, to mamy prawo się bronić, prawda? — zapytał Bob Farmer.

— Znasz się na tym? — zapytał Berg.

— Byłem w piechocie morskiej, chłopie. Znam się na broni lekkiej, byłem żołnierzem w linii, wiem, o co w tym w tym całym cyrku chodzi. — Farmer wyglądał na człowieka, który wierzy w swoje siły i był równie jak oni wściekły, że ich plany się nie powiodły.

— Dobra, panowie, ale pamiętajcie, że to ja tu dowodzę, dobrze? — uciszył ich Henriksen. Miał w tej chwili pod swoimi rozkazami trzydziestu uzbrojonych ludzi. To będzie musiało wystarczyć. — Musimy sprawić, żeby to oni przyszli do nas. Jeżeli zobaczycie kogokolwiek, zbliżającego się do was z bronią w rękę, walcie. Tylko nie na łapu-capu!

Poczekajcie, aż podejdą. Nie marnować amunicji. Zobaczymy, może uda się ich odstraszyć. Nie mogą tu pozostać długo bez zaopatrzenia, a mają tylko jeden śmigło...

— Patrzcie! — zawołał Maclean. Dwa kilometry od nich na końcu pasa startowego wylądował czarny śmigłowiec. Wskoczyło z niego trzech, może czterech ludzi, którzy pobiegli do lasu.

— Bądźcie ostrożni i cokolwiek macie zamiar zrobić, najpierw pomyślcie, a dopiero potem to róbcie.

— Bierzmy się do roboty — zawołał wojowniczo Killgore, machając ręką na Macleana, żeby szedł za nim.

— Wychodzą — powiedział Noonan. — Jest ich około trzydziestu.

— Podniósł wzrok znad ekranu, by zorientować się w terenie. — Kierują się do lasu.

Może chcą na nas zastawić pułapkę?

— Zajmiemy się tym. Dwójka, tu dowódca — powiedział Clark do mikrofonu radiostacji.

— Dwójka, słucham — odparł Chavez. — Widzę ludzi wybiegających z budynku. Mają broń długą.

— Rozumiem. Ding, wykonuj plan.

— Zrozumiałem. Przystępuję do wykonania. Bez odbioru. Drugi Zespół był właściwie w komplecie, brakowało im tylko Julio Vegi, który przyleciał z drugą turą desantu. Chavez podzielił swoich ludzi na dwójki. Rozciągnął obsadzaną linię na północ, sam zajmując pozycję na jej południowym końcu. Pierwszy Zespół stanowił rezerwę operacyjną pod dowództwem samego Clarka, który pozostał na stanowisku dowodzenia.

Noonan obserwował ruchy żołnierzy Drugiego Zespołu na ekranie komputera. Każdy punkcik oznaczający „swojego” był dodatkowo zaopatrzony jego inicjałem.

— John, kiedy wydasz pozwolenie na użycie broni? — zapytał Clarka.

— Cierpliwości, Tim.

Noonan klęczał na wilgotnej glebie, opierając komputer na karpie ściętego drzewa.

Bateria wystarczała zwykle na pięć godzin, ale na wszelki wypadek miał jeszcze dwie zapasowe w plecaku.

Pierce i Loïselle byli na szpicy, dobre pół kilometra w głębi dżungli. Dla żadnego z nich nie była to nowa sytuacja. Mike Pierce był dwa razy w Peru, a Loïselle trzy razy, bliżej niżby pragnął, zapoznawał się z dżunglą w Afryce. Znajomość warunków nie oznaczała jednak dla nich komfortu. Obaj obawiali się jadowitych węży, prawdopodobnie nawet bardziej, niż uzbrojonych ludzi, którzy szli w ich kierunku. Jedyne, czego mogli być pewni, to tego, że w tym lesie węży nie brakowało i to zarówno tych jadowitych, jak i takich, które miałyby ich ochotę połknąć w całości. W miarę jak wstawało słońce, robiło się coraz goręcej i obaj mocno pocili się pod warstwą kamuflażowej farby. Po dziesięciu minutach marszu znaleźli sobie wreszcie dogodnie miejsce na zasadzkę z szerokim polem ostrzału, za drzewem, koło drugiego, zwałonego.

— Złapałem ich sieć łączności — zameldował Noonan. — Zagłuszyć? — zapytał, zawieszając palec nad klawiszem włącznika zagłuszarki.

— Jeszcze nie. Może sobie ich trochę posłuchamy?

— Dobra jest, już się robi. — Agent FBI przełączył skaner na głośnik.

— Ależ tu pięknie — rozległo się z głośnika. — Człowieku, patrz na te drzewa.

— No nie? Wielkie.

— Jaki to gatunek?

— Taki, zza którego ktoś ci może odstrzelić dupę — odparł jakiś przytomniejszy głos. —

Killgore i Maclean, przejdźcie jeszcze jakieś siedemset metrów na północ, znajdźcie dogodne miejsce i siedźcie tam cicho.

— Dobra, Bill, co się żołądkujesz?

— Ej, słuchajcie wszyscy — mówił dalej ten, którego nazwano „Billem”. — Przestańcie kłapać dziobem przez radio, dobra? Macie meldować o tym, co zauważyliście ważnego. Jeśli nic się nie dzieje, nie blokujcie fali!

— Tak jest.

— Dobra.

— Jak uważasz, Bill.

— Zrozumiano.

— Nic stąd nie widać — ocenił któryś warunki obserwacji.

— To się nachyl — poradził ktoś życzliwy. — Znajdź sobie takie miejsce, z którego widać.

— Idą dwójkami, blisko siebie — zameldował znad komputera Noonan. — Ta para idzie prosto na Mike’a i Louisa.

Clark spojrział na ekran.

— Pierce i Loïselle, tu dowódca. Zbliżają się do was dwa cele z południa, odległość około dwustu pięćdziesięciu metrów.

— Pierce, zrozumiałem.

Sierżant Pierce przesunął się w kryjówce, patrząc na południe. Jego oczy metodycznie przeczesywały sektor szerokości dziewięćdziesięciu stopni, z jednej strony na drugą, raz za razem. Dwa metry dalej Loïselle robił to samo. Obaj stopniowo przestawali się przejmować węzami, koncentrując się na ludziach, którzy mogli im zagrażać.

Doktor Killgore znał las i umiał polować. Poruszał się powoli i ostrożnie, przed każdym krokiem dokładnie oglądając miejsce, w którym miał postawić nogę i szukając w zaroślach przed nim sylwetki lub jakiegoś ruchu. Będą do nas musieli przyjść, pomyślał. To dlatego poszedł z Macleanem poszukać dogodnego miejsca na zasadzkę, zupełnie jak podczas polowania na jelenie. Teraz też musieli sobie znaleźć wygodne miejsce w cieniu, w którym położą się i zaczekają, aż zwierzyna sama

wyjdzie na strzał. Jeszcze ze sto metrów i starczy, powiedział

sobie.

Kilkaset metrów dalej Clark zaglądał Noonanowi przez ramię na ekran komputera i przez radio kierował swoich ludzi do miejsc nadających się na zasadzki. Możliwości tego nowego urządzenia okazały się niewiarygodne. Było w stanie wykrywać ludzi na długo, zanim ktokolwiek mógłby ich zobaczyć, czy usłyszeć, zupełnie jak radar. Ta nowa elektroniczna zabawka będzie naprawdę cudem dla każdego żołnierza, któremu przyjdzie z niej korzystać...

— Teraz — powiedział Noonan głosem komentatora na meczu golfowym, pukając palcem w ekran.

— Pierce i Loïselle, tu dowódca. Dwa cele przemieściły się na południowy wschód od was, odległość około dwustu metrów i maleje.

— Zrozumiałem. Czy mamy przechwycić cele? — zapytał Pierce. Kątem oka zauważył, że Loïselle, słysząc to, spojrział przelotnie na niego, zamiast nadzorować sektor.

— Potwierdzam — odparł Clark. — Tęcza, tu Tęcza Sześć. Udzielam zezwolenia na użycie broni. Powtarzam, udzielam zezwolenia na użycie broni.

— Pierce, zrozumiałem. Potwierdzam zezwolenie na użycie broni.

— Poczekaj, aż będziemy mogli ich dostać obu, Louis — szepnął Pierce.

— *D'accord* — szepnął Francuz. Obaj dalej wypatrywali nadchodzących z południa, wyęzając słuch, by nie przegapić trzasku gałązki pod stopą, czy innego cichego dźwięku.

Nie jest aż tak źle, uznał Killgore. Zdarzało mu się polować w gorszym terenie. Tu było dużo ciszej. Nie było tych cholernych sosnowych igieł, które sprawiały, że jeleni słyszał każdy krok myśliwego z drugiego końca lasu. Mnóstwo cieni, prawie wcale ostrego światła. Właściwie, gdyby nie owady, byłoby całkiem przyjemnie. Ale te cholerne robale były naprawdę okropne.

Następnym razem przed wyjściem, pomyślał lekarz, stąpając ostrożnie naprzód, trzeba się będzie spryskać repelentem. Jakaś gałąź zagroziła mu drogę. Musiał ją odchylić lewą ręką, żeby nie narobiła hałasu.

Tam! Pierce zauważył jakiś ruch. Gałąź się poruszyła, a przecież nie było ani śladu wiatru.

— Louis — wyszeptał. Kiedy Francuz spojrział w jego stronę, Pierce wyprostował jeden palec i wskazał kierunek. Loïselle kiwnął głową i wrócił do obserwacji przedpoła.

— Pierce, widzę cel — zameldował przez radio sierżant. — Pojedynczy cel sto pięćdziesiąt metrów na południe ode mnie.

Macleanowi przedzieranie się przez las na piechotę szło dużo oporniej niż na koniu.

Starał się jak mógł najlepiej naśladować ruchy Killgore'a, ale mimo to posuwanie się naprzód i utrzymywanie ciszy nie chciało iść w parze. Potknął się o jakiś wystający korzeń i upadł, robiąc dużo szumu, a potem cicho zaklął, zanim wstał.

— *Bonjour* — szepnął Loïselle. Nagły ruch i łomot padającego ciała wskazał mu w mieszaninie światła i cieni ludzką sylwetkę, niczym nagły promień światła w ciemnym pokoju.

Tamten był może sto pięćdziesiąt metrów od niego.

— Mike? — szepnął głośniej, wskazując palcem swój cel.

— Jest twój, Louis — odparł Pierce. — Podpuśćmy ich bliżej.

— Dobra.

Obaj podnieśli do ramienia pistolety maszynowe, chociaż odległość była jeszcze zbyt duża.

Gdyby tam było cokolwiek większego niż owad, musiałbym to usłyszeć, pomyślał

Killgore. W dżungli powinny żyć jaguary, drapieżne koty wielkości lamparta. Ładne futro przed kominek. Nabój 7,62x51 mm, którym strzelał jego karabin, to aż zanadto na niego. Ale jaguary polowały pewnie w nocy, a poza tym same były myśliwymi, więc podejść je będzie bardzo trudno... To może chociaż kapibarę, największego szczura na świecie? Podobno ich mięso jest bardzo dobre. Żerują w dzień, prawda? Nic nie widział przed sobą. Było tu tyle światła, cieni i odblasków, że jego oczy po prostu nie nadążały ich rejestrować i analizować.

Dobra, dosyć tego. Trzeba znaleźć jakieś miejsce i usiąść na dobre. Wtedy jego oczy przystosują się do tej różnorodności i zaczną wyłapywać różnice, które są nie na miejscu. O, tam będzie fajne miejsce, ten zwalony pień leżący obok...

— No, chodź, gołąbeczku — szeptał Pierce. Sto metrów powinno wystarczyć. Trzeba będzie trochę podnieść punkt celowania, oprzeć szczyt muszki o brodę celu, to pociski opadną i powinny trafić w klatkę piersiową. Pewnie, że lepiej byłoby w głowę, ale sto metrów to trochę daleko, a jak się nie trafi za pierwszym razem, będzie kłopot...

Killgore cicho zagwizdał i machnął ręką do Macleana, żeby szedł naprzód. Kirk kiwnął

głową i ruszył. Jego początkowy entuzjazm stopniowo gasł. Dżungla nie dorastała do jego wyobrażeń, a świadomość, że kryją się w niej ludzie, którzy przyjechali tu, żeby go zaatakować, wcale tego wrażenia nie poprawiała. Nagle, ku swemu zdziwieniu, wróciły do niego obrazy baru dla samotnych w Nowym Jorku, przyćmionych światła w sali, głośnej muzyki, całego tego dziwnego miejsca i dziwnej atmosfery... Kobiet, które tam spotkał. Cholera, to, co je spotkało, naprawdę było nie fair. Przecież, mimo wszystkich wad, to jednak były istoty ludzkie. I, co najgorsze, wraz z

niewpowodzeniem Projektu okazało się, że ich śmierć była zupełnie daremna.

Gdyby chociaż Projekt ruszył, poświęcenie ich życia miałoby dla kogoś jakieś znaczenie, ale teraz? Teraz nic z tego nie wyszło i przez to wylądował w pieprzonej dżungli z karabinem w garści, czając się na ludzi, którzy przyszli po niego za to, co zrobił.

— Louis, masz swojego?

— Tak.

— No to walimy — powiedział Pierce szorstko i mocniej ujął pistolet maszynowy. Zgrał otwór przeziernika z kanałem osłony muszki, wycentrował jej słupek w polu widzenia i ustawił jej szczyt na podbródku celu. Wypuścił część powietrza z płuc i zastygł, płynnie ściągając spust.

Chwilę później poczuł trzykrotne uderzenie broni w ramię i usłyszał trzy stłumione pyknięcia strzałów, prawie całkowicie ginące w klekocie poruszanego w tę i z powrotem odrzutem i sprężynami zamka. Ułamek sekundy później wyraźnie słyszał trzykrotne klaśnięcie pocisków w cel. Mężczyzna otworzył usta, rozłożył ręce i upadł na plecy, wypuszczając karabin. Z lewej dobiegła identyczna sekwencja dźwięków. Pierce, nie opuszczając broni, zerwał się zza drzewa i podbiegł do leżących, kryty z bliska przez Francuza.

Umysł Killgore'a nie zdążył zanalizować tego, co się stało. Poczuł uderzenia w pierś i nagle zobaczył nad sobą wierzchołki drzew, przez które gdzieniegdzie przeświecało błękitne niebo. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł zaczerpnąć oddechu. Odwrócił głowę i spojrzał w bok, ale nikogo tam nie zobaczył. Gdzie się podział Kirk? Chciał spojrzeć w drugą stronę, ale jakoś nie mógł się ruszyć. Czyżby ktoś do niego strzelił? Poczuł ból, dziwnie odległy, ale jak najbardziej prawdziwy i narastający, a kiedy obniżył wzrok, zobaczył krew na piersi i...

Kto to jest? Jakaś postać w ubraniu maskującym, z twarzą pomalowaną w zielone i brązowe plamy...

Coś ty za jeden, zastanawiał się sierżant Pierce. Kimkolwiek jesteś, długo nie pociągniesz. Trzy pociski rozorały klatkę piersiową mężczyzny, omijając serce, ale rozrywając szczyty płuc i aortę. Oczy były wciąż klarowne i teraz utkwione w jego twarzy.

— Pomyliłeś zabawy, chłopie — powiedział cicho Pierce, patrząc, jak życie ucieka z oczu tamtego. Pochylił się, podnosząc z ziemi karabin zabitego. Ładna zabawka, pomyślał, zabezpieczając go i zarzucając na plecy. Spojrzał na Francuza, który prostował się właśnie z identycznym karabinem na plecach. Loïselle przeciągnął palcem w poprzek szyi. Jego pacjent także nie sprawi już nikomu kłopotów.

— Kurczę, nawet można określić chwilę zgonu — zachwycał się Noonan. Kiedy serca przeciwników przestawały bić, oznaczające ich pozycję plamki znikwały z ekranu DKL. Niezłe, pomyślał.

— Pierce i Loïselle, tu dowódca. Potwierdzam dwa trafienia.

— Zrozumiałem — odparł Pierce. — Macie dla nas jeszcze jakieś cele?

— Pierce — włączył się Noonan — dwa kolejne cele dwieście metrów na południe od was. Ci dwaj idą bardziej na wschód, kierując się w stronę McTylera i Pattersona.

— Pierce, tu dowódca. Zostań na miejscu. Niech idą.

— Potwierdzam — odparł Pierce. Podniósł z ziemi radio zabitego, obejrzał je i zostawił

je włączone. Nie mając nic do roboty, zaczął przetrząsać jego kieszenie. Po minucie wiedział już, że zabił doktora medycyny Johna Killgore'a z Binghampton w stanie Nowy Jork. Kim byłeś?

Chciałby o to spytać, ale właściciel tych dokumentów nie był już w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie zadane na tym świecie. Poza tym, kto powiedział, że odpowiedź miałaby jakiś sens?

— Dobra, ludzie, meldujcie się po kolei — zaskrzeczał głośnik skanera częstotliwości obrońców enklawy ekologów.

Henriksen przykucnął na granicy linii drzew i miał nadzieję, że jego ludzie będą mieli na tyle zdrowego rozsądku, żeby sobie znaleźć dobre miejsca i siedzieć na tyłkach. Obawiał się zbliżających się żołnierzy, czy kto to tam był. Ludzie Projektu za bardzo rwali się do boju, a mieli za mało doświadczenia, żeby przeżyć spotkanie z dobrze wyszkolonym przeciwnikiem.

Radio zaczęło trzeszczeć, kiedy jego podwładni kolejno się zgłaszali. Wreszcie zgłosili się wszyscy, z wyjątkiem tylko dwóch.

— Killgore i Maclean, zgłoście się.

Nic.

— John, Kirk, gdzieście się, do cholery, podziali?

— To ci dwaj, których sprzątnęliśmy — zameldował Pierce przez radio. — Mam im odpowiedzieć?

— Nie, Pierce! — odparł rozgniewany głos Clarka. — Jasna cholera, żeby akurat tobie coś tak głupiego przyszło do głowy!

— Coś ten nasz szef nie ma poczucia humoru — rozłożył ręce Loïselle, wzruszając ramionami.

— Kto był najbliżej nich? — zapytał głos przez radio.

— Ja i Dawson — odparł inny głos.

— Dobra. Berg i Dawson, idźcie na północ i rozejrzyjcie się. Tylko bez niepotrzebnego pośpiechu, dobrze?

— Dobrze, Bill.

— Oho, znów idzie robota dla nas — zauważył Pierce.

— *Oui* — zgodził się Loïselle. — Za tym drzewem, Mike — wskazał. Pień był zaiste olbrzymi, Pierce ocenił średnicę u podstawy na jakieś trzy metry. Z drewna tylko tego jednego drzewa można było postawić cały dom. I to duży, dodał w myśli.

— Pierce i Loïselle, tu dowódca. Dwa cele zbliżają się do was prawie prosto z południa, trzymają się blisko siebie.

Dave Dawson odszedł do cywila piętnaście lat temu, ale wciąż pamiętał wystarczająco dużo ze swego wyszkolenia wojskowego, żeby się martwić. Powiedział Bergowi, żeby trzymał

się go blisko i nie wychodził przed niego. Jajogłowy trzymał się tej instrukcji i dreptał za byłym żołnierzem.

— Patterson do dowódcy. Widzę ruch dwieście metrów prosto przed sobą.

— Zgadza się — potwierdził Noonan. — Idą prosto na Mike'a i Louisa.

— Patterson, tu dowódca. Puść ich.

— Tak jest.

— To niezbyt fair — powiedział Noonan, podnosząc głowę znad ekranu.

— Timothy, dla mnie „fair” jest wtedy, kiedy zrobię swoje i przywiozę wszystkich swoich chłopaków do domu. A resztę pieprzę — wyjaśnił Clark.

— Jak pan uważa, szefie — zgodził się Noonan. Wrócili do obserwacji dwóch punkcików na ekranie, które powoli zbliżały się do dwóch innych, zaopatrzonych w kolorowe literki „L” i „P”. Pięć minut później obie plamki bez literek zniknęły z ekranu.

— John, możemy odhaczyć jeszcze dwóch.

— Jezu, to jakieś czary — skomentował Clark, kiedy sekundę później Pierce i Loïselle potwierdzili uwagę Noonana.

— Chavez do dowódcy.

— Słucham, Ding.

— Czy tej waszej kryształowej kuli można użyć do przeprowadzenia ataku?

— Chyba tak. Tim, możemy tego użyć do nakierowania naszych na tamtych, jak myślisz?

— Jasne, że tak. Mogę zlokalizować pozycję każdego, wystarczy tylko trzymać odpowiednią odległość od nich, kiedy nasi będą ich obchodzić. Potem zostanie już tylko zasadzić się i czekać.

— Domingo, Noonan mówi, że może, ale trochę potrwa, zanim da się to zrobić jak trzeba, a wy też będziecie musieli zdrowo główkować.

— Zrobimy co w naszej mocy, *jefe* — padła odpowiedź.

Po upływie dwudziestu minut Henriksen próbował się skontaktować z Dawsonem i Bergiem, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Coś śmierdziało, ale nie miał pojęcia co. Dawson był żołnierzem, Killgore doświadczonym myśliwym, a mimo to zniknęli z powierzchni ziemi bez śladu. Co tu się działo? Ich przeciwnikami byli żołnierze, zgoda, ale przecież nikt nie mógł być aż tak dobry. Musiał pozostawić wszystkich na swoich miejscach. Jaki w końcu miał wybór?

Patterson ruszył pierwszy, a za nim Scotty McTyler. Szli na północny zachód jakieś trzysta metrów, potem Noonan skierował ich na południe. Szli powoli, w niemal całkowitej ciszy.

Podłoże było zadziwiająco czyste, co bardzo ułatwiało bezszelestne poruszanie się. Światło słoneczne prawie tu nie docierało, więc podściółki było tyle, co kot napłakał. Steve Lincoln i George Tomlinson też szli razem, obchodząc dwa „obce” punkciki na północ od nich.

Wskazówki Noonana wyprowadzały ich na nie dokładnie od tyłu.

— Widzimy cele — zameldował McTyler z silnym szkockim akcentem. Na ekranie DKL

ich punkciki znajdowały się około sto metrów z tyłu za nie zidentyfikowanymi.

— Zlikwidować — rozkazał Clark.

Obaj mężczyźni zwróceni byli na wschód, tyłem do żołnierzy Tęczy. Jeden wyglądał

ostrożnie zza drzewa, podczas gdy drugi kładł się obok, by go ubezpieczać.

Mark Waterhouse wystawił powoli głowę zza drzewa. Patterson ściągnął spust i trzystrzałowa seria przybiła go do pnia. Waterhouse upuścił karabin, który upadł z łoskotem rozdzierającym uszy w całkowitej dotąd ciszy. Leżący obejrzał się w kierunku, z którego doszedł

go hałas, ruszając się właśnie w chwili, gdy trafiła go druga seria Pattersona. Skurcz mięśni spowodował, że palec leżącego nacisnął na spust i w niebo poszła długa seria na pół magazynka jego G3.

— Cholera — zaklął Patterson przez radio. — To mój, dowódco. Musiał mieć przełącznik ustawiony na ogień ciągły.

— Co to było?! Co to było?! Kto strzelał?! — dopytywał się Henriksen przez radio.

Zamieszanie ułatwiło zadanie Tomlinsonowi i Lincolnowi. Ich oba cele podskoczyły w miejscu na dźwięk strzałów i patrzyły w lewo, w ogóle zapominając o otoczeniu. Chwilę później obaj mężczyźni leżeli na ziemi, a kolejny apel o zgłoszenie się wszystkich, który dobiegał z radia leżącego obok nich, wykazał brak ośmiu nazwisk.

Tęcza była już za, a nie przed linią ludzi Henriksena; żołnierze prowadzeni przez Noonana zajmowali dogodnie pozycje do kolejnych ataków.

— Możesz mnie włączyć w ich częstotliwość? — zapytał Clark agenta FBI.

— Nie ma sprawy. — Noonan przerzucił włącznik i wetknął mikrofon w gniazdko. —

Proszę.

— Witam szanownych panów — powiedział Clark w sieci CB, którą posługiwali się obrońcy. — Jest panów już o ośmiu mniej.

— Kto to powiedział?

— To pan jest Henriksen?

— Kto to, do cholery, mówi? — dopytywał się głos.

— Ten, kto zabija twoich ludzi. Do tej pory położyliśmy ośmiu. Was jest jeszcze dwudziestu dwóch. Mam jeszcze kilku zabić?

— Coś ty, kurwa, za jeden?!

— Clark. John Clark. A ty?

— William Henriksen!

— A, ten były federalny? Widziałeś się rano z Wilem Gearingiem? Zresztą, co za różnica... — Clark umilkł na chwilę. — Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał: złożcie broń, wyjdźcie na otwartą przestrzeń i poddajcie się, to nikogo więcej już nie zabijemy. A jeżeli nie, to wybijemy was do nogi.

W głośniku zapadła długa cisza. Clark zastanawiał się, co tamten teraz robi, ale wreszcie po jakiejś minucie postąpił dokładnie tak, jak planował Clark.

— Słuchajcie wszyscy, zarządzam natychmiastowy odwrót do budynku. Wszyscy wracają do budynku!

— Tęcza, tu Tęcza Sześć. Nieprzyjaciel wycofuje się do budynku. Zezwalam na nieograniczone użycie broni — poszło w eter po zaszyfrowanej linii łączności taktycznej.

Panika Henriksena okazała się zaraźliwa. Do ich uszu doszedł naraz odgłos wielu ludzi,

przedzierających się przez zarośla bez żadnej troski o to, czy ktoś ich nie usłyszy. Biegli przez zarośla, kierując się bez zastanowienia najkrótszymi drogami w kierunku otwartej przestrzeni.

Tam stanowili łatwy cel dla Homera Johnstona.

Ubrany na zielono człowiek wybiegł z lasu na otwartą przestrzeń. Trzymał w dłoniach karabin, co czyniło go przeciwnikiem. Johnston położył go jednym pociskiem, który uderzył w środek pleców, między łopatki. Tamten zrobił jeszcze krok, może dwa, zaplątał się we własne nogi i padł.

— Strzelec Dwa-Jeden do dowódcy. Jeden trafiony na północ od pasa startowego — zameldował.

Chavez miał swoich dużo bliżej. Ding krył się za pniem drzewa, kiedy usłyszał tętent dwóch ludzi, biegnących bezmyślnie przez zarośla wprost na niego. Kiedy zbliżyli się, jak ocenił, na pięćdziesiąt metrów, wyjrzał zza pnia, ale przekonał się, że biegli z jego drugiej strony.

Obszedł pień z lewej i podrzucił do ramienia pistolet maszynowy. Pierwszy z biegnących zauważył go i chciał zrobić użytek ze swojego karabinu. Udało mu się nawet podnieść go i oddać kilka strzałów, ale trafił w ziemię pod nogami, bo pierwsza seria Chaveza trafiła go w środek twarzy. Człowiek z karabinem padł na ziemię bezwładnie. Biegnący za nim zatrzymał się i patrzył na Chaveza, celującego do niego.

— Rzuć broń! — krzyknął, ale tamten albo nie słyszał, albo nie słuchał. Lufa jego broni ruszyła do góry, ale podobnie jak jego poprzednik, bez powodzenia.

— Tu Chavez, skreślcie kolejnych dwóch.

Adrenalina nie pozwoliła mu nawet zauważyć, jak łatwo to poszło. Zwyczajna egzekucja, czyste morderstwo.

Clarkowi przypominało to sędziowanie w jakiejś upiornej rozgrywce gladiatorów. Nie zidentyfikowane plamki na ekranie DKL znikwały jak płomyki świeczek na urodzinowym torcie.

Serca kolejno zatrzymywały się, a ich echa gasły z ekranu. Po kilku minutach naliczył już tylko cztery z początkowych trzydziestu plamek. Wszystkie cztery właśnie wbiegały do budynku.

— Boże, Bill, co się tam stało? — zapytał Brightling w holu na parterze.

— Wyrznęli nas jak stado baranów, człowieku! Nie wiem. Nie wiem...

— John Clark do Williama Henriksena — zatrzeszczał przeraźliwie głośnik.

— Czego?!

— Po raz ostatni mówię, poddajcie się zaraz, albo pójdziemy tam po was.

— No to chodź, skurwysynu! Chodź i weź nas! — wrzasnął Henriksen w mikrofon.

— Vega, może byś im tak otworzył parę okien? — zapytał bardzo spokojnie Clark.

— Rozkaz, dowódco — odparł Oso z promiennym uśmiechem. Podniósł swojego *M-60*

do ramienia, jakby to był zwykły karabin i zaczął od drugiego piętra. Lufa broni powoli przesuwała się z prawej na lewo, a czerwone błyski smugaczy pokazywały tor lotu pocisków, metodycznie roznoszących okno po oknie.

— Pierce i Loïselle, idźcie z Connollym na północny zachód i zaczniście rozwalać pozostałe budynki.

— Tak jest — odparł Pierce.

Ci, którzy przeżyli rzeź w lesie, próbowali odpowiadać ogniem, głównie zresztą strzelając na oślep, ale za to robiąc straszny hałas w holu budynku. Carol Brightling zaczęła wyć histerycznie. Szkło z okien tłuczonych na górze spadało tuż przed ich twarzami jak wodospad, siejąc odłamkami na wszystkie strony.

— Każ im przestać! — krzyczała Carol.

— Daj radio — powiedział jej mąż do Henriksena.

Bill bez słowa podał mu je.

— Przerwać ogień! Mówi John Brightling, przerwać ogień, wszyscy. Pan też, Clark, dobrze?

Wszystko ucichło po dość krótkim czasie, zresztą przerwanie ognia ludziom Projektu zabrało więcej czasu niż Tęczy. Z jej strony strzelała tylko jedna lufa i Oso zdjął palec ze spustu, kiedy tylko Clark mu to polecił.

— Brightling, mówi John Clark, słyszy mnie pan?

— Tak. Słyszę.

— Niech pan wyprowadzi swoich ludzi na otwartą przestrzeń. Zaraz i bez broni — polecił

głos z głośnika radia. — Nikogo nie zastrzelimy. Zaczynaj pan ich wyprowadzać zaraz, albo zaczniemy od nowa, ale tym razem na poważnie.

— Nie zgadzaj się — powiedział Henriksen. Rozumiał, że opór nie ma sensu, ale wolał

zginąć z bronią w ręku, niż gnść całe życie w więzieniu.

— Żeby nas wszystkich pozabijali?! — rozdarła się Carol. — Nie mamy wyboru!

— Rzeczywiście, nie za wielki — zgodził się jej mąż. Wszedł do recepcji w holu i przez system łączności wewnętrznej kazał wszystkim zejść na dół. Potem podniósł do ust radio. —

Dobra, zaraz wychodzimy. Dajcie nam chwilę na to, żeby wszystko zorganizować.

— Dobrze, chwilę możemy poczekać.

— To błąd, John — wytknął Henriksen swemu pracodawcy.

— Cały ten pieprzony pomysł był od samego początku jednym wielkim pieprzonym błędem, Bill — odparł Brightling, usiłując zrozumieć, co mogło pójść nie tak. W tej chwili znowu pojawił się w pobliżu wielki czarny śmigłowiec i zaczął podchodzić do lądowania w połowie pasa startowego. Widać było, że pilot spodziewa się, że może jeszcze znowu dojść do wymiany strzałów.

Paddy Connolly doszedł do składu paliwa. Stał przed wielkim zbiornikiem z napisem OLEJ NAPĘDOWY NR 2, mieszczącym paliwo dla elektrowni. Nic nie wysadza się tak prosto jak zbiornik z paliwem i próżno szukać bardziej widowiskowego obiektu do wysadzenia. Pierce i Loïselle przyglądali się pracy Paddy'ego, który okładał zbiornik pięcioma kilogramami materiału wybuchowego. Wszystkie ładunki umieszczone zostały po przeciwnej stronie od budynku generatora. Zbiornik mieścił dobrze ponad 300 ton oleju, zapas na kilka miesięcy, więc zabawa zapowiadała się przednia.

— Connolly do dowódcy.

— Słucham cię, Connolly.

— Będę potrzebował więcej materiału. Wszystko, co przywiozłem.

— Reszta jest na pokładzie śmigłowca, Paddy. Czeka.

— Zrozumiałem, czekam.

*

John podszedł do linii drzew, niewiele ponad trzysta metrów od budynków. Tuż za nim szedł Julio Vega ze swoim *M-60*, a parę kroków dalej reszta oddziału, poza Paddym i dwoma podoficerami, którzy go ubezpieczali. Uniesienie towarzyszące akcji opadło i zaczęli dochodzić do wniosku, że to bardzo smutny dzień. Niezależnie od tego, czy zadanie się wykonało, czy nie, odbieranie komuś życia nie sprawiało im radości. Zwłaszcza w takim stylu. Dziś najbardziej w swoim życiu zbliżyli się do popełnienia zwykłego morderstwa. To była rzeź, a nie walka.

— Wychodzą — powiedział Chavez, patrząc przez lornetkę. Liczył wychodzące sylwetki.

— Naliczyłem dwadzieścia sześć osób.

To by się zgadzało, pomyślał Clark.

— Dawaj — wyciągnął rękę po lornetkę i przyjrzał się wychodzącym, szukając znajomych twarzy. Ku swemu zdziwieniu pierwsza rozpoznana twarz należała do jedynej kobiety wśród wychodzących. Carol Brightling, pomyślał zaskoczony. Doradca prezydenta do spraw naukowych. Tuż obok niej szedł jej były mąż, John Brightling. Wyszli z budynku i ruszyli ku betonowej rampie, która służyła samolotom do zawracania. — Idźcie dalej prosto, daleko od budynku — rozkazał im przez radio. — Przyjrzał się raz jeszcze przez lornetkę i ze zdziwieniem zauważył, że skwapliwie posłuchali.

— Ding, weź paru ludzi i sprawdźcie budynki. Szybko, ale ostrożnie, chłopcze.

— Jasna sprawa, panie C — odparł Chavez, kiwnął ręką na swoich ludzi i pobiegli do budynków.

Clark raz jeszcze podniósł lornetkę i sprawdził, na ile mógł z tej odległości, czy nikt nie niesie jakiejś broni. Na wszelki wypadek kiwnął ręką na resztę Pierwszego Zespołu, żeby poszli z nim jako eskorta. Po pięciu minutach marszu stanął twarzą w twarz z Johnem Brightlingiem.

— Przypuszczam, że to pańskie budynki, co? — zapytał.

— Były, zanim je zniszczyliście.

— Chłopaki w Fort Detrick dokonali analizy zawartości pojemnika, który Gearing miał zamiar podłączyć do instalacji zraszaczy na stadionie olimpijskim w Sydney, panie Brightling.

Jeżeli szuka pan u mnie współczucia, to się pan pomylił.

— Co teraz zrobicie?

Śmigłowiec stojący w połowie pasa wystartował w tej właśnie chwili i przeleciał nad nimi, zawisając za elektrownią. Clark domyślił się, że dostarcza resztę materiałów wybuchowych Connolly'emu.

— Coś wymyślę.

— Zabiliście naszych ludzi! — krzyknęła Carol Brightling, zupełnie jakby to miało w tej chwili jakieś znaczenie.

— Owszem. Tych, którzy przebywali z bronią w ręku w strefie działań bojowych.

Zresztą, gdyby tylko zdołali, pewnie też pozabijaliby moich ludzi. Nie będziemy mieli z tego powodu wyrzutów sumienia.

— To byli dobrzy ludzie, którzy...

— Którzy chcieli wymordować wszystkich swoich bliźnich. I za co?

— Żeby ratować świat!

— To pani tak uważa. Tyle że wybrali sobie raczej okropny sposób, żeby to robić, nie uważa pani?

— John starał się być uprzejmy.

To nigdy nie szkodziło. Może uda mu się ich skłonić do mówienia i wtedy postanowi, co dalej z nimi zrobić.

— Nie oczekiwałam, że będzie pan w stanie to zrozumieć.

— Pewnie jestem na to za głupi, co?

— Ma pan całkowitą rację.

— Dobra, niech będzie. Pozwolą państwo, że przedstawię sprawę tak, jak ją widzi mój ograniczony umysł. Chcieliście zamordować całą ludzkość przy użyciu broni biologicznej, żeby móc bez przeszkód tulić pieprzone drzewka?

— Żeby ratować świat! — odparł John Brightling.

— Aha. Hitler, każąc wyróżnić Żydów, też pewnie uważał, że to ma sens. Dobra, ludzie.

Wszyscy siadać i nie odzywać się bez pytania. — Odszedł kilka kroków w bok i sięgnął do mikrofonu radiostacji. Nie dogada się z tymi fanatykami.

Connolly pracował szybko, ale nie był cudotwórcą. Budynku generatora w ogóle nie dotknął. Najtrudniejszą sprawą okazała się chłodnia w podziemiach kompleksu. Żeby się z nią uporać, pożyczył sobie jednego ze stojących pod budynkiem *Hummerów*. Zapakował na niego beczki z olejem napędowym i przywiózł je do budynku. Nie miał czasu na zabawę, więc po prostu wjechał do środka przez szklane ściany. W tym czasie Malloy odwiózł śmigłowcem połowę Tęczy z powrotem do Manaus i zatankował tam paliwo, zanim wrócił. Wszystko zajęło im niewiele ponad trzy godziny, w ciągu których więźniowie prawie się nie odzywali. Nawet nie prosili o wodę, mimo że betonowa patelnia rampy, nagrzana południowym słońcem prawie na równiku, musiała im się dawać we znaki. Clark nie miał nic przeciwko. Tak było nawet lepiej, nie musiał przyznawać, że też są ludźmi. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że to byli ludzie wykształceni, w każdym innym okolicznościach godni szacunku, tyle że coś z nimi było nie w porządku. Connolly wreszcie podszedł do miejsca, w którym stali i w milczeniu podniósł w wyciągniętej ręce jakieś elektroniczne urządzenie. Clark kiwnął głową i sięgnął do włącznika mikrofonu.

— Niedźwiedź, to dowódca.

— Niedźwiedź, słucham.

— Zbierajmy się stąd, pułkowniku.

— Niedźwiedź, zrozumiałem. Ruszam.

Z oddali doszedł jęk uruchamianych turbin śmigłowca, a Clark podszedł do sfłoczonych na środku rampy więźniów.

— Nie zabijemy was, ale też nie zabierzemy do Ameryki — powiedział.

Na ich twarzach odmalowało się zdumienie.

— To co z nami zrobicie?

— Uważacie, że wszyscy powinni żyć w harmonii z naturą, prawda?

— Jeżeli chcemy, żeby planeta przeżyła, to tak — powiedział John Brightling. W oczach jego żony, przepelnionych nienawiścią i wrogością, zapaliły się iskierki zaciekawienia.

— No i fajnie — ciągnął Clark. — Wszyscy, powstań! Rozbierać się. Wszyscy, powiedziałem. Ubrania na kupę tam. — Wskazał ręką róg jednej z płyt, z których zbudowano rampę.

— Ale...

— Wykonać! — uciął Clark, po raz pierwszy od rana podnosząc głos. — Albo zastrzelę każdego po kolei.

I zaczęli się rozbierać. Niektórzy powoli, niechętnie i zmieszani, inni szybciej i sprawnie, ale w końcu na środku pasa wyrósł stos ubrań. Carol Brightling, co trochę zdziwiło Clarka, nie zdawała się ani trochę zawstydzona swoją nagością.

— I co teraz? — zapytała.

— Zrobimy tak. Chcecie żyć w harmonii z naturą, no to do dzieła. Jak wam nie będzie szło, najbliższe miasto, Manaus, jest sto pięćdziesiąt kilometrów w tamtą stronę. — Wskazał ręką i odwrócił się. — Paddy, odpalaj.

Connolly bez słowa zaczął przerzucać włączniki na urządzeniu, które trzymał w ręku.

Najpierw wyleciał w powietrze zbiornik z olejem napędowym. Dwa ładunki po dwa i pół kilo C-4 wybiły potężne dziury w ścianie zbiornika. Paliwo eksplodowało, wyrzucając przez otwory strugi ognia jak z silnika raketowego i rzucając cały płonący zbiornik na sąsiadujący z nim budynek generatora. Zbiornik uderzył w budynek i pękł, pokrywając całą okolicę płonącym olejem.

Chłodni nie było widać z pasa, ale i tam beczki z paliwem spełniły swoją rolę, o czym świadczyło to, że eksplozja wewnątrz wyrwała kawał ściany i spowodowała zawalenie się całego budynku. Pozostałe zabudowania, w tym ośrodek łączności z antenami satelitarnymi, kolejno wylatywały w powietrze. Ostatni był budynek mieszkalny. Jego lany z betonu szyb windy zrazu jakby oparł się

uszkodzeniom spowodowanym przez ładunki, po czym powoli, jakby z namysłem, zawalił się, pociągając za sobą ściany. W ciągu niewiele ponad minuty zniszczeniu uległo wszystko, co mogło się przydać ludziom mieszkającym w dżungli.

— Zostawicie nas w dżungli nawet bez noża? — zapytał Henriksen.

— Znajdź jakiś krzemień, to sobie sam zrobisz — poradził Clark, przytrzymując na głowie czapkę, targaną podmuchem łopat wirnika lądującego opodal śmigłowca. — Homo sapiens nauczył się tego jakieś pół miliona lat temu. Chcieliście żyć w harmonii z naturą? To się harmonizujcie.

Odwrócił się i wsiadł do śmigłowca. Chwilę później usiadł na rozkładanym siedzeniu tuż za pilotami, zapiął pas i Malloy wystartował, odlatując zaraz, bez kręgu nad lądowiskiem.

W Trzeciej Grupie Operacji Specjalnych nauczył się odróżniać tych, którzy mieli szansę na przeżycie od pozostałych. Ci pierwsi na lądowisku wyskakiwali z *Hueya* i gnali w krzaki na złamanie karku, ci drudzy stali na krawędzi lądowiska i odprowadzali tęsknym wzrokiem odlatujący śmigłowiec. On zawsze należał do tych pierwszych, bo wiedział, po co się znalazł

tam, gdzie go wysadzili. Tamci przejmowali się głównie tym, czy wrócą i nie lubili widoku śmigłowca odlatującego bez nich. Spojrzał w dół, zanim wlecieli nad dżunglę. Wszystkie dwadzieścia sześć par oczu wlepionych było w odlatującą na wschód maszynę.

— Tydzień, panie C? — ocenił z powątpiewaniem ich szansę Chavez. Ding skończył

Szkolę Rangersów Armii i wiedział, że sam dłużej by nie przeżył nago i bez narzędzi w takim miejscu.

— Przy odrobinie szczęścia — odparł Tęcza Sześć.

Epilog

Wiadomości

„International Herald Tribune” wylądowała na biurku Chaveza po powrocie z porannych ćwiczeń. Ding usiadł wygodnie i zajął się lekturą. Życie w Hereford zaczynało go nudzić. Ciągłe tylko trenowali i ćwiczyli wszelkie umiejętności, ale od powrotu z Południowej Ameryki pół roku temu nawet nie wyjechali poza obręb bazy.

„Złoto w Górach Skalistych” — informował nagłówek na pierwszej stronie. Rosjanin znalazł na swojej działce w Montanie sporych rozmiarów pokład złotoonośny. Niejaki Dmitrij A.

Popow, rosyjski przedsiębiorca, który osiadł ostatnio w Ameryce, postanowił zainwestować w ziemię i kupić sobie ranczo. Przypadkowo, w czasie wycieczki po swojej nowej posiadłości, znalazł samorodek złota. W przyszłym miesiącu zacznie działalność wydobywczą, hamowaną dotąd przez wysiłki miejscowych miłośników środowiska naturalnego. Sędzia okręgowy odrzucił

jednak ich ostatnią apelację, uznając, że prawo o bogactwach naturalnych z połowy ubiegłego wieku ma nadal moc obowiązującą i pozwala właścicielowi działki na ich eksploatację.

— Widziałeś to? — zapytał Clarka.

— Zawsze mówiłem, że to chciwy sukinsyn — odparł Clark, oglądający przy sąsiednim biurku najnowsze zdjęcia wnuka. — Tak, czytałem. Wydał pół miliona na zakup rancza z licytowanej spuścizny po Fosterze Hunnicucie. Zdaje się, że ten drań dowiedział się od niego czegoś więcej, niż tylko o planach Brightlinga, jak myślisz?

— Pewnie tak — zgodził się Chavez. W rubryce wiadomości gospodarczych przeczytał, że akcje Horizon odzyskują wartość, utraconą po tajemniczym zniknięciu kilka miesięcy temu szefa i założyciela firmy, doktora Johna Brightlinga. Reporter dodawał, że mimo intensywnych poszukiwań, nigdzie nie natrafiono na ślad zaginionego, ani na sensowne wytłumaczenie jego zaginięcia. Wzrost wartości akcji związany był z dopuszczeniem przez FDA do stosowania w terapii nowego leku przeciw chorobom serca. Nowy preparat, Kardiklear, zapobiegł powtórnemu zawałowi serca u 56 procent pacjentów w testach klinicznych prowadzonych przez FDA.

Horizon pod nowym kierownictwem pracowała teraz nad zagadnieniami związanymi z długowiecznością i lekarstwem na raka, kończył reporter.

— John, czy ktoś poleciał do Brazylii po...

— Nic mi o tym w każdym razie nie wiadomo. Zdjęcia satelitarne wskazują, że pas startowy zarosła

trawa.

— Czyli uważasz, że dżungla ich zabiła?

— Natura nie jest sentymentalna, Domingo. Nie potrafi odróżniać wrogów od przyjaciół.

— Pewnie nie, panie C. — Nawet terroryści to potrafią, pomyślał Chavez, a dżungla nie.

Więc kto jest tak naprawdę wrogiem ludzkości? Ona sama, uznał Ding, składając gazetę i raz jeszcze patrząc na zdjęcie Johna Conora Chaveza, który właśnie zaczął siadać i uśmiechać się.

Jego syn będzie dojrzewał w Nowym Wspaniałym Świecie, kiedy jego ojciec będzie jednym z tych steranych staruszków, którzy uczynili go bezpiecznym dla niego i wszystkich innych dzieciaków, których głównym zadaniem jest teraz nauka chodzenia i mówienia.

KONIEC

1 Bandyty z Obwodnicy (Beltway Bandits) — pogardliwe określenie wielkich firm konsultingowych, z których większość mieści się przy waszyngtońskiej obwodnicy (przyp.

tłum.).

2 FDA — Food and Drug Administration — agenda rządu amerykańskiego określająca między innymi warunki testów i dopuszczająca do otwartej sprzedaży produkty przemysłu farmaceutycznego (przyp. tłum.).

3 Policja irlandzka (przyp. red.).

4 Konserwatywny dziennikarz radiowy, autor programu „Rush Limbaugh Show”, w którym wyszydza dogmaty poprawności politycznej. Przez obrońców środowiska i innych przedstawicieli „postępowych” elit uznany za wroga publicznego nr 1 (przyp. red.).

5 Sam Houston (1793-1863) — słynny amerykański żołnierz, a w latach 1836-1838

prezydent Republiki Teksasu, jedyne amerykańskie stanu będące nigdy samodzielny państwem (przyp. tłum.).

6 Standardowy nóż piechoty morskiej USA (przyp. red.).

7 Slangowe określenie Irlandczyka (przyp. red.).

8 Zawodnik w baseballu, narzucający piłkę na wybijającego (przyp. tłum.).

9 Ćwierciaki (Quarter horse) — amerykańska rasa zręcznych, wytrzymałych, bardzo szybkich na krótkich dystansach koni, używanych najczęściej do zaganiania bydła (przyp. tłum.).

10 Appaloosa — rasa wytrzymałych koni, wyhodowanych na zachodzie Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

11 Jim Bridger (1804-1881), amerykański pionier i handlarz futer z XIX wieku (przyp. red.).

12 Drug Enforcement Agency — amerykańska agencja rządowa do walki z handlem narkotykami (przyp. red.).

13 Jedediasz Smith (1799-1831), amerykański badacz, odkrywca wielu przejść przez Góry Skaliste (przyp. red.).

14 Morgan Henry Lewis (1818-1881), antropolog, badacz Indian amerykańskich (przyp. red.).

15 Wissler Clark (1870-1947), amerykański antropolog, autor książki „Indianie amerykańscy” [(przyp. red.)]. Niedźwiedź grizzly nawet nie słyszał o życiu w przyjaźni z naturą.

On wie tylko, co potrafi zabić i zjeść, a co nie. Czasem trzeba któremuś przypomnieć, że akurat ta zdobycz potrafi się obronić. I z wilkami to samo.